

Terry Pratchett

Niewidoczni Akademicy

Przełożył Piotr W. Cholewa

NSB

2010

Książkę tę dedykuję Robowi Wilkinsowi, który przepisał jej większą część i był tak uprzejmy, że śmiał się od czasu do czasu.

I Colinowi Smythe za słowa zachęty.

Pieśń bogini Pedestriany to parodia cudownego poematu *Brahma* Ralpha Waldo Emersona, ale wiedzieliście o tym, oczywiście.



W Królewskim Muzeum Sztuki¹ w Ankh-Morpork nastała północ.

Mniej więcej raz na minutę nowemu pracownikowi, Rudolfowi Scatteringowi, przychodziło do głowy, że może lepiej było powiedzieć kustoszowi o swojej nyctofobii – lęku przed dziwnymi odgłosami. A właściwie, jak się teraz przekonał, lęku przed absolutnie wszystkim, co mógłby zobaczyć (albo też, jeśli się lepiej zastanowić, czego mógłby nie zobaczyć), usłyszeć, wywąchać i poczuć pełnzące po plecach podczas tych nieskończonych godzin nocnej zmiany. Nie pomagało powtarzanie sobie, że wszystko tutaj jest martwe. Wcale nie pomagało. Oznaczało to bowiem, że on sam się wyróżnia.

I nagle usłyszał szloch. Krzyk byłby lepszy. Kiedy człowiek słyszy krzyk, przynajmniej nie ma wątpliwości. Szloch to coś, na co człowiek czeka, by usłyszeć znowu, bo nie jest przekonany, czy dobrze usłyszał.

¹ W mieście Ankh-Morpork formalnie panuje tyrania, która nie zawsze jest tym samym co monarchia. Nawet samo stanowisko tyrana zostało zdefiniowane – przez piastującego je obecnie lorda Vetinariego – jako jedyna forma demokracji, która działa. Każdy ma prawo głosu, chyba że zostanie go pozbawiony z powodu wieku albo niebycia lordem Vetinarim.

A jednak system działał. Co irytowało pewną liczbę osób uważających, że jednak nie powinien, i które wołałyby zamiast tego monarchę. Pozwoliłoby to człowiekowi, który osiągnął swoją pozycję dzięki sprytowi, głębokiemu zrozumieniu zasad działania ludzkiej psychy, oszałamiającej dyplomacji oraz pewnej sprawności w posługiwaniu się sztyletem, a także – co do czego wszyscy się zgadzali – umysłowi niczym perfekcyjnie zbalansowana piłka tarczowa, zastąpić człowiekiem, który zajął to stanowisko dzięki temu, że się urodził.

[Trzecia możliwość, by miastem zarządzili wybierani szacowni członkowie społeczności, którzy obiecują, że nie będą się wywyższać ani przy każdej okazji zdradzać publicznego zaufania, natychmiast stała się tematem żartów w całym mieście.]

Mimo to korony wisiły – jak to mają w zwyczaju – nad Pocztą Główną, nad Bankiem Królewskim i Mennicą, a także, nie najmniej ważna, nad samą rozległą, klótniową, hałaśliwą jaźnią samego miasta. Jest wiele odmian ciemności i można w nich znaleźć wiele rzeczy uwięzionych, wygnanych, zagubionych czy ukrytych. Czasami uciekają. Czasami zwyczajnie wypadają. A czasami po prostu mają dość.

Scattering drżącą dłonią uniósł latarnię. Nikogo nie powinno tu być. Muzeum było bezpiecznie zamknięte i nikt nie mógłby wejść. Ani też – co właśnie przyszło mu do głowy – wyjść.

Pożałował, że o tym pomyślał.

Znajdował się w piwnicach, które nie były najbardziej przerażającymi miejscami na trasie obchodu. Zawierały głównie stare regały i szuflady pełne rzeczy prawie – ale stanowczo nie całkiem – wyrzucanych. Muzea nie lubią wyrzucać rzeczy, ponieważ później mogą się one okazać bardzo ważne.

Znowu szloch... i jakby drapanie... ceramiki?

A zatem szczur? Gdzieś z tyłu na półkach? Ale przecież szczury nie szlochają, prawda?

– Słuchaj, naprawdę nie chciałbym tam po ciebie wchodzić – oświadczył Scattering szczerze i precyzyjnie.

Półki eksplodowały. Miał wrażenie, że dzieje się to w zwolnionym tempie: odłamki ceramiki i posążków rozprzestrzeniały się, sunąc ku niemu. Upadł na plecy, a rosnąca chmura przeleciała nad nim i trafiła w regały po drugiej stronie piwnicy. Zdemolowała je.

Scattering leżał na podłodze, niezdolny się ruszyć, w każdej chwili oczekując rozerwania na strzępy przez upiory wynurzające się z jego wyobraźni...

Ludzie z dziennej zmiany znaleźli go rankiem głęboko śpiącego i obsypanego pyłem. Wysłuchali jego bełkotliwych wyjaśnień, traktowali łagodnie i zgodzili się, że inny typ kariery byłby chyba bardziej odpowiedni dla jego temperamentu. Przez jakiś czas zastanawiali się, co właściwie chciał zrobić w tej piwnicy – nocni strażnicy nawet w najlepszych chwilach są ludźmi raczej dziwnymi – ale szybko o tym zapomnieli... z powodu znaleziska.

Pan Scattering dostał potem pracę w sklepie zoologicznym przy Błonnych Schodach, ale zrezygnował po trzech dniach, bo kotki patrzyły na niego w taki sposób, że miał koszmary. Świat bywa bardzo okrutny wobec niektórych osób. Ale Rudolf Scattering nigdy nikomu nie powiedział o tej cudownie migotliwej damie trzymającej nad głową kulę. Damie, która uśmiechnęła się do niego, nim zniknęła. Nie chciał, żeby ludzie uważali go za dziwaka.



Chyba nadeszła już pora, by pomówić o łóżkach.

Lektrologia – nauka o łóżku i jego najbliższym otoczeniu – może być niezwykle użyteczna i wiele powiedzieć o właścicielach. Choćby tylko tyle, że są bardzo rozsądnymi i przemyślnymi twórcami sztuki instalacji.

Łoże nadrektora Ridcully’ego na Niewidocznym Uniwersytecie to co najmniej półtora łóża, jako że ma osiem kolumn. Obejmuje niewielką bibliotekę i barek, mieści też w sobie ukrytą, zamykaną wygodkę w całości z mahoni i mosiądzu. Pozwala to uniknąć długich wycieczek w chłodne noce, zawsze łączących się z ryzykiem potknięcia o kapcie, puste butelki, buty i wszelkie inne bariery, jakie spotyka na swej drodze człowiek, który modli się, by następną rzeczą, o jaką uderzy się w palec, była porcelana, a przynajmniej łatwo dawała się zmyć.

Łóżko Trevora Likely’ego znajduje się w dowolnym miejscu: na podłodze u kolegi, na stryżku jakiejś niezamkniętej stajni (co stanowiło zwykle bardziej aromatyczne rozwiązanie) czy w pokoju pustego domu (choć ostatnio trudniej takie znaleźć). Czasami Trev śpi też w pracy (choć z tym stara się uważać, bo stary Smeems chyba nigdy nie sypia i mógłby go przyłapać). Trev potrafi spać wszędzie – i to robi.

Glenda śpi w starym żelaznym łóżku², którego materac i sprężyny przez lata delikatnie i łagodnie uformowały się wokół niej, pozostawiając rozległe zagłębienie. Dolną powierzchnię tego legowiska powstrzymuje od zetknięcia z podłogą ściółka bardzo tanich i żółknących powieści romantycznych z tego rodzaju, w którym słowo „gorset” pada w sposób naturalny. Umarłaby chyba, gdyby ktoś to odkrył – a może raczej ten ktoś by umarł, gdyby ona odkryła, że odkrył. Na poduszce

² Trzeba raczej powiedzieć, że oficjalnie sypia w starym żelaznym łóżku; w rzeczywistości większą część snu realizuje w wielkim i prastarym fotelu w nocnej kuchni, gdzie niemal opanowała sztukę radzenia sobie w ogóle bez porządnego spania. Po bokach poduszek tego mebla zsuwało się i spływało tak wiele okruchów, łyżeczek, kawałków surowego ciasta, książek i rozlanych napojów, że mógł już ukrywać w sobie niewielką, ale kwitnącą cywilizację.

zwykle leży bardzo stary pluszowy miś Pan Kiwaczek.

Tradycyjnie, w leksykonie patosu, taki miś powinien mieć jedno oko, jednak wskutek dziecinnej pomyłki przy szyciu miał troje i był bardziej oświecony niż przeciętne misie.

Łóżko Juliet Stollop zostało zareklamowane jej matce jako odpowiednie dla księżniczki i przypomina mniej więcej łożo nadrektora, choć ogólnie raczej mniej, gdyż składa się z muślinowej zasłony wokół bardzo wąskiego i bardzo taniego łóżka. Jej matka nie żyje. Można to wywnioskować z faktu, że kiedy posłanie załamało się pod ciężarem rosnącej dziewczynki, ktoś podparł je skrzynkami. Matka dopilnowałaby przynajmniej tego, by – jak wszystko w pokoju – były pomalowane na różowo, z małymi koronami.

Pan Nutt skończył siedem lat, nim odkrył, że spanie – dla niektórych ludzi – wymaga specjalnego mebla.

* * *

Jest teraz druga w nocy. Duszna cisza panuje na starożytnych korytarzach i krużgankach Niewidocznego Uniwersytetu. Cisza zalega w bibliotece, cisza zalega w salach. Tyle jest tej ciszy, że można ją usłyszeć. Gdziekolwiek dociera, zatyka uszy niczym niewidoczna wata.

Brzdęk! Delikatny dźwięk przefrunął między murami – moment płynnego złota w styksowej ciszy.

I znowu cisza zapanowała nad schodami. Zakłóciło ją szuranie oficjalnych ciepłych kapci Smeemsa, Świecowego Waleta, wykonującego swój obchód przez długą noc, od jednego świecznika do drugiego, i ładującego je z oficjalnego kosza. Dzisiaj dysponował pomocą (choć sądząc z okazjonalnych pomruków, nie była to pomoc dostateczna) ściekacza.

Nazywano go Świecowym Waletem, ponieważ tak właśnie określono jego stanowisko w księgach uniwersytetu, kiedy zostało utworzone prawie dwa tysiące lat temu. Utrzymywanie w sprawności świeczników, lichtarzy oraz – nie najmniej ważne – kandelabrow było pracą niemającą końca. Prawdę mówiąc, była to najważniejsza ze wszystkich prac,

przynajmniej w rozumieniu Świecowego Waleta. Owszem, naciskany, Smeems pewnie by przyznał, że wokół kręcą się ludzie w szpiczastych kapeluszach, ale ci przychodzili i odchodzili, i głównie przeszkadzali. Niewidoczny Uniwersytet nie cieszył się bogactwem okien i bez Świecowego Waleta w ciągu jednego dnia zaległyby tu ciemności. To, że magowie zwyczajnie wyszliby na ulicę i z rojących się tłumów zatrudnili innego człowieka, który potrafi wspinać się na drabinę z kieszeniami pełnymi świec, nawet nie przyszło mu do głowy. Był niezastąpiony, dokładnie tak jak każdy Świecowy Walet przed nim.

A teraz za sobą usłyszał stuk rozkładającej się służbowej składanej drabiny.

Odwrócił się gwałtownie.

– Trzymaj to draństwo! – huknął. – Chcesz do końca życia być ściekaczem?

– Właściwie to całkiem lubię być ściekaczem, proszę pana...

– Ha! Zanik ambicji jest przekleństwem klasy pracującej! Dawaj ją!

Świecowy Walet chwycił drabinę akurat w chwili, gdy jego pechowy pomocnik ją zamykał.

– Bardzo przepraszam, proszę pana.

– Zawsze znajdzie się miejsce przy zbiorniku do maczania knotów! – Smeems dmuchał na kostki.

– Rozumiem, proszę pana.

Świecowy Walet spojrzał na szarą, okrągłą i szczerą twarz. Miała niewzruszenie przyjazny wyraz, który wydawał się lekko niepokojący, zwłaszcza kiedy się wiedziało, na co człowiek właściwie patrzy. A on wiedział, co to takiego, ale nie wiedział, jak się nazywało.

– Przypomnij, jak masz na imię. Nie mogę pamiętać, jak każdemu na imię.

– Nutt, panie Smeems. Przez dwa t.

– Myślisz, że to drugie t coś zmienia, Nutt?

– Niespecjalnie, proszę pana.

– Gdzie jest Trev? Powinien dzisiaj pracować.

– Bardzo źle się czuł, proszę pana. Prosił, żebym go zastąpił.

Świecowy Walet burknął coś niechętnie.

– Musisz porządnie wyglądać, żeby pracować nad schodami, Nutts.

– Nutt, proszę pana. Przepraszam. Urodziłem się taki nieporządny.
– Przynajmniej nikt cię teraz nie widzi – przyznał Smeems. – No dobrze, chodź za mną i staraj się wyglądać mniej... No, staraj się po prostu nie wyglądać.

- Tak, proszę pana, ale myślę...
- Nie płacą ci za myślenie, młody... człowieku.
- Postaram się go unikać, proszę pana.

Dwie minuty później Smeems stał przed Cesarzem, obserwowany przez należycie zdumionego Nutta.

Góra srebrzystoszarego łożu niemal całkowicie wypełniała odizolowane skrzyżowanie kamiennych korytarzy. Płomień tej świecy – megaświecy zbudowanej z ogarków wielu, wielu tysięcy świec, jakie płonęły tu wcześniej, a wszystkie pociekły i zlały się w jedną wielką bryłę – był tylko lekkim blaskiem pod sufitem, zbyt słabym, by cokolwiek oświetlać.

Smeems wypiął pierś. Stanął oto wobec Historii.

– Spójrz, Nutts!

– Tak, proszę pana. Spoglądam, proszę pana. I jestem Nutt, proszę pana.

– Dwa tysiące lat patrzą na ciebie z czubka tej świecy, Nutts. Oczywiście ciebie trudniej im zobaczyć niż mnie.

– Oczywiście, proszę pana. To wspaniałe.

Smeems gniewnie rzucił okiem na okrągłą, przyjazną twarz, ale zobaczył jedynie wygładzoną, niemal przerażającą gorliwość. Lekko tylko przyszczypując kciuk, rozłożył drabinę i wspiął się po niej ostrożnie do miejsca, skąd nie mogła już doprowadzić go wyżej. Z tej bazy wypadowej kolejne pokolenia Świecowych Waletów wyryły i utrzymywały stopnie wzdłuż, osiowej ściany olbrzyma.

– Naciesz swoje oczy tym widokiem, chłopcze! – zawołał z góry, a jego typowy gniewny nastrój wydawał się nieco złagodzony zetknięciem z tą wspaniałością. – Pewnego dnia to ty możesz być... człowiekiem, który wespnie się na ten uświęcony łoż!

Przez chwilę Nutt wyglądał jak ktoś, kto bardzo się stara ukryć minę osoby mającej szczerą nadzieję, że jej przyszłość zawiera coś więcej niż tylko wielką świecę. Był młody i pewnie dlatego nie żywił dla wieku

takiego szacunku, jaki okazują osoby... no, wiekowe. Ale na jego twarz zaraz powrócił ten uprzejmy nie całkiem uśmiech. Nigdy nie znikał na długo.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Nutt, ponieważ to zwykle działało.

Niektórzy twierdzą, że Cesarz został zapalony tej samej nocy, kiedy powstał Niewidoczny Uniwersytet, i od tego czasu nigdy nie zgasł. Z pewnością był ogromny – takie coś powstaje, kiedy przez jakieś dwa tysiące lat każdej nocy ktoś zapala grubą świecę od skwierczącego ogarka starej i mocno wciskają w ciepły wosk. Oczywiście nie było już widać żadnego lichtarza – tkwił gdzieś w rozległych pokładach woskowych kaskad piętro niżej.

Mniej więcej tysiąc lat temu Niewidoczny Uniwersytet nakazał wybić duży otwór w stropie korytarza poniżej, a Cesarz już wtedy sięgał tam na wysokość siedemnastu stóp. Teraz miał łącznie trzydzieści osiem stóp czystej, naturalnej, ciekącej świecy. Smeems odczuwał dumę – był strażnikiem płomyka, który nigdy nie gaśnie. Cesarz stanowił przykład dla wszystkich: światło, które nie zawodzi, ogień w ciemności, latarnia tradycji. Uniwersytet bardzo poważnie traktował tradycje, przynajmniej kiedy o tym pamiętał.

A także teraz...

Gdzieś z oddali dobiegł dźwięk, jakby ktoś nadepnął na wielką kaczkę, a po nim okrzyk:

– Hej! Goń Megapoda!

A potem rozpętało się piekło.

Jakiś... stwór wypadł z mroku.

Jest taka wyliczanka: „Ani zwierz, ani ptak, ani czerwony rak”. Ten stwór był nimi wszystkimi, a dodatkowo zawierał pewne fragmenty nieznanie nauce, koszmaram ani nawet kebabowi. Z pewnością było w nim coś czerwonego, dużo machania, a Nutt mógłby przysiąc, że dostrzegł też wielki sandał. Zauważył szalone, rozbiegane oczy i wielki żółtoczerwony dziób, ale wtedy stwór znikł już w głębi innego mrocznego korytarza. Bezustannie wydawał przy tym ten sam głuchy, skrzeczący odgłos, jaki wytwarzają polujący na kaczki, nim zostaną zastrzeżeni przez innych polujących na kaczki.

– Hej! Goń Megapoda! – Nie było jasne, gdzie rozlega się to wołanie. Zdawało się, że dobiega zewsząd. – Tam skacze! Hej, goń Megapoda!

Krzyk podjęto ze wszystkich stron i z cieni w korytarzach – prócz tego, którym uciekła bestia – wygalopowały niezwykle kształty; w migotliwym świetle Cesarza okazały się ciałem profesorskim uniwersytetu. Każdego maga niósł na barana mocny uczelniany portier w melniku. Do biegu zachęcały ich butelki piwa, zgodnie z tradycją zwisające na sznurkach z długich patyków, tuż poza zasięgiem portierów.

Smętne kwakanie zabrzmiało ponownie w pewnej odległości; któryś z magów machnął laską w powietrzu.

– Ptaszek odlatuje! – zawołał. – Hej, goń Megapoda!

Zderzający się magowie, którzy podkutymi butami swych wierzchowców połamali już chwiejną drabinę Smeemsa, ruszyli natychmiast, przepychając się i walcząc o lepszą pozycję.

Jeszcze przez chwilę rozbrzmiewało w oddali „Hej! Goń Megapoda!”. Kiedy Nutt był już pewien, że uczeni odjechali, wyczołgał się z kryjówki za Cesarzem, podniósł to, co pozostało z drabiny, i rozejrzał się.

– Proszę pana?! – zawołał.

Nad sobą usłyszał mruknięcie. Spojrzał w górę.

– Nic się panu nie stało?

– W życiu nie czułem się lepiej. Widzisz moje stopy?

Nutt uniósł latarnię.

– Tak, proszę pana. Z przykrością informuję, że drabina się połamała.

– No to zrób coś z tym! Ja tu muszę się skoncentrować na chwycie!

– Myślałem, że nie płacą mi za myślenie, proszę pana.

– Nie próbuj być taki sprytny!

– Czy mogę spróbować być dostatecznie sprytny, by sprowadzić pana na dół, proszę pana?

Odpowiedzią był surowy brak reakcji. Nutt westchnął i sięgnął do dużej płóciennej torby z narzędziami.

Smeems wisiał na zawrotnie wysokiej świecy i w dole słyszał tajemnicze drapania i brzęki. Potem, w ciszy i tak nagle, że aż syknął,

zaostrzony kształt wyrósł obok niego, kołysząc się delikatnie.

– Skręciłem razem trzy drągi od gasideł, proszę pana – oznajmił z dołu Nutt. – I pewnie widzi pan umocowany na czubku hak do kandelabru, tak? Jest też lina. Widzi ją pan? Myślę, że jeśli uda się panu zarzucić pętlę na Cesarza, nie będzie się zbytnio ześlizgiwać, więc będzie pan mógł opuścić się wolno na podłogę. Aha, jest też tam pudełko zapalek.

– Po co? – zdziwił się Smeems, sięgając do haka.

– Trudno nie zauważyć, proszę pana, że Cesarz zgasł – odparł grzecznie głos z dołu.

– Nie, wcale nie zgasł.

– Chyba przyzna pan, że jednak tak, ponieważ nie widać...

– W najważniejszym dziale tego uniwersytetu nie ma miejsca dla osób ze słabym wzrokiem, Nutts!

– Proszę o wybaczenie. Nie wiem, co mnie opętało, proszę pana. Teraz widzę płomień!

Z góry dobiegł odgłos pocieranej zapalki i plama żółtego światła rozlała się na suficie, kiedy świeca, co nigdy nie gaśnie, została ponownie zapalona. Wkrótce potem Smeems bardzo delikatnie opuścił się na podłogę.

– Brawo, proszę pana – rzekł Nutt.

Świecowy Walet strzepnął z zatłuszczonej koszuli strużkę zakrzepłego wosku.

– Dobrze – mruknął. – Będziesz musiał tu wrócić rano, żeby zdjąć...

Ale Nutt wspinał się już po linie jak pająk. Po drugiej stronie świecy coś brzęknęło głośno, gdy spadły na dół drążki gasideł, a potem chłopak zjechał po linie z hakiem pod pachą. I już stał, pełen gorliwości i wyszorowanej (choć ubogo odzianej) skuteczności. Było w tym coś drażniącego. Świecowy Walet nie był przyzwyczajony do takiej postawy. Uznał, że musi trochę chłopaka przyhamować, dla jego własnego dobra.

– Wszystkie świece na uniwersytecie mają być zapalane knotem od świecy, która jeszcze się pali, mój chłopcze – rzekł surowo. – Skąd wzięłeś te zapalki?

– Wolalbym nie mówić, proszę pana.

– To mnie nie dziwi, wcale nie. A teraz gadaj, chłopcze!

– Nie chcę, żeby przeze mnie ktoś miał kłopoty, proszę pana.
– Ta niechęć dobrze o tobie świadczy, ale muszę nalegać – rzekł Świewowy Walet.

– No... wypadły panu z kieszeni, kiedy pan wchodził na drabinę.
W odległym korytarzu zabrzmiał ostatni okrzyk:

– Megapod schwytany!

Ale wokół Cesarza cisza słuchała z rozdziawionymi ustami.

– Pomyliłeś się, Nutts – oświadczył wolno Smeems. – Gdybyś był uważniejszy, przekonałbyś się chyba, jak sędzę, że upuścił je któryś z dżentelmenów.

– A tak, rzeczywiście, tak musiało być, proszę pana. Muszę się nauczyć, by nie wyciągać pochopnych wniosków.

I znowu Świewowy Walet doznał uczucia chwilowego zagubienia.

– No cóż, w takim razie nie będziemy już do tego wracać – wykrztusił jedynie.

– A co właściwie się przed chwilą działo, proszę pana? – spytał Nutt.

– Ach, tamto... To element któregoś z niezwykle istotnych magicznie działań dżentelmenów, mój chłopcze. Jest niezbędny dla właściwego działania świata, to pewne, nie ma co... Może nawet kierowali gwiazdy na słuszne drogi. To jedna z tych rzeczy, których musimy tu pilnować, rozumiesz – dodał, chytrze wślizgując się do magicznego towarzystwa.

– Tylko że to wyglądało jak chudy człowiek z dużą drewnianą kaczką na głowie.

– Wiesz, może rzeczywiście tak to wyglądało, kiedy się chwilę zastanowić, ale to dlatego, że tak właśnie wygląda dla takich ludzi jak my, którzy nie zostaliśmy obdarzeni okularystycznym widzeniem.

– Chce pan powiedzieć, że to taka metafora?

Smeems wytrzymał to całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności, które obejmowały wypłynięcie na takie głębiny, że pąkle przyczepiały się do jego bielizny.

– Zgadza się – przyznał. – To może faktycznie meta jakiegoś fora, który nie wygląda tak głupio.

– Otóż to, proszę pana.

Smeems spojrział na Nutta. To nie jego вина, myślał. Nic nie poradzi na to, jaki jest.

Na chwilę ogarnęła go niezwykła czułość.

– Bystry z ciebie chłopak – przyznał. – Nie ma żadnych powodów, żebyś pewnego dnia nie został głównym ściekaczem.

– Bardzo panu dziękuję – odparł Nutt. – Ale jeśli pan pozwoli, to liczyłem raczej na coś bardziej na świeżym powietrzu, że tak powiem.

– Ale... to może być dość... trudne, można by sądzić.

– Tak, proszę pana. Wiem.

– Bo widzisz, wiele jest... rozumiesz, nie chodzi o mnie, ale o... no... o ludzi. Sam wiesz, jacy są ludzie.

– Tak. Wiem, jacy są ludzie.

Wygląda jak strach na wróble, gada aligancko jak któryś z dżentelmenów, myślał Smeems. Bystry jak strumyk, brudny jak szambo. Miał ochotę poklepać młodego... no, młodego po dziwnie kulistej głowie, ale się powstrzymał.

– Lepiej zostań na dole, przy zbiornikach – poradził. – Miło i ciepło, masz własne posłanie, jest przytulnie i bezpiecznie, nie?

Ku jego uldze chłopak nie odpowiedział. Ale kiedy wracali już przez mroczne korytarze, zapytał w zamyśleniu:

– Tak się zastanawiam, proszę pana... Ile razy ta świeca, która nigdy nie gaśnie... nie zgasła?

Smeems zdusił w gardle zgryźliwą ripostę. Coś mu mówiło, że na dalszą metę spowoduje tym tylko kłopoty.

– Świecy, która nigdy nie gaśnie, trzy razy nie udało się zgasnąć, odkąd zostałem Śwecowym Waletem, mój mały – rzekł. – To rekord.

– Godne pozazdroszczenia osiągnięcie, proszę pana.

– Tak jest! I to pomimo tych wszystkich dziwności, jakie się ostatnio zdarzają.

– Naprawdę, proszę pana? Zdarzają się ostatnio rzeczy dziwniejsze niż zwykle?

– Młody... człowieku, to zdarza się tutaj bez przerwy.

– Jeden z chłopców ze zmywalni mówił, że wszystkie toalety na poziomie tesseractycznym zmieniły się wczoraj w owce – wyznał Nutt. – Chciałbym to zobaczyć.

– Na twoim miejscu nie wychodziłbym dalej niż zmywalnie – rzekł pospiesznie Smeems. – I nie zwracaj uwagi na to, co robią dżentelmeni.

Musisz pamiętać, że to najświetniejsze umysły tego świata. Gdybyś ich zapytał... – Przerwał na moment, by wymyślić *coś* naprawdę trudnego. – Ile jest 864 razy 316...?

– 274 024 – mruknął Nutt, nie całkiem pod nosem.

– Co? – zdziwił się Smeems.

– Tak tylko głośno myślę, proszę pana.

– Aha. No dobrze... Właśnie o to chodzi, rozumiesz. Podadzą ci odpowiedź, zanim mrugniesz. Najświetniejsze umysły na świecie – dodał Smeems, który wierzył w dowodzenie prawdy metodą powtarzania. – Najświetniejsze umysły. Zajęte sprawami wszechświata. Najświetniejsze...

* * *

– Nieźle było – uznał Mustrum Ridcully, nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu, rzucając się na głęboki fotel w sali klubowej z taką siłą, że mebel niemal wyrzucił go z powrotem. – Musimy to kiedyś powtórzyć.

– Oczywiście, nadrektorze. Powtórzymy. Za sto lat – odparł z satysfakcją nowy mistrz tradycji, przewracając kartki w wielkiej księdze. Dotarł do pożółkłego arkusza zatytułowanego *Łowy na Megapoda*, zanotował datę i czas, jaki poświęcono na odnalezienie wspomnianego Megapoda, po czym podpisał zamasyście: *Myślak Stibbons*.

– A właściwie co to jest Megapod? – zainteresował się kierownik studiów nieokreślonych, dolewając sobie porto.

– Jakaś odmiana ptaka, jak przypuszczam. – Nadrektor skinął na wózek z drinkami. – Do mnie.

– Oryginalny Megapod został odkryty w spiżarni podkamerdynera – wyjaśnił mistrz tradycji. – Uciekł w trakcie kolacji i spowodował coś, co jedenaście wieków temu mój poprzednik opisał jako „istny rozgardiasz i gonitwę, kiedy całe Towarzystwo ścigało go po budynkach z wielką uciechą i mocną radością w duchu”.

– Dlaczego? – zdziwił się szef katedry komunikacji post mortem, zręcznie porywając z przejeżdżającego wózka karafkę pełną wzmacniacza radości ducha.

– Nie można pozwolić, żeby jakiś Megapod biegał dziko po uczelni, doktorze Hix – odparł Ridcully. – Każdy to panu powie.

– Nie, chodziło mi o to, dlaczego zrobimy to znowu za sto lat – wyjaśnił kierownik katedry komunikacji post mortem³.

Pierwszy prymus odwrócił głowę.

– O bogowie... – mruknął.

– To tradycja – stwierdził kierownik studiów nieokreślonych, zwi-
jając papierosa. – Musimy mieć tradycje.

– Właśnie, tradycje. I przyznam otwarcie, że ta akurat wzbudziła mój
apetyt – dodał Ridcully. Skinął na służącego. – Mógłbyś tu przenieść
deski serów od jeden do pięć, jeśli można? I jeszcze, hm... może trochę
zimnej pieczeni, szynkę, parę krakersów i oczywiście pikle. – Rozejrzał
się. – Ktoś chce jeszcze coś dodać?

– Chętnie zabawiłbym się chwilę z odrobiną owoców – oznajmił
profesor zjawisk niepojętych. – A ty, bibliotekarzu?

– Uuk – warknęła postać skulona przy kominku.

– Oczywiście – przytaknął nadrektor. – Wózek owoców także. Do-
pilnuj tego, Downbody. I... może przyniosłaby to wszystko nowa
dziewczyna? Powinna się przyzwyczajać do sali klubowej.

Reakcja była taka, jakby rzucił zaklęcie magiczne. Pokój, z sufitem
przesłoniętym błękitnym dymem, nagle wypełnił się tą ciężką, dziwnie
skupioną ciszą, wynikającą głównie z rozmarzonych spekulacji, ale w
kilku rzadkich przypadkach także z odległych wspomnień.

Nowa dziewczyna... Na samą myśl o niej stare serca biły niebez-
piecznie szybko.

Bardzo rzadko w życiu codziennym NU pojawiała się uroda.
Uczelnia była instytucją tak męską, jak zapach starych skarpet i fajko-
wego dymu, a biorąc pod uwagę niedbałość profesorów przy wytrząsa-
niu fajek, także zapach dymiących skarpet. Pani Whitlow, ochmistrzyni z
brzęczącymi kluczami i skrzypiącym gorsetem, który samym swym
dźwiękiem powodowała mdlenia kierownika studiów nieokreślonych, na

³ Ściśle mówiąc, doktor Hix, pisany przez x, był synem pana i pani Hicksów, a le
człowiek noszący czarną szatę z paskudnymi symbolami oraz pierścien z czaszką byłby
szalony – czy też, powiedzmy otwarcie: bardziej szalony – gdyby przepuścił okazję
posiadania x w nazwisku.

ogół dbała o to, by zatrudniać personel będący płci żeńskiej, ale nie-ostentacyjnie. Jej pracownice były pilne, przyzwyczajone do czystości, o rumianych policzkach, ogólnie mówiąc: nigdy zbyt odległe od kraciaszych spódnic i szarlotki. Odpowiadało to magom, którzy sami lubili znajdować się blisko szarlotki, choć krata była im całkiem obojętna.

Dlaczego zatem gospodyni zatrudniła Juliet? O czym wtedy myślała? Dziewczyna pojawiła się jak nowa planeta w układzie słonecznym i równowaga sfer niebieskich delikatnie się zachwiała. I to zjawisko posuwało się coraz dalej.

Zgodnie ze zwyczajem i praktyką, magowie zachowywali celibat, oficjalnie dlatego, że kobiety utrudniają koncentrację i źle działają na organy magiczne. Po tygodniu obecności Juliet wielu członków grona profesorskiego doświadczało nieznanych (w większości) tęsknot i niezwykłych snów, więc sytuacja nie była dla nich wygodna. Trudno jednak dokładnie określić przyczyny – to, co Juliet miała w sobie, wykraczało poza granice urody. Było raczej pewnym destylatem piękna, który krążył wokół niej i przesycił otaczający ją eter. Kiedy przechodziła, magowie mieli ochotę pisać wiersze i kupować kwiaty.

– Może was to zaciekawi, panowie – odezwał się nowy mistrz tradycji. – Dzisiejszy pościg był najdłuższy ze wszystkich zarejestrowanych w historii tej tradycji. Uważam, że jesteśmy winni podziękowanie naszemu Megapodowi...

Zdał sobie sprawę, że jego słowa odbijają się od ogłuchłych uszu.

Uniósł głowę. Magowie z niejaką zadumą wpatrywali się w to, co działo się wewnątrz ich umysłów.

– Panowie... – powiedział głośniejszym głosem i tym razem odpowiedziało mu zbiorowe westchnienie, kiedy magowie budzili się ze swych marzeń na jawie.

– Co mówiłeś? – zapytał nadrektor.

– Zauważyłem, że dzisiejszy Megapod okazał się niewątpliwie najznakomitszym w historii, nadrektorze. To Rincewind. Oficjalne nakrycie głowy Megapoda bardzo do niego pasowało, biorąc wszystko pod uwagę. Poszedł chyba odpocząć.

– Co? Ach, on. No tak. Rzeczywiście. Nieźle się spisał – przyznał Ridcully.

Magowie zaczęli powoli klaskać i uderzać o stoły, co jest oznaką uznania wśród ludzi pewnego wieku, klasy i obwodu. Towarzyszyły temu okrzyki:

– Nieźle, nieźle, dobra robota!

– Zuch z niego!

Ich wzrok jednak wciąż kierował się ku drzwiom, a uszy się wyężyły, czekając na turkot wózka zwiastującego przybycie nowej dziewczyny oraz – oczywiście – stu siedmiu gatunków serów oraz ponad siedemdziesięciu odmian pikli, sosów i innych dodatków. Nowa dziewczyna mogła być paradygmatem piękna, ale NU to nie miejsce dla kogoś, kto zapomina o serach.

Cóż, przynajmniej zajmowała myśli, uznał Myślak, zatraskując księgę. A w tej chwili uniwersytet potrzebował czegoś takiego. Było ciężko, odkąd odszedł dziekan – bardzo ciężko. Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby wykładowca opuścił NU? Takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Ludzie czasem odchodzili w niesławie, w trumnie, niekiedy nawet w kawałkach, ale nie istniała tradycja rezygnacji. Posadę na Niewidocznym Uniwersytecie obejmowało się do końca życia, a bywało, że jeszcze o wiele dłużej.

Urząd mistrza tradycji przypadł nieuchronnie Myślakowi Stibbonsowi – jak wszystkie funkcje wymagające kogoś, kto uważa, że pewne zdarzenia powinny następować o czasie, a liczby się sumować.

Niestety, kiedy chciał omówić swoje zadania z poprzednim mistrzem tradycji, którego – jak wszyscy przyznawali – jakoś ostatnio nie było widać, odkrył, że człowiek ów nie żyje od dwustu lat. Nie była to okoliczność całkiem niezwykłą. Myślak, mimo wielu lat na Niewidocznym, wciąż nie znał liczebności grona wykładowców. Jak można ich upilnować, zwłaszcza w ostatnich czasach i w takim miejscu jak to, gdzie setki gabinetów dzieliły wspólne okno, ale tylko od zewnątrz, gdzie pokoje dryfowały nocami z daleka od swoich drzwi, wędrowały niedotykalnie przez uśpione korytarze i w końcu dokowały całkiem gdzie indziej?

Mag w swoim gabinecie może robić, co tylko zechce. W dawnych czasach oznaczało to palenie wszystkiego, na co przyjdzie mu ochota, i głośne puszczanie bąków bez przepraszania. Dzisiaj te rozrywki zastą-

piła rozbudowa w przystający zestaw wymiarów. Myślakowi trudno było protestować, bo nawet nadrektor uległ tej modzie – miał w łazience pół mili strumienia z pstrągami i twierdził, że majstrowanie ze swoim gabinetem powstrzymuje maga przed szkodą. Jak wszyscy wiedzieli, rzeczywiście powstrzymywało. Zamiast tego zwykle pakowało go w klopoty.

Myślak nie poruszał tej kwestii, ponieważ w tej chwili za swoją życiową misję uznawał podsycanie ognia, który rozgrzewał Mustruma Ridcully'ego i cały uniwersytet czynił szczęśliwszym miejscem. Tak jak pies przejmując humor swego pana, tak uczelnia naśladuje nastrojem swego nadrektora. W tej chwili, jako jedyna osoba przyznająca się tutaj do rozsądku, mógł tylko jak najlepiej sterować biegiem spraw, trzymać się z dala od szkwałów dotyczących osoby znanej wcześniej jako dziekan i szukać nadrektorowi zajęć, by nie przeszkadzał.

Już Myślak miał odłożyć księgę, kiedy ciężkie karty przewróciły się same.

– To dziwne...

– Och, okładki starych ksiąg bywają bardzo sztywne – oświadczył Ridcully. – Czasami jakby żyły własnym życiem.

– Czy ktoś słyszał o profesorze Pullunderze albo doktorze Erratamusie?

Magowie przestali wpatrywać się w drzwi i spojrzeli po sobie nawzajem.

– Komuś coś dzwoni? – spytał Ridcully.

– Nawet nie brzęknie – zapewnił uprzejmie wykładowca run współczesnych.

Nadrektor odwrócił głowę w lewo.

– Może ty, dziekanie? Pamiętasz wszystkich dawnych...

Myślak jęknął w duchu. Pozostali zamknęli oczy i przygotowali się. Mogło być źle...

Ridcully patrzył tępo na dwa puste krzesła, każde z odcisniętym na siedzeniu pośladkiem. Jeden czy dwóch profesorów naciągnęło kapelusze na twarze. Minęły już dwa tygodnie, ale nie było widać żadnej poprawy.

Nadrektor nabrał tchu.

– Zdrajca! – ryknął.

To straszne oskarżenie, jeśli rzuca się je dwóm zagłębieniom w skórzanej tapicerce.

Kierownik studiów nieokreślonych szturchnął Myślaka Stibbonsa, dając mu znak, że został dziś wybrany na ofiarę. Znowu.

Znowu.

– Dla marnej garści srebra nas opuścił – rzekł Ridcully, zwracając się do wszechświata w ogólności.

Myślak odchrząknął. Naprawdę miał nadzieję, że polowanie na Megapoda pozwoli nadrektorowi zapomnieć o tej sprawie. Jednak umysł Ridcully’ego wciąż wracał do nieobecnego dziekana, jak język stale sięga do miejsca po straconym zębie.

– Ehm... Chciałbym zauważyć, że... o ile mi wiadomo... jego wynagrodzenie to co najmniej... – zaczął Myślak, ale dla Ridcully’ego w obecnym stanie ducha żadna odpowiedź nie byłaby właściwa.

– Wynagrodzenie? A odkąd to magowie pracują za pensję? Jesteśmy uczonymi, panie Stibbons! Nie dbamy o prymitywne pieniądze!

Na nieszczęście Myślak zwykł myśleć jasno i logicznie; w chwilach zamętu odwoływał się do rozsądku i uczciwości, które w stosunkach z rozgniewanym nadrektorem były – by zastosować tu właściwy naukowy termin – nieaplikowalne. Zaniedbał też myślenia strategicznego, co zawsze jest błędem w stosunkach z innymi naukowcami. W rezultacie popełnił błąd, wykorzystując w tym miejscu zdrowy rozsądek.

– To dlatego, że nigdy właściwie za nic nie płacimy – rzekł. – A jeśli ktoś potrzebuje jakichś drobnych, bierze sobie z wielkiego dzbana...

– Jesteśmy elementem samej osnowy uniwersytetu, panie Stibbons! Bierzemy tylko to, co jest nam niezbędne! Nie szukamy bogactw! A co najważniejsze, nie przyjmujemy „kluczowego stanowiska połączonego z atrakcyjnym pakietem wynagrodzeń”, cokolwiek to ma znaczyć, do wszystkich piekieł, „oraz inne dodatki, w tym hojną emeryturę”. Emeryturę, uważasz pan! Kiedy to mag przeszedł na emeryturę?

– No, doktor Skorek... – Myślak nie zdołał się powstrzymać.

– Odszedł, żeby się ożenić! – warknął gniewnie Ridcully. – To nie emerytura, to tak jakby umarł.

– A doktor Housemartin? – ciągnął Myślak.

Wykładowca run współczesnych kopnął go w kostkę, ale Myślak rzucił tylko „auć!” i mówił dalej:

– Odszedł z powodu ciężkiego przypadku żab. To choroba zawodowa.

– Jeśli nie znosisz gorąca, to wyjdź z kotła – mruknął nadrektor.

Sytuacja trochę się uspokajała i szpiczaste kapelusze unosiły się ostrożnie. Te nerwowe chwile nadrektora trwały zwykle najwyżej kilka minut. Co byłoby pocieszające, gdyby w odstępach mniej więcej pięciominutowych coś nie przypominało mu nagle o tym, co uznawał za absolutnie zdradzieckie czynności dziekana, a konkretnie o złożeniu oferty i uzyskaniu posady na innym uniwersytecie, na dodatek za pośrednictwem pospolitego ogłoszenia w azecie. Nie tak powinien się zachowywać książę magii. Książę magii nie stawał przed komisją złożoną z sukienników, kupców warzywnych i szewców (choć to wspaniali ludzie, oczywiście, bez wątplenia sól tej ziemi, ale...), by zostać osądzony i oceniony jak terier medalista (na pewno policzyli mu zęby!). Porzucił całe bractwo magii, ot co!

Na korytarzu zapiszczały kółka i każdy mag zeszytywniał w oczekiwaniu. Drzwi się otworzyły i do sali wjechał pierwszy załadowany wózek.

Dała się słyszeć seria westchnień, kiedy wszystkie oczy skupiły się na służącej, która ten wózek popychała, a potem nawet głośniejsze westchnienia, kiedy magowie zrozumieli, że nie jest to ta, której oczekiwali.

Nie była brzydka. Jej urodę można by pewnie określić jako swojską, domową, ale był to miły dom, czysty i przyzwoity, z różami wokół drzwi, powitaniem na wycieracze i szarlotką w piekarniku. Jednak myśli magów, co zadziwiające, nie koncentrowały się w tej chwili na jedzeniu, choć niektórzy wciąż nie byli całkiem pewni, dlaczego nie.

Była to naprawdę całkiem sympatyczna dziewczyna, nawet jeśli jej łono zostało najwyraźniej zaplanowane dla osoby o dwie stopy wyższej. Ale nie była Nią⁴.

Grono wykładowcze wydawało się załamane, lecz wyraźnie powe-

⁴ Profesor nadzwyczajny gramatyki i jej stosowania poprawiłby pewnie to zdanie na „okazało się, że ona to nie ona”, na co profesor logiki zakrzuszyłby się drinkiem.

sełało, kiedy do pokoju wtoczyła się cała karawana wózków. Nic nie poprawia nastroju lepiej niż przekąska o trzeciej nad ranem – wszyscy to wiedzieli.

Nie jest źle, uznał Myślak. Przetrwaliśmy wieczór bez rozbijania czegokolwiek. Przynajmniej lepiej niż we wtorek.

W dowolnej organizacji dobrze znany jest fakt, że aby wykonać jakieś zadanie, należy je zlecić komuś, kto już jest bardzo zajęty. Teoria ta doprowadziła do pewnej liczby zabójstw i w jednym przypadku stała się przyczyną śmierci pewnego dyrektora wskutek wielokrotnego zamykania jego głowy w całkiem małej szafce na dokumenty.

Na NU właśnie Myślak Stibbons był tym bardzo zajęтым człowiekiem. Przyzwyczał się już do tego i nie narzekał. Przede wszystkim większość zadań, jakie mu powierzano, wcale nie wymagała realizacji i magowie na ogół nie przejmowali się, czy są wykonywane, pod warunkiem że to nie oni je wykonują. Poza tym Myślak bardzo sprawnie wymyślał drobne, efektywne metody oszczędzania czasu. W szczególności bardzo był dumny ze swego systemu protokolowania posiedzeń, który opracował z pomocą HEX-a – coraz bardziej użytecznej uniwersyteckiej maszyny myślącej. Szczegółowa analiza przeszłych protokołów, połączona z wielkimi zdolnościami przewidywania HEX-a, oznaczała, że dla prostego zakresu łatwo uzyskiwanych danych – takich jak program zebrania (który i tak kontrolował Myślak), lista członków komitetu, czas mijający od śniadania, czas pozostały do obiadu i tak dalej, większość protokołów dało się spisać z góry.

Ogólnie biorąc, uważał, że przyczynia się do utrzymania NU w wybranym stanie przyjaznej, dynamicznej stagnacji. Dawało to wiele satysfakcji, zwłaszcza jeśli człowiek pamiętał, jaka jest alternatywa.

Jednak kartka, która sama się przewraca, była dla Myślaka anomalią. Teraz, wśród narastających wokół odgłosów przedśniadaniowej kolacji, wygładził ją i zaczął czytać.

* * *

Glenda z przyjemnością rozbiłaby talerz na ślicznej i pustej główce

Juliet, kiedy dziewczyna wreszcie się zjawiła w nocnej kuchni. A przynajmniej z wielką przyjemnością by o tym myślała, bardzo stanowczo. Jednak nie warto było się irytować, gdyż obiekt tej irytacji nieszczególnie sobie radził z zauważaniem, co myślą inni. Juliet nie miała w sobie ani jednej cząsteczki złości, miała za to poważne kłopoty z przyswojeniem myśli, że ktoś mógłby próbować być dla niej niemiły.

Dlatego Glenda zadowolila się zwykłym:

– Gdzie byłeś? Powiedziałam pani Whitlow, że poszłaś do domu, bo źle się czujesz. Twój tata pochoruje się ze zmartwienia! I źle to wygląda wobec innych dziewcząt.

Juliet opadła na krzesło ruchem tak pełnym gracji, że zdawał się śpiewać.

– Poszłam na piłkę, nie? No wiesz, graliśmy z tymi draniami z Przycmionej.

– Do trzeciej nad ranem?

– Takie są zasady, nie? Gra się do końca meczu, do pierwszego zabitego albo pierwszego gola.

– Kto wygrał?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Kiedy odchodziliśmy, ustalali to według ran głowy. W każdym razie poszłam z Wrednym Johnnym, nie?

– Myślałam, że z nim zerwałaś.

– Postawił mi kolację, nie?

– Nie powinnaś tam chodzić. I nie powinnaś tego robić.

– Niby wiesz? – rzuciła Juliet, która czasami uważała, że pytania to odpowiedzi.

– Może weź się do zmywania, co? – zaproponowała Glenda.

A ja będę musiała po tobie poprawiać, pomyślała, kiedy jej najlepsza przyjaciółka odpłynęła w stronę rzędu kamiennych zlewów. Juliet właściwie nie zmywała naczyń, dawała im tylko lekki chrzest. Magowie nie należeli do ludzi, którzy zauważają na talerzu zaschnięte ślady wczorajszego jajka, lecz pani Whitlow umiała je wypatrzyć z sąsiedniego pokoju.

Glenda lubiła Juliet, naprawdę lubiła, choć czasem się zastanawiała

dlaczego. Oczywiście, dorastały razem, ale zawsze ją dziwiło, w jaki sposób koleżanka – tak śliczna, że chłopcy denerwowali się, a czasem i mdleli, kiedy przechodziła – może być taka, no... taka tępa we wszystkim. Tak naprawdę to Glenda dorastała. Co do Juliet nie była pewna i niekiedy miała wrażenie, że dorasta za nie obie.

– Słuchaj, trzeba tylko trochę poszorować i będzie dobrze – burknęła po kilku minutach apatycznego zanurzenia.

Wyjęła szciotkę z doskonałej dłoni Juliet, a potem, kiedy tłuszcz spływał już do ścieku, pomyślała: Zrobiłam to znowu. A właściwie znowu robiłam to znowu. Ile to już razy? Przecież kiedyś bawiłam się za nią jej lalkami!

Talerz po talerzu zaczynał błyszczeć w rękach Glendy. Nic tak nie czyści zaschniętych plam jak tłumiony gniew.

Wredny Johnny, myślała. Na bogów, przecież on śmierdzi jak kocie siki! Jest jedynym chłopakiem na tyle głupim, by wierzyć, że ma jakąś szansę. Nie do wiary, przy takiej figurze spotyka się tylko z absolutnymi durniami! Co by zrobiła beze mnie?

Po tym krótkim zamieszaniu w nocnej kuchni zapanował zwykły spokój, a te, które zostały określone jako „inne dziewczęta”, wróciły do swych zajęć. Trzeba zaznaczyć, że dla większości z nich dziewczęctwo skończyło się już dawno temu, ale pracowały dobrze i Glenda była z nich dumna. Pani Hedges po mistrzowsku zarządzała deskami serów. Mildred i Rachel, na liście płac opisane jako „kobiety od jarzyn”, były sprawne i godne zaufania, a Mildred wymyśliła słynny przepis na kanapki z buraczkami i serem.

Wszystkie znały swoje obowiązki. Wszystkie wykonywały swoje obowiązki. Nocna kuchnia była solidna, a Glenda lubiła solidność.

Miała dom, do którego wracała i który starała się odwiedzać co najmniej raz dziennie, ale mieszkała w nocnej kuchni. To była jej twierdza.

* * *

Myślak Stibbons wpatrywał się w otwartą stronicę. Jego umysł

wypełniały nieprzyjemne pytania, z których najbardziej paskudnym było: czy jest jakiś sposób, by inni doszli do wniosku, że to moja wina? Nie. Dobrze!

– Ehm... Jest pewna tradycja, której niestety nie podtrzymywaliśmy chyba od dłuższego czasu, nadrektorze – oznajmił, starając się ukryć troskę w głosie.

– A czy to takie ważne? – Ridcully przeciągnął się leniwie.

– To tradycyjne, nadrektorze – odparł z wyrzutem Myślak. – Choćby posunąłbym się może do twierdzenia, że niedochowywanie jej stało się teraz, niestety, tradycyjne.

– No to świetnie, prawda? Jeśli stworzymy tradycję niedochowywania innej tradycji, będzie podwójnie tradycyjna, zgadza się? To w czym problem?

– Chodzi o legat nadrektora Marynata Biggera – wyjaśnił mistrz tradycji. – Masa spadkowa Biggerów daje uniwersytetowi wiele korzyści. To był bardzo zamożny ród.

– Hmm... No tak. Przypominam sobie chyba to nazwisko. Ładnie z jego strony. I co?

– No... Byłbym szczęśliwszy, gdyby mój poprzednik poświęcał więcej uwagi niektórym tradycjom – odparł Myślak, który uważał, że złe wieści należy przekazywać stopniowo i jak najwolniej.

– Przecież nie żył.

– Tak, oczywiście. Może więc, nadrektorze, powinniśmy wprowadzić tradycję kontrolowania stanu zdrowia mistrza tradycji.

– Ależ on był całkiem zdrowy – stwierdził nadrektor. – Tyle że martwy. Całkiem zdrowy jak na trupa.

– Był stosem pyłu, nadrektorze!

– Ale to nie jest dokładnie to samo co choroba. – Ridcully wierzył, że nigdy nie należy ustępować. – Ogólnie mówiąc, stan taki można uznać za stabilny.

– Z legatem powiązany jest pewien warunek. – Myślak postanowił wrócić do tematu. – Zapisany drobnym drukiem.

– Och, nigdy się nie przejmuję drobnym drukiem, Stibbons!

– A ja tak, nadrektorze. Ten warunek brzmi: „i tak dziać się będzie, dopóki uniwersytet wystawia drużynę do gry w kopniąpiłkę zwaną też

Rozrywką Chłopców Ubogich”.

– Jak to, z rozrywką, chłopcy, ubogo? – upewnił się kierownik studiów nieokreślonych.

– To śmieszne! – uznał Ridcully.

– Śmieszne czy nie, nadrektorze, taki jest warunek legatu.

– Ale przestaliśmy w tym uczestniczyć lata temu! Tłum na ulicach kopał, szturchał i wrzeszczał... i to tylko gracze! Widzowie wcale nie byli lepsi! W każdej drużynie setki ludzi! Mecze trwały całymi dniami! Dlatego je przerwano.

– Właściwie nigdy nie zostały wstrzymane, nadrektorze – wtrącił pierwszy prymus. – My się wycofaliśmy, owszem, gildie również. Przestała to być gra dla dżentelmenów.

– Mimo to... – Mistrz tradycji przesunął palcem po stronie. – Takie są warunki. Jest ich zresztą więcej. Ojoj. Niech to demony! To chyba nie...

Poruszał wargami bezgłośnie, gdy czytał. Cały pokój wyciągnął swą zbiorową szyję.

– Gadaj, chłopie! – huknął Ridcully.

– Wolałbym najpierw sprawdzić parę drobiazgów – odparł Mistrz Tradycji. – Nie chciałbym panów niepotrzebnie niepokoić.

– Zajrzał do księgi. – Niech to piekło...

– O co chodzi, człowieku?

– No więc wygląda na to... Nie, nie darowałbym sobie, gdybym zepsuł panu wieczór, nadrektorze – bronił się Myślak. – Na pewno źle to zrozumiałem. Przecież nie mógłby... Wielkie nieba!

– W skrócie poproszę, Stibbons – warknął Ridcully. – O ile mi wiadomo, jestem nadrektorem tej uczelni. A na pewno mam to wypisane na drzwiach.

– Oczywiście, nadrektorze, ale przecież nie powinienem...

– Doceniam to, że nie chcesz psuć mi dzisiejszego wieczoru – oświadczył Ridcully. – Ale ja nie zawaham się ani przez moment, żeby zepsuć ci jutrzejszy dzień. I mając to w pamięci, gadaj natychmiast, o czym mowa, do demona!

– Eee... No więc, wydaje się, nadrektorze... Nie wie pan, kiedy ostatni raz braliśmy udział w meczu?

– Ktoś pamięta? – spytał Ridcully, zwracając się ogólnie do sali.

Prowadzona szeptem dyskusja doprowadziła do zgody wokół tezy „dwadzieścia lat temu, mniej więcej”.

– Mniej czy więcej o ile, tak dokładnie? – zapytał Myślak, który nie znośił takich odpowiedzi.

– Wiesz... coś tego rzędu. W tych okolicach, że tak powiem. Około tego. No wiesz.

– Około? Czy moglibyśmy być bardziej dokładni?

– Dlaczego?

– Bo jeśli uniwersytet nie weźmie udziału w Rozrywce Chłopców Ubogich przez dwadzieścia lat lub więcej, legat wraca do pozostałych przy życiu krewnych nadrektora Biggera.

– Przecież to zakazane, człowieku! – przypomniiał nadrektor.

– Nie tak dokładnie. Powszechnie wiadomo, że lord Vetinari nie lubi tej gry, ale rozumiem, że jeśli mecze toczą się poza centrum miasta i są ograniczone do bocznych uliczek, przemyka oko. Ponieważ kibice i gracze przewyższają liczebnie cały skład osobowy Straży Miejskiej, przypuszczam, że lepsze przymknięte oko niż rozbity nos.

– Całkiem ładnie pan to ujął, panie Stibbons – pochwalił Ridcully. – Jestem zaskoczony.

– Dziękuję, nadrektorze. – W rzeczywistości Myślak wykorzystał nagłówek w „Pulsie”, a tej azety magowie nie lubili, ponieważ albo nie drukowała tego, co powiedzieli, albo właśnie drukowała z krępującą dokładnością.

Poczuł się ośmielony.

– Powinienem też zaznaczyć, nadrektorze, że zgodnie z regulaminem NU zakaz nie ma znaczenia. Magowie nie są zobowiązani do przestrzegania takich zakazów. Nie obowiązuje nas prawo doczesne.

– Oczywiście. Ale na ogół wygodniej jest uznawać kompetencje władzy administracyjnej – stwierdził Ridcully, mówiąc jak człowiek dobierający słowa z taką starannością, że w metaforycznym sensie wyjmował niektóre na zewnątrz, by lepiej się im przyjrzeć przy świetle.

Magowie pokiwali głowami. To, co usłyszeli, brzmiało: „Vetinari miewa swoje dziwactwa, ale od wieków jest najrozsądniejszym człowiekiem na tronie, nie zaczepia nas i nigdy nie wiadomo, co jeszcze

chowa w rękawie”. Trudno byłoby temu zaprzeczyć.

– No dobrze, Stibbons... Co proponujesz? – spytał nadrektor. – Ostatnio mówisz mi o problemach dopiero wtedy, kiedy masz już jakieś rozwiązanie. Szanuję to, choć uważam za nieco przerażające. Wymyśliłeś, jak nas z tego wypłatać?

– Wydaje mi się, że tak, nadrektorze. Pomyślałem, że moglibyśmy tak jakby wystawić drużynę. Nic tu nie ma o zwycięstwie. Musimy tylko zagrać, to wszystko.



Przy świecowych kadziach zawsze było cudownie ciepło. Niestety, było także bardzo wilgotno i hałaśliwie, w sposób dość przypadkowy i zaskakujący. To dlatego, że ogromne rury systemu centralnego ogrzewania i ciepłej wody Niewidocznego Uniwersytetu zwisały pod sklepieniem na metalowych taśmach o większym lub mniejszym współczynniku rozszerzalności liniowej. Ale to był dopiero początek. Były też wielkie rury służące równoważeniu dyferencjałów spamowodziowych na całym uniwersytecie, rura tłumika strumienia cząstek antropicznych, który ostatnio nie działał jak należy, rury wentylacyjne, które też nie działały, odkąd osioł się pochorował, oraz bardzo stare rury, pozostałość nieszczęsnego projektu któregoś z dawniejszych nadrektorów, by wewnątrzczelniany system łączności oprzeć na tresowanych marmozetach. O pewnych porach wszystko to rozbrzmiewało podziemną symfonią bulgotów, zgrzytów, niepokojąco organicznego ciurkania, a od czasu do czasu niewytłumaczalnym brzdękiem, który odbijał się echem po wszystkich poziomach piwnic.

Tę ogólną improwizację konstrukcji systemu wzmaczał jeszcze fakt, że z powodów oszczędnościowych rury z gorącą wodą obwieszono używanymi, przytrzymywanymi sznurkiem artykułami odzieży. Ponieważ były to elementy garderoby magów, a choćby człowiek nie wiem jak się starał, nigdy nie zdoła z nich wyprać wszystkich zakłęb, pojawiały się też sporadycznie deszcze kolorowych iskier, a niekiedy spadała piłeczka pingpongo wa.

Mimo wszystko tutaj, między kadziami, Nutt czuł się jak w domu. To było niepokojące: w górnej krainie ludzie na ulicach kpili z niego, że został wyprodukowany w kadzi. Co prawda brat Oats tłumaczył, że to niemądre, ale delikatne bulgotanie łożu przemawiało do niego. I przynosiło uspokojenie.

To on kierował teraz kadziami. Smeems o tym nie wiedział, bo rzadko kiedy tu zaglądał. Trev oczywiście wiedział, ale to, że Nutt wykonywał za niego pracę, oznaczało, że więcej miał czasu na kopanie puszek na jakimś placu; był więc zadowolony. Opinie pozostałych ściekaczy i nurzaczy nie miały większego znaczenia; jeśli ktoś pracował przy kadziach, to znaczyło, że nadal przyspieszał, kiedy spadł na samo dno, a teraz wwiercił się w skałę macierzystą. Oznaczało, że nie ma odpowiedniej charyzmy, by zostać żebrakiem. Oznaczało, że przed czymś ucieka, może przed samymi bogami albo przed demonami wewnątrz siebie. Oznaczało, że jeśli ośmieli się unieść głowę, wysoko nad sobą zobaczy męty z dna społecznego. Lepiej więc zostać tu, na dole, w ciepłym półmroku, gdzie jest dość jedzenia, nie ma niewygodnych spotkań ani też – co Nutt dodawał w myślach – nie ma bicia.

Nie, nurzacz nie stanowił problemu. Kiedy tylko mógł, starał się im pomagać. Samo życie tak ich już sponiewierało, że nie mieli sił, by poniewierać innymi. Na szczęście dla niego. Bo kiedy ludzie odkrywali, że ktoś jest goblinem, ten ktoś nie mógł się spodziewać niczego dobrego.

Pamiętał, co wołali za nim ludzie w wioskach, kiedy był jeszcze mały; po krzykach nadlatywały zwykle kamienie.

Goblin... To słowo wlokło za sobą ciężkie brzemię. Nieważne, co robił, jak się zachowywał – to brzemię stale go przygniatało. Pokazywał im to, co budował, a kamienie rozbijały te konstrukcje, wieśniacy wrzeszczeli na niego jak łowne sokoły i wykrzykiwali kolejne słowa.

Skończyło się to w dniu, kiedy pastor Oats wjechał powoli do miasteczka – jeśli garstkę lepianek i jedną ulicę z ubitej ziemi można nazwać miasteczkiem – i przywiozł... wybaczenie. Ale tamtego dnia nikt nie pragnął wybaczenia.

W ciemności zajęczał na swym posłaniu troll Beton. Brał słab, skibę, skrawek i spad, a gdyby Nutt go nie powstrzymywał, wciągałby nawet żelazne opilki.

Nutt zapalił świeżą świecę i nakręcił własnoręcznie zbudowany aparat do ściekania. Przyrząd kręcił się z wesołym turkotem, a płomyk świecy wyciągał się poziomo. Dobry ściekacz nigdy nie odwracał świecy, którą ściekał – przecież świece na swobodzie prawie nigdy nie ciekną w więcej niż jednym kierunku, czyli od przeciagu. Nic dziwnego, że magowie lubili te przygotowane przez niego; jest coś niepokojącego w świecy, która wygląda, jakby ciekła we wszystkie strony naraz. Może całkiem wytrącić człowieka z równowagi.⁵

Pracował szybko i odkładał już do koszyka dziewiętnastą dobrze ściekniętą świecę, kiedy usłyszał brzęk puszek toczonych po kamiennej podłodze korytarza.

– Dzień dobry, panie Trev – rzucił, nie podnosząc głowy.

Po chwili wylądowała przed nim pusta puszka. Stała pionowo, bez żadnych ceremonii, jakby kawałek układanki wskakiwał na miejsce.

– Skąd wiedziałeś, że to ja, Gobbo?

– To pański leitmotiv, panie Trev. I wołałbym Nutt, jeśli można.

– A co to taki motyw? – zapytał głos za jego plecami.

– Powtarzający się temat czy akord związany z konkretną osobą czy miejscem, panie Trev. – Nutt starannie ułożył w koszu jeszcze dwie ciepłe świece. – To była referencja do pańskiego zwyczaju kopania puszek. Wydaje się pan w dobrym nastroju. Jak minął dzień?

– Co to było?

– Czy Fortuna sprzyjała wczoraj Przyćmionej?

– O czym ty gadasz?

Nutt cofnął się nieco. Niebezpiecznie jest nie pasować, nie pomagać, nie starać się.

⁵ Zatrudnianie profesjonalnych ściekaczy może się wydawać ekstrawagancją dla takiej instytucji jak Niewidoczny Uniwersytet. Nic jednak nie może być dalsze od prawdy. Żaden tradycyjny mag, wart swego szpiczastego kapelusza, nie mógłby pracować przy blasku czystej, gładkiej, można wręcz powiedzieć: dziewiczej świecy. Po prostu nie wygląda to odpowiednio. Nastrój się rozsypuje. A kiedy już to nastąpi, nieszczęsny mag zaczyna majstrować, jak zwykle czynią ludzie, z użyciem zapalek i zagiętych spinaczy, próbując uzyskać mile drobne nacieki i kanały wosku, jak to zaplanowała natura. Jednakże nigdy się to porządnie nie udaje i nieodmiennie kończy się całym dywanem zalany woskiem oraz podpalającym samego siebie magiem Ściekania świec, uznano więc, to robota dla ściekacza.

– Wygraliście?

– Nie, znowu był remis. Strata czasu, prawdę mówiąc. Ale to tylko towarzyski. Nikt nie zginął. – Trev spojrzął na kosze pełne realistycznie ściekniętych świec. – Ależ narobiłeś tego gówna, mały – stwierdził z sympatią.

Nutt znowu się zawahał. A potem odezwał się bardzo ostrożnie:

– Mimo odniesienia skatologicznego, z aprobatą wyraża się pan o dużej choć nieokreślonej precyzyjnie liczbie świec, które ścieknąłem dla pana?

– Rany, co ty zasuwasz, Gobbo?

Nutt gorączkowo szukał akceptowalnego tłumaczenia.

– Jest dobrze? – spróbował.

Trev klepnął go w plecy.

– Jasne! Dobra robota! Szacun. Ale musisz się nauczyć mówić, jak się należy, rozumiesz. Inaczej pięciu minut nie wytrwasz w naszej okolicy. Pewnie szybko byś zarobił półceglówką.

– Takie rzeczy już mi się... znaczy, bywało, że oberwałem.

– Nutt mówił w skupieniu.

– Nigdy nie mogłem zakumać, czemu ludzie robią tyle wrzasku – odparł wielkodusznie Trev. – No były te wszystkie wielkie bitwy. Co z tego? To było dawno i daleko stąd, zresztą takie trolle czy krasnoludy bywały nie lepsze od waszych, nie? Znaczy, od goblinów. O co tyle hałasu? Wy tylko podrzynaliście gardła i kradliście różne rzeczy. Na niektórych ulicach tutaj to prawie cywilizacja.

Prawdopodobnie, myślał Nutt. Nikt nie mógł pozostać neutralny, kiedy Czarna Wojna ogarnęła Daleki Überwald. Może i kryło się tam prawdziwe zło, ale – co ciekawe – zawsze po drugiej stronie. Może było zaraźliwe. I z niewiadomych powodów we wszystkich mętnych opowieściach, zapisanych czy wyśpiewanych, gobliny przedstawiano jako tchórzliwych i złośliwych małych drani, którzy zbierali własną woskowinę i zawsze brali stronę wrogów. Niestety, kiedy nadszedł czas, by spisywać własną historię, jego lud nie miał nawet ołówka.

„Uśmiechaj się do ludzi. Okazuj sympatię. Bądź pomocny. Nabieraj wartości”... Lubił Treva. W ogóle dobrze mu szło lubienie ludzi. Kiedy się wyraźnie lubi ludzi, mają nieco większą skłonność, by lubić w za-

mian. Każdy drobiazg się liczy.

Trev jednak zdawał się całkiem nie przejmować historią. Przekonał się także, że ktoś przy kadziach, kto nie tylko nie próbuje wyjadać łoju, ale też wykonuje za niego większość pracy, w dodatku lepiej, niż samemu by mu się chciało, to prawdziwy skarb wart ochrony. Poza tym cierpiał na wrodzone lenistwo, z jedynym wyjątkiem kopania piłki, a bigoteria wymagała zbyt wielkiego wysiłku. Trev na nic nie poświęcał wielkiego wysiłku. Trev szedł przez życie po płatkach pierwiosnków.

– Majster Smeems pana szukał – poinformował Nutt. – Załatwiłem tę sprawę.

– Aha – rzekł Trev. I to było wszystko. Żadnych pytań.

Lubił Treva.

– Wiesz co? – rzucił Trev. – Chodź na górę do nocnej kuchni, zdołamy jakieś śniadanie, co?

– Och nie, panie Trev – wystraszył się Nutt i niemal upuścił świecę.

– Nie wydaje mi się, to znaczy se nie myślę, żeby to był dobry pomysł.

– No chodź, kto się dowie? Na górze jest taka gruba dziewczyna, która świetnie gotuje. Najlepsze jedzenie, jakiego w życiu próbowałeś.

Nutt się wahał. Zawsze się zgadzaj, zawsze pomagaj, zawsze bądź uprzejmy, nigdy nikogo nie przestrasz.

– Se myślę, że z panem pójdę – rzekł.

* * *

Wiele da się powiedzieć o szorowaniu patelni tak, żeby dało się w niej przejrzeć, zwłaszcza jeśli szorujący marzy o delikatnym stuknięciu kogoś rzeczoną patelnią w głowę. Glenda nie miała dobrego nastroju, kiedy Trev wszedł po kamiennych stopniach, pocałował ją w kark i rzucił wesoło:

– Cześć, skarbie, co mamy dziś gorącego?

– Dla takich jak ty nic, Trevorze Likely – odparła, opędzając się patelnią. – I może trzymaj ręce przy sobie, będę wdzięczna.

– Nie masz nic ciepłego dla swojego chłopca?

Glenda westchnęła.

– W piekarniku jest zapiekanka z obiadu, ale nie piśnij słówka, gdyby ktoś cię przyłapał.

– W sam raz dla zmęczonego mężczyzny, który przez całą noc tyrał jak niewolnik – stwierdził Trev, poklepał ją z nadmierną zażyłością i ruszył do pieców.

– Byłeś na piłce! – burknęła Glenda. – Zawsze chodzisz na piłkę! I to niby ma być ta praca?

Chłopak zaśmiał się tylko, a ona spojrzała gniewnie na jego towarzysza, który cofnął się nagle, jakby wystraszony tym przeciwpancernym wzrokiem.

– Poza tym, chłopcy, powinniście się myć, zanim tu przyjdziecie – dodała zadowolona z celu, który nie uśmiechał się i nie posyłał jej całusów. – W końcu szykujemy tu jedzenie!

Nutt przełknął ślinę. To była chyba najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadził z osobą płci żeńskiej, nie licząc lady i pani Healstether, a przecież nawet się nie odezwał.

– Zapewniam, że kąpie się regularnie – bronił się.

– Przecież jesteś szary!

– No więc niektórzy ludzie są czarni, a niektórzy biali – odpowiedział Nutt, niemal we łzach.

Och, czemuż nie został na dole, przy kadziach? Tam życie było przyjemne i nieskomplikowane, a także ciche, o ile tylko Beton nie brał tlenku żelaza.

– To tak nie działa. Nie jesteś chyba zombi, co? Wiem, że się starają, a przecież nie można nic poradzić na to, jak człowiek umarł, ale nie chcę znowu kłopotów. Każdemu się zdarzy włożyć palec do zupy, ale żeby turlał się po dnie kotła? Tak nie można.

– Jestem żywy, panienko – zapewnił bezradnie Nutt.

– Tak, ale żywy kto, to chciałabym wiedzieć.

– Goblin, panienko.

Zawahał się chwilę. To brzmiało jak kłamstwo.

– Myślałam, że gobliny mają rogi – zdziwiła się Glenda.

– Tylko te dorosłe.

No, to przecież prawda, przynajmniej dla niektórych goblinów.

– Ale chyba nie robicie niczego paskudnego, co? – upewniła się

Glenda, spoglądając na Nutta groźnie.

On jednak rozpoznał już groźbę rezydualną; wypowiedziała swoją kwestię, a teraz trochę grała, żeby pokazać, kto tu jest szefem. A szefowie mogą sobie pozwolić na wspaniałomyślność, zwłaszcza jeśli ktoś wygląda na trochę przestraszonego i przejawiającego należyty szacunek. To działało.

– Trev – rzuciła Glenda – przynieś panu...?

– Nutt – przedstawił się Nutt.

– Przynieś panu Nuttowi trochę zapiekanki, co? Wygląda na wygłodzonego.

– Mam bardzo szybki metabolizm – wyjaśnił Nutt.

– Nie przeszkadza mi to, bylebyś tylko nie pchał go ludziom przed oczy. Dość już miałam...

Przerwał jej trzask za plecami.

Trev upuścił tacę z zapiekanką. A teraz stał jak skamieniały i wpatrywał się w Juliet, która odpowiadała mu spojrzeniem pełnym głębokiego niesmaku. Wreszcie odezwała się głosem czystym i perlistym:

– Nagapiłeś się już? Trzeba mieć czelność, żeby tu przyłazić w tej chustce na szyi! Wszyscy wiedzą, że Ćmoki to siusiumajtki! Beasly nie potrafiłby przenieść piłki nawet w worku!

– Ach tak? Bo słyszałem, że Lobbingowcy przeszli się po was w zeszłym tygodniu! Haka Lobbingu! Wszyscy wiedzą, że to banda staruszków!

– Jasne, tyle tylko wiesz! Dzień wcześniej wypuścili z Tant Skobla Upwrighta! Zobaczymy, jak się wam, Ćmokom, spodoba, kiedy wdepcze was w bruk.

– Stary Skobel? Ha! Może sobie deptać, ale nie pobiegnie szybciej niż klusem! Będziemy biegać w kółko dookoła...

Patelnia Glendy brzęknęła głośno o blachę.

– Dość tego, oboje! Muszę sprzątnąć przed dzienną zmianą i nie chcę, żeby piłka nożna wszystko pobrudziła, jasne? Ty tu zaczekasz, dziewczyno, a ty, Trevor, wracaj do swojej piwnicy i mam nadzieję, że jutro przed wieczorem ta taca wróci do mnie wyszorowana do czysta, bo będziesz musiał u kogo innego żebrać o jedzenie! I zabierz ze sobą swojego małego kolegę! Miło było pana poznać, panie Nutt, choć wo-

lałabym, żeby obracał się pan w lepszym towarzystwie.

Urwała. Nutt wydawał się taki zagubiony i oszołomiony... Na bogów, pomyślała Glenda, znowu się zmieniam w moją mamę...

– Nie, zaczekajcie... – Schyliła się, otworzyła jeden z piekarników i wyjęła następną sporą tacę. Powietrze wypełnił zapach pieczonych jabłek. – To dla pana, panie Nutt, z najlepszymi życzeniami. Musi pan nabrać ciała, bo wiatr pana zdmuchnie. I proszę się nie dzielić z tym łobuzem, łakomy jest jak nie wiem. A teraz muszę sprzątać, więc jeśli nie zamierzacie mi pomóc, chłopcy, to wynocha z mojej kuchni! Aha, i tę tacę też chcę jutro dostać czystą!

Trev chwycił Nutta za ramię.

– Chodźmy. Słyszałeś, co powiedziała.

– Ale ja chętnie pomogę...

– Idziemy!

– Bardzo dziękuję, panienko! – zawołał jeszcze Nutt, wleczony po schodach w dół.

Składając równo ściereczkę, Glenda patrzyła, jak odchodzą.

– Goblin... – mruknęła w zadumie. – Widziałas już kiedy goblina, Julia?

– Co?

– Czy widziałas kiedyś goblina?

– Nie wiem.

– Myślisz, że on jest goblinem?

– Co?

– Pan Nutt. Jest goblinem? Jak myślisz? – powtórzyła Glenda tak cierpliwie, jak tylko potrafiła.

– No to jest takim aliganckim. Znaczy, mówi, jakby czytał książki i w ogóle.

Ta uwaga dowodziła spostrzegawczości laboratoryjnie precyzyjnej – jak na standardy Juliet. Glenda obejrzała się i odkryła, że Juliet coś czyta, a przynajmniej w skupieniu wpatruje się w słowa.

– Co tam masz?

– Nazywa się „BąBelki”. Jest... no, o tym, co robią ważni ludzie.

Glenda spojrzała nad ramieniem przyjaciółki, która przewracała kartki pisma. O ile była w stanie to stwierdzić, wszystkich ważnych ludzi

łączył taki sam uśmiech i tak samo nieodpowiednie dla tej pory roku ubranie.

– A niby dlaczego są ważni? – spytała Glenda. – Tylko dlatego, że są w magazynie?

– Są też wskazówki co do mody – broniła się Juliet. – Patrz, piszą tu, że w tym sezonie nosi się mikrokolczugi z chromu i miedzi.

– To strony dla krasnoludów – westchnęła Glenda. – Zbieraj się. Weź swoje rzeczy, odprowadzę cię do domu.

Juliet nadal czytała, kiedy czekały na konny omnibus. Takie nagłe zainteresowanie drukowanymi stronicami trochę Glendę niepokoiło. Nie chciałyby, żeby przyjaciółce wpadały do głowy jakieś pomysły. Miały tam dość miejsca, by odbijać się dookoła i robić szkody... Sama Glenda czytała jedną ze swoich tanich powieści obłożoną w kartkę z „Pulsu”. Czytała tak, jak koty jedzą – ukradkiem, jakby wyzywała ludzi, by coś zauważyli.

Gdy konie człapały wolno do Sióstr Dolly, wyjęła z torby szalik i z roztargnieniem owinęła go sobie na przegubie. Brak przynależności, zwłaszcza po ważnym meczu, mógł być niebezpieczny dla zdrowia. To ważne, by na własnym terenie nosić właściwe barwy. To ważne, by zaliczać się do swoich.

Z jakiegoś powodu ta myśl przypomniała jej Nutta. I to, jaki był dziwny. Tak jakby brzydki, ale bardzo czysty. Pachniał mydłem i wydawał się zdenerwowany. Było w nim coś niezwykłego...

* * *

Atmosfera w sali klubowej stała się lodowata jak woda z topniejącego śniegu.

– Chce pan powiedzieć, panie Stibbons, że mają nas widzieć, jak uczestniczymy w rozgrywce dla brutalni, prostaków i chuliganów? – oburzył się kierownik studiów nieokreślonych. – To przecież niemożliwe!

– Mało prawdopodobne, owszem. Niemożliwe? Nie – odparł ze znużeniem Myślak.

– Z całą pewnością nie ma takiej możliwości! – oświadczył pierwszy prymus, kiwając kierownikowi głową. – Wymienialibyśmy kopniaki z ludźmi z rynsztoków!

– Mój dziadek zdobył dwa gole w meczu przeciwko Przyćmionej – stwierdził Ridcully spokojnym, rzeczowym tonem. – W tamtych czasach większości przez całe życie nie udało się strzelić nawet jednego. O ile pamiętam, największa liczba goli zdobytych przez jednego człowieka w okresie życia to cztery. To był oczywiście David Likely.

Rozbiegła się fala pospiesznych przemyśleń i zmiany szyków.

– No tak, oczywiście, to inne czasy – przyznał pierwszy prymus, głosem nagle słodkim jak syrop. – Jestem przekonany, że nawet wykwalifikowani robotnicy niekiedy brali w tym udział, dla ducha zabawy.

– Nie byli rozbawieni, kiedy trafili na mojego dziadka – mruknął Ridcully z lekkim uśmiechem. – Walczył o nagrody. Powalał ludzi za pieniądze i bary posyłały po niego, kiedy zdarzyła się jakaś poważna bójka. W pewnym sensie, naturalnie, czyniło je to nawet bardziej niebezpiecznymi, lecz wtedy wszystko już działo się na ulicy.

– Wyrzucał ludzi z budynków?

– O tak. Ale trzeba zaznaczyć, że zwykle z parteru i zawsze najpierw otwierał okna. Jak rozumiem, był człowiekiem niezwykle łagodności. Zarabiał na życie, budując pozytywki, bardzo delikatne; dostawał za nie nagrody. Abstynent, rozumiecie, w dodatku głęboko religijny. Te walki to była dodatkowa praca. Wiem na pewno, że nigdy nie urwał niczego, co nie dałoby się z powrotem przyszyć. Porządny chłop, trudno zaprzeczyć. Niestety, nigdy go nie spotkałem. Zawsze żałowałem, że nie zostawił mi żadnej pamiątki.

Profesorowie jak jeden spojrzeli na potężne dłonie nadrektora. Były rozmiarów patelni. Ridcully zacisnął palce, aż strzeliły kostki. Rozległo się echo.

– Panie Stibbons – rzekł. – Musimy tylko przystąpić do meczu z inną drużyną i przegrać?

– Zgadza się, nadrektorze. Wystarczy poddać mecz.

– Ale przegrana oznacza, że wszyscy zobaczą, jak nie wygrywamy, mam rację?

– Rzeczywiście, tak.

– Uważam zatem, że powinniśmy raczej wygrać. Nieprawdaż?

– Doprawdy, Mustrumie, to się posuwa już zbyt daleko – wtrącił pierwszy prymus.

– Słucham? – Ridcully uniósł brew. – Czy mogę ci przypomnieć, że według statutu uczelni nadrektor uniwersytetu jest pierwszym pośród równych?

– Oczywiście.

– Dobrze. No więc to właśnie ja. Mam wrażenie, że kluczowe jest tu słowo „pierwszy”. Widzę, że pisze pan coś w swoim notesiku, panie Stibbons...

– Tak, nadrektorze. Próbuję sprawdzić, czy poradzimy sobie bez tego legatu.

– Zuch – pochwalił pierwszy prymus, zerkając niechętnie na nadrektora. – Wiedziałem, że nie ma powodów do paniki.

– Właściwie to chciałbym z satysfakcją zapewnić, że zdołamy przetrwać przy minimalnym tylko ograniczeniu wydatków – ciągnął Myślak.

– No właśnie. – Pierwszy prymus spojrzał tryumfalnie na pierwszego pośród równych. – Sami widzicie, że znajdzie się rozwiązanie, jeśli tylko nie zaczniemy panikować.

– Istotnie – przyznał spokojnie Ridcully. Wpatrzony w pierwszego prymusa, dodał: – Panie Stibbons, zechce pan uprzejmie oświecić nas wszystkich i wyjaśnić, co w rzeczywistości oznacza „minimalne ograniczenie wydatków”?

– Legat jest funduszem powierniczym – powiedział Myślak, wciąż coś przeliczając. – Mamy prawo korzystania ze znaczących zysków, jakie niosą bardzo rozsądne inwestycje zarządzających spuścizną Biggerów, choć nie możemy tknąć samego kapitału. Mimo to owe zyski wystarczają na pokrycie... przepraszam za brak precyzji... około osiemdziesięciu siedmiu przecinek cztery procent kosztów wyżywienia uniwersytetu.

Odczekał cierpliwie, aż umilknie gwar. Zadziwiające, myślał, jak ludzie kłóć się z liczbami, mając za podstawę jedynie przekonanie, że „to nie może być poprawne”.

– Jestem pewien, że kwestor nie zgodziłby się z tymi wyliczeniami –

oświadczył kwaśno pierwszy prymus.

– To prawda – przyznał Myślak. – Ale obawiam się, że tylko dlatego, iż przecinek dziesiętny uważa za dokuczliwą niedogodność.

Wykładowcy spojrzeli po sobie nawzajem.

– Więc kto się zajmuje naszymi finansami? – zapytał Ridcully.

– Od zeszłego miesiąca? Ja. Ale z radością przekażę tę odpowiedzialność pierwszemu chętnemu.

To działało. Niestety, zawsze działało.

– W takim razie – podjął wśród nagłego milczenia – korzystając z tabeli kalorycznych, opracowałem system, który każdemu tutaj zagwarantuje trzy pożywne posiłki dziennie...

Pierwszy prymus zmarszczył brwi.

– Trzy posiłki? Trzy posiłki? Co za człowiek je tylko trzy razy dziennie?

– Taki, którego nie stać na dziewięć – odparł spokojnie Myślak. – Możemy domknąć budżet, jeśli skoncentrujemy się na zdrowej diecie złożonej ze zbóż i świeżych warzyw. To nam pozwoli zachować deski serowe z wyborem, powiedzmy, trzech gatunków sera.

– Trzy gatunki sera to nie jest wybór, tylko pokuta! – przeraził się wykładowca run współczesnych.

– Albo też możemy zagrać w piłkę, panowie. – Ridcully z satysfakcją klasnął w dłoń. – Jeden mecz. To wszystko. Czy to aż takie trudne?

– Tak trudne jak twarz z odbitą podeszwą? – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych. – Ludzie bywają wdeptywani w bruk!

– Jeśli wszystko inne zawiedzie, znajdziemy ochotników spośród ciał studenckich – obiecał Ridcully.

– Raczej zwłok...

Nadrektor oparł się na fotelu.

– Co czyni człowieka magiem, panowie? Zdolność używania magii? Tak, oczywiście, ale przy tym stole dobrze wiemy, że dla właściwego typu umysłu nie jest trudna do osiągnięcia. Nie zdarza się, że tak powiem, magicznie. Wielkie nieba, nawet czarownice ją mają. Ale tym, co czyni użytkownikiem magii, jest pewien szczególnie typ umysłu, który nieco głębiej spogląda w świat i w to, jak funkcjonuje, w jaki sposób jego prądy okształkają losy ludzi i tak dalej, i tak dalej. Krótko mówiąc,

powinien być taką osobą, która potrafi sobie wyliczyć, że gwarancja kilku fakultetów warta jest przejechania czasem zębami po bruku.

– Poważnie sugerujesz, że powinniśmy rozdawać stopnie naukowe za zwykłą sprawność fizyczną? – zdumiał się kierownik studiów nieokreślonych.

– Nie, oczywiście, że nie. Poważnie sugeruję, że powinniśmy dawać stopnie naukowe za wybitną sprawność fizyczną. Czy muszę przypominać, że przez pięć lat wiosłowałem dla tego uniwersytetu i zostałem Burym?

– A co ci z tego przyszło, jeśli wolno spytać?

– No cóż, mam na drzwiach wypisane „Nadrektor”. Pamiętacie dlaczego? Senat uniwersytetu w owym czasie przyjął rozsądne założenie, że nadeszła chwila na przywódcę, który nie jest głupi, obłąkany ani martwy. Przyznaję, te talenty nie są właściwymi kwalifikacjami w zwykłym sensie, ale chcę wierzyć, że zdolności przywódcze i taktyczne oraz umiejętność kreatywnych oszustw, jakie zdobyłem na rzece, tutaj również dały mi dobrą pozycję. I tak za moje grzechy, których popełnienia nie pamiętam, ale musiały być dość krępujące, trafiłem na sam szczyt krótkiej listy zawierającej jedno nazwisko. Wspomniał pan o wyborze trzech serów, panie Stibbons?

– Tak, nadrektorze.

– Sprawdziłem tylko. – Ridcully pochylił się. – Panowie, tego ranka... poprawka: później tego ranka proponuję stanowczo poinformować Vetinarię, że uniwersytet ponownie zamierza grać w piłkę. Zadanie to spada na mnie, jako że jestem pierwszym pośród równych. Gdyby jednak któryś z was chciał spróbować szczęścia w Podłużnym Gabinecie, wystarczy powiedzieć.

– Zacznie coś podejrzewać, to pewne – zaniepokoił się kierownik studiów nieokreślonych.

– On podejrzewa wszystko. Dlatego ciągle jest Patrycjuszem. – Ridcully wstał. – Zamykam zebra... znaczy, wydłużoną przekąskę. Panie Stibbons, proszę ze mną.

Myślak ruszył za nadrektorem, przyciskając książki do piersi. Był wdzięczny za pretekst, by zniknąć, zanim wszyscy zwrócą się przeciw niemu. Niosący złe wieści nigdy nie jest popularny, zwłaszcza jeśli nie-

sie je na pustym talerzu.

– Nadrektorze, ja... – zaczął, ale Ridcully uniósł palec do warg.

Po chwili dusznej ciszy nastąpił nagły festiwal odgłosów przepychania, jakby ludzie walczyli ze sobą w milczeniu.

– Nieźle – uznał Ridcully, ruszając w głąb korytarza. – Zastanawiałem się, ile czasu zajmie im zrozumienie, że być może, przez dłuższy czas nie zobaczą już naładowanego wózka przekąsek. Kusi mnie niemal, by poczekać i zobaczyć, jak człapią w obwisłych szatach.

Myślak się zdumiał.

– Pana to bawi, nadrektorze?

– Na bogów, skądże. – Ridcully’emu błysnęły oczy. – Jak może pan coś takiego sugerować? Poza tym za kilka godzin muszę powiedzieć Havelockowi Vetinariemu, że planujemy stać się dla niego osobistą obrazą. Kopiący się po nogach niewykształcony motłoch to inna sprawa. Ale nie wierzę, by ucieszył się perspektywą naszego w tym udziału.

– Oczywiście, nadrektorze. Ehm... Jest jeszcze pewien drobiazg, niewielka zagadka, jeśli pan woli... Kim jest Nutt?

Myślak miał wrażenie, że Ridcully milczał nieco dłużej niż to konieczne, nim zapytał: – A Nutt to...?

– Pracuje przy kadziach ze świecami, nadrektorze.

– Skąd o tym wiesz, Stibbons?

– Przygotowuję listy płac, nadrektorze. Świecowy Walet mówi, że Nutt pojawił się pewnej nocy z karteczką mówiącą, aby go zatrudnić i wypłacać minimalną pensję.

– Tak?

– Nic więcej nie wiem, nadrektorze, a to odkryłem tylko dlatego, że zapytałem Smeemsa. Smeems twierdzi, że to dobry chłopak, tylko trochę jakby dziwny.

– Powinien więc dobrze tu pasować, prawda? Właściwie to sprawdzamy, jak będzie pasował.

– Oczywiście, nadrektorze, żaden kłopot, tylko że on jest goblinem, jak się zdaje, i ogólnie... no wie pan... to już jakby tradycja, że pierwsi ludzie z innych ras, którzy trafiają do miasta, zwykle zaczynają w straży.

Ridcully odchrząknął głośno.

– Kłopot ze strażą, Stibbons, polega na tym, że zadają zbyt wiele

pytań. Sugeruję, byśmy ich nie naśladowali. – Przyjrzał się Myślakowi i zdawało się, że podjął decyzję. – Wie pan, że jest pan ważną postacią na NU.

– Tak, nadrektorze – potwierdził smętnie Myślak.

– Radzę więc, mając to w pamięci, by zapomnieć o panu Nutcie.

– Proszę wybaczyć, nadrektorze, ale to niemożliwe.

Ridcully zatoczył się do tyłu, jakby został niespodziewanie zaatakowany przez zaspaną do tej chwili owcę.

Myślak brnął dalej, bo kiedy człowiek skoczył już z urwiska, jego jedyną nadzieją jest apel o abolicję przyciągania.

– Pełnię na uniwersytecie dwanaście funkcji – oświadczył. – Zajmuję się całą papierkową robotą. Podliczam rachunki. Prawdę mówiąc, robię wszystko, co wymaga choć odrobiny wysiłku i odpowiedzialności! I nadal będę to robił, nawet gdyby ci z Miedzicoła zaproponowali mi stanowisko kustora! I personel! To znaczy ludzi do pomocy. A teraz... czy... może... mi... pan... zaufać? Dlaczego ten Nutt jest taki ważny?

– Ten drań próbował cię skusić?! – zawołał Ridcully. – O ile dotkliwiej niż ukąszenie zjadliwego gada boli niewdzięczność dziekana! Czy przed niczym się nie cofnie? Ile ci...

– Nie pytałem – odparł cicho Myślak.

Nadrektor milczał przez chwilę, po czym kilka razy poklepał go po ramieniu.

– Kłopot z panem Nuttem polega na tym, że ludzie chcą go zabić.

– Jacy ludzie?

Ridcully spojrzał mu w oczy. Potem bezgłośnie poruszył wargami, spoglądając w górę i w dół, jak człowiek wykonujący skomplikowane obliczenia.

Wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie wszyscy – stwierdził.

* * *

– Proszę wziąć jeszcze kawałek mojej wspaniałej szarlotki – zaproponował Nutt.

– Ale ona dała ją tobie – odparł z uśmiechem Trev. – Nie dałaby mi spokoju, gdybym zjadł twoje ciasto.

– Ale jest pan moim przyjacielem, panie Trev. A że to moje ciasto, mogę sam zdecydować, co z nim zrobić.

– Nie – odparł Trev i machnął ręką. – Ale możesz coś dla mnie zrobić za to, że jestem takim dobrym i pobłażliwym szefem, co pozwala ci pracować tyle godzin, ile tylko chcesz.

– Tak, panie Trev? – spytał Nutt.

– Glenda przyjdzie tu koło południa. Uczciwie mówiąc, w ogóle rzadko stąd wychodzi. No więc bym chciał, żebyś poszedł do niej i zapytał, jak ma na imię ta dziewczyna, która tam była dziś w nocy.

– Ta, która na pana krzyczała, panie Trev?

– Ta samiutka.

– Oczywiście, że to zrobię – obiecał Nutt. – Ale czemu sam pan nie zapyta panny Glendy? Zna pana.

Trev znów się uśmiechnął.

– Tak, zna, i dlatego wiem, że nic nie powie. O ile mogę osądzić, a jestem niezłym sędzią, chciałyby lepiej poznać ciebie. Nigdy jeszcze nie spotkałem damy tak dobrej w użalaniu się nad ludźmi.

– Nie ma we mnie wiele do poznawania...

Trev rzucił mu długie, zamyślane spojrzenie. Nutt nie odrywał wzroku od pracy. Trev nie znał nikogo, kto tak łatwo dawał się pochłonać. Inni ludzie, którzy trafiali do kadzi, byli trochę dziwaczni – właściwie można to nawet uznać za wymaganie konieczne. Ale ten mały, ciemnoszary koleś wydawał się jakby dziwaczny w przeciwnym kierunku.

– Wiesz, Nutts, powinieneś częściej stąd wychodzić.

– Och, wcale nie uważam, żeby mi się to podobało – wyznał Nutt. – I chciałbym panu bardzo uprzejmie przypomnieć, że w moim imieniu nie ma s. Byłbym wdzięczny...

– Widziałeś kiedy mecz piłki nożnej?

– Nie, panie Trev.

– No to jutro cię zabiorę. Sam nie gram, oczywiście, ale nigdy nie opuszczam meczu, jeśli naprawdę nie muszę. Żadnej ostrej broni, chyba. Sezon niedługo się zacznie i wszyscy się rozgrzewają.

- No, bardzo to miłe z pana strony, aleja...
- Wiesz co? Wpadnę po ciebie tutaj, na dół, koło pierwszej.
- Ale ludzie będą na mnie patrzeć! – zawołał Nutt.

A w głowie słyszał głos Lady, spokojny i chłodny jak zawsze: „Nie wyróżniaj się. Wtop się w tłum”.

– Nie, nie będą – uspokoił go Trev. – Możesz mi wierzyć. Wszystko załatwię. Smacznego ciasta. Idę.

Z kieszeni kurtki wyciągnął puszkę, upuścił, podrzucił w powietrze, parę razy podbił grzbietem stopy, aż zawirowała i zamigotała niczym jakieś ciało niebieskie, a potem kopnął bardzo mocno tak, że grzechocząc, lekko poszybowała przez wielką, mroczną salę kilka stóp nad kadiami. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wyhamowała lot o kilka stóp przed ścianą, kręciła się przez chwilę, po czym poleciała z powrotem, a zdumionemu Nuttowi zdawało się, że z prędkością jeszcze większą niż poprzednio.

Trev złapał ją bez wysiłku i wcisnął do kieszeni.

– Jak pan to robi, panie Trev? – zapytał oszołomiony Nutt.

– Nigdy się nie zastanawiałem – przyznał Trev. – Ale zawsze mnie dziwi, że inni nie potrafią. Wszystko polega na podkręceniu.

To nietrudne. Zobaczymy się jutro, tak? Nie zapomnij o tym imieniu.

* * *

Jazda konnym omnibusem nie była wiele szybsza od marszu, ale to nie jadący musiał maszerować, miały miejsca siedzące, dach i biletera z toporem, więc ogólnie, w wilgotnych, szarych godzinach przedświt, warto było zapłacić dwa pensy. Glenda i Juliet siedziały obok siebie i kołysały się lekko przy podskokach wozu, zatopione w myślach. A przynajmniej Glenda – Juliet potrafiła zatonać w połówce myśli. Albo i mniej.

Glenda jednak stała się ekspertem w ocenie, kiedy Juliet ma zamiar się odezwać. Było to jak zmysł żeglarza przewidującego zmianę wiatru. Pojawiały się drobne sygnały, jak gdyby myśl musiała najpierw rozgrzać jej śliczny mózdzek i trochę go rozkręcić, zanim cokolwiek się zdarzy.

– Kim był ten chłopak, który przyszedł po zapiekankę? – spytała Juliet nonszalanckim tonem. Albo prawdopodobnie tonem, który uważała za nonszalancki. Czy też uważałaby za nonszalancki, gdyby wiedziała, że istnieje takie słowo.

– To Trevor Likely – odparła Glenda – i nie chcesz mieć z nim nic wspólnego.

– Czemu nie?

– To Ćmok! I uważa się za Twarz. A jego ojcem był wielki David Likely! Twój tato by dostał szału, gdyby się dowiedział, że choćby z nim rozmawiałś.

– Ma ładny uśmiech – stwierdziła Juliet z rozmarzeniem, które u Glendy uruchomiło wszystkie możliwe alarmy.

– To łobuz – oświadczyła twardo. – Nie cofnie się przed niczym. I nie umie trzymać rąk przy sobie.

– A skąd niby to wiesz? – zdziwiła się Juliet.

To była jej kolejna denerwująca cecha. Często przez długie godziny zdawało się, że między tymi perfekcyjnymi uszami nic się nie dzieje, a potem wystrzeliwało takie najeżone kółkami pytanie.

– Wiesz, powinnaś starać się lepiej wyrażać – rzekła Glenda, próbując zmienić temat. – Przy twoim wyglądzie mogłabyś złapać chłopaka, który myśli o czymś więcej niż tylko piwo i piłka. Próbuj mówić bardziej z klasą, co? Nie musisz przecież...

– Moja zapłata, drogie panie?

Uniosły głowy i spojrzały na biletera, który trzymał topór prawie całkiem niegroźnie. Jeśli chodzi o unoszenie głów, nie musiały się specjalnie wysilać – właściciel topora był bardzo niski.

Glenda spokojnie odsunęła ostrze.

– Nie wymachuj tym, Roger. – Westchnęła. – To nie robi wrażenia.

– Och, przepraszam, panno Glendo. – Krasnolud się zawstydził, widoczna zza brody część twarzy poczerwieniała. – Mam za sobą długą zmianę. Należą się cztery pensy, moje panie. Przepraszam za ten topór, ale miewamy tu ludzi, którzy wyskakują bez płacenia.

– Powinno się go odesłać tam, skąd pochodzi – mruknęła Juliet, kiedy bileter odszedł.

Glenda wołałaby nie reagować. O ile mogła to stwierdzić, przy-

najmniej do dzisiaj, jej przyjaciółka nie miała własnych opinii i zwyczajnie powtarzała to, co powiedzieli jej inni. Ale jednak nie mogła się powstrzymać.

– Znaczy, na Kopalni Melasy. Urodził się w mieście.

– Czyli fan Kopalniaków? No, mogłoby być gorzej.

– Nie wydaje mi się, żeby krasnoludy interesowały się piłką nożną – stwierdziła Glenda.

– A mnie się nie wydaje, co by można być prawdziwym Morporczykiem i nie kibicować swojej drużynie.

To kolejna wytarta mądrość ludowa zapamiętana przez Juliet. Glenda postanowiła zostawić ją bez odpowiedzi. Czasami dyskusja z przyjaciółką przypominała boksowanie mgły. Poza tym człapiące konie pracowicie mijały właśnie ich ulicę. Obie wysiadły więc w biegu.

Drzwi domu Juliet pokrywały starożytne pozostałości licznych warstw farby, która przez lata pośladowała się w niewielkie wzgórki. Zawsze była to najtańsza dostępna. W końcu człowiek może sobie pozwolić albo na piwo, albo na farbę, a farby nie da się wypić, chyba że jest się panem Johnsonem spod czternastki, który wyraźnie pił ją przez, cały czas.

– Nie powiem twojemu tacie, że się dzisiaj spóźniłaś – obiecała Glenda, otwierając przyjaciółce drzwi. – Ale jutro przyjdź wcześniej, dobrze?

– Tak, Glendo – odpowiedziała pokornie Juliet.

– I nie myśl o Trevorze Likelym.

– Tak, Glendo.

Ton był pokorny, ale Glenda rozpoznała iskrę. Kiedyś widziała ją w lustrze.

Teraz jednak przygotowała wczesne śniadanie dla wdowy Crowdy, która mieszkała w domu po drugiej stronie ulicy i ostatnio nie mogła za dużo chodzić, usadowiła ją wygodnie, posprzątała trochę w coraz jaśniejszym świetle dnia i w końcu poszła spać.

Jej ostatnia myśl – zanim rzuciła się w sen – brzmiała: Gobliny kradną kury? Zabawne, nie wyglądał na takiego.

O wpół do ósmej obudził ją sąsiad, rzucając żwirem w okno. Chciał, by obejrzała jego ojca, którego stan opisał jako „marny”. I tak zaczął się

dzień. Nigdy nie musiała kupować budzika.

* * *

Dlaczego inni ludzie potrzebowali tyle snu? Dla Nutta stanowiło to wieczną zagadkę. A sam zaczynał się nudzić.

Jeszcze w zamku w Überwaldzie zawsze był ktoś, z kim mógł porozmawiać. Lady lubiła czas mroku i w ogóle nie wychodziła na słońce, więc goście przybywali nocą. Nie mógł się pokazywać, oczywiście, ale znał przejścia w murach i wszystkie tajemne wizjery. Widywał eleganckich dżentelmenów, zawsze w czerni, i krasnoludy w żelaznych zbrojach, które błyszczały jak złoto (później, w swojej piwnicy pachnącej solą i burzą z piorunami, Igor pokazał mu, jak się je robi). Bywały też trolle – wydawały się bardziej cywilizowane od tych, przed którymi nauczył się uciekać w lesie. Zapamiętał zwłaszcza jednego, który błyszczał jak klejnot (Igor mówił, że ma skórę z żywego diamentu). Już samo to by wystarczyło, żeby na zawsze wkleić go do wspomnień Nutta, ale był jeszcze ten moment, kiedy pewnego dnia diamentowy troll siedział przy stole z innymi trollami i krasnoludami, i nagle diamentowe oczy skierowały się w górę i zobaczyły Nutta wyglądającego przez malutki, ukryty otwór na drugim końcu komnaty. Nutt był tego pewien. Odskoczył tak gwałtownie, że walnął tyłem głowy o ścianę.

Z czasem poznawał wszystkie zakątki w podziemiach i warsztatach zamku Lady. „Możesz chodzić, gdzie tylko zechcesz, i rozmawiać z każdym... Pytaj o wszystko, a otrzymasz odpowiedź. Kiedy zechcesz się uczyć, będziesz nauczony. Korzystaj z biblioteki. Otwieraj dowolne książki”.

To były dobre czasy. Gdziekolwiek poszedł, ludzie przerywali pracę, by mu pokazać, jak się struga i rzeźbi, formuje, odlewa i wytapia żelazo, wykuwa podkowy – ale nie jak się je przybija, bo konie dostawały szału, kiedy tylko wchodził do stajni. Jeden wykopał kiedyś deski ze ściany za sobą.

Tego szczególnego popołudnia Nutt poszedł do biblioteki, gdzie panna Healstether znalazła mu książkę o zapachach. Przeczytał ją tak

szybko, że wzrok powinien chyba zostawić bruzdy na papierze. Z pewnością zostawił ślad w bibliotece: dwadzieścia dwa tomy „Śniadaniowego kompendium zapachów” leżały wkrótce na długim pulpicie, a obok nich „Fanfara hippiki” Spouta. Potem, zbaczając do działu historycznego, Nutt zanurkował w sekcji folkloru; panna Healstether pedałowała za nim na ruchomej bibliotecznej drabince.

Obserwowała go z pełnym satysfakcji podziwem. Kiedy tu przybył, ledwie potrafił czytać, ale wziął się do doskonalenia tej sztuki tak, jak bokser ćwiczy przed walką. I rzeczywiście z czymś walczył, choć nie wiedziała, co to takiego, a oczywiście Lady niczego nie tłumaczyła. Siadywał nocami przy lampie, z książką, która go zaciekała, słownikiem i tezaurem po bokach, wyciskając znaczenie z każdego słowa, bez wytchnienia atakując własną ignorancję.

Kiedy wróciła następnego ranka, na pulpicie leżał też słownik krasnoludziego oraz „Mowa trolli” Postalume’a.

Przecież nie powinno się tak uczyć, mówiła sobie. Wiedza tak się nie utrwała. Nie można ładować jej do głowy niczym widłami. Wiedzę należy przetrawić. Nie wystarczy poznać, trzeba jeszcze zrozumieć.

Wspomniała o tym Fasselowi, kowalowi.

– Wie panienka – odparł – on przyszedł do mnie niedawno i powiedział, że przyglądał się już kowalstwu i czy może spróbować. Znam rozkazy Lady, no to dałem mu kawałek sztaby, pokazałem młot i obcęgi, a minutę później walił już... no, jak młotem. I zrobił całkiem ładny nóż, naprawdę ładny. On myśli. Widać prawie, jak ten jego brzydki mały rozumek wszystko rozgryza. Spotkała pani kiedy goblina?

– Dziwne, że pan pyta – odrzekła. – Według naszego katalogu mamy tu jeden z bardzo niewielu egzemplarzy dzieła J. P. Bunderbella „Pięć godzin i szesnaście minut wśród goblinów Dalekiego Überwaldu”, ale nigdzie nie mogę go znaleźć. Jest bezcenny.

– Pięć godzin i szesnaście minut to chyba nie za długo – zauważył kowal.

– Można tak pomyśleć, prawda? Ale podczas odczytu, jaki wygłosił w Towarzystwie Intruzów⁶, i tak było to jakieś o pięć godzin za długo –

⁶ Oryginalnie: Towarzystwo Odkrywców, do chwili kiedy lord Vetinari stanowczo oświadczył, że większość miejsc „odkrytych” przez członków Towarzystwa miała

wyjaśniła panna Healstether. – Stwierdził, że różnią się rozmiarami od nieprzyjemnie wielkiego do obrzydliwie małego, mają mniej więcej taki poziom kultury jak jogurt, a cały czas próbują dłużyć w nosie, ale nie mogą trafić. Absolutna strata miejsca, jak stwierdził. Spowodował tym spore poruszenie. Antropolodzy nie powinni tak pisać.

– I młody Nutt jest jednym z nich?

– Tak. Też nie mogę tego pojąć. Widział go pan wczoraj? Ma w sobie coś takiego, co przeraża konie, więc przyszedł do biblioteki i znalazł starą książkę o Słowie Jeźdźca. To było takie jakby tajne stowarzyszenie, które wiedziało, jak robić specjalne olejki, żeby konie ich słuchały. Potem spędził wieczór w krypcie Igora i warzył tam bogowie jedni wiedzą co, a dziś rano jeździł konno po dziedzińcu. Koń nie był zachwycony, przyznaję, ale chłopak wygrywał!

– Dziwię się, że ta jego brzydka mała głowa nie wybuchnie – mruknął Fassel.

– Ha! – rzuciła z goryczą panna Healstether. – W takim razie niech pan lepiej uważa, bo odkrył Szkołę Bzykalną.

– Co to takiego?

– To nie coś, tylko oni. Filozofowie. Chociaż... Mówię „filozofo-
wie”, ale tak naprawdę...

– Ach, ci świńscy... – domyślił się Fassel.

– Nie nazwałabym ich świńskimi – oburzyła się panna Healstether i to była prawda. Dobrze wychowana bibliotekarka nie używa takich słów w obecności kowala, zwłaszcza takiego, który się uśmiecha. – Powiedzmy: niedelikatni, zgoda?

Delikatność rzadko jest wymagana przy kowadle, więc Fassel kontynuował niezmiennie:

– To ci, którzy piszą, co się dzieje, jeśli damy jedzą za mało baraniny; uważają, że cygara są...

– To grzech!

– Zgadza się, tak właśnie słyszałem. – Kowal wyraźnie dobrze się bawił. – I Lady pozwala mu czytać takie książki?

– Istotnie; właściwie niemal nalega. Nie mogę zrozumieć, co sobie myśli.

już swoich mieszkańców, którzy próbowali sprzedawać przybyszom węże.

Ani ona, ani on, jeśli już o tym mowa, pomyślała jeszcze.

* * *

Istniało pewne ograniczenie na liczbę świec, które Nutt mógł przygotować. Tak mówił Trev. Źle by wyglądało, gdyby zrobił zbyt wiele, tłumaczył. Szpiczaste kapelusze mogłyby uznać, że nie potrzebują tylu ludzi. Dla Nutta miało to sens. Co zrobiłby Bez Twarzy, Beton albo Mazgaj Mukko? Nie mieli dokąd pójść. Musieli żyć w prostym świecie, gdyż ten normalny zbyt mocno w nich uderzał.

Nutt próbował czasem zaglądać do innych piwnic, ale nocą nic specjalnego się tam nie działo, a ludzie patrzyli na niego dziwnie. Tutaj nie rządziła Lady. Ale magowie byli dość bałaganiarską grupą, a nikt, kto za bardzo sprzątał, nie przeżył, by o tym opowiedzieć, więc w jego użytkowanie dostały się wszelkiego rodzaju stare magazyny i warsztaty pełne gratów. A to bardzo wiele jak na chłopca ze zdolnością widzenia w ciemności. Widział już grupę świecących łyżeczkowych mrówek niosących widelec; odkrył też – ku swemu zaskoczeniu – że zapomniane labirynty były siedliskiem bardzo rzadkiego domożercy, niepospolitego pożeracza skarpet. W rurach jakieś istoty pomrukiwały niekiedy „Aik! Aik!”. Któż wie, jakie dziwne monstra mogły tam mieszkać?

Bardzo starannie umył talerz po cieście. Glenda była dla niego dobra. Musi pokazać, że też się stara. To ważne, by być grzecznym. A wiedział, gdzie można znaleźć trochę kwasu.

* * *

Osobisty sekretarz lorda Vetinariego wszedł do Podłużnego Gabinetu, niemal nie zakłócając bezruchu powietrza. Jego lordowska mość uniósł głowę.

– A, Drumknott. Chyba znowu będę musiał napisać do „Pulsu”. Jestem pewien, że jeden pionowo, sześć poziomo i dziewięć pionowo

pojawiły się już w tej samej kombinacji trzy miesiące temu. W piątek, o ile pamiętam. – Z wyrazem niesmaku rzucił na biurko stronę z krzyżówką. – Taka to wolna prasa.

– Brawo, wasza lordowska mość. Nadrektor właśnie wszedł do pałacu.

Vetinari uśmiechnął się lekko.

– Musiał wreszcie popatrzeć w kalendarz. Dzięki bogom, że mają tam Myślaka Stibbonsa. Wprowadź go od razu po zwyczajowym oczekiwaniu.

Pięć minut później Mustrum Ridcully znalazł się w gabinecie.

– Nadrektorze! Jakiejż to pilnej sprawie zawdzięczam pańską wizytę? Nasze zwykłe spotkanie powinno się odbyć dopiero pojutrze, o ile się nie mylę.

– Eee... No tak – przyznał Ridcully. Kiedy usiadł, natychmiast stanął przed nim duży kieliszek sherry⁷. – No cóż, Havelocku, wyniknęła...

– Ale to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że zjawił się pan akurat dzisiaj – ciągnął Vetinari, nie zwracając na niego uwagi. – Pojawił się bowiem pewien problem i chętnie wysłucham pańskiej rady.

– Och? Naprawdę?

– W samej rzeczy. Dotyczy on tej nieszczęsnej gry w kopanie piłki.

– Dotyczy?

Kieliszek w dłoni Ridcully’ego nawet nie drgnął. Nadrektor od bardzo dawna wykonywał swoją pracę – jeszcze od czasów, kiedy ten, co mrugnął pierwszy, umierał.

– Trzeba iść z duchem czasów... – Patrycjusz pokręcił głową.

– Staramy się tego nie robić na ogół – odparł Ridcully. – To go tylko rozzuchwala.

– Ludzie często nie rozumieją ograniczeń tyranii – stwierdził Vetinari, jakby mówił do siebie. – Wydaje im się, że skoro mogą robić, co chcą, to mogą robić, co chcą. Wystarczy chwilę się zastanowić, by zrozumieć, że to niemożliwe.

– Och, tak samo jest z magią – zgodził się nadrektor. – Jeśli człowiek ciska czarami, jakby jutro miało nie nastąpić, istnieje spora szansa, że tak właśnie będzie.

⁷ Niektórzy twierdzą, że nie powinno się pić sherry wcześniej rano. Mylą się.

– Krótko mówiąc – podjął Vetinari, nadal zwracając się do powietrza – zamierzam udzielić swojego błogosławieństwa grze w piłkę nożną, w nadziei że jej ekscesy można będzie staranniej kontrolować.

– Udało się to z Gildią Złodziei – zauważył Ridcully, zdumiony własnym spokojem. – Jeśli już występuje przestępczość, lepiej niech będzie to przestępczość zorganizowana. Tak chyba się pan wyraził.

– Właśnie. Muszę się przyznać do poglądu, że wszelkie ćwiczenia fizyczne w dowolnym celu oprócz dbałości o zdrowie ciała, obrony kraju i odpowiedniego funkcjonowania jelit są barbarzyństwem.

– Naprawdę? A rolnictwo?

– Obrona kraju przed głodem. Ale nie widzę sensu w tym, że ludzie po prostu biegają dookoła. A przy okazji, złapaliście swojego Megapoda?

Jak on to robi, do wszystkich demonów? – zastanowił się Ridcully. No jak? A głośno powiedział:

– Istotnie złapaliśmy, ale nie sugeruje pan chyba, że po prostu „biegaliśmy dookoła”?

– Ależ skąd. Stosują się tu wszystkie trzy wyjątki. Tradycja jest co najmniej tak samo ważna jak jelita, nawet jeśli mniej użyteczna. Warto zauważyć, że Rozrywka Chłopców Ubogich ma własną niezwykłą tradycję, niektórzy mogą uznać ją za wartą zbadania. Będę szczery, Mustrumie. Nie mogę wbrew naciskom społeczeństwa narzucać praw wynikających ze zwykłej osobistej niechęci. Właściwie mogę, formalnie biorąc, ale nie bez stosowania śmiesznych i rzeczywiście tyrańskich działań. Ale z powodu gry? Raczej nie. Zatem... w tej chwili widuje się zespoły krzepkich mężczyzn, którzy popychają się, szturchają, gryzą i kopią z nikłą nadzieją, jak rozumiem, dorzucenia jakiegoś nieszczonego przedmiotu do dalekiego celu. Nie mam nic przeciw temu, że próbują się nawzajem pozabijać, jako że trudno znaleźć jakieś wady takich działań. Ale gra zyskała ponownie taką popularność, że zdarzają się uszkodzenia mienia, a to niedopuszczalne. Były na ten temat komentarze w „Pulsie”. Nie... Czego człowiek mądry nie może zmienić, tym musi pokierować.

– A jak ma pan zamiar tego dokonać?

– Przekazując to zadanie panu. Niewidoczny Uniwersytet zawsze pielęgnował zdrowe sportowe tradycje.

– Słusznie użył pan czasu przeszłego – westchnął Ridcully.

– Za moich czasów byliśmy tak... nieugięcie fizyczni. Ale dzisiaj, gdybym zaproponował choćby zwykły wyścig z jajkiem na łyżce, użyłby łyżki, żeby zjeść jajko.

– Nie wiedziałem, że pańskie czasy już minęły, Mustrumie – rzucił Vetinari z lekkim uśmiechem.

Gabinet, nigdy nie hałaśliwy, osunął się głębiej w ciszę.

– Proszę posłuchać... – zaczął Ridcully.

– Dziś po południu będę rozmawiał z wydawcą „Pulsu” – rzekł Vetinari, z talentem urodzonego manipulatora komitetów delikatnie wznosząc głos ponad głosem maga. – Jak wiemy, jest człowiekiem dbającym o sprawy społeczne. Na pewno spodoba mu się, że zwracam się do uniwersytetu, by poskromił demona kopania piłki, i że pan, po starannym namyśle, wyraził zgodę.

Nie muszę tego robić, myślał Ridcully. Z drugiej strony, ponieważ tego właśnie chcę, a zatem nie muszę prosić, byłoby to nierozsądne. Niech to licho! Z nim zawsze tak jest!

– Nie będzie pan się sprzeciwiał, jeśli wystawimy własną drużynę? – zapytał niepewnie.

– Więcej, będę się domagał, byście to zrobili. Ale żadnej magii, Mustrumie. Muszę to wyraźnie zaznaczyć. Magia jest niesportowa, chyba że gracie przeciwko innym magom, naturalnie.

– Och, jestem człowiekiem o wybitnie sportowym duchu, Have-locku.

– Znakomicie! A przy okazji, jak układa się dziekanowi w Miedziczo?

Gdyby pytał ktokolwiek inny, Ridcully uznałby, że to tylko uprzejme zainteresowanie. Ale to przecież Vetinari...

– Miałem za dużo zajęć, by to sprawdzić – rzucił lekko. – Ale na pewno świetnie sobie poradzi, kiedy tylko stanie już mocno na nogach.

Albo kiedy mu się je uda zobaczyć bez lustra, dodał w myślach.

– Na pewno jest pan zadowolony, widząc, jak dawny przyjaciel i kolega robi karierę w świecie – stwierdził niewinnym tonem Vetinari. – Oczywiście, samo Pseudopolis też jest zadowolone. Muszę przyznać, że podziwiam tamtejszych solidnych mieszczan za to, że podjęli szlachetny

eksperyment z tą... tą demokracją – ciągnął.

– Zawsze przyjemnie jest popatrzeć, że ludzie znowu próbują. Czasami też zabawnie.

– Sporo jednak za nią przemawia, wie pan – mruknął Ridcully.

– Tak, słyszałem, że uprawiacie ją na uniwersytecie. – Patrycjusz uśmiechnął się dyskretnie. – Jednakże w kwestii piłki nożnej panuje między nami pełna zgoda. Kapitalnie. Poinformuję pana de Worde, co robicie. Z pewnością zapaleni gracze zainteresują się tym, kiedy tylko ktoś im wytłumaczy trudne słowa. Doskonale. Ale proszę skosztować sherry. Mówiono mi, że jest bardzo przyjemna w smaku.

Vetinari wstał – co w teorii oznaczało, że spotkanie dobiegło końca. Przeszedł wolno do wypolerowanego kamiennego bloku ułożonego na kwadratowym drewnianym stoliku.

– A zmieniając temat, Mustrumie... Jak tam wasz młody gość?

– Nasz gość...? Ach, chodzi o... hm...

– Zgadza się. – Vetinari uśmiechnął się do kamienia, jakby dzielił z nim jakiś żarcik. – O tego, jak pan to określił, Hm.

– Dostrzegam sarkazm. Jako mag muszę przypomnieć, że słowa mają moc.

– Jako polityk muszę zaznaczyć, że już to wiem. Jak mu się układa? Zainteresowane umysły chciałyby wiedzieć.

Ridcully rzucił okiem na rzeźbionych ludzików ustawionych na bloku do gry, całkiem jakby one też go słuchały. W pewien pośredni sposób pewnie tak było. Wszyscy chyba słyszeli, że ręce, które kierowały połową figur na płycie, mieszkają w wielkim zamku w Überwaldzie, były kobiece i należały do damy będącej głównie legendą.

– Smeems twierdzi, że jest dosyć zamknięty w sobie. Uważa, że chłopak jest chytry.

– To dobrze – uznał Vetinari. Wciąż się wydawało, że w układzie figur dostrzega coś niezwykle interesującego.

– Dobrze?

– W Ankh-Morpork potrzebujemy takich ludzi. Mamy nawet ulicę Chytrych Rzemieślników, prawda?

– No tak, ale...

– Ach, więc to kontekst ma moc... – Vetinari odwrócił się z wyrazem

nieskrywanego zadowolenia. – Czy wspomniałem, że jestem politykiem? Chytry, zręczny, przebiegły, podstępny, bystry, przenikliwy, sprytny, zawsze na miejscu czy też wszechstronny. Słowo wyrażające dowolną pochwałę i dowolne uprzedzenie. Chytry... bardzo chytre słowo.

– Nie wydaje się panu, że ten pański... eksperyment może się posuwać o krok za daleko? – spytał Ridcully.

– To samo mówiono o wampirach, nieprawdaż? Rzekomo nie posiadają własnego języka, ale słyszałem, że on włada płynnie kilkoma.

– Smeems rzeczywiście opowiadał, że mówi jak „ladida”.

– Mustrumie, w porównaniu z Natchbullem Smeemsem trolle mówią jak „ladida”.

– Ten... chłopiec został tu przyprowadzony przez jakiegoś kapłana. To wiem – rzekł Ridcully. – Ale kim zostanie, kiedy dorośnie?

– Z tego, co o nim słyszę, zapewne profesorem lingwistyki.

– Wie pan, o co mi chodzi, Havelocku.

– Niewykluczone, choć zastanawiam się, czy pan wie. Jednakże, jak przypuszczam, niewielka jest szansa, by sam jeden stał się wściekłą hordą.

Ridcully westchnął. Znowu zerknął na grę, co Vetinari zauważył.

– Proszę na nie spojrzeć. Rzędy i szeregi – rzekł, machając dłonią nad kamiennymi figurkami. – Zwarci w wiecznym starciu i kierowani kaprysem gracza. Walczą, padają i nie mogą zawrócić, gdyż baty pędzą ich naprzód, a wszystko, co znają, to te baty. Zabijaj albo giń. Ciemność przed nimi, ciemność za nimi i baty w głowach. Ale gdyby można było zdjąć z planszy jeden pionek, zabrać go, nim pozna baty, przenieść do miejsca bez batów... czym mógłby się stać? Jedno stworzenie. Jedna samotna istota. Czy odmówi im pan tej szansy?

– W zeszłym tygodniu kazał pan powiesić trzech ludzi – przypomniał Ridcully, nie całkiem wiedząc dlaczego.

– Oni mieli szansę. Wykorzystali ją, by zabijać albo i gorzej. Wszystko, na co możemy liczyć, to szansa. Nie dostajemy błogosławieństwa. On był przez siedem lat przykuty do kowadła. Powinien dostać swoją szansę, nie sądzi pan?

I nagle Vetinari znów się uśmiechnął.

– Ale nie wpadajmy w posępny nastrój. Nie mogę się już doczekać, aż wprowadzi pan nas w nową erę zdrowej, ożywczej aktywności według najlepszych sportowych tradycji. Tradycja będzie tu nawet waszym przyjacielem, jestem o tym przekonany. Proszę mi nie pozwalać dłużej zajmować pańskiego czasu.

* * *

Tylko krótki spacer dzielił pałac od Niewidocznego Uniwersytetu – ośrodki władzy lubią mieć się wzajemnie na oku.

Ridcully szedł pieszo wśród tłumu przechodniów. Od czasu do czasu kiwał głową ludziom, których znał; do tej grupy należeli – w tej części miasta – praktycznie wszyscy.

Trolle, myślał. Spokojnie żyjemy obok trolli, zwłaszcza odkąd pamiętają, żeby uważać, gdzie stawiają nogi. Mamy ich w Straży Miejskiej i w ogóle. Całkiem porządne typy, oprócz paru zgniłych jabłek, ale bogowie świadkami, że i wśród nas takich nie brakuje. Krasnoludy? Są tu od wieków. Bywają chytre, bywa, że próbują walić człowieka jak w kaczy kuper... w tym miejscu zastanowił się chwilę i poprawił tę myśl na „twardo się targują”. Z nimi człowiek zawsze wie, na czym stoi. Oczywiście są niskie, a to zawsze wygodniej, pod warunkiem że się wie, co robią tam w dole. Wampiry? No cóż, Überwaldzka Liga Wstrzemięźliwości działa skutecznie. Po mieście krążą pogłoski – a przynajmniej po piwnicach czy gdzie tam jeszcze – że dobrze pilnują swoich. Każdy niezreformowany krwiopijca, który spróbowałby łowów w mieście, był ścigany przez takich, którzy dokładnie wiedzieli, w jaki sposób myśli i gdzie się chowa.

Za tym wszystkim stoi lady Margolotta. To ona była osobą, która – drogą dyplomacji i prawdopodobnie bardziej bezpośrednich metod – pchnęła Überwald drogą postępu; łączył ją też jakiś... związek z Vetinarim. Wszyscy o tym wiedzieli i nie wiedzieli nic więcej. Jakiś kropka kropka kropka związek. Jeden z takich. I nikt nie był w stanie tych kropek połączyć.

Odwiedzała miasto z wizytami dyplomatycznymi i nawet zapra-

wione w takich sprawach ankhmorporskie wdowy nie zdołały wykryć choćby szeptanych plotek o czymkolwiek poza rzeczową uprzejmością i międzynarodową współpracą tych dwojga.

Poprzez system sekarów prowadził też z nią nieskończoną i złożoną grę, a poza tym... to było tyle. Aż do teraz.

Przysłała mu Nutta. Pod opiekę. Któż znał przyczyny oprócz nich? Polityka najpewniej.

Ridcully westchnął. Jeden z potworów, całkiem samotny... Trudno to sobie wyobrazić. Zawsze pojawiali się tysiącami, zabijali wszystko i zjadali trupy, także swoich. Imperium Zła hodowało ich w wielkich lochach – szare demony bez piekła.

Bogowie tylko wiedzieli, co się z nimi stało, kiedy imperium runęło. Ale istniały przekonujące dowody, że przynajmniej część nadal żyła gdzieś w dalekich górach. Co mogą zrobić? Jeden w tej chwili robił świece w piwnicach u Ridcully'ego. Kim się stanie?

– Paskudnym kłopotem? – rzekł głośno.

– Zara, kogo pan nazywasz kłopotem, szefuniu? To moja droga, tak samo jak pana.

Mag spojrzał w dół na młodego człowieka, który wyglądał, jakby kradł ubranie tylko z najlepszych sznurów, choć wystrzępiona czarno-czerwona chusta na szyi zapewne należała do niego. Była w nim jakaś nerwowość, nieustanne przenoszenie ciężaru ciała, jakby lada moment miał się rzucić do ucieczki w nieprzewidywalnym kierunku. Cały czas podrzucał i łapał pustą puszkę. W Ridcullym wzbudziło to wspomnienia tak wyraźne i ostre, że aż zakłuły. Opanował się jednak.

– Jestem Mustrum Ridcully, nadrektor i profesor Niewidocznego Uniwersytetu, młody człowieku. I widzę, że nosisz sportowe barwy. Jakiejś drużyny? Może piłkarskiej?

– Tak się składa, że tak. I co z tego? – odparł urwis.

I wtedy spostrzegł, że jego dłoń jest pusta, choć zgodnie z normalnymi prawami grawitacji powinna być znowu pełna. Puszka nie opadła po ostatnim wzlocie, ale obracała się wolno na wysokości dwudziestu stóp.

– Trochę to dziecinne, wiem – przyznał Ridcully. – Ale chciałem, żebyś uważnie mnie słuchał. Chciałbym być świadkiem gry w piłkę

nożną.

– Świadkiem? Słuchaj pan, niczego żem nie widział...

Ridcully westchnął.

– To znaczy, że chcę obejrzyć mecz, jasne? Dzisiaj, jeśli to możliwe.

– Pan? Powaga? To będzie pański pogrzeb, szefuniu. Masz pan szylinga?

Wysoko w górze rozległo się brzęknięcie.

– Puszka spadnie na dół z sześciopensówką w środku. Czas i miejsce poproszę.

– Skąd wiem, że można panu wierzyć? – zapytał urwis.

– Nie mam pojęcia – wyznał Ridcully. – Subtelne funkcje mózgu dla mnie też są zagadką. Ale cieszę się, że tak uważasz.

– Co?

Po chwili jednak chłopak wzruszył ramionami i postanowił zaryzykować. Zwłaszcza że nie jadł dziś śniadania.

– Zapętlony Zaulek przy Szorach, punkcik pierwsza i żem cię w życiu nie widział, szefuniu. Jasne?

– To całkiem prawdopodobne – zgodził się Ridcully i pstryknął palcami.

Puszka opadła na wyciągniętą dłoń urwisa, który wytrząsnął z niej srebrną monetę i wyszczerzył zęby.

– No to szczęścia życzę, szefuniu.

– Czy na tych imprezach jest coś do jedzenia? – zapytał jeszcze Ridcully, dla którego czas obiadu był sakramentem.

– Są zapiekanki, szefuniu, pudding groszkowy, zapiekanki z ziemniaków, i z homarem też zapiekanki, ale to głównie same zapiekanki, znaczy. Gołe zapiekanki. Z zapiekankowego ciasta.

– Jakiego rodzaju?

Jego informator wyglądał na zaszokowanego.

– To przecież zapiekanki, szefuniu. Nie pytasz.

Ridcully pokiwał głową.

– I jeszcze ostatnia propozycja. Dam ci pensa za prawo kopnięcia twojej puszk.

– Dwa – odparł natychmiast chłopiec.

– Ty mały łobuzie... No dobra, umowa stoi.

Ridcully opuścił puszkę na czubek buta, przez chwilę nią balansował, podrzucił w powietrze, a kiedy spadała, trafił ją kopniakiem z półobrotu. Wirując, poleciała nad tłumem.

– Całkiem nieźle, dziadku – pochwalił dzieciak z uśmiechem.

Z oddali dobiegł krzyk i tupanie kogoś pragnącego zemsty.

Ridcully sięgnął szybko do kieszeni i spojrzał w dół.

– Dwa dolary, jeśli zaczniesz uciekać, mały. Lepsza oferta ci się dzisiaj nie trafi.

Chłopiec zaśmiał się, chwycił monetę i pognał przed siebie. Ridcully odszedł z godnością, a lata znowu opadły na niego niczym śnieg.

* * *

Myślak Stibbons przypinał jakąś kartkę na tablicy przed Głównym Hollem. Często to robił. Ridcully zakładał, że jakoś poprawia mu to samopoczucie. Klepnął go w ramię, przez co Myślak rozrzucił po posadzce wszystko, co trzymał w dłoni.

– To biuletyn z Komitetu Bezpieczeństwa Ankh, nadrektorze – wyjaśnił Stibbons, próbując wyłapać toczące się wszędzie zagubione pinezki.

– Jesteśmy na magicznym uniwersytecie. Bezpieczeństwo nas nie dotyczy. Samo bycie magiem jest niebezpieczne i tak właśnie być powinno.

– Tak, nadrektorze.

– Ale na twoim miejscu pozbierałbym te wszystkie pinezki. Nigdy dość ostrożności. Powiedz, czy nie mieliśmy tu kiedyś szefa sportu?

– Tak, nadrektorze. Evans Pasiasty. Zniknął, o ile pamiętam, jakieś czterdzieści lat temu.

– Zabity? Wiesz, to były czasy, kiedy ludzie szli do zaszczytów po trupach.

– Nie wyobrażam sobie, kto chciałby przejąć jego stanowisko. Zdaje się, że wyparował pewnego dnia w czasie robienia pompek w Głównym Holu.

– Wyparował? Co to za śmierć dla maga? Porządny mag umarłby ze

wstydu, gdyby tak sobie wyparował. Zawsze coś po sobie zostawiamy, nawet jeśli tylko dym. Ale co tam... Gdy przyjdzie godzina próby, zjawi się... to, co się zjawia. Zjawisko jakieś, prawdopodobnie. A co robi ostatnio ta wasza myśląca machina?

Myślak się rozpromienił.

– Z przyjemnością informuję, panie nadrektorze, że HEX właśnie odkrył nową cząstkę. Przemieszcza się szybciej niż światło w dwóch kierunkach jednocześnie!

– Czy możemy ją skłonić, żeby robiła coś ciekawego?

– Ależ tak! Całkowicie roznosi teorię transkongruencji Spolwhittle’a!

– Świetnie – ucieszył się Ridcully. – Ważne, że coś roznosi. A skoro już rozniosła, proszę ją skierować do poszukiwania Evansa albo odpowiedniego następcy. Szefowie sportu są cząstkami całkiem elementarnymi, więc nie powinno to być trudne. I proszę za dziesięć minut zwołać posiedzenie senatu. Będziemy grać w piłkę!

* * *

Prawda jest kobietą, albowiem prawda to piękno, a nie przystojność, myślał sobie Ridcully, gdy senat zajmował miejsca, pomrukując przy tym niechętnie. To dobrze tłumaczy powiedzenie, że kłamstwo może cały świat oblecieć, zanim prawda włoży buty. Musi przecież zdecydować, którą parę włożyć – pomyślał, że kobieta z taką pozycją miałaby tylko jedną, wykracza poza granice racjonalnej wiary. Właściwie, jako bogini, ma na pewno wiele par i tyleż wyborów: wygodne buty dla prostych, domowych prawd, podkute i ciężkie dla prawd nieprzyjemnych, proste chodaki dla prawd uniwersalnych i może też jakieś klapki dla prawd oczywistych. Ale w tej chwili ważniejsze było, jaki rodzaj prawdy Ridcully zamierza przekazać swoim kolegom. Zdecydował się nie na całą prawdę, ale na nic tylko prawdę, co pozwalało zrezygnować ze szczerości.

– No mów! Co powiedział?

– Poddął się rozsądnym argumentom.

- Naprawdę? Gdzie jest haczyk?
- Nie ma. Ale chce, żeby reguły były bardziej tradycyjne.
- Niemożliwe! Przecież już teraz są prawie prehistoryczne!
- I chce, żeby uniwersytet tym wszystkim pokierował, i to szybko.

Panowie, za mniej więcej trzy godziny odbędzie się mecz. Proponuję, żebyśmy go obejrzel. W tym celu jednak będziemy musieli nosić... spodnie.

Po chwili Ridcully wyjął swój zegarek – jeden z tych staroświeckich, z napędem chochlikowym i solidnie niedokładny. Otworzył złotą kopertę i cierpliwie patrzył, jak mały stworek pedałuje, kręcąc wskazówkami. Kiedy po półtorej minuty protesty wciąż nie cichły, zatrzasnął kopertę. Pstryknięcie dało efekt, jakiego nie osiągnąłby żadnymi dodatkowymi krzykami.

– Panowie – rzekł z powagą. – Musimy wziąć udział w grze dla ludu... z którego, chciałbym dodać, wszyscy się wywodzimy. Czy którykolwiek z nas przez ostatnie dziesięciolecia przynajmniej raz widział, jak ta gra się odbywa? Tak myślałem. Powinniśmy częściej wychodzić. Otóż nie proszę was, byście uczynili to dla mnie, ani nawet dla setek ludzi, którzy pracują ciężko, by zagwarantować nam życie, w którym niewygodą tak rzadko podnosi swój łeb. Owszem, podnosiło się wiele innych paskudnych łbów, ale zawsze przyzywał nas obiad. Jesteśmy, koledzy magowie, ostatnią linią obrony miasta przeciwko wszelkiej grozie, jaką można na nie cisnąć. Jednakże żadna z nich nie jest potencjalnie tak groźna jak my. Tak, w samej rzeczy. Nie wiem, co mogłoby się zdarzyć, gdyby magowie naprawdę zgłodnieli. Zróbcie więc to, proszę was, w tym jednym przypadku i w imię deski serów!

Historia zna szlachetniejsze wezwania do broni, Ridcully pierwszy chętnie by to przyznał. To jednak było specjalnie dobrane dla grupy docelowej. Oczywiście odezwały się narzekania, ale to tak jakby powiedzieć, że niebo jest niebieskie.

- Co z obiadem? – zapytał jeszcze wykładowca run współczesnych.
- Zjemy wcześniej – odparł Ridcully. – Mówiono mi, że zapiekanki na meczu są... zadziwiające.

Prawda, stojąc przed swą ogromną garderobą, wybrała buty z czarnej skóry na wysokich szpilkach – najodpowiedniejsze dla prawdy tak

bezczelnej.

* * *

Kiedy Glenda wkroczyła do nocnej kuchni, Nutt czekał już z dumną, ale trochę niespokojną miną. Z początku go nie zauważyła, ale kiedy się odwróciła, powiesiwszy płaszcz na kołku, on tam stał, niczym tarcze trzymając przed sobą dwie tace.

Błyszczały tak mocno, że prawie musiała zasłonić oczy.

– Mam nadzieję, że tak będzie dobrze – odezwał się niepewnie.

– Jak to zrobiłeś?

– Powlekłem je srebrem, panienko.

– Co?!

– Och, w piwnicach jest mnóstwo staroci, a ja, no... wiem, jak się robi różne rzeczy. Nikt nie będzie miał kłopotów z tego powodu, prawda? – dodał, nagle wystraszony.

Glenda to przemyślała. Właściwie nikt nie powinien mieć kłopotów, ale z panią Whitlow nigdy nic nie wiadomo. Cóż, łatwo rozwiązać ten problem – wystarczy je gdzieś schować, dopóki nie zmatowieją.

– To miło z twojej strony, że włożyłeś w to tyle pracy. Zwykle muszę ścigać ludzi, żeby odzyskać naczynia. Jesteś prawdziwym dżentelmenem – zapewniła, a jego twarz rozjaśniła się niczym słońce.

– Panienka jest bardzo dobra – zapewnił z przekonaniem. – A także bardzo piękna, a dwie ogromne piersi wskazują na szczodrość i płodność...

Poranna atmosfera zamarzła w jeden gigantyczny blok lodu. Wiedział, że powiedział coś niewłaściwego, ale nie miał pojęcia co.

Glenda rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktokolwiek to usłyszał, ale wielkie mroczne pomieszczenie było puste. Zawsze przychodziła pierwsza i wychodziła ostatnia.

– Zostań tu – powiedziała. – Nie waż się nawet drgnąć. Ani odrobinki! I nie kradnij kur! – poleciła jeszcze na odchodnym.

Powinna buchać kłębami pary, kiedy wymaszerowała z kuchni; butami głośno stukała o posadzkę. Jak można coś takiego mówić?! Za kogo

on się uważa?! A jeśli już o tym mowa, to za kogo ona go uważa? I za co?

Piwnice i podziemia Niewidocznego Uniwersytetu same w sobie tworzyły małe miasteczko, a piekarze i rzeźnicy oglądali się za nią, kiedy przechodziła gniewnie. Nie miała odwagi teraz się zatrzymać. To by było zbyt krępujące.

Jeśli ktoś znał wszystkie przejścia i schody – i jeśli pozostawały nieruchomo przez pięć minut – mógł bez wychodzenia na powierzchnię dotrzeć w dowolne miejsce na uniwersytecie. Prawdopodobnie żaden z magów nie orientował się w tym labiryncie. Niewielu z nich interesowało się nudnymi szczegółami gospodarstwa. Ha, myśleli pewnie, że obiady pojawiają się magicznie!

Kilka kamiennych schodków prowadziło do niewielkich drzwiczek. Obecnie mało kto z nich korzystał. Inne dziewczęta tam nie chodziły, ale Glenda tak. Nawet po tamtym pierwszym razie, kiedy odpowiadając na dzwonek, zaniósła nocnego banana, a raczej nie zaniósła, ponieważ uciekła z krzykiem – już wtedy wiedziała, że będzie musiała znowu się z tym zmierzyć. W końcu nic nie możemy poradzić na to, jacy przyszlismy na świat, jak mawiała jej matka, czy też na to, w co mógł nas zmienić magiczny wypadek, całkiem bez naszej winy, jak wyjaśniła jej pani Whitlow, kiedy już ucichły krzyki. Dlatego więc Glenda wzięła banana i ruszyła z powrotem.

Teraz oczywiście byłaby zaskoczona, jak kogoś może dziwić, że strażnik wszelkiej mądrości jest rudobrazowy i zwykle wisi kilka stóp nad swym biurkiem. Była też prawie pewna, że zna co najmniej czternaście znaczeń słowa „uuk”.

Trwał dzień, więc w wielkim budynku za małymi drzwiczkami panowała zwykła krzątanina, o ile słowo to ma zastosowanie dla biblioteki. Glenda skierowała się do najbliższego z młodszych bibliotekarzy, który nie zdążył na czas spojrzeć w inną stronę, i oznajmiła:

– Potrzebny mi słownik kłopotliwych słów zaczynających się na P.

Jego wyniosłe spojrzenie złagodniało nieco, kiedy zdał sobie sprawę, że ona jest kucharką. Magowie zawsze mieli w sercu specjalne miejsce dla kucharek – zapewne dlatego, że serce znajduje się blisko żołądka.

– Ach... W tej sytuacji myślę, że naszym przyjacielem będzie tu

„Krępujące nadużycia” Birdcatchera – stwierdził uprzejmie.

Zaprowadził ją do pulpitu, gdzie spędziła kilka pouczających minut, zanim wróciła drogą, którą przyszła – trochę mądrzejsza i o wiele bardziej skrupowana.

Nutt nadal stał w miejscu, w którym kazała mu stać, i wyglądał na wystraszonego.

– Przepraszam, nie wiedziałam, co masz na myśli – wyjaśniła.

I pomyślała: obfitość, zasobność, żyzność... No tak, mogę zrozumieć, jak do tego doszedł, zwykły pech, ale to przecież nie o mnie, nie tak naprawdę. Tak myślę. Mam nadzieję.

– Ehm, to miło, że tak o mnie mówisz – dodała. – Ale powinienś używać odpowiedniego języka.

– Ach, oczywiście, bardzo mi przykro – odparł Nutt. – Pan Trev mi to tłumaczył. Nie powinienem się wyrażać aligancko. Powinienem powiedzieć, że ma panienka wielkie c...

– Przerwij w tym miejscu, dobrze? Trevor Likely uczy cię elokwencji?

– Proszę nie mówić, znam to... Chodzi o mówienie w sposób właściwy? Tak. I obiecał zabrać mnie na piłkę nożną – dodał Nutt z dumą.

To wymagało pewnych wyjaśnień, które popsuły Glendzie humor. Trev miał rację, oczywiście. Ludzie, którzy nie znają trudnych słów, są zwykle nerwowi w obecności ludzi, którzy je znają. Właśnie dlatego jej sąsiedzi płci męskiej, jak pan Stollop i jego kumple, nikomu nie dowierzali. Za to ich żony posiadały o wiele szersze, choć dość specyficzne słownictwo, które zawdzięczały tanim romansom, na każdej ulicy przekazywanym jak kontrabanda z kuchni do pralni. Stąd też Glenda знаła „elokwencję”, „skwarny”, „buduar” i „saszetkę”, choć co do saszetki i buduaru nie była całkiem pewna i unikała ich używania, co nie sprawiało zbytnich trudności. Żywiła głębokie podejrzenia co do tego, czym mógłby być buduar damy, ale na pewno nie zamierzała nikogo pytać, nawet w bibliotece, bo mogliby się z niej śmiać.

– Chce cię zabrać na piłkę, tak? Panie Nutt, będzie się pan tam wyróżniał jak diament w uchu kominiarza.

„Nie wyróżniaj się z tłumu”. Tak wiele przykazań musiał pamiętać.

– Obiecał, że się mną zaopiekuje – powiedział, spuszcżając głowę. –

Eee... Tak się zastanawiałem, kim jest ta miła młoda dama, która była tutaj zeszłej nocy – dodał desperacko, przejrzysty jak powietrze.

– On cię prosił, żebyś mnie zapytał, tak?

„Kłam. Nie narażaj się”.

Ale Lady tu nie było. A przed nim stała ta miła panienka od szarlotki... Wszystko stało się bardzo skomplikowane.

– Tak – przyznał pokornie.

A Glenda zaskoczyła samą siebie.

– Ma na imię Juliet i mieszka akurat obok mnie, więc niech lepiej tam nie przyłazi, jasne? Juliet Stollop; zobaczysz, czy mu się to spodoba.

– Obawia się panienka, że będzie smażył cholewki?

– Jej ojciec osmalił mu więcej niż tylko cholewki, kiedy odkryje, że jest kibicem Ćmoków.

Nutt zrobił tępą minę, więc ciągnęła dalej:

– Czy ty niczego nie wiesz? Starzy Kumple z Przyćmionej? Drużyna piłkarska? Dolasy to Klub Piłkarski Sióstr Dolly. Dolasy nienawidzą Ćmoków, Ćmoki nienawidzą Dolasów. Zawsze tak było.

– Co mogło doprowadzić do takich różnic między nimi?

– Co? Między nimi nie ma żadnych różnic, jeśli się zajrzy pod kolor! To dwa zespoły, podobne do siebie w łajdactwach! Siostry Dolly noszą biel i czerni, Przyćmiona róż i zieleń. Tu chodzi tylko o piłkę. Tę nieszczęsną, przekłętą, kopiającą, bijącą, tnącą, dżgającą, idiotyczną piłkę!

– Gorycz w głosie Glendy potrafiłaby skwasić śmietanę.

– Ale przecież panienka nosi szalik Sióstr Dolly!

– Jeśli tam mieszkasz, tak jest bezpieczniej. Zresztą trzeba wspierać swoich.

– Ale czy to nie jest gra, jak bierki, halma czy łups?

– Nie! To bardziej jak wojna, ale bez łagodności ani rozwagi.

– Ojej... Ale przecież wojna nie jest łagodna, prawda? – Na twarzy Nutta pojawiła się niepewność.

– Nie!

– Ach, rozumiem. Panienka była ironiczna.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Może i byłam – przyznała. – Dziwny z pana chłopak, panie Nutt. Skąd właściwie pochodzisz?

Dawna panika powróciła nagle. „Bądź nieszkodliwy. Bądź uprzejmy. Zyskuj przyjaciół. Kłam”. Ale jak można kłamać przyjaciołom?

– Muszę iść – rzucił, zbiegając po kamiennych stopniach. – Pan Trev będzie czekał!

Miły, ale dziwny, uznała Glenda, patrząc, jak skacze po schodach. No i sprytny. Zauważył mój szalik na haku dwadzieścia łokci dalej...

* * *

Brzęk puszek ostrzegł Nutta o przybyciu szefa, zanim jeszcze przebiegł starym sklepionym korytarzem prowadzącym do kadzi. Inni bywalcy przerwali pracę, co zresztą – uwzględniając jej zwykłe, ślimacze tempo – nie powodowało praktycznie żadnej zmiany, i przyglądali mu się apatycznie. Ale przynajmniej się zainteresowali. Nawet Beton wydawał się lekko rozbudzony, choć Nutt zauważył brązową strużkę ściekającą z kącika jego ust. Ktoś znowu dał Betonowi opilki żelaza.

Puszka wzleciała w górę, kiedy Trev trafił ją butem, przefrunęła mu nad głową i jakby tocząc się po niewidocznym zboczach, wróciła z ukosa, by wylądować w oczekującej dłoni. Patrzący zamruczeli z podziwem i nawet Beton uderzył głową o blat stołu, co zwykle oznaczało aprobatę.

– Co cię zatrzymało, Gobbo? Paplałeś z Glendą, co? Nie masz u niej szans, możesz mi wierzyć. Byłem, próbowałem, nie ma co. Żadnych szans, koleś. – Trev rzucił Nuttowi brudny worek. – Wkładaj to szybko, bo będzie cię widać jak diament...

– W uchu kominiarza? – dokończył Nutt.

– Właśnie. Teraz łapiesz! No, nie grzeb się, bo się spóźnimy.

Nutt przyjrzał się niepewnie długiemu, bardzo długiemu szalikowi w różowozielone pasy i obszernej żółtej czapce z różowym pomponem.

– Naciągnij ją porządnie, żeby zakryła uszy – polecił Trev. – Ale ruszaj się!

– Eee... róż? – spytał z powątpiewaniem Nutt, sięgając po szalik.

– A co z nim?

– Czy piłka nożna nie jest twardą, męską grą? Podczas gdy róż, proszę wybaczyć, to kolor raczej, no... kobiecy...

Trev wyszczerzył zęby.

– Jasne, zgadza się. Pomyśl trochę. Ty tu jesteś mądrałą. Wiem, że umiesz chodzić i myśleć równocześnie. W tych okolicach raczej cię to wyróżnia.

– Aha, chyba zrozumiałem. Róż demonstruje wojowniczą męskość. Ogłasza: Jestem tak męski, że stać mnie na sugestię, byś to zakwestionował, co z kolei pozwoli mi na nowo wykazać swoją męskość, reagując przemocą wobec ciebie. Nie wiem, czy czytał pan kiedyś „Die Wesentlichen Ungewissheiten Zugehörig der Offenkundigen Mannlichkeit” Oflebergera?

Trev chwycił go za ramię i odwrócił do siebie.

– Co ty kombinujesz, Gobbo? – zapytał, zbliżając zaczerwienioną twarz do twarzy Nutta. – Masz jakiś problem? O czym gadasz? Wyciągasz jakieś dziesięciodolarowe słówka i wykładasz je jak do łamigłówki! To niby jak trafiłeś do kadzi i zasuwasz jak ja? Uciekasz przed Starym Samem? Nie ma sprawy, chyba że obrobiłeś jakąś babcię albo co, ale musisz mi powiedzieć!

Zbyt niebezpieczne, myślał rozpaczliwie Nutt. Zmienić temat!

– Ma na imię Juliet – wykrztusił. – Ta dziewczyna, o którą pan pytał! Mieszka obok Glendy! Naprawdę!

Trev przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Glenda ci powiedziała?

– Tak.

– Wkręcała cię. Wiedziała, że mi powtórzysz.

– Nie sędzę, żeby mnie okłamała, panie Trev. Jest moją przyjaciółką.

– Przez całą noc o niej myślałem – wyznał Trev.

– Jest znakomitą kucharką – zgodził się Nutt.

– Mówię o Juliet!

– Ehm... Glenda kazała panu przekazać, że Juliet ma nazwisko Stollop – dodał Nutt, choć nienawidził przynoszenia gorszych wieści.

– Co? To dziewczyna Stollopów?

– Tak. Glenda powiedziała, żeby sprawdzić, jak się to panu spodoba, ale rozumiem sens ironii.

– Przecież to jakby znaleźć truskawkę w psim żarcu, nie? Znaczy się, Stollopowie to dranie, co do jednego, chłop w chłopą gryzą i depczą.

To takie typy, którzy ci rodzinne klejnoty wkopią do gardła.

– Ale pan przecież nie gra w piłkę, prawda? Pan tylko ogląda.

– Zgadza się jak szlag! Ale jestem Twarzą, jasne? Znają mnie po dzielnicach. Każdego możesz spytać. Wszyscy znają Treva Likely’ego. Jestem synem Dave’a Likely’ego! A jego pamięta każdy kibic w tym mieście. Cztery gole! Nikt inny w życiu tyle nie strzelił! I odpłacał pięknym za nadobne, taki już tato był! W jednym meczu złapał jakiegoś typa z Dolasów, który trzymał piłkę, i przerzucił go za linię! Pięknym za nadobne, a potem jeszcze trochę.

– Czyli był draniem, który depcze i gryzie, tak?

– Co? W stukacza chcesz mnie zrobić?

– Początkowo nie miałem takiego zamiaru, panie Trev – odparł Nutt z taką powagą, że Trev musiał się uśmiechnąć. – Ale widzi pan, jeśli walczył z przeciwną drużyną, używając przy tym jeszcze większej siły niż oni, czy nie oznacza to, że...

– Był moim tatą – przerwał mu Trev. – Czyli nie kombinuj z jakąś powaloną matematyką, jasne?

– Jasne, oczywiście. I nigdy nie chciał pan pójść w jego ślady?

– Niby jak, żeby potem wrócić do domu na noszach? Mam rozum po mamie, nie po tacie. Był porządnym gościem i kochał piłkę, ale mózgu nie miał za dużo, a tamtego dnia trochę wyciekało mu przez ucho. Dolasy wciągnęły go do młyna i załatwiły na dobre. To nie dla mnie, Gobbo. Jestem za sprytny.

– Tak jest, panie Trev. Zauważyłem.

– Wkładaj ciuchy i idziemy. Nie chcemy przecież czegoś przeoczyć.

– ... gapić – poprawił odruchowo Nutt, próbując owinąć szyję ogromnym szalikiem.

– Co takiego? – Trev zmarszczył czoło.

– Czego? – odparł Nutt nieco zduszonym głosem. Szalik był naprawdę długi i zakrywał prawie całe usta.

– W tłuka mnie robisz, Gobbo? – spytał groźnie Trev, podając mu stary sweter, wyblakły i porozciągany przez lata.

– Naprawdę, panie Trev, nie wiem. Wydaje się, że w tak wiele rzeczy robię pana mimowolnie... – Wciągnął obszerną wełnianą czapkę z różowym pomponem. – Wszystko jest tak bardzo różowe, panie Trev.

Musimy wręcz ociekać męskością.

– Nie wiem, czym ty osobiście ociekasz, Gobbo, ale czegoś możesz się nauczyć. „No chodź, jak myślisz, że jesteś twardy”. Teraz powtórz.

– No chodź, jak myślisz, że jesteś twardy – rzekł posłusznie Nutt.

– Dobra – uznał Trev i przyjrzał mu się z uwagą. – Pamiętaj, jakby kto się ciebie czepiał na meczu i sprawiał kłopoty, powiedz im tak. Zobaczą, że nosisz kolory Ćmoków, i dwa razy się zastanowią. Jasne?

Nutt przytaknął gdzieś w przestrzeni pomiędzy wielką czapką z pomponem i szalikiem jak boa dusiciel.

– Wiesz, Gobbo, jesteś teraz... kibicem na maksa. Własna matka by cię nie poznała.

Dopiero po chwili stłumiony głos wydobył się spod stóp prądowej wełny, która wyglądała jak dziecięca wyprawka przygotowana przez parę olbrzymów, niewiedzących, czego mają się spodziewać.

– Wydaje mi się, że ma pan rację.

– Tak? Aha. To dobrze, nie? A teraz spotkamy się z chłopakami. Idź szybko, trzymaj się blisko.

* * *

– Tylko pamiętaj, to przedsezonowy mecz towarzyski Aniołów z Kolosami, jasne? – przypomniał Trev, kiedy wyszli na bezustanną mżawkę, która z powodu nieruchomej chmury zanieczyszczeń nad Ankh-Morpork przekształcała się delikatnie w smog. – Jedni i drudzy są do kitu, nic z nich nie będzie, ale Ćmoki popierają Aniołów, jasne?

Wymagało to dłuższych wyjaśnień, lecz zasadniczo chodziło o to – o ile Nutt zdołał pojąć – że wszystkie drużyny były przez Ćmoków oceniane ze względu na swoją bliskość – fizyczną, psychologiczną czy ogólnym wrażeniem – do zniechęconych Sióstr Dolly. Tak się po prostu ułożyło. Jeśli ktoś szedł na mecz między dwoma innymi drużynami, automatycznie, zgodnie z pewnym złożonym i bezustannie się zmieniającym miernikiem miłości i nienawiści, kibicował zespołowi bliższemu własnym terenom, czy też – ściślej mówiąc – brukom.

– Łapiesz, o co mi chodzi? – upewnił się Trev.

– Zarejestrowałem pańskie wyjaśnienia w pamięci, panie Trev.

– Na Brutnę, załóżę się, żeś to zrobił, jak nic. I wystarczy Trev, kiedy nie jesteśmy w pracy, jasne? Krzyczymy razem, nie? – I żartobliwie uderzył Nutta w ramię.

– Dlaczego pan tak postąpił, panie Trev? – spytał Nutt. Jego oczy, praktycznie jedyna widoczna część ciała, wyrażały urazę. – Biję mnie pan!

– Wcale cię nie biję, Gobbo! To było takie przyjacielskie stuknięcie. Całkiem co innego! Nie wiedziałeś? Lekkie klepnięcie w ramię, żeby pokazać, że jesteśmy kumplami. Też mi tak zrób. No!

– Trev mrugnął.

„...Będiesz uprzejmy, a przede wszystkim nigdy na nikogo w gniewie nie podniesiesz ręki...”.

Ale to przecież co innego, prawda? – zapytał sam siebie Nutt. Trev jest przyjacielem. To przyjacielski gest. Między przyjaciółmi.

Stuknął w przyjacielskie ramię.

– To ma być uderzenie? To nazywasz uderzeniem? Dziewczyna by mocniej walnęła! Jak w ogóle jeszcze żyjesz z takim nędznym ciosem? No już, walnij porządnie!

Nutt wałnął.

* * *

Wtopić się w tłum? Było to wbrew wszystkiemu, na straży czego stali magowie, choć mag nie stałby na żadnej straży, gdyby nie mógł przy tym usiąść, ale nawet siedząc, musiał... no, wystawać. Oczywiście zdarzają się sytuacje, kiedy szata przeszkadza, zwłaszcza gdy mag pracuje przy swoim palenisku, tworząc magiczny metal, mobiloidalne szkło albo wykonując jakieś inne ćwiczenia z magii praktycznej, w których fakt, że sam siebie nie podpalił, jest uważany za przyjemną niespodziankę; dlatego właśnie każdy mag miał skórzane spodnie i poplamioną, wypaloną kwasami koszulę. Był to ich wspólny brudny sekret, niezbyt sekretny, ale z głęboko wżartym brudem.

Ridcully westchnął. Jego koledzy mierzyli w wizerunek prostego

człowieka, ale tylko mgliście sobie wyobrażali, jak prosty człowiek obecnie wygląda. Teraz chichotali cicho, spoglądali na siebie wzajemnie i wypowiadali zdania w stylu:

– Żeż psiajucha, żeś się wysztafirował jak nic, kolego.

Obok, niezwykle wręcz zakłopotani, stali dwaj uniwersyteccy pedle, nie wiedząc, co zrobić z nogami. W tej chwili żalowali, że nie mogą zapalić sobie dyskretnie gdzieś w cieple.

– Panowie – zaczął Ridcully, po czym dodał z błyskiem w oku: – Czy też, powinienem rzec, towarzysze pracy rękami i głową, dzisiaj... Słucham, pierwszy prymusie?

– Czy istotnie jesteście towarzyszami akurat w pracy? Przecież to uniwersytet.

– Zgadzam się z pierwszym prymusem – oświadczył wykładowca run współczesnych. – Statut uniwersytetu wyraźnie zabrania angażowania się, poza terenem uczelni, w jakąkolwiek magię powyżej poziomu czwartego, chyba że na bezpośrednią prośbę władz cywilnych lub też, zgodnie z punktem trzecim, chyba że naprawdę chcemy. Występujemy jako przedstawiciele uniwersytetu, a jako takim nie wolno nam pracować.

– Co powiecie na towarzyszy lenistwa rąk i głowy? – zaproponował Ridcully. Zawsze chętnie sprawdzał, jak daleko może się posunąć.

– Towarzyszy statutowego lenistwa rąk i głowy – poprawił z godnością pierwszy prymus.

Ridcully zrezygnował. Mógłby tak ciągnąć cały dzień, ale życie nie jest tylko zabawą.

– Skoro już to ustaliliśmy, chciałem poinformować, że poprosiłem wiernych panów Frankly’ego Ottomy’ego i Alfa Nobbsa, by towarzyszyli nam w tej małej eskapadzie. Pan Nobbs uważa, że skoro nie nosimy oznak piłkarskich względów, nie powinniśmy zwracać niechcianej uwagi.

Magowie nerwowo skinęli pedlom głowami. Oczywiście, ci dwaj byli tylko pracownikami uniwersytetu, podczas gdy magowie byli, no... byli uniwersytetem, prawda? W końcu uniwersytet to nie tylko cegły i tynk, to także ludzie, a przede wszystkim magowie. Ale pedle przerażali ich, co do jednego.

Wszyscy byli mężczyznami zwalistymi i wyglądali jak wyrzeźbieni z bekonu. Byli także potomkami, do tego praktycznie identycznymi, tamtych ludzi, którzy po zamglonych ulicach ścigali tamtych magów, młodszych wtedy i zwinniejszych – a jest wręcz niewiarygodne, jak szybko potrafi biec człowiek mający za sobą dwójkę pedli. W razie schwytania wspomniani pedle – którzy czerpali niezwykłą radość z egzekwowania wewnętrznych praw i specyficznych reguł uniwersytetu – wlekli ofiarę do nadrektora pod zarzutem Zamiaru Doprowadzenia Sie do Stanu Upojenia. Jednakże było to rozwiązanie lepsze niż próba stawiania oporu, gdyż powszechnie uważano, że pedle chętnie korzystają z okazji do walki klas. Minęło wiele lat, ale jeszcze dzisiaj nagle spotkanie z pedlem przywoływało dreszcz posępnej, wstydlivej grozy biegnący po karkach ludzi, którzy przed nazwiskami zebrali więcej liter niż gra scrabble.

Rozpoznając ten efekt, Ottomy rzucił im drwiące spojrzenie i dotknął palcem daszka służbowego kaszketu.

– ...doberek panom szanownym – rzekł. – Panowie się nie martwią. Ja i Alf wszystkiego dopilnujemy. Ale lepiej już iść, bo zaczynają za pół godziny.

Pierwszy prymus nie byłby pierwszym prymusem, gdyby potrafił ścierpieć dźwięki ciszy. I kiedy wymaszerowali tylnymi drzwiami, krzywiąc się od nietypowego obcierania kolan przez spodnie, zwrócił się do pana Nobbsa.

– Nobbs... to nietypowe nazwisko. Niech pan powie, Alf, nie jest pan przypadkiem spokrewniony ze słynnym kapralem Nobby Nobbsem ze Straży Miejskiej?

Pan Nobbs przyjął to spokojnie, uznał Ridcully, uwzględniając niezręczność i brak protokołu.

– Nie, sir.

– Ach, zatem jakaś dalsza gałąź rodu...

– Nie, sir. Całkiem inne drzewo!

* * *

W półmroku frontowego pokoju Glenda z rozpaczą przyjrzała się swojej walizce. Robiła co mogła z pastą do butów, tydzień po tygodniu, ale walizkę kupiła w sklepie ze starzyzną i pod podobną do skóry okleiną zaczynała się już pokazywać tektura. Jej klientki chyba tego nie zauważyły, ale ona widziała to, nawet kiedy walizka była schowana.

Była to sekretna część jej sekretnego życia, które przeżywała przez godzinę czy dwie podczas pół dnia wolnego raz w tygodniu, a może trochę dłużej, jeśli dzisiejsze akwizycje się powiodą.

Spojrzała na swoją twarz w lustrze i powiedziała zachęcającym tonem:

– Wszyscy znamy kłopoty z defoliacją pod pachami. Tak trudno utrzymać zdrowy mech. Ale... – Machnęła zielononiebieskim pojemnikiem ze złotym koreczkiem. – Jedno prysknięcie Zielonym Źródłem na cały dzień zapewni tym szczelinom wilgoć i leśną świeżość...

Zająknęła się, ponieważ nie taka była jej natura. Nie radziła sobie z kuszeniem. Ten płyn kosztował dolara za butelkę! Kogo na to stać? No więc bardzo wiele trollowych dam, to na pewno, ale pan Wręcemocny twierdził, że to w porządku, bo one mają pieniądze, a zresztą specyfik rzeczywiście wspomaga rozrost mchu. Ona na to, że niby racja, lecz dolara za ozdobną flaszeczkę wody z jakąś odżywką dla roślin to dość drogo. A on wyjaśnił, że przecież sprzedaje marzenie.

I one kupowały. To właśnie ją niepokoiło. Kupowały i polecały przyjaciółkom. Miasto odkryło już Twardą Walutę. Czytała o tym w azecie. Trolle zawsze się tu kręciły, wykonywały ciężkie prace i ogólnie istniały gdzieś w tle, o ile nie były samym tłem. Teraz jednak zakładały rodziny, prowadziły interesy, rozwijały się i robiły postępy, no i kupowały różne rzeczy, a to czyniło je w końcu ludźmi. Pojawiali się więc inni ludzie, tacy jak pan Wręcemocny, krasnolud, sprzedający produkty kosmetyczne trollowym paniom i pannom, za pośrednictwem takich osób jak Glenda, człowiek. Choć bowiem krasnoludy i trolle stały się oficjalnie zaprzyjaźnione z powodu czegoś, co nazywano traktatem z Doliny Koom, to jednak miało to wielkie znaczenie głównie dla osób podpisujących traktaty. Nawet pełen dobrych intencji krasnolud nie poszedłby na pewne ulice, po których Glenda co tydzień włókła swoją paskudną tekturową walizkę, sprzedając marzenie. Pozwoliło jej to za-

mieszkać samodzielnie i płacić za drobne przyjemności. I mogła trochę odłożyć na czarną godzinę. Pan Wręcemocny miał też dar wpadania na nowe pomysły. Kto by przypuszczał, że trollowe damy zainteresują się olejkami dającym fałszywą opaleniznę? A olejek się sprzedawał. Wszystko się sprzedawało. Marzenie się sprzedawało, ale było płytkie i kosztowne, a ona czuła się tania. Marzenie...

Zawsze czujne uszy pochwyciły odgłos bardzo ostrożnie otwieranych sąsiednich drzwi. Ha!

Juliet aż podskoczyła, kiedy nagle stanęła przy niej Glenda.

– Wychodzisz gdzieś?

– Chcę obejrzeć mecz, nie?

Glenda rozejrzała się po ulicy. Ktoś zniknął pospieszenie za rogiem.

– No tak. Niezły pomysł. Nie mam akurat nic do roboty. Zaczekaj chwilę, wezmę tylko szalik.

I w duchu dodała: A ty lepiej znikaj, Johnny!

* * *

Z głuchym stukiem, od którego eksplodowała chmura gołębi, bibliotekarz wyładował na wybranym dachu.

Lubił mecze. Coś w tych krzykach i bójkach przywoływało wspomnienia przodków. A to było fascynujące, ponieważ – ściśle biorąc – jego przodkowie przez stulecia pracowali nienagannie jako szacowni handlarze zbożem i paszami, a poza tym mieli alergię na duże wysokości.

Usiadł na krawędzi dachu, zwieszając nogi nad ulicę. Rozszerzył nozdrza, wciągając unoszące się z dołu zapachy.

Mówi się, że widz najlepiej widzi mecz. Ale bibliotekarz mógł go również wachać. A widziany z boku mecz był niczym ludzkość. Bibliotekarz nie przeżył ani jednego dnia, w którym nie dziękowałby losowi za to, że magiczny wypadek odsunął go od niej na kilka małych genów. Małpy wszystko sobie rozwiązały. Żadna małpa nie próbowała filozofować w stylu „Góra jest i nie jest”. Myślały raczej: „Banan jest. Zjem banana. Nie ma banana. Chcę drugiego banana”.

Po chwili odruchowo obrał jednego, cały czas obserwując zmienną scenę w dole. Widz nie tylko najlepiej widzi mecz, ale może nawet zobaczyć więcej niż jeden.

Ulica miała półkolisty przebieg, co pewnie miałoby wpływ na taktykę graczy, gdyby w ogóle słyszeli o takich wydumanych koncepcjach jak taktyka.

Potoki ludzi napływały już z obu końców, a także z kilku bocznych zaułków. Większość była płci męskiej – wręcz niezwykle męskiej. Kobiety dzieliły się na dwie kategorie: te, które ścigały tutaj więzy krwi albo perspektywy małżeństwa (po którym nie będą już musiały udawać, że ta krwawa haratanina jest choć trochę interesująca), oraz pewną liczbę starszych kobiet typu „przemitych staruszek”, w chmurach lawendy i mięty wykrzykujących bez opamiętania hasła w stylu „Wal go o głębię i kopa w klejnoty!” oraz podobne zachęty.

Pojawił się nowy zapach – zapach Nutta... Bibliotekarz nauczył się go rozpoznawać, ale nie całkiem potrafił zgłębić. Wyczuwał też lój, tanie mydło i sklep ze starzyzną, które małpia jego część klasyfikowała jako należące do „człowieka żonglującego puszką”. Kiedyś był to jeden z tłumu pracowników w uniwersyteckim labiryncie, teraz jednak stał się przyjacielem Nutta, a Nutt był ważny. Był też niewłaściwy. Nie miał miejsca w tym świecie, ale znalazł się w nim, a świat szybko zaczął zdawać sobie z tego sprawę.

Bibliotekarz znał takie sytuacje. W osnowie rzeczywistości nie było miejsca oznaczonego „dla małego bibliotekarza”, dopóki on tam nie spadł, a zmarszczki na powierzchni uczyniły jego życie naprawdę dziwnym.

Aha, kolejny zapach unosił się w delikatnym prądzie wznoszącym. To oczywiście: Wrzeszcząca Kobieta od Zapiekanek Bananowej. Bibliotekarz ją lubił. To prawda, uciekła z wrzaskiem, kiedy go zobaczyła – jak one wszystkie. Ale wróciła, pachnąc zawstydzieniem. Uznawała też naczelnosć słów, a on – jako przedstawiciel naczelnych – również. A czasami piekła mu zapiekankę z bananem, co było dobrym uczynkiem. Bibliotekarz nie znał się zbytnio na miłości, która zawsze wydawała mu się trochę eteryczna i mazgajowata, jednak w przeciwieństwie do niej dobroć miała wartość praktyczną. Z dobrocią człowiek – i orangutan –

wie, na czym stoi, zwłaszcza jeśli trzyma właśnie wręczone mu ciasto. Ta kobieta także była przyjaciółką Nutta. Nutt w ogóle łatwo zyskiwał przyjaciół jak na kogoś, kto przybywa znikąd. Interesujące...

Wbrew pozorom bibliotekarz lubił porządek. Książki o rozmaitych kapustach trafiały na półkę kapustowatych (blit) NUSSFY890-9046 (antyblitl.1), choć oczywiście „Wielka przygoda pana Kalafiora” miała swoje miejsce na NUSS J3. 2 (>blit) 9, podczas gdy „Tau Kapusty” z całą pewnością byłoby kandydaturą na NUSS (blit+) 60-sp55-o9-hl (blit). Dla każdego zaznajomionego z siedmiowymiarowym systemem bibliotecznym w przestrzeni blitwymiarowej było to jasne jak słońce, jeśli tylko pamiętał, żeby uważać na blity.

Aha, oto zbliżali się jego koledzy magowie kroczący niepewnie w ocierających nogi spodniach i tak bardzo usiłujący nie wyróżniać się z tłumu, że wyróżnialiby się jeszcze bardziej, gdyby reszta tego tłumu była choć trochę zainteresowana.

* * *

Nikt ich nie zauważał. To było równocześnie fascynujące i ekscytujące, uznał Ridcully. Normalnie szpiczasty kapelusz, laska i szata otwierały drogę szybciej niż troll z toporem.

Popychano ich! I potracano! Choć wrażenie okazało się nie tak nieprzyjemne, jak sugerowały te słowa. Ze wszystkich stron wyczuwali niezbyt silne naciski, kiedy tłumy ludzi napierały od tyłu – jak gdyby stali po pierś w morzu, kołysali się lekko i przesuwali w powolnym rytmie fali.

– Wielkie nieba – odezwał się kierownik studiów nieokreślonych. – To ma być piłka nożna? Trochę nudna, nie sądzicie?

– Wspomniano o zapiekankach – przypomniał wykładowca run współczesnych, wyciągając szyję.

– Ludzie jeszcze się schodzą, szefuniu – wyjaśnił Ottomy.

– Ale jak mamy cokolwiek zobaczyć?

– Zależy od Ścisku, szefuniu. Zwykle ci blisko akcji krzyczą.

– Ach, widzę sprzedawcę zapiekanek! – oznajmił kierownik studiów

nieokreślonych.

Zrobił kilka kroków przed siebie, nastąpiło przypadkowe przemieszczenie i wahnięcie tłumu... i zniknął.

* * *

– Jak się pan teraz czuje, panie Trev? – spytał Nutt.

Ludzie przepływali obok.

– Boli jak szlag, przepraszam za swój klatchiański – burknął Trev, przyciskając obolałą rękę do poły płaszcza. – Na pewno nie trzymałeś tam młotka?

– Żadnego młotka, panie Trev. Przepraszam, ale sam pan mówił...

– Wiem, wiem. Gdzie się nauczyłeś tak walić?

– Nigdzie się nie nauczyłem, panie Trev. Nie wolno mi podnieść ręki na inną osobę! Ale pan mi kazał...

– Przecież jesteś taki chudy!

– Długie kości, panie Trev, długie mięśnie. Naprawdę strasznie mi przykro!

– Moja wina, Gobbo. Sam nie wiedziałem, jaki jesteś silny...

I nagle Trev zatoczył się do przodu tak, że wpadł na Nutta.

– Gdzie się podziewałeś, mój chłopie? – spytał osobnik, który właśnie klepnął go mocno w plecy. – Mówiliśmy, że się spotykamy przy węgorzach.

Mówiący spojrzał na Nutta i zmrużył oczy.

– A co to za obcy, który udaje, że należy do nas?

Jego spojrzenie nie było w ścisłym sensie wrogie, ale budziło wyraźne uczucie mierzenia wzrokiem, i to w nieprzychylnej skali.

Trev otrząpał się z nietypowo zakłopotaną miną.

– Cześć, Andy. Eee... To jest Nutt. Pracuje dla mnie.

– Jako co? Miotła? – spytał Andy.

W grupce za nim rozległy się śmiechy. Żarty Andy'ego zawsze budziły śmiech – to pierwsza rzecz, jaką się zauważało, zaraz po błysku w jego oku.

– Tata Andy'ego jest kapitanem Ćmoków, Gobbo.

– Miło mi pana poznać – zapewnił Nutt i wyciągnął rękę.

– Miło mi pana poznać – przedrzeźniał go Andy.

Trevor skrzywił się, gdy stwardniała łapa wielkości talerza chwyciła dłoń Nutta z palcami jak słomki.

– Ma ręce jak dziewczyna – zauważył Andy, ściskając mocno.

– Pan Trev opowiadał mi wspaniałe rzeczy o Ćmokach, proszę pana – powiedział Nutt.

Andy stęknął. Trev zauważył, że kostki palców pobiełały mu z wysiłku, Nutt zaś paplał dalej:

– Takie sportowe koleżeństwo musi być wspaniałe.

– Ta, jasne – wykrztusił Andy, któremu w końcu udało się wyrwać rękę. Był wyraźnie zły i zdumiony.

– A to mój kumpel Maksie – wtrącił szybko Trev. – A to Pierdoła Carter...

– Teraz już Pierdzimistrz – poprawił go Carter.

– Zgadza się... A to Jumbo. Lepiej na niego uważaj. Jest złodziejem. Lepiej dłużej w zamkach niż ty w nosie.

Wspomniany Jumbo zademonstrował niedużą metalową odznakę.

– Gildia, oczywiście – zapewnił. – Inaczej przybiją ci uszy do drzwi.

– To znaczy, że łamaniem prawa zarabia pan na życie? – Nutt był wstrząśnięty.

– Nigdy nie słyszałeś o Gildii Złodziei? – zdziwił się Andy.

– Gobbo jest nowy – próbował go tłumaczyć Trev. – Nieczęsto wychodzi. To goblin z gór.

– Schodzicie tutaj, żeby zabierać nam pracę, co? – rzucił Carter.

– Niby jak często w ogóle ruszasz tyłek do pracy? – spytał Trev.

– No, ale kiedyś mogę mieć ochotę.

– Doileś krowy, jak wracały z pastwiska? – zapytał Andy.

I znowu, jak na sygnał, wybuchł śmiech. W ten sposób zakończyła się prezentacja, ku zaskoczeniu Nutta. Spodziewał się, że ktoś wspomni o podkradaniu kur. Zamiast tego Carter wyjął z kieszeni dwie puszkę i rzucił je Trevowi i Nuttowi.

– Parę godzin robiłem przy rozładunku w dokach, nie? – wyjaśnił, jakby się tłumaczył, jakby ta przypadkowa praca była czymś wstydlwym.

Jumbo też sięgnął do kieszeni i wyjął czyjś zegarek.

– Pięć minut do meczu – poinformował. – Pchajmy się... znaczy, jeśli tak uważasz, Andy.

Andy kiwnął głową, co Jumbo przyjął z ulgą. To ważne, by wszystko zawsze było takie, jak uważał Andy. A Andy, masując obolałą dłoń, wciąż obserwował Nutta, jak kot obserwuje niespodziewanie bezczelną mysz.

* * *

Pan Ottomy odchrząknął, przez co jego czerwone jabłko Adama podskoczyło w górę i w dół niczym niezdecydowany zachód słońca. Krzyki w miejscach publicznych – owszem, to lubił, w tym był dobry. Ale mówienie w miejscach publicznych – nie, to całkiem inna czara upokorzenia.

– No więc tego, panowie, to, co tu zobaczymy, to wasza prawdziwa piłka, a w zasadzie to chodzi w niej, no, o Ścisk, czyli to, w czym panowie wkrótce się znajdziecie.

– Myślałem, że zobaczymy, jak dwa zespoły graczy rywalizują ze sobą, aby kopnąć piłkę do gola przeciwnika?

– To możliwe, szefuniu, całkiem możliwe – zgodził się pedel.

– Ale na ulicach, widzi pan, tacy różni kibice obu stron starają się i próbują skrócić długość pola gry, tak jakby, zależnie od przebiegu meczu, że tak powiem.

– Jak żywe mury, chcesz pan powiedzieć? – domyślił się Ridcully.

– Coś w tym stylu, proszę pana, rzeczywiście – zgodził się lojalnie Ottomy.

– A co z golami?

– Och, wolno im też przesuwac gole.

– Słucham? – Myślak nie dowierzał. – Widzowie mogą przesuwać gole?

– Trafił pan w samo sedno, proszę pana.

– Ale to czysta anarchia! Totalny zamęt!

– Niektórzy starsi rzeczywiście uważają, że poziom gry mocno się

obniżył, proszę pana, to prawda.

– Obniżył się, spadł i przebił dno świata, moim zdaniem.

– Ale nadaje się do magicznej rozgrywki – uznał doktor Hix.

– Warto spróbować.

– Mądrej głowie dość dwie słowie, proszę pana – rzekł Ottomy z mimowolną dokładnością. – To one: własne flaki będzie pan nosił zamiast podwiązek, jeśli pan tego spróbuje z niektórymi typami, które ostatnio grywają. Oni traktują to poważnie.

– Jestem pewien, panie Ottomy, że żaden z moich kumpli nie nosi podwiązek... – Ridcully urwał, wysłuchał szeptanych wyjaśnień Myślaka i podjął znowu: – No, może jeden, dwóch najwyżej, a świat byłby naprawdę nudny, gdybyśmy wszyscy byli tacy sami.

– Rozejrzał się i wzruszył ramionami. – Więc to jest piłka, tak? Bardzo tradycyjna gra, tak? No więc ja na przykład nie zamierzam stać tu na deszczu, kiedy inni mają z tego zabawę. Chodźmy odnaleźć piłkę, panowie. Jesteśmy magami. To musi się przecież liczyć.

– Myślałem, że teraz jesteśmy kumplami – przypomniał wykładowca run współczesnych.

– Na jedno wychodzi – odparł Ridcully, wyciągając szyję, by spojrzeć ponad głowami tłumu.

– Na pewno nie!

– Hm... A czy kumpel to nie ktoś, kto lubi popijać sobie z kolegami bez towarzystwa kobiet? A poza tym mam już tego dość. Ustawcie się za mną, obejrzymy sobie trochę piłki nożnej.

Marsz magów zdumiał Ottomy'ego i Nobbsa, którzy od tej pory uważali ich za pulchne i miękkie istoty, całkiem oderwane od realnego życia. Jednak by zdobyć stanowisko starszego maga i pozostać na nim, człowiek musiał dysponować głębokimi rezerwami determinacji, zawziętości i tej wyglądownej arogancji, będącej oznaką każdego prawdziwego dżentelmena, jak w „Och, to pańska stopa? Jakże mi niewymownie przykro”.

W dodatku towarzyszył im doktor Hix, zawsze przydatny w trudnych sytuacjach, ponieważ (zgodnie ze statutem uczelni) był oficjalnie złym człowiekiem – Niewidoczny Uniwersytet radośnie godził się z

nieuniknionym.⁸

Organizacja mniej dojrzała mogłaby uznać, że właściwym postępowaniem będzie wytypowanie takich renegeatów, co wiąże się ze sporym ryzykiem i kosztami. NU przeciwnie, oddał Hiksowi i jego grupie katedrę, budżet, system awansów, a także możliwość, by odwiedzać mroczne jaskinie i ciskać ognistymi kulami w nieoficjalnych złych czarnoksiężników. Wszystko układało się całkiem dobrze, o ile tylko nikt nie chciał podkreślać faktu, że komunikacja post mortem to tylko łagodniejsze określenie n*e*k*r*o*m*a*n*c*j*i, prawda?

Tak więc doktor Hix stał się tolerowanym, choć nieco irytującym członkiem grona wykładowczego, przede wszystkim dlatego, że miał prawo (zgodnie ze statutem) wygłaszać niektóre z tych niemiłych wypowiedzi, jakie inni magowie chętnie wypowiadaliby sami. Ktoś z włosami w szpic nad czołem, pierścieniem z czaszką, groźną laską i w czarnej szacie powinien generować trochę zła, choć statut uniwersytetu przeddefiniował w tym przypadku zło dopuszczalne jako niedogodność zbliżoną do związanych razem sznurowadeł albo chwilowego ataku świerzbienia krocza. Nie był to układ całkowicie zadowalający, ale mieścił się w pięknych tradycjach NU: Hix dobrodusznie zajmował niszę, którą w innym przypadku mógłby opanować ktoś naprawdę zaangażowany w całe te gnijące trupy czy obdarte ze skóry czaszki. Owszem, stale wręczał kolegom darmowe bilety na rozmaite amatorskie przedstawienia teatralne, w których obsesyjnie uczestniczył, ale wszyscy się zgadzali, że jeśli się zastanowić i porównać jedno z drugim, to i tak lepsze od obdzierania czaszek.

Dla Hiksa taki tłum był zbyt dobrą okazją, by ją zmarnować. Nie tylko otaczała go obfitość sznurowadeł do fachowego powiązania, ale też mnóstwo kieszeni. Zawsze miał w szacie⁹ ulotki reklamujące najbliższe przedstawienie, a przecież nie były to kradzieże kieszonek. Wręcz

⁸ Krótko mówiąc, każdy mag dobrze wiedział, że cokolwiek by zrobił, zawsze znajdą się inni magowie, potajemnie próbujący groźnej i nieczystej magii w jakiejś grocie.

⁹ Hix stanowczo odmówił noszenia spodni. Żaden nieszamijający się mroczny mag nawet by nie pomyślał, by włożyć coś tak pospolitego jak spodnie, oznajmił. Całkiem psują wrażenie.

przeciwnie. Wcisnął więc te ulotki do wszystkich kieszeni, które znalazł.

* * *

Dzień ten był dla Nutta tajemnicą i tajemnicą pozostał, z każdą minutą stając się bardziej tajemniczy. W oddali zabrzmiał gwizdek. Gdzieś wśród tego przesuwającego się, przepychającego, ściskającego, a przede wszystkim pijącego tłumu ludzi najwyraźniej trwał mecz. W tej kwestii musiał wierzyć Trevowi na słowo. Z daleka słyszał oochy i aaachy, a tłum falował i przelewał się w odpowiedzi. Trev i jego koledzy, którzy – o ile Nutt zdołał to zrozumieć wśród gwaru – z niezrozumiałych powodów nazywali siebie Przyćmioną Pupą Bojową, wykorzystywali każdą otwierającą się na moment szczelinę, by coraz bardziej się zbliżać do tajemniczego meczu. Zapierali się, gdy tłum na nich naciskał, i pchali mocno, gdy sprzyjała im fala. Pchnięcie, kołysanie, nacisk... i coś w tym wszystkim przemawiało do Nutta, przez podeszwy stóp i dłonie ze zwodniczą subtelnością docierało do mózgu. Obdzierało go z siebie i pozostawiało jako bijącą część tej żywej, poruszającej się masy dookoła.

Przeleciał chórалny śpiew. Zaczął się gdzieś po przeciwnej stronie gry i czymkolwiek był na początku, teraz stał się tylko czterema sylabami ryku z setek gardel i wielu garnców piwa. Kiedy ucichł, zabrał ze sobą to ciepłe uczucie przynależności, pozostawiając pusty otwór...

Nutt spojrzał w oczy Treva.

– Zdarzyło ci się, co? – spytał Trev. – Szybko poszło.

– To było... – zaczął Nutt.

– Wiem. Nie rozmawiamy o tym – odparł twardo Trev.

– Ale to do mnie mówiło bez...

– Nie rozmawiamy o tym, jasne? Nie o takich sprawach. Patrz! Odsuwają ich do tyłu! Otwiera się przejście! Pchamy!

A Nutt dobrze umiał pchać. Bardzo dobrze. Pod jego nieubłaganym naciskiem ludzie odsuwali się albo delikatnie przekręcali i znikali z drogi, ich podkute buty zgrzytały na kamieniach bruku, gdy – z braku innego wyboru – przetaczali się ściśnięci obok Nutta i Treva, by wyładować za nimi, trochę oszołomieni, zdziwieni i zagniewani.

Teraz jednak Nutt poczuł, że ktoś gorączkowo ciągnie go za pasek.

– Przestań pchać! – zawołał Trev. – Zostawiliśmy tamtych z tyłu!

– W istocie moje postępy hamuje w tej chwili budka z puddingiem groszkowym i z zupą rybną. Staralem się, panie Trev, ale ona naprawdę mnie spowalnia – rzucił przez ramię Nutt. – A także panna Glenda. Witam, panno Glendo.

Trev się obejrzał. Za nim toczyła się jakaś bójka i słyszał okrzyk bojowy Andy’ego. Koło Andy’ego zwykle trwały jakieś bójkki, a jeśli nie, to je wywoływał. Ale nie można było Andy’ego nie lubić, bo... no, po prostu nie można. On... Zaraz, tam z przodu jest Glenda? Ale to znaczy, że i Ona tam będzie...

Z przodu nastąpiło jakieś poruszenie i mniej więcej obły przedmiot, owinięty strzępami tkaniny, wzleciał w powietrze i opadł przy wtórze wiwatów i gwizdów tłumu. Trev stał tuż przy meczu już wielokrotnie. Nie było to nic niezwykłego. Dziesiątki razy widział piłkę.

Ale jak długo Nutt niczym pług śnieżny pchał przed sobą ten stragan? O rany, pomyślał Trev. Znalazłem gracza! Jak on to robi? Przecież wygląda, jakby głodował.

Wobec braku jakiegokolwiek drogi przez ściśniętych ludzi, Trev przesunął się między nogami Nutta i na chwilę spojrzał wzdłuż alei brzegów płaszczy, butów oraz – tuż przed nim – pary nóg wyglądających o wiele bardziej atrakcyjnie niż te Nutta. Wynurzył się o kilka cali od jasnoniebieskich oczu Juliet. Nie wyglądała na zaskoczoną – zaskoczenie to sprawa natychmiastowa, a zanim Juliet zdążyła owo zaskoczenie zarejestrować, zwykle już mijało. Glenda za to należała do osób, które natychmiast ciskają zaskoczenie na deskę oburzenia i ubijają w furję. Kiedy więc spojrzenia Treva i Juliet się spotkały i metaforyczne ptaszki odchrząknęły, szykując się do wielkiego występu, Glenda wyrosła nagle między nimi i zapytała:

– U demona, co tutaj robisz, Trevorze Likely?

Ptaszki się rozwiały.

– A co ty robisz tutaj z przodu? – spytał Trev.

Nie była to najlepsza riposta, ale w tej chwili, gdy serce biło jak młotem, nie było go stać na nic lepszego.

– Dopchali nas tutaj! – burknęła Glenda. – To wyście nas pchali!

– Ja? Ja nigdy! – oburzył się Trev. – To...

Zawahał się. Nutt? Wystarczy na niego popatrzeć, jak stoi taki wystraszony i wychudzony, jakby nigdy w życiu nie jadł porządnego obiadu. Sam bym sobie nie uwierzył, pomyślał, a przecież jestem sobą.

– To byli ci z tyłu – dokończył niepewnie.

– Trolle w wielkich butach, co? – spytała Glenda głosem kwaśnym jak ocet. – Byłybyśmy już na polu gry, gdyby nie ten oto pan Nutt, który was powstrzymywał!

Niesprawiedliwość tych słów wstrząsnęła Trevem, ale postanowił siedzieć cicho, nie kłócić się z Glendą. W jej oczach Nutt nigdy nie mógł zrobić nic złego, a Trev nigdy nic dobrego, z czym trudno byłoby się spierać, ale uważał, że należałoby poprawić tę opinię na „nigdy nie robi nic naprawdę złego”.

Ale obok stała Juliet i uśmiechała się do niego. Kiedy Glenda zaczęła rozmawiać z Nuttem, Juliet wcisnęła mu coś w rękę i odwróciła się, jakby nic się nie stało.

Trev rozprostował palce. Serce biło mu mocno. Zobaczył małą emaliowaną odznakę w czerni i bieli, kolorach znieawidzonego wroga. Wciąż zachowała ciepło Jej dłoni...

Szybko zaciśnął pięść i rozejrzał się nerwowo, czy ktoś nie zauważył tej jego zdrady wszystkiego, co dobre i prawdziwe, to znaczy dobrego imienia Ćmoków. Przypuśćmy, że potrafiłby go troll i ktoś z chłopaków znalazłby to przy nim! Przypuśćmy, że Andy by znalazł!

Ale to przecież prezent od Niej! Wsunął dłoń do kieszeni i upchnął znaczek na samo dno. Będzie ciężko, a Trev nie należał do ludzi, którzy lubią życiowe problemy.

Właściciel straganu, który przedsiębiorczo sprzedał przesuwającą się klienteli kilka porcji, podszedł do Treva i wręczył mu torebkę gorącego groszku.

– Twardego macie tu kumpla – stwierdził. – To jakaś odmiana trolla, tak?

– Nie troll. Goblin – wyjaśnił Trev.

Odgłosy bójkii rozbrzmiewały teraz bliżej.

– Myślałem, że to takie małe dranie...?

– Ten nie – stwierdził Trev, marząc o tym, by straganiarz sobie po-

szedł.

Zapadła nagle, zlokalizowana cisza. Taki dźwięk, jaki wydają ludzie wstrzymujący oddech. Spojrzał w górę i zobaczył piłkę – drugi raz w czasie meczu.

Gdzieś w środku miała jesionowy rdzeń, potem skórzaną powłokę, a na końcu dziesiątki warstw tkaniny, by można ją było lepiej chwycić... I z precyzyjną nieuchronnością opadała ku przepięknej, rozmarzonej główce Juliet. Trev bez chwili namysłu skoczył na dziewczynę i wciągnął ją pod wózek. Piłka stuknęła o bruk, gdzie przed chwilą Ona czyniła światu łaskę swą obecnością.

Wiele myśli przemknęło Trevowi przez głowę, gdy piłka spadała na ziemię. Miał Ją w ramionach, nawet jeśli narzekała, że ubłoci sobie płaszcz. Prawdopodobnie ocalił Jej życie, co z romantycznego punktu widzenia było niczym lokata w banku. No i... a tak. Ćmok czy Dolas, jeśli któryś z tych twardych fanów to odkryje, następną rzeczą, jaka trafi Trevowi do głowy, będzie but.

Ona zachichotała.

– Cicho! – wyszeptał. – To nie jest dobry pomysł, chyba że chcesz wiedzieć, jak byś wyglądała po ogoleniu tych ślicznych włosów.

Trev wyrzwał spod wózka i nie zwrócił niczyjej uwagi.

Przyczyną był fakt, że Nutt podniósł piłkę i teraz obracał ją w dłoniach, ze zmarszczonym tym, co pozostało widoczne z jego – jeśli ktoś byłby uprzejmy – twarzy.

– I to już wszystko? – zwrócił się do osłupiałej Glendy. – Wyjątkowo niewłaściwe zakończenie przyjemnego zgromadzenia towarzyskiego z interesującymi przekąskami! A gdzie powinien się znajdować ten nieszczęsny przedmiot?

Zahipnotyzowana tym widokiem Glenda wyciągnęła drżący palec w ogólnym kierunku w głąb ulicy.

– Tam jest taki wielki słup... Pomalowany na biało i... pochlapany trochę na czerwono u dołu...

– A tak, już widzę. W tej sytuacji zaraz... Słuchajcie, ludzie, może przestaniecie się pchać? – dodał Nutt, zwracając się do otaczających go widzów, którzy ciekawie wyciągali szyje.

– Ale nie ma takiej możliwości, żebyś tam w ogóle dotarł! –

krzyknęła Glenda. – Połóż to i chodźmy stąd!

Trev usłyszał stęknienie Nutta i absolutne milczenie reszty świata. No nie, pomyślał. Naprawdę nie. Do gola musi być więcej niż... ile?... siedemdziesiąt pięć sążni, a taka piłka leci jak wiadro. Przecież nie może...

Daleki stuk rozerwał tę bezdechową ciszę, która jednak zasklepiała się błyskawicznie.

Trev spojrział nad czyjś ramieniem i zobaczył, jak sześćdziesięciostopowy gol przegrywa swą bitwę z termitami, próchnem, pogodą, grawitacją i Nuttem, i w chmurze pyłu wali się na swoją podstawę. Był tak zaskoczony, że prawie nie zauważył wstającej obok Juliet¹⁰.

– Czy to jakby, no... znak? – spytała Juliet, która wierzyła w takie rzeczy.

Trev natomiast w tej chwili wierzył we wskazanie palcem drugiej strony ulicy i okrzyk:

– Tam pobieg!

Potem szarpnięciem postawił Juliet na nogach i stuknął Nutta w żołądek.

– Idziemy! – rzucił.

Nic nie mógł zrobić z Glendą, ale to nie miało znaczenia: dopóki trzymał Juliet, Glenda podąży za nimi jak sęp za padliną. Ludzie próbowali biec w stronę niewidocznego gola, inni ścigali rzekomo uciekającego długodystansowego strzelca. Trev wyciągnął rękę w przypadkowym kierunku.

– Tam uciek! Wysoki, w czarnym kapeluszu!

Zamieszanie zawsze pomagało tym, którzy nie byli w nie zamieszani; kiedy trzeba było krzyczeć i gonić, starał się być tym, który krzyczy.

Zatrzymali się kilka zaułków dalej. Gdzieś z daleka wciąż słyszeli

¹⁰ W rzeczywistości Juliet wynurzająca się spod wózka pozostała praktycznie niezauważona przez wszystkich prócz studenta sztuki, który został niemal oślepiony przez blask tego spektaklu. Wiele lat później namalował obraz znany jako „Wenus wynurzająca się spod wózka z puddingiem groszkowym, otoczona przez cherubiny niosące hot dogi i zapiekanki”. Powszechnie uważano go za arcydzieło, chociaż nikt nie mógł pojąć, o co u demona w nim chodzi. Jednakże był piękny, a zatem i prawdziwy.

okrzyki, ale w tłumie na ulicach łatwiej się zgubić niż w puszczy.

– Może powinienem tam wrócić i przeprosić? – spytał niepewnie Nutt. – Mógłbym łatwo zrobić nowy słup.

– Przykro mi to mówić, Gobbo – odparł Trev – ale mogłeś wkurzyć akurat takich ludzi, którzy nie słuchają przeprosin. Nie zatrzymywać się.

– Ale dlaczego mieliby się zdenerwować?

– No więc, panie Nutt, nie wolno strzelać goli na cudzym meczu, zresztą jest pan widzem, nie graczem – wyjaśniła Glenda. – A po drugie, taki strzał mógł przytrzeć niektórym nosa. Mógł pan kogoś zabić!

– Nie, panno Glendo. Zapewniam, że wcale nie mogłem. Specjalnie celowałem w ten słup.

– I co? To przecież nie znaczy, że na pewno musiałeś trafić!

– Eee... muszę powiedzieć, że jednak to znaczy – wymamrotał.

– Ale jak to zrobiłeś? Ten słup rozleciał się na kawałki, a one przecież nie rosną na drzewach! Wszystkich nas wpędzisz w kłopoty!

– Dlaczego on nie może być graczem? – spytała Juliet, podziwiając swoje odbicie w szybie.

– Co? – zdziwiła się Glenda.

– Do wszystkich demonów! – mruknął Trev. – Z nim w drużynie nie trzeba by drużyny!

– To by było mniej biegania – uznała Juliet.

– Ty tak uważasz – odparła Glenda. – Zresztą gdzie tu jakaś zabawa? To już nie byłby mecz...

– Jesteśmy obserwowani – wtrącił Nutt. – Przepraszam, że się wtrącam.

Trev się rozejrzał. Ulica była gwarna, ale zajęta głównie własnymi sprawami.

– Nikt się nami nie interesuje, Gobbo. Jesteśmy już daleko.

– Czuję to przez skórę – upierał się Nutt.

– Jak to, przez całą tę wełnę? – zdziwiła się Glenda.

Odwrócił się i spojrzał na nią smutnymi oczami.

– Tak – potwierdził.

Przypominał sobie, jak Lady sprawdzała tę jego zdolność. Wtedy wydawało się to zabawą.

Spojrzał w górę i jakaś duża głowa schowała się szybko za krawędź

dachu. Wyczuł bardzo delikatny zapach bananów. Ach, to ten... Jest miły. Nutt widywał go czasem, przesuwającego się na rękach po rurach.

– Powinnaś zaprowadzić ją do domu – zwrócił się Trev do Glendy.
Glenda zadrżała.

– To nie jest dobry pomysł. Stary Stollop zapyta ją, co widziała z meczu.

– I co?

– I mu powie. Kogo widziała też.

– Nie może skłamać?

– Nie tak jak ty byś mógł, Trev. Nie za dobrze jej wychodzi wymyślanie czegoś... Może lepiej wracajmy na uniwersytet. Wszyscy tam pracujemy, a ja często przychodzę, żeby nadgonić z pracą. My pójdziemy prosto, wy dwaj dookoła, bardzo dookoła. Nie widzieliśmy się, jasne? I na wszystkich bogów, nie pozwól mu robić niczego głupiego!

– Przepraszam, panno Glendo... – wtrącił grzecznie Nutt.

– Tak? O co chodzi?

– Do którego z nas się pani zwraca?

* * *

– Zawiodłem pana – rzekł Nutt, kiedy szli swobodnie wśród pomeczowego tłumu. A przynajmniej Trev szedł swobodnie. Nutt posuwał się dziwnym krokiem, który sugerował, że coś jest nie w porządku z jego miednicą.

– Nie, da się załatwić – uspokoił go Trev. – Wszystko da się załatwić. Ja jestem załatwiczem. Co ludzie naprawdę zobaczyli? Tylko gościa w ciuchach Ćmoków. Jest nas tysiące. Nie przejmuj się... Ehm... A jak to się stało, że taki z ciebie twardziel, Gobbo? Przez całe życie dźwigałeś ciężary czy jak?

– Wygłosił pan poprawne przypuszczenie, panie Trev. Zanim się narodziłem, rzeczywiście podnosiłem ciężary. Byłem wtedy dzieckiem, oczywiście.

Szli dalej i dopiero po chwili Trev się odezwał.

– Mógłbyś to powtórzyć? Utknęło mi w głowie. Właściwie to mam

wrażenie, że jakiś kawałek ciągle mi sterczy z ucha.

– No tak. Istotnie, mogłem utrudnić panu zrozumienie. Był taki czas, kiedy mój umysł wypełniała ciemność. Potem brat Oats poprowadził mnie do światła i się narodziłem.

– Aha, religijne bajki...

– Ale oto jestem. Pytał pan, czemu jestem silny. Kiedy żyłem w mroku kuźni, podnosiłem ciężary. Z początku obcęgi, potem mały młotek, później największy młot, aż wreszcie pewnego dnia zdołałem podnieść kowadło. To był dobry dzień. Zyskałem odrobinę wolności.

– Dlaczego to takie ważne, że podniosłeś kowadło?

– Byłem do niego przykuty.

Szli w milczeniu, dopóki nie odezwał się Trev, bardzo starannie dobierając każde słowo:

– Wydaje się, że życie w górach było ciężkie...

– Teraz nie jest już tak źle, jak sądzę.

– Człowiek zaczyna doceniać, co mu się dobrego zdarza, jakby...

– Chodzi o obecność pewnej damy, panie Trev?

– Tak, jeśli już pytasz. Cały czas o niej myślę! Naprawdę ją lubię! Ale jest z Dolasów! – Niewielka grupka kibiców obejrzała się na nich, więc Trev zniżył głos do szeptu. – Ma braci z piachami jak bycze zady!

– Czytałem, panie Trev, że miłość śmieje się ze ślusarzy.

– Naprawdę? A co robi, kiedy oberwie po gębie byczym zadem?

– Poeci niczego nie podpowiadają w tej kwestii, panie Trev.

– Poza tym – dodał Trev – ślusarze to zwykle spokojni goście, wiesz? Ostrożni, cierpliwi... jak ty. Tak sobie myślę, że nawet jakiś drobny żarcik by ci uszedł. Na pewno spotykałeś już dziewczyny. Niby żaden z ciebie olejny obraz, szczerą prawdą, ale one lubią takie aliganckie słówka. Założę się, że jadły ci z ręki... no, jak ją już umyłeś, oczywiście.

Nutt się zawahał. Była naturalnie Lady i panna Healstether, jednak żadna z nich nie pasowała zbyt do kategorii „dziewczyna”. Były też Małe Siostrzyczki, z całą pewnością młode i prawdopodobnie płci żeńskiej, ale trzeba przyznać, że przypominały raczej inteligentne kurczaki i nie wyglądały najlepiej podczas karmienia – ale znowu, „dziewczyny” nie wydawało się dobrym określeniem.

– Nie spotykałem zbyt wielu dziewcząt – wyznał.
– Glenda naprawdę na ciebie leci. Tylko uważaj, bo jak jej pozwolisz, od razu zacznie tobą kierować. Zawsze tak robi. Ze wszystkimi.
– Wydaje mi się, że wy dwoje macie wspólną historię – oświadczył Nutt.

– To ty jesteś sprytny, nie? Milczący, ale ostry jak nóż. Tak, to chyba rzeczywiście historia. Chciałem się zająć geografią, ale ona ciągle tłukła mnie po łapach. – Trev przerwał, by sprawdzić, czy na twarzy Nutta nie dostrzeże jakiegoś blasku. – To był żart – dodał bez większej nadziei.

– Dziękuję za tę informację, panie Trev. Później spróbuję go rozszyfrować.

Trev westchnął.

– Ale ja już nie jestem taki, a Juliet... No wiesz, mógłbym się czołgać całą milę po tłuczonym szkłe, żeby tylko trzymać ją za rękę i żadnych numerów.

– Napisanie wiersza często otwiera drogę do serca wybranki – oświadczył Nutt.

Trev się rozpromienił.

– Ach, ze słowami dobrze mi idzie! Ja napiszę list, a ty mógłbyś go jej przekazać. Napisałbym na aliganckim papierze, coś w rodzaju, czekaj... „Myślę, że jesteś naprawdę niezła. Może się spotkamy? Żadnego migdalenia, obiecuję. Szczerze, Trev”. Jak to brzmi?

– Duch tego listu jest czysty i szlachetny, panie Trev. Ale... Ach, gdybym mógł jakoś panu pomóc...

– Potrzebne są dłuższe słowa, co? I bardziej taki jakby zakręcony język...

Ale Nutt nie zwracał na niego uwagi.

– Jak dla mnie to brzmi ślicznie – rozległ się jakiś głos nad głową Treva. – A kogo ty znasz, kto umie czytać, mądrało?

Braciom Stollop trzeba było przyznać jedno: nie byli Andym. W ogólnym schemacie świata nie dawało to wielkiej różnicy, zwłaszcza kiedy człowiek nic nie widział przez krew, jednak w największym skrócie Stollopowie wiedzieli, że siła zawsze jest skuteczna, dlatego też nie próbowali niczego innego. Podczas gdy Andy był zimnym psychopatą, za którym inni szli tylko dlatego, że to bezpieczniejsze, niż stanąć

przed nim. Potrafił zachowywać się czarująco, kiedy opanowała go jedna z tych szaleńczo oscylujących zmian nastroju; był to najlepszy moment, żeby uciekać. Co do Stollopów, badacz nie potrzebował wiele czasu na odkrycie, że mózgiem rodziny jest Juliet. Z punktu widzenia Treva jego przewaga polegała na tym, że uważali się za sprytnych, ponieważ nikt nigdy nie wyprowadził ich z tego błędu.

– Ha! Pan tak zwany Trev – rzekł Billy Stollop, dźgając Treva paluchem wielkości parówki dla hipopotama. – Taki z ciebie mądrała, to może powiesz, kto złamał gola, co?

– Byłem w Ścisku, Billy. Nic nie widziałem.

– Zagra dla Ćmoków? – nie ustępował Billy.

– Billy, nawet twój ojciec w najlepszych czasach nie mógłby rzucić piłki nawet w połowie tak daleko, jak wszyscy mówią. Wiesz o tym, nie? Tybyś tak nie rzucił. Słyszałem, że słup Aniołów po prostu się rozleciał i ktoś wymyślił taką historyjkę. Czy ja bym cię okłamywał, Billy?

Trev potrafił z łatwością wymyślać kłamstwa, które były niemalże prawdą.

– Tak, bo jesteś Ćmok!

– No dobra, rozgryześ mnie, przejrzałeś na wylot. – Trev rozłożył ręce. – Szacun i w ogóle, Billy... To Nutt, ten tutaj, rzucił piłką. I to jest moja ostateczna oferta.

– Powinienem ci za to tak przywalić, żeby łeb ci zleciał – burknął Billy, zerkając pogardliwie na Nutta. – Ten dzieciak nie wygląda, żeby w ogóle potrafił unieść piłkę.

A wtedy za plecami Treva odezwał się inny głos.

– Ojej, Billy, wypuścili cię bez obroży?

– Bogowie... – usłyszał Nutt szept Treva. – A tak dobrze szło...

Po czym jego przyjaciel odwrócił się i powiedział:

– To publiczna ulica, Andy. Każdemu wolno przechodzić.

– Dolasy zabiły twojego starego. Trev. Nie masz wstydu?

Reszta Grupy Bojowej stała za Andym. Ich miny wyrażały połączenie wyzwania i świadomości, że po raz kolejny zostaną do czegoś wciągnięci. Byli już na jednej z głównych ulic. Straż zwykle nie wtrącała się do bójek w zaułkach, ale tutaj, na oczach wszystkich, musiała jakoś reagować na wypadek, gdyby podatnicy się skarżyli. A że zmęczone

gliny nie lubiły czegokolwiek robić, robiły to szybko i mocno, żeby przy odrobinie szczęścia nie robić tego znowu, a w każdym razie nieprędko.

– Co wiesz o tym wszystkim, co opowiadają o kibicu Ćmoków i dziuni z Dolasów, którzy w Ścisiku trzymali się za ręce? – zapytał Andy, kładąc ciężką dłoń na ramieniu Treva. – No, dalej, sprytny jesteś, zawsze wiesz wszystko pierwszy.

– Dziuni? – To był Billy; miał uszy bardzo daleko od mózgu. – Na Siostrach Dolly nie ma dziewczyny, która by spojrzała na waszą przyszłą bandę!

– Ach, więc to od was je łapiemy... – wtrącił Pierdoła Carter.

W tych okolicznościach Nutt uznał to za uwagę zapalną. Być może, pomyślał, jest taki rytuał, że trzeba wymieniać dziecięce przezwiska, dopóki obie strony nie uznają ataku za całkowicie usprawiedliwiony, jak to zauważył doktor Vonmausberger w „Rytualnej agresji dojrzewających szczurów”.

Ale Andy wydobył już spod koszuli swój krótki kord. Była to paskudna broń, obca prawdziwemu duchowi kopanej piłki, który na ogół uśmiechał się pobłaźliwie przy przedmiotach, co to uderzają, drapią, łamią i... no dobrze, w najgorszym wypadku, pod wpływem chwili i tak dalej... oślepiają¹¹. Ale nagle przychodził Andy, który walczył o Sprawę. A kiedy już w pobliżu zjawiał się ktoś taki jak Andy, zjawiali się też inni tacy jak on; w efekcie każdy dzieciak, który w innej sytuacji zabrałby na mecz jakiś kastet na pokaz, wyraźnie dzwonił przy każdym kroku i wymagał pomocy, kiedy upadł.

Teraz wszędzie obłuzowywano broń.

– Lepiej uważajmy – ostrzegał Trev, który cofnął się i uspokajająco machał pustymi rękami. – To ruchliwa ulica, nie? Bo jak Stary Sam przyłapie was na bójce, zwał się na was z wielkimi, ciężkimi pałami i będą tłukli, aż wyrzycicie śniadanie, a za co? Bo was nie cierpią, bo przez was muszą pisać różne raporty, zamiast siedzieć w sklepie z pączkami.

¹¹ Człowiekowi zostawało przecież jeszcze drugie oko, prawda? No i miał teraz żelazny dowód na to, że jest twardzielem, zwłaszcza jeśli zarobił jeszcze jedną z tych blizn, które biegną przez oko na policzek. Wystarczyła wtedy czarna opaska i już nigdy nie musiał w barze czekać, aż go obsłużą.

Cofnął się jeszcze o krok.

– A potem, z powodu tego, że uszkodzili sobie pałki o wasze głowy, pogonią was na Tanty na miłą noc w Tanku. Byliście tam? Taka to zabawa, że chcecie wrócić?

Z satysfakcją zauważył wyraz niechętnych wspomnień na twarzach wszystkich prócz Nutta, który nie mógł mieć o niczym pojęcia, oraz Andy’ego, który z Tankiem był za pan brat. Ale nawet Andy nie miał ochoty stawać przeciwko Samom. Człowiek zabije któregoś, a Vetinari da mu wyjątkową szansę sprawdzenia, czy potrafi ustać w powietrzu.

Uspokoił się trochę, ale nie za bardzo. W tej ściskającej zwieracze sytuacji wystarczyłby jeden idiota...

Okazało się zresztą, że tę funkcję może spełnić także jedna mądra osoba. Nutt zwrócił się do Algernona, najmłodszego ze Stollopów, i powiedział uprzejmie:

– Czy wie pan, że sytuacja tutaj bardzo przypomina opisywane przez Vonmausbergera w jego rozprawie o eksperymentach na szczurach?

Niemal natychmiast, po jednej sekundzie tego, co u braci Stollopów uchodziło za namysł, Algernon przyłożył mu mocno maczugą. Algernon był dużym chłopcem.

Trev zdążył chwycić przyjaciela, zanim ten upadł na bruk. Maczuga trafiła Nutta prosto w pierś i rozerwała stary sweter. Krew sączyła się przez szwy.

– Czemu musiałeś go bić, ty głąbie? – zapytał Trev Algernona, co do którego nawet jego bracia przyznawali, że jest tępym jak pokruszona cegła.

– Nic nie zrobił. O co ci chodziło?

Zerwał własną koszulę i zaczął opatrywać Nutta, próbując zatamować krew. Podniósł się znowu pół minuty później i cisnął w Algernona mokrą koszulą.

– Serce nie bije, ty kretynie! Co on ci zrobił?

Pechowy Algernon czuł na twarzy żar wściekłości Treva.

– Ale jakby... – wybełkotał. – Bo to Ćmok...

– A ty niby kto?! – wrzasnął Trev. – Skończony idiota i tyle!

Spojrzał na pozostałych, grożąc im drżącym palcem.

– Kim jesteście? Kim jesteście? Niczym! Śmieciami! Jesteście ściekami! – Dźgnął palcem nieruchomego Nutta. – A on? On robił różne

rzeczy! Wiedział różne rzeczy! I nigdy nawet nie oglądał meczu, dopiero dzisiaj! Nosił szalik, żeby się nie wyróżniać!

– Nie martw się, Trev, kumplu – syknął Andy i groźnie wznosił kordelas. – To będzie powód do krwawej wojny!

Ale Trev krzyczał mu już w twarz niczym natrętna osa:

– Co gadasz?! Jesteś psychol! Nic nie rozumiesz, nie?!

– Widzę hełmy, Andy – poinformował z naciskiem Jumbo.

– A co ja zrobiłem?

– Tyle co ci durni Stollopowie! Ćmoki i Dolasy? Mam nadzieję, że bogowie nasrąją rzadko na was wszystkich!

– Są już całkiem blisko, Andy!

Chłopcy Stollopów, którzy nie byli tak całkiem głupi, już odchodzili. Ludzie w barwach kibiców krążyli po całym mieście i straż nie mogła ścigać wszystkich. Ale przyłożenie jakiegoś gościowi, który potem mocno krwawił i przestał oddychać, no cóż, to było równoznaczne z morderstwem, a w tych okolicznościach Stary Sam mógł doznać gwałtownego przyspieszenia.

Andy ze złością pogroził Trevowi palcem.

– Ciężkie jest życie w Ścisku, kiedy jesteś tępym głupkiem bez kumpli.

– To nie jest Ścisk!

– Lepiej się obudź, mały. Wszystko jest w Ścisku.

Po czym Grupa wyniosła się pospiesznie; tylko Jumbo obejrzał się jeszcze i rzucił bezgłośnie „Przepraszam”. Zresztą nie oni jedni starali się szybko oddalić. Ludzie na ulicy lubili darmowe spektakle, ale ten mógł się wiązać z pewnymi kłopotami, na przykład z zadawaniem trudnych metafizycznych pytań w rodzaju „Wiedział pan coś?” lub podobnych. Straż mogła sobie powtarzać, że „niewinni nie mają się czego obawiać”, ale co z tego wynikało? Kogo obchodzili niewinni i ich problemy, kiedy straż robiła swoje?

Trev przyklęknął przy stygającym ciele Nutta.

I dopiero teraz, po raz pierwszy chyba od minuty, miał wrażenie, że znowu oddycha. Przestał, kiedy wrzeszczał na Andy’ego, bo kiedy człowiek mówi Andy’emu takie słowa, i tak jest już trupem, więc po co marnować oddech?

Powinno się chyba coś robić... Powinno się tłuc leżącego w pierś, żeby tak jakby pokazać konającemu sercu, jak znowu powinno bić? Ale nie wiedział jak, a nie trzeba specjalnego sprytu, by zrozumieć, że lepiej nie uczyć się tego, kiedy nadchodzi straż. W ten sposób nie robi się dobrego pierwszego wrażenia.

Właśnie dlatego, kiedy dwaj strażnicy zbliżyli się szybkim krokiem, Trev chwiejnie szedł im naprzeciw, dźwigając na rękach Nutta. Z ulgą zobaczył, że dowodzi funkcjonariusz Haddock – przynajmniej należał do tych, którzy najpierw zadają pytania. Za nim, przesłaniając większą część okolicy, szedł funkcjonariusz troll Bluejohn, który potrafił oczyścić całą ulicę, zwyczajnie przechodząc jej środkiem.

– Może mi pan pomóc go zanieść do Lady Sybil, panie Haddock? – zapytał Trev. – Jest bardzo ciężki...

Funkcjonariusz Haddock odsunął pokrwawioną koszulę i cmoknął ze smutkiem. Z doświadczeniem przychodzi wiedza.

– Kostnica jest bliżej, mój chłopcze.

– Nie!

Haddock kiwnął głową.

– Jesteś synem Davida Likely'ego, tak?

– Nie muszę panu mówić!

– Nie, bo mam rację – odparł spokojnie funkcjonariusz Haddock. – No dobra, Trev. Ten oto Bluejohn zanieś tego człowieka, którego, jak się domyślam, widzisz pierwszy raz w życiu, a my obaj pobiegniemy, żeby dotrzymać mu kroku. Przedwczorajszej nocy mieliśmy tu przyzwoitą burzę z piorunami. Może będzie miał szczęście. I ty może też.

– Ja tego nie zrobiłem!

– Oczywiście, że nie. A teraz... przekonamy się, kto szybciej biega, co? Najpierw szpital.

– Chcę zostać przy nim – oświadczył Trev, kiedy Bluejohn wielką dłońią delikatnie podniósł Nutta.

– Nie, mały – rzekł Haddock. – Zostaniesz przy mnie.

* * *

Nie skończyło się na funkcjonariuszu Haddocku. Nigdy się nie kończyło. Wszyscy nazywali go Śledziem, a jego spokojna, przekazywana bez słów sugestia brzmiała: Skoro tkwimy w tym obaj, po co mamy sobie utrudniać życie?

Jednak wcześniej czy później człowiek trafiał do kogoś starszego stopniem, pracującego ciężko w małym pokoiku z innym gliną przy drzwiach. A ta, do której trafił Trev, na oko sądząc, pracowała na dwie zmiany.

– Jestem sierżant Angua, mój drogi, i mam nadzieję, że nie wpadłeś w poważne kłopoty.

Otworzyła notes i wygładziła kartkę.

– Przejdziemy procedurę? Powiedziałeś funkcjonariuszowi Haddockowi, że zobaczyłeś bójkę i kiedy dobiegłeś, wszyscy duzi chłopcy uciekli. Co dziwne, znalazłeś tam kolegę z pracy, pana Nuttsa, wykrwawiającego się na śmierć. No więc mogę się założyć, że potrafiłabym wymienić z nazwiska tych dużych chłopców. Co do jednego. Zastanawiam się, dlaczego ty nie potrafisz. I o co, Trevorze Likely, chodzi z tym?

Rzuciła ponad stołem czarnobiały emaliowany znaczek. I przypadkiem albo celowo, szpilka wbiła się w drewno kilka cali od dłoni Treva.

* * *

Nieoficjalna dewiza Darmowego Szpitala Lady Sybil brzmiała „Nie każdy umiera”. Istotnie, wskutek jego powstania szanse zgonu z niektórych przyczyn zostały zadziwiająco zredukowane. Tutejsi chirurdzy znani byli nawet z tego, że myli ręce także przed operacją, nie tylko po. Ale w tej chwili po białych szpitalnych korytarzach sunęła postać, która z osobistego doświadczenia wiedziała, iż ta nieoficjalna dewiza jest w rzeczywistości całkowicie błędna.

Śmierć stanął przy wyszorowanym blacie i spojrzał w dół.

PAN NUTT? NO CÓŻ, TO NIESPODZIANKA. Sięgnął pod szatę. SPÓJRZMY, CO TUTAJ MAMY. WIE PAN, DODAŁ, ZASTANAWIAŁEM SIĘ CZĘSTO, DLACZEGO LUDZIE TAK SIĘ SZARPIĄ.

W KOŃCU, W PORÓWNANIU Z TRWANIEM WIECZNOŚCI, NIE ŻYJĄ PRAWIE WCALE. NAWET PAN, PANIE NUTT, CHOĆ WIDZĘ, ŻE W PAŃSKIM PRZYPADKU TA SZARPANINA SPRAWI PEWNĄ NIEWIELKĄ MAGIĘ.

– Nie widzę pana – oświadczył Nutt.

NIC NIE SZKODZI, odparł Śmierć. PÓŹNIEJ I TAK NIE BĘDZIE MNIE PAN PAMIĘTAŁ.

– Czyli umieram?

TAK. UMIERA PAN, A POTEM ZNOWU ŻYJE. Wydobył spod szaty życiomierz i patrzył, jak piasek przesypuje się w górę. ZOBA-CZYMY SIĘ PÓŹNIEJ, PANIE NUTT. OBAWIAM SIĘ, ŻE BĘDZIE PAN MIAŁ CIEKAWE ŻYCIE.

* * *

– Odznaka Dolasów u chłopaka z Ćmoków? Niech bogowie mają litość nad moją duszą, o co tu może chodzić? I wiesz co? Odkryję to. To tylko kwestia pchnięcia...

Trev milczał. Skończyły mu się możliwości. Poza tym spotykał już tę sierżant i zawsze miał wrażenie, że wpatruje się w jego gardło.

– Funkcjonariusz Haddock mówił, że Igor pełni dyżur w Lady Sybil. Mam nadzieję, że znajdzie w zbiornikach odpowiednie dla twojego przyjaciela serce. Naprawdę – powiedziała. – Ale to nadal sprawa morderstwa, nawet jeśli jutro wyjdzie stamtąd na własnych nogach. Dekret lorda Vetinariego głosi: jeśli niezbędny jest Igor, żeby cię ożywić, to byłeś trupem. Tylko przez moment, oczywiście, i dlatego morderca też będzie wisiał tylko przez moment. Zwykle wystarcza ćwierć sekundy.

– Nawet go nie dotknąłem!

– Wiem. Ale trzymasz sztamę z kumplami, zgadza się? Jumbo i oczywiście Carter, no i tak, Andy Shank, twoi kumple, których tu nie ma. Słuchaj, nie jesteś aresztowany... jeszcze. Na razie pomagasz straży w czynnościach. To znaczy, że możesz skorzystać z wychodka, jeśli czujesz się odważny. Jeśli masz nastrój samobójczy, skorzystaj z bufetu. Ale jeśli spróbujesz uciec, wytropię cię. – Wciągnęła nosem powietrze i

dodała: – Jak pies. Rozumiesz?

– Czy nie mógłbym zobaczyć, co z Nuttem?

– Nie. Śledź ciągle tam siedzi. To znaczy funkcjonariusz Haddock, dla ciebie.

– Wszyscy go nazywają Śledziem.

– Możliwe, ale nie wtedy, kiedy ty mówisz o nim ze mną. – Sierżant z roztargnieniem kręciła znaczkami Dolasów. – Czy pan Nutt ma jakichś najbliższych krewnych? W ogóle krewnych?

– Rozumiem, o co chodzi. Opowiada o ludziach z Überwaldu. Tyle tylko wiem. – Trev skłamał odruchowo. Tłumaczenie, że ktoś spędził młodość przykuty do kowadła, na pewno by w tej sytuacji nie pomogło. – Ale dogaduje się z innymi przy kadziach.

– A skąd się tam wziął?

– Nigdy nie pytamy. Zwykle tkwi za tym jakaś paskudna historia.

– Ktoś kiedyś pytał ciebie?

Wytrzeszczył oczy. Takie właśnie są gliny. Niby przyjazne, a kiedy człowiek opuści gardę, wbijają mu kilof do mózgu.

– Czy to oficjalne pytanie gliny, czy zwyczajnie jest pani wścibska?

– Gliniarze nigdy nie są wścibscy, panie Likely. Jednakże niekiedy zadajemy niezwiązane pytania.

– Czyli to nie było oficjalne?

– Nie całkiem.

– To proszę je sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Sierżant Angua rzuciła mu gliniarski uśmiezek.

– Nie masz żadnej karty, którą odważyłbyś się zagrać, a jednak wyskakujesz z czymś takim. Od Andy’ego owszem, mogłabym się tego spodziewać, ale Śledź twierdzi, że jesteś sprytny. Jak sprytnym trzeba być, żeby się tak głupio zachować?

Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi, po czym strażnik wsunął głowę do pokoju. W tle ktoś krzyczał potężnym, władczym głosem:

–... znaczy, bez przerwy widujecie takie rzeczy, prawda? Na miłość bogów, chyba nie jest tak trudno...

– Słucham, Nobby?

– Kłopotliwa sytuacja, sierżancie. Ten sztywniak, co trafił do Lady Sybil... Doktor Lawn jest tutaj. Twierdzi, że tamten wstał i poszedł do

domu.

– Czy dali go do zbadania Igorowi?

– Tak. Tak jakby. E...

Strażnik został odepchnięty przez wylewnego mężczyznę w zielonym gumowym fartuchu, który najwyraźniej usiłował balansować pomiędzy byciem zagniewanym i przyjaznym. Za nim podążał Haddock próbujący go ułagodzić, jednak bez skutku.

– Słuchajcie, naprawdę staramy się pomagać – powiedział mężczyzna, zapewne wspomniany doktor Lawn. – Wy mówicie, że macie morderstwo, a ja odciążam starego Igora od płyty i trzymam w nadgodzinach. Ale przekażcie ode mnie Samowi Vimesowi, żeby przysłał mi swoich chłopców, kiedy akurat znajdą wolną chwilę, na krótki kurs pierwszej pomocy, a konkretnie wykrywania różnicy między martwym i śpiącym. W naszym fachu zawsze zaliczaliśmy zdolność chodzenia do tych kluczowych różnic, choć w tym mieście nauczyliśmy się uważać ją tylko za dobry początek. Ale kiedy ściągnęliśmy z niego prześcieradło, usiadł i zapytał Igora, czy ma kanapkę, co na ogół jest rozstrzygające. Poza gorączką nic mu nie dolegało. Mocny puls, co sugeruje działające serce. I ani zadrapania, choć przydałby mu się porządny obiad. Musiał być naprawdę głodny, bo zjadł tę kanapkę od Igora. A jeśli już mowa o jedzeniu, to i ja bym chętnie coś przegryzł.

– Pozwolił mu pan odejść? – spytała wstrząśnięta Angua.

– Oczywiście! Nie mogę trzymać człowieka w szpitalu tylko za to, że jest kłopotliwie żywy.

Zwróciła się do Haddocka.

– I ty też go puściłeś, Śledź?

– To była kwestia decyzji lekarza, sierżancie... – Haddock rzucił Trevowi smętne spojrzenie.

– Był cały zalany krwią! Naprawdę oberwał! – wybuchnął Trev.

– Czyli to żart? – próbowała jeszcze Angua.

– Mógłbym przysiąc, że nie miał pulsu, sierżancie – zapewnił Haddock. – Może to jeden z tych osiowych mnichów, którzy robią takie magiczne sztuczki...

– Czyli ktoś tu marnował czas straży. – Angua spojrzała wrogo na Treva.

Zrozumiał, że to jej ostatnia, desperacka próba.

– Ale niby co bym z tego miał? – zapytał. – Myśli pani, że chcę tu siedzieć?

Funkcjonariusz Haddock odchrząknął.

– To noc po meczu, sierżancie. Biurko się ugina, kibice biegają po całym mieście, a ktoś ich karmi masą plotek. Nie wyrabiamy, to tylko chcę powiedzieć. Mieliliśmy już parę niezłych awantur. A on w końcu sam sobie poszedł.

– Dla mnie to żaden problem – zapewnił doktor. – Przybył w poziomie, wyszedł w pionie. To preferowana kolejność. Poza tym muszę już wracać, sierżancie. Nas też czeka pracowita noc.

Sierżant rozejrzała się, szukając kogoś, na kogo mogłaby pokrzyzować. I zobaczyła Treva.

– Ty! Trev Likely! Do ciebie mówię! Idź i znajdź swojego kumpla. A jeśli znowu będą jakieś kłopoty, to będziesz miał.. kłopoty. Czy to jasne?

– Jak słońce, sierżancie!

Nie mógł się powstrzymać, po prostu nie mógł, nawet z zimnym potem ściekającym mu po plecach. Czuł się lekki.. podniesiony.. uwolniony.. Tylko że niektórzy nie potrafią uszanować chwili cudzego objawienia. Dla glin to niedostępne.

– Dla ciebie pani sierżant, Likely! Trzymaj!

Trev zdołał pochwycić szybujący przez pokój znaczek.

– Dzięki, sierżancie!

– Wynocha!

Wyszedł i nie zdziwił się, że kiedy tylko opuścił budynek, zbliżył się do niego mglisty kształt. W szarym powietrzu wyczuł lekki fetor. No cóż, przynajmniej to nie Andy. W tej chwili nie potrzebował Andy'ego.

– Tak, Carter? – zapytał mgły.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

Trev westchnął.

– Zgadłem.

Ruszył szybkim krokiem.

– Andy chce wiedzieć, co im powiedziałeś.

– Nie martw się, wszystko załatwione.

– Załatwione? Jak?

Carter zawsze był trochę za gruby. Musiał podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku.

– Nie mam zamiaru ci tłumaczyć. – Och, radosna chwilo...

– Ale mogę mu powtórzyć, że jesteśmy czyści?

– Wszystko załatwione! Zrobione i posprzątane! Zdmuchnąłem sprawę! Naprawiona! Zamknięta! Nie zdarzyła się!

– Jesteś pewien? – spytał Carter. – Wyglądał na solidnie rozbitego.

– No jak cię mam przekonać? – Trev rozłożył ręce i wykręcił piruet.

– Jestem Trev Likely!

– No to sprawa jasna. Wiesz co? Założę się, że Andy weźmie cię z powrotem do Grupy. Świetnie będzie, nie?

– A wiesz, jak Nutt myślał, że Grupa się nazywa?

– Nie. Jak?

Trev mu powiedział.

– No nie, to... – zaczął Carter, ale Trev mu przerwał.

– To zabawne, Carter. Zabawne, ale też trochę smutne i bezna-
dziejne. Naprawdę. – Zatrzymał się tak nagle, że Carter wpadł na niego.

– Dam ci radę: Pierdoła Carter daleko cię nie doprowadzi. Pierdymistrz też. Możesz mi wierzyć.

– Ale wszyscy mnie wołają Pierdoła Carter! – jęknął Pierdymistrz.

– Przywal następemu, który próbuje. Idź do lekarza. Ogranicz węglowodany. Unikaj zamkniętych pomieszczeń. Używaj płynu po goleniu – mówił Trev, znowu ruszając naprzód.

– Gdzie idziesz, Trev?

– Wychodzę ze Ścisku! – zawołał Trev przez ramię.

Carter rozejrzał się niepewnie.

– Jakiego Ścisku?

– Nie słyszałeś? Wszystko jest Ściskiem!

* * *

Trev podejrzewał, że się jarzy, kiedy tak biegł truchtem przez mgłę. Teraz wszystko będzie inaczej. Jak tylko przyjdzie Smeems, pogada z

nim o lepszej pracy albo co.

Jakaś postać wyrosła w szarości przed nim. Było to godne podziwu osiągnięcie, ponieważ nie była zbyt wyrosnięta – o całą głowę niższa od niego.

– Fanowny pan Likely? – odezwała się.

– A kto pyta? – spytał Trev. I dodał: – Co pyta?

Postać westchnęła.

– Jak rozumiem, jeft pan przyjacielem tego dżentelmena, którego przyjełifmy dzifaj do fpiłała.

– Co cię to obchodzi?

– Ofem, obchodzi – zapewniła postać. – Czy mogę fpytać, co pan wie o tym dżentelmenie?

– Nie muszę z tobą rozmawiać – oświadczył Trev. – Wszystko jest załatwione, jasne?

– Gdyby tak było... Mufę to z panem omówić. Nazywam fię Igor.

– A wiesz, miałem takie przeczucie. Ty jesteś tym, który zrobił Nuttowi kanapkę?

– Tak. Tuńczyk, fpaghetti i dżem z wiórkami czekolady. Moja fpecjalnořć. Nic pan nie wie o jego pochodzeniu?

– Nic zupełnie.

– Naprawdę?

– Słuchaj pan, w kadziach mieszamy łój, nie przeszłość, jasne? Nie robi się tego i tyle. Wiem, że ma za sobą ciężkie czasy, ale więcej nic nie powiem.

– Tak fobie myflałem – mruknął Igor. – Uważam, że pochodzi z Überwaldu. A z Überwaldu przybywają różneiefamowite i niebezpieczne ftwory.

– Może to głupie pytanie, ale czy ty przypadkiem sam nie pochodzisz z Überwaldu?

– Fkoro pan pyta, to iftotnie.

Trev się wahał. Widywał czasami Igory. Jedyne, co ludzie o nich wiedzieli, to że potrafią zaszyć kogoś lepiej niż straż, wyczyniają dziwne rzeczy po piwnicach i tylko w czasie burz częściej wychodzą na zewnątrz.

– Myflę, że pański przyjaciel może być niebezpieczny – oznajmił

Igor.

Trev spróbował wyobrazić sobie Nutta niebezpiecznego. Nie było to łatwe, dopóki sobie nie przypomniał tego rzutu, który przewrócił słup gola o pół ulicy dalej. I pożałował, że o tym pomyślał.

– Czemu miałbym ci wierzyć? Skąd wiem, czy sam nie jesteś niebezpieczny?

– Ależ jestem – zapewnił Igor. – Może pan być pewien. Ale Überwald mieści w sobie rzeczy, których wolałbym nie spotykać.

– Nie chcę cię słuchać – poinformował Trev. – Zresztą i tak trudno cię zrozumieć.

– Czy zaobserwował pan u niego fymkiany zmiany naftroju? – nie ustępował Igor. – Czy wpada we fciekłość? Czy wie pan cof o jego przyzwyczajeniach żywieniowych?

– Tak, lubi szarlotkę – odparł Trev. – Ale o co ci chodzi?

– Widzę, że jesteście fietnymi przyjaciółmi – uznał Igor. – Zająłem panu czas. Przeprafam. – Zawisłe w powietrzu „przeprafam” zagęściło kropelki mgły. – Udzielę panu rady. Gdyby mnie pan potrzebował, wystarczy wrzafnąć. Żałuję, że ten wrzafk przyjdzie panu całkiem łatwo.

Igor odwrócił się i natychmiast zniknął we mgłę.

I jeszcze Igory dziwnie się przemieszczają, przypomniał sobie Trev. W dodatku nigdy się ich nie widuje na meczach.

Zwrócił uwagę na tę przebiegającą myśl. Co właściwie próbował sobie powiedzieć? Że ktoś, kto nie ogląda piłki, nie jest prawdziwym człowiekiem? Nie umiał sensownie sobie na to odpowiedzieć. Był zdumiony, że w ogóle zadał takie pytanie. Wszystko się zmieniało.

* * *

Glenda dotarła do nocnej kuchni, po drodze odbierając od Juliet przysięgę milczenia. Łaskawie dała Mildred i pani Hedges wolne na resztę nocy, co bardzo je ucieszyło, jak zawsze, a za tę drobną uprzejmość w razie potrzeby będzie mogła oczekiwać rewanżu.

Zdjęła płaszcz i podwinęła rękawy. W nocnej kuchni czuła się jak w domu, przy sterze, u władzy. Za czarnymi żelaznymi piecami mogłaby

rzucić wyzwanie całemu światu.

– No dobra – rzuciła do wystraszonej Juliet. – Nie było nas tam dzisiaj. Dzisiaj się nie zdarzyło. Pomagałaś mi czyścić piekarniki. Dopilnuję, żebyś dostała coś za nadgodziny, więc twój tato nic nie będzie podejrzewał. Zgoda? Rozumiesz?

– Tak, Glendo.

– A skoro już tu jesteśmy, zaczniemy z zapiekankami na jutrzejszy wieczór. Miło będzie dać sobie trochę wyprzedzenia, co?

Juliet milczała.

– Powiedz „Tak, Glendo” – podpowiedziała Glenda.

– Tak, Glendo.

– No to idź i posiekaj trochę wieprzowiny. Takie zajęcia odciągają myśli od czego nie trzeba, zawsze to powtarzam.

– Tak, Glendo, zawsze to powtarzasz – przyznała Juliet.

Intonacja zwróciła uwagę Glendy i nieco ją zaniepokoiła.

– Naprawdę zawsze to powtarzam? Kiedy?

– Codziennie, kiedy przyjdiesz i włożysz fartuch, Glendo.

– Mama tak mówiła – stwierdziła Glenda i spróbowała wytrząsnąć z głowy tę myśl. – Miała rację, oczywiście! Ciężka praca nigdy nikomu nie zaszkodziła.

I usiłowała cofnąć zdradziecką myśl: oprócz niej. Zapiekanki, przypomniawszy sobie. Na zapiekankach można polegać. Zapiekanki nie przysparzają zmartwień.

– Tak se myślę, że Trev mnie lubi – mruknęła Juliet. – Nie gapi się na mnie bez sensu, jak inni chłopcy. Patrzy jak szczeniak.

– Lepiej uważaj na to spojrzenie, dziewczyno.

– Chyba się w nim zabujałam, Glendo.

Dzik, myślała Glenda. I morele. Zostało jeszcze trochę w chłodni. Mamy też zapiekanki z baraniną oraz zestawem dodatków, zawsze popularne... Czyli... wieprzowina, tak, będzie dobra, i w pompowni jest sporo przyzwoitych ostryg, więc można zrobić zapiekankę. Owoce morza, tak jest, a anchois też dobrze wyglądają, znajdzie się też miejsce na jedną czy drugą szprotkę, choć zawsze mi żal tych małych rybek, ale w tej chwili wezmę suche placki i...

– Co powiedziałaś?

- Zabujałam się.
- Nie możesz!
- Uratował mi życie!
- To jeszcze nie powód, żeby myśleć o związku. Wystarczyłoby uprzejme podziękowanie.
- Czuję coś do niego!
- To niemądre!
- I co? Niemądrze to nie tak źle, nie?
- Posłuchaj no, młoda... Och, witam, panie Ottomy.

Wszyscy Ottomy'owie na całym świecie wyglądają, jakby byli zbudowani z najgorszych części dwóch ludzi. Na ogół też irytująco cicho stąpają na podeszwach z grubej czerwonej gumy, by łatwiej podglądać i wtykać wszędzie nos. I zawsze zakładają, że darmowy kubek herbaty prawnie im się należy.

- Co za dzień, panienki, co za dzień! Byłyście na meczu? – zapytał, spoglądając to na jedną, to na drugą.
 - Czyściłyśmy piekarniki – odparła stanowczo Glenda.
 - Tak. Dzisiaj się nie zdarzyło – dodała Juliet i zachichotała.
- Glenda nie znosiła chichotu.

Ottomy rozejrzał się powoli i bez skrępowania. Zauważył nieobecność brudu, porzucone rękawice, ścierki...

- I właśnie skończyłyśmy wszystko sprzątać i układać – burknęła Glenda. – Napije się pan herbaty, panie Ottomy? I może pan nam opowiedzieć o meczu.

Mówi się, że tłum jest głupi, ale zwykle jest tylko zagubiony, ponieważ jako naoczny świadek przeciętna osoba jest tak godna zaufania jak kamizelka ratunkowa z bezy. W miarę jak Ottomy opowiadał, stawało się jasne, że nikt nie ma właściwie o niczym pojęcia; tyle że jakiś człowiek strzelił gola z połowy długości ulicy, a i to nie na pewno.

- Ale zabawna historia... – podjął Ottomy, gdy Glenda metaforycznie odetchnęła z ulgą. – Kiedyśmy byli w Ścisiku, mógłbym przysiąc, że widziałem panienki piękną pomocnicę, jak gadała z chłopakiem w szaliklu Ćmoków.

- Przecież nie ma zakazu – stwierdziła Glenda. – A poza tym była tutaj i czyściła piekarnik.

Nie było to najzręczniejsze, ale nie cierpiała takich ludzi jak on, którzy lubili korzystać z cudzego autorytetu i uwielbiali każdą odrobinę władzy, jaka im się trafiła. Widział więcej, niż powiedział, to pewne; chciał, żeby próbowała się wywijać. A jakimś kącikiem umysłu czuła, że przygląda się ich płaszczom. Mokrym płaszczom.

– Myślałam, że nie ogląda pan piłki, panie Ottomy...

– No właśnie, tu panienka trafiła. Szpiczaści chcieli iść i zobaczyć mecz, no to ja z panem Nobbsem musieliśmy też iść, na wypadek gdyby naoddychali na nich jacyś zwykli ludzie. Do licha, by panienka nie uwierzyła! Marudzili, narzekali i zapisywali, jakby to była ich ulica. Coś kombinują, zapamięta panienka moje słowa.

Glenda nie lubiła określenia „szpiczaści”, choć stanowiło dobry opis. Jednak w ustach Ottomy’ego brzmiało jak sugestia jakiegoś brudnego spisku. Jakkolwiek jednak to ująć, magowie się liczyli, byli wyższą sferą, poruszali i potrzásali; a kiedy tacy ludzie zaczynają się interesować sprawami takich, którzy z definicji nic nie znaczą, to ci nieważni na pewno będą poruszeni i wstrząśnięci.

– Vetinari nie lubi piłki – stwierdziła.

– To jasne, oni razem w tym siedzą – uznał Ottomy i stuknął palcem w bok nosa.

To spowodowało, że mała grudka zaschniętej materii wystrzeliła z drugiego nozdrza wprost do jego herbaty. Glenda stoczyła krótką walkę ze swoim sumieniem o to, czy mu powiedzieć, ale zwyciężyła.

– Pomyślałem, że panienka powinna o tym wiedzieć, a to z powodu tego, jak ludzie na Siostrach na panienkę patrzą – rzekł Ottomy. – Pamiętam matkę panienki. To była święta kobieta. Do każdego wyciągnęła pomocną dłoń.

Tak, a oni ją łapali, stwierdziła w myślach Glenda. Miała szczęście, że umarła ze wszystkimi palcami.

Ottomy wychylił kubek, z rozmachem odstawił go na blat i westchnął.

– Nie mogę tu tkwić cały dzień, nie?

– Tak, na pewno musi pan też potkwić w innych miejscach.

Ottomy zatrzymał się jeszcze w drzwiach i wyszczerzył zęby do Juliet.

– Dziewczyna kropła w kroplę do panienki podobna, mógłbym przysiąc. Z chłopakiem od Ćmoków. Niesamowite. Jak nic ma panienka jednego z tych sobie wtórów. No ale to musi zostać tajemnicą, jak powiedział jeden gość, kiedy znalazł coś, co musiało zostać tajemnicą. No to...

Staął jak wryty, gdyż w przeciwnym razie wszedłby na srebrzysty nóż, który Glenda w nie do końca groźny sposób trzymała całkiem blisko jego krtani. Z satysfakcją zauważyła, że grdyka przesunęła mu się w górę i w dół, jak chore jojo.

– Och, przepraszam – powiedziała i opuściła ostrze. – Ostatnio cały czas mam nóż w ręku. Szykowałam wieprzowinę. Taka wieprzowina to podobno całkiem jak ludzkie ciało. – Położyła mu na ramieniu wolną dłoń. – To raczej nie jest dobry pomysł, żeby powtarzać głupie plotki, panie Ottomy. Wie pan, ludzie czasem dziwnie na to reagują. Miło, że pan do nas zajrzał. Gdyby jutro też pan przechodził, zostawię dla pana kawałek zapiekanki. A teraz przepraszam, ale mamy jeszcze sporo siedzenia.

Odszedł pospiesznie. Serce Glendy biło mocno. Spojrzała na Juliet, której wargi układały się w idealne O.

– Co? No co?

– Myślałam już, że go dźgniesz.

– Przypadkiem akurat trzymałam nóż. Ty też trzymasz nóż. Obie trzymamy noże. To kuchnia.

– Myślisz, że komuś powie?

– Tak naprawdę to niczego nie wie.

Osiem cali, myślała. Taką dużą można zrobić zapiekankę bez formy. A ile sztuk dałoby się upiec z takiego szczura jak Ottomy? Z tą wielką maszynką do mięsa byłoby łatwo. Czaszki i żebra pewnie sprawiają kłopot. Chyba ogólnie lepiej się trzymać wieprzowiny.

Ale ta myśl jarzyła się gdzieś w głębi umysłu; nigdy nie miała stać się działaniem, lecz pozostawała: obca, ekscytująca i dziwnie wyzwalająca.

Co robili magowie na meczu? Co sobie zapisywali? To zagadka do przemyślenia.

A na razie wciąż przebywały w świecie zapiekaneek. Juliet całkiem

dobrze radziła sobie z prostymi, powtarzalnymi czynnościami, kiedy tylko się na nich skupiła; demonstrowała przy tym skrupulatność często spotykaną u osób niezbyt mądrych. Od czasu do czasu pociągała nosem, co nie jest wskazane, kiedy przygotowuje się nadzienie do zapiekanek. Pewnie myślała o Trevie i w tej swojej ślicznej i niezbyt pełnej główce wklejała go w jedno z tych połyskliwych marzeń, jakie sprzedawały „BąBelki” i inne śmieci, w których do sławy nie trzeba nic więcej, tylko „być sobą”. Ha! Glenda przynajmniej zawsze wiedziała, czego chce. Pracowała na to długo i za marne pieniądze, aż w końcu to osiągnęła: jej własna kuchnia i władza, w pewnym sensie... nad zapiekankami!

A przed chwilą marzyła o przerobieniu na zapiekanki człowieka!

Dlaczego ciągle jesteś taka rozzłoszczona? Co poszło nie tak? Powiem ci, co poszło nie tak! Kiedy już tam dotarłaś, nie było żadnego tam. Chciałaś zobaczyć Quirm z otwartego powozu, z miłym młodym człowiekiem pijącym szampana z twojego pantofelka, ale nigdy nie zobaczyłaś, bo w tym Quirmie żyją dziwne typy, woda jest podejrzana, a poza tym jak to działa z tym szampanem? Nie wycieknie? A gdyby znowu wróciły te dolegliwości palców u stóp...? Więc nigdy nie zobaczyłaś. I nie zobaczysz...

– Nie twierdzę, że Trev to zły chłopak – powiedziała. – Nie jest dżentelmenem i czasem trzeba dać mu po łapach, żeby nauczyć manier. No i życie bierze o wiele za lekko. Ale mógłby do czegoś dojść, gdyby miał powód, żeby się do tego zabrać.

Juliet chyba nie słuchała, ale nigdy nie wiadomo.

– Chodzi wyłącznie o piłkę. Jesteście po przeciwnych stronach. Nic z tego nie będzie – dokończyła Glenda.

– A jakbym tak wzięła i kibicowała Ćmokom?

Jeszcze wczoraj brzmiałoby to jak bluźnierstwo; dzisiaj stało się tylko poważnym problemem.

– Na początek... twój ojciec już nigdy by się do ciebie nie odezwał. Ani bracia.

– Teraz też się nie odzywają. Nie za bardzo. Pytają tylko, kiedy będzie jedzenie. A wiesz, że dzisiaj pierwszy raz widziałam z bliska piłkę? I powiem ci uczciwie, nic specjalnego. Aha, jutro robią pokaz mody u Shwatty. Może pójdziemy?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – prychnęła Glenda.

– To taki dom mody krasnoludów.

– Pasuje. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek coś tak nazwał. Byłby zakładnikiem pierwszej literówki w azecie.

– Mogłybyśmy iść. Fajnie będzie. – Juliet pomachała pomiętym egzemplarzem „BąBelków”. – Nowe mikrokolczugi będą naprawdę mocne i miękkie, i piszą tu, że wcale nie obcierają, plus rogate hełmy wracają po zbyt długim okresie eli... mi... nacji z obowią... żującego stylu. O co tu chodzi? I jeszcze, że jutro po południu jest prezen... tacja.

– Tak, Jula, ale nie należymy do takich kobiet, które chodzą na pokazy mody.

– Ty nie. Czemu ja nie?

– No, dlatego... Wiesz, nie wiedziałabym nawet, w co się ubrać. – Glenda zaczynała wpadać w desperację.

– Właśnie dlatego powinnaś iść na pokaz mody – odparła z satysfakcją Juliet.

Glenda już otworzyła usta, żeby rzucić jakąś odpowiedź, i pomyślała: Tu nie chodzi o chłopców i nie chodzi o piłkę; to bezpieczne.

– No dobrze. Może rzeczywiście będzie przyjemnie. Wiesz co? Dziś wieczorem wykonałyśmy już kobiece obowiązki. Zabiorę cię teraz do domu, załatwię, co trzeba, i wrócę. Twój tato pewnie się martwi.

– Siedzi w pubie – oceniła precyzyjnie Juliet.

– No to martwiłby się, gdyby nie siedział – odparła Glenda.

Potrzebowała czasu dla siebie; musiała wyciągnąć nogi. Dzień był nie tylko długi, ale długi i głęboki. Chciała chwili spokoju, żeby wszystko mogło się poukładać.

– I weźmiemy lektkę. Co ty na to?

– Są okropnie drogie!

– Raz się jest młodym, tak zawsze mówię.

– Nigdy jeszcze nie słyszałam, żebyś tak mówiła.

Przed uniwersytetem czekało kilka trollowych lektyk. Były kosztowne, po pięć pensów za jazdę, ale siedzenia w koszu na ramionach nosiciela były o wiele wygodniejsze od desek w omnibusach. Oczywiście, to aliganckie; w oknach falowały firanki, wydymały się wargi... To właśnie było dziwne na ulicy: jeśli człowiek się tam urodził, innym się

nie podobało, kiedy przestawał pasować. Babcia określała to jako „mącenie sobie w głowie wymysłami ponad swój stan”. To była demonstacja wyższości.

Glenda otworzyła drzwi przed Juliet, bo dziewczyna zawsze grzebała się z zamkiem, i patrzyła, jak się zamykają.

Dopiero wtedy otworzyła własne drzwi frontowe, połatane i łuszczące się tak samo jak tamte. Nie zdążyła jeszcze zdjąć płaszcza, kiedy ktoś zaczął tłuc pięściami w splekane drewno. Otworzyła gwałtownie i zobaczyła pana Stollopa, ojca Juliet; rękę wciąż miał wzniesioną, a wokół opadał niewielki obłoczek płatków farby.

– Usłyszałem, że przyszedł – powiedział. – O co tu chodzi?

Uniósł drugą potężną dłoń, w której ścisnął sztywną kremową kopertę. Nieczęsto widywało się takie na Siostrach Doily.

– To się nazywa list – wyjaśniła Glenda.

Błagalnym gestem wyciągnął go przed siebie i dopiero wtedy zobaczyła wielką literę V na przerażającej rządowej pieczęci, niezawodnie wzbudzającej strach i przygnębienie u tych, którzy podatki mieli dopiero zapłacić.

– Jego lordowska mość do mnie pisze! – oświadczył załamany pan Stollop. – Dlaczego tak sobie wziął i do mnie napisał? Niczego żem nie zrobił!

– A myślał pan, żeby go otworzyć? – spytała Glenda. – Zwykle tak właśnie sprawdzamy, co jest w listach.

Rzucił jej kolejne błagalne spojrzenie. Przy Siostrach Dolly czytanie i pisanie było delikatną pracą domową, którą lepiej zostawiać kobietom. Prawdziwa praca wymagała szerokich pleców, mocnych ramion i stwardniałych dłoni. Pan Stollop doskonale spełniał te warunki. Był kapitanem Dolasów i w jednym meczu odgryzł po uchu trzem ludziom.

Glenda westchnęła, wyjęła mu list z dłoni, która – jak zauważyła – lekko drżała, po czym otworzyła kopertę paznokciem.

– Stoi tutaj: Pan Stollop – oznajmiła, a mężczyzna skrzywił się boleśnie. – Tak, to o pana chodzi – dodała.

– Pisze tam coś o podatkach albo czymś? – zapytał.

– Nic takiego nie widzę. Pisze, że będzie „niezwykle wdzięczny za pańskie towarzystwo podczas bankietu, jaki zamierzam wydać na Nie-

widocznym Uniwersytecie o ósmej wieczorem we środę, podczas którego chciałbym omówić przyszłość wspaniałej gry w kopanie piłki. Z przyjemnością powitam pana jako kapitana drużyny Sióstr Dolly”.

– Dlaczego się do mnie przyczepił? – zapytał Stollop.

– Jak napisał, dlatego że jest pan kapitanem.

– No tak, ale dlaczego ja?

– Może zaprosił wszystkich kapitanów. Mógłby pan posłać chłopaka w białym szaliku i sprawdzić, prawda?

– Niby tak, ale przypuścmy, że tylko ja? – dopytywał się Stollop, który wyraźnie postanowił zbadać tę grozę do samej głębi.

Glenda wpadła na znakomity pomysł.

– Wtedy, panie Stollop, okaże się, że tylko kapitan Sióstr Dolly jest dostatecznie ważny, by z samym władcą dyskutować o przyszłości piłki.

Stollop nie wypiął piersi, gdyż miał ją wypiętą permanentnie, ale pewnym wysiłkiem mięśni udało mu się osiągnąć efekt wypięcia całkowitego.

– Ha! I dobrze sobie wybrał! – huknął z dumą.

Glenda westchnęła w duchu. Pan Stollop był silny, ale jego mięśnie przechodziły w tłuszcz. Wiedziała, że ostatnio dość szybko traci oddech, a wobec czegoś, czego nie można przygnieść, uderzyć albo kopnąć, czuł się całkiem zagubiony. Opuszczone po bokach dłonie zaciskały się i rozprostowywały, próbując wykonywać za niego procesy myślowe.

– O co w tym chodzi?

– Nie wiem, panie Stollop.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Eee... A może o tego chłopaka od Ćmoków, co dzisiaj trochę oberwał? Jak myślisz?

To może być ktokolwiek, myślała Glenda, kiedy obejmowała ją lodowata zgroza. Nic takiego, co tydzień się to zdarza. To nie musi być żaden z nich. Ale będzie, oczywiście, wiem o tym, tylko że wcale nie wiem, w żaden sposób nie mogę wiedzieć, a jeśli będę to powtarzać dostatecznie długo, może się nigdy nie zdarzyć.

Oberwał, przypomniała sobie wśród paniki. Czyli prawdopodobnie że stał w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym szaliku, co jest równoważne samookaleczeniu. Dał się zabić.

– Moje chłopaki wróciły i mówiły, że gadają o tym na ulicy. Tak właśnie słyszeli. Wziął i dał się zabić.

– Niczego nie widzieli?

– Zgadza się, niczego.

– Ale za to bardzo dużo słuchali?

Ironia przefrunęła mimo uszu Stollopa, nie próbując nawet skrecać.

– I to był chłopak Ćmoków?

– Tak – potwierdził. – Słyszeli, że umarł, ale wiesz, jak te ćmokowe dranie oszukują.

– A gdzie są teraz chłopcy?

– Mają siedzieć w domu, bo ich spiorę! – odpowiedział pan Stollop z błyskiem w oku. – Kiedy coś takiego się dzieje, krążą wszędzie różne paskudne gangi.

– Czyli teraz o jeden mniej – stwierdziła Glenda.

Twarz Stollopa pokryła się barwami cierpienia i lęku.

– To nie są źli chłopcy, naprawdę. Ludzie się ich czepiają.

Tak, zwłaszcza na komisariacie, pomyślała, kiedy mówią:

„To oni! Ci wielcy! Wszędzie bym ich poznał!”.

Zostawiła go, kręcącego głową, a sama pobiegła ulicą. Troll nie mógł się spodziewać, że znajdzie tu pasażera, a nie było sensu czekać, aż pomalują go farbami. Ale miała szansę dogonić go w drodze do centrum.

Po minucie czy dwóch zdała sobie sprawę, że ktoś ją ściga. Biegnie za nią w mroku. Gdyby tylko pamiętała, żeby zabrać ze sobą nóż... Przystanęła w plamie głębszego cienia i kiedy ten zapewne urojony szaleniec się z nią zrównał, wyskoczyła z krzykiem.

– Przestań za mną biegać!

Juliet pisnęła ze strachu.

– Dorwali Treva! – szlochała, gdy Glenda ją przytrzymała. – Wiem, że tak!

– Nie bądź śmieszna. Po każdym meczu chłopcy się biją. Nie warto się martwić na zapas.

– To czemu biegłaś? – zapytała ostro Juliet.

Na to Glenda nie znalazła odpowiedzi.



Pedel skinął mu głową i przepuścił przez drzwi dla personelu, skąd Trev ruszył prosto do kadzi. Kilku chłopców jak zwykle ściekało tam świece, bardzo skrupulatnie i bardzo powoli, ale nigdzie nie zauważył nawet śladu Nutta... dopóki nie zaryzykował zdrowia psychicznego i zatok, sprawdzając wspólną salę noclegową. Nutt spał tam na posłaniu. Trzymał się za brzuch, a był to brzuch wręcz niezwykle wielki. Jako że normalnie szczupły, Nutt teraz przypominał węża, który połknął wyjątkowo dużą kozę. Trev przypomniał sobie zaciekawioną i zaniepokojoną twarz Igora. Zbadał podłogę obok posłania. Znalazł mały kawałek brzegu zapiekanki i trochę okruszków. Pachniały jak bardzo dobra zapiekanka. Prawdę mówiąc, przychodziła mu do głowy tylko jedna osoba, która potrafiła przygotowywać zapiekanki aż tak kuszące.

Czymkolwiek było to, co wypełniało Treva, ta niewidoczna świetlista energia, która pozwoliła mu niemal przytańczyć tutaj z komisariatu, spłynęła nagle przez stopy.

Ruszył kamiennymi korytarzami w kierunku nocnej kuchni. Wszelki optymizm, jaki mógł jeszcze zachować, gasił – jedną nadzieję po drugiej – szlak zapiekankowych okruszków. Jednak to rozświetlenie rozjarzyło się znowu, kiedy zobaczył Juliet i... no tak, i Glendę. Stały w tym, co pozostało z nocnej kuchni, a co było masą pootwieranych gwałtownie szafek i kawałków zapiekankowego ciasta.

– Och, przyszedł pan Trevor Likely – stwierdziła Glenda, zakładając ręce na piersi. – Jedno pytanie: kto zjadł wszystkie zapiekanki?

Rozświetlenie narastało, aż wypełniło Treva jakby srebrzystym blaskiem. Minęły trzy noce, odkąd spał w prawdziwym łóżku, a ostatni dzień też nie był normalny. Uśmiechnął się szeroko do całkiem niczego i Juliet zdążyła go przytrzymać, zanim uderzył o posadzkę.



Trev zbudził się pół godziny później, kiedy Glenda przyniosła mu

kubek herbaty.

– Uznałam, że powinieneś się przespać – wyjaśniła. – Juliet mówiła, że wyglądasz okropnie, więc widocznie wraca jej rozsądek.

– On był trupem – powiedział Trev. – Zimny jak kamień, a potem już nie. O co tu chodzi?

Uniósł się i zobaczył, że został ułożony na jednym z brudnych posłań przy kadziach. Nutt leżał obok.

– No dobrze – westchnęła Glenda. – Jeśli potrafisz chwilę nie kłamać, opowiedz.

Siedziała spokojnie i obserwowała śpiącego Nutta, a Trev usiłował nadać jakiś sens wydarzeniom minionego wieczoru. Wysłuchiwała wszystkiego cierpliwie, dopiero potem zaczęła pytać.

– Co to była za kanapka? Ta, którą przygotował mu Igor?

– Tuńczyk, spaghetti i dżem. I wiórki czekoladowe – powtórzył Trev, ziewając.

– Jesteś pewny?

– Takich rzeczy się nie zapomina.

– A jaki dżem? – nie ustępowała Glenda.

– Czemu pytasz?

– Myślę, że miałoby to sens z pigwą. Albo z papryką. Ale nie widzę miejsca dla wiórków czekoladowych. To jakaś bzdura.

– Co? Przecież to Igor. To nie musi mieć sensu!

– Ostrzegał cię przed Nuttem?

– Tak, ale chyba nie chodziło mu o „zamknij dobrze wszystkie zapiekanki”, prawda? Będziesz miała kłopoty z tego powodu?

– Nie, mam ich dużo więcej, dojrzewają w chłodni. Najlepsze są, kiedy dobrze dojrzeją. Z zapiekankami trzeba zawsze mieć rezerwę. – Obejrzała się na Nutta i podjęła: – Więc poważnie chcesz mnie przekonać, że chłopaki Stollopa całkiem go załatwili, a potem sam wyszedł ze szpitala Lady Sybil?

– Był martwy jak kamień. Nawet stary Haddocki to zauważył.

Tym razem oboje popatrzyli na Nutta.

– Teraz jest żywy – stwierdziła Glenda takim tonem, jakby to było oskarżenie.

– Słuchaj, wszystko, co wiem o ludziach, którzy tu przybywają z

Überwald, to że czasem są wampirami, a czasem wilkołakami. I nie wydaje mi się, żeby wampiry interesowały się twoimi zapiekankami. A pełnia była w zeszłym tygodniu i on wcale się dziwnie nie zachowywał. No, nie dziwniej niż normalnie.

– Może on jest zombi... – Glenda zniżyła głos. – Nie, one też nie jedzą zapiekanek. – Nadal wpatrywała się w śpiącego Nutta. ale jakaś inna jej część dodała: – W środę wieczór ma się tu odbyć bankiet. Lord Vetinari kombinuje coś z magami. Chodzi o piłkę nożną, jestem pewna.

– Tak?

– Domyślam się, że to jakiś plan. Coś paskudnego. Magowie byli dziś na meczu i robili notatki! Nie wmówisz mi, że to normalne! Chcą zlikwidować piłkę nożną, jak nic!

– Dobrze!

– Trevorze Likely, jak możesz tak mówić?! Twój ojciec...

– Zginął, bo był głupi – oświadczył Trev. – I nie tłumacz mi, że tak właśnie chciałby odejść. Nikt nie chce tak odejść.

– Ale kochał swoją piłkę!

– I co? Co to właściwie znaczy? Stollopowie kochają swoją piłkę. Andy Shank kocha swoją piłkę. I co z tego wynika? Nie licząc dzisiaj, jak często widziałś piłkę w grze? Założę się, że prawie nigdy.

– No, niby racja. Ale nie o to chodzi w piłce.

– Tłumaczysz mi, że w piłce nie chodzi o piłkę?

Glenda żałowała, że nie ma prawdziwego wykształcenia, no, w ogóle jakiegokolwiek wykształcenia. Ale w tej chwili nie zamierzała się cofać.

– Chodzi o wspólnotę – powiedziała. – O bycie częścią tłumu. Wspólne skandowanie. O wszystko to razem. O całość.

– Wydaje mi się, panno Glendo – odezwał się ze swego materaca Nutt – że praca, o którą panience chodzi, to „Der Selbst überschritten durch das Ganze” Trousenblerta.

Ponownie spojrzeli na Nutta, rozdziawiając usta. Otworzył oczy i zdawało się, że gapi się w sufit.

– To samotna dusza próbująca sięgnąć do wspólnego ducha całego człowieczeństwa, a być może i dalej. Przekład W. E. G. Goodnighta „W poszukiwaniu całości” jest niepełny, choć całkiem rozumiały, wskutek

błędnego tłumaczenia bewußtseinsschwelle w całym tekście jako „fryzury”.

Trev i Glenda spojrzeli po sobie. Trev wzruszył ramionami. Od czego powinni zacząć?

Glenda odchrząknęła.

– Panie Nutt, jest pan żywy czy martwy, czy jak?

– Żywy, ale bardzo dziękuję za troskę.

– Widziałem, jak cię zabili! – krzyknął Trev. – Biegliśmy całą drogę do Lady Sybill!

– Och... – zmartwił się Nutt. – Bardzo mi przykro. Wydaje się jednak, że diagnoza była błędna. Mam rację?

Porozumieli się wzrokiem, na czym bardziej ucierpiał Trev – kiedy Glenda wpadała w złość, jej spojrzenie mogłoby chyba trawić szkło. Ale Nutt miał poważny argument. Trudno się kłócić z człowiekiem, który się upiera, że nie jest martwy.

– Uhm... A potem wrócił pan tu i zjadł dziewięć zapiekanek – stwierdziła.

– I chyba dobrze ci zrobiły – dodał Trev z niepewną wesołością.

– Ale nie widzę, gdzie się podziały – dokończyła Glenda. – Każda z nich mogła napęknąć brzuch.

– Pogniewa się panienka na mnie! – wystraszył się Nutt.

– Może uspokoiimy się wszyscy, co? – wtrącił Trev. – Mówię ci, strasznie się martwiłem, słowo. Martwiłem, nie gniewałem, jasne? Jesteśmy kumplami.

– Muszę być uprzejmy. Muszę być pomocny. – Te słowa wybiegały z ust Nutta niczym mantra.

Glenda ujęła jego dłonie.

– Posłuchaj, nie gniewam się o te zapiekanki, naprawdę. Przyjemnie jest zobaczyć kogoś z takim apetytem. Ale musisz nam powiedzieć, co się dzieje. Zrobiłeś coś, czego nie powinieneś zrobić?

– Powinienem starać się być wartościowy – odparł Nutt i odsunął się delikatnie, unikając jej wzroku. – Muszę być uprzejmy. Nie wolno mi kłamać. Muszę zyskiwać wartość. Dziękuję panience za troskę.

Wstał, przeszedł przez salę, podniósł kosz świec, wrócił, załadował maszynę do ściekania i energicznie rozpoczął pracę, nie zwracając już na

nich uwagi.

– Rozumiesz, co się dzieje w jego głowie? – szepnęła Glenda.

– Kiedy był mały, przez siedem lat pracował przykuty do kowadła – odparł Trev.

– Co? To straszne! Ktoś musiał być bardzo okrutny, żeby coś takiego zrobić.

– Albo zdesperowany, żeby na pewno się nie uwolnił.

– Sprawy nie zawsze są takie, jak się wydają, panie Trev – odezwał się Nutt, nie unosząc głowy znad gorączkowej pracy. – Natomiast akustyka w tych piwnicach jest naprawdę bardzo dobra. Pański ojciec pana kochał, prawda?

– Co? – Trev poczerwieniał na twarzy.

– Kochał pana, zabierał na mecze, dzielił się zapiekanką, nauczył kibicować Ćmokom? Brał pana na ramiona, żeby mógł pan więcej zobaczyć?

– Przestań tak mówić o moim ojcu!

Glenda chwyciła Treva za ramię.

– W porządku, Trev, to nic złego, to nie są złośliwe pytania, naprawdę.

– Ale nienawidzi go pan, ponieważ był człowiekiem śmiertelnym, konającym na bruku. – Nutt sięgnął po kolejną nieściekniętą świecę.

– To złośliwe – uznała Glenda.

Nutt ją zignorował.

– Zawiodł pana, panie Trev. Nie był bogiem małego chłopczyka. Okazało się, że jest tylko człowiekiem. Ale nie był tylko człowiekiem. Każdy, kto choć raz w tym mieście oglądał mecz, słyszał o Davidzie Likelym. Jeśli on był głupcem, to był nim też każdy, kto wspiał się na szczyt albo przepłynął wartką rzekę. Jeśli był głupcem, to był nim też człowiek, który pierwszy starał się ujarzmić ogień. Jeśli był głupcem, to ten, kto pierwszy spróbował ostrzygi, też był głupcem... choć muszę zaznaczyć, że uwzględniając podział pracy w dawnych kulturach łowiecko-zbierackich, prawdopodobnie był również kobietą. Być może, tylko głupiec wstaje rano z łóżka. Ale po śmierci niektórzy głupcy błyszczą jak gwiazdy i pański ojciec był jednym z nich. Po śmierci ludzie zapominają o głupocie, ale pamiętają blask. Nic pan nie mógł zrobić. Nie mógł pan

go powstrzymać. Gdyby mógł go pan powstrzymać, nie byłby Davidem Likelym, kimś, kogo imię dla tysięcy ludzi oznacza piłkę nożną. – Nutt bardzo starannie odłożył pięknie ścięknętą świecę i mówił dalej: – Proszę się nad tym zastanowić, panie Trev. Niech pan nie będzie sprytny. Spryt to tylko wygładzona forma głupoty. Niech pan użyje inteligencji. Ona na pewno pomoże.

– To tylko fura słów! – odparł rozgorączkowany Trev, ale Glenda zauważyła błyszczące linie na jego policzkach.

– Niech pan je sobie przemyśli, panie Trev – poradził Nutt i dodał: – No proszę, zrobiłem cały koszyk. To jest coś warte.

Chodziło o jego spokój. Nutt wibrował, był niemal chory ze zdenerwowania. Powtarzał się, jakby próbował się czegoś nauczyć do sprawdzianu. A potem stał się całkiem inny – absolutnie opanowany i skupiony.

Glenda spoglądała to na Treva, to na Nutta. Trev słuchał z rozdziawionymi ustami. I nie dziwiło jej to. Słowa Nutta, wypowiedziane z chłodną rzeczowością, nie brzmiały jak opinia, ale jak prawda wydobyta z głębokiej studni.

Milczenie przerwał Trev. Mówił jak zahipnotyzowany, chrapliwym głosem.

– Kiedy miałem pięć lat, dał mi swoją starą koszulkę. Była jak namiot. Zaczy, tak przepocona i brudna, że nigdy nie zmokłem...

Urwał.

Po chwili Glenda trąciła go w łokieć.

– Całkiem zeszywniał – stwierdziła. – Jest sztywny jak kawałek drewna...

– Ach, katatonia – wyjaśnił Nutt. – Przytłoczyły go własne uczucia. Powinniśmy go położyć.

– Te stare materace, na których tu sypiają, to jakieś śmieci – oświadczyła Glenda, rozglądając się za lepszą alternatywą dla zimnej posadzki.

– Wiem, gdzie znaleźć coś odpowiedniego! – zapewnił Nutt i rzucając się do działania, odbiegł w głąb korytarza.

Glenda została sama, podtrzymując bezwładnego Treva. I wtedy od strony kuchni pojawiła się Juliet. Gdy tylko ich zauważyła, zatrzymała

się i zalała łzami.

– Nie żyje, prawda?

– No, nie...

– Rozmawiałam z paroma chłopakami od piekarza, kiedy szli do pracy. Mówili, że bójki były w całym mieście i że kogoś zamordowali.

– To tylko drobny wstrząs, nic więcej. Pan Nutt poszedł znaleźć mu coś, na czym mógłby poleżeć.

– Och...

Juliet wydawała się nieco rozczarowana, zapewne dlatego, że „drobny wstrząs” nie był dostatecznie dramatyczny. Ale wzięła się w garść akurat w chwili, gdy dał się słyszeć zgrzytliwy, charakterystycznie drewniany odgłos z przeciwnej strony. Nutt pchał dużą kanapę, która wyhamowała przed nimi.

– Tam dalej jest pokój zawałony starymi meblami – wyjaśnił i poklepał wyblakły aksamit. – Trochę nadpleśniała, ale wszystkie myszy musiały wypaść po drodze tutaj. Chyba to szezlong z pracowni sławnego Gurninga Upspire’a. Myślę, że później uda mi się ją odrestaurować. Połóżmy go ostrożnie.

– Co mu się stało? – chciała wiedzieć Juliet.

– Och, prawda może wstrząsnąć – odparł Nutt. – Ale poradzi z tym sobie i poczuje się lepiej.

– Bardzo bym chciała sama poznać prawdę, panie Nutt. Byłabym wdzięczna – oznajmiła Glenda.

Założyła ręce na piersi i usiłowała robić surową minę, ale przez cały czas jakiś głos w głowie szeptał: Szezlong! Szezlong! Kiedy nikogo tu nie będzie, możesz spróbować omdleć!

– To jakby takie lekarstwo ze słów – wyjaśnił ostrożnie Nutt.

– Czasami ludzie wmawiają sobie różne rzeczy, które nie są prawdą. Czasami może to być groźne dla danej osoby. Widzi ona świat w niewłaściwy sposób. Ale ludzie nie pozwalają sobie zobaczyć, że to, w co wierzą, jest błędne. Często jednak istnieje w ich umyśle część, która to wie, a odpowiednie słowa pozwalają ją uwolnić.

Patrzył na nie z niepokojem.

– To miło – uznała Juliet.

– Dla mnie brzmi to jak hokus-pokus – stwierdziła Glenda.

– Ludzie wiedzą przecież, co mają w głowie!

Raz jeszcze założyła ręce na piersi i zauważyła, że Nutt się im przygląda.

– Co jest? – spytała groźnie. – Nigdy nie widziałeś łokci?

– Nigdy z takimi ładnymi dołeczkami, panno Glendo, w tak mocno zaplecionych rękach.

Aż do tej chwili Glenda nie zdawała sobie sprawy, że Juliet ma taki nieprzyjemny śmiech, do którego – o czym była przekonana – nie istniały żadne podstawy.

– Glenda ma doratora! Glenda ma doratora!

– Mówi się „adoratora” – poprawiła ją Glenda, spychając w głąb umysłu wspomnienie o tym, że całe lata trwało, nim sama się tego nauczyła. – A ja tylko pomagałam. Pomagamy mu, panie Nutt, prawda?

– Czy nie wygląda słodko, kiedy tak leży? – spytała Juliet.

– Całkiem różowy. – Niewprawnie pogładziła brudne włosy Treva.

– Całkiem jak mały chłopczyk.

– To zawsze mu dobrze wychodziło – stwierdziła Glenda.

– Może teraz pójdziesz i przyniesiesz małemu chłopczykowi herbaty? I ciasteczko. Ale nie z tych czekoladowych. To trochę potrwa – uprzedziła, gdy dziewczyna odbiegła. – Łatwo ją rozproszyć. Jej umysł wędruje i znajduje sobie inne zajęcia.

– Trev mówił mi, że mimo dojrzałego wyglądu jest panienka w tym samym wieku co ona – powiedział Nutt.

– Chyba rzadko rozmawia pan z damami, panie Nutt?

– Ojej, czyżbym popełnił kolejne faux pas? – wystraszył się Nutt tak bardzo, że Glendzie zrobiło się go żal.

– Czy chodzi o takie faux pas, które wygląda, jakby należało je wymawiać „foks pas”?

– Eee... tak.

Glenda z satysfakcją kiwnęła głową – rozwiązała kolejną literacką łamigłówkę.

– Nie używaj słowa „dojrzały”, chyba że chodzi o wino albo sery. Lepiej nie mówić tak o damach.

Patrzyła na niego, niepewna, jak sformułować następne pytanie. Zdecydowała się na bezpośredniość, ponieważ nic innego dobrze jej nie

wychodziło.

– Trev jest pewien, że tak jakby umarłeś i znowu ożyłeś.

– Tak też to rozumiem.

– Niewielu ludziom się to udaje.

– Ogromnej większości nie, jak podejrzywam.

– Jak to zrobiłeś?

– Nie wiem.

– Jest już dość późny ranek, przyznaję, ale czy nie czujesz głodu krwi albo mózgów?

– Wcale. Tylko zapiekanki. Lubię zapiekanki. Bardzo mi wstyd z ich powodu. To się już nie powtórzy, panno Glendo. Obawiam się, że moje ciało działało całkiem samowolnie. Potrzebowałem natychmiastowego pożywienia.

– Trev opowiadał, że byłeś przykuty do kowadła.

– Tak. Bo wtedy byłem bez wartości. Potem zabrano mnie na spotkanie z Lady i ona mi powiedziała: „Nie masz żadnej wartości, ale nie sądzę, byś był bezwartościowy. Więc nadam ci wartość”.

– Ale musiałeś mieć rodziców!

– Nie wiem. Wielu rzeczy nie wiem. Są tam takie drzwi.

– Co takiego?

– Drzwi w moim umyśle. Niektóre rzeczy leżą za drzwiami i nie wiem o nich. Ale Lady uważa, że to nic nie szkodzi.

Glenda miała ochotę zrezygnować. Nutt odpowiadał na pytania, ale w efekcie człowiek zostawał z nowymi... Nie ustępowała jednak. To było jak klucie nożem puszek w nadziei, że w ten sposób otworzy się drogę do wnętrza.

– Lady to prawdziwa dama, prawda? Zamki, służba i co tam jeszcze...

– O tak. Nawet co tam jeszcze. Jest moją przyjaciółką. I jest dojrzała jak ser i wino, ponieważ żyła bardzo długo, a nie jest stara.

– Ale przysłała cię tutaj, prawda? Czy nauczyła cię tego... tego, czego użyłeś z Trevem?

Trev drgnął na szezlongu.

– Nie – odparł Nutt. – Całkiem samprzeczytałem w bibliotece dzieła mistrzów. Ale powiedziała mi, że ludzie także są czymś w rodzaju ży-

wych książek i będę musiał się nauczyć ich czytać.

– No, Treva odczytałeś całkiem dobrze. Ale pamiętaj, nie próbuj tego ze mną, bo nigdy już nie zobaczysz zapiekanki.

– Tak, panno Glendo. Przepraszam, panno Glendo.

Westchnęła. Co się ze mną dzieje? Jak tylko wyglądają na przynębionych, zaczynam się litować!

Uniosła wzrok. Patrzył na nią.

– Przestań!

– Przepraszam, panno Glendo.

– Ale przynajmniej widziałeś mecz. Podobają ci się?

Twarz Nutta rozjaśniła się nagle.

– Tak. To było cudowne. Ten gwar, ten tłum, te krzyki, och, krzyki! Stają się niczym krew. Równy rytm, chór! Nie być samotnym! Nie być jednym, ale zjednoczonym ze wszystkimi, wspólnym umysłem i wspólnym celem! Przepraszam bardzo... – Zauważył jej minę.

Gwałtowność wybuchu Nutta była jak podmuch z otwartego piekarnika. Prawdziwe szczęście, że nie przypaliło jej włosów.

– Czyli jesteś raczej zadowolony?

– O tak! Klimat był wspaniały!

– Tego nie próbowałam – zaryzykowała Glenda. – Ale pudding groszkowy jest zwykle całkiem smaczny.

Zgrzyt szkła i brzęk łyżeczki zwiastował przybycie Juliet, a raczej kubka herbaty, który trzymała przed sobą jak puchar, a sama sunęła za nim niby ogon komety. Glenda była pod wrażeniem. Herbata znajdowała się w kubku, zamiast na spodeczku, i miała akceptowalny brązowy kolor, który zwykle charakteryzuje herbatę i zwykle bywa jedyną herbacianą cechą charakteryzującą herbatę przygotowaną przez Juliet.

Trev usiadł, a Glenda zastanowiła się, od jak dawna słucha rozmowy. Owszem, w sytuacjach trudnych może się sprawdzać, i przynajmniej mył się od czasu do czasu i miał szczoteczkę do zębów, ale Juliet to ktoś wyjątkowy, prawda? Dla niej nadawałby się jedynie książę. Technicznie oznaczało to lorda Vetinariego, ale był o wiele za stary. Poza tym nikt nie wiedział, z której strony łóżka wstaje – ani czy w ogóle kładzie się do łóżka. Jednak pewnego dnia pojawi się odpowiedni książę, choćby Glenda miała go przywleć na łańcuchu.

Odwróciła głowę. Nutt znowu przyglądał się jej z uwagą. Cóż, jej książka była mocno zatrzaśnięta. Nikt nie będzie przeglądał jej stron. A jutro przekona się, co kombinują magowie.

To łatwe. Będzie niewidzialna.

* * *

W ciszy nocy Nutt siedział w swoim ulubionym miejscu, to znaczy w jeszcze innym pomieszczeniu, całkiem blisko od kadzi. Płonęły świece, a on pochylał się nad znalezionym stołem, wpatrywał się w kartkę papieru i z roztargnieniem dłubał w uchu ołówkiem.

Technicznie biorąc, był ekspertem poezji miłosnej przez wieki i wielokrotnie omawiał ją z panną Healstether, zamkową bibliotekarką. Próbował też podyskutować o niej z Lady, ale roześmiała się i oświadczyła, że to frywolność, choć przydatna w nauce słownictwa, recytacji, rytmu i ekspresji jako środków prowadzących do celu, a konkretnie do skłonienia młodej dziewczyny, by zdjęła z siebie całą odzież. Wtedy Nutt nie do końca zrozumiał, o co jej chodzi. Brzmiało to jak opis sztuczki magicznej.

Postukał ołówkiem o papier. Zamkowa biblioteka była pełna poezji, którą czytał chciwie, jak czytał wszystkie książki, nie wiedząc, po co została napisana ani co właściwie miała osiągnąć. Jednak typowo, wiersze pisane przez mężczyzn dla kobiet realizowały podobny wzorec. I teraz Nutt, mając do dyspozycji cały świat najpiękniejszych strof, nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Ale po chwili kiwnął głową. Tak, sławny poemat Roberta Scandala „Oi! Do jego głuchej kochanki!”. Z całą pewnością miał odpowiedni układ i tempo. Oczywiście, musiała być jakaś muza, przecież poezja zawsze potrzebuje muzy. Tak, to może być pewien kłopot. Juliet, choć całkiem atrakcyjna, była w jego wyobrażeniu czymś w rodzaju przyjaznego ducha. Hmm... Aha, naturalnie...

Nutt wyciągnął z ucha ołówek, zawahał się i napisał:

Śpiewam, lecz nie o miłości, co oślepia ludzi;

Śpiewam, by cześć należną oddać dobroci muzie...

Ogień pod kadziami przygasały, ale umysł Nutta gorzał jasno.

* * *

Koło północy Glenda uznała, że może bezpiecznie zostawić chłopców, by robili to, co zwykle robią chłopcy, kiedy nie ma w pobliżu opiekujących się nimi kobiet. Musiała dopilnować, żeby wraz z Juliet zdążyć na nocny omnibus. A to oznaczało, że w końcu mogła się położyć we własnym łóżku.

Rozejrzała się po maleńkiej, oświetlonej świecą sypialni, i spojrzała prosto w oczy – co nie było łatwe – Pana Kiwaczka, transcendentnego trójkiego misia. Przyjemnie byłoby w tym miejscu uzyskać jakieś kosmiczne wytłumaczenie, ale wszechświat nigdy niczego nie tłumaczy, daje tylko więcej pytań.

Sięgnęła w dół ukradkowo, choć przyglądał się jej tylko trójki miś, i z nieskutecznie ukrytego pod łóżkiem złoza wyjęła najnowszą Iradnę Comb-Buttworthy. Po dziesięciu minutach lektury, która doprowadziła ją całkiem daleko w głąb książki (pani Comb-Buttworthy wydawała tomiki chudsze nawet od jej bohaterek), doznała uczucia *deja vu*. Co więcej, było to *deja vu* do kwadratu, ponieważ miała uczucie, że kiedyś już miała takie *deja vu*.

– Tak naprawdę one wszystkie są takie same, prawda? – zwróciła się do trójkiego misia. – Wiesz, że to będzie pokojówka Mary albo ktoś podobny, że będzie dwóch mężczyzn i ona w końcu zdobędzie tego miłego, musi nastąpić jakieś nieporozumienie, nigdy nie posuną się dalej niż do pocałunku, no i masz absolutną gwarancję, że na przykład ekscytująca wojna domowa, inwazja trolli ani nawet dowolna scena kuchenna na pewno się nie zdarzą. Najlepsze, czego można oczekiwać, to burza z piorunami.

Wszystko to nie miało właściwie nic wspólnego z prawdziwym życiem, które – choć istotnie zdradzało pewien niedostatek wojen domowych i inwazji trolli – miało przynajmniej dość przyzwoitości, by spora

jego część działa się w kuchni.

Książka wysunęła się z jej dłoni i trzydzieści sekund później Glenda spała już mocno.

* * *

Zaskakujące, ale żaden sąsiad nie potrzebował jej w środku nocy, więc wstała, ubrała się i zjadła śniadanie w niemal obcym sobie świecie. Otworzyła drzwi, żeby zanieść śniadanie wdowie Crowdy, i zobaczyła na progu Juliet.

Dziewczyna cofnęła się o krok.

– Wychodzisz, Glenda? Jeszcze wcześniej.

– No, ty już wstałaś – odparła Glenda. – I masz azetę, co stwierdzam z satysfakcją.

– Czy to nie ciekawe? – Juliet podsunęła jej azetę.

Glenda raz tylko rzuciła okiem na obrazek na pierwszej stronie, potem rzuciła jeszcze drugi raz, dokładniej, a następnie chwyciła Juliet i wciągnęła ją do środka.

– Widać ich stukacze – zauważyła Juliet tonem, który brzmiał o wiele zbyt rzeczowo jak na gust Glendy.

– Nie powinnaś w ogóle wiedzieć, jak wyglądają! – oświadczyła, rzucając azetę na kuchenny stół.

– Co? Przecież mam trzech braci, nie? I wszyscy się kąpią w balii koło pieca, nie? W końcu to nic takiego specjalnego. A zresztą to jest kultura przecież. Pamiętasz, zabrałaś mnie kiedyś w takie miejsce, gdzie pełno było ludzi na golasa. Zostałaś tam trzy godziny.

– To było Królewskie Muzeum Sztuki – wyjaśniła Glenda, dziękując gwiazdom za to, że rozmawiają w mieszkaniu. – To co innego!

Próbowała przeczytać tekst, ale okazało się to trudne z tym niesamowitym obrazkiem tuż obok, w miejscu gdzie wzrok mógł paść na niego przypadkiem... i znowu... i znowu...

Glenda lubiła swoją pracę. Nie robiła kariery – ta jest dla ludzi, którzy nie potrafią utrzymać się w pracy. Była dobra w tym, co robiła, i robiła to przez cały czas, nie zwracając uwagi na resztę świata. Ale teraz

szeroko otworzyła oczy. Prawdę mówiąc, nadszedł już czas, żeby mrunąć.

Pod wielkim tytułem „Dawna gra w nowym świetle” znajdował się obrazek wazonu, czy też bardziej dostojnie – urny, w kolorach czarnym i pomarańczowym. Na niej wymalowano kilku bardzo wysokich i szczupłych mężczyzn – ich męskość nie budziła wątpliwości, ale raczej niedowierzanie. Najwyraźniej walczyli o przechwycenie piłki; jeden z nich leżał na ziemi i wyglądał, jakby cierpiał. Tłumaczenie nazwy urny, jak stwierdzał podpis, brzmiało STARCIE.

Zgodnie z wydrukowanym tekstem, ktoś z Królewskiego Muzeum Sztuki znalazł urnę w starym magazynie. Zawierała zwoje, które – jak napisali w azecie – opisywały początkowe zasady kopania piłki, jak je ułożono we wczesnych latach Wieku Wołka Zbożowego, tysiąc lat temu, kiedy rozgrywano mecze dla uczczenia bogini Pedestriany...

Glenda tylko przejrzała resztę artykułu, ponieważ było tam bardzo wiele reszty do przejrzenia. Artystyczne wyobrażenie rzeczonoj bogini zdobiło stronę trzecią. Była oczywiście piękna. Rzadko kiedy widywało się boginie przedstawione jako brzydkie. Prawdopodobnie miało to jakiś związek z ich umiejętnością natychmiastowego powalania ludzi. W przypadku Pedestriany atakowałyby zapewne stopy.

Glenda odłożyła azetę. Wrzała z gniewu, a jako kucharka dobrze wiedziała, jak się wrze. To nie była piłka nożna – tyle że Gildia Historyków tak właśnie twierdziła i mogła to udowodnić nie tylko starymi pergaminami, ale także urną, a kiedy człowiek stawał wobec urny, od razu wiedział, że znalazł się po niewłaściwej stronie dyskusji.

Ale to chyba zbyt ładnie się składa. Chociaż... dlaczego? Jego lordowska mość nie lubił piłki nożnej, lecz tu miała przed sobą artykuł, który stwierdzał, że gra jest bardzo stara i ma własną boginię. A jeśli miasto naprawdę coś lubiło, to tradycję i boginie, zwłaszcza jeśli tym boginiom brakowało trochę szyfonu powyżej talii. Czy to jego lordowska mość pozwolił im zamieścić te obrazki i tekst w azecie? Co się dzieje?

– Mam ważne sprawy – oznajmiła surowo. – Dobrze, że kupiłaś porządną azetę, ale nie chcesz czytać takich rzeczy.

– Wcale nie chcę. Kogo to ciekawi? Kupiłam azetę dla ogłoszenia.

Popatrz.

Glenda nigdy nie zwracała uwagi na stronę z ogłoszeniami, ponieważ zamieszczali je tam ludzie, którzy chcieli jej pieniędzy. Ale było tam, na stronie. Madame Sham z Bzyku prezentuje... mikrokolczugę...

– Mówiłaś, że możemy tam iść – przypomniała z naciskiem Juliet.

– No tak, ale to było, zanim...

– Mówiłaś, że możemy iść.

– No tak. Ale czy ktoś z Sióstr Dolly był kiedyś na pokazie mody? Takie rzeczy to nie dla nas, prawda?

– W azecie nic o tym nie piszą. Tu stoi, że wstęp jest wolny. Mówiłaś, że możemy iść!

O drugiej, myślała Glenda. Powiedzmy, że jakoś zdążę...

– No dobrze, spotkamy się w pracy o wpół do drugiej, rozumiesz? Ani minuty później. Mamy trochę roboty.

Senat uniwersytetu zbiera się codziennie o wpół do dwunastej, pomysłała. Och, stać się muchą na ścianie...

Uśmiechnęła się.

* * *

Trev siedział na połamanym starym fotelu służącym mu za biuro przy kadziach. Praca posuwała się w zwykłym, solidnym ślimaczym tempie.

– Ach, widzę, że przyszedł pan wcześniej, panie Trev – powiedział Nutt. – Przepraszam, że nie było mnie tutaj. Musiałem iść i zająć się pewnym awaryjnym zamieszczeniem wśród kandelabrow. – Nachylił się bliżej. – Zrobiłem to, o co pan prosił, panie Trev.

Trev ocknął się ze snów o Juliet.

– Czego? – zdziwił się.

– Prosił pan, żebym napisał... poprawił pański wiersz dla panny Juliet.

– I zrobiłeś to?

– Może zechciałby pan spojrzeć, panie Trev? – Wręczył Trevowi kartkę i stanął obok nerwowo, jak uczeń staje przed nauczycielem.

Po bardzo krótkiej chwili na czole Treva pojawiła się zmarszczka.

– Co to jest „źli”?

– To w słowie „gdzieźli”, jak „gdzieźli się podzieję”.

– Znaczy, chodzi o to, że jacyś źli nie mają się gdzie podziąć?

– Nie, panie Trev. Na pańskim miejscu złożyłbym to na karb poezji.

Trev brnął dalej. Nigdy nie miał wiele do czynienia z poezją, z wyjątkiem takiej, która zaczynała się od wersów w stylu „Pewna pannica z Quirmu”, lecz to tutaj wyglądało na solidny towar. Strona wydawała się zapisana, a jednocześnie pełna przestrzeni. W dodatku pismo było wyjątkowo zakręcone, a to przecież pewny znak, prawda? Pannice z Quirmu nie dają takich efektów.

– To świetny wiersz, panie Nutt. Naprawdę doskonały. Prawdziwa poezja, ale o co naprawdę w nim chodzi?

Nutt odchrząknął.

– No więc, panie Trev, esencją poezji tego rodzaju jest stworzenie nastroju, który sprawi, że adresat, czyli w tym przypadku owa młoda dama, do której chce pan to wysłać, poczuje się dobrze nastawiony do autora wiersza, to znaczy w tym przypadku pana, panie Trev. Według Lady cała reszta jest tylko na pokaz. Przyniosłem pióro i kopertę. Jeśli zechce pan uprzejmie podpisać wiersz, zadbam, by dotarł do panny Juliet.

– Założę się, że nikt jeszcze nie napisał dla niej wiersza – stwierdził Trev, przemknawszy gładko nad faktem, że on również nie. – Chciałbym zobaczyć, jak będzie go czytać.

– To nie jest dobry pomysł – zapewnił pospiesznie Nutt. – Panuje powszechna zgoda, że zainteresowana dama czyta wiersz pod nieobecność pełnego nadziei amanta, to znaczy pana, panie Trev, wskutek czego wytwarza w myślach jego pochlebny wizerunek. Pańska obecność w owej chwili mogłaby to utrudnić, zwłaszcza że widzę, iż znowu nie zmienił pan dzisiaj koszuli. Ponadto uzyskałem informację o możliwości, że cała jej odzież opadnie.

Trev, który zmagał się z koncepcją „amanta”, szybko przewinął do tego fragmentu.

– Ehm... Mógłbyś powtórzyć?

– Może jej spaść całe ubranie. Przykro mi, ale wydaje się, że to

skutek uboczny całej tej sprawy z poezją. Ale ogólnie rzecz biorąc, panie Trev, wiersz przekazuje wiadomość, o którą panu chodziło: „Myślę, że jesteś naprawdę niezła. Może się spotkamy? Żadnego migdalenia, obiecuję. Szczerze, Trev”. Jednakże, panie Trev, ponieważ chodzi o wiersz miłosny, pozwoliłem sobie nieco ją zmienić, by uwzględnić sugestię, iż gdyby owo migdalenie czy inne bakalie wydały się oczekiwane przez młodą damę, nie znajdzie pana niechętnym pod żadnym względem.

* * *

Nadrektor Ridcully zatarł ręce.

– No cóż, panowie, mam nadzieję, że wszyscy czytaliśmy dzisiejsze azety, a przynajmniej na nie zerknęliśmy?

– Pomyślałem sobie, że pierwsza strona nie jest właściwym miejscem – stwierdził wykładowca run współczesnych. – Przy śniadaniu całkiem odebrało mi to apetyt. Oczywiście w sensie metaforycznym.

– Jak się zdaje, ta urna leżała w muzealnych piwnicach od lat, ale dopiero teraz dała znać o swojej obecności – podjął Ridcully.

– Oczywiście, mają tam całe tony eksponatów, którym nikt nigdy się porządnie nie przyjrzał, a miasto przeżywało wtedy okres pruderyjny i ludzie woleli nie wiedzieć o takich rzeczach.

– Niby o tym, że mężczyźni mają stukacze? – zdziwił się doktor Hix.

– Takie wieści zawsze wcześniej czy później się rozchodzą.

Rozejrzał się po twarzach pełnych dezaprobaty i dodał:

– Pierścień z czaszką, przypominam. Zgodnie ze statutem uczelni, kierownik katedry komunikacji post mortem jest uprawniony, a wręcz zobowiązany do wygłaszania nietaktownych, pogardliwych i umiarkowanie złośliwych uwag. Przykro mi, ale to wasze reguły.

– Dziękuję, doktorze Hix. Pańska niepożądana uwaga została zauważona i należycie doceniona.

– A wiecie, uważam to za bardzo podejrzane, że ta nieszczęsna urna pojawiła się akurat teraz – zauważył pierwszy prymas. – Mam nadzieję, że nie jestem w tym odosobniony?

– Rozumiem, o co panu chodzi – zgodził się Hix. – Gdybym nie wiedział, jak nadrektor musiał się napracować, by uzyskać dla nas pozwolenie na grę, pomyślałbym, że jest w tym jakiś plan.

– Taaak – mruknął zamyślony Ridcully.

– Te dawne zasady wydają się o wiele ciekawsze, nadrektorze – oświadczył Myślak.

– Taaak...

– Czytał pan ten fragment, gdzie piszą, że graczom nie wolno używać rąk? I że najwyższy kapłan staje w polu gry, by dopilnować, że reguły są przestrzegane?

– Nie wyobrażam sobie, by obecnie się to przyjęło – stwierdził wykładowca run współczesnych.

– Jest uzbrojony w zatruty sztylet – uzupełnił Myślak.

– Tak? No to przynajmniej gra powinna być ciekawsza, co, Mustrum? Mustrum!

– Co? A tak. Tak. Rzeczywiście warto się nad tym zastanowić. Tak, rzeczywiście. Jeden człowiek, który kieruje... Widz, który widzi większą część meczu... Taki meczowy... A więc które posunięcie przeoczyłem?

– Słucham, nadrektorze?

Ridcully zamrugał, patrząc na Stibbonsa.

– Co? Ach, tylko porządkowałem myśli, jak często się robi. – Wyprostował się. – Reguły w tej chwili nas nie interesują. Musimy rozegrać mecz w każdym przypadku, a zatem będziemy ich przestrzegać zgodnie z najlepszymi tradycjami sportowego ducha, dopóki nie odkryjemy, w którym miejscu można je nagiąć albo złamać dla naszej korzyści. Panie Stibbons, miał pan dokonać syntezy naszych studiów nad tą grą. Oddaję panu głos.

– Dziękuję, nadrektorze. – Myślak odchrząknął. – Panowie, podczas gry w piłkę nożną najwyraźniej chodzi o coś więcej niż o reguły i naturę gry. Zresztą to tylko rozważania dotyczące czystej mechaniki; skandowanie i oczywiście jedzenie, mam wrażenie, bardziej nas dotyczą. Są chyba integralną częścią meczu. Niestety, są nimi też kluby kibiców.

– Jaka jest natura tego problemu?

– Tłuką się nawzajem po głowach. Prawdziwe jest stwierdzenie, że bójki i bezmyślna przemoc, jakie wystąpiły wczoraj wieczorem, są ka-

mieniami węgielnymi tego sportu.

– Daleko odeszli od starożytnych początków. – Kierownik studiów nieokreślonych pokręcił głową.

– No owszem, jak rozumiem, w tamtych czasach drużyna przegrywająca była duszona. Przypuszczam jednak, że określono by to jako bezmyślną przemoc, do której dochodziło przy entuzjastycznym poparciu całego społeczeństwa, a przynajmniej tej jego części, która wciąż mogła oddychać. Na szczęście my nie mamy jeszcze kibiców, więc w tej chwili nie stanowi to problemu. Proponuję więc, by od razu przejść do zapiekank.

Wśród magów rozległy się chóralne okrzyki aprobaty. Najedzeniu znali się jak mało kto. Może nawet jak nikt. Niektórzy z nich obserwowali już drzwi w oczekiwaniu na wózek. Zdawało się, że od dziewiątej upłynęły całe wieki.

– Kluczowa dla gry jest zapiekanka – mówił dalej Myślak. – Na ogół jest wykonana na kruchym cieście i zawiera odpowiednie zapiekankowe substancje. Zebrałem kilka egzemplarzy i przetestowałem je na typowych obiektach.

– Na studentach? – upewnił się Ridcully.

– Tak jest. Stwierdzili, że są dość obrzydliwe. Nie ma porównania z tutejszymi zapiekankami, uznali. Ale skończyli je. Badanie składników pozwoliło ustalić, że składały się z sosu na okrasę, tłuszczu i soli; o ile dało się stwierdzić, wydaje się, że żaden ze studentów nie umarł.

– Czyli mamy przewagę w zapiekankach – stwierdził z zadowoleniem Ridcully.

– Tak uważam, nadrektorze, choć nie wydaje mi się, żeby jakoś zapiekankę odgrywała jakąkolwiek rolę... – Myślak przerwał, bo drzwi się otworzyły, pozwalając na przejazd wzmocnionego, ciężkiego wózka z herbatą. Ponieważ nie był popychany przez Nią, magowie nie zwracali już na niego uwagi, a skupili się na rozdawaniu filiżanek, przekazywaniu cukiernicy, badaniu jakości czekoladowych ciasteczek z nadzieją na zabranie więcej, niż przypada na osobę, oraz wszystkich innych drobnych czynnościach, bez których komitet byłby chytrym systemem do szybkiego podejmowania przemyślanych decyzji.

Kiedy ucichło brzęczenie i dobiegła końca walka o ostatnie cia-

steczko, Ridcully zadzwonił łyżeczką o filiżankę, prosząc tym o ciszę. Jednakże, ponieważ był Ridcullym, tylko dodało to do ogólnego gwaru brzęk tłuczonej porcelany. Kiedy już kierująca wózkiem dziewczyna wszystkich wytarła, Myślak kontynuował.

– Śpiewy i skandowania, panowie, na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie kolejnej nieistotności, mam jednak powody, by sądzić, że niosą pewną moc i ignorowanie ich wiąże się ze znacznym ryzykiem. Jak rozumiem, muzealni tłumacze twierdzą, że współczesne śpiewy były oryginalnie hymnami do bogini, wzywającymi ją, by zesłała swoje łaski na wybraną drużynę, gdy równocześnie najady tańczyły na obrzeżach pola gry, by tym bardziej zachęcić graczy do wspanialszych wyczynów.

– Najady? – zdziwił się kierownik studiów nieokreślonych. – To wodne nimfy, prawda? Młode kobiety w bardzo cienkich i mokrych sukniach? Po co byłyby komukolwiek potrzebne? Poza tym czy one swoim śpiewem nie topiły żeglarzy?

Nim Ridcully się odezwał, pozwolił, by niepewne milczenie zawisło na chwilę w powietrzu.

– Na szczęście nie spodziewam się, by w dzisiejszych czasach ktokolwiek oczekiwał, że będziemy grać w piłkę pod wodą.

– Zapiekaneki by pływały – zauważył kierownik studiów nieokreślonych.

– Niekoniecznie – stwierdził Myślak.

– A co z ubraniami, panie Stibbons? Zakładam, że jakieś będą.

– Temperatura w dawnych czasach była nieco wyższa. Zapewniam, że nikt nie będzie się upierał przy nagości.

Myślak mógł zauważyć brzęk, kiedy dziewczyna z wózkiem upuściła filiżankę, jednak był na tyle uprzejmy, by nie zauważyć, że zauważył. Mówił więc dalej:

– W chwili obecnej drużyny noszą stare koszulki i krótkie spodnie.

– Jak krótkie? – spytał kierownik studiów nieokreślonych z niepokojem w głosie.

– Mniej więcej do kolan. Czy to jakiś kłopot?

– Owszem, tak. Kolana winny być zakryte. Powszechnie znany jest fakt, że jedno spojrzenie na męskie kolano może doprowadzić kobiety do szału lubieżności.

Od strony wózka z herbatą rozległ się kolejny brzęk, ale Myślak nie zwrócił na niego uwagi, gdyż w głowie także mu trochę brzęczało.

– Jest pan tego pewny?

– To potwierdzony fakt, młody Stibbonsie.

Tego ranka Myślak znalazł na grzebieniu siwy włos i nie był w nastroju, by spokojnie przyjmować takie uwagi.

– A w jakiej dokładnie książce znajduje się... – zaczęła, ale Ridcully przerwał mu z niezwykłym dla siebie zmysłem dyplomacji. Na ogół lubił takie drobne starcia w gronie profesorskim.

– Dodatkowe parę cali, by zapobiec atakom pań, z pewnością nie sprawi kłopotu, panie Stibbons. Oj...

To ostatnie skierowane było do Glendy, która upuściła na dywan dwie łyżeczki. Dygnęła odruchowo.

– Ach, coś jeszcze... Powinniśmy nosić kolory uniwersytetu – mówił dalej, z lekką sugestią nerwowości w głosie.

Ridcully był dumny z tego, że dobrze traktuje personel, i rzeczywiście tak było, kiedy tylko sobie o nim przypominał. Ale wyraz inteligentnego rozbawienia na twarzy pulchnej dziewczyny wyprowadzał go z równowagi; to było tak, jakby kurczak mrugnął porozumiewawczo.

– Eee... no tak – rzekł. – Porządne, stare czerwone koszulki, jakie mieliśmy za moich wiosłarskich czasów, z wielkimi U na piersi, wyraźnymi i jaskrawymi...

Zerknął na służącą, która marszczyła czoło. Ale był przecież nadrektorem, prawda? Miał to wypisane na drzwiach gabinetu.

– Tak właśnie zrobimy – zdecydował. – Przyjrzymy się też zapiekankom, chociaż widziałem sporo takich, którym lepiej się nie przyglądać, cha, cha, i wykorzystamy sprawdzone dawne swetry. Co dalej, panie Stibbons?

– Co do śpiewów, nadrektorze, to rozmawiałem z mistrzem muzyki, żeby opracował kilka opcji – odparł gładko Myślak. – I jak najszybciej musimy wybrać drużynę.

– Nie rozumiem, po co ten pośpiech – mruknął kierownik studiów nieokreślonych, który już prawie drzemał w objęciach ciasteczkowego przejedzenia.

– Chodzi o legat, zapomniałeś? – odpowiedział szef katedry komu-

nikacji post mortem. – Mamy...

– *Pas devant la domestique!* – warknął wykładowca run współczesnych.

Ridcully obejrzał się odruchowo w stronę Glendy i doznał przemożnego wrażenia, że widzi przed sobą kobietę, która zamierza szybko opanować język obcy. Było to dziwne, ale dość ekscytujące uczucie. Aż do tej chwili nigdy nie myślał o pokojówkach pojedynczo. Wszystkie należały do... służby. Był dla nich uprzejmy i uśmiechał się w odpowiednich chwilach. Zakładał, że niekiedy zajmują się czymś innym niż tylko sprzątanie i podawanie do stołu, że czasami odchodzą, by wyjść za mąż, a czasami tylko... odchodzą.

Aż do teraz jednak nie przyszło mu do głowy, że mogą myśleć, a już na pewno nie zastanawiał się, co myślą, a przynajmniej co myślą o magach. Znowu odwrócił się do stołu.

– Kto będzie skandował te pieśni, panie Stibbons?

– Wspomniani uprzednio kibice. Fani, nadrektorze. To skrót od fanatyków.

– A nasi będą... kim?

– Jesteśmy przecież największym pracodawcą w mieście, nadrektorze.

– Tak naprawdę jest nim Vetinari i na wszystkie demony, chciałbym wiedzieć, komu daje pracę – mruknął Ridcully.

– Jestem przekonany, że nasz lojalny personel nas wesprze – oświadczył wykładowca run współczesnych. Zwrócił się do Glendy i, budząc niechęć Ridcully'ego, odezwał się słodkim głosem:

– Na pewno zostaniesz naszym fanem, prawda, moje dziecko?

Nadrektor usiadł wygodnie. Intuicja podpowiadała mu wyraźnie, że będzie niezła zabawa. W każdym razie dziewczyna nie zaczerwieniła się i nie pisnęła. Właściwie nic nie zrobiła, tylko ostrożnie odłożyła porcelanową filiżankę.

– Kibicuję Siostron Dolly, proszę pana. Zawsze kibicowałam.

– Dobrze im idzie?

– W tej chwili mają gorszy okres, proszę pana.

– Ach, w takim razie sądzę, że zechcesz wspierać nasz zespół, który będzie znakomity.

– To niemożliwe, proszę pana. Trzeba kibicować swojej drużynie, proszę pana.

– Ale sama powiedziałaś, że marnie im idzie.

– Wtedy właśnie trzeba ich wspierać, proszę pana. Inaczej jest się piknikiem.

– A piknik to...? – zainteresował się Ridcully.

– Ktoś, kto wiwatuje, kiedy drużynie idzie dobrze, ale ucieka do innej, jak tylko zaczynają przegrywać. Oni zawsze najgłośniej krzyczą.

– Czyli przez całe życie kibicujecie tej samej drużynie?

– No... kiedy ktoś się przeprowadza, to nie ma sprawy, może sobie zmienić. Nikomu to nie będzie przeszkadzać, chyba że przejdzie do prawdziwych wrogów. – Spojrzała na ich zdziwione miny i westchnęła.

– Na przykład Zjednoczeni z Nastroszonego Wzgórza i Kolosi albo Siostry Dolly i Starzy Kumple z Przyćmionej, albo Wieprzowcy Świńska Górka i Dziki Kogudziobna. Nie wiecie?

Najwyraźniej nie wiedzieli, więc zaczęła tłumaczyć:

– Nienawidzą się nawzajem. Zawsze się nienawidzili i zawsze będą. To niedobre zestawienia. Ludzie źle na to patrzą. Nie wiem, co by powiedzieli moi sąsiedzi, gdyby zobaczyli, że kibicują Ćmocom.

– Przecież to straszne! – zawołał kierownik studiów nieokreślonych.

– Przepraszam, panienko – wtrącił Mysłak. – Większość tych par pochodzi z bliskich okolic, więc dłaczego tak bardzo się nie lubią?

– To akurat jest proste – zapewnił doktor Hix. – Trudno nienawidzić kogoś na daleki dystans. Ale na kurzajki u sąsiada człowiek musi patrzeć codziennie.

– Takiego właśnie cynicznego komentarza należało się spodziewać od komunikatora post mortem – burknął kierownik studiów nieokreślonych.

– Albo realistycznego. – Ridcully uśmiechnął się promiennie. – Ale Siostry Dolly i Przyćmiona leżą dość daleko od siebie, panienko.

Glenda wzruszyła ramionami.

– Tak, lecz zawsze tak było i tak jest. Tyle wiem.

– No cóż, bardzo dziękujemy, panno...?

Nie dało się nie dostrzec zawieszonego w powietrzu znaku zapytania.

- Glenda – przedstawiła się.
- Widzę, że wielu spraw jeszcze nie rozumiemy.
- Tak, proszę pana. Wszystkich.

Nie chciała mówić tego głośno. Słowa wyrwały się całkiem samodzielnie.

Wśród magów nastąpiło niewielkie zamieszanie. Byli skonsternowani, ponieważ zdarzyło się coś, co tak naprawdę nie mogło się zdarzyć. Równie dobrze wózek z herbatą mógłby zarzeć.

Ridcully uderzył dłonią w stół, zanim pozostali zdążyli przywołać jakieś słowa.

– Dobrze powiedziane, panienko – stwierdził, gdy Glenda czekała, aż podłoga się rozstąpi i ją pochłonie. – I jestem przekonany, że ta uwaga płynęła prosto z serca, podejrzewam bowiem, że nie mogła pochodzić z głowy.

– Przepraszam, proszę pana, ale dżentelmen spytał o moją opinię.

– A ta z kolei wyszła z głowy. Brawo. Proszę więc dać nam możliwość skorzystania z pani przemyśleń, panno Glendo.

Wciąż jakby w szoku, Glenda spojrzała nadrektorowi prosto w oczy i zrozumiała, że nie jest to pora, by zachowywać się mniej niż zuchwale. Ale to też wyprowadzało ją z równowagi.

– Ale o co tu chodzi, proszę pana? Jeśli chcecie grać, to zwyczajnie idźcie i grajcie. Dlaczego cokolwiek zmieniać?

– Gra w kopanie piłki nie nadąża za naszymi czasami, panno Glendo.

– No ale panowie też... Przepraszam, bardzo przepraszam, ale sami panowie wiedzą. Magowie zawsze są magami. Niewiele się tutaj zmienia, prawda? Potem opowiadają panowie o jakimś mistrzu muzyki, który ma wymyślić nową pieśń, a to nie tak się odbywa. Ścisk tworzy swoje pieśni. Same powstają. Tak jakby brały się z powietrza. A zapiekanki są okropne, to prawda, ale kiedy człowiek stoi w Ścisiku, pogoda jest ohydna, deszcz wlewa się pod płaszczy i buty przemakają, a potem wgrzyza się w swoją zapiekankę i wie, że wszyscy wgrzyzają się w swoje, a tłuszcz spływa mu do rękawa, naprawdę, proszę pana, nie ma na to słów. Naprawdę mi ich brakuje, proszę pana. To uczucie, jakiego nie potrafię opisać, ale trochę przypomina bycie dzieckiem na Strzeżenie Wiedźm. I nie można go kupić, wie pan, nie można zanotować, zorga-

nizować, wypolerować ani oswoić. Przepraszam, że mówię tak zuchwale, proszę panów, ale na tym to wszystko polega. Na pewno panowie o tym wiedzieli. Czy ojcowie nigdy nie zabierali was na mecze?

Ridcully spojrzał na siedzących przy stole wykładowców i dostrzegł pewne zamglenie oczu. Magowie należeli w większości do tej generacji, z której tworzy się dziadków. Byli też w większości wielcy, ociekający cyniczną drażliwością i obrośnięci pąklami lat, ale... Zapach tanich płaszczy w deszczu, zawsze mającym odcień i posmak sadzy, i ojciec, a może dziadek sadzający człowieka na ramionach, i siedzenie tam ponad wszystkimi tanimi kapeluszami i szalikami... Człowiek czuł wtedy ciepło Ścisku, obserwował jego falowania, wyczuwał puls, a potem oczywiście do góry wędrowała zapiekanka, czy może pół zapiekanki, jeśli czasy były ciężkie, a jeśli naprawdę złe, to garść polanego tłuszczem grochu, którego ziarenka należało zjadać po jednym, żeby wystarczyły na dłużej... A kiedy czasy były dobre, mógł się trafić prawdziwy smakołyk, na przykład hot dog, którym nie trzeba się dzielić, albo talerz potrawy z żółtym tłuszczem krzepnącym na wierzchu i bryłkami chrząstki, którą dało się żuć przez całą drogę do domu – mięso, jakiego dziś człowiek nie dałby psu, ale w deszczu, pośród krzyków, w sercu Ścisku wydawało się lotosem jadany przez bogów.

Nadrektor zamrugał. Zdawało się, że to było wczoraj, jeśli nie liczyć tych siedemdziesięciu lat, które przeminęły nie wiadomo kiedy...

– Ehm... Bardzo obrazowe wyjaśnienie – stwierdził i wziął się w garść. – Inteligentne uwagi i rozsądnie zaprezentowane. Ale widzi pani, ciąży na nas odpowiedzialność. W końcu zanim zbudowano mój uniwersytet, miasto było ledwie garstką wiosek. Niepokoją nas te wczorajsze uliczne starcia. Dotarła do nas pogłoska, że ktoś zginął, gdyż kibicował niewłaściwej drużynie. Nie możemy stać z boku i pozwalać na takie wypadki.

– W takim razie pewnie zamkniecie panowie Gildię Skrytobójców, tak?

Syknienia zabrzmiały ze wszystkich ust, nie wyłączając jej własnych. Jedyna racjonalna myśl, która nie uciekła z głowy, brzmiała: Ciekawe, czy wciąż mają wolną posadę w Gildii Błaznów... Nie płacą wiele, ale potrafią docenić fachowca, choć będzie trzeba z zapiekanek

przerzucić się na torty...

Kiedy ośmieliła się spojrzeć, nadrektor patrzył w sufit i bębnił palcami po stole. Powinnam bardziej uważać, jęczała Glenda do własnego ucha. Nie próbuj pogawędek z dżentelmenami. Zapominasz, kim naprawdę jesteś, ale oni nie.

Bębnienie ucichło.

– Słuszna uwaga. Rozsądne słowa – oświadczył Ridcully. – I swoje argumenty zaprezentuję w taki oto sposób.

Pstryknął palcami. Z cichym puknięciem, wśród zapachu agrestu, w powietrzu nad blatem pojawiła się czerwona kulka.

– Po pierwsze: skrytobójcy, choć niosą śmierć, nie działają przypadkowo i są zagrożeniem przede wszystkim dla siebie nawzajem. Skrytobójstwa muszą się obawiać głównie ci, którzy są dostatecznie potężni, by mogli sobie pozwolić na ochronę.

Pojawiła się następna kulka.

– Po drugie: jest dla nich niemal religijnym dogmatem, że nie wolno niszczyć własności. Są nieodmiennie uprzejmi, rozważni i przysłowiowo bezgłośni. Pewnie by nie mogli sobie nawet wyobrazić inhumowania celu na publicznej ulicy.

Zajaśniała trzecia kulka.

– Po trzecie: są zorganizowani, a więc podatni na wpływy obywatelskie. Lord Vetinari jest bardzo czuły na tym punkcie.

I jeszcze jedna kulka wykwitła ze stukiem.

– I po czwarte: sam lord Vetinari jest wyszkolonym skrytobójcą i uzyskał dyplom ze skradania i trucizn. Nie jestem pewien, czy zgodziłby się z pani opinią. Jest również tyranem, nawet jeśli rozwinął tyranię do takiego punktu metafizycznej doskonałości, że stała się raczej wyobrażeniem niż siłą. Widzi pani, panno Glendo, on nie musi pani słuchać. Nawet mnie nie musi słuchać. On słucha miasta. Nie wiem, jak to robi, ale robi. I gra na nim jak na skrzypcach... – Ridcully urwał na moment, po czym podjął: –... albo w najbardziej skomplikowaną grę, jaką można sobie wyobrazić. Miasto działa, może nie idealnie, ale lepiej niż kiedykolwiek. I myślę, że przyszedł czas, by zmieniła się także piłka. – Uśmiechnął się, widząc jej minę. – A jaką pracę pani wykonuje, młoda damo? Bo marnuje się pani w niej.

Prawdopodobnie miał to być komplement. Ale Glenda, z głową tak oszłamniającą pełną słów nadrektora, że aż wyciekały jej uszami, usłyszała własne słowa:

– Na pewno się nie marnuję, proszę pana. Nigdy panowie nie jedli lepszych zapiekanek niż moje! To ja kieruję nocną kuchnią!

Metafizyka realnej polityki nie była obiektem zainteresowania większości obecnych, ale z zapiekankami wiedzieli, na czym stoją. Glenda już wcześniej skupiła na sobie ich uwagę, ale teraz rozgorzeli ciekawością.

– Naprawdę?! – zawołał kierownik studiów nieokreślonych. – Myśleliśmy, że to ta ładna dziewczyna.

– Doprawdy? – spytała uprzejmie Glenda. – Nie, to ja.

– Więc kto robi te pyszne zapiekanki, jakie tu czasem trafiają, z serowym ciastem i warstwą gorących pikli?

– Zapiekanka oracza? Ja, proszę pana. To mój własny przepis.

– Poważnie? A jakim cudem marynowana cebulka przy pieczeniu zostaje taka twarda i chrupiąca? To niesamowite!

– Mój własny przepis, proszę pana – odparła twardo Glenda.

– Nie byłby mój, gdybym komuś powiedziała.

– Słusznie – przyznał radośnie Ridcully. – Nie możesz wypytować fachowca o sekrety jego fachu, mój przyjacielu. Czegoś takiego zwyczajnie się nie robi. A teraz zamykam posiedzenie, choć dopiero później zdecyduję, czy istotnie zamknęło ono jakieś kwestie. – Zwrócił się znowu do Glendy. – Dziękuję, że przyszła pani tu dzisiaj, panno Glendo. Nie będę dociekał, czemu młoda dama, pracująca w nocnej kuchni, nalewa herbatę tutaj, skoro już prawie południe. Czy ma pani dla nas jeszcze jakieś rady?

– No... – zawahała się Glenda. – Skoro pan pyta... Nie, naprawdę nie powinienam...

– Nie jest to właściwa chwila na ataki nieśmiałości, nie sądzi pani?

– Chodzi o wasze kolory, proszę pana. To znaczy koszulki waszej drużyny. Nie ma nic złego w czerwieni z żółtym, nikt inny ich nie używa, ale chciał pan umieścić z przodu dwa wielkie U, tak. Takie UU?

– Tak jest, właśnie tak. Unia Uniwersytecka. Tym właśnie będziemy. – Ridcully pokiwał głową.

– Jest pan pewien? To znaczy wiem, że wszyscy panowie są tu kawalerami i w ogóle, ale... no, wyglądają panowie, jakby mieli obfite łona. Naprawdę.

– Na bogów, ona ma rację! – przyznał Myślak. – To będzie naprawdę niefortunny kształt.

– Jaki chory umysł zobaczy coś takiego w dwóch niewinnych literach? – spytał gniewnie wykładowca run współczesnych.

– Nie wiem, proszę pana – odparła Glenda. – Ale wszyscy oglądający mecze takie mają. I będą wymyślać przezwiska. Uwielbiają to.

– Podejrzewam, że może pani mieć rację – zgodził się Ridcully.

– Ale kiedy za dawnych lat wiosłowałem, nigdy nie mieliśmy z tym kłopotów.

– Miłośnicy piłki nożnej używają mocniejszego języka, nadrektorze – zauważył Myślak.

– No tak. A my wtedy byliśmy dość swobodni w ciskaniu kulami ognia, o ile pamiętam. – Ridcully się zadumał. – Co za wstyd. Miałem nadzieję, że znowu trochę przewietrzę stare ciuchy. Myślę jednak, że uda się zmienić trochę rysunek, żeby uniknąć zakłopotania dla wszystkich. Raz jeszcze bardzo dziękuję, panno Glendo. Łona, tak? Niewiele brakowało, nie ma co. Miłego dnia.

Zamknął drzwi za wózkiem, który Glenda pchała, jakby startowała w wyścigu.

Molly, szefowa służących w dziennej kuchni, kręciła się niespokojnie na końcu następnego korytarza. Odetchnęła z ulgą, kiedy wśród dzwonienia filiżanek zza rogu wynurzyła się Glenda.

– Dobrze ci poszło? Czy cokolwiek poszło niedobrze? Jeśli coś pójdzie niedobrze, będę miała straszne kłopoty. Powiedz, że wszystko poszło dobrze!

– Było nieźle – zapewniła ją Glenda.

Zyskało jej to podejrzliwe spojrzenie.

– Na pewno? Jesteś mi za to coś winna.

Prawa przysług należą do podstawowych w multiwersum. Pierwsze prawo brzmi: nikt nie prosi o tylko jedną przysługę; druga prośba (po wyświadczeniu pierwszej przysługi) poprzedzona przez „i jeśli się nie obrazisz” dotyczy drugiej przysługi. Jeżeli wymieniona druga przysługa

nie zostanie wyświadczona, drugie prawo orzeka, że wszelka wdzięczność za pierwszą przysługę zostanie wyzerowana, a zgodnie z trzecim prawem wyświadczający przysługę żadnej naprawdę nie wyświadczył i następuje kolaps pola przysługowego.

Ale Glenda uważała, że przez lata wyświadczyła bardzo wiele przysług i kilka jej się należało. Poza tym miała powody przypuszczać, że Molly spędzała szczęśliwie uzyskany czas wolny, flirtując ze swoim chłopakiem, który pracował w piekarni.

– Możesz mnie wprowadzić na bankiet w środę wieczorem?

– Przykro mi, ale kamerdyner decyduje, kogo weźmie do pracy.

Ano tak; dziewczyny wysokie i szczupłe, przypomniała sobie Glenda.

– Ale dlaczego miałyby ci na tym zależeć? – zdziwiła się Molly. – Dużo biegania i tak po prawdzie to wcale dużo nie płacą. Znaczy, po dużym przyjęciu zostaje sporo dobrych rzeczy, ale co to dla ciebie? Wszyscy wiedzą, że jesteś królową zostawionych! – Przerwała zakłopotana. – Chciałam powiedzieć, że przecież świetnie gotujesz i zawsze coś zostaje... – paplała. – O to mi właśnie chodziło.

– Nie pomyślałam, że mogło ci chodzić o coś innego – odparła Glenda spokojnym tonem. Ale podniosła głos, kiedy Molly odchodziła pospiesznie. – I mogę ci się odwdzińczyć już teraz! Masz dwa mączne ślady rąk na tyłku!

Spojrzenie, jakie padło w odpowiedzi, było tylko niewielkim zwycięstwem, ale człowiek bierze, co mu dają.

Jednak to niezwykle interludium, którego z pewnością pożałuje, zajęło już zbyt dużo czasu. Musiała wracać do nocnej kuchni.

* * *

Kiedy za dość zuchwałą pokojówką zamknęły się drzwi, Ridcully znacząco skinął głową Myślakowi.

– No dobra, Stibbons. Przez cały czas, kiedy z nią rozmawiałem, patrzyłeś na swój thaumometr. Co tam?

– Jakiś splot.

– A ja myślałem, że to Vetinari stoi za tą sprawą z urną – mruknął ponuro Ridcully. – Powinienem od razu skojarzyć, że nigdy nie jest tak mało subtelny.

– Och, od początku wiedziałem, że to coś takiego – oświadczył wykładowca run współczesnych.

– Rzeczywiście – zgodził się kierownik studiów nieokreślonych.

– Przyszło mi to do głowy, kiedy tylko zobaczyłem ją w azecie.

– Panowie – rzekł Ridcully. – Zawstydzacie mnie, ponieważ gdy tylko wpadam na jakiś pomysł w dowolnej kwestii, okazuje się, że wszyscy już wcześniej wiedzieli, o co chodzi. Jestem zdumiony.

– Bardzo przepraszam – odezwał się doktor Hix. – Ale nie mam pojęcia, o czym mówicie.

– Bo nie ma pan kontaktu ze światem! Za dużo czasu pan spędza pod ziemią! – skarcił go surowo wykładowca run współczesnych.

– Dlatego że mało kiedy mnie wypuszczacie! I chciałbym przypomnieć, że muszę utrzymywać kluczowe linie kosmicznej obrony tej uczelni, mając personel liczebności jeden! W dodatku martwy.

– Chodzi ci o Charliego? – spytał Ridcully. – Pamiętam starego Charliego, solidny pracownik.

– Tak, ale muszę przez cały czas go podkrecać – westchnął Hix.

– Staram się informować wszystkich na bieżąco w moich miesięcznych raportach. Mam nadzieję, że je czytaliście...?

– Proszę powiedzieć, doktorze – zwrócił się do Hiksa Myślak – czy wyczuł pan coś niezwykłego, kiedy ta młoda dama mówiła tak elokwentnie?

– Owszem. Na jedną miłą chwilę wzbudziło to przyjemne wspomnienie o moim ojcu.

– Jak zapewne u nas wszystkich – uznał Myślak. Wokół stołu magowie z powagą pokiwali głowami. – Osobiście nigdy nie znałem mojego ojca. Wychowały mnie ciotki. Przeżyłem de ja vu bez oryginalnego vu.

– I to nie była magia? – zasugerował wykładowca run współczesnych.

– Nie, podejrzewam raczej religię – odparł Ridcully. – Bóg inwokowany i takie tam.

– Nie inwokowany, Mustrumie – sprzeciwił się Hix. – Przywołany rozlewem krwi.

– Mam nadzieję, że jednak nie. – Ridcully wstał. – Dziś po południu, panowie, chciałbym przeprowadzić niewielki eksperyment. Nie będziemy rozmawiać o piłce, nie będziemy rozmyślać o piłce, nie będziemy się martwić piłką...

– Chcesz nas zmusić, żebyśmy w nią zagrali, tak? – domyślił się posmutniały wykładowca run współczesnych.

– Tak – przyznał Ridcully, trochę zirytowany popsuciem całkiem dobrej przemowy. – Trochę sobie pokopiemy, żeby z pierwszej ręki doświadczyć tej gry tak, jak jest rozgrywana.

– Ehm... Ścisłej mówiąc, zgodnie z nowymi regułami, przez co rozumieć starożytne reguły, a doświadczenie z pierwszej ręki oznacza: bez rąk – przypomniał Myślak.

– Słuszna uwaga, młody człowieku. Daj znać wszystkim, dobrze? Ćwiczenia gry w piłkę na trawniku, zaraz po obiedzie.

* * *

Najważniejsze, o czym należało pamiętać, kontaktując się z krasnoludami, to że choć formalnie żyły w tym samym świecie, widziały go, jakby był odwrócony dołem do góry. Tylko najbogatsze i najbardziej wpływowe krasnoludy mieszkaly w najgłębszych jaskiniach. Dla krasnoluda penthouse w centrum miasta byłby odpowiednikiem slumsu. Krasnoludy lubiły mrok i chłód. Krasnolud, który szedł w górę, tak naprawdę schodził w dół, ponieważ klasa wyższa u krasnoludów była niższą. Krasnolud, który był bogaty, zdrowy, cieszył się szacunkiem i własną fermą szczurów, sprawiedliwie czuł się na dnie i patrzono na niego z góry. Rozmawiając z krasnoludami, należało wywrócić własny umysł. Miasto również. Oczywiście, gdy ktoś zaczynał kopać w Ankh-Morpork, znajdował więcej Ankh-Morpork. Tysiące lat Ankh-Morpork, czekające tylko, by je wykopać, ostemplować i wzmocnić lśnącymi krasnoludziemi ceglami.

To było to „Wielkie Przedsięwzięcie” lorda Vetinariego. Miejskie

mury ścisnęły je gorsetem, jak w szczęśliwym marzeniu fetyszysty. Grawitacja oferowała jedynie ograniczone rezerwy „w górę”, ale głębokie złoża iltu z równin gwarantowały nieograniczony zapas „w dół”.

Glenda była więc dość zdziwiona, kiedy znalazła Shwattę na powierzchni Pały, obok naprawdę eleganckich sklepów z ubraniami dla ludzkich dam. To jednak miało sens: jeśli ktoś zamierza osiągnąć skandalicznie wysokie zyski ze sprzedaży odzieży, warto zamaskować się między innymi sklepami robiącymi to samo. Nie była pewna co do nazwy, ale najwyraźniej Shwatta po krasnoludziemu oznaczało „cudowną niespodziankę”, a gdyby człowiek zaczął się śmiać, nie miałby już czasu, by przerwać i złapać oddech.

Glenda zbliżyła się do drzwi z łekiem osoby przekonanej, że kiedy tylko wejdzie, każą jej płacić pięć dolarów za minutę oddychania, a potem przytrzymają głowę w dół i hakami usuną cały jej majątek.

Rzeczywiście, lokal miał klasę. Ale była to krasnoludzka klasa, co oznacza mnóstwo kolczug i dość broni, by opanować miasto – lecz jeśli człowiek przyjrzał się uważnie, dostrzegał, że to damskie kolczugi i broń. Najwyraźniej tak właśnie się to odbywało. Krasnoludzie kobiety miały już dość wyglądu przez cały czas jak krasnoludzi mężczyźni i metaforycznie roztapiały swoje napierśniki, by wykuć coś lżejszego i z dopasowywanymi paskami.

Juliet wyjaśniła to wszystko po drodze, choć oczywiście nie użyła słowa „metaforycznie”, jako będącego przynajmniej dwie sylaby poza jej zasięgiem. W sklepie były topory i młoty bojowe, ale wszystkie miały jakieś kobiece elementy. Na przykład jeden z toporów, najwyraźniej zdolny do rozłupania kręgosłupa wzdłuż, był przepięknie grawerowany w kwiaty. To był inny świat, a Glenda – stojąc przy drzwiach i rozglądając się nerwowo – z ulgą dostrzegła wewnątrz innych ludzi. Właściwie dostrzegła ich całkiem sporo, co ją zaskoczyło. Pewna młoda kobieta w stalowych butach na sześciocalowym obcasie zbliżała się jakby ściągana magnesem – a biorąc pod uwagę ilość ferromagnetycznego metalu na jej ciele, magnesu nie potrafiłaby ominąć zbyt szybko. Niosła tacę z drinkami.

– Mamy czarny miód, czerwony miód i biały miód – powiedziała. Po czym zniżyła głos o kilka decybeli i trzy klasy społeczne.

– Tak naprawdę czerwony miód to sherry i wszystkie krasnoludzie damy je piją. Lubią nie musieć żłopać.

– Trzeba za to płacić? – zapytała nerwowo Glenda.

– Nie, to za darmo – uspokoiła ją dziewczyna. Wskazała stojącą przy drinkach miseczkę małych czarnych kawałków, każdy na koktajlowym patyczku. – Proszę, spróbujcie też szczurzego owocu – zaproponowała bez wielkiej nadziei.

Zanim Glenda zdążyła przyjaciółkę powstrzymać, Juliet poczęstowała się i zaczęła entuzjastycznie przeżuwać.

– Która część szczura jest jego owocem? – spytała Glenda.

Dziewczyna z tacą unikała jej wzroku.

– No... Wiesz, co to zapiekanka pasterska?

– Znam dwanaście różnych przepisów – oświadczyła Glenda w chwili rzadkiej u siebie dumy. Zresztą było to kłamstwo. Prawdopodobnie знаła około czterech przepisów, bo ileż różnych rzeczy można zrobić z mięsem i ziemniakami, ale ten wspaniały, metaliczny, migotliwy lokal zaczynał jej działać na nerwy i chciała trochę poprawić sobie nastrój. I wtedy zrozumiała. – Och, chodzi ci o tradycyjną zapiekankę pasterską, robioną z...

– Obawiam się, że tak – przyznała dziewczyna. – Ale są bardzo popularne u pań.

– Nie bierz tego więcej, Julia – rzuciła szybko Glenda.

– Ale to całkiem niezłe – odparła Juliet. – Mogę chociaż jednego?

– No dobrze, ale tylko jednego. To chyba nawet lepsze niż szczur.

Poczęstowała się sherry, a dziewczyna – balansując ostrożnie, gdy wykonywała trzy różne czynności dwoma różnymi rękami – wręczyła jej lśniącą broszurę.

Glenda przejrzała ją i zrozumiała, że pierwsze wrażenie jej nie zmyliło. Ten sklep był tak drogi, że nie zdradzali ceny żadnego towaru. Można być pewnym, że będzie drogo, kiedy ukrywają ceny. Nie warto nawet czytać, wyrwą człowiekowi pensję przez oczy. Darmowe drinki? Akurat.

Nie mając nic innego do roboty, zaczęła się przyglądać pozostałym gościom. Każdy tutaj – z wyjątkiem całkiem sporej, a wciąż rosnącej grupy ludzi – miał brodę. Wszystkie krasnoludy noszą brody. To element

bycia krasnoludem. Tutaj jednak brody były delikatniejsze, niż zwykle widywało się w mieście, dało się również zauważyć ślady eksperymentów z trwałą ondulacją i kucykami. Owszem, pojawiały się górnicze kilofy, ale w kosztownie zdobionych sakwach, jakby właściciel mógł po drodze do sklepu trafić na tak zachęcającą żyłę węglową, że nie zdołałby się powstrzymać.

Tymi przemyśleniami podzieliła się z Juliet, która wskazała stopy kolejnej klientki, bogato wyposażonej w obcasy.

– Co ty! I popsuć sobie takie rewelacyjne buty? To rozluźmy, na pewno! Czterysta doliczając za parę i jeszcze pół roku trzeba czekać!

Glenda nie widziała twarzy właścicielki rozluźniaków, ale dostrzegła zmianę w mowie jej ciała, sugestią napuszenia, nawet od tyłu. No cóż, pomyślała, jeśli ktoś wydaje na buty cały roczny dochód pracującej rodziny, pewnie byłoby mu miło, gdyby ktokolwiek zauważył.

Kiedy człowiek obserwuje ludzi, zapomina, że ludzie obserwują jego. Glenda nie była bardzo wysoka, co oznaczało, że z jej punktu widzenia krasnoludy nie były bardzo niskie. I nagle zauważyła, że zbliżając się do nich stanowczym krokiem dwa krasnoludy. Jeden z nich wydawał się bardzo obszerny w talii i nosił napierśnik tak pięknie wykuty i zdobiony, że pójście w nim do bitwy stanowiłoby akt artystycznego wandalizmu. Miał też – a należy pamiętać, że każdy krasnolud jest „nim”, dopóki nie zostanie stwierdzone inaczej – kiedy się odezwał, głos brzmiący jak najciemniejsza i najdroższa czekolada z gorzkich czekolad, być może także wędzona. Dłoń, którą wyciągnął, miała na każdym palcu tyle pierścieni, że trzeba było dobrze się przyjrzeć, by odkryć, że to nie rękawica. No i był nią. Glenda nie miała wątpliwości, czekolada wydawała się zbyt gęsta i z bakaliąmi.

– Tak się cieszę, że przyszyście, moje drogie – powiedziała, a czekolada zawirowała. – Jestem madame Sharn. Zastanawiałam się, czy mogłybyście mi pomóc. Naprawdę nie przyszłoby mi do głowy prosić, ale znalazłam się, jak byście to określiły, pomiędzy młotem a kowadłem.

Wszystko to było – ku irytacji Glendy – skierowane do Juliet, która zjadała sznurki owoce, jakby dzień jutrzejszy miał nie nastąpić, i zapewne nie nastąpił dla szczura. Zachichotała.

– Ona jest ze mną – oznajmiła Glenda i jakby mimo woli dodała: –

Madame?

Madame machnęła drugą ręką i zaśniły kolejne pierścienie.

– Ten salon jest formalnie kopalnią, a to znaczy, że według krasnoludziego prawa jestem królem kopalni, i w mojej kopalni obowiązują moje reguły. A ponieważ jestem królem, mianuję się królową – dokończyła. – Krasnoludzie prawo ugina się i trzeszczy, ale nie jest łamane.

– No więc... – zaczęła Glenda. – Przyszliśmy... Zaraz!

Ten ostatni okrzyk kierowała do niższego towarzysza madame, który w tej chwili przykładął do Juliet taśmę mierniczą.

– To jest Pepe – przedstawiła go madame.

– No więc jeśli on ma tak sobie pozwalać, jak w tej chwili, to mam nadzieję, że jest kobietą.

– Pepe to... Pepe – odparła spokojnie madame. – I nie da się go zmienić, muszę przyznać. Albo jej. Etykiety zwykle nie pomagają, moim zdaniem.

– Zwłaszcza twoje, bo nie podajesz na nich cen – odparła Glenda z czystego zdenerwowania.

– A tak, zauważasz takie rzeczy – stwierdziła madame i mrugnęła rozbijając, do granic topnienia.

Pepe z podnieceniem spojrzał na madame, która mówiła dalej:

– Chciałabym, żebyś... żeby ona... żebyście obie towarzyszyły mi za kulisy. Sprawa jest dość delikatna.

– Oo... tak – zgodziła się natychmiast Juliet.

Jakby znikąd w tłumie gości zmaterializowały się inne ludzkie dziewczyny i starannie otworzyły jej drogę na tyły wielkiej sali. Madame sunęła nią jakby popychana niewidzialną siłą.

Glenda czuła, że sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Ale miała już w sobie solidną dawkę sherry, która szeptała jej do ucha: „Czemu nie pozwolić, żeby kontrola nad sytuacją wymknęła ci się raz na jakiś czas? Albo nawet tylko raz?”. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała za złoconymi drzwiami na końcu, ale na pewno nie dymu, płomieni, krzyków i kogoś wrzeszczącego w kącie.

Pomieszczenie wyglądało jak odlewnia w dniu, w którym wpuścili tam klaunów.

– Przejdźmy dalej. Nie przejmujcie się tym – rzuciła madame.

– Zawsze tak jest przed pokazem. Nerwy, rozumiecie. Oczywiście, wszyscy w tym interesie grają na niskich tonach i zawsze mamy ten problem, kiedy wystawiamy mikrokolczugę. To nowość, rozumiecie. Zgodnie z krasnoludzim prawem, musi mieć na każdym ogniwie wbity próbę, a to byłoby nie tylko świętokradztwo, ale też coś paskudnie trudnego do wykonania.

Na zapleczu madame wydawała się mniej czekoladowa, a bardziej przyziemna.

– Mikrokolczuga... – powtórzyła Juliet takim tonem, jakby pokazano jej bramę do bogactwa.

– Wiesz, co to takiego? – spytała madame.

– Ona o niczym innym nie mówi – odpowiedziała Glenda. – Gada bez przerwy.

– No cóż, nic dziwnego. To wspaniały materiał. Prawie tak miękki jak tkanina, lepszy od skóry...

–... i nie obciera – dokończyła Juliet.

– To zawsze stanowi ważną kwestię dla bardziej tradycyjnych krasnoludów, które nie noszą żadnych tkanin – wyjaśniła madame. – Dawne zwyczaje klanowe... jak bardzo nas one hamują, bez przerwy ciągną do tyłu. Wydobywamy się z kopalni, ale jakoś zawsze zabieramy część kopalni ze sobą. Gdyby to ode mnie zależało, jedwab byłby przeklasyfikowany na metal. Jak ci na imię, moja droga?

– Juliet – odparła odruchowo Glenda i zarumieniała się. To było matkowanie, czyste i oczywiste. Prawie tak złe, jak kazać komuś napluć na chusteczkę i wytrzeć mu twarz.

Młoda dziewczyna z tacą przyszła tu za nimi i tę właśnie chwilę wybrała, by wyjąć Glendzie z dłoni pusty kieliszek po sherry i zastąpić go pełnym.

– Juliet, czy zechciałabyś przejść się tam i z powrotem? – poprosiła madame.

Glenda chciała zapytać po co, ale zrezygnowała, ponieważ miała usta pełne sherry jako remedium przeciw zakłopotaniu.

Madame przyglądała się Juliet krytycznie, opierając łokieć na dłoni drugiej ręki.

– Tak, tak. Ale spróbuj powoli, jakby wcale ci się nie spieszyło, by

gdzieś dotrzeć, i jakbyś w ogóle się nie przejmowała. Wyobraź sobie, że jesteś ptakiem w powietrzu, rybą w wodzie... Twój jest świat.

– No dobra – zgodziła się Juliet i ruszyła znowu.

Zanim po raz drugi dotarła na środek, Pepe zalał się łzami.

– Gdzie ona była? Gdzie się szkoliła? – popiskiwał, choć niewykluczone, że popiskiwała, równocześnie oburącz klepiąc się po policzkach. – Musisz natychmiast ją zatrudnić!

– Ona już ma dobrą i stałą pracę na uniwersytecie – poinformowała Glenda. Ale sherry przekonywało: „Raz na jakiś czas jeszcze się nie skończył. Nie rozlej go”¹².

Madame, która najwyraźniej instynktownie wykrywała takie uczucia, objęła ją ramieniem.

– Widzisz, problem z krasnoludziemi damami polega na tym, że są dość nieśmiałe i nie lubią być w centrum uwagi. Muszę także pamiętać, że krasnoludzie stroje okazują się bardzo interesujące dla młodych ludzkich mężczyzn o szczególnych zainteresowaniach. Twoja córka jest człowiekiem... – Madame na moment odwróciła się do Juliet. – Jesteś człowiekiem, moja droga, prawda? Przekonałam się, że zawsze warto sprawdzić.

Juliet, pozornie spoglądająca z zachwytem w jakiś własny świat, entuzjastycznie pokiwała głową.

– To świetnie – ucieszyła się madame. – A choć jest wspaniale zbudowana i rusza się jak marzenie, nie jest o wiele wyższa od przeciętnego krasnoluda, a powiem szczerze, moja droga, że niektóre damy aspirują do nieco wyższego wzrostu, niż mają. Nie chcę mówić zbyt wiele, ale ten chód, słowo daję... Krasnoludy mają biodra, oczywiście, ale rzadko kiedy wiedzą, co z nimi robić... Przepraszam, powiedziałam coś niewłaściwego?

Kwaterka sherry, niedawno spożyta przez Glendę, ustąpiła w końcu pod ciśnieniem jej gniewu.

– Nie jestem jej matką! To moja przyjaciółka!

Madame obrzuciła ją wzrokiem, który wzbudził w Glendzie uczucie, że ktoś wyjmuje jej mózg i przygląda mu się bardzo uważnie.

¹² Krasnoludy mają bardzo prostolinijne podejście do napojów alkoholowych: piwa, miodu, wina czy sherry – jeden wielki rozmiar nadaje się do wszystkiego.

– Czy zgodzisz się zatem, żebym zapłaciła twojej przyjaciółce... – nastąpiła krótka pauza –... pięć dolarów za to, że będzie dziś wieczorem moją modelką?

– Jasne – rzekła sherry do Glendy. – Zastanawiałś się, dokąd cię dzisiaj doprowadzę, i oto jesteśmy. Podziwiał ten widok. Co teraz zrobisz?

– Dwadzieścia pięć dolarów – odparła Glenda.

Pepe znowu klepnął własne policzki.

– Tak! – wrzasnął. – Tak!

– I zniżkę w sklepie.

Madame rzuciła jej przeciągłe spojrzenie.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała.

Chwyciła Pepe za ramię i z pewnym pośpiechem zaciągnęła go do kąta. Glenda nie słyszała, o czym mówią, gdyż zagłuszał ich ktoś wbijający nity i ktoś, kto właśnie dostał histerii. Madame wróciła po chwili, uśmiechając się sztucznie. Pepe włókł się za nią.

– Za dziesięć minut zaczynamy pokaz, a moja najlepsza modelka upuściła sobie kilof na nogę. Przyszłe angaże będziemy negocjować od nowa. I czy mógłbyś tak nie podskakiwać, Pepe?

Glenda zamrugwała.

Nie wierzę w to, co właśnie zrobiłam, myślała. Dwadzieścia pięć dolarów za włożenie jakichś kiecek... To więcej, niż ja zarabiam przez miesiąc! To niesprawiedliwe!

A sherry pytała:

– Co właściwie ci się nie podoba? Czy ubrałabyś się w kolczugę i paradowała przed jakimiś obcymi za dwadzieścia pięć dolarów?

Glenda zadrżała.

Na pewno nie, pomyślała.

– No to sama widzisz – stwierdziła sherry.

Ale to się skończy łzami, uznała Glenda.

– Nie. Uważasz tak, bo sobie myślisz, że powinno – przekonywała sherry. – Sama wiesz, że za dwadzieścia pięć dolarów dziewczyna może zrobić o wiele gorsze rzeczy, niż włożyć na siebie jakieś ubranie. Na przykład je zdjąć.

Ale co powiedzą sąsiedzi, brzmiał ostatni, rozpaczliwy argument

Glendy.

– Mogą sobie wsadzić te swoje uwagi – odparła sherry.

– A zresztą przecież się nie dowiedzą, nie? Siostry Dolly nie robią zakupów na Pale, za bardzo tu dostojnie. Pomyśl, chodzi o dwadzieścia pięć dolarów. Dwadzieścia pięć dolarów za coś, przed czym nie mogłabyś jej teraz powstrzymać nawet kawałkiem ołowianej rurki. Spójrz tylko na jej twarz! Wygląda, jakby wewnątrz ktoś zapalił latarnię.

To była prawda.

No dobrze, niech już będzie, ustąpiła w duchu Glenda.

– Świetnie – pochwaliła ją sherry. – A przy okazji, czuję się samotnie.

A że taca znowu znalazła się obok jej łokcia, Glenda odruchowo do niej sięgnęła. Juliet otaczały teraz krasnoludy i sądząc z dobiegających słów, odbierała właśnie błyskawiczne szkolenie w sztuce noszenia odzieży. Ale to przecież bez znaczenia, nie? Prawda jest taka, że Juliet wyglądałaby doskonale nawet w worku. W jakiś sposób wszystko pasowało na nią idealnie. Glenda za to nigdy nie znalazła niczego ładnego w swoim rozmiarze, a nawet rzadko znajdowała cokolwiek w swoim rozmiarze. Teoretycznie coś powinno pasować, ale odkrywała jedynie fakty, a te były zupełnie nietwarzowe.

* * *

– Przynajmniej mamy dziś ładny dzień – stwierdził nadrektor.

– Chyba będzie padać – mruknął z nadzieją wykładowca run współczesnych.

– Proponuję dwie drużyny po pięciu zawodników w każdej – rzekł Ridcully. – Oczywiście to przyjacielska rozgrywka, tylko żeby wyczuć, o co w tym chodzi.

Myślak Stibbons nie komentował. Magowie kochali rywalizację – była nieodłączną częścią magii. Nie mogli sobie wyobrazić przyjacielskiej potyczki bardziej niż kot przyjacielską mysz. Przed nimi rozciągały się uniwersyteckie trawniki.

– Następnym razem będziemy mieli odpowiednie koszulki – obiecał

Ridcully. – Pani Whitlow wydała już polecenia swoim dziewczętom. Panie Stibbons!

– Tak, nadrektorze?

– Będzie pan strażnikiem reguł i ma pan rozstrzygać sprawiedliwie. Ja oczywiście zostanę kapitanem jednej drużyny, a ty, runisto, drugiej. Jako nadrektor proponuję, że najpierw ja wybiorę swoją drużynę, a potem ty będziesz mógł wybrać swoją.

– To nie tak się powinno odbywać, nadrektorze – wtrącił Myślak. – Pan wybiera zawodnika do drużyny, potem on wybiera zawodnika do drużyny, aż w obu drużynach jest dosyć zawodników albo skończą się zawodnicy, którzy nie są tragicznie grubi i nie trzęsą się ze zdenerwowania. Przynajmniej tak to zapamiętałem.

Myślak w latach młodości aż zbyt wiele czasu stał obok grubego dziecka.

– No trudno, jeśli tak się to robi, to chyba i my musimy tak zrobić – niechętnie zgodził się nadrektor. – Stibbons, twoim zadaniem będzie karanie drużyny przeciwnej za wszelkie łamanie przepisów.

– Chodziło panu zapewne o to, że mam karać każdą z drużyn, jeśli złamie przepisy, nadrektorze. Musi być sprawiedliwie.

Ridcully patrzył na niego z otwartymi ustami, jakby Myślak właśnie streścił całkowicie mu obcą koncepcję.

– No tak, pewnie musi...

Całkiem sporo magów przybyło tego popołudnia. Jedni z ciekawości, podejrzewając, że obecność tam może się okazać dobra dla kariery, a także w nadziei zobaczenia kilku kolegów sunących po trawie na własnym nosie.

No tak, mruknął w duchu Myślak, kiedy zaczęło się wybieranie. Całkiem jak w szkole, tylko że w szkole nikt nie chciał tego grubego chłopaka. Tutaj, oczywiście, z pewnością nikt nie chciał najgrubszego chłopaka, ale po odejściu dziekana było to nie tak oczywistą kwestią.

Sięgnął pod szatę i wyjął gwizdek, czy też raczej dziadka wszystkich gwizdków, długiego na osiem cali i grubego jak solidna wieprzowa kiełbasa.

– Skąd się to wzięło, panie Stibbons? – zapytał Ridcully.

– Prawdę mówiąc, nadrektorze, znalazłem to w gabinecie zmarłego

Evansa Pasiastego.

– Piękny gwizdek...

Było to całkiem niewinne zdanie, które jednak zdołało bezgłośnie przekazać sugestię, że taki piękny gwizdek nie powinien się znajdować w rękach Myślaka Stibbonsa, skoro może się stać własnością, na przykład, nadrektora uniwersytetu. Myślak dostrzegł ją, ponieważ się jej spodziewał.

– Będzie mi potrzebny, by dawać sygnały i kontrolować zachowanie obu drużyn – wyjaśnił z godnością. – Uczynił mnie pan sędzią, nadrektorze, więc obawiam się, że na czas gry to ja... – zawahał się –... można powiedzieć, że tu rządzą.

– Ten uniwersytet ma swoją hierarchię, Stibbons. Rozumiesz to?

– Tak jest, nadrektorze. Ale to jest mecz piłki nożnej. O ile rozumiem, procedura nakazuje położenie piłki na ziemi, a potem, kiedy zagwiżdże gwizdek, obie strony próbują trafić gola drużyny przeciwnej, równocześnie starając się nie dopuścić, by piłka trafiła ich gola. Czy to jasne?

– Wydaje się całkiem proste – stwierdził kierownik studiów nieokreślonych.

Rozległ się chóralny pomruk aprobaty.

– Mimo to jednak, zanim zaczniemy, żądam dmuchnięcia w gwizdek – rzekł Ridcully.

– Oczywiście, nadrektorze, ale potem musi mi pan go oddać. Jestem strażnikiem gry.

Przekazał gwizdek.

Przy pierwszej próbie Ridcully wydmuchał pająka, który od dwudziestu lat wiódł tam niewinny i skromny żywot, i umieścił go na brodzie przechodzącego akurat profesora studiów naturalnych.

Drugie dmuchnięcie poruszyło skamieniały groszek wewnątrz i wypełniło powietrze echami płynnego spiżu. A potem...

Ridcully zamarł. Jego twarz w jednej chwili zaczerwieniła się od szyi w górę. Odgłos nabieranego tchu przywodził na myśl zemstę bogów. Brzuch się powiększył, źrenice zmalały jak główki szpilek, grom przetoczył się nad głową.

Ridcully zaryczał:

– DLACZEGO, CHŁOPCY, NIE PRZYNIEŚLIŚCIE STROJÓW?

Wzdłuż całego gwizdka rozjarzyły się fluorescencyjne ognie. Niebo pociemniało, a lęk pochwycił wszystkich patrzących, gdy czas się cofnął i przed nimi stanął ogromny, wrzeszczący obłąkańczo Evans Pasiasty, prowokator marnie podrabianych usprawiedliwień od matki, entuzjasta długich przebieżek w deszczu, promotor wspólnych pryszniców jako lekarstwa na młodzieńczą nieśmiałość oraz ten, który – kiedy ktoś zapominał właściwego stroju – zmuszał go, by GRAĆ W MAJTKACH! Szacowni magowie, którzy przez dziesięciolecia stawali wobec najstraszniejszych potworów, dygotali w dziecięcym przerażeniu, a ten ryk trwał i trwał... by urwać się tak nagle, jak się zaczął.

Ridcully upadł twarzą na murawę.

– Bardzo za to przepraszam – powiedział doktor Hix, opuszczając laskę. – Nieco zły uczynek, przyznaję, ale zgodzicie się z pewnością, że w tych okolicznościach był konieczny. Pierścień z czaszką, pamiętacie? Statut uczelni... A jeśli mogę ocenić, był to ewidentny przypadek opętania przez artefakt.

Zebrani magowie, czując, że zimny pot zaczyna już wysychać, mądrze pokiwali głowami. O tak, zgodzili się, to było konieczne. Trzeba było to zrobić.

Ten werdykt zatwierdził sam Ridcully, kiedy już otworzył oczy.

– Co to było, u demona? – zapytał.

– Ehm... Dusza Evansa Pasiastego, nadrektorze – odparł Myślak. – Tak myślę.

– Tkwiła w tym gwizdku, tak? – Ridcully potarł głowę.

– Tak przypuszczam.

– A kto mnie uderzył?

Powszechne szuranie nogami i pomrukiwania wskazywały, że według demokratycznej ugody, na to pytanie najlepiej może odpowiedzieć doktor Hix.

– Była to akceptowalna zdrada, zgodna ze statutem uczelni, nadrektorze. I chętnie przyjmę ten gwizdek do Mrocznego Muzeum, jeśli nikt nie ma nic przeciw temu.

– Pewnie, pewnie – zgodził się Ridcully. – Zauważył problem i go rozwiązał. Zuch chłopak.

– Myśli pan, nadrektorze, że uprawnia mnie to do złośliwego chichotu?

Ridcully się otrząpał.

– Nie. Zrezygnujemy z gwizdka, panie Stibbons. A teraz, panowie, niech rozpocznie się mecz.

I tak, po krótkiej sprzeczce, zaczął się pierwszy od dziesięcioleci mecz piłki nożnej na Niewidocznym Uniwersytecie. I natychmiast – z punktu widzenia Stibbonsa – pojawiły się problemy. Najważniejszy polegał na tym, że wszyscy magowie byli ubrani jak magowie, inaczej mówiąc: podobnie. Zarządził, by drużyny grały w kapeluszach albo bez, co wywołało nową kłótnię. Ten konkretny problem uległ dalszemu zaostrzeniu, ponieważ w efekcie licznych kolizji nawet ci oficjalnie w kapeluszach tracili je. Mecz został następnie przerwany, ponieważ uznano, że posąg upamiętniający odkrycie blitu przez nadrektora Scrubbsa jest w rzeczywistości o trzy cale szerszy niż szacowny posąg nadrektora Flankera odkrywającego trzecie śniadanie, co dawało nieuczciwą przewagę zespołowi bezkapeluszników.

Kłopoty te jednak, przewidywalne i nieuniknione, błędy i traciły na znaczeniu wobec problemu piłki. Była to oficjalna piłka – Myślak dopilnował tego. Ale szpiczaste buty, nawet posiadające bardzo długie szpice, nie potrafią zabsorbować uderzenia ludzkiej stopy o coś, co – kiedy wszystko już zostanie powiedziane i wykrzyczane – jest kawałkiem drewna cienko owiniętym płótnem i skórą. W końcu, kiedy kolejnego maga odprowadzono na bok ze zwicznęłą kostką, nawet Ridcully musiał stwierdzić:

– To przecież nonsens, Stibbons! Musi być jakieś lepsze rozwiązanie!

– Większe buty? – zasugerował wykładowca run współczesnych.

– Buty, jakich trzeba do kopania czegoś takiego, bardzo nas spowolnią – zauważył Myślak.

– A poza tym ci ludzie z urny nie mają na nogach niczego. Proponuję rozważyć ten kierunek badań. Czego nam trzeba, Stibbons?

– Lepszej piłki, nadrektorze. Przynajmniej próby biegania po polu gry. Ogólnej zgody, że nie jest dobrym pomysłem, by w środku gry stawać i zapalać fajkę. Lepszych goli, bo zderzenie z kamiennym posąg-

giem jest bolesne. Pewnego opanowania, choćby pobieżnego, koncepcji gry zespołowej w sytuacji meczu. Postanowienia, by nie uciekać, kiedy zawodnik drużyny przeciwnej biegnie w naszą stronę. Przyswojenia faktu, że w żadnych okolicznościach nie dotykamy piłki rękami; chciałbym przypomnieć, że zrezygnowałem z przerywania gry z tego powodu, ponieważ panowie w meczowym zapale upierali się, by ją chwycić, a w jednym przypadku także chować za plecami i stawać na niej. W tym miejscu chciałbym również zauważyć, że warto rozwijać wyczucie kierunku, zwłaszcza z uwzględnieniem gola, który należy do nas, i gola przeciwników. Sugerowałbym też, że nie ma sensu kopanie piłki do własnego gola, nie powinniście też poklepywać i gratulować komuś, kto tego dokonał. Z trzech goli w tym meczu liczba własnych, trafionych przez kopiących wyniosła... – zajrzał do notatek –... trzy. To imponująco wysoki wynik w stosunku do meczów, jakie rozgrywa się obecnie, choć raz jeszcze chciałbym podkreślić, że kwestie kierunku i przynależności gola mają tu kluczowe znaczenie. Taktyka, co do której przyznaję, że wyglądała obiecująco, polegała na otoczeniu przez graczy własnego gola tak, by nic nie miało możliwości przedostać się poza nich. Z żalem jednak muszę stwierdzić, że jeśli obie drużyny tak robią, nie mamy do czynienia z meczem, lecz z żywym obrazem. Bardziej rozsądna taktyka, którą stosowało chyba dwóch z was, polegała na krążeniu w pobliżu przeciwnego gola, więc gdyby piłka nadlatiała w ich kierunku, byłiby w idealnej pozycji, by przerzucić ją poza strażnika gola. Fakt, że w kilku przypadkach gracz i strażnik przeciwników stali przyjaźnie, oparli o gola, razem palili papierosa i obserwowali grę w polu, dowodzi sportowego ducha i może być ewentualnie punktem wyjścia do bardziej zaawansowanej taktyki, ale nie sądzę, by takie zachowanie było godne pochwały. W tym samym ogólnym wątku musimy założyć, że zejście z pola na wezwanie natury albo żeby odetchnąć jest dopuszczalne, jednakże schodzenie na przekąskę takie nie jest. Mam wrażenie, nadrektorze, że typowe pragnienie naszych kolegów, by nigdy nie znaleźć się dalej niż dwadzieścia minut od jakichś przystawek, może być pomyślnie spełnione przez przerwę w połowie meczu. Dodatkowo, gdyby w czasie tej przerwy zmienili strony, skończyłyby się skargi na to, że jeden gol jest większy od drugiego. Tak, słucham?

Ostatnie słowa skierowane były do kierownika studiów nieokreślonych.

– Jeśli zmienimy strony... – zaczął kierownik, który przed chwilą podniósł rękę –... czy to znaczy, że gole kopnięte w nasz własny gol będą teraz golami strzelonymi przeciwnej drużynie, ponieważ ten gol fizycznie będzie teraz ich?

Myślak rozważył metafizykę odpowiedzi na to pytanie i w końcu zdecydował się na:

– Nie, oczywiście, że nie. Mam tu całą listę innych uwag, nadrektorze, i niestety wynika z nich tyle, że nie jesteś dobry w piłce.

Magowie umilkli.

– Zaczniemy od piłki – zdecydował Ridcully. – Mam pewien pomysł w sprawie piłki.

– Tak, nadrektorze. Domyślałem się, że pan ma.

– Więc proszę do mnie zajrzeć po kolacji.

* * *

Juliet została wessana w obłąkańczy cyrk, jakim stało się pomieszczenie za sceną w Shwatcie, i nikt już nie zwracał na Glendę żadnej uwagi. W tej chwili była utrudnieniem, nadwyżką, całkiem dla wszystkich bezużyteczną, przeszkodą do omijania, widzem na zawodach. Kawalek dalej przystojna młoda krasnoludka z brodą spiętą w podwójny kucyk czekała cierpliwie, aż prowizoryczny nit zostanie wbity w coś, co wyglądało jak srebrna zbroja. Otaczali ją asystenci – podobnie jak giermkowie otaczają rycerza, którego muszą ubrać do bitwy. W pobliżu stały dwa wyższe krasnoludy, a ich broń wyglądała na nieco bardziej funkcjonalną niż piękną. Byli mężczyznami. Glenda odgadła to, gdyż dowolna kobieta z dowolnego rozumnego gatunku potrafi poznać minę mężczyzny, który nie ma za wiele do roboty, w otoczeniu, które zostało opanowane przez kobiety i najwyraźniej znalazło się pod ich całkowitą władzą. Wydawało się, że stoją na straży.

Popychana przez sherry, podeszła do nich niespiesznie.

– To musi kosztować mnóstwo forsy – odezwała się do bliższego z

nich.

Wyglądał na nieco zakłopotanego jej zaczepką.

– Szczerza prawda. Księżycowe srebro, tak to nazywają. Mówią, że wchodzi do mody, ale ja tam nie wiem. Nie daje się wyostrzyć, nie zatrzyma porządnej krawędzi... A jeszcze trzeba Igorów, żeby je wytopić. Mówią, że jest więcej warte od platyny. Ale dobrze wygląda i mówią, że prawie się nie czuje, że się je nosi. Mój dziadek nie nazwałby tego metalem, lecz cóż, mówią, że trzeba iść z duchem czasu. Osobiście nie powiesiłbym tego nawet na ścianie, ale co tam..

– Dziewczęce pancerzyki – mruknął drugi strażnik.

– A o co chodzi z tymi mikrokolczugami? – spytała Glenda.

– A, to zupełnie inna para nałolek, panienko – zapewnił pierwszy. – Słyszałem, że założyli kuźnię i wykuwają je tutaj, w mieście, bo tu są najlepsi majstrowie. Niezła robota, co? Kolczuga cienka jak materiał i mocna jak stal. Mówią też, że kiedyś stanieje, a najbardziej to...

– Hej, Glenda, zgadnij kto to!

Ktoś puknął Glendę w ramię. Odwróciła się i zobaczyła przy sobie wizję ciężko, lecz gustownie uzbrojonej piękności. To była Juliet, ale Glenda poznała ją tylko po tych mlecznoniebieskich oczach, gdyż przyjaciółka nosiła brodę.

– Madame uznała, że powinnam to mieć – wyjaśniła. – Nic nie jest krasnoludzie, jeśli nie ma też brody. Co myślisz?

Tym razem sherry zdążyła pierwsza.

– Właściwie to całkiem ładnie – stwierdziła Glenda, wciąż w stanie lekkiego szoku. – Wszystko jest bardzo srebrzyste...

Broda była żeńska, poznała bez trudu. Wyglądała na ufryzowaną i stylową, i nie miała w sobie kawałków szczura.

– Madame mówi, że zarezerwowała dla ciebie miejsce w pierwszym rzędzie – poinformowała Juliet.

– Och, nie mogłabym usiąść w pierwszym... – zaczęła odruchowo Glenda.

Ale sherry wtrąciła się natychmiast:

– Zamknij się i przestań myśleć jak twoja matka, dobrze? Idź i usiądź w tym nieszczęsnym pierwszym rzędzie!

Jedna z wszędzie obecnych młodych kobiet wybrała ten właśnie

moment, by wziąć Glendę za rękę i poprowadzić jej nieco niepewne stopy przez cichnący z wolna chaos i przez drzwi, z powrotem do krainy baśni. Rzeczywiście czekało na nią miejsce.

Szczęśliwie było trochę z boku. Glenda umarłaby ze wstydu, gdyby miała usiąść w samym środku. Ścisnęła oburącz torebkę i zaryzykowała spojrzenie wzdłuż rzędu. Nie był zajęty wyłącznie przez krasnoludy; siedziało tam kilka ludzkich dam, ubranych wytwornie i trochę zbyt chudych (zdaniem Glendy). Były niemal obraźliwie swobodne i wszystkie rozmawiały.

Kolejna sherry tajemniczo pojawiła się w jej ręku. Gwar ucichł, ucięty ostro jak toporem, madame Sharn wyszła zza zasłony i zaczęła przemawiać do zatłoczonej sali. Szkoda, że nie mam lepszego płaszcza, pomyślała Glenda. Wtedy właśnie sherry otuliła ją i ułożyła do snu.

Glenda zaczęła znowu myśleć jakiś czas później, kiedy trafił ją w głowę bukiet kwiatów. Uderzyły tuż ponad uchem, a gdy wokół posypały się kosztowne płatki, spojrzała na rozpromienioną, jaśniejącą twarz Juliet na samym brzegu pomostu, krzyczącą właśnie:

– Unik!

Leciało więcej kwiatów, ludzie stali i klaskali, była muzyka i ogólnie ogarnęło ją takie wrażenie, jakby stała pod wodospadem bez wody, ale z niewyczerpanymi strugami dźwięku i światła.

A spośród nich eksplodowała Juliet; skoczyła na Glendę i zarzuciła jej ręce na szyję.

– Ona chce, żebyśmy znowu to robiła – oznajmiła zdyszana. – Mówi, że mogę pojechać do Quirmu, nawet do Genoi! Mówi, że zapłaci mi więcej, jak nie będę pracować dla nikogo innego, i że świat jest ostrzygą. Nie wiedziałam!

– Ale przecież masz już stałą pracę w kuchni... – odpowiedziała Glenda, zaledwie w trzech czwartych drogi do przytomności. Później, o wiele częściej, niżby chciała, przypominała sobie, jak wygłaszała te słowa, gdy wokół rozbrzmiewały oklaski.

Poczuła lekki nacisk na ramieniu – obok stanęła jedna z tych nieodróżnialnych młodych kobiet z tacą.

– Madame przesyła pozdrowienia, panienko, i chciałaby zaprosić panienkę oraz pannę Juliet na spotkanie w swoim buduarze.

– To miło z jej strony, ale powinnyśmy chyba... Powiedziałaś: w buduarze?

– Tak. Może jeszcze coś do picia? To przecież ważna uroczystość.

Glenda rozejrzała się po rozgadany, roześmianym, a przede wszystkim pijącym tłumie. W sali było gorąco jak w piecu.

– Dobrze, ale jednak nie sherry, jeśli można. Masz coś bardzo zimnego i musującego?

– Oczywiście, panienko. Mnóstwo.

Dziewczyna wyjęła dużą butelkę i fachowo napełniła wysoki, żłobiony kieliszek czymś, co wyglądało jak bąbelki. Glenda wypila i bąbelki wypełniły ją także.

– Mmm... całkiem dobre – uznała. – Trochę jak dorosła lemoniada.

– W taki sposób pije ją madame, rzeczywiście.

– Ehm... A ten buduar jest duży? – zainteresowała się Glenda, dość chwiejnie podążając za dziewczyną.

– Och, myślę, że całkiem spory. Jest tam już chyba ze czterdzieści osób.

– Naprawdę? To duży buduar.

Dzięki bogom, pomyślała. Przynajmniej ta zagadka została rozwiązana. Powinni w książkach zamieszczać porządne wyjaśnienia.

Nigdy nie była pewna – ponieważ nie miała pojęcia, co to jest buduar – co można w nim znaleźć, kiedy człowiek sam się w nim znajdzie. Przekonała się, że zawiera w sobie ludzi, gorąco i kwiaty – nie w buketach, ale w kolumnach, w wysokich stosach napełniających powietrze mdlącą perfumą, gdy ludzie wypełniali całą resztę ciasno upakowanymi słowami. Chyba nikt nie mógł zrozumieć, co mówi ktoś inny, choć może nie to było ważne. Może ważne było, żeby być tutaj i być widzianym, jak się to mówi.

Goście rozstąpili się i zobaczyła Juliet, nadal w migotliwej kolczudze i nadal z brodą. Salamandry błyskały przez cały czas, co wskazywało na ludzi z ikonografiami, prawda? Brukowe azety pełne były zdjęć ludzi błyszczących na obrazkach. Nie miała na nie czasu. Jednak gorsze było to, że jej niechęć nie miała dla nich żadnego znaczenia. Błyszczeli i tak. A teraz stała wśród nich Juliet, błyszcząca najbardziej ze wszystkich.

– Chyba przydałoby mi się trochę świeżego powietrza – mruknęła

Glenda.

Przewodniczka poprowadziła ją delikatnie do dyskretnych drzwi.

– Toalety są tam, proszę pani.

I były – tyle że długie, przyjemnie oświetlone pomieszczenie też wyglądało jak z bajki, całe w draperiach i aksamitach. Piętnaście zaszkoczonych wizerunków Glendy spoglądało na nią z piętnastu luster. Było to tak przytłaczające, że musiała usiąść w bardzo kosztownym fotelu na wygiętych nogach, który także okazał się bajkowo wygodny...

Ocknęła się gwałtownie, wyszła chwiejnie i zagubiła się w ciemnym świetle zastawionych skrzynkami cuchnących korytarzy, aż w końcu natrafiła na bardzo wielką salę. Wyglądała raczej jak pieczara... Na drugim końcu były szerokie, podwójne drzwi, prawdopodobnie zawstydzone tym, że wpuszczają do wnętrza szare światło, które nie tyle rozjaśniało, ile oskarżało. Podłogę zaścielał chaos pustych wieszaków i pudeł. W jednym miejscu woda przeciekała przez dach i na kamieniach uformowała się kałuża, mocząc jakąś teksturę.

– Tacy są... Siedzą tam, w tych swoich wytwornościach i klejnotach, a na tyłach tylko brud i śmieci. Prawda, moja droga? – rozległ się głos w ciemności. – Wyglądasz mi na damę, która potrafi dostrzec metaforę, kiedy mają przed samym nosem.

– Coś w tym rodzaju – mruknęła Glenda. – A kto pyta?

Pomarańczowe światelko rozjarzyło się i zgasło w półmroku.

Ktoś palił papierosa wśród cieni.

– Zawsze jest tak samo, skarbie. Gdyby dawali nagrodę za to, co jest od dupy strony, o pierwsze miejsce toczyłoby prawdziwą bitwę. Wiedziałem w życiu kilka pałaców i wszędzie jest tak samo: wieżyczki i proporce od frontu, a na tyłach pokoje służby i rury. Dolać ci? Nie możesz się tutaj kręcić z pustym kieliszkiem, będziesz się wyróżniać.

W chłodniejszym powietrzu czuła się lepiej. Wciąż trzymała w ręku kieliszek.

– Co to takiego?

– Wiesz, gdyby to było dowolne inne przyjęcie, dostałabyś pewnie najtańsze musujące wino, jakie tylko da się wycisnąć przez skarpetę, ale madame nie oszczędza. To prawdziwy szampan.

– Co? Myślałam, że piją to tylko arystokraci!

– Nie, skarbie. Ci, którzy mają pieniądze. Czasami to jedno i to samo.

Przyjrzała się rozmówcy dokładniej i na moment wstrzymała oddech.

– Co? Ty jesteś Pepe?

– To faktycznie ja, skarbie.

– Ale nie jesteś całkiem... całkiem... – Gorączkowo zamachała rękami.

– Jestem po pracy, skarbie. Nie muszę się martwić tym... – Zamachał rękami równie gorączkowo. – Mam tutaj butelkę tylko dla siebie. Też się napijesz?

– No, powinnam chyba tam wrócić...

– Po co? Żeby skakać koło niej jak stara kwoka? Daj jej trochę swobody, skarbie. Jest teraz jak kaczątko, które właśnie znalazło wodę.

W mroku Pepe wydawał się wyższy. Może to przez jego język i to, że przestał trzepotać. Poza tym, oczywiście, każdy stojący obok madame Sharn wyglądałby na niskiego. Był za to chudy, jakby zbudowany z samych ścięgien.

– Ale przecież wszystko może ją tam spotkać!

Zęby Pepe zaśniły w ciemności.

– Tak. Ale prawdopodobnie nie spotka. Słowo daję, sprzedała dla nas mikrokolczugę, trudno zaprzeczyć. Mówiłem madame, że mam dobre przeczucia. Czeka ją wspaniała kariera.

– Nie! Ma porządną i stałą pracę w nocnej kuchni, razem ze mną – odparła Glenda. – Może to nie są duże pieniądze, ale pojawiają się co tydzień. Bez opóźnień. I nie straci jej, kiedy przyjdzie ktoś ładniejszy.

– Siostry Dolly, tak? Brzmi jak okolice Botnicznej – stwierdził Pepe. – Jestem pewien. Nie jest tam tak źle, o ile pamiętam. Nie bili mnie za często, ale w końcu i tak wszyscy tkwili w wiadrach krabów.

Glenda była zaskoczona. Spodziewała się gniewu albo lekceważenia, nie tego ironicznego uśmiechu.

– Sporo wiesz o naszym mieście jak na krasnoluda z Überwaldu – zauważyła.

– Nie, skarbie. Sporo wiem o Überwaldzie jak na chłopaka z Haka Lobbingu – sprostował gładko Pepe. – Ścisłej mówiąc, z Serowej Alejki.

Miejscowy chłopak jestem. I nie zawsze byłem krasnoludem, naprawdę. Dołączyłem tylko.

– Co? To tak można?

– Wiesz, nie reklamuję tego. Ale tak, jeśli znasz odpowiednich ludzi... A madame zna odpowiednich ludzi, ha, zna nawet sporo faktów o odpowiednich ludziach. To nie było takie trudne. Musiałem uwierzyć w kilka rzeczy, dopełnić kilku ceremonii, i oczywiście muszę się trzymać z daleka od dobrej gorzały... – Uśmiechnął się, kiedy jej spojrzenie przylgnęło do kieliszka w jego dłoni. – Za szybko, skarbie, miałem właśnie dodać „kiedy jestem w pracy”. A to niezła praca. Nieważne, czy stemplujesz strop w kopalni, czy nitujesz gorset, chłanie przy tym jest wybitnie głupie. A morał z tego brzmi: musisz chwycić życie albo znowu spadniesz do wiadra krabów.

– Łatwo mówić takie rzeczy – burknęła Glenda, niepewna, co mają z tym wszystkim wspólnego kraby. – Ale w prawdziwym życiu ludzie za coś odpowiadają. To nie jest taka aligancka praca, co daje furę pieniędzy, ale uczciwa, przy wykonywaniu czegoś, co jest ludziom potrzebne! Wstydziłabym się sprzedawać buty po czterysta dolarów para, na które tylko bogaci mogą sobie pozwolić. Jaki to ma sens?

– Musisz przyznać, że w rezultacie są mniej bogaci – odezwała się za jej plecami czekoladowym głosem madame. Jak wielu ludzi potężnych, umiała się poruszać cicho jak balon, który przypominała. – To niezły początek, prawda? A te pieniądze trafiają jako wypłaty dla górników i kowali. Wszystko krąży, jak słyszałam.

Usiadła ciężko na skrzynce, z kieliszkiem w dłoni.

– Udało mi się jakoś wypchnąć większość z nich – westchnęła.

Wolną ręką sięgnęła pod napierśnik i wyjęła gruby plik papierów.

– Wielkie marki zdecydowały się w to wejść, wszyscy chcą wyłączości i będzie nam potrzebna jeszcze jedna kuźnia. Jutro pójde pogadać z bankiem. – Znowu sięgnęła pod swój metalowy gorset. – Jako krasnolud zostałam wychowana w wierze, że złoto jest jedyną prawdziwą walutą – powiedziała, odliczając świeżutkie banknoty. – Ale muszę przyznać, że te są o wiele cieplejsze. Oto pięćdziesiąt dolarów od Juliet, dwadzieścia pięć ode mnie i dwadzieścia pięć od szampana, który jest zachwycony. Juliet kazała przekazać je tobie, żebyś ich przypilno-

wała.

– Panna Glenda uważa, że doprowadzimy jej skarb do życia bezwartościowego, w grzechu i deprawacji – oświadczył Pepe.

– No, to jest myśl – przyznała madame. – Chociaż nie pamiętam już, jak dawno temu zrobiłam coś zdeprawowanego.

– We wtorek – przypomniał Pepe.

– Całe pudełko czekoladek to nie deprawacja. Poza tym wysunąłeś ten kartonik spomiędzy warstw, co mnie zmyliło. Nie zamierzałam wyjadać tych z dna. To był praktycznie napad.

Pepe odchrząknął.

– Straszmy normalną damę, skarbie.

Madame się uśmiechnęła.

– Wiem, co sobie myślisz, Glendo. Myślisz, że jesteśmy parą podejrzanych i złośliwych klaunów, którzy upijają się w świecie z dymu i luster. No więc w tej chwili to dość dokładny opis, ale widzisz, dzisiejszy dzień był zakończeniem roku ciężkiej pracy.

Kłóciecie się jak stare małżeństwo, pomyślała Glenda. Głowa ją bolała. Skosztowała szczurzego owocu i stąd te kłopoty, tego była pewna.

– Rano pokażę te zamówienia dyrektorowi Królewskiego Banku i poproszę go o dużo pieniędzy. Jeśli on nam zaufa, czy ty też możesz? Potrzebujemy Juliet. Ona... się skrzy.

A wy dwoje trzymacie się za ręce. Mocno. W Glendzie pękło coś delikatnego.

– Słuchajcie, zrobimy tak – powiedziała. – Dzisiaj Julia wróci ze mną do domu, żeby trochę oprzytomniała. A jutro... no, zobaczymy.

– Nie moglibyśmy chyba prosić o więcej, prawda? – Madame poklepała Glendę po kolanie. – A wiesz, Juliet bardzo cię ceni. Powiedziała, że ty musisz się zgodzić. Wszystkim damom z towarzystwa o tobie opowiadała.

– Rozmawiała z damami z towarzystwa? – spytała Glenda ze zdumieniem przetykanym lękiem i zabarwionym niedowierzaniem.

– Oczywiście. Wszystkie chciały z bliska obejrzeć mikrokolczugę, a ona gawędziła z nimi całkiem swobodnie. Nie sądzę, żeby ktoś kiedyś mówił do nich „siema!”.

– O nie! Przepraszam za nią...

– Dlaczego? Bardzo je to ujęło. I okazuje się, że potrafisz zapiec marynowane cebulki tak, że wciąż są chrupiące?

– Ona to powiedziała?

– Tak. Domyślam się, że wszystkie zamierzają poprosić swoje kucharki, by tego spróbowały.

– Ha! Nigdy nie odkryją tej metody – stwierdziła Glenda z satysfakcją.

– Julia też tak uważa.

– My... zwykle nazywamy ją Juliet.

– Kazała mówić do siebie Julia. Czy to jakiś problem?

– No nie, właściwie nie problem... – zaczęła Glenda.

– No to dobrze – przerwała jej madame, która wiedziała, kiedy należy zauważać subtelnych tonów. – Chodźmy teraz oderwać ją od nowych przyjaciół i dopilnujesz, żeby się wyspała.

Rozległy się śmiechy, a po chwili pomagające przy pokazie dziewczęta wbiegły grupą do tej wilgotnej hali będącej akuszerką piękną. Juliet była wśród nich i śmiała się najgłośniej. Odbiegła od pozostałych, gdy zobaczyła Glendę, i raz jeszcze mocno ją uściśnęła.

– Och, Glendo, czy to nie cudowne? Całkiem jak w bajce!

– No tak, możliwe – przyznała Glenda. – Ale nie wszystkie bajki dobrze się kończą. Pamiętaj tylko, że masz teraz dobrą pracę z perspektywami i regularnie możesz zabierać resztki do domu. Nie należy lekkomyślnie tego odrzucać.

– Nie, należy tym cisnąć z wielką siłą – orzekł Pepe. – Smoluszek? Zamachała różdżką, dworzanie biją brawo, że dwudziestu pięknych książąt stoi w kolejce, by choćby powąchać jej pantofelek, a ty chcesz, żeby wróciła do pracy i szykowała dynie?

Spojrzał na ich nieruchome twarze.

– No dobrze, może wyszło to trochę pomieszane, ale na pewno widzicie, jak będzie żyła. To jej wielka szansa! Największa z możliwych! Droga wyjścia z wiadra!

– Myślę, że pójdziemy już do domu – oświadczyła Glenda z godnością. – Chodźmy, Julia.

– Widzisz? – mruknął Pepe, kiedy obie zniknęły. – Jak kraby w wiadrze.

Madame zajrzała do butelki, by sprawdzić, czy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu został tam jeszcze kieliszek szampana.

– Wiesz, że ona praktycznie wychowała tę dziewczynę? Julia zrobi wszystko, co ona powie.

– Co za strata... Nie zdobywaj świata szturmem, zostań na miejscu i rób zapiekanki. Uważasz, że to jest życie?

– Ktoś musi robić zapiekanki – stwierdziła madame z tym swoim doprowadzającym do szału rozsądkiem.

– No proszę cię... Nie ona. Niech to nie będzie ona. Za resztki ze stołu? No nie!

Madame sięgnęła po następną pustą butelkę. Wiedziała, że jest pusta, ponieważ leżała w sąsiedztwie Pepe pod koniec ciężkiego dnia, ale sprawdziła ją mimo to, gdyż pragnienie nigdy nie umiera.

– Hm... Może do tego nie dojdzie – stwierdziła. – Mam przeczucie, że panna Glenda właśnie zaczyna myśleć. Całkiem niezły umysł kryje się za tym dość smętnym płaszczem i potwornymi butami. Dzisiaj może być jego szczęśliwy dzień.

* * *

Ridcully maszerował przez korytarze Niewidocznego Uniwersytetu, a szata powiewała za nim dumnie. Miał długi krok i Myślak musiał podbiegać bokiem, by dotrzymać mu tempa. Jak tarczę przyciskał do piersi notatnik.

– Wie pan przecież, zgodziliśmy się, że będzie używana tylko w celach badawczych, nadrektorze. Sam pan podpisał edykt.

– Podpisałem? Nic takiego nie pamiętam, Stibbons.

– A ja pamiętam bardzo dokładnie, nadrektorze. To było zaraz po sprawie pana Floribundy.

– Który to? – zainteresował się Ridcully. Wciąż szedł naprzód, bardzo zdecydowanie.

– To ten, który poczuł się trochę głodny i poprosił gablotę o kanapkę z bekonem, żeby zobaczyć, co się stanie.

– Wydawało mi się, że cokolwiek wyjęte z gabloty musi do niej

wrócić, nim minie 14,14 godziny w okresie.

– Tak, nadrektorze. Jednak wydaje się, że zachowaniem gabloty rządzi dziwne reguły, które nie do końca rozumiemy. W każdym razie pan Floribunda bronił się, twierdząc, iż sądził, że to czternastogodzinne ograniczenie nie dotyczy kanapek z bekonem. Nie powiedział o tym nikomu, więc studenci na jego piętrze zostali zaalarmowani dopiero jego krzykami około czternastu godzin później.

– Proszę mnie poprawić, gdybym się mylił... – Ridcully wciąż kroczył w imponującym tempie. – Do tej pory kanapka była już przetrawiona?

– Tak, nadrektorze. A jednak wróciła do gabloty. Samodzielnie, można powiedzieć. To było całkiem interesujące odkrycie. Nie wiedzieliśmy, że coś takiego może się stać.

Ridcully zatrzymał się tak nagle, że Myślak wpadł na niego z tyłu.

– A co dokładnie się z nim stało?

– Nie chciałby pan, żebym to opisywał, nadrektorze. Jednakże dobra wiadomość jest taka, że wkrótce wstanie z wózka inwalidzkiego. Jak rozumiem, już teraz całkiem dobrze potrafi chodzić z laską. Jak go ukarzymy, to oczywiście pańska decyzja, nadrektorze. Papiery leżą na pańskim biurku, podobnie jak, muszę zaznaczyć, znaczna liczba innych dokumentów.

Ridcully ruszył przed siebie.

– Zrobił to, żeby sprawdzić, co się stanie, tak? – zapytał z satysfakcją.

– Tak mówił, nadrektorze – potwierdził Myślak.

– I było to wbrew moim wyraźnym poleceniom?

– Tak. Absolutnie i zdecydowanie. – Myślak dobrze znał nadrektora i miał już przeczucie, jak sprawa się zakończy. – A zatem, nadrektorze, muszę nalegać, by został...

Znowu wpadł na Ridcully'ego, który zatrzymał się przed szerokimi drzwiami. Wisiała na nich jaskrawoczerwona kartka z napisem: „Zakazuje się wynoszenia z tego pokoju jakichkolwiek przedmiotów bez wyraźnej zgody nadrektora. Podpisano: Myślak Stibbons w/z Mustrum Ridcully”.

– Podpisał pan to za mnie? – zapytał Ridcully.

– Tak, nadrektorze. Był pan wtedy zajęty, a zgodziliśmy się w tej kwestii.

– Oczywiście, ale chyba nie powinien pan tak sobie wuzetować. Pamięta pan, co mówiła o NU ta młoda dama?

Myślak wydobyl duży klucz i otworzył drzwi.

– Chciałbym także przypomnieć, nadrektorze, że zgodziliśmy się wprowadzić moratorium na korzystanie z Gabloty Osobliwości, dopóki nie oczyścimy budynku z przynajmniej części magii rezydualnej. Wciąż chyba nie udało nam się pozbyć kałamarnicy.

– My się zgodziliśmy, panie Stibbons? – Ridcully odwrócił się gwałtownie. – Czy może pan się zgodził ze sobą w/z mnie?

– Ehm... No, miałem wrażenie, że rozumiem ducha pańskiego myślenia...

– No cóż, to duch czystej pracy badawczej – odparł nadrektor. – Badamy, jak możemy próbować ocalić naszą deskę serów. Wielu uzna, że nie ma szlachetniejszego celu. A co do młodego Floribundy...

– Tak, nadrektorze? – spytał ze znużeniem Myślak.

– Proszę go awansować. Nieważne, na jakim jest teraz poziomie, proszę go przesunąć na wyższy.

– Wydaje mi się, że przekaże to niewłaściwy sygnał...

– Wręcz przeciwnie, panie Stibbons. Wyślemy studentom najbardziej właściwy przekaz.

– Ale złamał bezpośredni zakaz, nadrektorze, jeśli mogę przypomnieć...

– Fakt. Wykazał się niezależnym myśleniem oraz pewną brawurą, a czyniąc to, uzyskał cenne dane zwiększające nasze zrozumienie Gabloty Osobliwości.

– Mógł przy tym zniszczyć cały uniwersytet, nadrektorze!

– To prawda. W tym przypadku zostałyby surowo ukarani, gdybyśmy tylko zdołali odszukać cokolwiek, co po nim zostało. Ale nie zrobił tego, ponieważ miał szczęście, a potrzebujemy magów, którym ono sprzyja. Proszę go awansować na moje osobiste polecenie, bez żadnego wuzeta. A przy okazji, jak głośne były jego krzyki?

– Prawdę mówiąc, nadrektorze, ten pierwszy był tak pełen emocji, że trwał jeszcze długo po tym, jak panu Floribundzie brakło tchu. I naj-

wyraźniej zyskał niezależną egzystencję. To znowu magia rezydualna. Musieliśmy ten krzyk zamknąć w piwnicy.

– A czy pan Floribunda wspominał, jaka była ta kanapka z bekonem?

– Na wejściu czy na wyjściu, nadrektorze? – upewnił się Myślak.

– Lepiej tylko na wejściu – odparł Ridcully. – Mam przecież barwną wyobraźnię.

– Powiedział, że to najsmaczniejsza kanapka z bekonem, jaką jadł w życiu. To była kanapka z bekonem, o jakiej człowiek marzy, słysząc słowa „kanapka z bekonem”, ale nigdy, przenigdy jej nie dostaje.

– Z brązowym sosem?

– Oczywiście. Jak się zdaje, była to kanapka z bekonem, która mogłaby położyć kres wszystkim innym.

– I prawie to zrobiła, przynajmniej dla niego. Ale przecież tyle już wiemy o Gablocie Osobliwości: zawsze dostarcza perfekcyjny egzemplarz.

– Prawdę mówiąc, bardzo niewiele wiemy na pewno – przyznał Myślak. – Tyle że nie ma w sobie niczego, co się nie zmieści w ściance o krawędzi długości 14,14 cala w okresie, że przestanie działać, jeśli, co już wiemy, jakkolwiek obiekt nieorganiczny nie zostanie do niej zwrócony w ciągu 14,14 godziny w okresie, i że nic, co zawiera, nie jest różowe, choć nie mamy pojęcia, czemu miałoby być.

– Ale bekon jest przecież organiczny, panie Stibbons – zauważył Ridcully.

– Tak jest, nadrektorze. – Myślak westchnął. – Tego też nie rozumiemy.

Nadrektor zlitował się nad nim.

– Może to był jeden z tych mocno przysmażonych – zasugerował łagodnie. – Taki, który można złamać w palcach. Lubię taki w kanapce.

Drzwi odchyliły się i oto stała przed nimi: nieduża, na środku bardzo wielkiego pomieszczenia... Gabłota Osobliwości.

– Uważa pan, że to rozsądne? – spytał niepewnie Myślak.

– Oczywiście, że nie – oświadczył Ridcully. – A teraz proszę mi znaleźć piłkę.

Na ścianie wisiała biała maska z rodzaju tych, jakie nosi się w karawale. Myślak zwrócił się do niej.

- HEX, znajdź mi, proszę, piłkę odpowiednią do gry w piłkę nożną.
- Ta maska to coś nowego? – zainteresował się Ridcully. – Myślałem, że głos HEX-a przemieszcza się w przestrzeni bitowej.
- Słusznie, nadrektorze. Rozlega się w powietrzu. Ale jakoś, bo ja wiem... przyjemniej jest, kiedy się mówi do czegoś.
- Jakiego kształtu piłka jest wymagana? – odezwał się HEX głosem gładkim jak klarowane masło. – Owalna czy sferyczna?
- Sferyczna – zdecydował Myślak.
- Gablota zadygotała.

Obiekt ten zawsze Ridcully'ego niepokoił. Przede wszystkim sprawiał wrażenie zbyt pewnego siebie. Zdawało się, że mówi: „Nie wiecie, co robicie. Używacie mnie jak loterii, a założę się, że nigdy nie pomyśleliście, jak wiele niebezpiecznych rzeczy może się zmieścić w czterdnastocalowym sześciannie”. Prawdę mówiąc, Ridcully o tym myślał, często o trzeciej nad ranem, i nigdy nie wchodził do tego pokoju, nie mając w kieszeni kilku subkrytycznych zakłęk na wszelki wypadek. No i był jeszcze Nutt... Tak. Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze, to stara maksyma NU.

Wysunęła się szuflada – i sunęła coraz dalej, aż dotarła do ściany i zapewne wysuwała się ciągle do jakiegoś innego gościnnego systemu wymiarów, ponieważ nigdy nie pokazywała się na zewnątrz pokoju, choćby człowiek nie wiadomo jak często sprawdzał.

– Bardzo gładko dziś działa – zauważył Ridcully, gdy kolejna szuflada wyrosła z podłogi i wypuściła następną, dokładnie tej samej wielkości. Ta z kolei ruszyła płynnie w stronę odległej ściany.

– Tak. Chłopcy z Miedzicoła opracowali nowy algorytm analizy przestrzeni falowych w blitach wyższego poziomu. Przyspiesza takie obiekty jak gablota, docierając na 2000 Drinkusiów.

Ridcully zmarszczył brwi.

– Właśnie pan to wymyślił?

– Nie, nadrektorze. Charlie Drinkus wymyślił to w Miedzicole. To krótszy sposób powiedzenia: 15000 iteracji do pierwszego ujemnego blitu. I o wiele łatwiejszy do zapamiętania.

– To znaczy, że ludzie z Miedzicoła przekazują panu takie wiadomości?

– O tak.

– Za darmo?

– Oczywiście. – Myślak wydawał się zaskoczony. – Swobodna wymiana informacji jest kluczowym elementem w studiach filozofii naturalnej.

– Czyli pan także mówi im to i owo, tak?

Myślak westchnął.

– Tak, oczywiście.

– Chyba tego nie aprobuję – uznał Ridcully. – Szczerze popieram swobodną wymianę informacji, pod warunkiem że to oni wymieniają swoje informacje z nami.

– Rozumiem, nadrektorze, ale do pewnych działań skłania nas znaczenie słowa „wymiana”.

– Mimo wszystko... – zaczął Ridcully i urwał.

Dźwięk tak cichy, że prawie go nie zauważali, ucichł nagle. Gablota Osobliwości złożyła się i znowu była tylko drewnianym meblem ustawionym na środku pokoju. Ale kiedy się jej przyglądali, podwójne drzwiczki otworzyły się i na podłogę wypadła brązowa kula. Odbiła się z dźwiękiem przypominającym „gloing!”.

Ridcully podszedł, podniósł ją i zaczął obracać w dłoniach.

– Interesujące – mruknął i cisnął piłką o podłogę.

Odbiła się powyżej jego głowy, był jednak dostatecznie szybki, by złapać ją po drodze w dół.

– Niezwykłe – stwierdził. – Co o tym myślisz, Stibbons?

Rzucił piłkę w powietrze i kopnął przez cały pokój. Wróciła, lecąc prosto na Myślaka, który ku własnemu zaskoczeniu ją złapał.

– Wydaje się, jakby żyła własnym życiem... Upuścił ją na podłogę i spróbował kopnąć. Odleciała.

Myślak Stibbons był niedoścignionym posiadaczem ponadczasowego usprawiedliwienia od biegów, napisanego przez jego ciocię, która prosiła też o zwolnienie go z wszelkich zajęć sportowych z powodu grzybicy usznej, nieregularnego astygmatyzmu, sarkającego nosa i obrotowej śledziony. Jak sam twierdził, wolałby przebiec dziesięć mil, przeskoczyć bramę i wspiąć się na wysoką górę, niż spróbować dowolnych ćwiczeń sportowych.

Piłka śpiewała do niego. Śpiewała: „gloing!”.

Kilka minut później Ridcully wracał do Głównego Holu, od czasu do czasu odbijając piłkę o kamienie posadzki. Było coś takiego w tym „gloing!”, że człowiek chciał znów je usłyszeć.

– Wiesz, Myślak, wydaje mi się, że robiliśmy to nie tak, jak trzeba. Więcej jest rzeczy na Niebie i Dysku, niż śniło się w naszych filozofiach.

– Też tak sędzę, nadrektorze. W moich filozofiach nie mam zbyt wielu rzeczy.

– Tu chodzi o piłkę. – Ridcully mocno uderzył nią o posadzkę i złapał zaraz. – Jutro ją tu przyniesiemy i zobaczymy, co się stanie. Solidnie ją kopnąłeś, Stibbons, a przecież jesteś, jak sam twierdzisz, ciemną i żółtodziobem.

– Tak, nadrektorze. I jeszcze cherlakiem, ale jestem dumny z tego określenia. Lepiej jednak przypomnę, nadrektorze, że piłka nie może zbyt długo przebywać poza gąbłotą.

Gloing!

– Ale możemy ją skopiować, prawda? – rzekł Ridcully. – To tylko pozszywane kawałki skóry, prawdopodobnie ochraniające jakiś typ pęcherza. Porządny rzemieślnik na pewno potrafiłby zrobić dla nas taką samą.

– Jak to? Teraz?

– Na ulicy Chytrych Rzemieślników nigdy nie gasną światła.

Tymczasem znaleźli się już w Głównym Holu. Ridcully rozglądał się przez chwilę, aż jego wzrok spoczął na dwóch postaciach popychających załadowany świecami wózek.

– Hej, chłopcy! Do mnie! – zawołał.

Chłopcy zatrzymali wózek i podeszli.

– Ten oto pan Stibbons ma dla was zadanie. Zadanie znacznej wagi. Coście za jedni?

– Trevor Likely, szefuniu.

– Nutt, nadrektorze.

Ridcully zmrużył oczy.

– Tak... Nutt... – wymruczał, myśląc o zakłęciach w kieszeni. – Ściekacz świec, tak? No więc możesz się na coś przydać. Proszę mówić, panie Stibbons.

Myślak Stibbons pokazał im piłkę.

– Domyślcie się, co to takiego?

Nutt wyjął mu ją z ręki i kilka razy odbił o podłogę. Gloing! Gloing!

– Wydaje się, że to zwyczajna sfera, choć formalnie wydaje mi się, że w rzeczywistości to ikosaedr o ściętych wierzchołkach, utworzony metodą szycia pewnej liczby pięciokątów i sześciokątów z grubej skóry, jednak szycie oznacza otwory, a przez otwory ucieka powietrze... Aha, tutaj jest szew, widzi pan? Musi tam być jakiś wewnętrzny pęcherz, prawdopodobnie zwierzęcy. Balon, można powiedzieć, okryty skórą ze względu na jej lekkość i elastyczność. Proste i eleganckie.

Oddał piłkę Myślakowi, który stał z otwartymi ustami.

– Czyżby wiedział pan wszystko, panie Nutt? – zapytał z sarkazmem urodzonego pedagoga.

Nutt zastanawiał się dobrą chwilę, nim odpowiedział.

– Nie mam pewności co do wielu szczegółów, proszę pana.

Myślak usłyszał za sobą parsknięcie i poczuł, że się czerwieni.

Został potraktowany z wyższością przez ściekacza, nawet jeśli Nutt był najmniej powściągliwym erudyta, jakiego w życiu spotkał.

– Wiecie, gdzie można zrobić kopię tej piłki? – odezwał się głośno Ridcully.

– Sądzę, że tak – odparł Nutt. – Wydaje się, że naszym przyjacielem będzie tutaj krasnoludzia guma.

– Przy Starej Szewskiej jest kupa krasnoludów, którzy mogą taką zrobić, szefuniu – zapewnił Trev. – Na pewno sobie poradzą, ale będą chcieli zapłaty, zawsze chcą. Nic na kredyt, kiedy się gada z krasnoludem.

– Proszę dać tym dwóm młodym dżentelmenom dwadzieścia pięć dolarów, panie Stibbons, dobrze?

– To dużo pieniędzy, nadrektorze.

– No tak. Jednak krasnoludy, choć są solą ziemi, nie bardzo sobie radzą z małymi liczbami, a mnie zależy na pośpiechu. Jestem przekonany, że mogę powierzyć pieniądze panu Likely’emu i panu Nuttowi. Prawda?

Powiedział to serdecznie, ale w jego głosie zabrzmiał ton ostrzeżenia. Trev w każdym razie bardzo szybko zrozumiał ten podtekst: mag

może człowiekowi zaufać z powodu piekielnej przyszłości, jaką potrafi na niego sprowadzić, gdyby ów człowiek zawiódł to zaufanie.

– Na pewno może nam pan wierzyć, szefuniu.

– Tak, tak właśnie myślałem.

Kiedy zniknęli, odezwał się Myślak Stibbons.

– Powierzył im pan dwadzieścia pięć dolarów?

– Tak, rzeczywiście – przyznał z satysfakcją Ridcully. – Ciekawie będzie zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Mimo to, nadrektorze, muszę stwierdzić, że nie było to rozsądne posunięcie.

– Dziękuję za pańską opinię, panie Stibbons, ale chciałbym delikatnie panu przypomnieć, kto tu jest szefuniem.

* * *

Glenda i Juliet wróciły do domu trollibusem, co było kolejną ekstrawagancją, ale Glenda miała przy sobie więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziała naraz. Wcisnęła banknoty pod stanik, w stylu madame, i miała wrażenie, że same z siebie wydzielają ciepło. Ale na trollu były bezpieczne. Ktoś, kto chciałby napaść trolla, musiałby użyć domu na kiju.

– Słuchaj, wiem, że świetnie się bawiłaś – tłumaczyła Glenda. – Ale pokazywanie ubrań to nie jest prawdziwa praca. Mam rację?

Nie jest. W prawdziwej pracy o wiele mniej się zarabia.

Skąd się to wzięło? Julia nawet nie otwierała ust, a trolla porastał ciągle górski mech i pewnie miał jednosylabowe słownictwo. To ja pomyślałam, uznała. Tu chodzi o marzenia, prawda? Ona jest marzeniem. Muszę przyznać, że ta mikrokolczuga to dobry materiał, ale na niej się skrzył.

I co mogę powiedzieć? Pomagasz w kuchni. Jesteś użyteczna i pomocna, jeśli akurat nie śnisz na jawie, ale nie potrafisz prowadzić rachunków ani układać tygodniowego jadłospisu. Co byś zrobiła beze mnie? Jak byś sobie poradziła z dala ode mnie, w cudzoziemskich krajach, gdzie ludzi są dziwni?

– Muszę ci otworzyć rachunek w banku – powiedziała głośno. – To będzie nasza mała tajemnica, dobrze? Takie twoje oszczędności na przyszłość.

– A jeśli tato się nie dowie, że mam te pieniądze, nie zabierze mi ich i nie wysika pod murem – odparła Juliet, spoglądając na poważną, obojętą twarz trolla.

Gdyby Glenda umiała powiedzieć *Pas devant le troll*, na pewno by to zrobiła. Ale to była prawda. Pan Stollop zarządził, że wszystkie rodzinne zarobki zbierane są w jednej puli, którą on trzyma, a potem są wydawane w barze Pod Indykiem w Jarzynach, by w końcu ściekać do kałuży w cuchnącym zaułku za oberżą.

Zdecydowała się na:

– Nie ujęłabym tego w taki sposób.

* * *

Gloing! Gloing!

Nowa piłka była jak zaczarowana, to pewne. Odbijała się i – niczym kierowana własną wolą – trafiała do czekającej dłoni Treva. Chętnie zaryzykowałby kopnięcie, ale Nutt i piłka pociągnęły już za nimi orszak ciekawskich urwisów, dających gwarancję, że więcej by już jej nie zobaczył.

– Jesteś pewien, że wiesz, jak to działa? – zapytał Nutta.

– O tak, panie Trev. To o wiele prostsze, niż się wydaje, choć wiełościany będą wymagały pewnego wysiłku, jednak ogólnie...

Czyjaś dłoń opadła nagle na ramię Treva.

– No, no... Trev Likely – odezwał się Andy. – I jego pieścizoszek, którego, jak słyszałem, trudniej zabić niż karalucha. Coś się dzieje, Trev, prawda? A ty mi powiesz, co takiego. Zaraz... A co to jest, co masz w ręku?

– Nie dzisiaj, Andy. – Trev cofnął się o krok. – Masz szczęście, że nie skończyłeś na Tantach, gdzie by pan Raz-A-Dobrze brał twoją miarę na konopny kołnierz.

– Ja? – zdziwił się Andy z niewinną miną. – Nic nie zrobiłem! Nie

mogę odpowiadać za to, co wyczynia ten tępak Stollop. Ale coś się kroi wokół piłki, nie? Vetinari chce przy niej grzebać.

– Może daj spokój, co? – mruknął Trev.

Grupa za Andym była większa niż zwykle. Bracia Stollopowie rozsądnie oszczędzali ostatnio ulicom swej obecności, ale tacy jak Andy zawsze znajdą zwolenników. Jak to mówią, lepiej stać przy Andym niż przed nim. A z Andym człowiek nigdy nie wiedział, kiedy...

Kordelas w mgnieniu oka znalazł się w jego dłoni. To był właśnie cały Andy. Cokolwiek wewnątrz trzymało w cuglach jego pierwotną wściekłość, mogło zniknąć ot tak, w mgnieniu oka. I teraz zbliżała się klinga, a na niej wypisana była przyszłość Treva – bardzo krótkimi słowami. Ale nagle zatrzymała się w powietrzu i zabrzmiał głos Nutta:

– Sądzę, Andy, że mogę ścisnąć z dostateczną siłą, by twoje kości się pokruszyły. Ludzka ręka ma dwadzieścia siedem kości i naprawdę wierzę, że przy odrobinę większym nacisku każda z nich stanie się bezużyteczna. Jednakże chciałbym dać ci szansę zmiany twoich obecnych intencji.

Twarz Andy'ego pokryła mieszanina kolorów: błądźliwość, która była niemal błękitna, i wściekłość, niemal purpurowa. Spróbował się wyrwać, ale Nutt stał spokojnie, całkowicie nieporuszony.

– Brać go! – syknął Andy, zwracając się do świata w ogólności.

– Chciałbym z żalem przypomnieć panu, że mam jeszcze jedną rękę – rzekł Nutt.

Musiał ścisnąć, bo Andy wrzasnął, kiedy palce wgniotły się w rękojeść broni.

Trev dobrze wiedział, że Andy nie ma przyjaciół – ma klakierów. Teraz patrzyli na swojego pokonanego przywódcę i patrzyli na Nutta. I bardzo dobrze widzieli nie tylko, że Nutt ma jeszcze wolną rękę, ale też co potrafi nią zrobić. Nie ruszyli się.

– No dobrze – powiedział Nutt. – Być może, mieliśmy tu do czynienia z pechowym nieporozumieniem. Za chwilę rozluźnię uścisk tak, żeby mógł pan upuścić kordelas. Proszę, panie Andy.

Andy znowu gwałtownie wciągnął powietrze i kordelas upadł na bruk.

– Teraz zechce nam pan wybaczyć, ale pan Trev i ja już sobie pój-

dziemy.

– Weź ten przeklęty kordelas! Nie zostawiaj go na ziemi! – krzyknął Trev.

– Jestem przekonany, że pan Andy nie będzie nas ścigał – odparł Nutt.

– Czyś ty zwariował, do demona? – zirytował się Trev. Schylił się i chwycił broń. – A teraz puść go i zmywamy się.

– Bardzo dobrze – zgodził się Nutt.

Musiał ścisnąć mocniej, ponieważ Andy osunął się na kolana.

Trev pociągnął Nutta i zaczął go holować przez wiecznie zatłoczone ulice miasta.

– To Andy! – tłumaczył, idąc szybkim krokiem. – Nie spodziewaj się po nim logiki. Nie spodziewaj się, że „zrozumie błędy swego żywota”. Nie szukaj sensu, kiedy Andy na ciebie poluje. Jasne? Nie próbuj do niego gadać, jakby był ludzką istotą. A teraz nie zostawaj w tyle.

* * *

Przedsiębiorstwa krasnoludów dobrze sobie ostatnio radziły, głównie dlatego, że krasnoludy rozumiały pierwszą zasadę handlu, która brzmiała: Ja mam towar na sprzedaż, a klient ma pieniądze. To ja powinienem mieć pieniądze, co niestety oznacza, że klient zabierze mój towar. Mając to na celu, nie będę mówił „Ten na wystawie to ostatnia sztuka, jaką mamy, a zatem nie mogę jej panu sprzedać, ponieważ wtedy nikt nie będzie wiedział, że mamy takie na składzie” ani „Prawdopodobnie będziemy je mieli w środę”, ani „Przecież nie możemy tego trzymać na półkach”, ani „Mam już potąd tłumaczenia ludziom, że nie ma na to popytu”. Doprowadzę do sprzedaży wszelkimi sposobami, poza przemocą fizyczną, ponieważ inaczej tylko niepotrzebnie zajmuje miejsce.

Glang Chrappison żył zgodnie z tą zasadą, ale nie bardzo lubił ludzi – przypadłość częsta u osób, które przez długi czas mają do czynienia z szerokimi kręgami społeczeństwa. A ci dwaj, którzy w tej chwili stali po drugiej stronie lady, budzili jego irytację. Jeden był nieduży i wydawał

się nieszkodliwy, ale coś głęboko w psychice Glanga, prawdopodobnie utrwalone w jego genach, budziło zdenerwowanie. Drugi z intru... to znaczy z klientów był zaledwie chłopcem, zatem mógł w każdej chwili popełnić każde przestępstwo.

Glang radził sobie z tą sytuacją, nie rozumiejąc niczego, co mówili, i wygłaszając bezsensowne zniewagi w swoim ojczystym języku. Nie ryzykował wiele. Tylko Straż Miejska uczyła się krasnoludziego, więc przeżył zaskoczenie, kiedy ten niepokojąco nieszkodliwy odezwał się lepszym llamedosjańskim krasnoludzim, niż ostatnio mówił sam Glang.

– Taka nieuprzejmość wobec przyjaznych obcych przynosi wstyd twej brodzie i zamazuje pisma Taka, czcigodny kupcze.

– Co mu powiedziałeś? – spytał Trev, kiedy Glang wykrztuszał z siebie przeprosiny.

– Och, zwykle tradycyjne powitanie – wyjaśnił Nutt. – Czy mógłbyś mi podać piłkę?

Wziął ją i odbił o podłogę. Gloing!

– Podejrzewam, że możesz znać sztukę wytwarzania siarczanej gumy?

– To było... Tak miał na imię mój dziad! – wyjąkał Glang.

– Aha, dobra wróżba! – zawołał szybko Trev.

Złapał piłkę i uderzył nią jeszcze raz.

Gloing!

– Mogę wyciąć i pozszywać zewnętrzną powłokę, jeśli ty zajmiesz się pęcherzem – zaproponował Nutt. – Zapłacimy ci piętnaście dolarów i udzielimy licencji na produkcję tylu kolejnych, ile tylko zechcesz.

– Zarobisz fortunę! – zachęcił kupca Trev.

Gloing! Gloing! – powtarzała piłka, a Trev dodał:

– W dodatku to będzie licencja uniwersytetu. Nikt się nie ośmieli jej naruszać.

– Jak to możliwe, że wiesz o siarczanej gumie? – zdziwił się Glang. Miał wyraz twarzy kogoś, kto wie, że przeciwnicy mają przewagę, ale postanowił paść w walce.

– Ponieważ Rhys, król krasnoludów, sześć miesięcy temu podarował lady Margolotcie suknię z siarczanej gumy i skóry, i jestem prawie pewien, że rozumiem zasadę.

– Jej? Czarnej Damie? Potrafi zabijać ludzi samą myślą!
– Jest moją przyjaciółką – poinformował spokojnie Nutt. – A ja ci pomogę.

* * *

Glenda nie była pewna, dlaczego dała trollowi dwupensowy napiwek. Był podstarzały i powolny, ale miał dobrze utrzymaną tapicerkę i dwa parasole. No i dla niego taki daleki kurs wcale nie był przyjemny, ponieważ bandy dzieciaków zamalowywały każdego trolla graffiti po pierś, zanim zdążył wydostać się z okolicy.

Czuła na sobie spojrzenia ukrytych oczu, kiedy szła do drzwi, ale to nie miało znaczenia.

– No dobrze – zwróciła się do Juliet. – Weź sobie wolną noc, co?

– Wrócę z tobą do pracy – odparła Juliet ku zdumieniu Glendy. – Potrzebujemy pieniędzy, a nie mogę tacie powiedzieć o tych pięćdziesięciu dolarach.

W umyśle Glendy nastąpiła niewielka kolizja oczekiwań, gdy Juliet mówiła dalej.

– Masz rację, to stała praca i chcę ją zachować, bo jestem tępa i pewnie spapram tę drugą. Znaczy było fajnie i w ogóle, ale potem sobie pomyślałam, że zawsze dobrze mi radziłaś, i pamiętam, jak kiedyś kopnęłaś Śliskiego Damiena w klejnoty tak, że przez tydzień chodził zgięty wpół. Poza tym jak z nimi pojadę, będę musiała zostawić ulicę, tatę, chłopców. Boję się tego. No i powiedziałaś, żeby uważać z bajkami, masz rację, tam są też gobliny. I nie wiem, jak sobie poradzę bez ciebie i twojego prostowania mnie. Jesteś solidna i tyle. Nie pamiętam, kiedy cię przy mnie nie było. A gdy jedna z dziewczyn nabijała się z twojego starego płaszcza, powiedziałam jej, że bardzo ciężko pracujesz...

Kiedyś czytałam w tobie jak w książce, pomyślała Glenda. Takiej z dużymi kolorowymi obrazkami i niewielką liczbą słów. A teraz nie mogę. Zgadzasz się ze mną i powinnam być zadowolona, ale nie jestem. Żle się z tym czuję i nie wiem dlaczego, a to boli.

– Może jednak się z tym prześpisz? – zaproponowała.

– Nie. Wszystko bym popsuła. Wiem, że tak.

– Dobrze się czujesz?

Coś w umyśle Glendy wrzeszczało na nią.

– Nic mi nie jest – zapewniła Juliet. – Naprawdę, było zabawnie, ale to dla aliganckich dziewczyn, nie dla mnie. To same błyski, nic, co można wziąć w rękę. A opiekanka to opiekanka, nie? Solidna. Poza tym kto by się zajmował tatą i chłopakami?

Nie, nie, nie! – krzyczał głos Glendy w jej głowie. Nie tego chciałam. Och, na pewno nie? To o czym myślałam, kiedy opowiadałam te banały? Ona patrzy na mnie, a ja dałam jej dobry przykład. Dlaczego? Bo chciałam ją ochronić. Jest taka... delikatna. Wielkie nieba, uczyłam ją być jak ja i nawet to spałam!

– No dobrze, możesz wrócić ze mną do kuchni.

– Zobaczymy bankiet? Nasz tato się martwi tym bankietem. Myśli, że lord Vetinari chce wszystkich zamordować.

– Często tak robi?

– Tak, ale wszystko jest potem tuszowane. Tak mówi tato.

– Tam będzie setka ludzi. Trzeba by sporo tego tuszowania.

A jeśli nie spodoba mi się, co zobaczę i usłyszę, na całym świecie nie wystarczy tuszu, postanowiła.

* * *

Nutt z krasnoludem pochylali głowy nad piłką, a Trev kręcił się bez celu po warsztacie. Nie wiadomo dlaczego, przez dach słychać było ciche skrobanie. Brzmiało jak pazury. To tylko ptak, tłumaczył sobie. Nawet Andy nie wchodziłby przez dach. Zresztą dręczyła go jeszcze jedna pilna sprawa. Taki lokal jak ten powinien mieć wygodkę, prawda? Przynajmniej miał tylne drzwi, które z pewnością nieuchronnie prowadziły do ciasnego zaułka, no a właściwie do czego służą zaułki, jeśli nie jako miejsce do spania włóczęgów i odpowiadania na zew natury? Może to nawet być to samo miejsce, jeśli człowiek jest okrutny.

Trev rozpiął pasek, stanął przed cuchnącym murem i nonszalancko spojrzał w górę, jak często robi człowiek w takich okolicznościach.

Jednakże większość ludzi nie patrzy wtedy prosto w zdumione twarze pary ptasich kobiet, stojących... nie, siedzących na dachu. Wrzasnęły chrapliwie i odleciały w ciemność.

Szybko człapiąc w błocie, Trev wrócił do warsztatu. Miasto z każdym dniem stawało się dziwniejsze...

Potem obok Treva płynął czas, a każda sekunda cuchnęła siarką. Wiele razy widział, jak Nutt ścieka świece, ale było to ślimacze tempo w porównaniu z prędkością, z jaką skóra została pocięta na powłokę. Ale w końcu to przecież Nutt. Dziwne było raczej to, że niczego nie mierzył. Trev w końcu nie wytrzymał, przestał opierać się o ścianę i wskazał na jedną z wielobocznych skórzanych łatek.

– Jakie to jest duże?

– Jeden i piętnaście szesnastych cala.

– Skąd możesz wiedzieć bez mierzenia?

– Mierzę oczami. To kwestia wprawy. Można się tego nauczyć.

– I przez to robisz się wartościowy?

– Tak.

– A kto to osądza?

– Ja.

– Mamy go tutaj, panie Nutt, jeszcze ciepły – oznajmił Glang, nadchodząc z głębi warsztatu. Trzymał coś, co wyglądało jak wyjęte ze zwierzęcia, które teraz, jak człowiek miał nadzieję, dla własnego dobra było martwe. – Oczywiście, następnym razem poradziłbym sobie o wiele lepiej – mówił dalej. – Ale gdyby dmuchnął pan do tej małej rurki...

Trev patrzył zachwycony. Przyszło mu do głowy, że przez całe swoje życie zrobił tylko trochę świec i dużo zamieszania. Ile był wart?

Gloing! Gloing!

Dwie piłki w harmonii, myślał Trev. Ale zaklaskał, kiedy Nutt i Glang uścisnęli sobie ręce, a potem, gdy wciąż podziwiali swe dzieło, sięgnął za siebie i zsunął sztylet z biału do kieszeni.

Nie był złodziejem. Och, owoce ze straganów owszem, ale przecież wiadomo, że to się nie liczy. Zwinięcie portfela jakiemuś bogatemu gościowi to tylko społeczna redystrybucja dóbr, to też wiadomo. No i czasem coś wyglądało na zgubione i na pewno i tak ktoś by to podniósł, więc czemu nie on?

Broń zabijała ludzi, często dlatego że ją trzymali. Ale sprawy zaszyły za daleko. Słyszał, jak zgrzytnęły kości Andy'ego, widział, jak Nutt bez wysiłku powalił go na kolana. Były więc dwa powody, by teraz podjąć środki ostrożności. Jeden taki, że jeśli ktoś tak poniżył Andy'ego, powinien go załatwić na dłużej, od razu, bo inaczej Andy wróci z krwią w kąciku ust. A drugi, gorszy, to że w tej chwili Nutt był bardziej niepokojący niż Andy. Andy'ego Trev przynajmniej znał.

Niosąc po jednej piłce, pomaszerowali z powrotem na uniwersytet. Trev czujnie obserwował wysokie budynki.

– Nie uwierzysz, co się pojawia w tym mieście – powiedział. – Tam przy warsztacie były dwa takie niby ptasie wampiry. Wiedziałeś?

– Ach, te... Pracują dla Lady. Są tutaj dla ochrony.

– Czyjej? – spytał Trev.

– Proszę się nimi nie przejmować.

W polu widzenia pojawił się uniwersytet.

– Hm... A wiesz, że dzisiaj zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego? Zaproponowałeś krasnoludowi piętnaście dolców, a on się nawet nie targował. To niesamowite! To pewnie moc głoing!

– Tak, ale naprawdę dałem mu dwadzieścia dolarów – odparł Nutt.

– Czemu? Przecież nie żądał więcej!

– Nie, ale pracował ciężko, a te dodatkowe pięć dolarów z nadwyżką opłaci sztylet, który pan ukradł, kiedy byliśmy odwrócenii.

– Wcale nie! – oburzył się Trev.

– Pańskie odruchowe, bez namysłu i mechaniczne zaprzeczenie zostało odnotowane, panie Trev. Podobnie jak widok sztyletu na blacie, po którym szybko nastąpił widok pustego miejsca tam, gdzie wcześniej leżał. Nie gniewam się, ponieważ widziałem, że bardzo rozsądnie cisnął pan za mur ten nieszczesny kordelas pana Shanka, i rozumiem pańskie zdenerwowanie. Muszę jednak zaznaczyć, że to była kradzież. Dlatego proszę pana jak przyjaciela, żeby rankiem odniósł pan sztylet na miejsce.

– Ale w ten sposób on zostanie z dodatkowym piątkiem i sztyletem.

– Trev westchnął. – Przynajmniej dla nas zostało po parę dolców – dodał, kiedy przeszli tylną furtką na uniwersytet.

– Tak, ale z drugiej strony nie, panie Trev, weźmie pan pozostałe pięć dolarów oraz nieco brudne, ale całkiem prawdziwe pokwitowanie

na dwadzieścia dolarów, i przekaże je panu Stibbonsowi, który uważa pana za nicponia. W ten sposób sprawi pan, że zwątpi w wyjściowe założenie, iż jest pan złodziejem i łobuzem. A to pomoże pańskiej karierze na uniwersytecie.

– Nie jestem... – zaczął Trev i urwał. Miał dość uczciwości, by przyznać się przed sobą do noża w kieszeni. – Powiem szczerze, Nutt, jesteś całkiem wyjątkowy, ot co.

– Tak – zgodził się Nutt. – Też zaczynam dochodzić do takiego wniosku.

* * *

SIEMA!

Ten wyraz, wydrukowany wielkimi literami, krzyczał z pierwszej strony „Pulsu”, tuż obok dużego obrazka Juliet – migoczącej w mikrokolczudze i uśmiechającej się do czytelnika. Glenda, od piętnastu sekund znieruchomiała z grzanką w połowie drogi do ust, wreszcie ugryzła.

Zamrugła i odłożyła grzankę, żeby wygodniej czytać.

Tajemnicza modelka Jewels była deserem oszalamiającego pokazu wczoraj w Shwatcie, gdzie okazała się prawdziwym wcieleniem mikrokolczugi, interesującej metalowej „tkaniny”, o której w ostatnich miesiącach krążyło wiele spekulacji i która – co potwierdziła – nie obciera. Modelka gawędziła uprzejmie i ujmując szczerą prostotą z dygnitarzami, do których – autorka jest pewna – nikt jeszcze nigdy nie powiedział „Siema”. Zdawało się, że to doświadczenie uznali za odświeżające i absolutnie nieobcierające.

W tym miejscu Glenda przerwała lekturę, gdyż pytanie „Jakie kłopoty będziemy przez to miały?” usiłowało wypełnić cały jej umysł. A przecież żadnych kłopotów nie było, prawda? I nie będzie. Nie może być. Po pierwsze, kto mógłby podejrzewać, że ta piękność ze srebrzystą

brodą, niczym jakaś bogini kuźni, jest pomocnicą kucharki? A po drugie, nie będzie żadnych kłopotów, dopóki ktoś nie spróbuje ich robić, ale wtedy będzie miał do czynienia z Glendą, a Glenda uczyni z nim, co trzeba, i to szybko. Ponieważ Jula była cudowna. Nadawała stronicy słonecznego blasku i nagle stało się oczywiste, że takiej urody nie można chować w piwnicy. Co z tego, że miała słownictwo złożone z mniej niż siedmuset słów? Istnieje aż nadto ludzi nadzianych słowami jak indyki, a żadnego z nich nikt nie chciałby oglądać na pierwszej stronie.

Zresztą, myślała Glenda, wciągając płaszczyz, to i tak długo nie potrwa. A poza tym, dodała do siebie, w końcu nikt raczej nie zauważy, że to Juliet. To zdumiewające: kobieta z brodą w żaden sposób nie powinna wyglądać atrakcyjnie, ale tutaj wyglądała. A gdyby to się przyjęło? Trzeba by dwa razy więcej czasu spędzać u fryzjera... Na pewno ktoś na to wpadnie, uznała.

Od strony domu Stollopów nie dochodziły żadne dźwięki. To jej nie dziwiło – Juliet jakoś nie mogła opanować koncepcji punktualności. Glenda zajrzała jeszcze do sąsiedniego domu, by sprawdzić, jak się czuje wdowa Crowdy, po czym w drobnym deszczu ruszyła do swego bezpiecznego portu w nocnej kuchni. W połowie drogi niemal zapomniany ucisk pod sukienką przypominał jej o obowiązkach, więc ośmieliła się zajrzeć do Królewskiego Banku Ankh-Morpork.

Drżąc ze strachu i przekory, podeszła do urzędnika za biurkiem, z rozmachem położyła na blacie pięćdziesiąt ciepłych dolarów i powiedziała:

– Chcę tu założyć konto, jasne?

Wyszła pięć minut później z nowiutką książeczką bankową i ciepłym wspomnieniem tego, jak elegancki mężczyzna za eleganckim biurkiem w eleganckim budynku nazywał ją „madame”. I rozkoszowała się tym uczuciem, dopóki nie zderzyło się z rzeczywistością mówiącą, że madame powinna raczej podwinąć rękawy i wziąć się do roboty.

Miała wiele do zrobienia. Zwykle szykowała zapiekanki przynajmniej dzień wcześniej, żeby mogły dojrzeć, ale wczorajszy apetyt pana Nutta dokonał sporego ubytku w spiżarni. Na szczęście jutro wieczorem nie będzie na nie popytu. Nawet magowie nie żądali zapiekanek po bankiecie.

A tak, bankiet, pomyślała, kiedy deszcz zaczął jej przesiąkać przez płaszcz. Bankiet... Trzeba coś zrobić w sprawie bankietu. Czasami, kiedy dziewczyna chce iść na bal, sama musi być dla siebie i wróżką, i matką chrzestną.

Istniało kilka przeszkód wymagających muśnięcia czarodziejskiej różdżki. Pani Whitlow rzeczywiście wprowadziła rodzaj apartheidu pomiędzy kuchniami dzienną a nocną, jak gdyby jeden ciąg schodów zmieniał naturę człowieka. Kolejnym kłopotem był fakt, że Glenda nie miała – wymaganej przez uniwersytecką tradycję – odpowiedniej figury, by podawać do stołu, zwłaszcza gdy siedzieli przy nim goście. I wreszcie Glenda nie miała odpowiedniego temperamentu, by obsługiwać przy stole. Nie o to chodzi, że nie potrafiła się uśmiechać – naprawdę potrafiła, jeśli tylko została odpowiednio wcześniej uprzedzona. Tyle że nie znosiła uśmiechania się do ludzi, którzy w rzeczywistości zasługiwali raczej na trzepnięcie ścierką w ucho. Nie znosiła też zbierania niedojedzonych talerzy. Zawsze musiała walczyć z chęcią powiedzenia czegoś w rodzaju: „Dlaczego nakładałeś sobie na talerz, jeśli nie miałeś zamiaru kończyć?” albo „Przecież to kosztuje dolara za funta, a zostawiłeś połowę”, albo „Pewno, że wystygło, bo grałeś w stopki z tą młodą damą naprzeciwko, zamiast skupić się na jedzeniu”, albo też, gdyby wszystko inne zawiodło, „Wiesz, małe dzieci w Klatchu...”. Tego zdania używała jej matka, choć najwyraźniej pomijała jakąś znaczącą jego część.

Nie lubię marnotrawstwa, myślała Glenda, idąc korytarzem do nocnej kuchni. I nie musiałyby się zdarzać, gdyby człowiek znał się na kuchni, a jedzący poważnie traktowali posiłki.

Sama się nakręcała, wiedziała o tym. Od czasu do czasu wyjmowała z torby pierwszą stronę „Pulsu” i patrzyła na nią. To wszystko zdarzyło się naprawdę, a oto dowód. Ale to zabawne: codziennie zdarzało się coś dostatecznie ważnego, by trafić na pierwszą stronę azety. Nigdy jeszcze, po kupieniu codziennika, nie znalazła małego napisu o treści „Nic ciekawego się wczoraj nie działo, przepraszamy”. Natomiast jutro ten przepiękny obrazek posłuży do owijania ryby z frytkami i wszyscy o nim zapomną. A wtedy ona przestanie się martwić.

Zabrzmiało uprzejme chrząknięcie i rozpoznała je jako należące do Nutta, który miał chrząknięcie najuprzejmniejsze z możliwych.

– Słucham, panie Nutt?

– Pan Trev przysłał mnie z tym oto listem dla panny Juliet, panno Glendo – odparł Nutt, który najwyraźniej czekał przy schodach. Trzymał kopertę, jakby była obosiecznym mieczem.

– Obawiam się, że jeszcze nie dotarła – odparła Glenda. Nutt wszedł za nią na górę. – Ale odłożę go na tamtą półkę, gdzie musi go zauważyć. – Zerknęła na Nutta i zauważyła, że wpatruje się nieruchomo w półki zapiekane. – Och, mam wrażenie, że upiekłam o jeden jabłecznik za dużo. Tak sobie myślę, czy mógłby mi pan pomóc usunąć go z pomieszczenia?

Uśmiechnął się z wdzięcznością, chwycił ciasto i wyszedł pośpiesznie.

Znów samotna, Glenda przyjrzała się kopercie. Była z tych najtańszych, które wyglądały, jakby robiono je z odzyskanego papieru toaletowego. I nie wiadomo czemu zdawało się, że jest trochę większa.

Z jakichś nieodgadnionych przyczyn przypomniała sobie, że klej na tych kopertach jest tak marny, że aby je zamknąć, lepiej chyba by było solidnie się przeziębnić. Każdy mógł taką kopertę zwyczajnie otworzyć, sprawdzić, co jest w środku, potem wydłubać trochę woskowiny i nikt by niczego nie zauważył.

Ale to byłoby bardzo złe.

Z piętnaście razy te same myśli przebiegły Glendzie przez głowę, nim do nocnej kuchni wkroczyła Juliet. Odwiesiła płaszcz i sięgnęła po fartuch.

– W omnibusie siedział taki jeden i czytał azetę, i tam było moje zdjęcie. Na samym wierzchu – oznajmiła podniecona.

Glenda przytaknęła i wręczyła jej swoją azetę.

– No, to chyba ja – uznała Juliet, przechylając głowę na ramię.

– Co teraz zrobimy?

– Otwórz ten piekielny list! – krzyknęła Glenda.

– Co?

– No ten... Trev przysłał ci list. – Porwała go z półki i podała Juliet. – Może od razu przeczytasz?

– Pewnie się tylko wygłupia.

– Nie! Czemu nie chcesz przeczytać? Nawet nie próbowałam go

otwierać!

Juliet wzięła kopertę, która otworzyła się właściwie od dotknięcia. Zła strona Glendy pomyślała: żadnego kleju ani nic, mogłam zwyczajnie tam zająrzeć.

– Nie mogę czytać, kiedy tak blisko stoisz – powiedziała Juliet. Przez chwilę poruszała wargami, po czym oznajmiła: – Nic nie rozumiem. Same takie trudne słowa. Ale ładne, zakręcone pismo. W jednym kawałku jest napisane, że wyglądam jak letni dzień. O co mu chodzi? – Wcisnęła list w dłoń przyjaciółki. – Możesz mi to przeczytać? Wiesz, że sobie nie radzę z trudnymi słowami.

– Mam trochę roboty – mruknęła Glenda. – Ale skoro prosisz...

– Pierwszy raz dostaję list, który nie jest drukowanymi literami – wyznała Juliet.

Glenda usiadła i zaczęła czytać. Całe życie lektur tego, co sama nazwałaby złymi romansami, nagle przyniosło owoce. List wyglądał, jakby ktoś otworzył kurek z poezją, a potem wyjechał na wakacje. Ale mimo to słowa wyglądały pięknie. Było tam na przykład słowo „adorator”, stanowiące wyraźny sygnał, a także dużo o kwiatach i całkiem sporo tego, co wyglądało jak prośby opakowane w ozdobne litery. Po chwili wyjęła chustkę i zaczęła się wachlować.

– No więc o co tam chodzi? – spytała Juliet.

Glenda westchnęła. Jak tu zacząć? Jak rozmawiać z Juliet na temat porównań i metafor, i licencji poetyckiej owiniętej w cudownie ozdobne pismo?

Spróbowała.

– No wieeesz... W zasadzie to on mówi, że jesteś naprawdę niezła, chce się spotkać, obiecuje, że żadnego migdalenia. A pod spodem są jeszcze trzy małe iksy.

Juliet zaszlochała.

– To prześlicznie. Wyobraź sobie, że siada i pisze te wszystkie słówka specjalnie dla mnie. Prawdziwa poezja tylko dla mnie. Włożę sobie ten list pod poduszkę.

– Tak, podejrzewam, że coś takiego miał na myśli – westchnęła Glenda.

I pomyślała: Trev Likely poetą? Trudno uwierzyć.



Straszny ciężar naciskał na pęcherz Pepe, który w tej chwili znajdował się między młotem a kowadłem, jeśli nie było to nazbyt obraźliwe określenie jego pozycji pomiędzy madame a ścianą. Nadal spała. Chrapała przy tym imponująco, wykorzystując te wielotonowe chrapnięcia, znane – tym szczęśliwcom, którzy muszą ich słuchać każdej nocy – jako symfonia „errgh, errgh, errghh, blorrrt!”. W dodatku leżała mu na nodze. A w pokoju panowała absolutna ciemność. Zdołał jakoś uwolnić nogę, która w połowie zdrętwiała, i przystąpił do dobrze opanowanego poszukiwania nocnego naczynia; zaczął od postawienia stopy na pustej butelce szampana, która odtoczyła się, a on pozostał, leżąc płasko na wznak. Wymacał ją w mroku, sprawdził rzeczywiste opróżnienie – bo czasem człowiekowi sprzyja szczęście – po czym, można powiedzieć, wypełnił ją na nowo i odstawił na coś, co prawdopodobnie było stołem, ale w jego świadomości i w mroku równie dobrze mogło być pancernikiem.

Jakiś inny dźwięk synkopował z wirtuozowską aranżacją madame. Pewnie ten właśnie dźwięk go obudził. Macając ręką, zlokalizował swoje kalessony i w zaledwie trzeciej próbie zdołał je włożyć odpowiednią stroną w górę i odpowiednią stroną do przodu. Były trochę zimne – to stały problem mikrokolczugi, która w końcu jest metalem. Z drugiej strony nie obcierała i nigdy nie wymagała prania. Pięć minut w ogniu gwarantowało najwyższy poziom higieny. Poza tym wersja kalessonów Pepe skrywała własną niespodziankę.

Czując więc, że gotów jest na spotkanie ze światem, a przynajmniej tą jego częścią, która chciała widzieć tylko górną połowę Pepe, poczłapał, uderzając stopami w meble, do drzwi sklepu. Po drodze sprawdzał każdą butelkę, szukając śladów płynnej zawartości. Zdziwiałające, ale przetrwała wypełniona w pięćdziesięciu procentach flaszką porto. Gdy huczy sztorm, każdy port jest przyjazny, pomyślał, wypijając swoje śniadanie.

Drzwi dygotały. Było w nich zamykane na zasuwkę niewielkie

okienko, dzięki któremu personel mógł zdecydować, czy wpuścić do wnętrza potencjalnego klienta. To dlatego, że kiedy jest się tak eleganckim salonem mody jak Shwatta, nie sprzedaje się towaru każdemu.

Pary oczu zygzakowały w polu widzenia, gdy ludzie tłoczyli się po drugiej stronie i walczyli o jego uwagę.

– Przyszliśmy zobaczyć Jewels – oznajmił ktoś.

– Odpoczywa – odparł Pepe. To zawsze dobrze brzmiało, a mogło oznaczać cokolwiek.

– Widzieliście obrazek w „Pulsie”? – zapytał głos. I dodał: – Niech pan spojrzy.

I przed drzwiami ktoś uniósł wizję Juliet. A niech to! – pomyślał Pepe.

– Miała bardzo ciężki dzień – wyjaśnił.

– Społeczeństwo chce się wszystkiego o niej dowiedzieć – oznajmił surowo głos.

A inny, kobiecy i mniej agresywny, dodał:

– Wydaje się dość niezwykła.

– To prawda, to prawda – przyznał Pepe, myśląc gorączkowo. – Ale wysoko ceni swoją prywatność i jest trochę artystyczna, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

– Chciałem złożyć duże zamówienie – poinformował kolejny głos, a jego właściciel przecisnął się do miejsca przed drzwiami.

– Och, ale przecież nie musimy jej z tego powodu budzić. Jedną chwileczkę, nim wrócimy do tej rozmowy.

Jeszcze raz porządnie łyknał porto. Potem odwrócił się i zobaczył madame w nocnej koszuli, pod którą zmieściłby się cały pluton, o ile tylko żołnierze byliby bardzo przyjaźnie do siebie nastawieni. Zbliżyła się do niego z kieliszkiem w jednej ręce i butelką szampana w drugiej.

– Zupełnie wywietrzała – powiedziała.

– Pójdę poszukać jakiegoś nieotwartego – odparł i szybko wyrwał jej butelkę. – Mamy pod drzwiami ludzi z azet i klientów, a wszyscy chcą zobaczyć Julę. Pamiętasz, gdzie ona mieszka?

– Jestem pewna, że mi mówiła – stwierdziła madame. – Ale mam wrażenie, że bardzo dawno temu. Ta druga, chyba Glenda, pracuje jako kucharka w jakiejś dużej instytucji w mieście. A właściwie czemu chcą

ją widzieć?

– W „Pulsie” dali jej cudowny obrazek – wyjaśnił Pepe. – Mówiłaś, że myślisz, że będziemy bogaci, pamiętasz? Chyba nie myślałaś w odpowiednio dużej skali.

– Co proponujesz, skarbie?

– Ja? Przyjąć zamówienie, bo to dobry interes, a reszcie powiedzieć, że Jula spotka się z nimi później.

– Uważasz, że na to pójdą?

– Będą musieli, bo nie mamy pojęcia, gdzie jej szukać. Ona jest jak milion dolarów chodzący sobie gdzieś po mieście.

* * *

Rhys, dolny król krasnoludów, z uwagą przyglądał się obrazkowi ślicznej dziewczyny. Ostrość była całkiem niezła – technika przekładania sygnału semaforowego na czarnobiałe obrazki bardzo się ostatnio poprawiła. Jego ludzie w Ankh-Morpork musieli uznać ten przekaz za dostatecznie ważny, by usprawiedliwiać koszt wymaganego pasma. Z pewnością podobał się wielu innym krasnoludom, jednakże doświadczenie nauczyło dolnego króla, że zawsze gdzieś można znaleźć kogoś, kto będzie protestował przeciwko wszystkiemu. Spojrzał na stojących przed nim gragów. Wszystko jest proste dla takich osób jak lord Vetinari. On ma do czynienia jedynie z religiami. My nie mamy religii. Bycie krasnoludem samo w sobie jest religią, w której żadnych dwóch kapłanów się ze sobą nie zgadza, a czasami można odnieść wrażenie, że każdy krasnolud jest kapłanem.

– Nie widzę tu nic, co mogłoby wzbudzić mój niepokój – oświadczył.

– Uważamy, że ta broda jest fałszywa – stwierdził jeden z gragów.

– Absolutnie akceptowalna – odparł król. – W żadnym precedensie nie występuje nic takiego, co sugerowałoby zakaz używania fałszywych bród. Są wielkim dobrodziejstwem dla tych, którym trudno zapuścić własne.

– Ale ona wygląda... no... kusząco – rzekł jeden z pozostałych gra-

gów. Byli nierozróżnialni pod wysokimi, szpiczastymi kapturami.

– Rzeczywiście atrakcyjnie – zgodził się król. – Panowie, czy to jeszcze długo potrwa?

– Trzeba to powstrzymać! To nie jest krasnoludzie!

– Ależ najwyraźniej jest, nieprawdaż... Mikrokolczuga to w stu procentach kolczuga, a mało jest rzeczy bardziej krasnoludzych. Ona się uśmiecha, a choć przyznaję, że krasnoludy dość rzadko się uśmiechają, a już zwłaszcza kiedy stoją przede mną, jednak uważam, że zyskalibyśmy, biorąc z niej przykład.

– To wyraźna obraza moralności!

– Jak? Gdzie? Mam wrażenie, że tylko w waszych głowach.

– A zatem – odezwał się najwyższy z gragów – nie zamierzasz nic robić, panie?

Król zastanawiał się przez chwilę, wpatrzony w strop.

– Nie, zamierzam coś zrobić – oświadczył. – Przede wszystkim postaram się, by moi wysłannicy sprawdzili, ile zamówień na mikrokolczugi napłynęło dzisiaj z Bzyku. Wierzę, że Shwatta bez oporów pokaże im księgi, zwłaszcza że chcę zapewnić madame Sharn, iż może wrócić i tutaj otworzyć swój salon.

– Zrobi pan to? – Któryś grag nie dowierzał.

– Tak, oczywiście. Już prawie domknęliśmy traktat Doliny Koom, pokój z trollami, na który nikt z nas nie liczył za swego życia. I mam już dość, panowie, waszych jęków, skarg i nieskończonych, naprawdę nieskończonych prób powrotu do bitew, które już przegraliście. Jeśli o mnie chodzi, ta młoda dama pokazuje nam lepszą przyszłość, a teraz, jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie puścicie mojego gabinetu, każę wam płacić czynsz.

– Będą jeszcze kłopoty z tego powodu.

– Zawsze są jakieś kłopoty, panowie. Ale tym razem to ja narobię ich wam.

Kiedy trzasnęły za nimi drzwi, król usiadł wygodnie w fotelu.

– Brawo, panie – pochwalił go sekretarz.

– Oni nie zrezygnują. Trudno sobie wyobrazić, jakimi bylibyśmy krasnoludami, gdybyśmy się bez przerwy nie kłócili. – Powiercił się lekko na siedzeniu. – Wiesz, mieli rację, kiedy mówili, że nie obciera i

nie jest taka zimna, jak można oczekiwać. Poproś naszego agenta, żeby przekazał ode mnie madame Sharn serdeczne podziękowania za ten wspaniały dar.

* * *

Nawet w tak wczesnej porze główny hol uniwersytetu był gwarną arterią. Większość stołów została odsunięta pod ściany albo – ponieważ niektórzy chcieli się popisać – lewitowała pod sufitem. Wielkie, czarne i białe płyty posadzki, wytarte do gładzi przez stopy kroczące po nich od tysiącleci, były polerowane nadal, gdy dzisiejsi profesorowie i studenci skracali sobie tędy drogę do rozmaitych celów, zadań czy w ostateczności – kiedy nie pojawiała się żadne rozsądne usprawiedliwienie – na wykłady.

Wielki kandelabr został opuszczony i odciągnięty na bok, czekając na codzienną wymianę świec. Jednakże – szczęśliwie dla zamierzeń Musturma Ridcully'ego – pozostała rozległa przestrzeń pustej podłogi.

Zauważył, jak spieszy ku niemu postać, której oczekiwał.

– Jak poszło, panie Stibbons?

– Nadzwyczaj dobrze, nadrektorze, muszę powiedzieć – odparł Myślak. Otworzył worek, który przyniósł ze sobą. – Jedna z tych dwóch to nasza oryginalna piłka, a druga to piłka, którą Nutt i Trevor Likely zrobili zeszłej nocy.

– Ach, znajdź różnicę... – ucieszył się Ridcully.

Chwycił obie w swe ogromne dłonie i upuścił na posadzkę.

Gloing! Gloing!

– Doskonale identyczne – stwierdził.

– Trevor Likely twierdzi, że tę drugą za dwadzieścia dolarów wykonał krasnolud.

– Tak mówił?

– Tak, nadrektorze, a także przekazał mi resztę i pokwitowanie.

– Wygląda pan na zaskoczonego, panie Stibbons.

– No cóż, rzeczywiście, nadrektorze. Chyba źle go oceniałem.

– Możliwe, że nawet młody lampart może zgubić swoje cętki – uznał

Ridcully, przyjaźnie klepiąc go w plecy. – Uznajmy, że to punkt dla ludzkiej natury. A teraz... która z tych piłek powinna wrócić do gąbłoty?

– To niezwykle, nadrektorze, ale pomyśleli o tym, żeby oznaczyć nową piłkę i tutaj jest taka mała biała plamka... Nie, tutaj... Wydawało mi się, że tutaj... Aha! Tu ją mamy! Ta jest nasza. Za chwilę pošlę jakiegoś studenta, żeby tę drugą odłożył na miejsce. Zostało jeszcze półtorej godziny.

– Nie. Wolałbym, żeby zrobił to pan osobiście, panie Stibbons. Nie zajmie to więcej niż kilka minut. Proszę szybko wracać, chcę przeprowadzić niewielki eksperyment.

Kiedy Myślak zjawił się z powrotem, Ridcully kręcił się z pozorną obojętnością przy wielkich drzwiach.

– Ma pan przygotowany swój notatnik, panie Stibbons? – zapytał cicho.

– I nowy ołówek, nadrektorze.

– No to dobrze. Zaczynamy eksperyment.

Delikatnie wypuścił nową piłkę na podłogę, wyprostował się i zerknął na stoper.

– Aha, piłka została kopnięta w bok przez profesora nauk niewyzwolonych, możliwe, że przypadkowo. Teraz jeden z pedli, pan Hipney, jeśli dobrze pamiętam nazwisko, kopnął ją dość niepewnie. Jeden ze studentów, Pondlife, jeśli dobrze sobie przypominam, potoczył ją z powrotem. Zyskujemy pęd, panie Stibbons. Nieukierunkowany, to prawda, ale obiecujący. Ale na to nie możemy się zgodzić... Nie wolno dotykać piłki rękami, panowie! – zawołał, sprawnie zatrzymując stopą toczącą się piłkę. – Takie zasady! Naprawdę przydałby się nam gwizdek, Stibbons.

Odbijał piłkę o kamienną podłogę.

Gloing!

– Nie bawcie się tutaj jak dzieciaki kopiące puszkę! Zagrajcie w piłkę! Nożną! Jestem nadrektorem tego uniwersytetu i na Io, zawieszę albo wręcz wydalę każdego, kto będzie się wykręcał bez usprawiedliwienia od matki!

Gloing!

– Dobierzecie się w dwa zespoły, ustawicie gole i będziecie walczyć o zwycięstwo! Nikt nie zejdzie z pola gry, chyba że ranny. Nie wolno

używać rąk, rozumiano? Jakies pytania?

W górę uniosła się ręka i Ridcully wyszukał wzrokiem związaną z nią twarz.

– Ach, Rincewind... – powiedział, ale że nie był człowiekiem świadomie nieuprzejmym, poprawił się na: – Profesor Rincewind, oczywiście.

– Chciałem prosić o zgodę na pójście po usprawiedliwienie od matki, nadrektorze.

Ridcully westchnął.

– Rincewindzie, poinformowałeś mnie kiedyś, ku mojemu nieustającemu zdumieniu, że nie znałeś swojej matki, ponieważ uciekła przed twoim urodzeniem. Dokładnie pamiętam, że zanotowałem to w swoim dzienniku. Może spróbujesz czegoś innego?

– Pozwolenie, żeby wyruszyć na poszukiwanie matki?

Ridcully się zawahał. Profesor okrutnej i niezwyklej geografii nie miał studentów i właściwie żadnych realnych obowiązków prócz tego, by trzymał się z daleka od kłopotów. Wprawdzie nadrektor nigdy by tego nie przyznał, ale wbrew wszelkiemu rozsądkowi było to stanowisko profesora w stanie spoczynku. Rincewind był tchórzem i mimowolnym klaunem, lecz kilka razy w dość zagadkowych okolicznościach ocalił świat. Ściąga na siebie nieszczęścia, uznał Ridcully. Służy za piorunochron losu, dzięki czemu nikt inny już nie musi za to służyć. Taki osobnik wart jest wikt i opierunku (nawet uwzględniając zwiększoną ilość poplamionej bielizny) i wiadra węgla dziennie, choć w opinii nadrektora miał przesadną skłonność do narzekania. Jednak był szybki, a zatem przydatny.

– Proszę się zastanowić – tłumaczył Rincewind. – Pojawia się tajemnicza urna i nagle wszystko się kręci wokół piłki. To wróżbne. Znaczy, że wydarzy się coś niedobrego.

– Daj spokój, równie dobrze może to być coś cudownego – zaprotestował Ridcully.

Zdawało się, że Rincewind rozważa tę możliwość.

– Może być cudowne, lecz będzie straszne. Przykro mi, ale tak już jest.

– Jesteśmy na Niewidocznym Uniwersytecie, Rincewindzie. Czego

można się obawiać? Oprócz mnie, naturalnie. Wielkie nieba, to przecież sport. – Ridcully podniósł głos. – Podzielcie się na drużyny i grajcie!

Cofnął się i stanął obok Myślaka. Ponagleni gracze, otrzymawszy głośne i wyraźne instrukcje, zbili się w krąg, by metodą ogólnego gwaru ustalić, co powinni przedsięwziąć zamiast tego.

– Nie mogę uwierzyć – stwierdził Ridcully. – Każdy chłopak wie, co robić, kiedy znajdzie coś do kopania. – Złożył dłonie w trąbkę. – No, dalej! Niech wystąpią dwaj kapitanowie. Nie obchodzi mnie, kto to będzie.

Zajął to więcej czasu, niż się spodziewał, ponieważ ci, którzy nie opuścili holu dyskretnie, zrozumieli, że pozycja kapitana drużyny oferuje wyjątkową szansę bycia celem nieprzewidywalnego gniewu nadrektora. W końcu jednak dwie ofiary zostały wypchnięte naprzód i przekonały się, że nie zdołają łatwo wepchnąć się z powrotem.

– A teraz dobierajcie sobie graczy na przemian. – Zerwał kapelusze i cisnął go na ziemię. – Przecież wszyscy rozumiemy, na czym to polega! Jak małe dziewczynki i różowy kolor! Wiecie, co robić! Wybierajcie na zmianę, żeby jeden miał u siebie dziwnego dzieciaka, a drugi tego grubego... Zostań, Rincewindzie!

Myślak zadrżał mimowolnie, kiedy powróciły wspomnienia szkolnych lat, by z niego zadrwić. Gruby dzieciak w jego klasie nosił nieszczęśliwe przezwisko „Prosiak” Love, a jego ojciec był właścicielem sklepu ze słodyczami, co gwarantowało synowi pewien respekt, nie wspominając już o sile przebicia. W efekcie tylko dziwny dzieciak pozostawał naturalnym celem dla innych chłopców, a to oznaczało dla Myślaka chroniczne piekło – aż do dnia, kiedy z jego palców trysnęły iskry i spodnie Martina Soggera stanęły w ogniu. Jeszcze teraz czuł ich zapach. Najlepsze lata życia, akurat... Może i nadrektor bywa czasami trochę tępy i niekiedy trudno z nim wytrzymać, ale przynajmniej nie daje fangi w nos...

– Słuchasz mnie, Stibbons?

Myślak zamrugał.

– Eee... Przepraszam, nadrektorze. Właśnie... obliczałem.

– Pytałem, kim jest ten wysoki gość z małą bródką.

– Tamten? To profesor Bengo Macarona, nadrektorze. Z Genoi.

Pamięta pan? Roczna wymiana za profesora Prawicza.

– A tak. Biedny Prawicz. Może w obcym języku nie będą się z niego tak śmiali. A pan Macarona przybył tu po naukę? Z pewnością chce popchnąć swoją karierę.

– Raczej nie, nadrektorze. Ma doktoraty z Unki, QIS i z Chubbu, łącznie trzynaście, jest wizytującym profesorem w Rospypsh, cytowanym w dwustu trzydziestu sześciu pracach oraz, ehm, jednym wniosku rozwodowym.

– Co takiego?

– Zasada celibatu nie jest tam ściśle przestrzegana, nadrektorze. Mają gorącą krew, jak rozumiem. Jego rodzina posiada ogromne ranczo i największą plantację kawy poza Klatchem. Wydaje mi się również, że jego babka jest właścicielką Towarzystwa Żeglugi Morskiej Macarona.

– Więc jak, do wszystkich piekieł, trafił do nas?

– Chce pracować z najlepszymi, nadrektorze – odparł Myślak.

– Myślę, że mówi poważnie.

– Naprawdę? No tak, wydaje się całkiem rozsądny. Ehm... a ten wniosek rozwodowy?

– Niewiele wiem, nadrektorze. Sprawa została zatuszowana.

– Rozgniewany mąż?

– Rozgniewana żona, jak słyszałem – odparł Myślak.

– Ach, czyli był żonaty, tak?

– Według mojej wiedzy nie, nadrektorze.

– Chyba nie całkiem rozumiem – oświadczył Ridcully.

Myślak, który także nie czuł się najlepiej w tej dziedzinie, powiedział bardzo powoli:

– Była żoną innego mężczyzny, jak... sądzę, nadrektorze.

– Ale ja...

Myślak spostrzegł z ulgą, że twarz Ridcully'ego rozjaśnił blask zrozumienia.

– Aha, chodzi o to, że był jak profesor Hayden. Pamiętam, miał zabawne przezwisko.

Myślak przygotował się na dalszy ciąg.

– Wężak. Strasznie lubił węże. Godzinami potrafił opowiadać o węzach, z niewielkim dodatkiem jaszczurek. Bardzo.

– Cieszę się, że tak pan uważa, nadrektorze. Ponieważ wiem, że część studentów...

– Był też stary Postule w naszej osadzie wioślarskiej. Machał sterem przez dwa cudowne lata.

Mina Myślaka się nie zmieniła, choć twarz stała się przez moment zaczerwieniona i błyszcząca.

– Najwyraźniej sporo tego się dzieje – mówił dalej Ridcully. – Ludzie robią tyle zamieszania... Ja tam uważam, że za mało jest na świecie miłości. Zresztą powiadam, że kto nie lubi towarzystwa mężczyzn, ten tutaj nie przychodzi. Brawo dla niego!

Ostatni okrzyk wynikał z tego, że gdy Ridcully był zajęty, piłkarze w końcu zaczęli kopać piłkę i pojawiły się interesujące style pracy nóg.

– Tak, słucham?

Obok nadrektora stanął pedel.

– Pewien dżentelmen chce się widzieć z nadrektorem, proszę pana. Jest magiem, proszę pana. To ten, no... dziekan, kiedyś, a teraz mówi, że też jest nadrektorem.

Ridcully wahał się przez moment. Ale tylko doświadczony obserwator nadrektora, taki jak Myślak, potrafiłby ten moment dostrzec. Kiedy Ridcully się odezwał, mówił chłodno i spokojnie, a każde słowo wykuwał na kowadło samokontroli.

– Cóż za przyjemna niespodzianka, panie Nobbs. Proszę wprowadzić dziekana. Och, i niech pan nie zerka na Stibbonsa, szukając potwierdzenia. Byłbym wdzięczny. Ciągłe jeszcze to ja jestem nadrektorem w tych okolicach. I jest tylko jeden. Czy to jakiś problem, panie Stibbons?

– No... Jesteśmy w miejscu publicznym...

Myślak urwał, gdyż nagle nikt już nie zwracał na niego uwagi. Nie zauważył piłki toczącej się w podskokach do pana Nobbsa (żadnego pokrewieństwa). Ani też solidnego kopniaka, jaki ten jej wymierzył, jakby miał do czynienia z beczelnym najściem puszeki jakiegoś urwisa. Myślak zobaczył jednak, jak piłka majestatycznym łukiem sunie w powietrzu w stronę przeciwnego końca holu, gdzie za organami umieszczono okno z witrażem poświęconym nadrektorowi Abastiemu. Codziennie ukazywał jedną z tysięcy scen o mistycznej oraz duchowej

naturze. Intuicja, z jaką Myślak przeliczył odległość i trajektorię piłki, zdradziła mu, że aktualnie jaśniejący portret „Biskupa Horna, zdającego sobie sprawę, że tarta z aligatora nie była najlepszym wyborem” pojawił się w samą porę, by mieć wyjątkowego pecha.

I nagle, niczym nowa planeta wpływająca w pole widzenia obserwatorów nieba, jak planety mają to w zwyczaju, rdzawoczerwony kształt uniósł się, rozwijając w locie, chwycił piłkę w powietrzu i wylądował na klawiaturze organów z dźwiękiem „gloing!” w bes.

– Brawo ten małopolud! – huknął nadrektor. – Piękna obrona, ale niestety wbrew regułom.

Ku zaskoczeniu Myślaka wśród graczy rozległy się pomruki sprzeciwu.

– Sądzę, że decyzja ta zyskałaby na ponownym rozważeniu – odezwał się cichy głos za nimi.

– Kto to powiedział? – spytał Ridcully, odwrócił się i spojrzał w nagle przerażone, małe oczy Nutta.

– Nutt, proszę pana. Ściekacz świec. Spotkaliśmy się wczoraj... Pomogłem z piłką...

– I teraz mi mówisz, że się mylę, tak?

– Wolałbym, żeby uważał pan moje słowa za sugestię, w jaki sposób może pan jeszcze bardziej mieć rację.

Ridcully otworzył usta, po czym zamknął je znowu. Wiem, czym on jest, pomyślał. Czy on wie? Czy może mu tego oszczędzili?

– No dobrze, panie Nutt. Czy chciałby pan zgłosić jakąś uwagę?

– Tak, proszę pana. Co jest celem gry?

– Zwycięstwo, oczywiście!

– W samej rzeczy. Niestety, nie jest w ten sposób prowadzona.

– Nie?

– Nie, proszę pana. Wszyscy grający chcą tylko kopnąć piłkę.

– I tak przecież być powinno, prawda?

– Tylko jeśli pan uważa, że celem gry są zdrowe ćwiczenia fizyczne, proszę pana. Czy gra pan w szachy?

– No, zdarzało mi się.

– Czy uznałby to pan za właściwe, gdyby wszystkie pionki pędziły razem po szachownicy w nadziei, że zamatają króla?

Ridcully'ego nawiedziła przelotna wizja Vetinariego, jak trzyma samotnego pionka i mówi, czym może się stać.

– No nie, przecież to całkiem co innego – zaprotestował.

– Owszem, ale sztuka polega na właściwym wykorzystaniu swoich zasobów.

Ridcully zauważył, że za Nuttem pojawia się jakaś twarz niczym wschodzący księżyc gniewu.

– Masz nie rozmawiać z dżentelmenami, Nutt, nie wolno zajmować im czasu swoim gadaniem...

Ridcully poczuł, że ogarnia go fala współczucia dla Nutta. Tym bardziej że Smeems, jak jest w zwyczaju takich ludzi, zerkał na nadrektora, szukając – nie, oczekując – poparcia dla tego aktu małostkowej tyranii. Jednakże ludzie władzy muszą trzymać się razem, a zatem władza wyższego szczebla musi poprzeć władzę szczebla niższego, choćby on sam – wyższy szczebel władzy – uważał niższy szczebel za irtującego zrzedę.

– Dziękuję za troskę, panie Smeems – powiedział Ridcully.

– Jednakże to ja sam poprosiłem pana Nutta o opinię na temat naszego małego pokopywania, ponieważ chodzi tu o grę dla ludu, a on jest bardziej ludem niż ja. Nie będę go zbyt długo odrywał od obowiązków, podobnie jak pana od pańskich, panie Smeems, gdyż wiem, że są zarówno ważne, jak i nagłe.

Niższy i niepewny szczebel władzy, jeśli jest bystry, potrafi dostrzec, że wyższy szczebel daje mu szansę zachowania twarzy.

– Słuszna uwaga, proszę pana – rzekł Smeems po zaledwie sekundzie wahania, po czym odbiegł w bezpieczniejsze okolice.

Stwór zwany Nuttem wyglądał, jakby drżał.

Boi się, że zrobił coś złego, uznał Ridcully. A ja nie powinienem o nim myśleć „stwór”.

Jakiś magiczny zmysł kazał mu się odwrócić i stanął twarzą w twarz z... jak ten chłopak się nazywa?... z Trevorem Likelym.

– Czy chciałby pan jeszcze coś dodać, panie Likely? Niestety, jestem teraz trochę zajęty...

– Oddałem panu Stibbonsowi resztę pieniędzy i pokwitowanie – oznajmił Trevor.

- A czym się u nas zajmujesz, młody człowieku?
- Kieruję kadziami świecowymi, szefie.
- Naprawdę? Ostatnio świetnie wam idzie ze ściekaniem.
- Trev puścił to mimo uszu.
- Pan Nutt nie ma żadnych kłopotów, prawda, szefie?
- O ile mi wiadomo, żadnych.

Ale co ja mogę wiedzieć, myślał Ridcully. Pan Nutt z definicji sam jest kłopotem. Lecz bibliotekarz twierdzi, że lubi naprawiać różne rzeczy i ogólnie jest typem przyjaznego niedołęgi, za to mówi tak, jakby prowadził wykład¹³. Ten mały człowieczek – choć jeśli mu się dobrze przyjrzeć, to wcale nie jest taki mały, tylko garbi się pod brzemieniem pokory – no więc ten mały człowieczek urodził się pod imieniem tak strasznym, że jacyś chłopci przykuli go do kowadła, gdyż byli zbyt przerażeni, by go zabić. Może Vetinari i jego przyjaciele mają rację i lampart może zgubić cętki. Mam nadzieję, że tak, bo w przeciwnym razie lampart stanie się przekąską. W dodatku lada chwila zjawi się tu dziekan, niech będzie przekłeta jego zdradziecka dusza...

- Bo to mój przyjaciel, szefie.
- No to dobrze. Każdy powinien mieć przyjaciela.
- I nikomu nie pozwolę go ruszyć, szefie.
- Odważne postanowienie, młody człowieku, jeśli mogę je ocenić. No, do rzeczy. Panie Nutt, czemu pan protestował, kiedy uznałem, że bibliotekarz, choć wspaniały w swym locie, naruszył jednak reguły?
- Nutt nie uniósł głowy, ale odpowiedział cichym głosem:
- To było eleganckie. To było piękne. Gra powinna być piękna, jak dobrze prowadzona wojna.
- Nie sędzę, żeby wielu ludzi lubiło wojnę – zauważył Ridcully.
- Piękno można uznać za neutralne, proszę pana. To nie to samo, co przyjemność lub dobro.
- Myślałem, że jest tym samym co prawda – wtrącił Myślak, próbując nadażyć.
- Która często bywa straszna, proszę pana. Ale skok pana bibliotekarza był równocześnie piękny, proszę pana, i dobry, proszę pana. Mu-

¹³ Bardzo trudno na Niewidocznym Uniwersytecie coś osiągnąć, jeśli człowiek nie jest w stanie zrozumieć ogromnej liczby znaczeń słowa „uuk”.

siał być zatem prawdziwy, a więc przepis, który nie pozwala mu na powtórzenie tego wyczynu, nie byłby ani piękny, ani prawdziwy. Byłby fałszywą regułą.

– Ma rację, szefie – poparł przyjaciela Trev. – Ludzie będą wiwatować, jak to zobaczą.

– Chcesz powiedzieć, że będą okłaskiwać niezdobytego gola? – zdziwił się Myślak.

– Oczywiście. I stękać z zachwyty. Coś będzie się działo – rzekł Ridcully. – Widzieliśmy niedawno mecz. Jeśli ktoś miał szczęście, mógł zobaczyć licznych potężnych i brudnych mężczyzn walczących o piłkę podobną do kawałka drewna. Tymczasem ludzie chcą oglądać zdobywanie goli.

– I bronienie, proszę pamiętać – uzupełnił Trev.

– Rzeczywiście, młody człowieku – zgodził się nadrektor. – Chcą widzieć szybką rozgrywkę. Mamy przecież rok Melancholijnego Zająca. Ludzie szybko się nudzą. Nic dziwnego, że wybuchają bójki. Powinniśmy, nieprawdaż, stworzyć sport bardziej ekscytujący od walenia innych ludzi po głowie wielkimi elementami uzbrojenia.

– To zawsze było bardzo popularne – zauważył z powątpiewaniem Myślak.

– Jesteśmy przecież magami. A teraz muszę już iść i powitać tego tak zwanego nadrektora tak zwanego college’u w Miedziczoie w przeklętym duchu przyjaźni i dobrej woli.

– Tak zwanego? – mruknął Myślak niedostatecznie cicho.

– Słucham?! – huknął nadrektor.

– Zastanawiałem się tylko, co ja mam robić, nadrektorze.

– Co robić? Pilnować, żeby grali! Obserwować, kto sobie radzi najlepiej! Opracować najpiękniejsze zasady! – krzyknął Ridcully, zmierzając pospiesznie do wyjścia.

– Ja sam? – przeraził się Myślak. – Przecież mam mnóstwo pracy!

– Niech pan to komuś zleci!

– Wie pan, że fatalnie sobie radzę ze zlecaniem.

– To niech pan zleci zlecenie komuś, kto jest w tym dobry! A teraz muszę lecieć, zanim on tam zacznie kraść srebra!

Glenda bardzo rzadko brała sobie wolne. Kierowanie nocną kuchnią to stan raczej psychiczny niż fizyczny. Jedynym posiłkiem, jaki zjadała w domu, było śniadanie, a i to zawsze w pośpiechu. Tym razem jednak poświęciła trochę czasu, by sprzedawać marzenia. Kuchnię mogła się zająć May Hedges – była solidna i żyła ze wszystkimi w zgodzie, więc nie będzie problemów.

Słońce stało już wysoko, gdy Glenda zapukała do tylnych drzwi warsztatu pana Wręcemocnego. Krasnolud otworzył ręką obsypaną różem.

– Och, witaj, Glendo. Jak idzie?

Z dumą rzuciła na stół plik zamówień i otworzyła walizkę. Była pusta.

– Potrzeba mi więcej próbek – oświadczyła.

– To wspaniale! – ucieszył się. – Kiedy je zdobyłaś?

– Dziś rano.

To było łatwe. Jedne drzwi po drugich stawały przed nią otworem, a za każdym razem, kiedy niepewny głosik w głowie pytał: „Czy postępuję właściwie?”, nieco mocniejszy głos – brzmiący całkiem jak głos madame Sharn – odpowiadał: „On chce je robić. Ty chcesz je sprzedawać. One chcą je kupować. Marzenia krążą i pieniądze także”.

– Bardzo dobrze schodzi szminka – powiedziała. – Te trollowe dziewczyny nakładają ją kielnię i nie żartuję. Zatem co powinien pan zrobić? Sprzedać im kielnię. Taką ładną, w ładnym pudełku z brokatem.

Przyjrzał się jej z uznaniem.

– To do ciebie niepodobne, Glendo.

– Nie jestem przekonana – odparła. Do wytartej walizki wpadały kolejne próbki. – Myślał pan, żeby wejść w buty?

– Myślisz, że warto próbować? Przecież one normalnie nie noszą butów.

– Nie używały szminki, dopóki nie przyjechały tutaj. To może być nadchodzący styl.

– Przecież mają stopy jak z granitu. Nie potrzebują butów.

– Ale będą chciały je mieć – zapewniła Glenda. – A pan może w

efekcie mieć lokal na parterze.

Wręcemocny wyglądał na zdziwionego, a Glenda przypomniała sobie, że miejskie krasnoludy były przyzwyczajone do tego odwróconego języka z domu.

– Przepraszam. Chciałam powiedzieć: na najwyższym piętrze. – Zastanowiła się. – I jeszcze suknie – dodała. – Rozglądałam się i nikt nie robi prawdziwych sukienek dla trollic. To tylko bardzo duże ludzkie sukienki. Są tak skrojone, żeby trollica wyglądała na mniejszą, a lepiej byłoby szyc je tak, żeby wydawała się większa. Bardziej jak trollica, mniej jak gruba kobieta. Wie pan, takie suknie, które aż krzyczą: „Jestem wielką, bardzo wielką trolłową damą i jestem z tego dumna!”.

– Coś cię trafiło w głowę? – spytał Wręcemocny. – Bo jeśli tak, to chciałbym, żeby spadło też na mnie.

– Wie pan, to jakby roznoszenie marzeń, prawda? – odparła Glenda, starannie układając próbki w walizce. – To jednak trochę ważniejsze, niż mi się wydawało.

Złożyła jeszcze czternaście udanych wizyt, nim zakończyła obchód, wrzuciła zamówienia do skrzynki Wręcemocnego i – z lekką walizką i nietypowo lekkim sercem – wróciła do pracy.

* * *

Ridcully skreślił za róg i tam, tuż przed nim, stał... Myśli wirowały w głowie, gdy szukał odpowiedniego trybu zwracania się do przybysza. „Nadrektor” nie wchodził w grę, „dziekan” byłby nazbyt oczywiście obraźliwy, „Dwa Krzesła” to samo, ale bardziej, a „niewdzięczny, zdradziecki, oślisły drań” było za długie. Jak ten drań miał na imię, u demona? Wielkie nieba, przecież przyjaźnili się od swych pierwszych dni na NU...

– Henry! – wykrzyknął. – Co za przyjemna niespodzianka! Co cię sprowadza do naszej nędznej i smutnie przestarzałej uczelni?

– Daj spokój, Mustrumie. Kiedy wyjeżdżałem, chłopcy przesuwali granice wiedzy. Jak rozumiem, od tego czasu panuje spokój. A przy okazji, to jest profesor Rzepiszcz.

Spoza samozwańczego nadrektora Miedziczoła – niczym satelita wypływający z cienia gazowego olbrzyma – wyłonił się skrzepowany młody człowiek, który od razu skojarzył się Ridcully’emu z Myślakiem Stibbonssem, choć za żadne skarby nie potrafił zrozumieć dlaczego. Może to wygląd człowieka, który bez przerwy przelicza coś w głowie, i to nie tylko zwyczajne sumy, ale też te dziwaczne, z literami.

– Och, wiesz, jak to jest z granicami – wymamrotał Ridcully. – Patrzysz, co leży po drugiej stronie, i myślisz: Dlaczego w ogóle ta granica była akurat tutaj? Witaj, Rzepiszcz. Twoja twarz wydaje się znajoma.

– Kiedyś tu pracowałem – wyjaśnił zażenowany Rzepiszcz.

– A tak, pamiętam. Instytut Magii Wysokich Energii, prawda?

– Zdolny chłopak z tego naszego Adriana – stwierdził z satysfakcją były dziekan. – Teraz mamy już własny budynek Magii Wysokich Energii. Nazywamy go budynkiem Magii Wyższych Energii, ale podkreślam, że tylko w celu uniknięcia zamieszania. Nie miał to być przejaw lekceważenia starego dobrego NU. Przejmuj, adaptuj, udoskonalaj, to moja dewiza.

Jeśli ją zaadaptowałeś, to teraz brzmi: łap, kopiuj i udawaj niewiniątko, pomyślał Ridcully, lecz ostrożnie. Magowie nigdy nie kłócili się publicznie, gdyż zniszczenia mogły być straszliwe. Nie, rządziła uprzejmość, ale z zaostrzonymi krawędziami.

– Wątpię, czy wynikłoby zamieszanie, Henry. Przecież to my jesteśmy starszą uczelnią. I oczywiście jestem jedynym nadrektorem w tych okolicach.

– Co wynika jedynie z praktyki i obyczaju, Mustrumie. Ale czasy się zmieniają.

– A przynajmniej są zmieniane. Lecz to ja noszę nadrektorski kapelusz, Henry, tak jak moi poprzednicy przez wieki. Kapelusz, Henry, oznaczający najwyższą władzę w sprawach ludzi mądrych, chytrych i sprytnych. Kapelusz, który właśnie mam na głowie.

– Wiesz przecież, że wcale nie – odparł uprzejmie Henry. – Masz na głowie swój codzienny kapelusz, który sam zrobiłeś.

– Ale miałbym go na głowie, gdybym tylko zechciał!

Uśmiech Henry’ego trochę stężał.

– Oczywiście, Mustrumie, ale władza kapelusza często była nego-

wana.

– Niemal poprawnie, drogi kolego. W przeszłości sporna bywała własność kapelusza, ale sam kapelusz nigdy. Otóż zauważam, że ty sam nosisz wyjątkowo krzykliwy kapelusz, którego wspaniałość daleko wykracza poza ramy subtelności, ale to przecież tylko kapelusz, staruszk. Tylko kapelusz. Oczywiście nie chciałbym cię urazić i jestem przekonany, że za jakiś tysiąc lat nabierze wagi mądrości i godności. Widzę, że zostawiłeś na nie dużo miejsca.

Rzepiszcz postanowił natychmiast pobiec do toalety, więc mruczając jakieś przeprosiny, przecisnął się obok Ridcully’ego i oddalił pospiesznie. Co dziwne, nagły brak publiczności raczej zmniejszył napięcie, niż je zwiększył.

Henry wyjął z kieszeni płaskie pudełko.

– Papierosa? Wiem, że sam je zwijasz, ale Verdant & Scour robią je specjalnie dla mnie i są całkiem niezłe.

Ridcully wziął jednego, ponieważ mag – jakkolwiek wyniosły – chyba tylko w trumnie odmówiłby darmowego papierosa albo drinka. Bardzo się jednak starał, by nie zauważyć słów „Wybór Nadrektora” wypisanych krzykliwe na pudełku.

Kiedy oddawał paczkę, na podłogę wypadło z niej coś małego i kolorowego. Henry – ze zwinnością zaskakującą u maga położonego daleko w głównym ciągu opisywanym przez tak zwany diagram Owlspringa-Tipsa¹⁴ – schylił się szybko i porwał to z podłogi, mruczając przy tym, że nie chce, by się ubrudziło.

– Mógłbyś jeść z tych podłóg – oświadczył surowo Ridcully. I pewnie byś jadł, dodał w myślach.

– Tylko że kolekcjonerzy strasznie się denerwują, jeśli trafi na nie choćby drobinka kurzu, a ja swoje oddaję synkowi kamerdynera – ciągnął swobodnie Henry. Odwrócił kartonik i zmarszczył brwi. – „Słynni magowie naszych dni, nr 9 z 50: dr Able Baker, BC (Hons), Fdl, Kp, PdF (Escrow), dyrektor Studium Blitu, Miedziczoło”. Jestem pewien, że jego

¹⁴ Diagram został opracowany, by przedstawić tendencje rozwoju magów, którzy zaczynają jako osobnicy niewielcy i bladzi, rozwijają się w swej sztuce i cały czas stają się więksi, cholerycznie przy tym czerwieniejąc, by w końcu nabrzmiewać i eksplodować w obłoku pompacyjności.

już ma. – Wrzucił obrazek do kieszonki kamizelki. – Nie szkodzi, przyda się na wymianę.

Ridcully potrafił całkiem szybko ocenić sytuację, zwłaszcza rozgrzewany tłumionym ogniem gniewu.

– Wizla, producenci tytoniu, tabaki i bibulek – stwierdził. – Z Pseudopolis. Hmm... Niezły pomysł. Kto na liście jest z NU?

– Ehm... no cóż... Muszę przyznać, że Rada i mieszkańcy Pseudopolis są raczej patriotyczni w swych opiniach o...

– Wydaje mi się, że to określenie brzmi „prowincjonalni”, nie sądzisz?

– Ostre słowa, biorąc pod uwagę, że Ankh-Morpork jest najbardziej zarozumiałym, pewnym siebie miastem na świecie.

Była to absolutnie oczywista prawda, więc Ridcully zdecydował, że tego nie słyszał.

– Ty też jesteś na takiej karcie? – burknął.

– Obawiam się, że nalegali. Rozumiesz, stamtąd pochodzę. Miejscowy chłopak i takie tam...

– I nikt z NU?

– Formalnie nie, ale jest profesor Rzepiszcz jako wynalazca PEX-a.

Gdy Henry mówił, wstyd i bezczelność walczyły o miejsce w tym zdaniu.

– PEX? – powtórzył wolno Ridcully. – Chodzi ci o HEX-a?

– Ależ nie, jest zupełnie inny niż HEX. Absolutnie. Całkiem inna zasada działania. – Henry zakaszłał. – Pracuje na kurach. To one wyzwalają rezonator morficzny, czy jak to się tam nazywa. Wasz HEX, o ile pamiętam, wykorzystuje mrówki, o wiele mniej wydajne.

– A to czemu?

– My dostajemy też jajka, które możemy zjadać.

– Nie wygląda mi to na tak wielką różnicę.

– Nie, daj spokój. Przecież kury są setki razy większe! No i PEX stoi w specjalnie zbudowanym pomieszczeniu, a nie jest rozrzucony przypadkowo po całej uczelni. Profesor Rzepiszcz wie, co robi, a nawet ty, Mustrumie, musisz przyznać, że rzeka postępu zasilana jest z tysiąca źródeł!

– Ale nie wszystkie tryskają w tym przeklętym Miedziole!

Gniewnie patrzyli na siebie nawzajem. Profesor Rzepiszcz wyrżał zza rogu i cofnął się natychmiast.

– Gdybyśmy byli takimi ludźmi jak nasi ojcowie, w tej chwili ci skalibyśmy już kulami ognia – oświadczył Henry.

– Rozumiem sens tej uwagi – zapewnił Ridcully. – Choć muszę przypomnieć, że nasi ojcowie nie byli magami.

– To prawda, oczywiście – zgodził się Henry. – Twój ojciec, jak sobie przypominam, był rzeźnikiem.

– Fakt. A twój posiadał rozległe pola kapuściane.

Przez chwilę trwała cisza. Potem odezwał się były dziekan.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy obaj zjawiliśmy się na NU?

– Walczyliśmy jak tygrysy, o ile sobie przypominam.

– Piękne czasy, kiedy się je wspomina...

– Oczywiście, wiele wody przelaliśmy z mostu od tych czasów – westchnął Ridcully. A po chwili dodał: – Masz ochotę na drinka?

– Nie odmówię.

Ruszyli.

– A więc próbujecie grać w piłkę? – spytałbyły dziekan, kiedy sunęli majestatycznie w stronę gabinetu nadrektora. – Czytałem coś o tym w azecie, ale myślałem, że to jakiś żart.

– A niby czemu? – zdziwił się Ridcully. Kroczyli teraz przez główny hol. – Mamy piękne sportowe tradycje, wiesz przecież.

– O tak. Tradycja to zguba przedsiębiorczości. Bądź rozsądny, Mustrumie. Lampart może zmienić swoje cętki, ale nie będzie mu łatwo wrócić do tych, w których dobrze wyglądał czterdzieści lat temu. Och, widzę, że wciąż macie u siebie pana Stibbonsa...

– Eee... – zaczął Myślak, spoglądając to na jednego, to na drugiego. Zdobył kiedyś stuprocentowy wynik na egzaminie z przewidywania, docierając na niego o dzień wcześniej. Potrafił więc dostrzec burzową chmurę, kiedy dopiero zaczynała się formować.

– Jak idzie gra, mój chłopcze?

– Wydaje się, że bardzo dobrze, nadrektorze. Miło znów pana widzieć, dziekanie.

– Nadrektorze – poprawił go były dziekan. – Zastanawiam się, jak byście wypadli w meczu z moim uniwersytetem.

– No cóż, zmontowaliśmy tu całkiem niezłą drużynę – odparł Ridcully. – Co prawda naszym zamiarem jest rozegranie pierwszego meczu z miejscowym zespołem, ale z najwyższą radością nauczymy Miedzi-czoło tego i owego na boisku.

Znaleźli się niemal na środku głównego holu i ich obecność – nie całkiem zaskakująco – przerwała grę.

– Nadrektorze, naprawdę sędzę, że rozsądnie byłoby... – zaczął Myślak, lecz jego słowa zatoneły w wielkim ryku radości dobiegającym ze wszystkich stron sali.

– A nagrodą będzie...? – Henry uśmiechnął się do tłumu.

– Co? – zakrzuszył się Ridcully. – Jaką nagrodą?

– Jako młodzi chłopcy zebraliśmy parę wiosłarskich trofeów, prawda?

– O ile wiem, Patrycjusz zaplanował coś dla ligi, to prawda...

– Przekąski zostaną wkrótce podane w błękitnym refektarzu – wtrącił Myślak z desperacką, nerwową uprzejmością. – Będzie też, naturalnie, ciasto. I ciekawy zestaw curry.

Przy innych okazjach manewr byłby skuteczny, ale teraz dwaj magowie zwarli się wzrokiem i żaden by nie mrugnął, nawet za porcję zapiekanki oracza.

– Ale jesteśmy adeptami sztuki, zatem nie interesują nas takie tanie błyskotki jak medale czy puchary, prawda? – rzekł Henry.

– Dla nas dobre są albo wielkie, wspaniałe błyskotki, albo nic. Mam rację, Mustrumie?

– Chodzi ci o kapelusz – stwierdził lodowato Ridcully.

Powietrze między nimi brzęczało.

– Tak, oczywiście.

Nastąpiła groźna cisza oznaczająca starcie woli. Myślak Stibbons zdecydował, że technicznie jest na uczelni dwunastoma ważnymi osobami. Całkiem samodzielnie sformował więc komitet, a że w efekcie stał się de facto bardzo mądry, uznał, że należy interweniować.

– A pańska stawka, dzie... pańska stawka to? – zapytał.

Ridcully lekko odwrócił głowę.

– On nie musi niczego stawiać – warknął. – Sam się w to wpakowałem...

Wśród starszych magów dało się zauważyć poruszenie. Myślak usłyszał szept: „Wysadzi go ze szpiczastych butów”.

– Zakazuję tego! – rzekł z mocą.

– Zakazuje pan? – zdziwił się Henry. – Przecież jest pan, Stibbons, nieopierzonym pisklęciem...

– Łączna liczba głosów wszystkich stanowisk, jakie sprawuję na Niewidocznym Uniwersytecie, oznacza, że formalnie to ja nim zarządzam – odparł Myślak, usiłując wypiąć chudą pierś, która nie została stworzona do wypinania, a jednak wypełniła się słusznym gniewem i pewną dawką grozy przed tym, co się stanie, kiedy braknie jej pary.

Dwaj rywale uspokoili się nieco, zaskoczeni tym nagłym rykiem owcy.

– Nikt nie zauważył, że zyskuje pan taką władzę? – zdziwił się Ridcully.

– Owszem, nadrektorze: ja. Uznałem, że to przede wszystkim odpowiedzialność i ciężka praca. Nikogo z wykładowców nie interesowały szczegóły. Oficjalnie podlegam innym osobom, ale te inne osoby to też ja. Nie macie pojęcia, panowie... Jestem nawet Camerlengo, co oznacza, że jeśli padnie pan martwy, nadrektorze, z jakiegokolwiek przyczyny innej niż legalna sukcesja według tradycji Wysadzania ze Szpiczastych Butów, rządzę uczelnią aż do wyboru następcy. Jednak biorąc pod uwagę system działania magów, oznacza to pracę do końca życia, w którym to przypadku obowiązki spróbuje przejąć bibliotekarz, jako identyfikowalny i godny zaufania przedstawiciel wyższego personelu. Jeśli mu się nie uda, oficjalna procedura nakazuje wszystkim magom na Dysku walczyć między sobą o kapelusz, wywołując przy tym masowe występowanie pożarów, zniszczeń, gołębi, królików i kul bilardowych oraz wielkie straty w ludziach. – Po krótkim milczeniu Myślak podjął: – Do rzeczy. Właśnie dlatego niektórzy z nas trochę się niepokoją, kiedy widzą sprzeczkę tak potężnych magów. Podsumowując, panowie, wygłosiłem to długie przemówienie, by dać wam czas na przemyślenie swoich zamiarów. Ktoś musiał.

Ridcully chrząknął.

– Dziękuję za pańskie uwagi, Stibbons. Tę kwestię omówimy dokładniej. Najwyraźniej należało powiedzieć coś takiego. To w końcu nie

są dawne czasy.

– Słuszna opinia – przyznał Henry. – Tyle że, technicznie, to kiedyś też będą dla kogoś dawne czasy.

Piers Myślaka nadal unosiła się i opadała gwałtownie.

– Racja – zgodził się Ridcully.

– O ile pamiętam, ktoś wspominał o curry – przypomniał Henry z równą ostrożnością.

Przypominało to słuchanie rozmowy dwóch starych smoków prowadzących rozmowę z pomocą jeszcze starszego kodeksu etykiety, napisanego przez zakonnice.

– Do obiadu zostało jeszcze dużo czasu¹⁵. Wiesz co? Może skorzystasz z gościnności naszego uniwersytetu? O ile wiem, niczego w twoim pokoju nie zmienialiśmy, choć jak słyszałem, sporo bardzo dziwnych rzeczy wypełzło pod drzwiami na zewnątrz. A może zechcesz zostać na jutrzejszym bankiecie?

– Tak? Wydajecie bankiet?

– W samej rzeczy i będę zachwycony, jeśli przyjmiesz zaproszenie, stary druhu. Przybędzie grupa solidnych obywateli. Sól ziemi, rozumiesz. Wspaniali ludzie, jeśli nie patrzysz na nich, kiedy jedzą, ale interesujący rozmówcy, o ile dostaną dosyć piwa.

– To zabawne, ale przekonałem się, że jest to skuteczne również u magów. No ale muszę się zgodzić, naturalnie. Od wieków nie byłem na bankiecie.

– A to czemu? – zdumiał się Ridcully. – Myślałem, że bankiety wydajecie co wieczór.

– Mamy ograniczony budżet, niestety – westchnął nadrektor Miedzicoła. – Rozumiesz, rządowe granty...

Magowie zamilkli. Było tak, jakby ten człowiek właśnie oświadczył, że zmarła mu matka.

Ridcully poklepał go po ręce.

– Tak mi przykro...

Przystanął jeszcze przy drzwiach i obejrzał się na Myślaka.

– Będziemy prowadzić rozmowy na najwyższym szczeblu, Stibbons.

¹⁵ Co nie musi być prawdą. Magowie zwykle uważają, że do następnego posiłku zostało jeszcze dużo czasu, aż do chwili kiedy zaczynają go spożywać.

Nie popuszczaj im! Chłopcy pomogą. Dowiedźcie się, jaka chce być piłka nożna.

Starsi członkowie grona wykładowców odetchnęli z ulgą, kiedy dwaj przywódcy zniknęli. Większość pamiętała jeszcze przynajmniej ostatnie dwa zażarte starcia pomiędzy frakcjami magów; to gorsze doprowadził do rozstrzygnięcia Rincewind, używając połówki cegły w skarpecie...

Myślak spojrział na Rincewinda, który w tej chwili podskakiwał niezgrabnie na jednej nodze, próbując wciągnąć z powrotem skarpetę. Uznał, że lepiej powstrzymać się od komentarzy. Prawdopodobnie była to ta sama skarpetka.

Kierownik studiów nieokreślonych klepnął Myślaka w ramię.

– Dobrze się spisałeś, mój chłopcze. Mogło dojść do paskudnych incydentów.

– Dziękuję.

– Przykro mi, bo wychodzi na to, że trochę cię obciążyliśmy. Na pewno nie było to zaplanowane.

– Ja też sądzę, że nie było. Bardzo niewiele tutaj się planuje. – Myślak westchnął. – Obawiam się, że nieprzemyślana delegacja, prokrastynacja i przewarykacja są tu standardowymi praktykami.

Spojrzał wyczekująco na pozostałych członków senatu uczelni. Chciał się rozczarować, ale wiedział, że nic z tego.

– Rzeczywiście, bardzo niedobry stan rzeczy – uznał wykładowca run współczesnych.

Kierownik zrobił ponurą minę.

– Hm...

No, dalej, mruknął bezgłośnie Myślak. Powiedźcie to. Wiem, że powiecie, zwyczajnie nie potraficie się powstrzymać, naprawdę nie...

– Uważam, Stibbons, że powinien pan to uporządkować w jakiejś wolnej chwili – rzekł kierownik.

– Bingo!

– Słucham, Stibbons?

– Nic takiego, drogi panie, naprawdę drobiazg. Właśnie myślałem, że tak powiem, nad niezmienną naturą wszechświata.

– Cieszę się, że ktoś się tym zajmuje. Tak trzymać. – Wykładowca

run współczesnych rozejrzał się po sali. – Jakoś się wszystko uspokoiło. To curry brzmiało obiecująco.

Nastąpiło ogólne przesunięcie w kierunku drzwi ze strony magów mocno obciążonych przez lata, grawitację albo jedno i drugie. Jednak zaimprovizowany mecz trwał nadal pomiędzy tymi słabiej magnetycznie przyciąganymi przez noże i widelce.

Myślak usiadł z notatnikiem na kolanach.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, co tutaj robię – oświadczył, zwracając się do otaczającego go świata.

– Może ja będę miał jakąś wartość, proszę pana?

– Pan Nutt? To bardzo miło z pańskiej strony, ale nie wydaje mi się, żeby pańskie talenty przy świecach mogły...

– W grach tej natury należy rozważyć trzy kategorie spraw. Pierwsza to reguły gry ze wszystkimi ich szczegółami; druga: odpowiednie umiejętności, działania i filozofie wymagane dla osiągnięcia sukcesu; i trzecia, czyli zrozumienie prawdziwej natury gry. Mogę kontynuować?

– Yhy... – odpowiedział Myślak w lekkim oszołomieniu, jakie ogarniało każdego, kto po raz pierwszy słyszał wykład Nutta.

– Sprawną ma jadaczkę, nie? – wtrącił Trev. – Umie gadać takie długie słowa, że tacy jak my byśmy musieli w połowie stanąć i odpocząć. Tacy jak ja w każdym razie – dodał.

– Ehm... Proszę mówić dalej, panie Nutt.

– Dziękuję panu. Jak rozumiem, celem gry jest trafienie przynajmniej jednego gola więcej niż przeciwnicy. A oba nasze zespoły tylko biegają dookoła i wszyscy równocześnie usiłują kopnąć piłkę. Oczywiście, zdarzają się trafienia goli, ale jedynie okazjnie. Jak w szachach, trzeba zabezpieczyć własnego króla, czyli gola. Tak, powie pan zapewne, że mamy strażnika gola, lecz to tylko jeden człowiek, metaforycznie mówiąc. Każda złapana piłka zawstydzia tych członków drużyny, którzy pozwolili przeciwnikom przedostać się tak blisko. Jednocześnie grający muszą maksymalizować swoje szanse trafienia piłką w gola przeciwników. To problem, którym będę musiał się zająć. Wspomniałem tu o szachach, jednakże łatwość, z jaką piłka wzlatuje w powietrze, oznacza, że akcja w ciągu kilku sekund może się przenieść z jednego końca pola gry na drugi, tak jak pojedynczy pionek krasnoludów może wprowadzić

zamęt na całej planszy do gry w łupsa.

Nutt się uśmiechnął, widząc ich miny.

– Wiecie, ta gra z pewnością należy do najprostszych – dodał. – Każdy chłopiec wie, jak się gra... a mimo to optymalne jej prowadzenie wymaga nadludzkich zdolności. – Zastanowił się. – A może podludzkich. Z pewnością świadomej sublimacji ego, co prowadzi nas w dziedziny metafizyczne. Tak prosta, a przecież tak złożona... Wiecie, panowie, to cudowne. Jestem podekscytowany!

Otoczająca go kręgami cisza nie była niechętna, ale powietrze aż dławilo konsternacją. W końcu odezwał się mag Rincewind.

– Ehm, panie Nutt... Mówił pan chyba, jak się wydaje, że musimy tylko wziąć sprawę piłki między szpiczaste kapelusze...

– Profesorze Rincewind, bardzo dobrze pan biega, ale w ogóle pan z tego nie korzysta. Profesorze Macarona, próbuje pan zdobyć punkt, gdy tylko przejmie pan piłkę, niezależnie od wszystkiego innego, co się dzieje. Doktorze Hix, pan bez przerwy oszukuje i gra nieczysto...

– Przepraszam, ale mam pierścień z czaszką – obruszył się Hix. – To oznacza obowiązek łamania reguł, zgodnie ze statutem uczelni.

– W akceptowalnych granicach – uzupełnił szybko Myślak.

– Pedlu Nobbs (żadnego pokrewieństwa), ma pan wściekle potężne kopnięcie – mówił dalej Nutt. – Ale wydaje się, że wcale pan nie dba, dokąd leci piłka, byle doleciała. Wszyscy macie swoje mocne i słabe punkty. Może uda się wykorzystać jedno i drugie. To znaczy... o ile, panowie, chcecie wygrać. Na razie jednak dobrym ćwiczeniem byłoby zdobycie większej liczby takich piłek i nauczanie się panowania nad nimi. Bieg i kopanie piłki przed siebie oznacza tylko, że odbierze ją wam przeciwnik. Musicie ją trzymać przy stopach. Wszyscy patrzyliście pod nogi, żeby sprawdzić, czy macie piłkę. Panowie, jeśli musicie to sprawdzać, to albo jej nie macie, albo stracie ją w następnym ułamku sekundy. A teraz musicie mi wybaczyć, ale pan Trev i ja będziemy mieli poważne kłopoty, jeśli zaraz nie podciągniemy kandelabru.

Zakłęcie zostało przełamane.

– Co?! – zawołał Myślak. – Znaczy... co?! Proszę tu zostać, panie Nutt!

Nutt przygarbił się natychmiast i zapatrzył we własne stopy w nie-

zgrabnych butach.

– Bardzo przepraszam, że w jakikolwiek sposób przekroczyłem normy. Szukałem jedynie wartości.

– Wartości? – powtórzył Myślak i zerknął na Treva, spodziewając się jakiejś mapy po nieznanym terytorium.

– On tak mówi i tyle – wyjaśnił Trev. – Nie zrobił nic złego, więc czemu pan na niego krzyczy? To były wściekle dobre pomysły! Nie można się go czepiać tylko dlatego, że jest mały i aligancko gada!

Jeszcze przed chwilą Nutt wydawał się znacząco wyższy, zauważył Myślak. Naprawdę tylko się zgarbił?

– Nie krzyczałem na niego – zapewnił. – Zastanawiałem się tylko, co on robi przy ściekaniu świec! To znaczy nie! Wiem, co robi, ale dlaczego?

– Ach, bo przecież ściekane świece są konieczne, proszę pana – odparł pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa). – A tak mi się zdaje, że ostatnio ściekanie jest wyjątkowo udane. Często, kiedy nocą robię obchód, to sobie myślę...

– Na bogów, człowieku, on przecież jest erudyta! Promieniuje wiedzą! Jest wszechstronny! – tłumaczył Myślak.

– Chcesz pan powiedzieć, że za mądry na ściekacza? – zapytał pedel z bojowym błyskiem w oku. – Wolałbyś pan głupiego ściekacza, co? Tobys pan miał nędzne ścieki w całym budynku!

– Chodziło mi tylko o...

–... I plamy! – dokończył surowo pedel.

– Ale musi pan przyznać, że to dziwne, bo...

Prawdopodobnie wszyscy chcą go zabić...

Myślak znieruchomiał, kiedy otworzyła się otchłań pamięci.

– To przecież nie ma sensu. To nie może być prawda!

– Proszę pana?

Uświadomił sobie, że gracze patrzą na niego wyczekująco. Ridcully nic więcej nie powiedział, a w swym skołatanim umyśle Myślak uznał, że Nutt przed czymś ucieka. Takie wypadki nie należały do rzadkości. Od czasu do czasu jakiś początkujący mag, pracujący w małym miasteczku, uważał za stosowne przybyć spieszenie na szybką powtórkę materiału w bezpiecznych i gościnnych murach uczelni, dopóki jego

drobny błąd nie zostanie naprawiony/ zapomniany/usunięty/złapany i zakonserwowany. Zawsze byli też jacyś inni, którym z tajemniczych powodów udzielono schronienia. Problemy polityczne magii były albo bardzo proste i rozwiązywane zaprzestaniem przez kogoś oddychania, albo splątane jak kłębek włóczki w pokoju z trzema jasnoookimi kocia-kami.

Jakie przestępstwo mógł popełnić Nutt? Należało też uwzględnić czynnik, że to Ridcully pozwolił mu tu przybyć i właściwie postawił Myślaka w takiej pozycji. Rozsądne w tej sytuacji byłoby... no, byłoby po prostu się z nią pogodzić.

– Wydaje się, że pan Nutt ma kilka znakomitych pomysłów – powiedział Myślak ostrożnie. – I sądzę, że powinien kontynuować. Bardzo proszę, panie Nutt.

Unoszący głowę Nutt przypominał wschodzące słońce – ale słońce niepewne, czy łała moment bogowie nie strącą go z powrotem w noc, i pragnące zapewnienia, że tak się nie stanie.

– Czy jestem wart?

– No, eee... – zaczął Myślak i zauważył, że Trev gorączkowo kiwa głową. – No, eee, tak, tak się wydaje, panie Nutt. Jestem zaskoczony pańskimi przemyśleniami zaprezentowanymi w tak krótkim czasie.

– Mam talent rozpoznawania wzorców w zmieniających się sytuacjach.

– Naprawdę? O, to dobrze. Proszę więc mówić dalej.

– Przepraszam, ale mam pytanie, jeśli pan pozwoli.

Wygląda jak worek używanej odzieży, a przemawia jak emerytowany teolog, pomyślał Myślak.

– Proszę pytać, panie Nutt.

– Czy mogę dalej się zajmować ściekaniem?

– Co? A chce pan?

– Tak, byłbym bardzo wdzięczny. Lubię to, a nie zajmuje mi dużo czasu.

Myślak zerknął na Treva, który wzruszył ramionami, skrzywił się i kiwnął głową.

– Mam jednak pewną prośbę – dodał Nutt.

– Spodziewałem się, że będzie pan miał – odparł Myślak.

– Jednak z przykrością muszę powiadomić, że środki budżetowe w tym...

– Ależ nie, nie chcę pieniędzy – zapewnił Nutt. – Przecież właściwie i tak nie mam ich gdzie wydawać. Chciałbym jednak mieć w zespole pana Treva. Jest bardzo skromny, lecz musi pan wiedzieć, że ze swymi stopami to geniusz. Nie rozumiem, jak moglibyście przegrać, mając go w drużynie.

– Och, nie! – Trev cofnął się i zamachał rękami. – Nie, nie ja! Nie jestem piłkarzem! Ja tylko kopię sobie puszkę!

– Myślałem, że to było samym sercem i duszą kopanej piłki, prawda? – rzekł Myślak, któremu nigdy nie pozwalano grać na ulicy.

– A ja myślałem, że to, kiedy ci dawni goście kopali głowy zabitych wrogów – wtrącił pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa).

Wszyscy usłyszeli chrząknięcie.

– Mało prawdopodobne, moim zdaniem – oświadczył Hix. – Chyba że taka głowa byłaby w worku albo w jakiejś metalowej kłamrze. Dochodzi też problem ciężaru, bo ludzka głowa to jakieś dziesięć funtów, co prowadzi do bólu stopy. Zagarnianie jej nogą mogłoby pomóc przez jakiś czas, oczywiście, ale trzeba pamiętać, żeby zadrutować szczękę, bo nikt nie lubi gryzienia w nogi. Mam kilka głów w lodzie, gdyby ktoś chciał przeprowadzić doświadczenie. Zadziwiające, ale wciąż zdarzają się tacy, którzy swoje ciała zostawiają dla nekromancji. Ludzie są dziwni.

W tym miejscu szef katedry komunikacji post mortem uświadomił sobie, że słuchacze za nim nie nadążają.

– Czego tak na mnie patrzycie? – burknął. – Pierścień z czaszką, zapomnieliście? Muszę wiedzieć o takich rzeczach.

Myślak chrząknął uprzejmie.

– Panie, hm... Likely, prawda? Pański kolega bardzo wysoko pana ocenia. Czy przyłączy się pan do nas?

– Przykro mi, szefuniu, ale obiecałem mamie, że nigdy nie zagram w piłkę. To dobry sposób zarobienia dziury w głowie.

– Trev Likely?! – ryknął pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa). – Jesteś chłopakiem Dave’a Likely’ego?! On...

– Trafił cztery gole, tak, tak, tak – przerwał mu Trev. – Potem umarł

na ulicy, przykryty czymś śmierdzącym płaszczem, a deszcz splukiwał jego krew do rynsztoka. Księżę piłki?

– Czy powinniśmy chwilę porozmawiać, panie Trev? – spytał Nutt z naciskiem.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Jasne?

– To nie jest ten rodzaj piłki, Trev – powiedział uspokajającym tonem Nutt.

– Tak, wiem. Ale obiecałem mamie.

– No to przynajmniej proszę im pokazać ruchy, panie Trev – poprosił Nutt. Zwrócił się do graczy: – Musicie to zobaczyć.

Trev westchnął, ale Nutt wyraźnie potrafił go zachęcić.

– No dobrze, jeśli potem przestaniesz marudzić – burknął i wyjął z kieszeni puszkę, co spowodowało głośne śmiechy.

– Widzisz? – poskarżył się Nuttowi. – Oni myślą, że to jakiś żart.

Nutt założył ręce na piersi.

– Pokaż im.

Trev upuścił puszkę na stopę, a potem praktycznie bez wysiłku przerzucił ją na ramię, gdzie przetoczyła się po karku na drugie ramię i po króciutkiej przerwie stanęła prosto. Ruchem ramienia strącił ją na drugą stopę i kopnął w powietrze. Puszka opadła i z cichym brzęczeniem zakreśliła się na czubku buta.

Trev mrugnął do Myślaka.

– Nie ruszaj się pan, szefuniu.

Puszka skoczyła z buta w powietrze, a kiedy spadała, trafił ją kopniakiem z półobrotu, posyłając w stronę Myślaka. Ludzie za jego plecami odskoczyli z drogi, kiedy szumiąc, przemknęła mu przed twarzą i weszła na orbitę, przez chwilę sprawiając wrażenie srebrzystego naszyjnika; potem wyrwała się z kręgu i niczym łosoś rzucony na piasek opadła na wyciągniętą dłoń Treva.

Nagle zapadła cisza. Myślak wyjął z kieszeni thaumometr.

– Naturalne tło – stwierdził spokojnie. – Nie używano magii. Jak pan to robi, panie Likely?

– Trzeba tylko mieć dryg do tego, szefuniu. Sztuka polega na wy-czuciu obrotów. Ale kiedy muszę za dużo o tym myśleć, to nie wychodzi.

– Mógłby pan to powtórzyć z piłką?

– Nie wiem, nie sprawdzałem. Ale chyba nie. Nie można użyć długiego obrotu i krótkiego obrotu, nie? Ale pewnie z piłki też da się coś wyciągnąć.

– Ale jak to może nam pomóc? – zapytał Hix.

– Opanowanie piłki jest kluczowe – wyjaśnił Nutt. – Planowany przepis, jak sądzę, pozwoli strażnikowi gola na chwywanie piłki rękami. To bardzo ważne. Jednakże nie ma wyraźnego zakazu uderzania piłki głową ani kolaniem, czy też zatrzymywania piłki piersią, by spadła prosto na stopę. Pamiętajcie, panowie, ta piłka fruwa. Będzie wiele czasu przebywać w powietrzu. Musicie nauczyć się myśleć nie tylko o miejscu tuż nad gruntem.

– Jestem prawie pewny, że głowa będzie uznana za nieprzepisową – stwierdził Myślak.

– Drogi panie, zakłada pan istnienie reguły tam, gdzie jej nie ma. Proszę sobie przypomnieć, co mówiłem o prawdziwej naturze gry.

Myślak zauważył lekki półśmieszek Nutta i zrezygnował.

– Panie Nutt, powierzam panu selekcję i trening naszej drużyny. Będzie pan odpowiadał przede mną oczywiście.

– Tak, proszę pana. Bardzo panu dziękuję. Będzie mi potrzebne prawo, by w miarę potrzeby zwalniać członków drużyny z ich normalnych obowiązków.

– Przypuszczam, że muszę się na to zgodzić. Bardzo dobrze. Zatem zostawiam drużynę w pańskich rękach – rzekł Myślak.

Ile worków starych ubrań mówi w ten sposób? – zastanawiał się. I to całkiem jakby było to dla nich czymś zwyczajnym? Mimo wszystko Ridcully lubi tego małego goblina, jeśli tym właśnie jest, a ja sam nigdy nie widziałem sensu w grach zespołowych.

– Czy mogę także prosić o bardzo niewielki budżet?

– Po co?

– Z całym szacunkiem dla trudnej sytuacji uniwersyteckich finansów, uważam, że to konieczne.

– Do czego?

– Chciałbym zabrać drużynę do baletu.

– To śmieszne – burknął Myślak.

– Nie, proszę pana. To niezwykle istotne.

* * *

Następnego dnia w „Pulsie” znalazł się artykuł o tajemniczym zniknięciu wspaniałej Jewels, co wywołało uśmiech Glendy. Oni chyba nie czytali bajek, myślała, wychodząc z domu. Jeśli chce się znaleźć piękność, trzeba jej szukać wśród popiołu. A że Glenda była Glendą i Glendą miała nieodwracalnie pozostać do głębi, dodała też: choć piece w nocnej kuchni są przez cały czas utrzymywane w skrupulatnej czystości, a wszelki popiół usuwany natychmiast.

Ku jej zaskoczeniu Juliet stanęła w progu niemal w tej samej chwili i wyglądała na prawie obudzoną...

– Myślisz, że pozwolą mi pracować przy bankiecie? – zapytała, gdy czekały na omnibus.

Teoretycznie tak, pomyślała Glenda, ale prawdopodobnie nie, bo przecież była dziewczyną z nocnej kuchni. Chociaż to Juliet, jednak przez panią Whitlow jest naznaczona jako nocnokuchenna.

– Pójdiesz na bankiet, Juliet – oświadczyła. – I ja też.

– Ale pani Whitlow chyba się to nie spodoba...

Coś nadal wrzało wewnątrz Glendy. Zaczęło w Shwatcie, trwało cały wczorajszy dzień, a trochę pozostało jeszcze dzisiaj.

– Nic mnie to nie obchodzi – stwierdziła.

Juliet zachichotała i rozejrzała się, sprawdzając, czy pani Whitlow nie ukrywa się gdzieś niedaleko przystanku.

I naprawdę mnie nie obchodzi, myślała Glenda. Nie obchodzi mnie. To było jak dobywanie miecza.

* * *

Gabinet Myślaka zawsze zadziwiał Mustruma Ridcully’ego. Na miłość bogów, ten człowiek używał szafek na dokumenty! Ridcully pracował według zasady, że jeśli człowiek o czymś nie pamięta, to

znaczy, że nie było ważne; technikę przechowywania dokumentów w stosach na podłodze rozwinął do poziomu sztuki.

Myślak uniósł głowę.

– Dzień dobry, nadrektorze.

– Właśnie zajrzałem do holu.

– Tak, nadrektorze?

– Wszyscy nasi chłopcy ćwiczą balet.

– Tak, nadrektorze.

– I jest tam kilka dziewcząt z Opery, w tych krótkich sukienkach.

– Tak, nadrektorze. Pomagają drużynie.

Ridcully pochylił się i oparł kostki potężnych pięści o dwa brzegi papieru, nad którym pracował Myślak.

– Dlaczego?

– To pomysł pana Nutta, nadrektorze. Jak rozumiem, powinni się nauczyć równowagi, postawy i elegancji.

– Widziałeś kiedyś, Stibbons, jak pedel Nobbs próbuje stanąć na jednej nodze? Możesz mi wierzyć, to natychmiastowy lek na melancholię.

– Wyobrażam sobie – rzekł Myślak, nie podnosząc wzroku.

– Myślałem, że mają się nauczyć, jak trafiać piłką gole.

– O tak, ale pan Nutt ma filozofię.

– Ma?

– Tak, nadrektorze.

– Wiem tyle, że biegają wszędzie dookoła...

– Tak. Pan Nutt i pan Likely przygotowują coś specjalnego na bankiet. – Myślak wstał i otworzył górną szufladę szafki na dokumenty.

Widok otwieranych szafek na dokumenty zwykle przypominał Ridcully’emu, że powinien być gdzie indziej. Jednak tym razem manewr nie poskutkował.

– Aha, zauważyłem też, że mamy parę nowych piłek.

– Pan Chrappison nie przepuszcza takich okazji.

– Czyli wszystko idzie dobrze? – upewnił się Ridcully lekko zdziwionym tonem.

– Najwyraźniej tak, nadrektorze.

– W takim razie chyba lepiej nie będę się wtrącał. – Ridcully się

zawahał. Przez chwilę czuł się niepotrzebny, ale szybko znalazł kolejny temat. – A jak idzie praca przy nowych zasadach, panie Stibbons?

– Och, całkiem dobrze, bardzo dziękuję, nadrektorze. Oczywiście zachowuję niektóre z gier ulicznych, żeby wszyscy byli zadowoleni. Bywają dość dziwaczne.

– Pan Nutt to całkiem porządny gość, jak się okazuje.

– O tak, nadrektorze.

– Miał bardzo dobry pomysł, żeby zmienić budowę gola. Tak mi się wydaje. W ten sposób jest lepsza zabawa.

– Nie ma pan zamiaru trenować, nadrektorze? – zapytał Myślak, przysuwając sobie kolejny dokument.

– Jestem kapitanem! Nie potrzebuję treningu. – Ridcully odwrócił się, by wyjść, ale przystanął jeszcze z ręką na kłamce. – Zeszłej nocy pogawędziliśmy sobie długo z byłym dziekanem. Pocziwa dusza w głębi serca, naturalnie.

– Tak, słyszałem, że atmosfera w sali klubowej była bardzo serdeczna, nadrektorze – odparł Myślak.

I kosztowna, dodał w duchu.

– Wiesz, Stibbons, że młody Adrian Rzepiszcz jest profesorem?

– O tak, nadrektorze.

– Chciałbyś też być?

– Właściwie nie, nadrektorze. Sądzę, że na uczelni powinno być jedno czy dwa stanowiska, których nie zajmuję.

– Tak, ale oni nazwali swoją machinę PEX-em! Trudno to uznać za przełomowy pomysł, prawda?

– Och, istnieją pewne znaczące różnice. O ile wiem, używa kur, żeby wygenerować diamenty blitu.

– Tak się wydaje – przyznał Ridcully. – W każdym razie coś w tym rodzaju.

– Hmm... – mruknął Myślak. A było to całkiem solidne „hmm”, do jakiego można by chyba zacumować niewielką łódkę.

– Coś się nie zgadza? – spytał Ridcully.

– Nie, właściwie nie, nadrektorze. Czy były dziekan wspominał cokolwiek o konieczności całkowitej przebudowy rezonatora morficznego, by uwzględnić zmiany interfejsu blitu/spamowodzi?

– Nie wydaje mi się...

– Och, drobiazg – zapewnił Myślak z nieruchomą twarzą. – Adrian z pewnością w końcu do tego dojdzie. Jest bardzo zdolny.

– No tak, ale wszystko to przecież opiera się na twoich badaniach. To ty zbudowałeś HEX-a. A teraz tamci ogłaszają, że to on jest takim mądrałą. Jest nawet na kartach w papierosach.

– To miło, nadrektorze. Dobrze jest, kiedy badacze zyskują uznanie.

Ridcully poczuł się jak komar, który próbuje ukąsić stalowy nacierśnik.

– Ha – burknął. – Widzę, że magia bardzo się zmieniła od moich czasów.

– Tak, nadrektorze – zgodził się obojętnie Myślak.

– A przy okazji, panie Stibbons – rzucił jeszcze Ridcully, otwierając drzwi. – Moje czasy jeszcze się nie skończyły.

Z daleka rozległ się krzyk. A potem trzask. Ridcully uśmiechnął się szeroko. Dzień nagle jakby pojaśniał.

Kiedy wraz z Myślakiem dotarli do holu, członkowie drużyny stali kręgiem wokół leżącego na podłodze kolegi. Klęczał przy nim Nutt.

– Co się tu stało? – zapytał Ridcully.

– Mocno poobijany, proszę pana, ale nałożyłem mu kompres.

– Aha.

Wzrok nadrektora padł na wielki, okuty mosiądzem kufer. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak całkiem zwyczajny kufer, dopóki człowiek nie zauważył wystających z dołu małych stopek.

– Bagaż Rincewinda... – warknął. – A gdzie jest on, tam i Rincewind nie może być zbyt daleko z przodu. Rincewindzie!

– To nie moja wina – zapewnił Rincewind.

– To prawda, proszę pana – poparł go Nutt. – Muszę prosić o wybaczenie, ale był to przypadek grupowego nieporozumienia. Jak mi wiadomo, jest to niezwykle magiczna skrzynia na setkach małych nóżek i niestety, ci dżentelmeni uznali, że będzie kopał piłkę niczym demon, jak to mówią. Która to hipoteza, muszę zaznaczyć, okazała się błędna.

– Próbowałem im wytłumaczyć – odezwał się były dziekan stojący na obrzeżach grupy. – Dzień dobry, Mustrumie. Niezłą macie drużynę.

– Te jego stopy tylko wchodziły sobie w drogę – wyjaśnił Bengo

Macarona. – A kiedy znajdzie się na pilce, zaczyna się kręcić bez żadnej kontroli i niestety, w efekcie uderzył w pana Sopworthy’ego.

– No cóż, uczymy się na błędach – stwierdził Ridcully. – A macie może coś lepszego do pokazania?

– Myślę, że mam właśnie coś takiego – odezwał się miły, ale cienki głosik.

Ridcully obejrzał się i spostrzegł człowieka o posturze i postawie fletu piccolo. Zdawało się, że stojąc, wibruje.

– Profesor Ritornello, mistrz muzyki – szepnął Myślak do ucha nadrektora.

– Witam, profesorze – rzekł gładko Ridcully. – Widzę, że przypro-wadził pan chór.

– Tak, nadrektorze. I muszę powiedzieć, że to, co tutaj zobaczyłem, napęliło mnie radością i wewnętrznym blaskiem. Mówiąc krótko: stworzyłem pieśń, o którą pan prosił.

– Prosiłem? – szepnął dyskretnie Ridcully.

– Pamięta pan o śpiewach, o jakich wspominałem, więc uznałem, że dobrze będzie powiadomić profesora – szepnął Myślak.

– Kolejne wz, tak? No dobrze.

–... Oparta jest na tradycyjnych pieśniach liturgicznych w formie stolacyjnej. Stanowi valedictę, czyli pozdrowienie dla zwycięzcy. Można? Oczywiście a capella.

– Ależ proszę, oczywiście.

Mistrz muzyki wyjął z rękawa krótką pałeczkę.

– Chwilowo wstawiłem tam imię Benga Macarony dla zachowania rytmu, ponieważ, jak się zdaje, zdobył dwa piękne „gole”, bo tak się chyba nazywają – rzekł, podchodząc do słowa ostrożnie, jak do wielkiego pajaka w wannie. Spojrzał na swoje stadko, skinął głową i...

Chwalmy wybitne zdolności magistra Benga Macarony! Macarony wybitne zdolności chwalmy! Chwalmy! Chwalmy je! Niezwykły talent niedostępny innym! Chwalmy! Chwalmy go! Chwalmy łaskawe bóstwa! Które to, które... SINGULA SINGULARSINGULA!

Po półtorej minuty śpiewu Ridcully zakaszał głośno, a mistrz mu-

zyki machnięciem pałeczki uciszył chór.

– Czyżby coś niefortunnego, nadrektorze?

– Nie, nie dokładnie, mistrzu, ale, no... czy pieśń nie jest odrobinę jakby... za długa?

Ridcully zdawał sobie sprawę, że były dziekan niezbyt się stara stłumić lekceważące parsknięcie.

– Ależ skąd. Co więcej, nadrektorze, kiedy skończę, pieśń będzie rozpisana na czterdzieści głosów i ośmielam się stwierdzić, że stanie się moim arcydziełem.

– Ale to powinno być coś, co mogą śpiewać kibice piłki.

– Jednakże – mistrz muzyki groźnie uniósł pałeczkę – czyż klasy wykształcone nie mają obowiązku podnosić standardy stanów niższych?

– Ma trochę racji, Mustrumie – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych.

Ridcully poczuł się, jakby własny dziadek kopnął go w rodzinne dziedzictwo. Był zadowolony, że nie ma tutaj tej służącej... jak jej było? A tak, Glenda, rozsądna panna. Ale mimo nieobecności Glendy odbicie jej miny zauważył na twarzy Treva Likely'ego.

– Może w ciągu tygodnia – burknął. – Ale raczej nie w soboty. Ale to piękne dzieło i chętnie usłyszę inne owoce pańskiej pracy.

Mistrz muzyki wyszedł wzburzony, a chór wymaszerował za nim w perfekcyjnym unisono. Ridcully zatarł ręce.

– A zatem, panowie, pokażcie mi trochę gry.

Gracze rozbiegli się po sali.

– Muszę zauważyć – odezwał się Nutt – że profesor Macarona spisuje się fenomenalnie. Wyraźnie doskonale sobie radzi z piłką, a zapewne i podobnymi obiektami.

– Nie dziwi mnie to – odparł energicznie Ridcully.

– Bibliotekarz jest, oczywiście, znakomitym strażnikiem gola, to znaczy bramki, bo tak teraz wygląda. Zwłaszcza że może stanąć pośrodku i sięgnąć rękami do obu brzegów. Uważam, że komukolwiek z naszych przeciwników trudno będzie go pokonać. Oczywiście, pan również weźmie udział, nadrektorze...

– Och, nie zostaje się nadrektorem, jeśli nie potrafi się szybko łapać nowych rzeczy. Ale na razie będę się tylko przyglądał.

I przyglądał się. Kiedy Macarona po raz drugi niczym srebrzysta smuga przemknął wzdłuż sali i trafił piłką do bramki przeciwników, zwrócił się do Myślaka.

– Wygramy, prawda?

– Jeśli on nadal będzie grał dla was – wtrącił były dziekan.

– Daj spokój, Henry. Czy możemy zgodzić się przynajmniej na to, żeby rozgrywać tylko jeden mecz naraz?

– Uważam, że dzisiejsza sesja powinna się niedługo skończyć – oświadczył Myślak. – W końcu mamy bankiet, a przygotowanie sali wymaga czasu.

– Proszę o wybaczenie, szefuniu, ale to racja – odezwał się Trev za jego plecami. – Musimy jeszcze opuścić kandelabr i wstawić nowe świece.

– Opracowaliśmy niewielki pokaz na dzisiejszy wieczór – wtrącił Nutt. – Może nadrektor chciałby to zobaczyć.

Ridcully zerknął na zegarek.

– Owszem, panie Nutt, ale czas nagli. Dlatego z radością obejrzę wszystko później. Świetna robota, wszyscy! – zahuczał.

* * *

Kiedy Glenda i Juliet szły do pracy, na placu Sator rozkładał się już nocny targ. Ankh-Morpork żyło na ulicach, gdzie znajdowało jedzenie, rozrywkę oraz – w mieście z dramatycznym problemem mieszkaniowym – także szansę, żeby kręcić się w pobliżu, dopóki nie zwolni się miejsce na podłodze. Teraz wszędzie rozstawiano stragany, a pochodnie wypełniały powietrze cuchnącym dymem oraz – niemal jako produktem ubocznym – pewną ilością światła.

Glenda nie mogła się powstrzymać, by nie zaglądać na plac, zwłaszcza o tej porze. Znakomicie sobie radziła we wszelkich odmianach sztuki kucharskiej, naprawdę. Wiedzę o tym powinna zachowywać w spokojnym centrum wirujących szaleńczo myśli. A tam stała Verity Pushpram, królowa morza.

Glenda miała wiele czasu dla panny Pushpram, która sama do

wszystkiego doszła, choć może z oczami przydałaby się jej jakaś pomoc. Były tak szeroko rozstawione, że przypominała raczej turbota.

Jednak Verity – podobnie jak ocean, z którego brała się jej fortuna – skrywała w sobie niezmierzone głębie. Odłożyła dość, żeby kupić łódź rybacką, potem drugą, a w końcu całą alejkę na targu rybnym. Nadal jednak, praktycznie co wieczór, sama pchała swój wózek na plac, gdzie sprzedawała mięczaki, krewetki, kraby, langusty, małże i swoje słynne gorące rybne paluszki.

Glenda często od niej kupowała. Żywiła dla niej pewien szacunek, jakim obdarza się równych sobie, którzy – to ważne – nie stanowią zagrożenia dla własnej pozycji.

– Idziecie na tę imprezę, dziewczęta? – spytała wesoło Verity, machając do nich halibutem.

– Tak – odpowiedziała z dumą Juliet.

– Jak to? Obie?

Verity zerknęła na Glendę, która odpowiedziała stanowczo:

– Nocna kuchnia się rozwija.

– No, jeśli was to bawi... – Verity spoglądała w teorii to na jedną, to na drugą. – Macie, weźcie jednego, piękne są. Moje ulubione.

Schyliła się i wyjęła z wiadra kraba. Kiedy się wynurzył, okazało się, że wiszą na nim trzy inne.

– Naszyjnik z krabów? – zachichotała Juliet.

– Takie już są kraby – stwierdziła Verity, odczepiając te, które zabrały się na gapę. – Tępe jak deski, co do sztuki. Dlatego można je trzymać w wiadrach bez pokrywki. Jak który próbuje wyleźć, reszta ściąga go z powrotem. No mówię, tępe jak deski. – Verity uniosła kraba nad bulgoczącym groźnie kociołkiem. – Ugotować go wam?

– Nie! – zawołała Glenda o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– Dobrze się czujesz, skarbie? – zaniepokoiła się Verity. – Niewyrażnie jakoś wyglądasz.

– Nic mi nie jest. Nic. Trochę gardło mnie boli i tyle. – Wiadro krabów, myślała. A wydawało mi się, że Pepe gada bez sensu. – Możesz nam go zawiązać? To będzie długa noc.

– Już się robi. – Panna Pushpram fachowo owinęła kraba sznurkiem. Nie stawiał oporu. – Wiesz, co robić, to jasne. Piękne te kraby, naprawdę

smaczne. Ale tępe jak deski.

* * *

Wiadro krabów, myślała Glenda, gdy szły pospiesznie do nocnej kuchni. Więc tak to działa. Ludzie z Sióstr z dezaprobatą patrzą na dziewczęta jadące trollibusem. To jest wiadro krabów. Praktycznie wszystko, co mówiła mi mama, to wiadro krabów. Praktycznie wszystko, co sama mówiłam Juliet, to też wiadro krabów. Może to po prostu inne określenie dla Ścisku. Jest miło, ciepło i będąc w środku, zapomina się, że istnieje świat na zewnątrz. Najgorsze, że tym krabem, który najmocniej ściąga człowieka w dół, jest on sam...

W tym momencie Glenda poczuła, że ma głowę w ogniu.

Wiele zjawisk opiera się na fakcie, że w większości przypadków ludziom nie wolno bić innych ludzi drewnianym młotkiem. Stawiają mnóstwo widocznych i niewidocznych znaków mówiących „Tego nie rób”, w nadziei że to zadziała, ale jeśli nie, tylko wzruszają ramionami, bo tak naprawdę nie mają przecież prawdziwego młotka. Juliet rozmawiająca z damami... Nie wiedziała, że nie powinna się do nich tak zwracać. I jej się udało. Nikt nie dał jej młotkiem po głowie.

Praktyka i obyczaj, ucieleśnione w pani Whitlow, nakazywały, by pracownicy nocnej kuchni nie wychodzili ponad schody, gdzie światło było jeszcze stosunkowo czyste i nie przeszło już przez mnóstwo innych oczu. Ale przecież Glenda już to robiła i nie stało się nic złego, prawda? Dlatego teraz pomaszerowała w stronę głównego holu, a jej praktyczne buty uderzały o posadzkę tak mocno, że aż boleśnie. Dziewczyny z dziennej się nie odezwały, gdy weszła za nimi. Co miały powiedzieć? Prawdziwa i niepisana reguła mówiła, że pulchne nie usługiwały do stołu, kiedy obecni byli goście. Dziś jednak Glenda postanowiła, że nie umie czytać niepisanych reguł. Poza tym trwało już zamieszanie. Służący, którzy rozkładali sztucce, próbowali cały czas mieć je na oku, co w konsekwencji oznaczało, że niejeden gość będzie musiał jeść dwoma łyżkami.

Ze zdziwieniem zauważyła Świecowego Waleta, który machał ręką.

kami na Treva i Nutta. Ruszyła w ich stronę. Nie bardzo lubiła Smeemsa. Człowiek może być dogmatykiem, w porządku; może być głupi i nie ma sprawy; ale głupi dogmatyk to już za wiele, zwłaszcza z dodatkiem nieprzyjemnego zapachu ciała.

– Co się tu dzieje?

Podziałało. Właściwy ton głosu u kobiety z rękami zaplecionymi na piersi zwykle wymusza odpowiedź na nieprzygotowanym mężczyźnie, i to nawet szybciej, niż jest w stanie wymyślić jakieś kłamstwo.

– Podnieśli kandelabr! Wciągnęli go, ale nie zapalili świec! Nie mamy już czasu, żeby go opuścić i znowu podnieść, zanim zjawią się goście.

– Panie Smeems... – zaczął Trev.

– A oni tylko odszczekują i kłamią – poskarżył się Smeems z goryczą.

– Umiem zapalić je stąd, panie Smeems. – Nutt mówił cicho; nawet jego głos się garbił.

– Nie kręć! Nawet magowie nie daliby rady, nie zachlapując całej sali woskiem, ty mały...

– Wystarczy, panie Smeems – rzekł głos, który, ku zdumieniu Glendy, okazał się jej własnym. – Zapali je pan, panie Nutt?

– Tak, panienko. We właściwym czasie.

– No właśnie – rzekła Glenda, zwracając się do Smeemsa.

– Proponuję zostawić tę sprawę panu Nuttowi.

Smeems patrzył na nią i widziała, że w jego myśleniu tkwi niewidzialny młotek: uczucie, że może wpaść w jakieś kłopoty. – Ja bym już pędziła – poradziła mu.

– Nie mogę tu czekać. Muszę dopilnować ważnych spraw.

– Smeems wydawał się trochę zakłopotany i zagubiony, ale z jego punktu widzenia nieobecność była dobrym rozwiązaniem. Glenda widziała niemal, jak jego umysł wyciąga wnioski. Bycie gdzie indziej rozmyślało winę za cokolwiek, co mogło się nie udać. – Nie mogę czekać – powtórzył. – Ha! Gdyby nie ja, wszyscy byście tkwili w ciemności.

Po czym złapał swoją brudną torbę i odszedł.

Glenda spojrzała na Nutta. Przecież w żaden sposób nie mógłby się zrobić mniejszy, pomyślała. Ubranie pasowałoby na niego jeszcze gorzej

niż teraz. Na pewno sobie to wyobrażam.

– Naprawdę potrafisz stąd zapalić świece? – spytała.

Nutt nadal wbijał wzrok w posadzkę.

Zwróciła się do Treva.

– Czy on rzeczywiście...

Ale Treva nie było, ponieważ stał kawałek dalej, opierał się o ścianę i rozmawiał z Juliet.

Zrozumiała wszystko od jednego rzutu oka: jego zaborczą pozę, jej skromnie spuszczonego wzrok... nie migdalenie jako takie, lecz z pewnością uvertura i zapowiedź migdalenia. Och, potęgą słów...

Ale kto obserwuje, ten sam jest obserwowany. Glenda spojrzała niżej, prosto w przenikliwe oczy Nutta. Czyżby marszczył czoło? Co zobaczył w jej twarzy? Więcej niżby chciała, to pewne.

Krzętanina w holu nabierała tempa. Kapitanowie drużyn piłkarskich zbierali się w którymś z przedpokojów – wyobrażała ich sobie w czystych koszulach, a przynajmniej w koszulach mniej brudnych niż zwykle, przybywających tu z rozrzuconych po całym mieście różnych wersji ulicy Botniczej. Patrzyli na wspaniałe sklepienia i zastanawiali się, czy wyjdą stąd żywi. Hm... zatrzymała się przy tej myśli. Żywi owszem, ale pewnie tak pijani, że będą mieli kłopoty z wychodzeniem... I właśnie kiedy umysł zaczął krążyć wokół tej wizji, usłyszała oschły głos za plecami.

– Nie spodziewaliśmy się spotkać cię w tym hwielnym holu, Glendo.

To musiała być pani Whitlow. Tylko ona wymawiała „wielki” przez h. Poza tym, nawet się nie odwracając, Glenda słyszała zgrzyt straszliwego gorsetu¹⁶ oraz brzęk srebrnego łańcuszka, na którym podobno wisiał jedyny klucz otwierający każdy zamek na Niewidocznym Uniwersytecie.

Odwróciła się. Nie ma żadnego młotka!

– Pomyślałam, że wieczorem przyda się pani dodatkowa pomoc, pani Whitlow.

¹⁶ Mówi się, że jeśli człowiek chce się komuś sprzeciwić, łatwiej jest, jeśli wyobrazi go sobie nago. W przypadku pani Whitlow byłoby to – jak mógłby się wyrazić Myślak Stibbons – przeciwwskazane.

– Mimo to obyczaj i praktyka...

– Och, droga pani Whitlow, możemy już chyba ich wpuszczać. – Nadrektor podszedł do nich pospiesznie. – Kareta jego lordowskiej mości wkrótce wyjedzie z pałacu.

Pani Whitlow potrafiła wyrastać groźnie, choć głównie w poziomie. Ridcully jednak miał nad nią przewagę niemal dwóch stóp. Odwróciła się więc pospiesznie i powitała go dyskretnym półdygnięciem, które – nigdy nie ośmielił się tego powiedzieć – uważał za lekko irytujące.

– A to panna Glenda, zgadza się? – ciągnął radośnie. – Miło panią widzieć na górze. To bardzo rozsądna młoda dama, pani Whitlow. Ma inicjatywę i szybką orientację.

– Bardzo pan łaskaw. Glenda to jedna z moich najlepszych dziewcząt – zapewniła gospodyni przez zaciśnięte zęby, starannie unikając nagle anielskiego spojrzenia Glendy.

– Widzę, że wielki kandelabr się nie pali – zauważył Ridcully.

Glenda wystąpiła naprzód.

– Pan Nutt zaplanował dla nas niespodziankę, proszę pana.

– Pan Nutt jest pełen niespodzianek. Mieliliśmy dzisiaj niezwykle dzień, panno Glendo. Nasz pan Nutt uczył chłopców, jak grać w piłkę jego stylem. Wie pani, co zrobił wczoraj? Nigdy pani nie zgadnie. Niech pan powie, panie Nutt.

– Zabrałem ich do gmachu Królewskiej Opery, żeby się przyjrzeni ćwiczeniom tancerek – wyjaśnił zdenerwowany Nutt. – To bardzo ważne, żeby opanowali tajniki ruchu i postawy.

– A kiedy wrócili – mówił Ridcully z tą samą, nieco przerażającą jowialnością – kazał im grać tutaj, w holu, z zawiązanymi oczami.

Nutt zakaszłał nerwowo.

– Muszą pamiętać pozycje wszystkich innych graczy – powiedział. – Wiedzieć, że tworzą zespół.

– A potem zabrał ich, żeby obejrzeni psy myśliwskie lorda Rusta.

Nutt zakaszłał znowu, jeszcze bardziej zakłopotany.

– Kiedy polują, każdy pies wie, gdzie się znajduje każdy z pozostałych psów. Chciałem, żeby zrozumieli dualizm drużyny i gracza. Siłą gracza jest drużyna, a siłą drużyny jest gracz.

– Słyszały to panie?! – zawołał Ridcully. – Znakomite! Oczywiście,

przez cały dzień kazał im biegać tam i z powrotem albo utrzymywać piłki na głowie. Rysował takie wielkie wykresy na tablicy. Można by pomyśleć, że planuje jakąś bitwę.

– Bo to jest bitwa – oświadczył Nutt. – To znaczy: nie bitwa z przeciwną drużyną jako taką, ale bitwa każdego z grających ze sobą.

– Bardzo überwaldzko to zabrzmiało – uznał nadrektor. – Jednakże są chyba pełni energii i wigoru, i gotowi na wieczór. Jak się zdaje, pan Nutt zaplanował coś światłodźwięcznego.

– Taki drobiazg, żeby zwrócić uwagę gości.

– Czy coś robi „bang”?

– Nie, proszę pana.

– Obiecujesz? Osobiście lubię czasem trochę *Sturm und Drang*, ale lord Vetinari jest dość wyczulony na takie rzeczy.

– Żadnych gromów ani błyskawic, proszę pana. Może lekka mgielka pod sufitem.

Glenda miała wrażenie, że nadrektor przygląda się Nuttowi w skupieniu.

– Ile zna pan języków, panie Nutt?

– Trzy martwe i dwanaście żywych, proszę pana.

– No, no... – mruknął Ridcully, jakby notował tę informację i starał się nie myśleć „A ile z nich było żywych, zanim je zamordowałeś?”. – Brawo. Dziękuję, panie Nutt. I paniom także. Zaraz ich wprowadzimy.

Glenda skorzystała z okazji, by zejść pani Whitlow z oczu. Nie była zachwycona odkryciem, że Juliet i Trev wykorzystali nieco wcześniejszą okazję, by zejść z oczu jej.

– Proszę się nie martwić o Juliet – odezwał się Nutt, który szedł za nią.

– Kto powiedział, że się martwię? – burknęła Glenda.

– Panienka to mówi. Wyraz twarzy panienki, postawa, ułożenie ciała, panienki... reakcje, ton głosu... wszystko.

– Nic ci do patrzenia na moje wszystko... to znaczy na ułożenie ciała.

– To sposób, w jaki pani stoi, panno Glendo.

– Umiesz czytać mi w myślach?

– Może się tak wydawać. Przepraszam.

– O czym myślała Juliet?

– Nie jestem pewien, ale lubi pana Treva. Uważa, że jest zabawny.
– Więc przeczytałeś Trevowe wszystko? Założę się, że to świńska książka.

– Nie, panienko. Jest zagubiony i niespokojny. Powiedziałbym, że usiłuje zrozumieć, jakim człowiekiem się stanie.

– Naprawdę? Zawsze był nicponiem.

– Myśli o przyszłości.

Gdy tylko ostatni służący pospiesznie zajęli swoje miejsca, po przeciwnej stronie holu otworzyły się wielkie drzwi.

Nie zrobiło to wrażenia na zamyślanej Glendzie. Trudno jej było przyznać, że jednak lampart może zmienić swoje cętki.

Muszę przyznać, że ostatnio faktycznie był jakiś spokojny, myślała. I napisał dla niej śliczny wiersz... Taki wiersz ma wielkie znaczenie. Kto by pomyślał? To zupełnie do niego niepodobne....

Z atomową prędkością Nutt zniknął nagle, a drzwi zostały otwarte na oścież i wchodzili przez nie kapitanowie z orszakami, wszyscy nerwowi; niektórzy nosili niezwykcyjne garnitury, niektórzy już teraz szli trochę niepewnie, bo u magów koncepcja aperitifów bywa niebezpieczna. Półmiski zapewne właśnie się napełniały, kucharze przeklinali, dźwięczały piece, kiedy... kiedy... A właściwie co jest w menu?

Zycie w niewidocznej części Niewidocznego Uniwersytetu było kwestią przemyśleń i wrogości, zobowiązań i przyjaźni, wymieszanych razem, skręconych i splątanych.

Glenda potrafiła to robić. Nocna kuchnia zawsze gościnnie przyjmowała innych ciężko pracujących i w tej chwili cały główny hol był jej winien przysługi, choćby za to, że trzymała buzię na kłódkę. Ruszyła więc do Lśniącego Roberta, jednego z głównych kelnerów. Powitał ją ostrożnym skinieniem, należnym komuś, kto wie o sprawach, o których nie powinna się dowiedzieć matka.

– Masz menu?

Wyjął kartę spod serwetki. Glenda przeczytała ze zgrozą.

– To nie są potrawy, jakie lubię.

– Ojej, Glendo... – Robert uśmiechnął się drwiąco. – Chcesz powiedzieć, że są dla nich za dobre?

– Dajecie im *avec*. Prawie każde danie ma w środku *avec*, a jedzenie

z *avec* w nazwie nadaje się tylko dla wyrobionego podniebienia. A czy oni tam wyglądają na takich, co jedzą w obcym języku? No nie, jeszcze dajecie im piwo! Piwo i *Alec*!

– Dostępny jest bogaty wybór win. Oni wybierają piwo – wyjaśnił chłodno Robert.

Glenda popatrzyła na kapitanów. Czuli się już o wiele swobodniej. Mieli tu darmowe jedzenie i picie, a choć jedzenie smakowało dziwnie, było go dużo, za to piwo smakowało przyjemnie znajomo i też go nie brakowało.

Nie podobało jej się to. Niebiosa świadkiem, że piłka nożna zrobiła się ostatnio dość obrzydliwa, ale... No, nie całkiem zrozumiała, co ją tak niepokoi, jednak...

– ‘szepaszam, panienko... – Młody piłkarz postanowił zwrócić się do jedynej kobiety w uniformie, która nie niosła przynajmniej dwóch talerzy równocześnie.

– W czym mogę pomóc?

Zniżył głos.

– Ten sos smakuje rybą, panienko.

Rozejrzała się po uśmiechniętych twarzach przy stole.

– To jest kawior, proszę pana. Napełni ołowiem pański ołówek.

Stół, jak jeden dobrze nasączony pijak, ryknął śmiechem, ale młodziak tylko się zdziwił.

– Nie mam ołówka, panienko...

Znowu śmiech.

– Nie ma ich tutaj wiele – oświadczyła Glenda i zostawiła ich rozbawionych.

* * *

– Jak miło, że mnie pan zaprosił, Mustrumie – rzekł lord Vetinari i gestem ręki oddalił *hors d'oeuvres*. Zwrócił się do maga po prawej stronie. – Widzę też, że znowu jest tu nadrektor znany dawniej jako dziekan. To kapitalnie.

– Zapewne pan pamięta, że Henry przeniósł się do Miedzicoła w

Pseudopolis. Jest, eee... – Ridcully zamilkł.

– Nowym nadrektorem – dokończył Vetinari. Wziął łyżkę i zaczął oglądać ją z uwagą, jakby była obiektem rzadkim i niezwykłym. – Coś podobnego... Sądziłem, że może istnieć tylko jeden nadrektor. Czyż nie tak? Jeden ponad wszystkimi, i jeden kapelusz, oczywiście. Ale to sprawy magów, o których nie wiem wiele. Dlatego proszę o wybaczenie, jeśli coś źle zrozumiałem. – W obracającym się wolno zagłębieniu łyżki jego nos zmieniał się z długiego w krótki. – Jednakże przychodzi mi do głowy, jako obserwatorowi z zewnątrz, że może to doprowadzić do pewnych tarć, być może. Łyżka znieruchomiała w pół obrotu.

– Odrobinkę, być może – przyznał Ridcully, nie patrząc w stronę Henry'ego.

– Rzeczywiście aż tyle? Ale wnioskuje z nieobecności osób zmienionych w żaby, że zrezygnowali panowie z tradycyjnych opcji magicznego konfliktu. Kiedy dochodzi do zwarcia, starzy przyjaciele, połączeni więzami wzajemnego braku szacunku, nie potrafią się zmusić, by rzeczywiście się pozabijać. Taką mamy nadzieję. Ach, jest zupa.

Nastąpiło krótkie bezkrólewie, kiedy chochła krążyła od wazy do wazy. Po czym Patrycjusz odezwał się ponownie.

– Może zdołałbym jakoś pomóc? Nie mam żadnych uprzedzeń w tej kwestii.

– Wybacz, panie, ale można chyba podejrzewać, że będziesz faworyzował Ankh-Morpork – wtrącił nadrektor, wcześniej znany jako dziekan.

– Doprawdy? Można również podejrzewać, że w moim interesie leży osłabienie przewidywanych wpływów uniwersytetu. Rozumie pan, o czym mówię? O delikatnej równowadze pomiędzy ratuszem i kapeluszem, niewidocznym i przyziemnym. Dwa ogniska władzy... Można podejrzewać, że wykorzystam tę okazję, by zakłopotać mojego uczonego przyjaciela. – Uśmiechnął się lekko. – Czy nadal posiada pan oficjalny kapelusz nadrektora, Mustrumie? Zauważyłem, że nie nosi go pan ostatnio, a preferuje raczej ten stylowy model z dość atrakcyjnymi szufladkami i małym pojemnikiem na drinki na czubku.

– Nigdy nie lubiłem tego oficjalnego. Przez cały czas zrzędził.

– Naprawdę potrafi mówić? – zainteresował się Vetinari.

– Myślę, że odpowiedniejsze jest słowo „marudzić”, gdyż według niego kiedyś wszystko było lepsze. Jedyna pociecha dla mnie, to że przez ostatni tysiąc lat każdy nadrektor skarżył się dokładnie na to samo.

– Zatem potrafi myśleć i mówić – stwierdził niewinnie Vetinari.

– Można chyba tak to określić.

– W takim razie nie może go pan posiadać, Mustrumie: kapelus, który myśli i mówi, nie może być zniewolony. W Ankh-Morpork nie ma niewolników. – Pogroził znacząco palcem.

– Tak, ale chodzi o zasadę. Jak by to wyglądało, gdybym bez oporu zrezygnował z unikalności nadrektorowania?

– Doprawdy trudno mi zgadnąć – przyznał lord Vetinari. – Ale ponieważ praktycznie każda poważna bitwa między magami prowadziła jak dotąd do masowych zniszczeń, sądzę, że czułby się pan choć trochę zakłopotany. Naturalnie, muszę też przypomnieć, że nadrektor Bill Rincewind z uniwersytetu w Rospyepsh bez oporów nazywa siebie nadrektorem.

– Tak, ale to bardzo daleko – odparł Ridcully. – A Czteriksy właściwie się nie liczą. Natomiast w Pseudopolis mamy spóźniałką organizację i jej...

– Czyli spór dotyczy zaledwie kwestii odległości?

– Nie, ale... – zaczął Ridcully i urwał.

– Czy sprawa warta jest kłótni, pytam? – rzekł Vetinari. – Albowiem mamy tutaj, panowie, zaledwie sprzeczkę między głowami szacownej i godnej instytucji oraz ambitnej, stosunkowo mało doświadczonej i dokuczliwej szkoły wiedzy.

– Tak, to właśnie mamy.

Vetinari uniósł palec.

– Nie skończyłem, nadrektorze. Pomyślmy... Powiedziałem właśnie, że mamy tu sprzeczkę między antyczną, nieco skostniałą, podstarzałą i dość konserwatywną instytucją a college’em energicznych młodych badaczy, pełnych świeżych i ekscytujących pomysłów.

– Ale chwileczkę, za pierwszym razem wcale pan tego nie powiedział...

– Powiedziałem, nadrektorze. Nie pamięta pan naszej niedawnej rozmowy o znaczeniu słów? Kontekst jest wszystkim. Sugeruję zatem,

by kierującemu Uniwersytetem Miedziczola pozwolił pan przez krótki czas nosić oficjalny kapelusz nadrektora.

Zawsze trzeba bardzo uważać na to, co mówił Vetinari. Jego słowa, choć na pozór grzeczne, miały skłonność, by wracać i kąsać.

– Zagrajcie o ten kapelusz w piłkę – poradził Vetinari. Spojrzał na ich twarze. – Panowie... Panowie... Rozważcie przez chwilę moją sugestię. Znaczenie kapelusza jest mocno przesadzone. Środki, jakimi magowie prowadzą zmagania, nie będą zasadniczo magiczne. Same starania i rywalizacja będą dobre dla obu uczelni, a ludzie się zainteresują. Kiedy w przeszłości magowie się kłócili, ci ludzie musieli raczej chować się po piwnicach. Proszę nie odpowiadać nazbyt pośpiesznie, gdyż w przeciwnym razie uznam, że nie przemyśleliście tego odpowiednio.

– Wyznam szczerze, że potrafię myśleć naprawdę szybko – zapewnił Ridcully. – Nie ma tu żadnej rywalizacji. To po prostu niesprawiedliwe.

– Z całą pewnością – zgodził się Henry.

– Ach, obaj panowie sądzą, że to niesprawiedliwe – zdziwił się Vetinari.

– Istotnie. Mamy o wiele młodszych wykładowców, a także rozległe, zdrowe tereny sportowe Pseudopolis.

– Kapitalnie – ucieszył się Patrycjusz. – A zatem zawody. Uniwersytet przeciwko uniwersytetowi. Miasto, można powiedzieć, przeciwko miastu. Wojna, można nawet uznać, ale bez konieczności zbierania potem głów i kończyn. Każdy musi się starać, panowie.

– Przypuszczam, że muszę się zgodzić – ustąpił Ridcully. – Choć przecież i tak nie stracimy kapelusza. Muszę jednak zauważyć, Have-locku, że na rzucanie wyzwania pańskiemu stanowisku jednak pan nie pozwala.

– Och, bardzo często jestem wyzywany – zapewnił Vetinari. – Po prostu tamci nie wygrywają. Nawiasem mówiąc, panowie, przeczytałem w dzisiejszej azecie, że nowi wyborcy w Pseudopolis przegłosowali właśnie, by nie musieli płacić podatków. Kiedy znowu zobaczy pan prezydenta, proszę go bez wahania zapewnić, że z prawdziwą radością udzieli mu rady, gdyby uznał to za wskazane. Ale nie martwmy się, panowie. Żaden z was nie dostanie tego, co chce, ale każdy dostanie dokładnie to, na co zasługuje. Jeśli lampart może zmienić swoje cętki, to

i mag może zmienić kapelusz. A lampart musi zmienić te cętki, bo inaczej grozi nam zguba.

– Chodzi panu o sprawę z Loko? – spytał Henry. – I nie musi pan udawać zaskoczonego.

– Nie zamierzam. Jestem zaskoczony. Ale proszę przyznać mi prawo niewyglądania na zaskoczonego, chyba że, oczywiście, takie wyglądanie mogłoby przynieść jakieś korzyści.

– Będziemy musieli coś zrobić. Ekspedycja znalazła całe gniazdo tych przeklętych stworów.

– Tak. Dzieci, które zabili – stwierdził Vetinari.

– Szczeniaków, które wytępli!

– Doprawdy? I co pan sugeruje?

– Przecież mówimy tu o bardzo złej sile!

– Nadrektorze, widzę zło, kiedy patrzę w lustro przy goleniu. Jest ono, filozoficznie, obecne wszędzie we wszechświecie, jakoby w celu podkreślenia istnienia dobra. Mam wrażenie, że w tej teorii jest coś więcej, ale zwykle w tym miejscu wybucham śmiechem. Rozumiem, że to pan stoi za pomysłem wysłania korpusu ekspedycyjnego do Dalekiego Überwaldu?

– Oczywiście – zapewnił były dziekan.

– Już raz to zrobiono. A przedtem jeszcze dwa razy. Skąd bierze się ten niezwykle schemat działania wojskowego umysłu, który nakazuje rozsądnym osobom raz jeszcze entuzjastycznie robić to, co wcześniej się nie udało?

– Siła jest wszystkim, co rozumieją. Z pewnością wie pan o tym.

– Siła jest wszystkim, co próbowano zastosować, nadrektorze Henry. Poza tym, jeśli są zwierzętami, jak twierdzą niektórzy, to nie rozumieją niczego. Jeśli jednak, jak jestem o tym przekonany, są istotami świadomymi, to jest od nas wymagane pewne zrozumienie.

Patrycjusz wypił łyk piwa.

– Niewielu o tym opowiadałem, panowie, i podejrzewam, że już nigdy tego nie zrobię. Ale kiedy jako młody chłopak spędzałem wakacje w Überwaldzie, wybrałem się na spacer brzegiem strumienia i zobaczyłem wydrę z młodymi. Rozczulający widok, jak się zapewne zgodzicie. Obserwowałem, jak matka wydra zanurkowała do wody i wróciła

z tłustym łososiem, którego wywlokła na częściowo zanurzoną kłodę. Kiedy jadła, a ryba żyła jeszcze, oczywiście, ciało pękło i do dziś pamiętam słodkoróżową ikrę, która wylała się ku radości małych wydr; odpychały się wzajemnie, by dostać się do smakołyku. Jeden z cudów natury, panowie. Matka i dzieci żywiące się matką i dziećmi. Wtedy właśnie po raz pierwszy zrozumiałem, że istnieje zło. Jest wbudowane w samą naturę wszechświata. Każdy świat wiruje w bólu. A gdyby istniała jakaś istota wyższa, naszym wspólnym zadaniem jest okazać jej wyższość moralną.

Obaj magowie porozumieli się wzrokiem. Vetinari wpatrywał się w głębiny swego kufła i cieszyli się, że nie wiedzą, co tam widzi.

– Czy mi się zdaje, czy jest dość ciemno? – zapytał Henry.

– Na niebiosa, tak! Zapomniałem o kandelabrze! – wykrzyknął Ridcully. – Gdzie jest pan Nutt?

– Tutaj – odpowiedział Nutt stojący bliżej, niż nadrektor by chciał.

– Dlaczego?

– Powiedziałem, że będę gotów, kiedy będzie mnie pan potrzebował, proszę pana.

– Co? A tak, istotnie pan mówił. – Jest nieduży, grzeczny i bardzo pracowity, tłumaczył sobie Ridcully. Naprawdę nie ma powodów do niepokoju... – Więc niech nam pan pokaże, jak zapalić świece, panie Nutt.

– Czy mógłbym prosić o fanfary, proszę pana?

– Wątpię, młody człowieku, ale zwrócę uwagę gości.

Ridcully wziął łyżeczkę i uderzył nią o ściankę kieliszka, w uświęconej tradycją procedurze „Słuchajcie, ludzie, próbuję bardzo cicho wydać głośny dźwięk”, która skutecznie wymykała się bankietowym mówcom od czasu wynalezienia kieliszków, łyżeczek i bankietów.

– Panowie, proszę o pełną napięcia ciszę, a następnie pełne uznania oklaski dla zapalenia kandelabru!

Zapadła cisza.

Kiedy po krótkich oklaskach wróciła, ludzie odwracali się na krzesłach, by lepiej widzieć, że nie ma nic do oglądania.

– Zechce pan pyknąć z fajki i podać mi ją? – poprosił Nutt.

Ridcully wzruszył ramionami, ale spełnił prośbę. Nutt wziął fajkę,

uniósł ją do góry i...

Co się stało? Przez wiele dni było to tematem rozmów. Czy czerwony płomień wzniósł się od fajki, opadł z sufitu, czy trysnął ze ścian? Wiadomo tylko, że mrok nagle rozcięły ogniste zygzaki, zniknęły w mgnieniu oka, pozostawiając ciemność, która natychmiast rozjaśniła się jak niebo o świcie, gdy w perfekcyjnym unisono wszystkie świece rozjarzyły się równocześnie.

Oklaski grzmiały coraz głośniej. Ridcully spojrzał wzdłuż stołu na Myślaka, który pomachał thaumometrem, pokręcił głową i wzruszył ramionami.

Nadrektor poszedł do Nutta, odprowadził go poza zasięg słuchu siedzących przy stole i – dla satysfakcji patrzących – uściśnął mu dłoń.

– Brawo, panie Nutt. Ale jedna sprawa: to nie była magia, bo byśmy o tym wiedzieli. Więc jak pan to zrobił?

– To zasadniczo krasnoludzia alchemia, proszę pana. Wie pan, ta, która działa. W ten sposób zapalają świece w wielkich kandelabrach pod Bzykiem. Rozpracowałem to metodą prób i analiz. Wszystkie knoty świec połączone są siecią czarnych bawełnianych włókien prowadzących do pojedynczej nici, w tej sali prawie niewidocznej. Otóż włókna te nasączone są mieszaniną, która po wyschnięciu rozpala się gwałtownie silnym, ale krótkotrwałym żarem. Mój nieco zmieniony roztwór pali się jeszcze szybciej, pochłaniając włókna tak, że nie pozostaje nic oprócz gazu. To całkiem bezpieczne. Tylko czubki knotów świec są nasączone, więc widzi pan, palą się całkiem normalnie. Zainteresuje może pana fakt, że płomień przemieszcza się z taką szybkością, by według dowolnych ludzkich pomiarów wydawał się natychmiastowy. Moje obliczenia wykazują, że prędkość z pewnością przekracza dwadzieścia mil na sekundę.

Ridcully potrafił robić tępą minę. Nie można utrzymywać regularnych kontaktów z Vetinarim, nie umiając w miarę potrzeby unieruchomić swej twarzy. Ale w tej chwili nie musiał się nawet starać.

Nutt wyraźnie się zmartwił.

– Czy nie zdołałem uzyskać wartości, proszę pana?

– Co? A tak. Świetnie. – Twarz Ridcully’ego odtajała. – Znakomity wyczyn, Nutt. Brawo. Eee... A skąd pan wziął składniki?

– W piwnicach jest stare laboratorium alchemiczne.

– Hmm... W każdym razie bardzo dziękuję – rzekł nadrektor. – Ale jako kierujący tym uniwersytetem muszę prosić, aby nikomu pan nie wspominał o swym wynalazku, dopóki znowu o nim nie porozmawiamy. A teraz muszę wracać do toczących się wydarzeń.

– Proszę się nie martwić, proszę pana. Dopilnuję, żeby nie wpadł w niepowołane ręce – zapewnił Nutt i odszedł.

Tyle że, oczywiście, twoje są niepowołane, pomyślał Ridcully.

– Wspaniały pokaz – pochwalił Vetinari, gdy nadrektor znów zajął swoje miejsce. – Czy słusznie się domyślam, Mustrumie, że pan Nutt, o którym pan wspomniał, jest w rzeczywistości, tak to ujmę... panem Nuttem?

– Zgadza się, owszem. Porządny chłopak.

– I pozwala mu pan bawić się w alchemię?

– Obawiam się, że to jego własny pomysł.

– I stał tu za nami przez cały czas?

– Niezwykłe jest bystry. To jakiś problem, Havelocku?

– Ależ nie, żaden problem – zapewnił Vetinari.

* * *

Rzeczywiście pokaz był wspaniały, Glenda musiała to przyznać. Ale podziwiając, cały czas czuła na sobie spojrzenie pani Whitlow. W teorii zachowanie Glendy powinno doprowadzić do innego pokazu fajerwerków, w późniejszym terminie, ale tak się przecież nie stanie, prawda? Wytrąciła ten niewidzialny młotek.

Nękały ją jednak inne, mniej osobiste sprawy.

Choć niektórzy jej sąsiedzi bywali głupi, nierozsądni i bezmyślni, jak zawsze do niej należało dbanie o ich interesy. Zostali wrzuceni do świata, którego nie rozumieli, więc ona musiała zrozumieć go za nich. Przyszło jej to do głowy, ponieważ krążąc między uczującymi, dosłyszła pewne szczególne brzdękanie – i rzeczywiście, liczba sztukców na stołach wydawała się zmniejszać. Obserwowała uważnie przez chwilę, po czym podeszła od tyłu do pana Stollopa i bezceremonialnie wyjęła mu z kieszeni marynarki trzy srebrne łyżki oraz srebrny widelec.

Odwrócił się gwałtownie i miał dość przyzwoitości, by na jej widok zrobić zawstydzoną minę.

Glenda nie musiała nawet otwierać ust.

– Mnóstwo ich mają – zaprotestował. – Komu potrzebne tyle noży i widelców?

Sięgnęła do jego drugiej kieszeni i wydobyła trzy srebrne noże oraz srebrną solniczkę.

– Dużo ich – stwierdził Stollop. – Nie zauważą nawet, że jednego czy dwóch brakuje.

Glenda patrzyła na niego bez słowa. Brzdęk znikających ze stołu sztuców już od pewnego czasu stanowił niewielki, ale zauważalny element ogólnego gwaru.

Pochyliła się i przysunęła twarz na cal od jego nosa.

– Panie Stollop, zastanawiam się, czy tego właśnie oczekuje od was lord Vetinari. – Pobladł gwałtownie, a ona kiwnęła głową. – To taki głos rozsądku.

Głos szybko docierał do wszystkich. Idąc, Glenda z satysfakcją słyszała za sobą głośniejsze brzęki, gdy fala sztuców przepływała z powrotem z kieszeni na obrusy. Ciche dzwonienie płynęło wzdłuż stołów, jakby frunęły tam małeńkie wróżki.

Glenda uśmiechnęła się do siebie i pospieszyła dalej, by rzucić wyzwanie całemu światu. A przynajmniej tej jego części, której ośmielała się rzucać wyzwania.

* * *

Patrycjusz wstał. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie potrzebował żadnych fanfar. Żadnego „Odłóżcie widelce, panowie, gdyż... „, ani „Zajmę wasze uszy... „, czy „Chcę zwrócić uwagę panów na... „. Po prostu wstał i gwar ucichł.

– Panowie, dziękuję wam za przybycie. Dziękuję również nadrektorowi Ridcully’emu za to, że dzisiejszego wieczoru okazał się tak gościnnym gospodarzem. Chcę też skorzystać z okazji, by was uspokoić. Widzicie, krąży po mieście plotka, jakobym był przeciwnikiem grania w

piłkę nożną. Nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Szczerze popieram tradycyjne kopanie piłki. Co więcej, byłbym szczęśliwy, gdyby gra opuściła wilgotny mrok zaułków. Choć wiem, że macie, panowie, własny rozkład spotkań, proponuję powołać ligę najważniejszych zespołów, które będą mężnie walczyć między sobą o złoty puchar...

Zabrzmiały radosne okrzyki piwnej natury.

– ... czy też, powinienem powiedzieć, złotawy puchar...

Oklaski i śmiechy.

– ... puchar na wzór niedawno odkrytej starożytnej urny, znanej jako Starcie, którą, jestem przekonany, wszyscy widzieliście.

Powszechne chichoty.

– A jeśli nie, na pewno widziały ją wasze żony.

Chwila ciszy, a potem tsunami śmiechu, które – jak większość potężnych fal – miało u góry sporo piany.

Ukryta wśród służących Glenda była jednocześnie zaskoczona i urażona (choć nie był to uraz skokowej natury). On coś planuje, myślała. A oni łykają to razem z piwem.

– Tego jeszcze nie widziałem – odezwał się kelner podający wino.

– Czego?

– Żeby jego lordowska mość spożywał alkohol. Zwykle nawet nie pije wina.

Glenda spojrzała na szczupłą postać w czerni i zapytała, starannie wymawiając słowa:

– Kiedy mówisz, że nie pije wina, chodzi ci o to, że nie pije wina, czy że nie pije... wina?

– Nigdy żadnego drinka. Tyle chciałem powiedzieć. To lord Vetinari przecież. Wszędzie ma uszy.

– Widzę tylko parę, ale na swój sposób jest dość przystojny.

– Tak, damom się podoba. – Kelner pociągnął nosem. – Wszyscy wiedzą, że łączy go coś z wampirzycą z Überwaldu. Słyszałaś? Tą, która wymyśliła Ligę Wstrzemięźliwości. Wampiry, które nie wysysają krwi. Hej, co się...

– Niech nikt nie myśli, że jestem samotny w swym pragnieniu, by poprowadzić tę wspaniałą grę ku lepszej przyszłości – mówił dalej Vetinari. – Dziś wieczorem, panowie, zobaczymy tu piłkę nożną, a jeśli na

czas się nie uchylicie, panowie, możecie nawet ją połknąć. Zatem, by zademonstrować związek piłki nożnej z przeszłości i, mam wielką nadzieję, tej z przyszłości, przedstawiam wam pierwszą drużynę Niewidocznego Uniwersytetu. Oto !

Świece zgasły wszystkie naraz, nawet te wysoko w kandelabrach; Glenda widziała w mroku blade widma dymu. Stojący obok Nutt zaczął liczyć pod nosem. Jeden, dwa... Na trzy kandelabr na drugim końcu sali rozblysnął nagle, oświetlając Trevora Likely'ego z jego najbardziej zaraźliwym uśmiechem.

– Dobry wieczór wszystkim – zaczął. – I panu, wasza lordowska mość. Ależ dzisiaj powalająco wyglądacie...

W całym holu wstrzymywano oddechy. Trev miał w dłoni puszkę. Upuścił ją sobie na nogę i stopą podrzucił na ramię, skąd przewędrowała mu po karku na drugie ramię i po ręce w dół.

– Na początku ludzie kopali kamienie. Co było dosyć głupie. Potem próbowali z czaszkami, ale najpierw trzeba było wyciąć je innym ludziom, co prowadziło do walk.

Obok Glendy Nutt wciąż liczył cicho.

– Teraz mamy coś, co nazywamy piłką – mówił dalej Trev, a puszką przetaczała się i wirowała wokół niego. – Ale tak naprawdę to tylko kawał drewna. Nie można jej kopać, chyba że w bardzo solidnych butach. Jest wolna. Jest ciężka. Nie jest żywa, panowie, a piłka powinna żyć.

Drzwi na końcu otworzyły się nagle i truchtem wbiegł Bengo Macarona, podbijając nową piłkę. Jej „gloing, gloing!” rozbrzmiewało echem w całym holu. Niektórzy kapitanowie drużyn poderwali się i wyciągali szyje, by lepiej widzieć.

– No i ze starą piłką nie można było zrobić tego...

Trev zanurkował na posadzkę, a Macarona baletowym wykopem posłał piłkę wzdłuż przejścia, brzęczącą jak rozniewany szerszeń.

Niektóre sceny są raczej wspomnieniem niż doświadczeniem, gdyż zdarzają się za szybko dla natychmiastowego zrozumienia. Kolejne zajścia Glenda oglądała na wewnętrznym ekranie przerażonej pamięci. Dwóch nadrektorów i tyran patrzyli ze stężalym zaciekawieniem, jak wirująca kula mknie ku nim, ciągnąc za sobą straszliwe konsekwencje. A

potem znikąd wyłonił się bibliotekarz i dłonią jak łopata zatrzymał ją w powietrzu.

– To właśnie my, panowie. I zmierzymy się z pierwszą drużyną, która stanie z nami na Hippo w sobotę o pierwszej. Będziemy trenować w całym mieście. Jeśli chcecie, możecie do nas dołączyć. I nie martwcie się, jeśli nie macie piłek. Damy wam kilka!

Płomyki świec zgasły i bardzo dobrze, gdyż trudno po ciemku wywoływać zamieszki. Kiedy znów zapłonęły w ten sam niezwykle sposób, przy wszystkich stołach rozbrzmiewały krzyki, klótnie, śmiechy, a nawet dyskusje. Służący dyskretnie krążyli z dzbanami. Glenda zauważyła, że zawsze jakoś pojawiał się następny.

– Co oni pili? – spytała szeptem najbliższego kelnera.

– Specjalnie Warzone Winkle’a, wybór magów. Najlepsze piwo.

– A jego lordowska mość?

Wyszczерzył zęby.

– Zabawne, niektórzy już mnie o to pytali. To samo co goście. Nalewane z tego samego dzbana, tak jak dla każdego innego, więc...

Zamilkł.

Lord Vetinari wstał znowu.

– Panowie, kto z was podejmie to wyzwanie? To nie musi być Przyćmiona, nie muszą być Siostry Dolly, nie muszą być Stroszeni... Którakolwiek drużyna, panowie. Niewidoczni Akademicy staną przeciw najlepszym z was, zgodnie z piękną tradycją sportu. Ustaliłem datę meczu na sobotę. Jeśli chodzi o Akademików, możecie się przyglądać, jak trenują, a pan Stibbons wszystkim wam udzieli porad, gdybyście ich potrzebowali. To będzie uczciwy mecz, macie na to moje słowo. – Przerwał na moment. – Czy wspominałem, że kiedy ten prawie że złoty puchar zostanie wręczony, będzie napełniony piwem? Koncepcja jest całkiem popularna, jak rozumiem, więc przewiduję, że przez rozsądny czas złoty puchar okaże się cudownie pełen piwa, niezależnie od tego, ilu się z niego napije. Osobiście tego dopilnuję.

Dostał burzę oklasków. Glenda czuła się zażenowana, ale i zła. Słuchacze dawali się prowadzić jak na smyczy. A raczej na piwie.

Vetinari nie potrzebował batów ani zgniataczy kciuków, wystarczało mu Specjalnie Warzone Winkle’a, wybór magów, a już wiódł ich jak

owieczki. I pił równo z nimi. Jak on to robi? Patrzcie na mnie, mówił. Jestem taki jak wy... a przecież wcale nie jest taki. Oni nie mogą kogoś zabić... rozważyła niektóre uliczne bójkę po zamknięciu pubów i dodała... bezkarnie.

– Mój przyjaciel nadrektor właśnie mnie poinformował, że... oczywiście... w żadnej sytuacji nie będą używać magii. Nikt nie chciałby oglądać drużyny żab, to chyba jasne!

Ten kulawy żart wywołał powszechny śmiech, ale w tej chwili śmiałby się nawet z papierowej torby.

– To będzie prawdziwy mecz, panowie. Żadnych sztuczek, jedynie umiejętności – mówił dalej Patrycjusz znowu ostrym tonem. – Dlatego dekretuję nowy kodeks, oparty na uświęconych i tradycyjnych zasadach, tak niedawno odnalezionych, ale też uwzględniający wiele już wam znanych, wprowadzonych stosunkowo niedawno. Urząd sędziego ma zagwarantować przestrzeganie reguł. Ponieważ muszą być jakieś reguły, przyjaciele. Muszą. Nie ma gry bez reguł. Nie ma reguł, nie ma gry.

I oto było... Przez piwne opary nikt chyba nie zauważył ostrza brzytwy, które na moment błysnęło w cukrowej wacie. Reguły, myślała Glenda. Jakie są te nowe reguły? Nigdy nie znałam żadnych reguł.

Jednak asystent Patrycjusza, kimkolwiek był, spokojnie kładł już przed każdym z biesiadników po kilka kartek papieru.

Przypomniła sobie oszołomienie Stollopa, kiedy miał do czynienia zaledwie z kopertą. Niektórzy chyba umieją czytać, ale ilu potrafi teraz?

Jego lordowska mość jeszcze nie skończył.

– I wreszcie, panowie, chciałbym, abyście przejrżeli i podpisali kopie regulaminu, które wręczył wam Drumknott. Rozumiem też, że nadrektor i jego koledzy w sali klubowej z radością poczęstują was cygarami i doskonałą brandy!

No i to załatwi sprawę, prawda? Gracze byli przyzwyczajeni tylko do piwa. Owszem, trzeba przyznać, że byli przyzwyczajeni do wielkich ilości tylko piwa. Mimo to, jeśli mogła osądzić – a była całkiem niezłym sędzią – w tej chwili niewiele im brakowało, by paść z przepicia. Owszem, niektórzy doświadczeni kapitanowie potrafili ustać przez jakiś czas, będąc technicznie pijani do nieprzytomności. Niewiele jest rzeczy bardziej krępujących niż widok kogoś pijanego do nieprzytomności, ale

jedna z nich to właśnie pijany do nieprzytomności, który jeszcze stoi. Zdumiewające – kapitanowie należeli do ludzi, którzy piją piwo kwartami, potrafią beknięciami odegrać hymn miasta i giąć żelazne pręty zębami... albo nawet cudzymi zębami. Jasne, pod względem edukacji nie stali zbyt wysoko, ale czy musieli być tacy tępi?

– Niech pan powie – mruknął Ridcully, gdy obaj patrzyli, jak goście wychodzą chwiejnym krokiem. – Czy to pan stoi za odkryciem urny?

– Znamy się przecież od dość dawna, Mustrumie, nieprawdaż? – odparł Vetinari. – I jak pan wie, na pewno bym pana nie okłamał. – Zastanowił się chwilę. – To znaczy oczywiście, że bym pana okłamał w akceptowalnych okolicznościach, ale w tym przypadku mogę szczerze zapewnić, że odkrycie urny dla mnie też było niespodzianką, choć istotnie przyjemną. Zakładałem, że to wy, panowie, macie z tym coś wspólnego.

– Nawet nie wiedzieliśmy, że tam jest – przyznał Ridcully. – Osobiście podejrzewam, że zaangażowana jest religia.

Vetinari się uśmiechnął.

– No oczywiście, zgodnie z klasyką bogowie grają losami ludzi, więc zapewne nie ma powodu, żeby nie grali w piłkę. My gramy i nami grają, a najlepsze, na co możemy liczyć, to robić to w dobrym stylu.

* * *

Powietrze w sali klubowej dałoby się pewnie kroić nożem, gdyby ktokolwiek był w stanie znaleźć nóż. Albo chwycić ten nóż z właściwego końca, gdyby już go znalazł. Z punktu widzenia magów było to całkiem normalne. I choć licznych kapitanów odwieziono już na taczach, przewidując ustawionych tam wcześniej, wciąż pozostało tylu stojących gości, że wypełniali salę gorącą, duszną wrzawą. W pustym kącie Patrycjusz i dwóch nadrektorów znaleźli trochę miejsca, żeby odprężyć się w wielkich fotelach i omówić kilka kwestii.

– Wie pan, Henry... – Vetinari zwrócił się do byłego dziekana. – Myślę, że byłoby świetnym pomysłem, aby to pan był sędzią w tym meczu.

– No nie, to byłoby bardzo niesprawiedliwe! – oburzył się Ridcully.
– Wobec kogo, jeśli wolno spytać?
– Tego, no... Może się pojawić kwestia rywalizacji między magami.
– Ale z drugiej strony – odparł Vetinari idealnie jedwabistym głosem
– można też sądzić, że z politycznych powodów inny mag będzie miał
żywotny interes, by nie pozwolić, żeby kolega nadrektor został pokonany
przez osobników, którzy, niezależnie od swych często niezwykłych
talentów, umiejętności, cech charakteru i historii życia, są jednak zbry-
leni pod wspólnym określeniem zwykłych ludzi.

Ridcully wzniosł bardzo wielki kieliszek brandy w ogólnym kie-
runku granicy wszechświata.

– Mam całkowite zaufanie do mojego przyjaciela Henry’ego – za-
pewnił. – Nawet jeśli jest trochę nazbyt tłusty.

– To nieuczciwe – obruszył się Henry. – Człowiek potężnie zbu-
dowany może biegać całkiem lekko. Czy jest szansa, żebym dostał za-
truty sztylet?

– Nastaly nowe czasy – odparł Vetinari. – Przykro mi to mówić, ale
musi panu wystarczyć jakaś odmiana gwizdka.

I w tej chwili ktoś spróbował klepnąć Patrycjusza w plecy.

Zdarzyło się to niezwykle szybko, a skończyło jeszcze szybciej,
Vetinari wciąż siedział w fotelu z kuflem piwa w jednej ręce i przegubem
intruza ściskany mocno nad głową. Wypuścił go i powiedział:

– Czego pan sobie życzy?

– Pan jesteś lord Veterinary, co? Żem widział na znaczkach od
poczty.

Ridcully rozejrzał się wokół. Kilku urzędników Patrycjusza zmie-
rzało ku nim pospiesznie, wraz z kilkoma przyjaciółmi bełkotliwego
mówcy, których w tym momencie można było zdefiniować jako osoby
odrobinę bardziej trzeźwe niż on – i trzeźwiejące w bardzo, bardzo
szybkim tempie, ponieważ kiedy człowiek klepnął tyrana po plecach,
potrzebuje wszystkich przyjaciół, jakich może znaleźć.

Vetinari skinął swoim dżentelmenom, którzy rozplłynęli się w tłu-
mie, po czym pstryknął palcami na kelnera.

– Proszę podać krzesło mojemu nowemu przyjacielowi.

– Jest pan pewien? – spytał Ridcully, gdy podsunęto krzesło męż-

czyźnie, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności i tak już przewracał się do tyłu.

– Znaszy... – tłumaczył – bo mówią, żeś pan jess kawał drania, ale ja tam mówię, że pan masz rassje z tą piłką. Nie ma sso sie tłuss po staremu. Wiem, sso mówię, dwa razy mie w głowę kopnęli.

– Doprawdy? – zdziwił się Vetinari. – A jak brzmi pańskie imię?

– Swithin, szefie.

– A może również nazwisko?

– Dustworthy. – Mężczyzna uniósł palec, jakby salutował. – Kapitan Kogudziobnych Dzików.

– Ach, ostatni sezon nie był dla was udany – zauważył Vetinari. – Potrzebujecie w drużynie świeżej krwi, zwłaszcza odkąd Jimmy Wilkins trafił na Tanty, ponieważ odgryzł komuś nos. Nastroszone Wzgórze przeszło po was spacerkiem, bo straciliście ducha, kiedy obaj bracia Pinchpenny trafili do Lady Sybil. Od trzech sezonów tkwicie w bagnie. Owszem, wszyscy twierdzą, że Harry Capstick dobrze się spisuje, odkąd odkupiliście go od Kopalni Melasy za dwie skrzynki Specjalnie Warzonego Winkle’a i worek boczku. To nieźle jak na kogoś z drewnianą nogą, ale nie ma żadnego wsparcia.

Krąg ciszy narastał wokół Vetinariego i chwiejącego się Swithina. Ridcully rozdziawił usta, a kieliszek brandy Henry’ego pozostał w połowie pełny, co było zjawiskiem niezwykłym dla kieliszka trzymanego w dłoni maga przez czas dłuższy niż piętnaście sekund.

– Słyszałem też, że waszym zapiekankom sporo brakuje, na przykład martwej i ugotowanej zawartości organicznej – mówił Vetinari. – Trudno porwać Ścisk za sobą, kiedy ludzie widzą chodzące samodzielnie zapiekanki.

– Moje chłopaki są najlepssze, jakie ssą – oświadczył Swithin. – To nie ich wina, że sięgale trafiają na lepszych. Nigdy nie mają ssanszy zagrać ss kimś, kogo by mogli pobić. Dają ss ssiebie zsto dwaziesięcia prosent i szecież nie da sie wiensej. Ale jak pan wiesz o tym szyskim? Nie jesteśmy szecież tasy ważni.

– Och, interesuję się tym. Uważam, że piłka nożna jest jak życie.

– Szszerza prawda, szefuniu, szszerza prawda. Szłowiek sie sstara, jak może, a potem dostaje kopa w rosskrok.

– W takim razie mocno zachęcam, byście zainteresowali się nową piłką. W niej chodzi przede wszystkim o szybkość, zwinność i myślenie.

– Jassne, pewno, szysko do załatwienia – zapewnił Swithin i zsunął się z krzesła.

– Czy ten biedak ma tu jakichś przyjaciół? – spytał Vetinari, zwracając się do ogółu gości.

Dała się zauważyć niepewność, czy w tym momencie dobrym pomysłem jest zaliczenie się do przyjaciół Swithina.

Vetinari podniósł głos.

– Chciałbym, żeby dwóch ludzi odprowadziło go do domu. Mają go położyć do łóżka i dopilnować, żeby nie spotkało go nic złego. Może też powinni z nim zostać do rana, bo kiedy się obudzi, może próbować samobójstwa.

* * *

„Nowy świt piłki nożnej”, przeczytała Glenda, kiedy następnego ranka zajrzała do „Pulsu”. Jak mieli w zwyczaju, kiedy pisali o czymś, co uważali za szczególnie ważne, po głównym tytule wstawili jeszcze dwa kolejne, każdy czcionką mniejszą od poprzedniego: „Gracze podpisują nowe reguły” znalazło się w drugiej linii, a w trzeciej „Sukces nowych piłek”.

Ku zaskoczeniu i przerażeniu Glendy Juliet zachowała miejsce na pierwszej stronie – jej obrazek był mniejszy niż wczoraj i opatrzony tytułem „Zniknięcie tajemniczej damy”, a niewielki tekst stwierdzał jedynie, że nikt nie widział tajemniczej modelki, Jewels, od jej debiutu (Glenda musiała sprawdzić to słowo) dwa dni temu. Naprawdę, pomyślała, niezalezienie kogoś ma być nowiną? Była zresztą zdziwiona, że znalazło się miejsce nawet na to, choć prawie całą pierwszą stronę poświęcono piłce, jednak „Puls” lubił zaczynać tu kilka artykułów, a potem – kiedy tylko robiły się ciekawe – przerzucać resztę na stronę 35 albo gdzieś tam, by dożywały swych dni za krzyżówką i regularną reklamą pasów przepuklinowych.

Artykuł wstępny zatytułowany był „Gol dla Vetinariego”. Glenda

normalnie ich nie czytała, ponieważ istniała tylko ograniczona liczba wystąpień słowa „jednakowoż”, jakie skłonna była tolerować w tekście na sto dwadzieścia słów.

Przeczytała za to artykuł z pierwszej strony, z początku ponuro, potem z narastającym gniewem. Upił ich, a oni zrzekli się swojej piłki w zamian za tę nędzną odmianę, przyszykowaną przez pałac i uniwersytet. Oczywiście, decyzja nigdy nie jest prosta. Musiała przyznać, że nienawidziła głupoty obecnej wersji gry. Nie cierpiała idiotycznych bójek i bezmyślnego pchania, ale właśnie po to istniały, by mogła ich nie cierpieć. Ludzie sami coś takiego wymyślili i choć niemądre, należało do nich. A teraz ci ważni znowu zabierali coś cudzego i opowiadali, jakie to wspaniałe. Dawna gra będzie zakazana – to było kolejne małe ostrze w alkoholowej wacie Patrycjusza.

Miała rozmaite podejrzenia co do urny, której obrazek z jakiegoś powodu nadal leżał na kuchennym stole. Twierdzili tam, że oryginalne normy zapisano w prawnym języku, więc kto oprócz bogatego mógł zgadnąć, co naprawdę znaczą? Przebiegła wzrokiem streszczenie nowych zasad. Niektóre reguły ulicznej piłki przetrwały w nich niczym potwory z innej epoki. Rozpoznała tę, którą osobiście zawsze lubiła: piłka będzie nazywana piłką. Piłką jest piłka, która zostanie zagrana jako piłka przez trzech kolejnych graczy, kiedy to staje się piłką. Zachwyciła się, już kiedy przeczytała to po raz pierwszy, ze względu na niezwykłą głupotę sformułowań. Zasadę tę dodano podobno setki lat temu, kiedy pechowo odrąbana głowa wtoczyła się na pole gry i z pewnym roztarznieniem została uznana za piłkę, a to z powodu ciała, wcześniej umocowanego do głowy, a teraz leżącego na oryginalnej piłce. Takie historie zapadają w pamięć, zwłaszcza że po meczu zwycięskiego gola przypisano właścicielowi głowy.

Ta zasada oraz kilka innych pozostały jako ruiny dawnej chwały na liście nowych reguł lorda Vetinariego. Kilka ustępstw wobec dawnej gry, rzuconych na odczepnego opinii publicznej. Nie powinno mu to uść na sucho. Tylko dlatego, że był tyranem i mógł każdego zabić dla kaprysu, ludzie zachowywali się, jakby się go bali. Ktoś powinien mu coś powiedzieć. Świat ostatnio kilka razy stanął na głowie. Glenda nie odzyskała jeszcze orientacji, jednak nagle niezwykle ważne wydało jej się

dopilnowanie, żeby Vetinariemu nie uszło na sucho. Ludzie sami powinni decydować, kiedy są głupi i staroświeccy. Nie będą bogacze im mówić, co trzeba robić.

Z wielką determinacją narzuciła płaszcz na fartuch, a po chwili namysłu wyjęła z kredensu dwa świeżo upieczone ciasteczka z dżemem. Gdzie nie podziała taran, tam często przełamię obronę dobre kruche ciasto.

* * *

W Podłużnym Gabinecie osobisty sekretarz Patrycjusza spojrzął na stoper.

– Niestety, o pięćdziesiąt sekund wolniej od pańskiego rekordu życiowego.

– To wyraźny dowód, że alkohol oglupia, Drumknott – stwierdził surowo lord Vetinari.

– Podejrzewam, że więcej świadectw nie trzeba – zgodził się Drumknott z lekkim sekretarskim uśmieszkiem.

– Chociaż uczciwie chciałbym zauważyć, że Charlotte z „Pulsu” wyrasta na najbardziej przerażającą układaczkę krzyżówek wszech czasów. Co prawda wszyscy tam są dość przerażający, ale ona? Skrótownice, parzyste-nieparzyste, ukryte słowa, odwrócenia, a teraz jeszcze przekątne! Jak ona to robi?

– Pan również to zrobił, sir.

– Ja odgadłem. To o wiele łatwiejsze. – Vetinari wzniosł palec. – To ta kobieta, która prowadzi sklep zoologiczny przy Błonnych Schodach, mogą się założyć. Nie wymieniali jej ostatnio jako zwycięzcy. Musi sama układać te krzyżówki.

– Kobięcy umysł rzeczywiście bywa przebiegły, sir.

Vetinari ze zdziwieniem przyjrzał się sekretarzowi.

– Ależ oczywiście, Drumknott. Musi sobie radzić z męskim. Sądzę...

Ktoś delikatnie zastukał do którychś drzwi. Patrycjusz wrócił do lektury „Pulsu”, a Drumknott wysliznął się z pokoju. Po krótkiej wymianie szeptów wrócił.

– Jak rozumiem, młoda kobieta dostała się do pałacu tylną bramą, przekupując strażników. Przyjęli łapówkę, zgodnie z pańskim stałym poleceniem, wprowadzono ją do przedpokoju i wkrótce odkryje, że wszystkie drzwi są zamknięte. Chce się z panem zobaczyć, jak twierdzi, w celu złożenia skargi. Jest panną służącą.

Vetinari spojrzał nad azetą.

– Przekaż jej, że nic na to nie poradzę. Może, sam nie wiem... może spróbowałaby innych perfum?

– Chodziło mi o to, że należy do klasy służebnej, sir. Nazywa się Glenda Sugarbean.

– Powiedz jej... – Vetinari zawahał się, a potem uśmiechnął. – A tak, Sugarbean. Czy strażników przekupiła jedzeniem? Jakimś wypiekiem może?

– Tak jest, sir! Duże kruche ciastko z dżemem na każdego. Mogę spytać, skąd...?

– Jest kucharką, Drumknott, nie służącą. Wprowadź ją, oczywiście. Sekretarz wydawał się nieco urażony.

– Czy to na pewno rozsądne, sir? Polecilem już strażnikom, żeby wyrzucili jedzenie...

– Jedzenie przygotowane przez Sugarbean? Popeliłeś zbrodnię przeciwko sztuce, Drumknott. Przyjmę ją od razu.

– Muszę przypomnieć, że pański terminarz spotkań jest dzisiaj wypełniony.

– Oczywiście. To twoje zadanie, żeby mi o tym przypominać, i szanuję to. Ale wróciłem do pałacu dopiero o wpół do czwartej rano i wyraźnie pamiętam, że na schodach uderzyłem się w palec u nogi. Jestem pijany jak bela, Drumknott, co oczywiście oznacza, że bela jest tak pijana jak ja. Muszę przyznać, że pojęcie to jest mi obce i do tej pory nie myślałem o belach w takim kontekście, ale Mustrum Ridcully uprzejmie zechciał mnie oświecić. Pozwól mi zatem na chwilę słabości.

– No cóż, jest pan Patrycjuszem, sir – odparł Drumknott.

– Może pan robić, co się panu podoba.

– Miło, że to mówisz, ale nie trzeba mi o tym przypominać – rzekł Vetinari z czymś, co prawie na pewno było uśmiechem.

Kiedy posępny, chudy mężczyzna otworzył drzwi, było już za późno na ucieczkę... Powiedział:

– Jego lordowska mość porozmawia z panią, panno Sugarbean.

I wtedy było już za późno, żeby zemdleć. O czym ona myślała? I czy w ogóle myślała?

Weszła za mężczyzną do innego pokoju, wyłożonego dębowymi panelami i posępnego. Nigdy w życiu nie widziała mniej zagraconego gabinetu. Pokój przeciętnego maga rozmaite obiekty wypełniały tak, że ściany były niewidoczne. Tutaj nawet biurko było puste, poza naczyniem z gęsimi piórami, kałamarzem, rozłożonym egzemplarzem „Pulsu” oraz – Glenda nie potrafiła oderwać od niego wzroku – kubkiem z napisem „Najlepsze Szeffi na świecie”. Tak bardzo tu nie pasował, jakby spadł z innego wszechświata.

Ktoś bezgłośnie postawił za nią krzesło. Przydało się, ponieważ kiedy mężczyzna za biurkiem uniósł głowę, usiadła gwałtownie.

Vetinari rozmasował grzbiet nosa i westchnął.

– Panno... Sugarbean, w tym pałacu są całe pokoje pełne ludzi, którzy chcą się ze mną spotkać. Są to ludzie ważni i potężni, a przynajmniej tak im się wydaje. Jednak pan Drumknott uprzejmie wstawił w plan moich zajęć, przed rozmową z naczelnym poczmistrzem i z burmistrzem Sto Lat, spotkanie z pewną młodą kucharką w płaszczu narzuconym na fartuch i z intencją, jak tu zaznaczono, „wygarnięcia mi”. A to dlatego, że zwracam uwagę na sprzeczności, a pani, panno Sugarbean, jest sprzecznością. Czego pani chce?

– A kto powiedział, że czegoś chcę?

– Każdy czegoś chce, kiedy stanie przede mną. Choćby tego, żeby się znaleźć gdzie indziej.

– No dobrze! Wczoraj wieczorem upił pan wszystkich kapitanów i kazał im podpisać ten list w azecie!

Jego spojrzenie nie drgnęło. Co było o wiele gorsze niż... no, niż cokolwiek.

– Młoda damo, alkohol zrównuje wszystkich ludzi. To ostateczny demokrat, jeśli lubi pani takie rzeczy. Pijany żebrak jest pijany jak

książę, a książę również. Czy zauważyła pani, że wszyscy pijacy rozumieją się nawzajem, niezależnie od tego, jak bardzo są pijani i jak różnią się ich języki? Przyjmuję za pewnik, że jest pani spokrewniona z Augustą Sugarbean?

Pytanie doczepione do pochwał pijaństwa trafiło ją między oczy i rozrzuciło myśli.

– Co? Ach... No tak. Była moją babką.

– I za młodych lat pracowała jako kucharka w Gildii Skrytobójców?

– Zgadza się. Zawsze żartowała, jak to nie pozwalała im używać...

Urwała nerwowo, ale Vetinari dokończył za nią.

– ...swoich ciasteczek do trucia ludzi. A my zawsze jej słuchaliśmy, ponieważ rozumie pani, że nikt nie chce irytować dobrej kucharki. Czy nadal jest wśród nas?

– Umarła dwa lata temu.

– Ale ponieważ jest pani jej wnuczką, nie wątpię, że zyskała pani kilka nowych babek na zastępstwo? Pani babcia zawsze była podporą dla społeczności, a pani też przecież dla kogoś nosi te smakołyki...

– Nie wie pan tego, tylko pan zgaduje. Ale rzeczywiście, są dla tych staruszek, które rzadko wychodzą z domu. Zresztą to przecież taki dodatek do pensji.

– Ależ oczywiście. Każda praca daje jakieś przywileje. Nie spodziewam się, na przykład, żeby ten oto Drumnott choć raz w życiu kupił spinacz do papieru. Co, Drumnott?

Sekretarz, układający z tyłu papiery, uśmiechnął się blade.

– Przecież zabieram tylko resztki... – zaczęła Glenda, ale Patrycjusz machnął ręką.

– Przyszła tu pani w sprawie piłki – stwierdził. – Podawała pani wczoraj przy bankiecie, choć uniwersytet lubi, żeby służące przy takiej okazji były szczupłe. Mam oko do takich rzeczy. Zakładam więc, że postanowiła pani znaleźć się tam, nie zawracając głowy swoim zwierzchnikom. Dlaczego?

– Pan zabiera im ich piłkę!

Patrycjusz złożył palce dłoni i oparł o nie brodę.

Stara się mnie zdenerwować, pomyślała Glenda. I to działa, doskonale działa...

Vetinari przerwał ciszę.

– Pani babka często myślała za innych ludzi. To cecha rodzinna, zawsze występująca w linii żeńskiej. Rozsądne kobiety, krzątające się w świecie, gdzie każdy wydaje się mieć siedem lat i bez przerwy przewraca się na podwórku, więc podnoszą go i patrzą, jak biegnie z powrotem. Domyślałam się, że kieruje pani nocną kuchnią? W tej dużej jest zbyt wiele osób. Woli pani przestrzenie, które można kontrolować, i leżące poza bezpośrednim zasięgiem durniów.

Gdyby dodał „Mam rację?”, niczym jakiś szukający uznania samochwała, wtedy by go znienawidziła. Ale on odczytywał ją z wnętrza jej własnej głowy, spokojnie i rzeczowo. Starła się opanować drżenie, ponieważ wszystko, co powiedział, było prawdą.

– Nikomu niczego nie zabieram, panno Sugarbean. Ja tylko zmieniam podwórko – mówił dalej. – Jaka to sztuka, kiedy tłum przepycha się i napiera? To jedynie metoda wyciskania potu. Nie; musimy nasłuchiwać pulsu nowych czasów. Wiem też, że „Puls” słucha mnie. Kapitanowie będą narzekać, to jasne, ale oni się starzeją. Zginać podczas meczu to romantyczna koncepcja, kiedy jest się młodym, ale kiedy przybędzie lat, człowiek woli, by but trafił w inne ucho. Wiedzą o tym, nawet jeśli nie chcą tego przyznać, i chociaż będą protestować, dopilnują, żeby nie traktowano ich poważnie. Prawdę mówiąc, daleki jestem od odbierania czegokolwiek; wręcz przeciwnie, wiele im daję: akceptację, uznanie, pewną pozycję, prawie złoty puchar oraz szansę zachowania resztek zębów.

Jedyne, co zdołała wykrztusić, to:

– No tak, ale ich pan oszukał!

– Naprawdę? Nie musieli przecież pić tak dużo.

– Wiedział pan, że będą pić tyle.

– Nie. Podejrzewałem, że mogą. Mogli przecież być ostrożniejsi. Powinni być ostrożniejsi. Wolę uważać, że aby poprowadzić ich właściwą ścieżką, wykorzystałem drobny podstęp, zamiast pędzić ich tam kijem. Dysponuję wieloma odmianami kijów, panno Sugarbean.

– I jeszcze mnie pan szpieguje! Wiedział pan o resztkach!

– Szpiegowałem? Droga panno Sugarbean, mówiono kiedyś o wielkim księciu, że każdą myśl poświęca swemu ludowi. Jak on, ja

również dbam o swój lud. Tyle że jestem w tym lepszy. Co do resztek z kuchni, była to prosta dedukcja ze znanych faktów na temat ludzkiej natury.

Glenda chciała jeszcze wiele powiedzieć, ale w jakiś bardzo wyraźny sposób wyczuwała, że rozmowa – a przynajmniej ta jej część, która uwzględniała otwieranie przez nią ust – dobiegła końca. Mimo to odezwała się jeszcze.

– Dlaczego pan nie jest pijany?

– Słucham?

– Waży pan chyba o połowę mniej niż oni, a oni wszyscy wrócili do domów na taczkach. Pan wypił tyle samo, a jednak jest pan świeży jak stokrotka. Na czym polega ta sztuczka? Kazał pan magom, żeby wy-
czarowali panu piwo z żołądka?

Już dawno przestała igrać z losem. Teraz los wyrwał się spod kontroli niczym spłoszony koń pociągowy, który nie może się zatrzymać z powodu ciężkiego ładunku, który pędzi za nim, turkoczając i podskakując.

Vetinari zmarszczył czoło.

– Droga pani, człowiek tak pijany, by pozwolić magom... którzy zresztą sami obficie korzystali z owoców winnych pnączy... usuwać coś z siebie, byłby już pijany tak bardzo, że właściwie martwy. Uprzedzając następną pani uwagę, technicznie rzecz biorąc, chmiel także jest pnączem. I w rzeczywistości jestem pijany. Czyż nie, Drumknott?

– Istotnie, spożył pan dwanaście kuflów bardzo mocnego słodowego napoju, sir. Technicznie rzecz biorąc, musi pan być pijany.

– Specyficznie to ująłeś, Drumknott. Dziękuję.

– Ale nie zachowuje się pan jak pijany!

– Nie, gdyż całkiem dobrze udaję trzeźwego, nie sądzi pani? I muszę się przyznać, że dzisiejsza krzyżówka była ciężką próbą. Prokatalepsja i pleonazm jednego dnia? Musiałem użyć słownika! Ta kobieta jest potworem! Niezależnie od tego, dziękuję pani za wizytę, panno Sugarbean. Z wielką sympatią wspominam jej odsmażane ziemniaki z kapustą. Gdyby była rzeźbiarką, danie to byłoby przepięknym posągami, bez rąk i z tajemniczym uśmiechem. Szkoda, że niektóre arcydzieła są tak nie-
trwałe.

Dumna kucharka w Glendzie wzniosła się niepowstrzymanie.

– Jednak przekazała mi przepis...

– Dziedzictwo lepsze od klejnotów. – Vetinari pokiwał głową.

Prawdę mówiąc, kilka klejnotów też by się przydało, uznała Glenda. Ale w końcu miała tajemnicę odsmażanych ziemniaków z kapustą, a jej nie trzeba chować w sejfie. Taka tajemnica jest całkiem odkryta i dlatego łatwa do przeoczenia. Co do sekretów sałatki Salmagundi...

– Sądzę, że audiencja dobiegła końca, panno Sugarbean – rzekł Vetinari. – Mam jeszcze bardzo wiele pracy, podobnie jak pani, nie wątpię. – Sięgnął po pióro i zaczął przeglądać leżące przed nim dokumenty. – Żegnam, panno Sugarbean.

I to wszystko. W jakiś sposób znalazła się za drzwiami i już prawie zamknęła je za sobą, kiedy usłyszała jeszcze:

– I dziękuję pani za dobroć okazaną Nuttowi.

Drzwi zatrzasnęły się z kliknięciem, niemal trafiając ją w twarz, kiedy błyskawicznie się odwróciła.

* * *

– Czy mądre było, że to powiedziałem? – zapytał Vetinari, kiedy Glenda wyszła.

– Być może nie. Zapewne pomyśli, że ją obserwujemy – odparł gładko Drumknott.

– Możliwe, że by należało. Takie są właśnie kobiety Sugarbeanów, Drumknott: pokorne domowe niewolnice, dopóki nie uznają, że komuś dzieje się krzywda, bo wtedy ruszają do boju jak królowa Ynci z Lancre, aż wirują koła rydwanu, a ręce i nogi fruwią na wszystkie strony.

– Nie miała ojca – zauważył Drumknott. – To niedobrze dla dziecka w naszych czasach.

– Sprawilo tylko, że jest twardsza. Możemy jedynie mieć nadzieję, że nie wpadnie na pomysł zajęcia się polityką.

– Czy nie to właśnie robi, sir?

– Celna uwaga, Drumknott. Czy wyglądam na pijanego?

– Moim zdaniem nie, sir. Choć jest pan nietypowo... gadatliwy.

– Logicznie?

– Do najdrobniejszych szczegółów, sir. Poczmistrz już czeka, sir, a kilku przewodniczących gildii pilnie chce się z panem spotkać.

– Podejrzewam, że pragną grać w piłkę.

– Tak. Zamierzają sformować drużyny. I w żaden sposób nie mogę zrozumieć dlaczego.

Vetinari odłożył pióro.

– Drumknott, gdybyś zobaczył piłkę leżącą zapraszająco na ziemi, kopnąłbyś ją?

Sekretarz zmarszczył brwi.

– To zależy, jak owo zaproszenie byłoby sformułowane.

– Przepraszam?

– Czy na przykład byłoby notką przymocowaną do piłki przez nieznaną osobę bądź osoby.

– Skłaniałem się raczej ku koncepcji, iż mógłbyś zwyczajnie poczuć się tak, jakby cały świat bezgłośnie cię zachęcał, żeby mocno ją kopnąć.

– Nie, sir. Jest zbyt wiele niewiadomych. Jakiś nieprzyjaciel albo żartowniś mógłby podejrzewać, że podejmę tego rodzaju działanie, i wykonał piłkę z betonu lub podobnego materiału w nadziei, że doznam groźnego lub zabawnego urazu. Dlatego najpierw bym sprawdził.

– A potem, gdyby wszystko było jak należy, kopnąłbyś piłkę?

– A co chciałbym tym osiągnąć bądź zyskać?

– Ciekawe pytanie. Przypuszczam, że celem byłoby doznanie radości na widok jej w locie.

Drumknott rozważał to przez chwilę.

– Przykro mi, sir, ale w tym miejscu chyba się zgubiłem.

– Ach, jesteś skalnym filarem w świecie przemian, Drumknott. Brawo.

– Zastanawiałem się jeszcze, czy mógłbym ewentualnie coś dodać, sir... – rzekł z powagą sekretarz.

– Scena należy do ciebie, Drumknott.

– Nie chciałbym, by uważano, że nie kupuję sobie spinaczy, sir. Lubię mieć własne spinacze. To znaczy, że są moje. Uznałem, że może pomóc, jeśli poinformuję pana o tym spokojnie i niekonfrontacyjnie.

Przez kilka chwil Vetinari patrzył w sufit, po czym rzekł:

– Dziękuję za szczerą. Uznam tę kwestię za wyjaśnioną, a sprawę

za zamkniętą.

– Dziękuję, sir.

* * *

Gdy miasto było pobudzone, oszołomione albo wystraszone, gromadziło się na placu Sator. Ludzie, którzy właściwie nie mieli pojęcia, dlaczego to robią, zbierali się, by słuchać innych ludzi, którzy też nic nie wiedzieli, zgodnie z zasadą, że ignorancja dzielona to ignorancja podwajana. Dzisiejszego ranka stały tam grupki mieszkańców, było też kilka naprędce zebranych drużyn, albowiem zapisane jest, a raczej nabazgrane gdzieś na murze, że gdziekolwiek zbierze się dwóch lub więcej, tam znajdzie się coś do kopania. Blaszone puszk i ciasno zwinięte kule szmat irytowały dorosłych ze wszystkich stron. Jednak kiedy Glenda podeszła bliżej, otworzyły się wielkie wrota uniwersytetu i wyszedł Myślak Stibbons, dość niefachowo odbijając jedną z tych przeklętych nowych skórzanych piłek.

Gloing!

Cisza dzwoniła, kiedy toczące się puszki brzęczały zapomniane. Wszystkie oczy wpatrywały się w maga i piłkę. Rzucił ją i rozległo się podwójne „gloing!”, kiedy odbiła się od kamieni bruku. A potem ją kopnął. Było to trochę niezgrabne kopnięcie (jak na kopnięcie), ale nikt z obecnych na placu nigdy jeszcze nie kopnął niczego nawet na dziesiątą część tego dystansu. I każdy osobnik płci męskiej popędził za nią, popychany odwiecznym instynktem.

Wygrali, pomyślała smętnie Glenda. Piłka, która robi „gloing!”, gdy inne robią „stuk”. Jaka to walka?

Ruszyła do tylnego wejścia. W świecie, który stawał się zbyt skomplikowany, w którym mogła wdrzeć się do tyrana o czarnym sercu i wyjść od niego cała i zdrowa, musiała znaleźć jakieś miejsce, które nie wirowało. Nocną kuchnię znała jak własną sypialnię, była jej dziedziną, pod jej władzą. W nocnej kuchni mogła się zmierzyć ze wszystkim.

Jakiś osobnik stał oparty o mur obok pojemników na śmieci. Z jakichś powodów Glenda rozpoznała go natychmiast, mimo długiego

płaszcz i naciągniętego na oczy runda kapelusza. Nikt, kogo znała, nie potrafił rozluźnić się tak jak Pepe.

– Siema, Glendo – odezwał się głos spod kapelusza.

– Co tu robisz? – spytała.

– Wiesz, jak trudno kogoś znaleźć w tym mieście, jeśli nie można nikomu powiedzieć, jak wygląda, i człowiek nie jest całkiem pewien, czy dobrze zapamiętał nazwisko? – odparł Pepe. – Gdzie jest Julia?

– Nie wiem. Nie widziałam jej od wczorajszego wieczoru.

– Może naprawdę warto ją znaleźć, zanim zrobią to inni.

– Jacy inni? – zdziwiła się Glenda.

Pepe wzruszył ramionami.

– Wszyscy – mruknął. – Szukają jej głównie w dzielnicach krasnoludów, ale to tylko kwestia czasu. W naszym salonie ruszyć się przez nich nie można i ledwie zdołałem się wyknąć.

– Dlaczego jej szukają? – W Glendzie narastała panika. – Czytałam w azecie, że ludzie próbują ją znaleźć, ale przecież nie zrobiła nic złego!

– Nie sądzę, żebyś dobrze rozumiała, co się dzieje – stwierdził (prawdopodobnie) krasnolud. – Chcą z nią porozmawiać, zadać mnóstwo pytań.

– Czy to ma jakiś związek z lordem Vetinarim? – zapytała Glenda podejrzliwie.

– Nie wydaje mi się.

– A jakie to pytania?

– No wiesz... Jaki jest twój ulubiony kolor? Co lubisz jeść? Czy jesteś z kimś związana? Jakiej rady udzieliłabyś dzisiejszym młodym ludziom? Używasz wosku? Gdzie czeszesz włosy? Czy masz ulubioną łyżkę?

– Ona chyba nie ma ulubionej łyżki – zapewniła Glenda, czekając, aż świat nabierze sensu.

Pepe poklepał ją po ramieniu.

– Posłuchaj... Była na pierwszej stronie azety, tak? I „Puls” ciągle nas naciska, bo chcą zrobić z nią wywiad o jej stylu życia. Niekoniecznie to złe, ale decyzja należy do was.

– Nie wydaje mi się, żeby ona miała styl życia – odpowiedziała trochę oszołomiona Glenda. – Nic mi nie mówiła. I nie używa wosku.

Rzadko nawet wyciera kurze. Zresztą powiedz im zwyczajnie, że nie chce z nikim rozmawiać.

Pepe zrobił dziwną minę, a potem powiedział ostrożnie, jak człowiek (albo krasnolud), który chce się przebić przez mur różnic kulturowych.

– Myślisz, że mówiłem o meblach?

– A o czym innym? I uważam, że jej domowe obowiązki nie powinny nikogo interesować.

– Nie rozumiesz? Jest popularna i im więcej tłumaczymy ludziom, że nie mogą z nią porozmawiać, tym bardziej chcą; im częściej mówisz „nie”, tym bardziej się nią interesują. Ludzie chcą wiedzieć o niej wszystko...

– Na przykład jaką ma ulubioną łyżkę?

– Może to było nieco ironiczne – przyznał Pepe. – Ale piszący do azet szukają jej wszędzie, a „BąBelki” chcą o niej zrobić dwie kolumny...

– przerwał. – To znaczy, że napiszą o niej i to zajmie dwie strony – wytłumaczył uprzejmie. – Dolny król krasnoludów uznał ją za ikonę naszych czasów. Tak twierdzi „Satblatt”.

– Co za „Satblatt”?

– No, taka krasnoludzka azeta. Pewnie nigdy jej nie zobaczysz.

– Ale przecież Juliet tylko wystąpiła na pokazie mody! – jęknęła Glenda. – Chodziła sobie tam i z powrotem! I na pewno nie podobałoby się jej to zamieszanie.

Pepe spojrzał na nią ostro.

– Jesteś pewna?

Wtedy naprawdę zastanowiła się nad Juliet, która „BąBelki” czytała od deski do deski, ale „Puls” zwykle obchodziła z daleka. I pochłaniała te bzdury o ludziach lekkomyślnych i niemądrych. Ludziach, którzy błyszczą.

– Nie wiem, gdzie ona jest – zapewniła. – Naprawdę od wczoraj jej nie widziałam!

– Aha, tajemnicze zniknięcie... – Pepe westchnął. – Do naszego sklepu docierają już takie wieści. Możemy przejść w jakieś spokojniejsze miejsce? Mam nadzieję, że żaden mnie tu nie śledził.

– No, mogę cię przemycić przez tylne drzwi, o ile nie będzie tam pedla.

– Nie ma sprawy. Jestem przyzwyczajony do takich zabaw.

Poprowadziła go przez drzwi, w labirynt piwnic i podwórek, dość ciekawie kontrastujący z pięknym frontem Niewidocznego Uniwersytetu.

– Masz coś do picia? – spytał z tyłu Pepe.

– Wodę – burknęła Glenda.

– Będę pić wodę, kiedy ryby zaczną z niej wychodzić na siku, ale dzięki za propozycję.

Glenda poczuła dochodzący z nocnej kuchni zapach pieczenia. A przecież tylko ona piekła w swojej kuchni! Nikomu więcej nie wolno piec w jej kuchni! Pieczenie należy do niej! Tylko do niej!

Wbiegła po schodach, z Pepe następującym jej na pięty. Zauważyła, że tajemnicza kucharka nie opanowała jeszcze drugiej najważniejszej zasady kuchni, to znaczy sprzątania po sobie. Panował tu straszny bałagan. Na podłodze leżały nawet grudki ciasta. Prawdę mówiąc, kuchnia wyglądała, jakby ogarnęło ją jakieś szaleństwo. A pośrodku tego wszystkiego, zwinięta na starym i trochę cuchnącym fotelu Glendy, leżała Juliet.

– Jak Śpiąca Królewna, prawda? – odezwał się Pepe.

Glenda nie słuchała go, idąc szybko wzdłuż rzędu piekarników.

– Robiła zapiekanki! Skąd jej przyszło do głowy, żeby robić zapiekanki? Zapiekanki nigdy jej nie wychodziły...

... Bo nigdy jej nie pozwalałam próbować zapiekanek, powiedziała sobie.

A to z kolei dlatego, że kiedy tylko napotykała jakieś trudności, odbierałaś jej pracę i sama ją robiłaś, przypominał karcąco wewnętrzny głos.

Otwierała jedne drzwiczki piekarnika po drugich. Zjawili się w samą porę. Sądząc po zapachu, kilka tuzinów rozmaitych zapiekanek dojrzało już do wyjęcia – Co z drinkiem? – zapytał Pepe, którego pragnienie nigdy nie umierało. – Na pewno jest tu brandy. W każdej kuchni jest gdzieś schowana brandy.

Patrzył, jak Glenda chwytając zapiekanki przez fartuch i wyciąga z pieców. On traktował je z obojętnością człowieka, który woli pić swoje posiłki. Słuchał więc wygłaszanego półgłosem monologu, a zapiekanka

po zapiekance ładowała na blacie stołu.

– Nie kazałam jej tego robić... Dlaczego się do tego wzięła? – Bo jej powiedziałam, żeby to zrobiła, w pewnym sensie. – I to nie są takie złe zapiekanki – dodała głośniejszym głosem. I ze zdziwieniem.

Juliet otworzyła oczy, rozejrzała się sennie, a potem jej twarz stężała z przerażenia.

– Spokojnie, wyjęłam je – uspokoiła ją Glenda. – Całkiem udane.

– Nie miałam nic do roboty, a Trev był zajęty piłkowaniem, no i sobie pomyślałam, że na jutro przydadzą ci się zapiekanki, więc lepiej trochę zrobić... – tłumaczyła się Juliet. – Przepraszam.

Glenda odstąpiła o krok. Jak zacząć? – zastanawiała się. Jak rozplątać to wszystko, a potem splątać z powrotem, tylko w lepszym kształcie, ponieważ wcześniej się myliłam? U Shwatty Juliet nie tylko chodziła tam i z powrotem w różnych ubraniach, ale też stała się marzeniem. Marzeniem o ubraniach. Roziskrzonym, żywym i kusząco realnym. A we wspomnieniach Glendy z pokazu mody dosłownie jaśniała, jakby rozświetlona od wewnątrz. Była w tym jakaś magia, która nie powinna szykować zapiekanek. Odchrząknęła.

– Nauczyłam cię wielu rzeczy, prawda, Juliet?

– Tak, Glendo – przyznała Juliet.

– I zawsze się przydawały, prawda?

– Tak, Glendo. Pamiętam, że to ty mi kazałaś zawsze trzymać rękę na mojej półpensówce, i bardzo ci jestem wdzięczna.

Pepe wydał z siebie jakiś dziwny odgłos. Glenda – czując, że jej twarz oblewa się czerwienią – nie śmiała na niego spojrzeć.

– Więc teraz też mam dla ciebie radę, Juliet.

– Tak, Glendo?

– Po pierwsze, nigdy nie przepraszaj za coś, co nie wymaga przepraszania. A przede wszystkim nie przepraszaj za to, że jesteś sobą.

– Tak, Glendo.

– Zrozumiałaś?

– Tak, Glendo.

– Cokolwiek się stanie, zawsze pamiętaj, że umiesz zrobić dobrą zapiekankę.

– Tak, Glendo.

– Pepe przyszedł tutaj, gdyż „BaBelki” chcą coś o tobie napisać. Twój obrazek znów był dziś rano w azecie i... – Glenda urwała. – Nic jej nie grozi, prawda? – spytała.

Pepe znieruchomiał w trakcie dyskretnego wyjmowania butelki z kredensu.

– Co do tego możesz zaufać mnie i madame. Tylko ludzie wyjątkowo godni zaufania mogą sobie pozwolić, żeby wyglądać na tak niegodnych zaufania jak madame i ja.

– I będzie musiała tylko pokazywać ubrania... Nie pij tego, to jest ocet winny!

– Wypiję jedynie tę część z winem – wyjaśnił. – Tak, ma tylko pokazywać ubrania, ale sądząc po tym tłumie u nas w pracowni, znajdą się tacy, którzy zechcą, by pokazywała też buty, kapelusze, fryzury...

– Żadnego migdalenia – ostrzegła Glenda.

– Nie wierzę, żebyś gdziekolwiek na świecie znalazła lepszego eksperta zarówno w migdaleniu, jak i innych bakaliach, niż madame. Prawdę mówiąc, byłbym zdumiony, gdybyś ty sama, Glendo, знаła choć setną część tego migdalenia co ona, zwłaszcza że sporą część tego sama wymyśliła. Ale że potrafimy je rozpoznać, będziemy uważali.

– Ma też porządnie się odżywiać i odpowiednio wysypiać.

Pepe kiwnął głową, choć Glenda podejrzewała, że obie te koncepcje były mu całkiem obce.

– I należycie zarabiać – dodała.

– Damy jej procent zysków, jeśli będzie pracować wyłącznie dla nas – oświadczył Pepe. – Madame chciałaby z tobą o tym porozmawiać.

– Tak, ktoś mógłby zechcieć jej płacić więcej niż wy...

– No, no, no... jak szybko się uczymy! Jestem pewien, że rozmowa z tobą sprawi madame wiele radości.

Juliet spoglądała to na jedno, to na drugie, wciąż z zaspą twarzą.

– Chcesz, żebym wróciła do salonu?

– Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek – odparła Glenda. – Sama musisz zdecydować. Ale uważam, że jeśli zostaniesz tutaj, to właściwie nie będziesz robiła nic oprócz zapiekanek.

– No, nie tylko zapiekanki – zaprotestowała Juliet.

– Nie, oczywiście, są jeszcze ciasta, babeczki i rozmaite nocne

przekąski. Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Z drugiej strony możesz tam pójść, pokazywać te niezwykle suknie, jeździć w niezwykle i bardzo dalekie miejsca, poznawać mnóstwo nowych ludzi, a jak już wszystko okłapnie, zawsze możesz to przerobić na zapiekanki.

– To niezłe – stwierdził Pepe, który znalazł kolejną butelkę.

– Naprawdę chciałabym pojechać – oświadczyła Juliet.

– No to ruszaj. Ale od razu, a przynajmniej jak tylko on skończy pić keczup.

– Muszę przecież wrócić po swoje rzeczy!

Glenda sięgnęła pod bluzkę i wyjęła ciemnoczerwoną książeczkę z godłem Ankh-Morpork.

– Co to jest? – zdziwiła się Juliet.

– Twoja książeczka bankowa. Twoje pieniądze są bezpiecznie złożone w banku i możesz je stamtąd wyjąć, kiedy tylko zechcesz.

Juliet obracała książeczkę w dłoniach.

– Chyba jeszcze nikt z mojej rodziny nie był w banku... No, poza wujkiem George'em, ale złapali go, zanim jeszcze wrócił do domu.

– Nie opowiadaj o tym. Nie idź do domu. Kup sobie dużo nowych rzeczy. Ustaw się jakoś, dopiero wtedy wróć do ojca i do wszystkich. Chodzi o to, że jeśli zostaniesz, w głębi serca zawsze będziesz żałować. Nie ma na co czekać. Ruszaj. Działaj. Wspinaj się... Wszystko, co powinnaś.

– A co z Trevem? – spytała Juliet.

Glenda musiała się nad tym zastanowić.

– A jak to wygląda z tobą i Trevem? Widziałam, że wczoraj rozmawialiście.

– Rozmawiać przecież wolno! – broniła się Juliet. – Zresztą mówił mi tylko, że chce się postarać o lepszą pracę.

– Co zrobić? – nie dowierzała Glenda. – Przecież on ani dnia uczciwie nie przepracował przez te wszystkie lata, kiedy go znam.

– Mówił, że musi czegoś poszukać. I że Nutt mu poradził. Powiedział, że Nutt mu powiedział, że kiedy Trev odkryje, kim Trev jest, jakby, to wtedy, znaczy, dowie się, czego może dokonać. Więc mu powiedziałam, że jest Trevorem Likelyem, a on mi na to, no wiesz, że pomogło.

Nie do wiary, uznała Glenda. Ale przecież opowiadałam o zmianach i wyjściu na świat, więc muszę uwzględnić możliwość, że on też może się zmienić.

– To zależy od ciebie. Wszystko zależy od ciebie. Pamiętaj tylko, że ma trzymać ręce przy sobie.

– On zawsze trzyma ręce przy sobie – odparła Juliet. – Trochę mnie to martwi. Nigdy jeszcze nie musiałam kopnąć go kolaniem, ani razu.

Pepe wydał z siebie zduszony śmiech. Przed chwilą odkrył sos wowwow; butelka była już prawie pusta, a on w teorii nie powinien mieć żołądka.

– Nigdy nigdy? – upewniła się Glenda, zdumiona tą niesamowitą historią.

– Nigdy. Zawsze jest bardzo grzeczny i chyba trochę smutny.

Co pewnie znaczy, że coś kombinuje, odpowiedział wewnętrzny głos Glendy.

– To już twoja sprawa – powiedziała Glenda. – Nie mogę ci pomóc, ale pamiętaj, w ostateczności zawsze masz kolano.

– A co z...? – zaczęła znowu Juliet.

– Słuchaj... – przerwała jej Glenda. – Albo odejdziesz teraz, ruszysz w świat, zarobisz mnóstwo pieniędzy, zobaczysz swoje obrazki w azetach i zrobisz wszystkie te rzeczy, które wiem, że zawsze chciałeś zrobić, albo musisz sama się wszystkim zająć.

– Jeszcze przez jakiś czas zostaniemy w mieście – uspokoił ją Pepe. – Wiesz, ten sos byłby całkiem niezły, gdyby wlać do niego odrobinę wódki. Dodałaby mu trochę pikanterii. Trochę błysku. Chociaż, jeśli się zastanowić, dużo wódki byłoby jeszcze lepsze.

– Ale ja go kocham! – jęknęła Juliet.

– No to w porządku, zostań – rzekła Glenda. – Pocałowaliście się chociaż?

– Nie! Nigdy jakoś do tego nie doszedł.

– Może należy do tych dżentelmenów, którzy nie lubią kobiet? – zasugerował Pepe.

– Naprawdę damy sobie radę bez twoich propozycji – burknęła Glenda.

– Przy niektórych innych, na przykład takim Wrednym Johnnym,

prawie sobie kolano odbiłam, ale Trev jest tylko... słodki, cały czas.

– Słuchaj, rozumiem, że kazałaś mi się nie wtrącać, i wiem, że byłem strasznym grzesznikiem, i mam nadzieję nadal nim pozostać, ale bywałem w różnych domach częściej niż listonosz i moim zdaniem powody tego im pasa są oczywiste – oświadczył Pepe. – Chłopak ma dość rozumu, by wiedzieć, że ona jest piękna i powinno się ją namalować stojącą gdzieś na jakiejś muszli bez bluzki, z tłustymi różowymi dzieciaczkami w niewyjaśniony sposób fruującymi wszędzie dookoła, a on ma tylko trochę sprytu i doświadczenia z ulicy. Znaczy, to nie ma sensu, prawda? On nie ma żadnej szansy i wie o tym, nawet jeśli nie zdaje sobie sprawy z tego, że wie.

– Dałabym mu buzi, gdyby chciał – zapewniła Juliet. – I na pewno bym go nie kopnęła w stukacza.

– Musisz to jakoś rozwiązać – orzekła Glenda. – Ja tego za ciebie nie załatwię. Gdybym spróbowała, byłoby załatwione całkiem nie tak.

– Ale... – zaczęła Juliet.

– Nie, to już wszystko. Ruszaj i kup sobie dużo ładnych rzeczy, to w końcu twoje pieniądze. A jeśli pan się nią nie zaopiekuje, panie Pepe, kolano będzie tylko na początek.

Pepe kiwnął głową i bardzo delikatnie pociągnął Juliet do schodów.

Co bym zrobiła w tym momencie, gdybym była w romansowej powieści? – spytała samą siebie Glenda, kiedy ucichły ich kroki. Lektury uczyniły ją właściwie ekspertem tego, co należy robić w romansie. Jednakże jedną z rzeczy, które w romansach najbardziej ją denerwowały – z czego zwierzyła się panu Kiwaczkowi – to dlaczego właściwie nikt tam niczego nie gotował? W końcu kuchnia jest ważna. Co by komu przeszkadzała scena szykowania zapiekanki? Czy powieść zatytułowana „Duma i pieczenie” byłaby całkiem wykluczona? Nawet kilka wskazówek co do przygotowania babeczek poprawiłoby sytuację, a poza tym pasowałyby do epoki. Byłaby chyba szczęśliwsza, nawet gdyby opisywani kochankowie wpadli do makutry życia. Przynajmniej dowodziłoby to uznania faktu, że ludzie czasami coś jedzą.

Mniej więcej teraz, jak wiedziała – wiedziała całym swoim jestwem – powinna rozpyływać się już we łzach. Zaczęła ścierać podłogę. Potem oczyściła piekarniki – zawsze aż łśniły, ale to nie powód, żeby nie

wyczyścić ich raz jeszcze. Użyła starej szczoteczki do zębów, by usunąć brud z różnych zakamarków. Każdy garnek wyszorowała drobnym piaskiem, wyczyściła grille, opróżniła popielniki, zamiotła podłogę, związała razem dwie miotły, żeby sprzątnąć pajęczyny pod sufitem, a potem znów szorowała, aż woda z mydłem spłynęła po kamiennych schodach i zmyła ślady stóp.

A tak, jeszcze coś – na bloku lodowym miała trochę anchois. Rozgrzała kilka i zaniosiła do dużego trójnożnego kociołka w kącie pomieszczenia, na którym zeszłej nocy wypisała kredą „Nie dotykać!”. Zdjęła pokrywkę i zajrzała w głąb. Krab, którego wczoraj – choć wydawało się, że o wiele dawniej – dostała od Verity Pushpram, pomachał do niej okiem.

– Co by się stało, gdybym zostawiła odkryty kociołek? – zapytała głośno. – Ciekawe, jak szybko uczą się kraby.

Wrzuciła do środka wilgotne anchois, które spotkały się chyba z krabią aprobatą. Załatwiwszy tę sprawę, stanęła na środku kuchni i rozejrzała się, szukając czegoś jeszcze do wyczyszczenia. Czarne żelazo pieców nigdy nie będzie błyszczało, ale wszystkie ich powierzchnie zostały wyszorowane i osuszone. Co do talerzy, można było z nich jeść. Jeśli człowiek chciał, żeby praca była porządnie wykonana, musiał sam się nią zająć. W wersji Juliet czystość leżała o krok od boskości, inaczej mówiąc, była kapryśna, przekraczająca zrozumienie i rzadko widywana.

Coś musnęło jej twarz. Odruchowo machnęła ręką i chwyciła w dłoń czarne pióro. Znowu te paskudne stwory w rurach... Ktoś powinien się nimi zająć.

Chwyciła najdłuższą miotłę i wałnęła w rurę.

– Dość tego! Wynoście się stąd! – krzyknęła.

W ciemności zabrzmiały szurania i ciche „Aik! Aik!”.

–... szepaszam, panienko – odezwał się głos.

Spojrzała ze schodów na niekształtną twarz tego... no, jak mu na imię? A tak.

– Dzień dobry, panie Betonie – powitała trolla. Zauważyła u niego brunatne plamy pod nosem.

– Nie mogię znaleźć pana Treva – oznajmił Beton.

– Nie widziałam go cały ranek – odparła Clenda.

- Nie mogię znaleźć pana Treva – powtórzył troll głośniej.
- Czemu pan go szuka? – spytała.

O ile wiedziała, kadzie działały właściwie same. Mówiło się Betonowi, żeby ściekał świece, a on ściekał świece, aż skończyły mu się świece.

- Pan Nutt chory – wyjaśnił Beton. – Nie mogię znaleźć pana Treva.
- Zaprowadź mnie do pana Nutta, ale już! – poleciła Glenda.

* * *

Trochę nieładnie jest nazwać kogokolwiek mętem, ale ludzie, którzy mieszkali i pracowali przy kadziach, idealnie pasowali do tego określenia. Te kadzie były korytem, gdzie się zbierali. Jeśli widziało ich się gdziekolwiek w podziemnym labiryncie, zawsze dreptali bardzo szybko, ale zwykle tylko pracowali, spali i utrzymywali się przy życiu. Nutt leżał na starym materacu. Glenda raz tylko na niego spojrzała.

- Idź szukać pana Treva – poleciła Betonowi.
- Nie mogię znaleźć pana Treva – przypomniał troll.

– Szukaj dalej! – Przyklęknęła obok Nutta. Wywrócił oczy, jakby patrzył do wnętrza własnej głowy. – Panie Nutt, słyszy mnie pan?

Zdawał się budzić.

– Musi panienka odejść – szepnął. – Będzie bardzo niebezpiecznie. Drzwi się otworzą.

– A jakie to drzwi? – Starła się mówić pogodnie. Spojrzała na męty obserwujące ją z niepewną zgrozą. – Czy któryś może coś przynieść, żeby go przykryć?

Samo pytanie sprawiło, że rozbiegli się w panice.

- Zobaczyłem drzwi, a więc otworzą się znowu – rzekł Nutt.
- Nie widzę tu żadnych drzwi.

Szeroko otworzył oczy.

– Są w mojej głowie.

Przy kadziach nie było mowy o odosobnieniu. Stanowiły tylko szersze pomieszczenie przy nieskończeniu długim korytarzu. Ludzie cały czas przechodzili obok.

– Chyba jest pan przemęczony, panie Nutt – stwierdziła Glenda. – Pracuje pan na okrągło, wszędzie się spieszy, zamartwia. Musi pan odpocząć.

Ku jej zdumieniu jeden z tutejszych mieszkańców przyniósł koc, którego spore części nadal dawały się zginać. Okryła Nutta akurat w chwili, kiedy przybył Trev. Nie miał w tej kwestii wyboru, ponieważ Beton ciągnął go za kołnierz.

Spojrzał na leżącego Nutta, a potem na Glendę.

– Co mu się stało?

– Nie wiem.

Uniosła palec do skroni i pokręciła nim lekko, co było uniwersalnym gestem oznaczającym „zwariował”.

– Musicie odejść – jęknął Nutt. – Będzie tu bardzo niebezpiecznie.

– Powiedz nam, co się dzieje – nie ustępowała Glenda. – Proszę, wytłumacz mi.

– Nie mogę – szepnęła Nutt. – Nie potrafię wymówić słów.

– Są takie słowa, których nie umiesz wymówić? – zdziwił się Trev.

– Słowa, które nie chcą być wymówione. Mocne słowa.

– Czy nie moglibyśmy pomóc? – upierała się Glenda.

– Jesteś chory? – zapytał Trev.

– Nie, panie Trev. Dziś rano dokonałem odpowiednich ruchów jełitowych.

To był przebłysk dawnego Nutta – precyzyjnego, ale trochę dziwnego.

– Chory na głowę? – spytała Glenda.

Pytanie to zrodziło się z desperacji.

– Tak. Na głowę – zgodził się Nutt. – Cienie. Drzwi. Nie mogę powiedzieć.

– Czy jest ktokolwiek, kto może wyleczyć tę chorobę?

Nutt milczał przez chwilę, nim odpowiedział:

– Tak. Musicie sprowadzić filozofa wykształconego w Überwaldzie. Oni mogą pomóc naprostować myśli.

– Czy to coś takiego, jak zrobiłeś Trevowi? Wytłumaczyłeś mu, co myśli o swoim tacie i w ogóle, a on przez to stał się szczęśliwszy. Prawda, Trev?

– Taa – potwierdził Trev. – I nie musisz mnie tak szturchać w żebra. Naprawdę mi pomógł. Nie można by cię zahipnotyzować? – spytał Nutta. – Raz widziałem występ takiego gościa. Zwyczajnie pomachał błyszczącym zegarkiem na ludzi i niesamowicie, co potem robili. Szczekali nawet jak psy.

– Owszem, hipnoza jest ważnym elementem filozofii – zgodził się Nutt. – Pomaga uspokoić pacjenta, dzięki czemu myśli mają szansę być słyszane.

– To może tak spróbujemy? – zaproponowała Glenda. – Może zrobisz to ze sobą? Na pewno znajdziemy ci coś błyszczącego do machania.

Trev wyjął z kieszeni swoją ukochaną puszkę.

– Tra-la! I chyba mam też gdzieś kawałek sznurka.

– Wszystko dobrze, ale nie będę w stanie postawić sobie właściwych pytań, ponieważ będę zahipnotyzowany. Formułowanie pytań jest bardzo ważne.

– Wiem co! – zawołał Trev. – Każę ci, byś poprosił siebie, żebyś sobie zadał właściwe pytania. Wiedziałbyś, jakie zadawać, gdyby to był ktoś inny, prawda?

– Tak, panie Trev.

– Nie musiałeś przecież hipnotyzować Treva – przypomniała Glenda.

– Nie, ale jego myśli były tuż pod powierzchnią. Obawiam się, że moje nie są tak łatwo dostępne.

– Czy naprawdę możesz się zahipnotyzować, żeby sobie zadawać pytania?

– W „Drzwiach decepcji” Fussbinder istotnie opisuje metodę hipnotyzowania siebie – wyjaśnił Nutt. – Jest to wyobrażalne...

– Umilkł.

– No to do roboty – zdecydował Trev. – Lepsze wyjście niż wejście, jak mawiała moja babcia.

– Chyba nie jest to aż tak dobry pomysł.

– Mnie nic się nie stało – zapewnił z mocą Trev.

– Rzeczy, o których nie wiem... Rzeczy, o których nie wiem... – mamrotał Nutt.

– Co z nimi? – spytała Glenda.

– Rzeczy, o których nie wiem... Myślę, że są za drzwiami, bo myślę, że sam je tam schowałem, bo myślę, że nie chcę o nich wiedzieć.

– Czyli musisz wiedzieć, co to takiego, o czym nie chcesz wiedzieć – stwierdziła Glenda.

– Tak.

– Jak złe może być coś takiego? – spytał Trev.

– Myślę, że bardzo złe.

– A co byś powiedział, gdyby chodziło o mnie? – spytała Glenda. – Chcę znać prawdę.

– No więc... – zaczął Nutt. – Powiedziałbym chyba, żeby panienka zajrzała za drzwi i zobaczyła, czego panienka nie chce wiedzieć, żebyśmy mogli zmierzyć się z tym razem. Z pewnością takiej rady udzielał von Kladpoll w „Doppelte Berührungsempfindung”. Co więcej, takie działanie byłoby kwestią praktycznie fundamentalną dla analizy ukrytej jaźni.

– No właśnie – przytaknęła Glenda niepewnie.

– Ale jakie złe rzeczy mogłyby się ewentualnie znaleźć w pani umyśle, panno Glendo? – rzekł Nutt, pełen galanterii nawet w tym cuchnącym otoczeniu kadzi.

– Parę by się znalazło – zapewniła Glenda. – Nie da się przejść przez życie tak, żeby kilku nie zebrać.

– Wczoraj w nocy miałem złe sny – oznajmił Nutt.

– Każdemu trafiają się złe sny.

– Te były czymś więcej... – Wyprostował rękę i otworzył dłoń.

Trev gwizdnął.

– Och... – powiedziała Glenda. A potem: – Czy powinny tak wyglądać?

– Nie mam pojęcia – zapewnił Nutt.

– To boli?

– Nie.

– Może coś takiego się dzieje, kiedy gobliny są starsze – zgadywał Trev.

– Tak, może są im potrzebne szpony.

– Wczoraj miałem cudowny dzień – westchnął Nutt. – Byłem członkiem zespołu. Otaczała mnie drużyna. Byłem szczęśliwy. A teraz...

Trev wzniosł kawałek brudnego sznurka i pogiętą, ale wciąż błyszczącą puszkę.

– Spróbujesz?

– Może źle to rozumiem – rzekła Glenda. – Ale jeśli nie chcesz się dowiedzieć, jakie są te rzeczy, o których nie chcesz wiedzieć, to one tym bardziej będą rzeczami, o których nie chcesz wiedzieć, i podejrzewam, że jeśli to jeszcze potrwa, wcześniej czy później głowa ci się zapadnie.

– Jest coś w tym, co oboje mówicie – przyznał ostrożnie Nutt.

– W takim razie pomóż mi przenieść go na kanapę – zdecydował Trev. – Czy powinien być taki zalany potem?

– Chyba nie – uznała Glenda.

– Byłbym spokojniejszy, gdybyście mnie zakuli – oznajmił Nutt.

– Co?! – zdumiała się Glenda. – Dlaczego uważasz, że powinniśmy?

– Musicie zachować ostrożność. Pewne rzeczy przesączają się koło drzwi. Mogą być złe.

Glenda przyjrzała się szponom. Były lśniące i czarne, i na swój sposób całkiem ładne, choć trudno byłoby sobie wyobrazić, jak używa się ich do – na przykład – malowania obrazu albo smażenia omletu. Szpony służą do rozrywania, prawda? Ale to przecież pan Nutt, nawet ze szponami nadal jest panem Nuttem.

– Zaczynamy? – zachęcił Trev.

– Nalegam na łańcuchy – nie ustępował Nutt. – W składzie, cztery drzwi dalej, jest pełno różnych metalowych rupieci.

Glenda odruchowo spojrzała na szpony i zauważyła, że się wydłużyły.

– Dobrze. Trev, pospiesz się, proszę.

Trev podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Wróć, zanim się zorientujecie, że mnie nie ma – zapewnił ze sztuczną wesołością.

Rzeczywiście, nim minęło kilka minut, usłyszała dzwonienie – to Trev włókł łańcuchy po korytarzu.

Glenda powstrzymywała łzy, poruszona samą niezwykłością sytuacji. Nutt leżał nieruchomo, wpatrzony w sufit. Przenieśli go na kanapę i owinęli starannie.

– Mam kłódki, ale bez kluczy. Mogę je zamknąć, ale potem nie da-

dzą się otworzyć.

– Proszę je zatrzasnąć.

Glenda bardzo rzadko płakała, więc starała się nie płakać i teraz.

– Chyba nie powinniśmy robić tego tutaj – powiedziała. – Nie przy kadziach. Ludzie patrzą.

– Proszę zakołysać swoim wahadłem, panie Trev – polecił Nutt.

Trev wzruszył ramionami, ale posłuchał.

– Teraz musi pan zacząć mi mówić, panie Trev, że czuję się senny – tłumaczył Nutt.

Trev odchrząknął. Lśniaca puszka kołysała się tam i z powrotem.

– Wyraźnie czujesz się senny. Okropnie senny.

– Tak dobrze. Czuję się okropnie senny – potwierdził znużonym głosem Nutt. – Teraz musi mi pan polecić, żebym siebie przeanalizował.

– Co to znaczy? – spytała ostro Glenda, zawsze podejrzliwa wobec trudnych słów.

– Przepraszam. Chodziło mi o to, że metodą pytań i odpowiedzi mam sobie pomóc szczegółowo zbadać działanie mojego własnego umysłu.

– Ale nie wiem, jakie zadawać pytania – wystraszył się Trev.

– Ja wiem – tłumaczył Nutt cierpliwie. – Ale musi mi pan polecić, żebym to robił.

Trev wzruszył ramionami po raz kolejny.

– Panie Nutt, musi pan zbadać, co złego dzieje się z panem Nuttem – powiedział.

– A tak. – Ton głosu Nutta zmienił się nieco. – Wygodnie panu, panie Nutt? Tak, dziękuję. Łańcuchy prawie nie obcierają. Dozkonale. Proszę mi teraz opowiedzieć o zwojej matce, panie Nutt. To pojęcie jest mi znane, jednak o ile pamiętam, nigdy nie miałem matki. Mimo to dziękuję za zainteresowanie.

I tak zaczął się ten monologiczny dialog. Glenda i Trev siedzieli na kamiennych schodach, a spokojny głos opowiadał, aż do: – Ach tak, biblioteka. Czy jezt coś w bibliotetze, panie Nutt?

– W bibliotece jest wiele książek.

– Co jeszcze jezt w bibliotetze, panie Nutt?

– W bibliotece są liczne krzesła i drabiny.

– A co jest w bibliotece, o czym nie chce mi pan powiedzieć, panie Nutt?

Czekali. W końcu głos odpowiedział:

– W bibliotece jest szafka.

– Czy jest w tej szafce coś specjalnego, panie Nutt?

Znowu przerwa i znowu słaby, cichy głos:

– Nie wolno mi otwierać tej szafki.

– Czemu jego połowa mówi jak ktoś z Überwaldu? – zwróciła się Glenda do Treva, zapominając o wyostrzonym słuchu pacjenta.

– Pytania zadawane z lekkim akcentem überwaldzkim podczuwa dań takiej natury wydają się szybciej prowadzić do rozluźnienia pacjenta – wyjaśnił Nutt. – A teraz byłbym zachwyty, gdybyście mi nie przerywali.

– Przepraszam – szepnęła Glenda.

– Drobiazg. A więc dlaczego nie wolno panu otwierać tej szafki, panie Nutt?

– Ponieważ obiecałem Lady, że nie otworzę szafki.

– A czy otworzył pan szafkę, panie Nutt?

Tym razem przerwa była o wiele dłuższa.

– Obiecałem Lady, że nie otworzę szafki.

– Czy wielu rzeczy nauczył się pan w zamku, panie Nutt?

– Tak.

– Czy nauczył się pan robić wytrychy, panie Nutt?

– Tak.

– Gdzie teraz są drzwi, panie Nutt?

– Są przede mną.

– Otworzył pan te drzwi, panie Nutt. Myśli pan, że nie, ale pan otworzył. A teraz jest bardzo ważne, by otworzył je pan znowu.

– Ale to, co jest za nimi, jest złe!

Oboje podsłuchujący wyciągnęli szyje, by lepiej słyszeć.

– Nie ma nic złego. Nie ma zupełnie nic złego. W przeszłości otworzył pan drzwi z dziecięcego nierozsądku. Teraz, aby zrozumieć te drzwi, musi je pan otworzyć z mądrością dojrzałości. Proszę otworzyć te drzwi, panie Nutt, a ja podejść do nich razem z panem.

– Ale nie mam już wytrycha!

– Natura doztarczy, panie Nutt.

Glenda zadrżała. To z pewnością tylko jej wyobraźnia, ale nie byli już przy świecowych kadziach.

Przed Nuttem ciągnął się korytarz. Czuł, że wszystko z niego opada. Łańcuchy, ubranie, ciało, myśli... Pozostał jedynie korytarz i płynąca ku niemu szafka. Miała oszklone drzwiczki; na szlifowanych krawędziach błyszczało światło. Uniósł dłoń i wysunął szpon, który rozciął szkło i drewno, jakby były powietrzem. Szafka miała jedną półkę, na półce leżała jedna książka. Oplatały ją żelazne łańcuchy. Okazały się łatwiejsze do zerwania niż poprzednim razem. Książka miała lśniący srebrem tytuł ORK.

Wtedy rozległ się wrzask. Dobiegał z płataniny rur pod stropem.

Chuda kobieta w długiej czarnej szacie – może czarownica, pomyślała Glenda zdumiona jej nagłym pojawieniem – zeskoczyła na kamienie i rozejrzała się jak kot.

Nie, raczej jak ptak, uznała Glenda. Szarpanymi ruchami.

A potem otworzyła usta i krzyknęła:

– Aik! Aik! Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo! Strzeżcie się!

Rzuciła się w stronę kanapy, ale Trev stanął jej na drodze.

– Głupiec! Ork wyje ci oczy!

Teraz był to duet, gdyż następna kreatura spłynęła z mroku na czymś, co mogło być wydętą peleryną, a mogło skrzydłami.

Obie przesuwały się bez przerwy, każda w innym kierunku, usiłując zbliżyć się do kanapy.

– Nie bójcie się! – zaskrzeczała jedna z nich. – Jesteśmy po waszej stronie! Mamy was bronić!

Drżąca Glenda zdołała w końcu wstać. Założyła ramiona na piersi. W tej pozycji zawsze czuła się lepiej.

– A za kogo wy się uważacie, że tak sobie spadacie spod sufitu i wrzeszczycie na ludzi? W dodatku gubicie pióra. To obrzydliwe. Przecież.. jesteśmy blisko pomieszczeń, gdzie przygotowuje się jedzenie!

– Tak jest! Spadajcie stąd – poparł ją Trev.

– Nieźle z nimi rozmawiasz – mruknęła cicho Glenda. – Na pewno długo nad tym myślałeś.

– Nie rozumiecie – tłumaczyła kreatura. Obie miały naprawdę dzi-

waczne twarze, jakby ktoś zrobił ptaka z kobiety. – Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo! Aik!

– To znaczy wy? – spytała Glenda.

– Ork! – odpowiedziała krzykiem. – Aik!

* * *

W cieniu przed otwartą szafką dusza Nutta przewróciła kartkę. Poczł kogoś obok swojego łokcia, obejrzał się i spojrzał prosto w twarz Lady.

– Dlaczego powiedziałaś mi, żeby nie otwierał książki?

– Ponieważ chciałam, żebyś ją przeczytał. Musiałeś sam odnaleźć prawdę dla siebie. W ten sposób wszyscy szukamy prawdy.

– A jeśli prawda jest straszna?

– Myślę, że na to znasz już odpowiedź, Nutt.

– Odpowiedź brzmi: straszna czy nie, to nadal prawda.

– A potem? – spytała Lady takim tonem, jakby zachęcała zdolnego ucznia.

– A potem prawdę można zmienić – odpowiedział Nutt.

* * *

– Pan Nutt jest goblinem – oświadczył Trev.

– Taa, akurat – odparła kreatura.

Fraza ta zabrzmiała niesłychanie egzotycznie w ustach istoty, której twarz z każdą chwilą stawała się bardziej ptasia.

– Jeśli krzyknę, przybiegnie tu mnóstwo ludzi – zagroziła Glenda.

– I co zrobią? – zapytała kreatura.

I co zrobią? – zastanowiła się Glenda. Będą stali dookoła, powtarzali „Ale o co chodzi?” i zadawali te same pytania co my. Przesunęła się trochę, kiedy jeden ze stworów znów spróbował przedostać się do kanapy.

– Ork będzie zabijał – odezwał się trzeci głos.

Kolejna kreatura opadła na podłogę tuż przed Glenda. Jej oddech cuchnął padliną.

– Pan Nutt jest delikatny i uprzejmy, nigdy nikogo nie skrzywdził – powiedziała Glenda.

– Kto na to nie zasłużył – dodał pośpiesznie Trev.

– Ale teraz ork wie, że jest orkiem – oświadczyła kreatura.

Wszystkie trzy przesuwały się do przodu i do tyłu w upiornym kontredansie.

– Nie wydaje mi się, żeby wolno wam było nas dotknąć – uznał Trev.

– Naprawdę nie sędzę, żebyście mogli nam coś zrobić.

Usiadł nagle obok Nutta i przyciągnął do siebie Glendę.

– Mają pazury – zauważyła niegłośnie Glenda. – Widzę ich pazury.

– Szpony – poprawił ją Trev.

– O czym ty mówisz?

– Te wielkie z przodu to szpony, te z tyłu to pazury, służą do przytrzymywania zdobyczy. Wszyscy się mylą.

– Oprócz ciebie – mruknęła. – Tak nagle zostałeś ekspertem od okropnych ptakopodobnych stworów?

– Nic nie poradzę. Czasami coś tak wpada mi do ucha.

– Musimy was ochraniać – oświadczyła jedna z ptasich kobiet.

– Nie potrzebujemy ochrony przed panem Nuttem! To nasz przyjaciel! – zawołała Glenda.

– A ilu twoich przyjaciół ma szpony?

– A czym mamy się martwić tutaj, na uniwersytecie, który ma takie wielkie i grube mury? Poza tym roi się tu od magów!

Jedna z kobiet wyciągnęła szyję, aż jej twarz znalazła się o kilka cali od twarzy Treva.

– Powinniście się martwić, bo jest tu z wami ork!

Brzęknęły łańcuchy. Nutt poruszył się odrobinę.

– Pracujecie dla kogoś, prawda? – domyślił się Trev. – Macie takie małe główki. Nie zmieści się w nich tyle mózgu, żebyście same coś takiego wymyśliły. Magowie wiedzą, że tu jesteście?

Glenda wrzasnęła. Nigdy jeszcze nie wrzeszczała tak na poważnie, z samej głębi swej zgrozy. Nieostrożne zacięcie się w palec się nie liczyło,

zresztą nie było aż tak głośne. Wrzask rozbrzmiewał echem w korytarzach i odbijał się w piwnicach, aż dzwoniły krypty¹⁷.

Glenda wrzasnęła po raz drugi, a że płuca nabrały wprawy, tym razem efekt był jeszcze głośniejszy. Z obu stron rozległo się tupanie biegnących stóp.

Co dodało jej pewności.

Nie była przekonana, czy pewności dodaje też cichy brzęk i szuranie metalu sugerujące, że zerwał się łańcuch.

Kreatury natychmiast wpadły w panikę i równocześnie próbowały wzlecieć. Były niezgrabne jak czaple, tylko wzajemnie sobie przeszkadzały.

– I nie wracajcie tu! – krzyknęła, kiedy zniknęły w mroku. Potem zwróciła się do Treva. Serce waliło jej mocno. – Co to jest ork?

– Nie wiem. Myślę, że to jakiś dawny potwór.

– A te stwory?

– Wiem, że to głupio brzmi – przyznał Trev – ale widziałem jedną taką wczoraj w nocy. On chyba uważa je za... przyjaciółki.

Rzeźnicy, piekarze, lokaje i pedle wybiegali z ciemnych korytarzy, a wśród nich był też pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa), który miał na sobie tylko oficjalny kapelusz, siatkowy podkoszulek i krótkie spodenki, o wiele za obcisłe i za krótkie jak na człowieka rozmiaru pedla Nobbsa (żadnego pokrewieństwa).

Popatrzył na Glendę, a potem rzucił gniewne spojrzenie Trevowi. Tacy jak Trev w opinii pedla Nobbsa (żadnego pokrewieństwa) byli automatycznie wrogami.

– Krzyczała panienka? – zapytał. – Co się tu dzieje?

– Przepraszam. Wygłosiłem niewłaściwą sugestię – powiedział Trev.

Zerknął na Glendę, a jego mina mówiła „Ratuj!”.

– Obawiam się, że niesłusznie poddałam się podszeptom dziewczęcej skromności – wyznała, przeklinając go wzrokiem.

¹⁷ Wbrew powszechnemu przekonaniu ludzie nie przybiegają, kiedy usłyszą wrzask. Ludzie nie działają w taki sposób. Ludzie patrzą na innych ludzi i pytają: „Słyszałeś ten wrzask?”, bo pierwszy wrzask to mógł być sam pytający, wrzeszczący w głębi własnej głowy, albo huk z końskiego gaźnika.

– To musiała być naprawdę dziwaczna sugestia – stwierdził piekarz, który najwyraźniej uważał, że niezwykle długi bochenek chleba będzie poręcznym narzędziem w walce, ale uśmiechał się przy tym. Uśmiech był dobry.

Jeśli nie dojdzie do niczego gorszego niż chichoty i uśmieszki, wszyscy będziemy zadowoleni. Trudno będzie im potem zapomnieć, ale jednak będzie dobrze.

– Po co ten gość jest przykuty do łóżka? – spytał pedel.

– Tak... Jakie niewłaściwe sugestie się tu działy? – dodał piekarz. Wyraźnie świetnie się bawił.

Chyba kogoś zabiję, zanim to się skończy, myślała Glenda. I całkiem możliwe, że ten ktoś to będę ja.

– Czy to pan Nutt? – zdziwił się pedel. – Za pięć minut powinniśmy mieć trening.

Za plecami Glendy znów coś brzęknęło i odezwał się Nutt.

– Nie martw się, Alphonse. Często tak się bawię. Dynamiczne naświetlenia, rozumiesz. Pomagają wzmocnić mięśnie.

– Alphonse? – Piekarz spojrział na pedla ze zdumieniem. – Myślałem, że masz na imię Alfred, w skrócie Alf. Alphonse to quirmskie imię, jeśli już. Nie pochodzisz chyba stamtąd, co? – Jego ton sugerował nie tylko pytanie, ale i oskarżenie.

– A co ci nie pasuje z Alfem jako skrótem od Alphonse’a? – zapytał pedel.

Miał bardzo wielkie dłonie, które nawet u Mustruma Ridcully’ego wzbudziłyby pewne obawy podczas konkursu klepania po ramieniu. W dodatku uszy zaczynały mu czerwienieć, co u tak potężnie zbudowanego mężczyzny nigdy nie jest dobrym znakiem.

– Och, przecież nie mówię, że to brzydkie imię – zapewnił piekarz, z pewnym opóźnieniem korzystając ze swojego bochenka. – Ale nigdy mi nie wyglądałeś na Alphonse’a. Co tylko dowodzi, że nigdy nic nie wiadomo.

– Jestem orkiem – oświadczył spokojnie Nutt.

– Właściwie Alphonse jest całkiem ładnym imieniem – ciągnął piekarz. – To „phonse” trochę psuje, ale Alf całkiem mi się podoba. – Urwał i zwrócił się do Nutta. – Co to znaczy „orkiem”?

– Orkiem – powtórzył Nutt.

A z daleka, spomiędzy rur centralnego ogrzewania, rozległ się krzyk:

– Aik! Aik!

– Nie bądź głupi, nie ma już czegoś takiego jak orki. Wszystkie wybili setki lat temu. A trudno było je zabić, gdzieś czytałem – oświadczył lokaj.

– W końcowych częściach swej tezy ma pan zasadniczo rację – przyznał Nutt, cały czas przykuty do kanapy. – Mimo to jestem orkiem.

Glenda obejrzała się na niego.

– Mówił pan, że jest pan goblinem, panie Nutt. Przecież mówił mi pan, że jest goblinem.

– Byłem źle poinformowany – odparł Nutt. – Jednakże teraz już wiem, że jestem orkiem. Mam wrażenie, że zawsze o tym wiedziałem. Otworzyłem drzwi, przeczytałem książkę, poznałem prawdę o swojej duszy i jestem orkiem. W dodatku, z nieznanymi mi powodów, jestem orkiem dręczonym przez straszną ochotę zapalenia cygara.

– Ale to przecież były te przerażające potwory, które nie przestawały walczyć i chętnie urywały własną rękę, żeby posłużyła im jako broń – oświadczył pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa).

– Był o nich artykuł w „Łukach i Amunicji”.

Wszyscy popatrzyli na rękę Nutta.

– To z pewnością osąd historii – rzekł Nutt. Spojrzał na Glendę. – Tak mi przykro... Okazałem nieposłuszeństwo, ale wszyscy tak postępują. Schnouzentintle tyle mniej więcej stwierdza w swojej książce „Posłuszeństwo nieposłuszeństwa”. No więc zastanawiałem się, co jest w tej szafce, a miałem już pewne doświadczenie z wytrychami. Otworzyłem szafkę, przeczytałem książkę i... – Zadzwoniły łańcuchy, gdy Nutt zmienił pozycję. – Byłem nieposłuszny. Myślę, że wszyscy tak postępują. I bardzo dobrze potrafimy ukrywać przed sobą to, czego nie chcemy wiedzieć. Możecie mi wierzyć. Bardzo dobrze mi się udało ukryć to przed sobą. Ale to się przesącza, rozumiecie, w snach i różnych takich, kiedy tylko opuści się gardę. Jestem orkiem. Nie ma żadnych wątpliwości.

– No dobra, niech będzie, ale skoro jesteś orkiem, to czemu mi nie urywasz głowy? – spytał pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa).

– Życzylby pan sobie? – spytał Nutt.

– Nie, właściwie to nie.

– Kogo to obchodzi? – wtrącił Trev. – To przecież stare historie. Dzisiaj wszędzie człowiek spotyka wampiry. Mamy trolle, golem i zombi, i w ogóle różnych ludzi, którzy normalnie się tu zaczęli.

– Chwilunia, chwilunia! – wtrącił lokaj. – Nie urywa ci głowy, bo przecież jest zakuty!

– Dlaczego kazałeś nam się zakuć? – spytała Glenda.

– Żeby nikomu nie urwać głowy. Podejrzewałem prawdę, chociaż nie wiedziałem, co podejrzewam. A przynajmniej wydaje mi się, że tak było.

– To znaczy, że nie możesz uciec i porozrywać nas na strzępy – podsumował pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa). – Bez urazy, ale czy z tego wynika, że nie będziesz nas trenował?

– Przykro mi – odparł Nutt. – Jak pan widzi, miałbym z tym pewne trudności.

– Czy wyście wszyscy powariowali? – Te słowa wygłosiła, co zaskakujące, stojąca w korytarzu Juliet. – To przecież Nutt. Pracuje tutaj, robi świece i różne takie. Nigdy nie widziałam, żeby trzymał czyjaś głowę albo nogę. I piłkę też lubi!

Glenda miała wrażenie, że słyszy bijące głośno serce Treva. Podbiegła do przyjaciółki.

– Mówiłam ci, żebyś poszła do domu! – syknęła.

– Wróciłam, żeby powiedzieć o wszystkim Trevowi. Napisał mi przecież taki śliczny wiersz.

– Ona ma rację – zgodził się mężczyzna w rzeźnickim fartuchu.

– Widziałem go, jak biega tu wszędzie, a żadnej nogi ani ręki nie nosił.

– Fakt – przyznał piekarz. – A poza tym czy nie on przygotował te piękne świece na wczorajszym przyjęciu? Mnie to nie wyglądało orkowo.

– I jeszcze – dodał pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa) – trenował nas wczoraj i ani razu nie powiedział: „Ruszajcie, chłopcy, i pourywaszcie im głowy”.

– No tak – przyznał lokaj, który nie zyskiwał sobie przyjaciół,

przynajmniej jeśli chodzi o Glendę. – Ale ludzie przecież nie urywają sobie głów jak orki.

– Aik! Aik! Aik! – zabrzmiało w oddali.

– Uczył nas różnych takich rzeczy, co by nigdy człowiekowi na myśl nie wpadły – opowiadał pedel. – Na przykład grania z zawiązanymi oczami. Bardziej filozofia niż piłka, ale wściekle dobry trening.

– Taktyczne myślenie i analiza sytuacji w bitwie są elementami umysłowej kompozycji orka – stwierdził Nutt.

– Widzicie? Ktoś, kto mówi „kompozycja”, nie urwie nam przecież głów!

– Moja była żona używa kompozycji perfum... – przypomniał sobie piekarz.

– Nie, nie, perfumy to już przesada – stwierdził rzeźnik, budząc tym powszechne rozbawienie. – Bycie orkiem to co innego, ale przecież nie chcemy tutaj jakichś dziwaków.

Glenda spojrzała na Nutta. Płakał.

– Przyjaciele, dziękuję wam za pokładane we mnie zaufanie – powiedział.

– Wiesz, tak jakby należysz do zespołu – zapewnił pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa), którego uśmiech zdołał niemal zamaskować zdenerwowanie.

– Dziękuję, panie Nobbs, to dla mnie bardzo ważne.

Nutt wstał. Było to skomplikowane poruszenie.

Pozostało we wspomnieniach Glendy już na zawsze jako rodzaj ukazywanej w zwolnionym tempie sceny rwanych łańcuchów i łamanego drewna. Nutt powstał, jak gdyby przywiązany był pajęczyną. Wirujące kawałki łańcuchów uderzały o ściany. Pękały kłódki. Co do kanapy, chyba żaden jej kawałek nie pozostał złączony z innym – mebel posypał się na posadzkę niczym stosik opałowego drewna.

– Wiejemy, chłopcy!!!

Trzeba by swego rodzaju mikrometru, by ustalić, kto krzyknął to pierwszy, ale stampede, w jakim wypadli na korytarz i pognali za róg, szybko wybuchło i szybko się skończyło.

– A wiesz – odezwał się Trev po kilku chwilach ciszy – w pewnym momencie już myślałem, że bardzo dobrze nam idzie.

– Te kobiety – przypomniała Glenda. – Co to za jedne?

Nutt stał smętnie wśród szczątków; kawałek łańcucha ześliznął się z niego jak wąż i wyładował na kamieniach.

– One? – powiedział. – To Małe Siostrzyczki Wiecznej Prędkości. Pochodzą z Efebu. Jeśli dobrze pamiętam, ich gatunek nazywany jest furiami. Wydaje mi się, że Lady wysłała je na wypadek, gdybym jednak próbował kogoś skrzywdzić. – Mówił to bez żadnej emfazy ani emocji.

– Nikogo nie skrzywdziłeś...

– Ale oni uciekli przede mną, bo jestem orkiem.

– No wiesz, to przecież zwykli ludzie – zwróciła mu uwagę Glenda.
– To...

– Głupki – dokończył Trev.

Nutt odwrócił się i ruszył korytarzem w przeciwną stronę, strząsając z siebie resztki drewna i łańcuchów.

– Ale świat jest pełen zwykłych ludzi.

– Nie możecie mu pozwolić, żeby tak sobie poszedł! – zawołała Juliet. – No nie możecie! Patrzcie na niego! Wygląda jak skopany!

– Jestem jego szefem, to moja sprawa – odparł Trev. Glenda chwyciła go za ramię.

– Nie, ja to załatwię. A teraz słuchaj mnie uważnie, Trevorze Likely... Porządny z ciebie chłopak, więc powiem ci tyle: widzisz tam Juliet? Znasz ją, pracuje w kuchni. Napisałeś dla niej śliczny wiersz, tak? Słyszałeś kiedy o Smoluszku? Wszyscy znają bajkę o Smoluszku. No więc może i nie jesteś moim pierwszym kandydatem na pięknego księcia, ale pewnie wielu jest gorszych.

– Co ty wygadujesz, do demona? – zdumiał się Trev.

– Juliet niedługo stąd wyjedzie. Mam rację, Julia?

Twarz Juliet była jak obraz.

– No... eee...

– A to dlatego, że była tą dziewczyną w azetach.

– Którą? Tą błyszczącą krasnoludka? Z brodą?

– To właśnie ona! – zapewniła Glenda. – Ma wyjechać z tym cyrkiem, no wiesz, o co mi chodzi. Z pokazem mody.

– Przecież nie ma brody!

Zarumieniona Juliet sięgnęła pod fartuch i – ku zdziwieniu Glendy –

wyjęła brodę.

– Pozwolili mi ją zatrzymać – wyjaśniła z nerwowym chichotem.

– No dobrze – rzekła Glenda. – Mówisz, że go kochasz. Trev, nie wiem, czy ją kochasz, czy nie, ale pora się zdecydować. Oboje jesteście dorośli, no, przynajmniej formalnie, więc lepiej się zastanówcie, bo żadnej wróżki chrzestnej w okolicy nie widzę. A co do pana Nutta, to on nie ma nikogo.

– Ma wyjechać z miasta? – wykrztusił Trev; zrozumienie wolno rozjaśniało męski umysł.

– Tak. I podejrzewam, że na dość długo – potwierdziła Glenda.

Pilnie obserwowała jego twarz. Nie masz specjalnego wykształcenia i w życiu nie otworzyłeś książki, Trevorze Likely, ale jesteś sprytny i na pewno wiesz, że istnieje dobra odpowiedź i zła odpowiedź na to, co właśnie powiedziałam...

Obserwowała szybkie zmiany w jego oczach, kiedy myślał.

– To pięknie – stwierdził w końcu. – O czymś takim zawsze marzyła. Bardzo się cieszę, że będzie szczęśliwa.

Ty spryciarzu, trafiłeś, jak trzeba, pomyślała Glenda. Sprawiasz wrażenie, jakbyś w ogóle nie myślał o sobie, bo rozumiesz, że w przeciwnym razie bym cię skreśliła. I kto wie, może nawet jesteś szczerzy. Prawdę mówiąc, niech mnie bogowie mają w opiece, myślę, że naprawdę jesteś szczerzy, ale raczej sobie wszystkie zęby powyrywam, niż ci to powiem.

– Ona lubi ciebie, ty lubisz ją, a ja popełniłam masę głupich błędów. Sami wymyślcie, co macie zamiar robić. Gdybym była na waszym miejscu, teraz znikałabym stąd, zanim ktoś was uprzedzi. Mogę ci udzielić pewnej rady, Trev? Nie bądź sprytny, bądź mądry.

Trev chwycił ją za ramiona i ucałował w oba policzki.

– To było sprytne czy mądre?

– Puszczaj mnie! – Odepchnęła go w nadziei, że nie zauważy jej rumieńca. – Muszę sprawdzić, gdzie poszedł pan Nutt.

– Wiem, gdzie poszedł – oświadczył Trev.

– Zdaje się, że kazałam wam obojgu zniknąć stąd i żyć długo i szczęśliwie!

– Nie znajdziesz go beze mnie. Przykro mi, Glendo, ale my też go

lubimy.

– Myślisz, że powinniśmy komuś powiedzieć? – spytała Juliet.

– A co oni robią? – burknęła Glenda. – Będzie tak, jak z tymi przed chwilą. Wszyscy się gapią i czekają, aż ktoś wpadnie na jakiś pomysł. Zresztą – dodała – jestem przekonana, że magowie na górze wiedzą o nim wszystko. Mogę się założyć.

Dziesięć minut później musiała przyznać, że Trev miał rację. Pewnie by nie zauważyła drzwi na drugim końcu jeszcze jednej zagraconej, opuszczonej piwnicy. Pod nimi jarzyło się światło.

– Kiedyś za nim poszedłem – wyjaśnił Trev. – Każdy powinien mieć jakieś miejsce tylko dla siebie.

– Owszem – zgodziła się Glenda i pchnęła drzwi.

Miała wrażenie, że otworzyła piekarnik. Wszędzie stały świece wszelkich rozmiarów i kolorów. Spora część się paliła.

A na samym środku siedział Nutt przy rozpadającym się stole, całym zastawionym świecami. Paliły się przed nim płomykami we wszystkich kolorach, a on przyglądał się im nieruchomo.

Nie obejrzał się, kiedy podeszli.

– Obawiam się, że nigdy nie udało mi się naprawdę opanować niebieskiego – powiedział jakby w powietrze. – Pomarańczowy, oczywiście, jest wręcz śmiesznie łatwy, czerwony rozumie się sam przez się, a zielony wcale nietrudny, jednak najlepszy niebieski, jaki udało mi się uzyskać, niestety ciągle jest mocno zielonkawy... – Umilkł.

– Dobrze się czujesz? – spytała Glenda.

– Chodzi wam o to, czy dobrze się czuję poza tym, że jestem orkiem? – upewnił się z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– No, właściwie tak, ale to przecież nie twoja wina.

– Przecież to nie może być prawda – szepnęła Trev.

Glenda spojrzała na niego.

– Co komu przyjdzie z takiego gadania? – spytała gniewnie.

– One podobno wyginęły setki lat temu.

– Zostały unicestwione – poprawił go Nutt. – Ale niektóre przetrwały. Obawiam się, że kiedy to przeoczenie będzie ujawnione, znajdą się tacy, którzy postarają się naprawić sytuację.

Trev zerknął niepewnie na Glendę.

– Według niego ktoś spróbuje go zabić – wyjaśniła.

Nutt wpatrywał się w swoje świece.

– Muszę nabierać wartości. Muszę być pomocny. Muszę być przyjazny. Muszę zdobywać przyjaciół.

– Gdyby ktokolwiek przyszedł i chciał ci coś zrobić – oświadczyła Glenda – to go zabiję. Jestem pewna, że nikomu nie spróbujesz urwać nogi. Ale ja mogę. Trev, tu jest potrzebna kobieca delikatność.

– Tak, widzę.

– To nie było mądre, Trevorze Likely. Nie, panie Nutt, pan tu zostaje. – Glenda wywlokła Treva i Juliet na korytarz. – Uciekajcie stąd. Muszę porozmawiać z nim sam na sam.

Kiedy wróciła, Nutt zwiesił głowę.

– Przykro mi, że zatruwam wszystkim radość – powiedział.

– Co się stało z pańskimi szponami, panie Nutt?

Wyciągnął rękę i szpony wysunęły się z cichym trzaskiem.

– Aha, wygodne – przyznała Glenda. – To znaczy, że może pan przynajmniej włożyć koszulę. Panie Nutt, chyba pan nie zapomniał! Miał pan iść tam do nich i pokazać, jak się gra w piłkę!

– Muszę nabierać wartości – powtórzył zapałszy Nutt.

– Więc niech pan idzie ćwiczyć drużynę. A w ogóle skąd taka pewność, że orki były całkiem złe?

– Robiliśmy straszne rzeczy.

– One – poprawiła go Glenda. – One, nie my! Nie ty! A drugie, czego jestem pewna, to że na wojnie nikt nie powie, że druga strona składa się z miłych osób. A teraz może jednak pobiegnie pan na trening? Czy to takie trudne?

– Widziała panienka, co się stało – odparł Nutt. – Może być bardzo niedobrze. – Podniósł prawie niebieską świecę. – Muszę się zastanowić.

– Dobrze – ustąpiła Glenda.

Starannie zamknęła za sobą drzwi, przeszła kawałek korytarzem i spojrzała w górę, na kapiące rury.

– Wiem, że ktoś podsłuchuje. Słyszałam skrzypienie. Wychodź natychmiast.

Nie było odpowiedzi. Wzruszyła ramionami i pomaszerowała labiryntem korytarzy, dotarła do schodów do biblioteki, wbiegła po nich i

podeszła do biurka bibliotekarza.

Kiedy się zbliżyła, nad blatem ukazała się jego wielka, uśmiechnięta twarz.

– Chcę... – zaczęła.

Bibliotekarz wstał powoli, przytknął palec do warg i na biurku przed nią położył książkę. Na okładce, wytłoczone srebrem na czerni, były trzy litery: ORK.

Zmierzył ją wzrokiem, jakby próbował ocenić, po czym otworzył książkę i zaczął przewracać kartki z nadzwyczajną ostrożnością, biorąc pod uwagę grubość jego palców. W końcu znalazł to, czego szukał. I pokazał jej. Nie miała dziś czasu na śniadanie, ale przecież można zwymiotować, nawet kiedy żołądek jest całkiem pusty, a rycina trzymana w dłoniach bibliotekarza byłaby absolutnie pewnym lekarstwem.

Odłożył książkę na blat, sięgnął gdzieś i wyjął prawie nieużywaną chusteczkę oraz, po chwili grzebania pod biurkiem, także szklankę wody.

– Wcale nie muszę w to wierzyć – oświadczyła Glenda. – To obrazek. Nie jest prawdziwy.

Bibliotekarz wystawił kciuk i przytaknął. Wsunął sobie książkę pod pachę, drugą ręką chwycił Glendę i z zadziwiającą szybkością pociągnął ją za drzwi w labirynt sal i korytarzy uniwersytetu.

Ta pospieszna podróż dobiegła końca pod drzwiami, na których wymalowano napis „Katedra Komunikacji Post Mortem”. Farba złuszczyła się trochę i pod jaskrawymi, nowymi literami dało się rozpoznać NEKR oraz coś, co prawdopodobnie było połówką czaszki.

Drzwi otworzyły się – każde drzwi pchnięte przez bibliotekarza musiały się otworzyć. Glenda usłyszała ze środka brzęk spadającego na podłogę rygla.

Pośrodku odsłoniętego pomieszczenia stała przerażająca postać. Jednak jej straszliwe oblicze nie wywierało takiego wrażenia, jakie powinno, ponieważ zwisała z niego dobrze czytelna etykieta z napisem „Boffo – Najlepsze Kostiumy i Sztuczki, Udoskonalona Maski Nekromanty, 3 AM\$”. Maski została zdjęta, odsłaniając zdrowszą cerę twarzy doktora Hiksa.

– Naprawdę nie trzeba było... – zaczął i zobaczył bibliotekarza. –

Och... W czym mógłbym pomóc?

Bibliotekarz pokazał mu książkę, a Hix jęknął.

– Znowu to samo... No dobra, czego chcecie?

– Mamy w piwnicach orka – poinformowała Glenda.

– Tak, wiem – odparł Hix.

Bibliotekarz miał szeroką twarz, jednak niedostatecznie szeroką, by zmieścić na niej całe zdumienie, jakie próbował wyrazić. Szef katedry komunikacji post mortem westchnął i wzruszył ramionami.

– Posłuchajcie – rzekł, jakby trochę znużony ciągłym tłumaczeniem tego samego. Westchnął znowu. – Mam tu być złym człowiekiem, jak to określa statut uczelni. Zgadza się? Powinienem podsłuchiwać pod drzwiami. Powinienem bawić się czarną magią. Mam pierścień z czaszką. Mam laskę ze srebrną czaszką na czubku...

– I maskę ze sklepu z zabawkami? – dokończyła Glenda.

– Niezwykle praktyczna, muszę zaznaczyć – stwierdził z godnością Hix. – Bardziej przerażająca niż oryginał i daje się prac, co w mojej katedrze zawsze warto brać pod uwagę. Poza tym nadrektor był tu w zeszłym tygodniu, w tej samej sprawie co wy, jak podejrzewam.

– Czy orki były takimi strasznymi stworami? – spytała Glenda.

– Myślę, że chyba mogę ci pokazać.

– Ten dżentelmen pokazał mi już obrazek w książce.

– Ten z galkami ocznymi?

Wspomnienie było aż nadto wyraźne.

– Tak.

– Och, bywają gorsze – zapewnił z satysfakcją Hix. – I przypuszczam, że chcesz dowodu? – Odwrócił lekko głowę. – Charlie!

Za czarnej kotary na końcu pomieszczenia wyszedł szkielet. Trzymał kubek. I było coś dziwnie smutnego w wypisanym na rzeczonym kubku hasle, które brzmiało „Nekromanci robią to po całych nocach”.

– Nie bój się – poradził doktor Hix.

– Nie boję się – zapewniła Glenda, przerażona do samych stóp. – Widziałam, co się dzieje w rzeźni. To należy do mojej pracy, a poza tym on jest wypolerowany.

– Bardzo dziękuję – odezwał się szkielet.

– Ale „Nekromanci robią to po całych nocach”? Trochę to żałosne, prawda? To znaczy, nie wydaje się wam, że za bardzo się staracie?

– A jak się staraliśmy, żeby go zrobić... – westchnął Hix. – Nie jesteśmy najpopularniejszą katedrą na uniwersytecie. Charlie, ta młoda dama chce się dowiedzieć czegoś o orkach.

– Znowu? – mruknął Charlie i oddał kubek doktorowi.

Miał dość chrapliwy głos, ale znacznie mniej przerażający, niż mógłby mieć. Poza wszystkim innym, jego kości były, no... oddzielone od wszystkiego innego; unosiły się w powietrzu niby jedyne widzialne części niewidzialnego ciała. Żuchwa poruszała się przy mówieniu.

– Chyba ciągle jeszcze mamy pamięć w sumpie – ciągnął – bo pamiętasz, przywołaliśmy ją dla Ridcully’ego. Nie miałem czasu, żeby skasować.

– Pamięć czego? – zainteresowała się Glenda.

– To takie czary – odparł z wyższością Hix. – Za długo by tłumaczyć.

Glendzie się to nie spodobało.

– Więc może w skrócie?

– No dobrze. Jesteśmy teraz praktycznie pewni, że to, co nazywamy upływem czasu, wynika w rzeczywistości z faktu, że wszechświat ulega zniszczeniu i odbudowuje się w najmniejszym interwale ewentualności, jaki można osiągnąć. Wprawdzie sam proces w każdym punkcie jest natychmiastowy, jednak odbudowanie wszechświata zajmuje, jak sądzimy, około pięciu dni. Co ciekawe...

– Czy możemy rozważyć większy skrót?

– Czyli nie chcesz słuchać o teorii uniwersalnej pamięci Housemana?

– Mówiłam o skrótach.

– Dobrze. Wyobraź sobie coś takiego: obecnie uważamy, że dawny wszechświat nie jest niszczony w momencie stworzenia nowego, który to proces, nawiasem mówiąc, od początku naszej rozmowy wydarzył się już nieprzeliczone miliardy razy...

– Tak, mogę w to uwierzyć. Może przejdziemy przez jakieś podwórko...

– Kopie wszechświata są zachowywane. Nie wiemy jak, nie wiemy

gdzie i niech mnie demony porwą, jeśli potrafię sobie wyobrazić, jak to wszystko działa. Ale odkryliśmy, że czasami możliwe jest... hm, odczytanie tej pamięci. W pewnych okolicznościach. Jak sobie radzę w kategoriach skrótu przez podwórka?

– Macie jakieś magiczne zwierciadło? – spytała oschle Glenda.

– To byłby taki skrót, że w ogóle nie ruszasz z miejsca – westchnął Hix.

– Jeśli nie ruszam z miejsca, skróty nie są potrzebne – odrzekła z godnością. – Więc mówi pan, że wszystko, co się zdarzyło, gdzieś pozostaje zdarzone i można to obejrzeć, jeśli się wie jak?

– To znakomite streszczenie sytuacji – przyznał Hix. – Jest wręcz wybitnie pomocne, a zarazem nieścisle prawie w każdy możliwy sposób. Ale, jak to określiłaś, używamy... – tutaj drgnął lekko –... magicznego zwierciadła, jak je nazwałaś. Ostatnio na prośbę nadrektora sprawdzaliśmy bitwę w Orkowym Jarze. To ostatnia znana bitwa, w której zastosowano orki.

– Zastosowano? – powtórzyła Glenda.

– Użyto – wyjaśnił Hix.

– Użyto? I potraficie znaleźć coś takiego w całkowitej historii wszystkiego, co się działo?

– Ehm... Jest łatwiej, jeśli mamy jakieś zakotwiczenie. Coś, co było obecne. Otóż, młoda damo, na polu bitwy znaleziono odłamek czaszki, a że to czaszka, odpowiedzialność za nią przejęła moja katedra. – Obejrzał się na bibliotekarza. – Możemy jej pokazać, prawda? – zapytał. Bibliotekarz pokręcił głową. – Dobrze. To znaczy, że możemy, zgodnie ze statutem uczelni. Wymaga się ode mnie pewnego zakresu dyskretnego nieposłuszeństwa. Musimy ustawić wszystko na omniskopie. Ponieważ mój kolega jest tak pewny, że nie powinienem tego robić, nie będzie mu przeszkadzało, jeśli zrobię. To tylko krótki przedział czasu, ale zrobił wrażenie na nadrektorze. Dość szczególne wrażenie.

– Chciałabym tylko coś wyjaśnić – wtrąciła Glenda. – Naprawdę może pan nie wykonać polecenia samego nadrektora?

– O tak – zapewnił Hix. – Mam takie instrukcje. Tego się ode mnie oczekuje.

– Ale jak to możliwe? Co się stanie, jeśli nadrektor wyda panu po-

lecenie, którego nie chciałby, żeby pan nie wykonał?

– To działa dzięki zdrowemu rozsądkowi i dobrej woli obu stron. Jeśli na przykład nadrektor wydaje mi polecenie, które absolutnie powinno być wykonane, dodaje coś w rodzaju: „Hix, ty nędzny robaku (zgodnie ze statutem uczelni), jeśli tego nie zrobisz, to naprawdę obezwiesz”. Chociaż w rzeczywistości wystarczy rozsądne słowo. Wszystko opiera się na zaufaniu. Wszyscy wierzą, że nie można mi wierzyć. Nie wiem, co nadrektor by beze mnie zrobił.

– Tak, akurat – mruknął Charlie, szczerząc zęby.

Kilka minut później Glenda znalazła się w innym zaciemnionym pokoju. Stała przed okrągłym, ciemnym zwierciadłem, wysokim co najmniej jak ona.

– Czy to coś w rodzaju ruchomych obrazków? – spytała sarkastycznie.

– Zabawne porównanie – stwierdził Hix. – Tyle że po pierwsze, nie ma pukanej kukurydzy, a po drugie, nie miałabyś ochoty jej jeść, nawet gdyby była. To, co odpowiada kamerze, to oczy jednego z ludzkich wojowników. Pokażemy ci ostatnią rzecz, jaką widział.

– Chodzi o osobę, do której należała ta czaszka?

– Brawo. Widzę, że słuchałaś uważnie.

Przez chwilę panowało milczenie.

– To będzie przerażające, tak?

– Tak – potwierdził Hix. – Koszmary? Bardzo prawdopodobne. Nawet ja uważam to za wybitnie niepokojące. Jesteś gotów, Charlie?

– Gotów – odpowiedział Charlie z ciemności. – Jesteś pewna, panienko?

Glenda wcale nie była pewna, ale wszystko byłoby lepsze niż patrzeć na ten pełen wyższości uśmieszek Hiksa.

– Tak – odparła spokojnie.

– Fragment, który potrafimy pokazać, trwa niecałe trzy sekundy, ale wątpię, czy zechcesz oglądać go jeszcze raz. Gotowi? Bardzo proszę, Charlie.

Krzesło Glendy przewróciło się do tyłu bardzo szybko, ale Hix, który stał obok, zdążył ją złapać.

– To jedyny znany wizerunek orka w bitwie – powiedział, pomagają-

jąc jej się wyprostować. – Przy okazji, moje gratulacje. Nawet nadrektor zaklął głośno.

Glenda zamrugała, starając się wyciąć z pamięci niecałe trzy sekundy.

– I to było prawdziwe, tak?

Musiałoby być prawdziwe. Coś w sposobie, w jaki wizja utrwaliła się w głębi mózgu, wyraźnie świadczyło o jej prawdziwości.

– Chcę to obejrzeć jeszcze raz.

– Co takiego? – wykrzyknął Hix.

– Tam jest coś więcej – stwierdziła Glenda. – To była tylko część obrazu.

– Potrzebowaliśmy wielu godzin, żeby to odkryć – stwierdził z powagą Hix. – Jak ci się udało zauważyć za pierwszym razem?

– Bo wiedziałam, że to musi tam być.

– Załatwiła pana, szefie – stwierdził Charlie.

– No dobrze. Pokaż znowu, ale tym razem powiększ prawy róg. Jest mocno nieostry – dodał, zwracając się do Glendy.

– Możecie zatrzymać obraz? – spytała.

– O tak. Charlie to rozpracował.

– Czyli wie pan, o który kawałek mi chodzi.

– O tak.

– W takim razie proszę mi pokazać jeszcze raz.

Charlie zniknął za kotarą. Kilka razy błysnęło światło i...

– Tutaj! – wskazała palcem. – To ludzie na koniach, prawda? I mają pejcze. Wiem, że są rozmazani, ale widać, że trzymają pejcze.

– No tak, oczywiście – zgodził się Hix. – Trudno zmusić kogoś, by biegł pod grad strzał, jeśli nie da mu się jakiejś zachęty.

– Oni byli bronią. Żywe istoty używane jako broń. I z wyglądu wcale się tak bardzo nie różnią od ludzi.

– Wiele ciekawych rzeczy działo się pod panowaniem Złego Imperatora – powiedział konwersacyjnym tonem Hix.

– Złych rzeczy – odrzekła Glenda.

– O tak – zgodził się Hix. – O to przecież chodziło. Zły Imperator. Imperium Zła... Robił to, co mieli wypisane na żelaznej dziewicy.

– A co się z nimi stało?

– Cóż, oficjalnie wszyscy nie żyją. Ale różne krążą pogłoski.

– I to ludzie pędzili ich do walki.

– Jeśli wolisz tak to ujmować, rzeczywiście. Ale nie jestem pewien, czy to cokolwiek zmienia.

– Ja uważam, że zmienia wszystko – oświadczyła Glenda. – Zmienia, skoro ludzie opowiadają tylko o potworach, nie o pejcach. O istotach, które wyglądają podobnie do ludzi, no, tak jakby ludzi. A co można zrobić z ludzi, jeśli ktoś się naprawdę postara?

– Interesująca teoria – przyznał Hix. – Ale nie sędzę, żebyś potrafiła ją udowodnić.

– Kiedy królowie walczą z innymi królami i wygrywają, to ścinają głowę tego pokonanego króla. Prawda?

– Czasami.

– Chodzi mi o to, że nie można winić broni za to, jak się jej używa. Jest takie powiedzenie, że ludzie nic nie poradzą na to, jak zostali stworzeni. Myślę, że orki były stworzone.

Glenda zerknęła na bibliotekarza, który patrzył w sufit.

– Jesteś u nas kucharką, tak? Może chciałabyś pracować w naszym zakładzie?

– Wszyscy wiedzą, że kobiety nie mogą być magami – przypomniała Glenda.

– No tak, ale nekro... to znaczy komunikacja post mortem jest inna – odparł z dumą Hix. I dodał: – Niebiosi świadkami, że potrzebujemy tu rozsądnych osób. No i bardzo by się przydała kobieca ręka. Ale nie myśl sobie, że musiałabyś tylko przychodzić tu i odkurzać. Cenimy kurz w naszych pomieszczeniach, a twoje kucharskie talenty byłyby wręcz bezcenne. W końcu podstawy rzeźnictwa należą do naszego fachu. O ile wiem, sklep Boffo ma na wyprzedaży całkiem niezły kostium nekromantki. Dobrze pamiętam, Charlie?

– Dziesięć dolarów, razem ze sznurowanym gorsetem. Prawdziwa okazja – odpowiedział Charlie zza kotary. – Bardzo prowokacyjny.

Odpowiedzi przez chwilę nie było, ponieważ usta Glendy stężały w akcie otwierania. W końcu jednak wykrztusiła uprzejme, ale stanowcze:

– Nie.

Kierownik katedry komunikacji post mortem westchnął lekko.

– Tak przypuszczałem. Ale pamiętaj, jesteśmy elementem porządku świata. Światło i ciemność. Noc i dzień. Słodki i kwaśny. Dobro i zło (w granicach zakreślonych przez statut uczelni). Lepiej jest, jeśli po obu stronach stoją ludzie rozsądni i rzetelni. Jednak cieszę się, że mogliśmy pomóc. Nie widzimy tu zbyt wielu ludzi. No, ludzi jako takich.

* * *

Glenda szła korytarzem.

Ork, myślała. Stwórz, który wyłącznie zabija.

Przy każdym mrugnięciu w umyśle znowu pojawiał się obraz. Zęby i szpony stwora w skoku, widzianego – o ile mogła to stwierdzić – przez tego, na kogo skakał. Wojownicy, których nie można zatrzymać.

Nutt też został zabity, zgodnie z tym, co mówił Trev, a potem tak jakby się odzabił, zanim wrócił na uniwersytet i wyjadł wszystkie zapiekanki.

Była w tym jakaś ogromna luka, ale wypełniali ją ludzie z pejcami. Nie może istnieć ktoś, kto tylko walczy, myślała. Musi robić coś jeszcze. A Nutt wcale nie jest bardziej dziwny od większości ludzi, jakich ostatnio się widuje. Niewiele tego, żeby zacząć, ale z drugiej strony wszyscy wiedzą, że Zły Imperator był czarnoksiężnikiem. Wszyscy wiedzą, że nikt nic nie poradzi na to, jak został stworzony. Warto spróbować. To odrobina niepewności..

Gdy tylko znowu stanęła przed specjalnym miejscem Nutta, wy czuła, że jest puste. Pchnęła drzwi i odkryła bardzo wyraźną nieobecność świec oraz – co ważniejsze – rzucającą się w oczy nieobecność Nutta.

Przecież kazałam mu iść i pomóc im w treningu. Na pewno tam właśnie jest, poszedł trenować, absolutnie, tłumaczyła sobie.

Nie ma powodu do zmartwienia.

Zdenerwowana, przeczuwając, że jednak dzieje się coś niedobrego, zmusiła się, by wrócić do nocnej kuchni.

Była już prawie na miejscu, kiedy spotkała pana Ottomy'ego. Jego stercząca grdyka była czerwona i lśniąca jak kurze podroby.

– Czyli mamy na dole orka ludojada, co? – odezwał się. – Ludzie nie będą na to patrzeć spokojnie. Słyszałem, że potrafiły walczyć nawet z odrąbaną głową.

– To ciekawe – stwierdziła Glenda. – A skąd wiedziały, w którą stronę iść?

– Aha! Potrafiły wywachać sobie drogę – wyjaśnił pedel.

– A jak mogły to robić z odrąbaną głową? Czy sugeruje pan, że miały nosy w tyłkach?

Była zaszokowana, że powiedziała coś takiego. To były brzydkie wyrazy, ale Ottomy stanowił ucieleśnienie brzydkich wyrazów.

– Nie podoba mi się to – oświadczył, ignorując jej pytanie. – I wie panienka, co jeszcze słyszałem? Że były tak jakby stworzone. Kiedy Zły Imperator potrzebował wojowników, kazał paru Igorom zmienić gobliny w orki. To w ogóle nie są prawdziwi ludzie! Idę się poskarżyć nadrektorowi.

– On już wie – powiedziała Glenda. No, musi wiedzieć, pomyślała. I Vetinari też. – Nie ma pan chyba zamiaru sprawiać kłopotów panu Nuttowi, prawda? – spytała. – Bo jeśli tak, panie Ottomy... – pochyliła się –... to już nigdy nikt pana nie zobaczy.

– Nie powinna panienka tak mi grozić.

– Ma pan rację, nie powinnam – przyznała. – Powinnam powiedzieć: Nigdy już nikt cię nie zobaczy, ty bezczelny, oślizły ćwoku! Idź, poskarż się nadrektorowi, jeśli masz ochotę, i zobaczmy, co ci z tego przyjdzie!

– Zjadały ludzi żywcem! – Ottomy nie ustępował.

– Tak samo jak trolle. Oczywiście, wypływały ich potem, ale nie w takim stanie, żeby mogli cieszyć się życiem. Kiedyś walczyliśmy z krasnoludami, a kiedy one odrąbywały człowieka w kolanach, to nie żartowały. Wiemy, panie Ottomy, że lampart może zmienić swoje cętki. – Pociągnęła nosem. – I może warto, żeby pan też zmienił coś z ubrania. Na przykład bieliznę. I jeśli usłyszę o jakichś kłopotach z pana strony, to pan usłyszysz o mnie. Tam, na górze, jest nadrektor. Tutaj, na dole, w

ciemności... są sztucce.

– Powtórzę mu, co panienka mówiła – zagroził pechowy pedel, cofając się o krok.

– Będę bardzo wdzięczna – odparła Glenda. – A teraz wynocha.

Dlaczego w ogóle mówimy, że lampart może zmienić swoje cętki? – zastanawiała się, patrząc, jak pan Ottomy odchodzi pośpiesznie. Czy ktoś widział, jak lampart zdejmuje cętki z futra? A gdyby nawet, jak by przyczepiał nowe? Ale ciągle to powtarzamy, jakby to była święta prawda, podczas gdy w rzeczywistości oznacza, że skończyły nam się argumenty.

* * *

Miała jeszcze coś zrobić... ale co to było? A tak...

Raz jeszcze podeszła do kociołka, na którym wypisała kredą „Nie dotykać”, i uniosła pokrywkę. Paciorkowate oczy spojrzały na nią z wodnistej głębi; odeszła, wzięła kilka skrawków ryby i rzuciła je na czekające szczypce.

– Z tobą przynajmniej wiem, co robić – powiedziała.

Działająca sprawnie kuchnia zawiera bardzo wiele różnych przedmiotów, z których wcale nie najmniejsza jest kolekcja narzędzi pozwalających na dokonanie krwawego mordu. Są także liczne sposoby usunięcia dowodów. Nie po raz pierwszy taka myśl przyszła jej do głowy. I Glenda była z tego całkiem zadowolona. Na razie jednak wyjęła z szuflady parę bardzo grubych rękawic, znowu włożyła swój stary płaszcz, sięgnęła do kociołka i chwyciła kraba. Klapnął na nią szczypcami. Wiedziała, że to robi. Nigdy, przenigdy nie można oczekiwać wdzięczności od kogoś, komu się pomaga.

– Odpływ się zbliża – powiedziała do skorupiaka. – Dlatego wybieramy się na spacer.

Wrzuciła go do torby na zakupy i pomaszzerowała przez uniwersyteckie trawniki.

Para studentów ostatniego roku pracowała na przystani. Jeden z nich uniósł głowę i zapytał:

- Czy powinna pani chodzić po murawie uniwersytetu?
- To absolutnie zakazane dla pracowników kuchennych – odparła

Glenda.

Studenci spojrzeli na siebie nawzajem.

- Aha. Dobrze – mruknął jeden z nich.

I tyle.

Żadnych problemów.

To był metaforyczny młotek. Uderzał jedynie wtedy, kiedy człowiek wierzył, że tam jest.

Wyjęła kraba z torby, a on z irytacją zamachał szczypcami.

– Widzisz tam? – spytała, wskazując wolną ręką. – To Pole Kwoki i Kurczaków.

Nie była pewna, czy paciorkowate oczka potrafią się zogniskować na trawiastej równinie za rzeką, ale przynajmniej ustawiła go we właściwym kierunku.

– Ludzie myślą, że kiedyś hodowano tu kury – mówiła dalej swobodnie, a dwaj młodzi magowie patrzyli na siebie zdziwieni. – W rzeczywistości jest całkiem inaczej. Kiedyś wieszano tutaj ludzi, więc kiedy szli ze starego więzienia, które dawniej stało tam, kapłan w powiewających szatach kroczył na czele procesji i zdawało się, że prowadzi skazańców i dozorców niczym kwoka swoje kurczęta. Coś takiego nazywamy tu absurdalnym poczuciem humoru i nie mam bladego pojęcia, czemu do ciebie mówię. Zrobiłam, co mogłam. Teraz wiesz więcej niż wszystkie inne kraby.

Podeszła do samej linii tego, co w płynącej przez miasto rzece uchodziło za wodę, i wrzuciła do niej kraba.

- Trzymaj się z daleka od saków. I już tu nie wracaj.

Odwróciła się i zauważyła, że obaj młodzi magowie się jej przyglądają.

- No co? – rzuciła. – Jakieś prawo zabrania tu rozmów z krabami?

Po czym wymięła ich z uśmiechem.

Znowu długimi korytarzami wędrowała nieco oszołomiona w stronę kadzi. Niektórzy z tutejszych mieszkańców zerkali na nią nerwowo, kiedy przechodziła, ale po Nutcie nie było ani śladu, chociaż przecież wcale go nie szukała, skąd. Była już prawie w nocnej kuchni, kiedy

pojawił się Juliet i Trev. Glenda nie mogła nie zauważyć, że Juliet mocno błyszczą oczy i jest nieco rozwichrzona. Nie mogła nie zauważyć, ponieważ bardzo się starała zauważać to za każdym razem. Ta prawie rodzicielska odpowiedzialność jest naprawdę straszna.

– Co jeszcze tu robicie? – spytała.

Ich twarze wyrażały nie tylko zakłopotanie.

– Wróciłam pożegnać się z dziewczętami i musiałam poczekać na Treva, bo miał trening.

Glenda usiadła.

– Zrób mi herbaty, dobrze? – A że trudno się pozbyć starych przyzwyczajeń, dodała: – Zagotuj wodę w czajniku, dwie łyżeczki herbaty na imbryk. Nalej wody z czajnika do imbryka, jak tylko się zagotuje. Nie wysypuj herbaty do czajnika. – Zwróciła się do Treva. – Gdzie jest pan Nutt? – spytała, a w jej głosie dzwięczała nonszalancja.

Trev spuścił głowę.

– Nie wiem, Glendo – powiedział. – Byłem...

– Zajęty – dokończyła Glenda.

– Ale żadnego migdalenia – zapewniła szybko Juliet.

Glenda zdała sobie sprawę, że nie przeszkadzałoby jej trochę migdalenia, a nawet przejście na inne bakalie. Pewne sprawy są ważne, pewne nie, a w pewnych chwilach człowiek potrafi je rozróżnić.

– A jak pan Nutt sobie radził?

Trev i Juliet spojrzeli na siebie wzajemnie.

– Nie wiemy. Nie było go tam – wyznał Trev.

– Tak jakby pomyśleliśmy, że może jest z tobą – dodała Juliet, podając jej kubek tego, co się dostaje, kiedy prosi się o herbatę kogoś, kto nawet w najlepszych momentach ma skłonność do mylenia przepisów.

– Nie było go w głównym holu? – zdziwiła się Glenda.

– Nie, nie było... Zaczekaj chwilę. – Trev zbiegł po stopniach, a po kilkunastu sekundach usłyszały jego powracające kroki. – Zniknęła jego skrzynka z narzędziami – oznajmił. – Znaczy, nic wielkiego. Porobił je sobie z różnych kawałków, które znalazł w piwnicach, ale o ile wiem, to wszystko, co miał.

Wiedziała, pomyślała Glenda. Oczywiście, że wiedziała.

– Dokąd mógł pójść?

– Jest takie miejsce w Überwaldzie, dużo o nim opowiada.

– Ale to przecież tysiąc mil stąd!

– No bo pewnie pomyślał, że równie dobrze może być tam zamiast tutaj – powiedziała niewinnie Juliet. – Znaczy się, ork... na swoim miejscu sama bym uciekała przed taką nazwą.

– Słuchajcie, jestem pewna, że schował się gdzieś w tym budynku – oświadczyła Glenda, absolutnie pewna, że nie.

Gdybym tak uważała, że jest gdzieś niedaleko, za rogiem, albo że poszedł, no... przypudrować nos, albo zniknął na jakieś pół godziny, do czego przecież ma prawo, czy może musiał iść kupić skarpety? Więc jeśli będę wierzyła, że łała chwila znów się pojawi, to może, chociaż wiem, że nie...

Odstawiła kubek.

– Pół godziny – zdecydowała. – Juliet, sprawdzisz w pobliżu głównego holu. Trev, pójdziesz przez tunele tędy, a ja tamtędy. Jeśli spotkacie kogoś, komu można zaufać, pytajcie.

Trochę ponad pół godziny później Glenda była ostatnią, która wróciła do nocnej kuchni. Prawie się spodziewała, że go tam zobaczy, ale wiedziała, że nie.

– Czy wiedziałby, jak trafić do dylizansu? – spytała.

– Wątpię, czy widział jakiś w życiu – odparł Trev. – Wiesz, co ja bym zrobił, gdybym był nim? Bym zwyczajnie uciekł. Tak było, kiedy umarł tato. Przez całą noc włoczyłem się po mieście. Nie przejmowałem się, dokąd idę. Po prostu szedłem. Chciałem uciec od bycia sobą.

– Jak szybko może biegać ork?

– Założę się, że o wiele szybciej niż człowiek. I bardzo długo.

– Słuchajcie! – krzyknęła Juliet. – Nie słyszycie?

– Czego nie słyszymy? – zdziwiła się Glenda.

– Niczego.

– I...?

– Gdzie się podziało „Aik, aik”?

– Myślę, że znajdziemy je tam, gdzie znajdziemy Nutta – uznał Trev.

– Przecież nie może biec przez całą drogę do Überwaldu – stwierdziła Glenda. – To niemożliwe.

I w końcu to powiedziała:

- Uważam, że powinniśmy ruszyć za nim.
- Ja pójdę – zapewnił Trev.
- No to ja też! – zawołała Juliet. – A poza tym mam jeszcze pieniądze, a będą wam potrzebne...
- Twoje pieniądze są w banku – przypomniała jej Glenda.
- A bank jest zamknięty. Ale mam chyba w torebce parę dolarów.
- W takim razie przepraszam na chwilę – rzekł Trev. – Zaraz wracam. Sądzę, że coś powinniśmy zabrać.

* * *

Woźnica omnibusu do Sto Lat popatrzył na nich z góry.

- Dwa dolary pięćdziesiąt od osoby – powiedział.
- Przecież jedzie pan tylko do Sto Lat – zaprotestowała Glenda.
- Tak – odparł spokojnie. – Dlatego mamy „Sto Lat” napisane z przodu.
- Może będziemy musieli pojechać o wiele dalej – stwierdził Trev.
- Chyba każdy dyliżans w tej części świata jedzie przez Sto Lat – wyjaśnił woźnica.
- Jak długo potrwa, zanim tam dojedziemy?
- No... To jest nocny omnibus, nie? Dla ludzi, którzy chcą być w Sto Lat wcześniej rano, a nie mają za dużo pieniędzy. Na tym to polega, jasne? Im mniej pieniędzy, tym wolniejsza jazda. W końcu będziemy na miejscu. Mniej więcej o świcie.
- Całą noc? Na piechotę byłoby szybciej!

Woźnica miał przyjazny, spokojny styl bycia człowieka, który odkrył, że najlepszym sposobem przejścia przez życie jest niczym się specjalnie nie przejmować.

- Nie krępuj się – powiedział. – Pomacham ci, kiedy będę przejeżdżał.

Glenda zajrzała do omnibusu. Był w połowie wypełniony takimi właśnie ludźmi, którzy wybierają nocny kurs, bo nie jest drogi. Takimi ludźmi, którzy zabierają ze sobą kolację w papierowej torbie, i to raczej nie całkiem świeżej papierowej torbie.

We trójkę stanęli z boku.

– Tylko na to nas stać – oświadczył Trev. – W dylizansie pocztowym nie wystarczy nam chyba nawet na jedną osobę.

– Może się z nim potargować? – zaproponowała Glenda.

– Niezły pomysł – zgodził się Trev i wrócił do omnibusu.

– Witam znowu – rzucił woźnica.

– Kiedy pan rusza? – spytał Trev.

– Za jakieś pięć minut.

– Czyli wszyscy, którzy chcą jechać, są już w środku?

Glenda spojrzała w głąb. Pasażer siedzący za woźnicą bardzo starannie obierał jajko na twardo.

– Możliwe – zgodził się woźnica.

– Więc czemu pan nie ruszy już teraz? I nie pojedzie szybciej? To bardzo ważne.

– Nocny kurs. Przecież mówiłem.

– A przypuśćmy, że pogroziłbym panu tą oto ołowianą rurką. Czy pojechałby pan szybciej? – spytał Trev.

– Trevorze Likely! – wykrzyknęła oburzona Glenda. – Nie możesz tak sobie grozić ludziom ołowianymi rurkami!

Woźnica przyglądał się Trevowi z kozła.

– Czy mógłbyś uprzejmie to powtórzyć?

– Powiedziałem, że mam tu kawałek ołowianej rurki. – Trev stuknął nią lekko o drzwi omnibusu. – Przykro mi, ale naprawdę musimy się dostać do Sto Lat.

– A tak, faktycznie – zgodził się woźnica. – Widzę tę twoją rurkę. – Sięgnął pod siedzenie po drugiej stronie. – Przebijam tym oto toporem bojowym. I chcę przypomnieć, że gdybym rozrąbał cię na pół, prawo będzie po mojej stronie. Bez urazy. Musisz mnie chyba brać za jakiegoś przygłupa. Ale skaczecie dookoła jak larwy na patelni, więc o co tu chodzi?

– Musimy znaleźć naszego przyjaciela. Może być w niebezpieczeństwie – wyjaśnił Trev.

– To bardzo romantyczne – dodała Juliet.

Woźnica przyjrzał się jej.

– A jak pan nam pomoże go dogonić, dam panu wielkiego całusa –

obiegała.

– No proszę! – Woźnica zwrócił się do Treva. – Dlaczego ty na to nie wpadłeś?

– Dobra, też panu dam całusa – obiecał Trev.

– Bardzo dziękuję. – Woźnica najwyraźniej świetnie się bawił.

– W twoim przypadku wolę chyba tę rurkę, chociaż lepiej niczego nie próbuj, bo strasznie ciężko potem oczyścić siedzenia z krwi. Nic jej nie zmywa.

– No dobrze, spróbuję pana uderzyć ołowianą rurką. Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji.

– I damy panu trochę pieniędzy – dodała Juliet.

– Słucham? Dostaję całusa i pieniądze, i jeszcze rurką? To może wymienię tę rurkę na jeszcze jednego całusa.

– Dwa całusy, całe trzy dolary i żadnej rurki – podsumowała Juliet.

– Albo sama rurka i trudno, zaryzykuję – dodał Trev.

– Ja też mogę panu dać całusa, jeśli pan chce – wtrąciła Glenda, która obserwowała ich z pełną fascynacją grozą.

Trudno było nie zauważyć, że propozycja nie wpłynęła na sytuację przetargową.

– Ale co z moimi pasażerami? – woźnica się zawahał.

Cała czwórka zajrzała do wnętrza omnibusu i uświadomiła sobie, że są celem przynajmniej tuzina zaciekawionych spojrzeń.

– Bierz pan całusa – poradziła kobieta, trzymająca na kolanach duży kosz.

– I pieniądze – dodał mężczyzna.

– Nie obchodzi mnie, czy ona go pocałuje, czy przywali ołowianą rurką po łbie, byle tylko najpierw nas dowiózł – rzucił jakiś siedzący z tyłu staruszek.

– Czy my też dostaniemy całusa? – dopominali się dwaj rozchichotani chłopcy.

– Jeśli chcecie – powiedziała groźnie Glenda i obaj zgarbili się na ławce.

Juliet chwyciła woźnicę za głowę, po czym rozległ się – trochę zbyt długi, według wewnętrznych zegarów Treva i Glendy – odgłos piłki tenisowej wsysanej przez struny rakiety. Juliet odstała. Woźnica

uśmiechał się trochę oszołomiony i z maślanymi oczami.

– No, to było o wiele lepsze od rurki.

– Może lepiej ja będę powoził?

Woźnica wyszczerzył zęby.

– Ja będę, jeśli można. I nie oszukuj się, młody człowieku, potrafie rozpoznąć oprycha, a ty nawet nie jesteś podobny. Już prędzej własna matka by mi przywalała tą rurką. Wyrzuć ją, dobrze radzę, bo ktoś ci zrobi przedziałek, o jakim prędko nie zapomnisz.

Mrugnął do Juliet.

– Jak się tak zastanowić, to od czasu do czasu konie powinny sobie pobiegać. Pasażerowie do Sto Lat, proszę wsiadać!

Omnibusy zwykle nie podróżują prędko, a to, co woźnica nazwał „pobieganiem”, było tylko minimalnie szybsze od tego, co większość ludzi uznałaby za spacer. Ale przynajmniej rozpędził konie do takiego tempa, żeby nie zdążyły się znudzić każdym mijanym drzewem.

Omnibus przeznaczony był – jak to określił woźnica – dla ludzi, których nie stać na prędkość, ale mogą sobie pozwolić na czas. W jego konstrukcji pominięto więc wszelkie kosztowne elementy – był właściwie zwykłym wozem z podwójnymi siedzeniami przez całą długość, za nieco podniesionym kozłem woźnicy. Brezentowe płachty po bokach chroniły przed wybrykami pogody, ale na szczęście wpuszczały dość powietrza, by łagodziło zapach tapicerki, która doświadczyła człowieczeństwa we wszelkich jego nastrojach i potrzebach.

Glenda miała wrażenie, że niektórzy z pasażerów podróżują regularnie. Starsza kobieta siedziała spokojnie i robiła na drutach. Chłopcy wciąż zajmowali się dyskretnym chichotaniem, odpowiednim dla ich wieku, krasnolud wyglądał przez okno, nie patrząc na nic konkretnego. Nikt właściwie nie próbował z nikim rozmawiać, z wyjątkiem mężczyzny z tyłu, który prowadził nieustającą konwersację z samym sobą.

– To nie dość prędko! – zawołała Glenda po dziesięciu minutach telepania się po dziurach. – Chyba biegłabym szybciej!

– Nie wydaje mi się, żeby dotarł aż tak daleko – stwierdził Trev.

Słońce opadało do horyzontu, cienie wyciągały się już na polach kapusty, ale przy drodze przed sobą widzieli jakąś postać. Opędzała się. Trev wyskoczył.

– Aik! Aik!

– To te przeklęte stwory! – krzyknęła Glenda, biegnąc za nim.

– Daj mi tę rurkę!

Nutt przykucnął w pyle drogi. Siostry Wiecznej Prędkości na wpół fruwały, na wpół podskakiwały wokół, a on usiłował osłaniać twarz rękami. Nie zauważały pasażerów omnibusu do chwili, gdy pojawiła się ołowiana rurka i zaraz po niej Glenda. Rurka nie wywarła takiego skutku, na jaki liczyła. Siostry rzeczywiście przypominały ptaki. Nie mogła ich trafić, tylko machała na nie w powietrzu.

– Aik! Aik!

– Natychmiast przestańcie! – krzyknęła. – Czemu chcecie go krzywdzić? Nie zrobił nic złego!

Nutt uniósł rękę i chwycił ją za przegub. Nie ścisnął mocno, ale nagle nie mogła poruszyć dłonią, całkiem jakby została wtopiona w kamień.

– One nie są tu po to, żeby mnie krzywdzić – powiedział. – Są po to, żeby was chronić.

– Przed kim?

– Przede mną. Przynajmniej tak to powinno wyglądać.

– Nie potrzebuję obrony przed tobą! To nie ma sensu!

– Myślą, że może panienka potrzebować – odparł Nutt. – Ale nie to jest najgorsze.

Kreatury krążyły w górze, a inni pasażerowie, przejawiający endemiczne ankhmorporskie zamięłowanie do improwizowanego teatru ulicznego, wysypali się z omnibusu, tworząc wdzięczną publiczność, co wyraźnie budziło u Sióstr Wiecznej Prędkości zakłopotanie.

– Więc co jest najgorsze? – Glenda machnęła rurką w stronę najbliższej z Sióstr, która odskoczyła z ręcznie.

– Że mogą mieć rację!

– No zgoda, jesteś orkiem – przyznał Trev. – I oni kiedyś zjadali ludzi. Zjadłeś kogoś ostatnio?

– Nie, panie Trev.

– No właśnie.

– Nie można nikogo aresztować za to, czego nie zrobił. – Jeden z pasażerów omnibusu mądrze pokiwał głową. – To fundamentalne prawo.

– Co to jest ork? – spytała siedząca obok kobieta.
– Och, za dawnych czasów w Überwaldzie czy gdzieś tam orki rozrywały ludzi na strzępy i ich pożerały.
– Tacy są ci cudzoziemcy – westchnęła kobieta.
– Ale one wszystkie już nie żyją – zapewnił ją mężczyzna.
– To miło. Może ktoś się napije herbaty? Mam termos.
– Nie żyją wszystkie oprócz mnie. Jednakże obawiam się, że istotnie jestem orkiem – oświadczył Nutt. Spojrzał na Glendę. – Przykro mi. Panienska była dla mnie bardzo dobra, ale niestety, bycie orkiem zawsze będzie mnie prześladować. Będą kłopoty. I bardzo bym nie chciał mieszać w nie panienki.

– Aik! Aik!

Kobieta odkręciła termos.

– Ale przecież nie chcesz nikogo zjadać, prawda, mój drogi? Jeśli naprawdę jesteś głodny, to mam ciasteczka. – Spojrzała na najbliższą Siostrę. – A ty, skarbie? Wiem, nikt nie poradzi na to, jak został stworzony, ale jak to się stało, że stworzyli cię podobną do kurczaka?

– Aik! Aik!

– Zagrożenie! Zagrożenie!

– Nie znam się na tym – wyznał inny z pasażerów. – Ale nie wydaje mi się, żeby miał kogoś zjeść.

– Proszę, bardzo proszę – rzekł Nutt.

Obok niego, przy drodze, leżało spore pudełko. Otworzył je nerwowo i zaczął coś z niego wyjmować.

To były świece. Przewracał je w pośpiechu i podnosił drżącymi palcami tylko po to, żeby znowu przewrócić. Aż w końcu stały wszystkie na krzemieniach przy drodze. Z kieszeni wyjął zapalki, przyklęknął i znowu splątał roztrzęsione palce, kiedy próbował jedną zapalić. Łzy ciekły mu po policzkach, kiedy zajaśniało światło świec.

Zajaśniało... i zmieniło się.

Błękity, żółcie, zielenie... Potem gasły na kilka zadymionych sekund i płomyki pojawiały się znowu w innym kolorze, przy wtórze ochów i achów patrzących.

– Patrzcie! Widzicie? – zapytał. – Podoba się wam? Podoba?

– Myślę, że możesz na nich zarobić dużo pieniędzy – stwierdził je-

den z pasażerów.

– Sliczne są – uznała starsza pani. – Słowo daję, jakie piękne rzeczy potrafią dziś robić młodzi...

Nutt zwrócił się do najbliższej Siostry i splunął.

– Nie jestem bezwartościowy. Mam wartość.

– Mój szwagier prowadzi w mieście sklep z kostiumami i sztuczkami – oznajmił niedawny ekspert od orków. – Jeśli chcesz, zapiszę ci jego adres. Myślę, że coś takiego dobrze się sprzeda na dziecięce bale urodzinowe.

Glenda przyglądała się temu z rozdziawionymi ustami. Pewnego rodzaju demokracja, uprawiana przez rozsądnych i przyjaznych, choć nie za mądrych ludzi – ludzi, których edukacja nie zawierała ani jednej książki, zawierała za to bardzo wielu innych ludzi – objęła Nutta swymi niewidzialnymi, życzliwymi ramionami.

Ten widok cieszył serce, ale serce Glendy było w tej kwestii trochę zrogowaciałe. Miała przed sobą wiadro krabów w jego najlepszej wersji. Sentymentalne i wybaczące, ale wystarczy jeden błędny krok – niewłaściwe słowo, niewłaściwy związek, niewłaściwa myśl – i te opiekuńcze ręce mogą zacisnąć się w pięści. Nutt miał rację: bycie orkiem w najlepszym razie oznaczało życie w zagrożeniu.

– A wy tam nie macie prawa tak traktować tego biedaka – oświadczyła staruszka, grożąc palcem najbliższej Siostrze. – Jak chcecie tu mieszkać, to macie postępować po naszemu, jasne? A to znaczy, że nie dziobiemy ludzi. Nie zachowujemy się tak w Ankh-Morpork.

Nawet Glenda się uśmiechnęła, słysząc te słowa. Dziobanie to pieszczota w porównaniu z tym, co miało do zaoferowania Ankh-Morpork.

– Vetinari ostatnio wszystkich wpuszcza – odezwał się inny pasażer.

– O krasnoludach złego słowa nie dam powiedzieć...

– I dobrze – mruknął ktoś za jego plecami.

Pasażer odsunął się i Glenda zobaczyła, że stoi za nim krasnolud.

– Wybacz, kolego, nie zauważyłem cię, no bo jesteś taki mały – rzekł pasażer, który nie miał nic przeciwko krasnoludom. – Jak mówiłem, wy się sprowadzacie, bierzecie do roboty i nikomu nie robicie kłopotów. Ale pojawiają się prawdziwe dziwactwa.

– Ta baba, co ją w zeszłym miesiącu przyjęli do straży, na przykład – przypomniała staruszka. – Bardzo dziwna. Gdzieś spod Efebu. Wiatr zdmuchnął jej ciemne okulary i troje ludzi zmieniło się w kamień.

– To była Meduza – wyjaśniła Glenda, która czytała o tym w „Pulsie”. – Zresztą magom udało się pozmienić ich z powrotem.

– No więc chciałem tylko powiedzieć – nie ustępował pasażer, który nie miał nic przeciwko krasnoludom – że nikt nam nie przeszkadza, byleby pilnował własnego nosa i nie zachowywał się dziwacznie.

Taki był rytm tego świata; Glenda słyszała go już wiele razy. Ale nastroje w tłumie były zdecydowanie dla Sióstr nieprzychylnie. Wcześniej czy później ktoś sięgnie po kamień...

– Ja bym się stąd wyniosła – poradziła im. – I wróciła do tej damy, dla której pracujecie. Tak właśnie bym postąpiła na waszym miejscu.

– Aik! Aik! – krzyknęła jedna z Sióstr.

Ale w tych dziwnych głowach działały mózgi. Trzy Siostry były chyba dostatecznie rozsądne, by uznać, że warto je tam zachować; rzuciły się więc do ucieczki, podskakując i podlatując jak czaple, aż wreszcie to, co wyglądało jak płaszcze, okazało się skrzydłami machającymi ciężko w powietrzu. Już z pewnej wysokości rozległ się jeszcze pożegnalny wrzask:

– Aik! Aik!

Woźnica omnibusu odchrząknął.

– No więc jeśli ta sprawa jest już załatwiona, proponuję wsiadać z powrotem, panie, panowie i co tam jeszcze. A pan niech nie zapomni swoich świeczek.

Glenda pomogła Nuttowi usiąść na drewnianej ławce. Mocno przyciskał do piersi swoją torbę.

– Dokąd próbowałeś się dostać? – spytała, gdy konie ruszyły.

– Do domu – odparł Nutt.

– Z powrotem do niej?

– Ona nadała mi wartość – odpadł. – Byłem niczym, a ona dała mi wartość.

– Jak możesz mówić, że byłeś niczym? – oburzyła się Glenda. Na ławce przed nimi Trev i Juliet szeptali coś do siebie.

– Byłem niczym – powtórzył Nutt. – Nic nie wiedziałem, nic nie

rozumiałem. Nie miałem o niczym pojęcia i nic nie potrafiłem...

– To jeszcze nie znaczy, że ktoś jest bezwartościowy – odparła stanowczo.

– Znaczy – zapewnił ją Nutt. – Ale nie znaczy, że jest zły. Byłem bezwartościowy. Pokazała mi, jak zyskać wartość, i teraz mam już wartość.

Glenda miała wrażenie, że posługują się różnymi słownikami.

– Co znaczy „wartość”, panie Nutt?

– To znaczy, że ktoś zostawia świat lepszy, niż go zastał.

– Słusznie – zgodziła się pasażerka z ciasteczkami. – Dookoła pełno jest takich, którym nie chce się nawet ręką ruszyć.

– No dobrze, ale co z ludźmi, którzy są na przykład ślepi?

To pytanie zadał człowiek jedzący jajka na twardo, siedzący po drugiej stronie omnibusu.

– Znam w Sto Lat niewidomego gościa, który prowadzi bar – oświadczył dżentelmen w starszym wieku. – Wie, gdzie wszystko leży, a kiedy rzuca się na ladę pieniądze, poznaje monety po dźwięku. Zadziwiające, ale lewą sześciopensówkę umie poznać przez pół hałaśliwego baru.

– Nie wydaje mi się, żeby istniały jakieś kwestie absolutne – powiedział Trev. – Lady chodziło pewnie o to, że trzeba starać się jak najlepiej z tym, co człowiek ma do dyspozycji.

– Bardo rozsądna dama – uznał pasażer, który nie miał nic przeciwko krasnoludom.

– Jest wampirem – poinformowała złośliwie Glenda.

– Nic nie mam do wampirów, dopóki trzymają się swoich spraw – stwierdziła pasażerka z ciasteczkami, w tej chwili zajęta lizaniem czegoś obrzydliwie różowego. – Jedna taka pracowała u koszernego rzeźnika na naszej ulicy i była bardzo miła.

– Chyba nie chodzi o to, z czym kończysz – uznał krasnolud.

– Chodzi o to, z czym kończysz w porównaniu z tym, z czym zaczynałeś.

Glenda oparła się na siedzeniu. Słuchała z uśmiechem, jak między ławkami przefruwały próby filozofii. Sama w tej kwestii nie miała pewności, ale Nutt siedział obok, nie wyglądał już na takiego wypłutego,

a pozostali traktowali go jak jednego spośród siebie.

Daleko z przodu pojawiły się zamglone światła. Glenda przeszła na przód, do woźnicy.

– Dojeżdżamy już? – spytała.

– Za pięć minut – odpowiedział.

– Przepraszam za tę rurkę.

– Nic się nie stało – uspokoił ją. – Może panienka wierzyć, różni tu jeżdżą nocnym omnibusem. Przynajmniej nikt się nie porzygał. Ciekawego chłopaka wieziecie z powrotem.

– Nawet pan sobie nie wyobraża.

– Oczywiście, tak naprawdę to mówi tyle, że trzeba się starać jak najlepiej. A im więcej najlepszego człowiek potrafi, tym bardziej powinien się starać. I to właściwie tyle.

Glenda pokiwała głową. Rzeczywiście, to by było tyle.

– Wraca pan od razu? – spytała.

– Nie. Ja i konie zatrzymujemy się tutaj i wracamy rano.

– Rzucił jej ironiczne spojrzenie człowieka, który wiele słyszał, a co dziwne, także wiele widział, choć dla tych za swymi plecami był jedynie głową skierowaną w przód i uważającą na drogę.

– Wspaniały całus od niej dostałem. Coś wam powiem. Bus zostanie na dziedzińcu, jest tam dużo siana i gdyby ktoś chciał się przespać, to ja o niczym nie wiem, jasne? Dojeżdżamy o szóstej ze świeżymi końmi. – Uśmiechnął się, widząc jej minę. – Mówilem przecież, różni tu jeżdżą: dzieciaki uciekające z domów, żony uciekające od mężów, mężowie uciekający przed mężami innych żon. To się nazywa omnibus, a „omni” znaczy wszystko, i faktycznie wszystko może się zdarzyć na nocnym kursie, dlatego wożę topór. Ale tak jak to widzę, całe życie nie może być samym toporem.

– Podniósł głos. – Uwaga, zbliżamy się do Sto Lat! Kurs powrotny punkt szósta! – Mrugnął do Glendy. – A jak was tam nie będzie, to jadę bez was – uprzedził. – Omnibus trzeba łapać w czasie łapania omnibusu.

Glenda wróciła na swoje miejsce.

– Nie było tak źle, prawda? – spytała po chwili, gdy zaczęły już rosnać światła miasta.

– Tato będzie się martwił – powiedziała Juliet.

– Pomyśli, że jesteś ze mną.

Trev milczał. Zgodnie z regułami ulicy, być zdemaskowanym wobec swojej wymarzonej dziewczyny jako ktoś, kogo tak łatwo rozszyfrować jako kogoś, kto nie jest dość twardy, by komuś innemu przyłożyć ołowianą rurką, jest wybitnie zawstydzające... Chociaż jakoś nikt tego nie zauważył.

– Chyba mają tam jakieś kłopoty! – zawołał woźnica. – Lancrański Lotnik nie odjechał.

Widzieli tylko pochodnie i światła latarni ukazujące wielki zajazd przed bramą miasta. Na dziedzińcu stało kilka dyliżansów. Kiedy podjechali bliżej, woźnica krzyknął coś do chudego, krzywonogiego mężczyzny o szczurzej twarzy, z tych, którzy jakoś sami się generują wokół dowolnej instytucji, zajmującej się transportem i końmi.

– Lotnik nie wyjechał? – spytał woźnica.

Mężczyzna o szczurzej twarzy wyjął z ust niedopałek papierosa.

– Koń zgubił podkowę.

– I co? Mają tu przecież kowala, nie? Szybka poczta i takie rzeczy.

– Nie będzie nic szybkiego, bo on sobie właśnie przywalcował łapę do kowadła – wyjaśnił mężczyzna.

– Masę to będzie kosztować, jak Lotnik nie wyruszy – stwierdził woźnica. – To przecież poczta. Powinno się zegarki nastawiać według Lotnika.

Nutt wstał.

– Chętnie podkuję konia dla panów – zaproponował, podnosząc drewnianą skrzynkę z narzędziami. – Może niech pan pójdzie i komuś powie.

Mężczyzna odbiegł, a omnibus zatrzymał się na dziedzińcu, gdzie podszedł do nich pospiesznie inny mężczyzna, wyraźnie lepiej ubrany.

– Któryś z was to kowal? – zapytał, patrząc wprost na Glendę.

– Ja – odpowiedział Nutt.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

– Nie wygląda pan na kowala, drogi panie.

– Wbrew powszechnym przekonaniom większość kowali jest raczej żyłasta niż potężna. To kwestia ściągien, nie mięśni.

– I ma pan doświadczenie z kowadłem?

- Byłby pan zdumiony, drogi panie.
- W kuźni są gotowe podkowy – oświadczył mężczyzna. – Będzie pan musiał którąś dopasować.
- Wiem, jak to robić – odparł Nutt. – Panie Trev, byłoby miło, gdyby poszedł pan ze mną i pomógł przy miechach.

* * *

Zajazd był wielki i zatłoczony, ponieważ – jak we wszystkich zajazdach dyliżansów – jego dzień roboczy trwał dwadzieścia cztery godziny i ani chwili krócej. Nie miał wyznaczonych pór posiłków. Gorące dania dla tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić, były dostępne przez cały czas, a na wielkim stole w głównej sali leżały plastry zimnego mięsa. Ludzie przybywali tutaj, w możliwie krótkim czasie mogli się wypróżnić i wypełnić, i znowu byli wysyłani w drogę, ponieważ miejsce było potrzebne dla następnych. Zdawało się, że nie ma ani jednej chwili bez brzęku upręży. Glenda znalazła spokojny kącik.

– Wiesz co? – zwróciła się do Juliet. – Idź po kanapki dla chłopców.

– Zabawne, że pan Nutt jest kowalem – stwierdziła Juliet.

– Jest człowiekiem kryjącym wiele sekretów.

Juliet zmarszczyła brwi.

– Ile?

– To tylko takie powiedzenie, Juliet. A teraz ruszaj.

Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić. Te dziwne latające kobiety... Pan Nutt... Wiele było do przemyślenia. Człowiek zaczyna dzień i to po prostu kolejny dzień, a potem nagle jest tutaj, szczęśliwie nie kończąc jako rozbójnik, siedząc w innym mieście i nie mając właściwie nic prócz ubrania na sobie, nie wiedząc, co się stanie za chwilę...

Co w pewnym sensie było ekscytujące. Przez chwilę analizowała to uczucie, ponieważ ekscytacja nie należała do regularnych elementów jej życia. Ogólnie biorąc, zapiekanki nie ekscytują.

Wstała i niezauważona szła wśród tłumu, z mglistym planem obejrzania tutejszej kuchni. Jednak na drodze stanął jej ktoś, czyje zaokrąglone ciało, spocona twarz i zdenerwowanie sugerowały oberżystę.

– Jeśli zechce pani momencik poczekać... – powiedział do niej, po czym zwrócił się do kobiety wychodzącej z pokoju, który wyglądał jak prywatna jadalnia. – Jak miło było znów panią gościć, lady – zapewnił, kołysząc się lekko. – Wasza łaskawość wyświadcza nam zaszczyt, odwiedzając nasz skromny lokal.

Lady...

Właśnie tak Glenda wyobrażała sobie tę kobietę, kiedy Nutt po raz pierwszy o niej opowiadał. Wysoka, szczupła, mroczna, nieprzystępna i budząca lęk. Minę miała surową. Kiedy się odezwała, Glenda uznała jej ton za elegancki.

– Zbyt tu hałaśliwie.

– Ale wołowina doskonała – wtrącił ktoś.

Glenda spostrzegła, że dama niemal przesłoniła niższą kobietę, całkiem sympatyczną i mającą w sobie coś pedantycznego.

– Czy pani jest lady Margolottą? – spytała.

Wysoka dama rzuciła jej szybkie spojrzenie krótkotrwałej wzgardy, po czym odmaszerowała w stronę głównego wyjścia. Jej towarzyszka się zatrzymała.

– Masz jakąś sprawę do lady Margolotty? – spytała.

– Czy ona jedzie do Ankh-Morpork? – spytała Glenda. – Wszyscy wiedzą, że jest flamą lorda Vetinariego.

I natychmiast poczuła zakłopotanie. Dlaczego użyła tego słowa? Przywoływało obrazy, które po prostu nie mieściły się w dostępnej przestrzeni jej umysłu.

– Doprawdy? – zdziwiła się kobieta. – Z całą pewnością są bliskimi przyjaciółmi.

– W każdym razie chciałabym z nią porozmawiać o panu Nutcie – wyjaśniła Glenda.

Kobieta pociągnęła ją do pustej ławy.

– Były jakieś kłopoty? – spytała z niepokojem. Usiadła i klepnęła miejsce obok siebie.

– Powiedziała mu, że jest bezwartościowy – oświadczyła Glenda. – I czasem mi się wydaje, że on się martwi wyłącznie o swoją wartość.

– A czy ty masz jakąś wartość? – spytała kobieta.

– Co to za pytanie? Przecież wcale się nie znamy!

– To ciekawa kwestia i może wiele wyjaśnić. Czy uważasz, że z tego powodu, iż zawiera ciebie, świat jest lepszym miejscem? I wyświadczyć mi uprzejmość zastanowienia się nad odpowiedzią zamiast sięgania po jakąś już gotową z półki „urażone”. Obawiam się, że ostatnio zdarza się to coraz częściej. Ludzie myślą, że myślenie i działanie są tym samym.

Wobec takiej reprimendy Glenda ograniczyła się do krótkiego:

– Tak.

– Dzięki tobie stał się lepszy, uważasz?

– Tak. Pomogłam wielu ludziom i wynalazłam zapiekankę oracza.

– Czy ludzie, którym pomogłaś, chcieli twojej pomocy?

– Co? Tak, przyszli i poprosili.

– Dobrze. A zapiekanka oracza?

Glenda wytłumaczyła.

– Ach, musisz być tą kucharką z Niewidocznego Uniwersytetu – domyśliła się kobieta. – To znaczy, że masz do dyspozycji nieco więcej niż zwykła kucharka. Zatem, dedukuję, że aby marynowane cebulki w zapiekance zachowały chrupkość, tuż przed pieczeniem wkładasz je do chłodni, a żeby nie zamarzły, owijasz w ser. Jeśli właściwie ułożysz zapiekankę i będziesz uważała na temperaturę, powinno się udać. – Przerwała na chwilę. – Halo! – zawołała.

– Jest pani kucharką? – spytała Glenda.

– Wielkie nieba, nie!

– Tak po prostu pani to odgadła? Pan Nutt opowiadał mi, że lady zatrudnia bardzo mądre osoby.

– Trochę jestem zakłopotana, mówiąc to, ale rzeczywiście.

– Ale nie powinna mówić panu Nuttowi, że jest bezwartościowy. Nie powinna tak traktować ludzi.

– Przecież był bezwartościowy, prawda? Kiedy go znaleziono, nie potrafił nawet normalnie mówić. Z pewnością to, co zrobiła, bardzo mu pomogło.

– Tylko że on strasznie się tym przejmuje. I okazało się, że jest orkiem. O co w tym wszystkim chodzi?

– A czy on, twoim zdaniem, robi coś szczególnie orkowego?

– Czasami... czasami paznokcie zmieniają mu się w szpony.

Kobieta zaniepokoiła się nagle.

– I co wtedy robi?

– No, nic. One tak jakby... chowają się z powrotem. Ale wytwarza cudowne świece – dodała szybko Glenda. – Cały czas coś tworzy. Całkiem jakby ta... wartość ciągle wyciekała i trzeba było ją stale uzupełniać.

– Być może, kiedy tak to ujmujesz, rzeczywiście była z nim zbyt pochopna.

– Ona go kocha? – spytała Glenda.

– Słucham?

– Chciałam powiedzieć: czy ktokolwiek kiedyś go kochał?

– Och, myślę, że ona tak, na swój sposób – przyznała kobieta.

– Chociaż jest wampirem, jak wiesz. One widzą świat trochę inaczej.

– No więc gdybym mogła z nią porozmawiać, tobym powiedziała, co o tym myślę – oświadczyła Glenda. – Namieszała mu w głowie. Napuściła na niego paskudne latające kobiety. Nie pozwoliłabym jej na to.

– Jak słyszałam, jest wręcz niezwykle silna.

– To jej nie daje prawa... I wie pani co? Pan Nutt też jest tutaj. Tak, jest na dziedzińcu i podkuwa konie dla Lancrańskiego Lotnika. Jest naprawdę zadziwiający.

– Na to wygląda – zgodziła się kobieta z lekkim uśmiechem. – I ma w tobie namiętą stroniczkę.

Glenda się zawahała.

– Nic nie mówiłam o namiętności...

– To znaczy, że pełną pasji. Czy żywi pani jakąś pasję wobec pana Nutta, panno Sugarbean? I proszę pamiętać, lubię, kiedy ludzie wyświadczą mi zaszczyt zastanowienia się, zanim odpowiedzą.

– No więc bardzo go lubię – przyznała Glenda.

– To czarujące. Przychodzi mi do głowy, że pan Nutt osiągnął może większą wartość, niż się spodziewałam.

– Dlatego proszę powtórzyć lady, co mówiłam – rzekła Glenda. Kark płonął jej żarem od rumieńca. – Pan Nutt ma przyjaciół.

– Na pewno – obiecała kobieta, wstając. – A teraz musisz mi wybaczyć, nasz dylizans zaraz odjeżdża. Muszę lecieć.

– Proszę pamiętać, co powiedziałam! – krzyknęła za nią Glenda.

Zobaczyła jeszcze, że kobieta ogląda się i uśmiecha do niej, a potem

zasłoniła ją grupa pasażerów z nowo przybyłego dyliżansu, która weszła pośpiesznie, uciekając przed nocnym chłodem.

Glenda, która wstała równocześnie z kobietą, teraz usiadła ciężko. Za kogo ona się uważa? Jest prawdopodobnie bibliotekarką u lady. Nutt wspominał o niej kilka razy. I wyraźnie uważała się za kogoś ważniejszego, niż była w rzeczywistości. Nie miała nawet dość przyzwoitości, by spytać, jak Glenda się nazywa.

W głębi umysłu zabrzmiało dalekie granie rogów przerażenia. Czy ta kobieta spytała Glendę o nazwisko? Nie. A przecież znała je, a skąd miałyby wiedzieć cokolwiek o „kucharcze” z Niewidocznego Uniwersytetu? I w gnieniu oka rozgryzła zapiekankę oracza.

Niewielka część Glendy, uwolniona niedawno przez sherry, także się wtrąciła, stwierdzając: Kłopot z tobą polega na tym, że przyjmujesz założenia. Widzisz coś i uważasz, że wiesz, na co patrzysz. A ona z pewnością nie mówiła jak bibliotekarka, prawda?

Powoli, bardzo powoli Glenda uniosła zaciśniętą w pięść lewą dłoń, przysunęła sobie do ust i ugryzła mocno. Próbowала jakoś usunąć ostatnie piętnaście minut z zapisów wszechświata i zastąpić je czymś o wiele mniej krępującym, na przykład zgubieniem przez nią majtek.

* * *

Nawet w środku nocy kuźnia była ośrodkiem zainteresowania. Dyliżanse przybywały i odjeżdżały bez przerwy. Zajazd nie pracował według słońca, lecz według rozkładu jazdy. Niemający nic do roboty ludzie, czekający na swoje połączenie, trafiali do kuźni jako darmowego spektaklu i schronienia przed nocnym chłodem.

Nutt podkuwał konia. Trev widział już podkuwanie koni, ale nigdy w taki sposób. Zwierzę stało jak sparaliżowane i ledwie dostrzegalnie drżało. Kiedy Nutt chciał, by się przesunęło, cmokał językiem. Kiedy chciał, by uniosło nogę, załatwiał to kolejnym cmoknięciem. Trev wy-czuwał, że nie patrzy na człowieka podkuwającego konia, ale na mistrza demonstrującego swój kunszt amatorom. Gdy podkova znalazła się na miejscu, koń przeszedł do tyłu przed tłumem widzów, jakby był mode-

lem na pokazie; odwrócił się, kiedy Nutt machnął ręką i cmoknął jeszcze raz. Nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego konia, ale na bogów, był posłuszny.

– Tak, chyba wszystko w porządku – uznał Nutt.

– Ile nas to będzie kosztować? – zapytał woźnica. – Świetna robota, muszę przyznać.

– Ile? Ile? Ile? – powtarzał Nutt, jakby obracał to słowo w myślach. – Czy zyskałem wartość, drogi panie?

– Tak uważam, kolego. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak gładko podkuł konia.

– Zatem wartość mi wystarczy. Oraz przejazd dla mnie i trojga moich przyjaciół do Ankh-Morpork.

– I pięć dolarów – wtrącił Trev, który z prędkością pieniędzy nadszedł ze swego miejsca pod murem.

Woźnica pociągnął nosem.

– Trochę drogo.

– Czemu? – zdziwił się Trev. – Za nocną robotę? Lepszą niż specyfikacja Burleigha i Wręcemocnego? Moim zdaniem to całkiem niezły interes.

Pomruk wśród patrzących wsparł opinię Treva.

– Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś zrobił coś takiego – stwierdziła Juliet. – Ten koń by zatańczył, gdyby go poprosić.

Woźnica mrugnął do Treva.

– No dobra, chłopcze. Co mogę powiedzieć? Stary Havacook tutaj to dobry zwierzak, ale trochę temperamentny. Kiedyś wykopał woźnicę przez ścianę. Nie myślałem, że zobaczę go, jak stoi grzecznie i podnosi nogę niby wytresowany piesek. Twój kumpel zarobił na swoje pieniądze i na przejazd.

– Odprowadźcie go, proszę – rzekł Nutt. – Ale bądźcie ostrożni, bo kiedy oddali się kawałek ode mnie, może trochę brykać.

Tłum się rozszedł. Nutt starannie ugasił ogień w palenisku i zaczął pakować narzędzia do skrzynki.

– Jeśli mamy wrócić, to lepiej już chodźmy. Czy ktoś widział pannę Glendę?

– Tu jestem. – Glenda wynurzyła się z cienia. – Trev, idź z Julą i

zajmijcie nam miejsca w powozie. Ja muszę porozmawiać z panem Nuttem.

Odeszli oboje.

– Była tu lady – poinformowała Nutta, kiedy zostali sami.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł, zatraskując zamki swojej skrzynki. – Praktycznie wszyscy tędy przejeżdżają, a ona dużo podróżuje.

– Dlaczego uciekłeś?

– Bo wiedziałem, co się stanie. Jestem orkiem. To wszystko.

– Ale ludzie z omnibusu byli po twojej stronie – przypomniała Glenda.

Nutt zgiął palce i na moment wysunęły się szpony.

– A jutro? – zapytał. – A gdyby coś źle poszło? Wszyscy wiedzą, że orki wyrywają ludziom ręce. Wszyscy wiedzą, że orki odrywają głowy. Wszyscy o tym wiedzą. To niedobrze.

– W takim razie czemu wracasz?

– Bo jesteście dobrzy i przyjechaliście za mną. Jak mógłbym odmówić? Ale nie zmienia to wszystkich tych rzeczy, o których wszyscy wiedzą.

– Za każdym razem, kiedy robisz świecę albo podkuwasz konia, zmieniasz te rzeczy, o których wszyscy wiedzą. Czy wiesz, że orki... – Glenda się zawahała – ...były tak jakby stworzone?

– Tak – potwierdził Nutt. – Było to napisane w księżce.

Niewiele brakowało, by eksplodowała.

– To dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Czy to ważne? Jesteśmy tym, kim jesteśmy teraz.

– Nie musicie być! – krzyknęła. – Wszyscy wiedzą, że trolle pożerają ludzi i potem ich wypływają. Wszyscy wiedzą, że krasnoludy odrąbują ludziom nogi. Ale równocześnie wszyscy wiedzą, że to, co wszyscy wiedzą, to nieprawda. A orki nie chciały być takie, jakie są. Ludzie to rozumieją.

– To będzie straszliwe brzemię.

– Pomogę! – Glenda była zaszokowana prędkością własnej reakcji. I wymamrotała jeszcze: – Pomogę.

Węgłe w palenisku trzeszczały cicho, gdy przygasaly. Ogień w

pracowitej kuźni rzadko kiedy całkiem gaśnie. Po chwili odezwała się Glenda.

– To ty napisałeś wiersz dla Treva, prawda?

– Tak, panno Glendo. Mam nadzieję, że jej się podobał.

Glenda uznała, że powinna wyjaśnić to delikatnie.

– Muszę ci wyznać, że nie zrozumiała wielu słów. Tak jakby musiałam je przetłumaczyć.

Nie było to zbyt trudne, przypomniała sobie. Większość wierszy miłosnych pod ozdobnym pismem była właściwie taka sama.

– A czy panience się podobał? – spytał Nutt.

– To był przepiękny wiersz – odparła.

– Napisałem go dla panienki.

Nutt patrzył na nią z miną, która łączyła w sobie równocześnie lęk i wyzwanie.

A po jego słowach stygnące palenisko rozjarzyło się na nowo. W końcu kuźnia ma przecież duszę. I całkiem jakby na to czekały, możliwe odpowiedzi ustawiły się Glendzie na końcu języka. Cokolwiek teraz zrobisz, będzie bardzo ważne, powiedziała sobie. Naprawdę, niezwykle, wyjątkowo ważne. Nie próbuj się zastanawiać, co ta nieszczęsna służąca Mary by zrobiła w jednej z tych tanich powieści, które czytujesz, ponieważ Mary została wymyślona przez osobę, której nazwisko podejrzenie przypomina anagram kogoś takiego jak ty sama. Ona nie jest prawdziwa, a ty jesteś.

– Lepiej wsiadajmy do dyliżansu – powiedział Nutt, chwytając skrzynkę.

Glenda dała spokój namysłom i wybuchnęła płaczem. Należy zaznaczyć, że nie były to takie delikatne łezki, jakie popłynęłyby spod powiek służącej Mary, ale wielkie, długo wstrzymywane łzy kogoś, kto bardzo rzadko płacze. Były również trochę lepkie, z sugestią zasmarkania. Ale też prawdziwe – służąca Mary zwyczajnie nie byłaby do takich zdolna.

No i oczywiście właśnie w takiej chwili Trev musiał wyleźć z mroku i powiedzieć:

– Zapowiadają nasz kurs... Czy u was wszystko w porządku?

Nutt spojrział na Glendę. Łez nie da się w zasadzie cofnąć, ale Glenda

zdołała jakoś zrównoważyć je uśmiechem.

– Wydaje mi się, że tak jest w istocie – powiedział Nutt.

* * *

Podróżując pospiesznym dyliżansem, nawet w pogodną ciepłą jesienną noc, pasażerowie na dachu doświadczają temperatur, w których zamarza się na kość. Oczywiście są skórzane osłony i derki różnego wieku, grubości i zapachu. Przetrwać można, jedynie owijając się w największy możliwy kokon, w miarę możliwości razem z kimś innym, siedzącym obok – dwojgu ludziom łatwiej się rozgrzać niż jednemu. W teorii może to prowadzić do migdalenia, ale siedzenia w powozie i kamienistość drogi powodują, że sprawy te nie dominują w umyśle pasażera, który śni tęsknie o poduszkach. Na dodatek padał teraz drobny deszcz.

Juliet wyciągnęła szyję, by spojrzeć na siedzenia z tyłu, ale zobaczyła tylko stosy wilgotnych koców będących odpowiedzią linii dyliżansowej na chłód nocnego powietrza.

– Nie myślisz chyba, że robią do siebie słodkie oczy, co? – spytała.

Trev, sam opakowany w koce, najpierw tylko stęknął, ale potem przemówił:

– Myślę, że on się nią zachwyca. Zawsze jest trochę zakłopotany, kiedy jest blisko niej. Tyle wiem.

* * *

To musi być romans, myślała Glenda. Niejeden z tych, które co tydzień wypuszczała Iradna Comb-Buttworthy. Wydawał się bardziej realny – realny i bardzo, bardzo dziwny.

– Czy wie panienka, że wszystkie orki były po wojnie ścigane? – odezwał się Nutt. – Wszystkie, także dzieci.

Ludzie nie mówią takich rzeczy w sytuacjach romantycznych, my-

ślała Glenda. Ale ta nadal taka jest, dodała.

– Przecież byli zmuszani – odparła. – Mieli dzieci. Tak?

Powinnam mu powiedzieć o magicznym zwierciadle? – zastanawiała się. Czy będzie od tego lepiej? Czy gorzej?

– To były bardzo niedobre czasy.

– No więc... Spójrz na to w taki sposób. Większość ludzi, którzy mówią teraz o orkach, nie wie, jakie naprawdę były. Jedynym orkiem, jakiego mają szansę zobaczyć, jesteś ty. Robisz piękne świece. Trenujesz drużynę piłkarską. To wiele znaczy. Pokazujesz im wszystkim, że orki nie biegają dookoła i nie urywają ludziom głów. I z tego możesz być dumny.

– Szczerze powiem, że kiedy pomyślę o wielkości momentu siły koniecznego do ukręcenia ludzkiej głowy wbrew życzeniu jej właściciela, jestem pod wrażeniem. Ale to teraz, kiedy siedzę tu z panienką. Wtedy chciałem uciekać w góry. Myślę, że w ten sposób przeżyliśmy. Kto nie trzymał się z daleka od ludzi, ten ginął.

– To bardzo cenna uwaga – przyznała Glenda. – Ale sądzę, że na razie powinienes zachować ją dla siebie.

Zauważyła zdumioną sowę, przez moment oświetloną lampami dyliżansu.

A potem powiedziała, wpatrując się nieruchomo przed siebie:

– A w sprawie tego wiersza...

– Skąd panienka wiedziała, panno Glendo?

– Dużo wspomina o dobroci. – Odchrząknęła. – I biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że wystarczy: Glenda.

– Byłaś dla mnie bardzo dobra – oświadczył Nutt. – Jesteś dobra dla wszystkich.

Glenda szybko wypchnęła z pamięci wizję pana Ottomy'ego.

– Nieprawda – stwierdziła. – Na wszystkich bez przerwy krzyczę.

– Tak, ale to dla ich dobra.

– Co teraz zrobimy? – spytała Glenda.

– Nie mam pojęcia. Ale czy mogę opowiedzieć ci coś ciekawego o statkach?

Nie całkiem tego Glenda oczekiwała, ale było to w stu procentach Nuttowe.

– Ze statkami ciekawe zjawisko polega na tym, że kapitanowie muszą bardzo uważać, kiedy dwa statki są blisko siebie na morzu, zwłaszcza przy słabym wietrze. Mają skłonność do zderzania się.

– Ponieważ dmucha wiatr i w ogóle? – spytała Glenda.

Myślała: w teorii jest to sytuacja romantyczna, a ja mam się nauczyć czegoś o statkach. Iradna Comb-Buttworthy nigdy nie umieściła w swojej książce żadnego statku. Prawdopodobnie statki nie mają odpowiednich saszetek.

– Nie – odparł Nutt. – Mówiąc najprościej, każdy ze statków osłania ten drugi przed bocznymi falami z jednej burty, więc drobnymi krokami zewnętrzne siły pchają je do siebie, choć one nie zdają sobie z tego sprawy.

– Och! To metafora – domyśliła się Glenda z ulgą. – Uważasz, że nas coś popycha do siebie?

– Coś w tym rodzaju – zgodził się Nutt.

Zakołysali się, gdy dyliżans podskoczył na wyjątkowo głębokiej dziurze w drodze.

– Czyli jeśli nic nie zrobimy, będziemy zbliżać się do siebie coraz bardziej?

– Tak.

Dyliżans znowu podskoczył i zatrząsł się, ale Glenda miała wrażenie, jakby szła po bardzo cienkiej linie. Nie chciałyby powiedzieć czegoś niewłaściwego.

– Trev mówił, że umarłem? – ciągnął Nutt. – No więc to prawda. Chyba. Lady mówiła, że Zły Imperator stworzył nas z goblinów. Igory to zrobiły. I włożyły do środka coś bardzo dziwnego. Jakby część ciebie, która nie całkiem jest częścią ciebie. Nazwali to Braciszkiem. Jest umieszczone w samym wnętrzu i bardzo dokładnie osłonięte. To tak, jakbyśmy przez cały czas mieli w środku własny szpital. Wiem, że zostałem bardzo mocno uderzony, ale Braciszek utrzymał mnie przy życiu i po prostu wyleczył wszystko. Są sposoby zabicia orka, ale niewiele. A ktoś, kto wypróbowuje je na żywym orku, nie ma czasu na znalezienie właściwego. Czy to cię nie martwi?

– Nie – uspokoiła go Glenda. – Nie bardzo to wszystko rozumiem. Ważniejsze, moim zdaniem, żebyś po prostu był sobą.

– Nie. Nie wydaje mi się, że powinienem być tym, kim jestem, ponieważ jestem orkiem. Ale mam pewne plany w tej kwestii.

Glenda znów odchrząknęła.

– Ta sprawa ze statkami... Czy to się dzieje szybko?

– Zaczyna się powoli, ale pod koniec ruch jest całkiem szybki.

– Bo rozumiesz... – tłumaczyła. – Znaczący... Nie mogę tak po prostu odejść z pracy, i są jeszcze te starsze panie, które odwiedzam, a ty będziesz zajęty piłką...

– Tak. Myślę, że powinniśmy robić to, co powinniśmy robić, a jutro jest ostatni dzień treningu. To znaczy już właściwie dzisiaj.

– A ja muszę przygotować mnóstwo zapiekanek.

– Oboje mamy przed sobą ciężkie dni – oświadczył Nutt z powagą.

– Tak. Eee... um... Nie będziesz miał mi za złe, jeśli powiem, że w twoim pięknym wierszu... ten wers... „Krypta to miejsce, gdzie dobrze jest być, lecz po herbatce nikt nie może wyjść” nie całkiem...

– Nie całkiem się udał? Tak, wiem. Nie jestem z niego zadowolony.

– Nie, nie przejmuj się! To cudowny wiersz! – wykrzyknęła Glenda i poczuła zmarszczki na spokojnej powierzchni morza.

* * *

Wschodzące słońce zdołało się wychylić spoza kolumny dymu, która wiecznie unosiła się nad Ankh-Morpork, Miastem Miast, ilustrując niemal do granic kosmosu, że dym oznacza postęp, a przynajmniej ludzi podpalających różne rzeczy.

– Zapewne będziemy tak zapracowani, że nie zostanie nam wiele czasu... dla nas – powiedziała Glenda.

– Zgadzam się całkowicie – odparł Nutt. – Pozostawienie spraw samym sobie stanowczo będzie teraz najrozsądniejszym posunięciem.

* * *

Glenda czuła się lekka jak powietrze, kiedy dyliżans zaturkotał w końcu po Broad-Wayu – i to nie tylko z powodu braku snu. Ta historia ze statkami... – myślała. Naprawdę mam nadzieję, że nie chodziło mu tylko o statki.

Kiedy dotarli na miejsce, przed uniwersytetem czekał spory tłum – tak samo jak wczoraj, jednak dzisiaj wydawało się, że ma inny charakter. Ludzie gapili się na nią i Nutta, a w ich spojrzeniach było coś niedobrego.

Wyciągnęła rękę do kopca, który był Trevem, i udała, że nie słyszy dziewczęcego chichotu.

– Trev – powiedziała. – Czy mógłbyś rzucić na to okiem? Wydaje mi się, że będą kłopoty.

Bardzo rozczochrany Trev wysunął głowę spod koców.

– Hmm... Mnie też – stwierdził. – Przemknijmy tylnym wejściem.

– Możemy zostać i wysiąść przy poczcie.

– Nie – zdecydował Trev. – Nie zrobiliśmy nic złego.

Kiedy wysiadali, do Nutta podszedł mały chłopczyk.

– Czy pan jest orkiem?

– Tak – potwierdził Nutt, pomagając zejść Glendzie. – Jestem orkiem.

– Fajnie! A ukręcił pan kiedyś komuś głowę?

– Nie wydaje mi się. Na pewno bym to zapamiętał.

Zyskał jeśli nie oklaski, to przynajmniej pewną aprobatę ze strony stojących w pobliżu. To jego głos, pomyślała Glenda. Brzmi bardziej elegancko niż u maga. Trudno sobie wyobrazić taki głos z rękami zaciśniętymi na czyjejs głowie.

Nagle otworzyła się tylna brama i szybkim krokiem wyszedł Myślak Stibbons.

– Zobaczyliśmy was z holu – oświadczył, chwytając Nutta za ramię.

– Chodźcie szybko. Gdzieście byli?

– Musieliśmy pojechać do Sto Lat – wyjaśnił Trev.

– Służbowo – dodała Juliet.

– W sprawach osobistych – poprawiła ją Glenda, jakby prowokowała Myślaka, by wyraził pretensję. – Coś się stało?

– Było dzisiaj coś w azecie. Nie mieliśmy najprzyjemniejszych

chwil – tłumaczył Myślak, holując ich w stronę relatywnego bezpieczeństwa krążganków.

– Napisał coś paskudnego o panu Nutcie? – spytał Trev.

– Niezupełnie. Wydawca „Pulsu” zjawił się osobiście i zapukał do bramy o północy. Chciał porozmawiać z nadrektorem i dowiedzieć się wszystkiego o panu. – Ostatnie słowa skierował bezpośrednio do Nutta.

– Założę się, że to ten przekłety Ottomy im powiedział – warknęła Glenda. – I co zrobili?

– No więc oczywiście wiecie o tych kłopotach z powodu Meduzy w Straży Miejskiej jakiś czas temu?

– Tak, ale wy, magowie, wszystko załatwiliście – przypomniał Trev.

– Tylko że nikt nie lubi zmieniać się w kamień, nawet na pół godziny. – Myślak westchnął. – „Puls” wydrukował rozsądny tekst. Uważam, że całkiem dobrze wypadł. Zacytowali nadrektora, który tłumaczył, że pan Nutt jest ciężko pracującym członkiem uniwersyteckiego personelu i że nie było żadnych przypadków urwania komuś nogi.

– Tak to napisali? – Glenda szeroko otworzyła oczy.

– Och, zna pani takie teksty, jeśli czytuje pani azety – odparł Myślak.

– Oni chyba naprawdę uważają, że ich obowiązkiem jest uspokajać ludzi, najpierw dokładnie im tłumacząc, czemu powinni się obawiać i bardzo niepokoić.

– O tak, wiem. Jak ludzie mogliby się niepokoić, gdyby nikt im nie wytłumaczył dlaczego?

– No więc nie wyszło tak źle. Ale potem kilka innych azet zajęło się tym tematem i fakty stały się, hm... elastyczne. „Detektyw” napisał, że Nutt trenuje drużynę piłkarską.

– To prawda – zauważyła Glenda.

– No więc tak naprawdę trenerem jestem ja. Tylko że zleciłem mu to zadanie. Mam nadzieję, że wszyscy rozumieją. W każdym razie zamieścili rysunek na ten temat.

Glenda zasłoniła dłonią oczy. Nie znosiła azetowych rysunków.

– Narysowali drużynę piłkarską złożoną z orków? – upewniła się.

Wzrok Myślaka wyrażał podziw.

– Tak – potwierdził. – I dali artykuł o poważnych wątpliwościach wobec polityki otwartych drzwi Vetinariego, równocześnie przekonując,

że pogłoski, jakoby pan Nutt powinien być zakuty w łańcuchy, są prawdopodobnie fałszywe.

– A „Tantańska Fanfara”? – spytała Glenda. – Oni nigdy nie piszą o niczym, co nie zawiera krwi i okropnego morderstwa... Albo obrazków dziewcząt bez bluzek – dodała po zastanowieniu.

– A tak – przyznał Myślak. – Dali dość niewyraźny obrazek dziewczyny z ogromnymi melonami.

– Chodzi panu o... – zaczął Trev.

– Nie, po prostu wielkie melony. Takie zielone, trochę nakrapiane. Wygrała chyba jakiś konkurs dla ich hodowców. Ale w podpisie mówiła, że nie zaśnie spokojnie we własnym łóżku, skoro wie, że w mieście są orki.

– Czy lord Vetinari robi coś w tej sprawie?

– Nic nie słyszałem. Aha, jeszcze „BąBelki” chcą zrobić wywiad z panem Nuttem. O tym, co nazywają „stylem życia”. – Wymówił te słowa, jakby starał trzymać je na odległość ramienia.

– Czy gracze zjawili się na treningu? – zapytał spokojnie Nutt.

– O tak. Boisko jest pełne.

– A więc pójdziemy tam i będziemy ich trenować – zdecydował Nutt. – Proszę się nie obawiać, nikomu nie ukręcę głowy.

– Nie żartuj w ten sposób – zaprotestowała Glenda. – Boję się, że to się może źle skończyć.

– Wiemy, że coś się dzieje między drużynami – poinformował Myślak. – A w nocy często wybuchały bójki.

– O co?

– O to, kto ma z nami zagrać. – Myślak zatrzymał się i wzrokiem zmierzył Nutta od stóp do głów. – Komendant Vimes wrócił do miasta i chciałby cię zamknąć. Oczywiście tylko po to, żeby cię lepiej ochraniać.

– To znaczy, chce go wsadzić gdzieś, gdzie wszyscy mogliby go znaleźć? – spytała Glenda.

– Moim zdaniem szanse, że motłoch wedrze się do Pseudopolis Yardu, są raczej znikome.

– Tak, ale będzie aresztowany. Na to wyjdzie. Będzie siedział w celi, a gliny plotkują tak samo jak wszyscy. Ork trafi do więzienia, a ludzie nie będą wiedzieli dlaczego, więc coś sobie wymyślą. Tacy są. Czy wy,

magowie, nie możecie nic zrobić?

– Owszem – przyznał Myślak. – Możemy zrobić praktycznie wszystko, ale nie potrafimy zmienić ludzkich umysłów. Nie możemy wyczarować w nich rozsądku. Uwiercie, gdyby to było możliwe, już dawno byśmy to załatwili. Możemy magicznie sprawić, żeby ludzie ze sobą nie walczyli, ale co potem? Musielibyśmy dalej używać czarów, żeby nie zaczęli od nowa. I gdzie by się to skończyło?

Dlatego pilnujemy, żeby się nie zaczęło. I po to powstał ten uniwersytet. Tym się zajmujemy. Musimy tutaj siedzieć i nie robić różnych rzeczy, ponieważ w przeszłości setki razy się okazywało, że kiedy raz się wyjdzie poza styl abrakadabry, „presto, zmieniamy gołębie w piłeczki pingpongowe”, wynika więcej kłopotów, niż się w ten sposób rozwiązuje. A było już źle, kiedy znaleźliśmy na strychu gniazda piłeczek pingpongowych.

– Gniazda piłeczek? – zdziwił się Trev.

– Nie chcę o tym mówić – odparł Myślak ponuro.

– Pamiętam, jak kiedyś jeden z dżentelmenów zgłodniał w nocy i rzucił zakłęcie na pieczonego ziemniaka – przypomniała Glenda.

– To pewnie kwestor. On rzeczywiście myli się z przecinkiem dzieciętnym.

– Pamiętam te taczki – ciągnęła Glenda, trochę rozbawiona zakłopotaniem Myślaka. – Potrzebowali wielu dni, żeby je wywieźć. Słyszałam, że przez kilka tygodni karmiliśmy wszystkich żebraków w mieście i wszystkie świńskie farmy aż do Sto Lat.

Myślak niemal się zakrztusił.

– No tak, owszem, to właśnie dowód, że musimy być bardzo ostrożni.

– Ale wciąż mamy zaplanowany na jutro mecz – przypomniał Nutt. – I chciałbym zakończyć trening.

– Mamy z tym kolejny problem. Pewnie wiecie, że lord Vetinari pozwolił rozegrać mecz na Hippo? No więc niektóre drużyny w tej chwili prowadzą tam treningi. Wiecie, takie luźne kopanie. Cały czas chodzi o to, kto się zmierzy z Niewidocznymi Akademikami.

– Ale to przecież po drugiej stronie miasta! – wystraszyła się Glenda.

– Komendant Vimes obiecał, że straż da nam eskortę – uspokoił ją

Myślak. – Tylko dla ochrony, oczywiście.

– Czyjej? – spytała. – Widzi pan, co z tego wyjdzie. Ludzie pomyślą, że to pan Nutt jest problemem.

– Och, wszystko to jest wesołe i zabawne, dopóki ktoś nie straci głowy – odezwał się ktoś za plecami Glendy.

– Pepe? Co tu robisz, do demona?

– I jak się pan tu dostał? – spytał zdumiony Myślak. – Straż wszystko otoczyła.

Pepe obrzucił go pytającym wzrokiem.

– A ty kim jesteś, mądralo?

– Prowadzę ten uniwersytet!

– No więc lepiej idź i go prowadź, bo tutaj nie będzie z ciebie pożytku.

– Czy ta osoba jest panience znana? – Myślak spojrzał na Glendę.

– Ehm... No tak. Projektuje ubrania.

– Jestem modystą – oświadczył Pepe. – Potrafię z ubraniami robić rzeczy, których nie uważalibyście za możliwe.

– A w to akurat mogę uwierzyć – zgodził się Trev.

– Wiem też to i owo o motłochu i rozruchach.

Pewna myśl przyszła Glendzie do głowy.

– Bardzo ważny w kręgach krasnoludów – szepnęła do rozgniewanego Myślaka. – Zna mnóstwo wpływowych osób.

– Ja też znam – odparł Myślak. – Właściwie to sam jestem taką osobą – jęknął. – Ale wczoraj sam musiałem prowadzić trening i nie pamiętałem tych wszystkich ćwiczeń, które wymyślił pan Nutt, więc kazałem im biegać w miejscu i nie wydaje mi się, żeby to było bardzo pomocne.

– Coś złego się dzieje – uznał Trev. – Znam to miasto. Pójdę i sprawdzę. W końcu nie jestem wam potrzebny.

– Mnie tak – oświadczyła Juliet.

Trev zawahał się, ale Nutt pokazał mu, jak się to załatwia. Uniósł dłoń i posłał jej całusa, po czym zniknął za drzwiami.

– Widzieliście? – spytała Juliet. – Dmuchał mi.

Glenda zerknęła na Pepe, który wzniosł oczy tak bardzo, że widziała białka – choć u niego były czerwone.

Kilka chwil później, kiedy większa część zespołu NU maszerowała

na Hippo, z Glendą i Juliet wlokącymi się z tyłu jak markietanki za taborem, pół tuzina strażników wynurzyło się z rozlicznych miejsc, jakie wybrali sobie na spokojnego papierosa, i podążyło za nimi. Starali się wyglądać, jakby tylko przypadkiem wybrali się na spacer w tym samym kierunku.

Trev ma rację, pomyślała Glenda. Dzieje się coś niedobrego.

* * *

Trev nie uszedł daleko, kiedy uliczny instynkt podpowiedział mu, że jest śledzony. Pokluczył chwilę po zaułkach i zatrzymał się za rogiem, by sprawdzić, kto za nim idzie. Nikt nie szedł. Uliczka była pusta, aż do końca. A równocześnie uświadomił sobie, że ktoś przystawił mu do karku coś, co sprawiało bardzo wyraźne wrażenie noża.

– Niech mnie, budzą się wspomnienia. Chyba ciągle pamiętam każdy zaułek w tej okolicy.

– Znam cię! – rzekł Trev, starając się nie oglądać. – Jesteś Pepe, tak? Jesteś krasnoludem?

– Tak jakby krasnoludem – przyznał Pepe.

– Ale przecież się nie kłócimy, prawda?

Coś małego i błyszczącego pojawiło się na samej granicy pola widzenia Treva.

– To próbka księżycowego srebra – wyjaśnił głos Pepe. – Bardziej mógłbym cię skrzywdzić rozbity butelką szampana, a zdarzało mi się, możesz mi wierzyć. Nie groziłbym nożem takiemu gościowi jak ty, kiedy ta dziewczyna tak za tobą szaleje. Wydaje się z tobą bardzo szczęśliwa, a ja chciałbym, żeby była szczęśliwa.

– Coś się dzieje na ulicy – stwierdził Trev.

– Na całej ulicy? To będzie zabawa.

– Coś poszło źle, prawda?

Dopiero teraz Pepe pojawił się w polu widzenia Treva.

– To właściwie nie mój problem – oświadczył. – Ale są ludzie, których zwyczajnie nie lubię. Aż za wielu ich widziałem, dręczycieli i drani. Jeśli bardzo szybko chcesz się wyszkolić w atletyce, powinieneś

urodzić się tutaj z talentem projektanta i może jeszcze kilkoma drobnymi preferencjami. Lord Vetinari źle to sobie wykombinował. Uważał, że może coś zorganizować z piłką, tylko że to mu się nie uda. To nie jest Gildia Złodziei, rozumiesz. Gildia Złodziei jest zorganizowana. A piłka nożna nie jest. Przekonał kapitanów, ale to nie znaczy, że reszta pójdzie za nimi grzecznie jak owieczki. Ostatniej nocy wszędzie się bili. Twoi kumple ze swoją błyszczącą nową piłką i nowymi koszulkami zostaną jutro rozbici. Nie, gorzej: rozsmarowani.

– Myślałem, że jesteś tylko kimś, kto szyje ubrania – mruknął Trev.

– Tylko Kimś. Kto. Szyje. Ubrania. Tylko kimś? Nie jestem tylko kimś. Jestem Pepe i nie szyję ubrań, ale tworzę wspaniałe dzieła sztuki, które przypadkiem wymagają ciała, by pokazać je tak, jak powinny być oglądane. Krawcy szyją ubrania. A ja wykuwam historię! Słyszałeś o mikrokolczudze?

– Łapię. Tak.

– Dobrze – pochwalił Pepe. – Co słyszałeś o mikrokolczudze?

– No... że nie obciera.

– Ma jeszcze jeden czy dwa sekrety... W każdym razie na pewno nie mam czasu dla magów. Nic z tego. Irytująca banda. Ale jutro to nie będzie mecz. To będzie wojna. Znasz typa, który się nazywa Andy Shank?

Serce w Trevie zamarkło.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Słyszałem tylko nazwisko, ale myślę, że znam takich. Lord Vetinari zrobił, co chciał. Złamał piłkę, ale zostawił przy tym mnóstwo ostrych odłamków, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Jutro będzie tam straż – poinformował Trev.

– O co chodzi? Co za sprawa? Taka Twarz jak ty cieszy się, że gdzieś tam będzie straż?

– I będzie nas oglądać mnóstwo ludzi.

– Tak. Będą mieli zabawę. Wiesz chyba, że są w tym mieście tacy, którzy z radością pójdą oglądać ścięcie i będą dzieciaki brali na barana, żeby lepiej widziały. Dlatego powiem ci, co zrobię. Sprawa stoi na ostrzu noża, ale jutro na pewno nóż nie będzie ci potrzebny. Mam dla ciebie coś o wiele lepszego. Jesteś w końcu chłopakiem Dave’a Likely’ego.

– Nie zagram – oświadczył Trev. – Obiecałem mamie.

– Obiecałeś mamie? – powtórzył Pepe, nie usiłując nawet ukryć lekceważenia. – I myślisz, że to robi jakąkolwiek różnicę? Masz w ręku gwiazdę, chłopcze. I zagrasz, to oczywiste, dlatego powiem ci, co zrobię. Przyjdiesz się ze mną spotkać. Bądź koło północy przy tylnym wejściu do Shwatty, przepraszam, ale po krasnoludziemu brzmi to lepiej, i kopnij w drzwi. Jeśli chcesz, możesz przyprowadzić kumpla, ale na demona, naprawdę lepiej się zjaw.

– Czemu mam kopać w drzwi? – zdziwił się Trev.

– Bo w obu rękach będziesz trzymał po flaszcze najlepszej brandy. Nie dziękuj, nie robię tego dla ciebie. Ochraniam swoją inwestycję, a tak się składa, że oznacza to również chronienie twojej. No to ruszaj, chłopcze. Spóźnisz się na trening. Ach, jestem pieprzonym geniuszem!

Idąc naprzód, Trev zauważył następnych strażników. Potrafili być wyjątkowymi draniami, jeśli taka im przyszła ochota... Ale Sam Vimes naprawdę nie potrzebował ludzi, którzy nie umieją czytać sygnałów ulicy.

Straż była nerwowa.

* * *

Carter mieszkał w piwnicy u swojej matki do dnia, kiedy wynajęła ją rodzinie krasnoludów. Teraz żył na strychu, który latem był jak piec, a zimą zamarzał. Carter przeżył, gdyż ściany były zaizolowane egzemplarzami „Łuków i Amunicji”, „Szpilkowych Zakątków”, „Miesięcznika Znaczków Howlera”, „Tygodnika Poszukiwacza Golemów” oraz „Ornamentów Współczesnych”.

A były tylko górną warstwą. W samoobronie przed żywiołami zakleił kartkami co większe dziury i szczeliny w dachu. O ile Trev pamiętał, Carter nigdy nie wytrwał dłużej niż tydzień przy żadnym swoim hobby, na jakie wskazywała jego dość krępująca biblioteka – może z wyjątkiem tego kojarzonego zwykle z rozkładówkami „Panienek, Płoteczek i Podwiązek”.

Pani Carter otworzyła mu drzwi i wskazała schody z całą serdeczną

życzliwością, jaką matki okazują nieodpowiednim znajomym swoich synów.

– Chorował – poinformowała, jakby była to raczej ciekawostka niż sprawa budząca troskę.

Okazało się to zresztą niedomówieniem. Zamiast oka Carter miał jaskrawą, kolorową ranę, a na twarzy krwawą szramę. Trev potrzebował czasu, żeby się o tym przekonać, gdyż Carter stale powtarzał, żeby dać mu spokój, ale że krzywe drzwi przytrzymywał od środka tylko kawałek sznurka, więc aplikacja Trevowego ramienia szybko rozwiązała tę kwestię.

Trev patrzył na chłopaka, który skulił się na swym niewypowiedziane okropnym posłaniu, jakby obawiał się ciosu. Nie lubił Cartera. Nikt nie lubił Cartera. To było zwyczajnie niemożliwe. Nawet pani Carter, która w teorii powinna odczuwać przynajmniej letnie uczucia wobec syna, też nie lubiła Cartera. Był fundamentalnie nie lubialny. Przykro to mówić, ale Carter – puszczający wiatry czy nie – stanowił znakomity przykład charyzmiemu. Dało się z nim wytrzymać dzień czy dwa, po czym ten czas spokoju przerywał jakiś absolutnie głupi komentarz, nietrafiony żart czy wybitnie niewłaściwe zachowanie. Trev jednak jakoś go znosił, widząc w nim osobnika, jakim sam mógłby się stać, gdyby w rzeczywistości nie był Trevem. Może w każdym jest trochę Pierdoły Cartera – w pewnym okresie życia – ale u Cartera nie było to trochę, tylko wszystko.

– Co się stało? – zapytał Trev.

– Nic.

– To ja, Trev! Wiem, co to znaczy, kiedy nic się nie stało. Powinieneś iść do szpitala.

– Jest gorzej, niż wygląda – jęknął Carter.

Trev nie wytrzymał.

– Czyś ty zwariował? To ciębie przeszło ci ćwierć cala od oka!

– To moja wina – zaprotestował Carter. – Zezłościłem Andy’ego.

– No tak, faktycznie, to musiała być twoja wina.

– Gdzie byłeś w nocy?

– Nie uwierzyłbyś.

– No więc to była wojna, nic innego.

– Uznałem za konieczne, by spędzić trochę czasu w Sto Lat. Bili się tutaj, tak?

– Kluby podpisały zgodę na tę nową piłkę i niektórym się to nie podoba.

– Andy’emu? – upewnił się Trev i raz jeszcze spojrzął na krwawą, zaropiałą szramę. Tak, rzeczywiście wyglądało na to, że Andy’emu coś się nie spodobało.

Trudno było współczuć komuś tak zasadniczo nie lubianemu jak Carter. Ale fakt, że urodził się z wytatuowanym na duszy napisem KOPNIJ MNIE W TYŁEK, nie był jeszcze powodem, żeby to robić. Nie Carterowi. To jakby wrywać muchom skrzydełka.

– Nie tylko Andy’emu – odpowiedział Carter. – Jest jeszcze Tosher Atkinson, Jimmy Łyżka i Spanner.

– Spanner? – zdziwił się Trev.

– I pani Atkinson – dodał Carter.

– Pani Atkinson?

– I jeszcze Willy Piltdown, Harry Capstick i Chłopcy Brisketów.

– Oni? Przecież ich nienawidzimy! Andy ich nienawidzi! Kto postawi nogę na ich terenie, wraca do domu w worku!

– No ale wiesz, co mówią. Wróg mojego wroga jest moim wrogiem...

– Chyba coś pomyliłeś. Lecz rozumiem, o co ci chodzi.

Trev patrzył w przestrzeń, przejęty zgrozą. Wymienione w tej litanii nazwiska należały do Twarzy. Bardzo wpływowych w świecie drużyn, a co ważniejsze, w świecie kibiców. To oni kierowali Ściskiem. Pepe miał rację. Vetinari sądził, że rządzą kapitanowie, ale kapitanowie niewiele mogli. Rządził Ścisk, a Twarze rządziły w Ścisku¹⁸.

– Na jutro mają poskładać nową drużynę i oni postarają się wcisnąć tam tyłu, ilu tylko się da – oświadczył Carter.

– Tak, słyszałem.

– Chcą pokazać Vetinariemu, co myślą o jego nowej piłce.

– Nie słyszałem chyba nazwiska Stollop – zauważył Trev.

¹⁸ Innym powodem dla nazywania ich Twarzami było to, że ich uproszczone portrety pojawiały się na plakatach straży z naiwnymi prośbami, by zawiadomić straż, gdyby te osoby zauważono ostatnio gdzieś w tej okolicy.

– Podobno ojciec co wieczór każe im ćwiczyć w chórze.

– Kapitanowie podpisali, więc wypadną raczej marnie. Ale Andy i jego kumple pewnie się tym nie przejmują. – Trev się pochylił. – Tylko że Vetinari ma straż, nie? A znasz przecież straż. Jest tam paru porządných typów, jeśli trafisz na nich pojedynczo, ale kiedy wszystko pójdzie w wahoonie, to mają wielkie i ciężkie pałki, a także wielkie i ciężkie trolle. I nie muszą się specjalnie przejmować, komu przywałą, bo przecież są strażą, a to znaczy, że wszystko jest legalne. No i jeśli człowiek naprawdę ich wkurzy, to jeszcze dołożą oskarżenie o uszkodzenie im pałek własną gębą. A skoro już o gębach mowa, to jakim cudem brakło ci tylko ćwierć cała od zostania kandydatem do białej laski?

– Powiedziałem Andy’emu, że moim zdaniem to nie jest dobry pomysł – wyjaśnił Carter.

Trev nie potrafił ukryć zdumienia. Nawet taka odwaga była u Cartera czymś niezwykłym.

– Wiesz, jak się zastanowić, to możesz nawet na tym wygrać. Leż w łóżku, a nie trafisz pomiędzy Andy’ego i Starego Sama.

Przerwał mu jakiś szelest.

Ponieważ Carter przymocował stare magazyny do ścian klejem z mąki i wody, strych stał się mieszkaniem wielu dobrze odżywionych myszy, a jedna z nich właśnie wygryzła sobie drogę do wolności przez pierś zeszłorocznej Miss Kwietnia, w ten sposób dodając jej trzeci sutek, który w tej chwili wpatrywał się w Treva i drżał. Taki widok każdego mógł wytrącić z równowagi.

– I co masz zamiar zrobić? – spytał Carter.

– Co tylko mogę – odparł Trev.

– Wiesz, że Andy chce cię dorwać? Ciebie i tego dziwaczego gościa.

– Nie boję się Andy’ego – zapewnił Trev. To stwierdzenie nie było całkiem prawdziwe. Nie bał się Andy’ego. Odczuwał śmiertelny strach na myśl o jego butach, a to sięgające jelit przerażenie ściekało mu z żeber jak topniejący śnieg.

– Wszyscy się boją Andy’ego, Trev. Jeśli są sprytni.

– Te, Pierdzimistrzu, jestem Trevor Likely!

– Myślę, że ci to nie wystarczy.



To mi nie wystarczy, myślał Trev, jadąc przez miasto. Skoro nawet Pepe wie, że coś się burzy, to przecież Stary Sam też musi wiedzieć... Oj!

Przebiegł na tylną platformę omnibusu i wyładował na ulicy, zanim konduktor zdążył się do niego zbliżyć. Jeśli nie złapią człowieka w środku, to nie mogą go łapać w ogóle. I co prawda dostali takie błyszczące topory, żeby odstraszać nieplacących pasażerów, ale przecież wszyscy wiedzieli, że a) byli za bardzo wystraszeni, by ich użyć, i b) kłopoty, jakie by ich czekały, gdyby rzeczywiście przyłożyli szanowanemu obywatelowi, trudno sobie nawet wyobrazić.

Przebiegł boczną uliczką na Kogudziobną, zauważył kolejny omnibus, sunący wolno w odpowiednim kierunku, wskoczył na stopień i przytrzymał się drążka. Tym razem miał szczęście. Konduktor rzucił mu niechętnie spojrzenie, a potem bardzo starannie go nie zauważał.

Zanim Trev dotarł do wielkiego skrzyżowania, zwanego Pięcioma Drogami, pokonał już prawie całą szerokość miasta ze średnią prędkością większą niż marsz, i ani razu nie musiał biec zbyt daleko. Idealny wynik dla Treva Likely'ego, który nie chodzi, kiedy może jechać.

I w końcu zobaczył przed sobą Hippo. Kiedyś odbywały się tu wyścigi konne, dopóki nie przeniesiono ich na drugikoniec Ankh. Teraz był to po prostu rozległy plac, jakiego każde większe miasto potrzebuje na targi, jarmarki, niekiedy jakieś powstania i coraz popularniejsze wozowe wyprzedaże, na które uczęszczały tłumy ludzi chcących odkupić swoją własność.

Dzisiaj krążyły tu tłumy, choć nie było widać nawet ukradzionej łopaty. A ludzie wszędzie kopali piłkę, więc Trevor trochę się uspokoił. W oddali zauważył szpiczaste kapelusze i nikt chyba nikogo nie morderował.

– Siema, co słyszać?

Opuścił lekko wzrok.

– Jak leci, panie Gardło?

– Słyszałem, że jakoś tam jesteś związany z Niewidocznymi Aka-

demikami – rzekł Gardło Sobie Podrzynam Dibbler, najbardziej przedsiębiorczy, choć z niewyjaśnionych powodów także najbardziej pechowy biznesmen w mieście.

– Nie wmówi mi pan, że przyszedł pan tu sprzedawać zapiekanki.

– Nie, nie, nie! – zawołał Dibbler. – Za wielu tu dziś amatorów. Moje zapiekanki nie są robione z jakiegoś śmiecia dla bandy pijanych kibiców.

– A pańskie zapiekanki są dla...? – Trev pozostawił to pytanie zawieszony w powietrzu, z pętlą na końcu.

– Zresztą to już etap miniony – rzucił lekceważąco Dibbler. – Teraz wchodzę na rynek pamiątkarsko-piłkarski.

– A co to takiego?

– Takie na przykład autentyczne podpisane koszulki drużyn i tym podobne. Znaczący, sam popatrz...

Z dużej, zawieszonej na szyi tacy Dibbler zdjął mniejszą wersję tego, czym byłaby nowa piłka „gloing! gloing!”, gdyby była o połowę mniejsza i krzywo wystrugana z drewna.

– Widzisz te białe powierzchnie? Są po to, żeby na nich podpisała się drużyna.

– I pan się postara o te podpisy?

– No więc nie. Uważam, że ludzie wolą to załatwić sami. Takie osobiste pociągnięcie, rozumiesz.

– Czyli w zasadzie to pomalowane drewniane kulki i nic poza tym? – upewnił się Trev.

– Ale autentyczne! – zawołał Dibbler. – Tak samo jak koszulki! Chcesz jedną? Jak dla ciebie, pięć dolarów i naprawdę gardło sobie podrzynam.

Pomachał mu skąpym kawałkiem czerwonej bawełny.

– Co to jest?

– Barwy twojej drużyny, nie?

– Dwa wielkie żółte U z przodu? – zdziwił się Trev. – To pomyłka. Nasze mają dwa miłe U splecione na lewej piersi, jak odznaka. Bardzo stylowe.

– Przecież to na jedno wychodzi – stwierdził lekceważąco Dibbler. – Nikt nie zauważy różnicy. I musiałem zbić cenę ze względu na dzieciaki.

Pochylił się.

– Możesz mi cokolwiek powiedzieć o jutrzejszym meczu, Trev? Wygląda na to, że drużyny wystawią wspólny, twardy zespół. Vetinari przynajmniej raz nie postawi na swoim.

– Zagramy dobry mecz, zobaczy pan.

– Jasne! Nie można przegrać z Likelym w drużynie.

– Ja tylko trochę pomagam. Nie zagram. Obiecałem mojej mamie, kiedy zginął tato.

Dibbler rozejrzał się po zatłoczonym stadionie Hippo. Zdawało się, że myśli ma zajęcie czymś innym, nie tylko potrzebą zarobienia następnego dolara.

– A co się stanie, jeśli wasi przegrają? – zapytał.

– To tylko gra – odparł Trev.

– Tak, ale Vetinari oparł na niej swoją reputację.

– To gra. Jedna strona wygrywa, druga przegrywa. Sport.

– Wielu ludzi tak nie uważa – oświadczył Dibbler. – Vetinariemu zawsze wszystko się udawało – ciągnął, patrząc w niebo. – To jest magia, rozumiesz? Wszyscy uważają, że on zawsze trafia. Co się stanie, jeżeli raz się pomyli?

– To tylko gra, panie Gardło. Mecz. Na razie.

Trev ruszył dalej, ludzie stawiali po jednej stronie boiska rzędy drewnianych ław. A że byli w Ankh-Morpork, gdziekolwiek zebrali się dwóch lub więcej ludzi, natychmiast pojawiały się tysiące, choćby po to, żeby się zastanawiać po co.

Tam, przy długim stole, siedział pan Myślak Stibbons z kilkoma kapitanami drużyn A tak, Komitet Regulaminowy. Słyszał już o nim. Nawet po spisaniu zasad, i chociaż niektóre były tak stare, jak sama gra, kilka spraw i tak trzeba było wyjaśnić. Kiedy się zbliżył, usłyszał głos Myślaka.

– Przecież w nowej grze nie możemy dopuścić do sytuacji, kiedy ludzie kręcą się dookoła bramki, to znaczy gola przeciwników.

– Przedtem jakoś to działało – przypomniał jeden z kapitanów.

– Tak, ale teraz piłka lata. Porządne kopnięcie przerzuci ją przez połowę Hippo. Jeśli ktoś ją przejmie, strażnik gola nie ma szans.

– Czyli... – zaczął pan Stollop, który został kimś w rodzaju rzecznika kapitanów – dwóch gości z drużyny A musi stać przed gościem z dru-

żyny B, zanim strzeli?

– Tak, mniej więcej się zgadza – potwierdził sztywno Myślak. – Tylko że jednym z nich jest strażnik gola.

– No to co będzie, jak jeden z tych gości go wyminie, zanim jeszcze kopnie piłkę?

– Wtedy będzie, jak się to tradycyjnie określa, na spalonym.

– Raczej sam się spali – burknął jeden z kapitanów.

A że ta uwaga miała tę samą tonację co żarty, wywołała śmiechy.

– Jeśli to prawda, w końcu możesz pan mieć kupę biegających w kółko graczy, którzy tylko czekają, żeby tych biedaków wpakować na nielegalną pozycję, chociaż żaden z nich nawet się nie ruszy. Tak?

– Mimo to będziemy się upierać przy tej zasadzie. Wypróbowaliśmy ją. Pozwala na swobodne poruszanie się po boisku. W dawnej grze nie było niczym niezwykłym, że gracze przynosili sobie kanapki i numery „Panienek, Płoteczek i Podwiązek”, i po prostu czekali, aż piłka sama do nich przyleci.

– Cześć, Trev, co u ciebie?

To był Andy i stał za plecami Treva.

Muszą tu być tysiące ludzi, myślał Trev w dziwnie powolnym, roz-targnionym stylu. I mnóstwo strażników. Nawet stąd paru widzę. Andy chyba niczego nie będzie teraz próbował mi zrobić, prawda?

No więc może, bo to właśnie czyni go Andym. Ta mała pszczołka, która brzęczy mu pod czaszką, w każdej chwili może uderzyć w nie-właściwe miejsce i Andy wyrznie człowiekowi w twarz. A tak... tam jest też Tosher Atkinson i jego mamuśka, idą sobie, jakby wyszli na spacer.

– Nie widziałem cię ostatnio, Trev – ciągnął Andy. – Pewnie byłeś zajęty...

– Myślałem, że nie będziesz się pokazywał – odparł Trev bez wielkiej nadziei.

– Wiesz, jak to mówią: wcześniej czy później wszystkie grzechy zostają wybaczone.

W twoim przypadku jednak sporo później, myślał Trev.

– Poza tym – mówił Andy – otwieram nową kartę.

– Tak?

– Trzeba się wyrwać ze Ścisku. Trzeba zapomnieć o występny

życiu. Pora się dopasować.

– Miło słyszeć – mruknął Trev, czekając na nóż.

– I dlatego jestem teraz podstawowym graczem Zjednoczonych Ankh-Morpork. – Nie był to nóż, ale miał całkiem podobny efekt.

– Jak rozumiem, jego lordowska mość podsunął im ten pomysł.

– Andy cały czas mówił tym samym ośliszym, przyjaznym tonem.

– Oczywiście żadna drużyna nie ma ochoty na grę z wami, magami.

Dlatego powstała nowa, specjalnie na tę okazję.

– Wydawało mi się, że nigdy nie grałeś...

– Och, to było za dawnych, złych czasów, zanim piłka nożna otworzyła się na indywidualne wysiłki i inicjatywę. Widzisz tę koszulkę?

Trev spojrział. Nie interesowało go, co Andy ma na sobie, tylko to, że jest.

– Biała z niebieską lamówką – oświadczył z satysfakcją Andy.

– Bajer. – Odwrócił się. Na plecach miał wielką niebieską jedynekę, a nad nią mniejsze „Andy Shank”. – To mój pomysł. Bardzo rozsądny. Nawet od tyłu wiemy, kim jesteśmy.

– Powiedziałam waszym magom, że wasi dżentelmeni powinni zrobić to samo – wtrąciła pani Atkinson.

Była jedną z najbardziej przerażających Twarzy, jakie kiedykolwiek złośliwie i sprawnie używały zaostrej parasolki. Dorośli mężczyźni cofali się przed panią Atkinson; w przeciwnym razie dorośli mężczyźni krwawili.

Akurat tego nam trzeba, pomyślał Trev. Nasze nazwiska na plecach. To im zaoszczędzi czasu, bo nie będą musieli przebiegać naprzód, zanim wbiją nóż.

– No ale nie mogę cały dzień tak z tobą rozmawiać. Muszę pogadać z drużyną. Trzeba pomyśleć o taktyce.

Będzie tam sędzia, myślał Trev. Będzie straż. Będzie lord Vetinari. Niestety, będzie również Andy Shank. A Nutt chce, żebym został jego asystentem, więc i ja muszę być. Jeśli coś pójdzie nie tak, to boisko nie jest tym miejscem, w którym warto się znaleźć... A ja się znajduję.

– Gdyby cię interesowało, gdzie jest ta twoja tępawa dziewczyna, to stoi tam z tyłu, razem z tą grubą. Naprawdę, co sobie o mnie pomyślałeś?

– Nic, dopóki tego nie powiedziałeś – odparł Trev. – Ale teraz myślę.

– Przekaż pozdrowienia orkowi – dodał Andy. – Przykro słyszeć, że to już ostatni.

Poszli dalej. Trev był dostatecznie szybki, by się odsunąć, zanim pani Atkinson rozcięła mu nogę swoją laską.

Znajdź Juliet. Znajdź Nutta. Znajdź Glendę. Znajdź pomoc. Znajdź bilet do Czeriksów...

Trev nigdy się nie bił. Nigdy naprawdę nie walczył. Pewnie, kiedy był młody, zdarzało się, że dawał się wciągnąć w jakieś bójki, gdy politycznie było stać z innymi dzieciakami, trzymając w ręku zaimprovizowaną broń. Znakomicie sobie radził z robieniem wrażenia, że jest wszędzie równocześnie, z krzyżeniem i wbieganiem w samo serce bitwy, ale nigdy tak naprawdę nie włączał się do akcji. Mógłby iść do straży i powiedzieć im... że Andy mu groził? Andy zawsze groził. Kiedy w Ścisłu wybuchał konflikt, co się czasem zdarzało, kiedy następowało bliskie spotkanie dwóch klanów, zawsze był przecież las nóg, by zanurkować między nie, a raz, kiedy Trev znalazł się w rozpaczliwej sytuacji, także spora liczba ramion, po których dało się przebiec. Zresztą... o czym właściwie myśli? Przecież go tam nie będzie. Nie ma zamiaru grać. Obiecał mamie. Chciałby zagrać, ale mamie by się to nie spodobało. Całkiem jakby napisała mu usprawiedliwienie: Drogi Andy, nie traktuj dziś Trevora nożem, ponieważ obiecał, że nie będzie grał.

Otrząsnął się z poczucia, że nóż sunie już w jego stronę, i usłyszał głos Nutta:

– Oczywiście, słyszałem o „BąBelkach”.

Stała tam Glenda i Juliet, i Nutt, i Juliet, i trochę niespokojna młoda kobieta z notatnikiem, i Juliet. Stała tam też Juliet, ale trochę trudno było ją zauważyć, bo była również Juliet.

– Mówi, że chce napisać artykuł – wyjaśniła Glenda, która najwyraźniej pilnowała reporterki. – Nazywa się panna...

– Roz – dokończyła dziewczyna. – Wszyscy o panu mówią, panie Nutt. Czy zechce pan odpowiedzieć na kilka pytań? Nasi czytelnicy są bardzo na bieżąco¹⁹.

¹⁹ Arcybiskup w domu negocjowalnego afektu mógłby sprawiać wrażenie trochę bardziej zdziwionego niż Nutt w tej chwili, jednak stopień wspomnianego zdziwienia zależy od tego, ilu znacie arcybiskupów.

- Tak? – odpowiedział niepewnie.
- Co pan czuje, będąc orkiem, panie Nutt?
- Nie jestem pewien. A co pani czuje, będąc człowiekiem?
- Czy pańskie doświadczenia jako orka wpływają na sposób gry w

piłkę?

– Na meczu będę tylko rezerwowym – wyjaśnił Nutt. – Przede wszystkim jednak pełnię funkcję trenera. I muszę dodać, odpowiadając na pani pytanie, że nie miałem zbyt wielu doświadczeń z bycia orkiem. Aż do teraz.

– Ale doradza pan graczom, żeby urywali głowy przeciwnikom? – Dziewczyna zachichotała.

Glenda już otworzyła usta, ale Nutt odparł z powagą:

– Nie, to by było wbrew przepisom.

– Słyszałam, że jest pan bardzo dobrym trenerem. Jak pan myśli, dlaczego?

Mimo niezwyklej głupoty tego pytania Nutt zdawał się głęboko zastanawiać.

– Należy rozważać horyzonty możliwości – powiedział wolno. – *E pluribus unum*, wielość staje się jednością, ale równie dobrze można uznać, że jedność staje się wielością, *Ex uno multi*, w istocie zaś, jak stwierdził von Schliss w „Odpływie rzeczywistości”, jedność, gdy starannie ją przestudiować, może się okazać wielością w innym kostiumie.

Glenda zerknęła na dziewczynę. Jej twarz nawet nie drgnęła, podobnie jak jej ołówek. Nutt uśmiechnął się do siebie i mówił dalej:

– Rozważmy teraz sytuację na przykład lecącej piłki. Skąd przybywa, sądzimy, że wiemy, ale gdzie wyląduje, to wiecznie zmienna zagadka, nawet jeśli analizować ją jedynie w przestrzeni czterowymiarowej. Mamy zatem egzystencjalną tajemnicę, przed jaką staje kopiący, gdyż jednocześnie uderza i jest uderzany. Kiedy piłka leci, wszystkie możliwości zostają nieubłagane powiązane, jak powiedział Herr Frugah w „Das Nichts des Wissens”: *Ich kann mich nicht genau erinnern, aber es war so etwas wie eine Vanillehaltige süsse Nachspeisenbeigabe*, chociaż wydaje mi się, że przyjmował wtedy jakieś medykamenty. Więc kto wprowadza w ruch, a kto jest wprowadzany? Skoro rozwiązanie daje się osiągnąć jedynie poprzez konceptualną manifestację, wykorzystującą,

jak się wydaje, pewne percepcje przestrzeni pozaskończzonej, można łatwo zauważyć, że wśród możliwości jest i taka, że piłka wylądowała we wszystkich miejscach jednocześnie, albo okaże się, że nigdy nie została kopnięta. Moim zadaniem jest zredukowanie tej metafizycznej nadmiarowości, tak ją określe, by dostarczyć moim chłopcom jakiegoś akceptowalnego paradygmatu, takiego jak na przykład: wal w sam środek, synu, a nawet jak bramkarz zatrzyma, przynajmniej oberwie tak, że na długo sobie zapamięta. Widzi pani, kluczowe w piłce jest to, że wcale nie chodzi w niej o piłkę. Jest to niezwykle fascynująca wielowymiarowa filozofia, wytłoczenie, można powiedzieć, tego, co doktor Paspinder opublikował w „Das Meer von Unvermeidlichkeit”. Zapyta pani teraz, jestem pewien – mówił dalej – co z 4-4-2 albo nawet 4-1-2-1-2, tak? A moja odpowiedź na to brzmi: jest tylko jedność. Tradycyjnie w drużynie mamy jedenastu graczy, ale to skutek naszej niedoskonałej percepcji. W rzeczywistości jest tylko jeden, a zatem powiem... – tu zaśmiał się lekko –... ośmielając się sparafrazować sformułowanie z „Drzwi decepcji”: nie jest ważne, czy wygrasz, czy przegrasz, jeśli tylko strzelisz więcej goli.

Dziewczyna spojrzała na swój notes.

– Czy mógłby pan to powiedzieć prościej?

– Och, przepraszam! – Nutt się zawstydił. – Wydawało mi się, że właśnie powiedziałem.

– I myślę, że chyba już wystarczy. – Glenda wzięła dziewczynę pod ramię.

– Ale nie spytałam go nawet o ulubioną łyżkę! – jęknęła reporterka. Nutt odchrząknął.

– No cóż, byłbym wdzięczny za uprzedzenie o takim pytaniu, gdyż dotyczy ono bardzo obszernej dziedziny. Sądzę jednak, że Wielka Spiżowa Łyżka z Cladhu, ważąca ponad tonę, byłaby dobrą kandydatką. Choć nie można zapominać o zestawie łyżeczek, z których każda jest mniejsza od ziarenka ryżu, wyrzeźbionych przez jakiegoś nieznanego geniusza dla konkubin cesarza Whezi. Bez wątplenia jednak przewyższała je słynna mechaniczna łyżka zaprojektowana przez Bezdennie Głupiego Johnsona, która podobno mogła mieszać kawę tak szybko, że filiżanka unosiła się nad talerzykiem i uderzała o sufit. Ach, być muchą na tej ścianie, jak to mówią, choć nie za blisko, ma się rozumieć. Mniej

znana jest śpiewająca łyżka uczonego mędrca Ly Tin Wheedle'a, która przy stole umiała zabawiać gości, intonując zabawne pieśni. Pośród innych wspaniałych łyżek...

– Wystarczy – stwierdziła Glenda i odprowadziła dziewczynę. Dla jej własnego dobra.

– On jest orkiem? – spytała Roz.

– Tak mówią – odparła Glenda.

– Wszystkie takie były? Myślałam, że chodziło im głównie o ukręcanie głów...

– Przypuszczam, że każdy by się znudził, gdyby stale robił to samo.

– Ale skąd on wie to wszystko o łyżkach?

– Może mi pani wierzyć, jeśli ktoś kiedyś napisał książkę „Wielkie łyżki świata”, pan Nutt ją przeczytał.

Trev słyszał żaloszny głos dziewczyny, kiedy Glenda niemal siłą odciągała ją byle dalej od Nutta.

– Tak naprawdę chciałam porozmawiać z Jewels – tłumaczyła Roz, bez jednego spojrzenia mijając Juliet. – Ale wszyscy mówią, że się ukrywa.

Podszedł szybko i przywołał do siebie pozostałą dwójkę.

– Jutro dojdzie do mordu – oznajmił. – Magowie nie mogą używać czarów, a Zjednoczeni Ankh-Morpork mają się składać z najtwardszych, najpaskudniejszych drani, jacy akurat nie siedzą w Tantach.

– W takim razie musimy odpowiednio zmienić taktykę – uznał Nutt.

– Czyś ty zwariował? Mówię o takich typach jak Andy, Nutt. A on wcale nie musi być najgorszy.

– Ale wszystko jest kwestią taktyki. Poznania silnych i słabych punktów oraz właściwego wykorzystania tej wiedzy.

– Słuchasz mnie? Nie będzie na to czasu.

– Jeśli mógłbym zacytować...

– Pytałem, czy słuchasz! Znasz jakieś cytaty z ludzi, którzy dostali nożem w plecy, a potem zostali skopani po... – Urwał na moment. – Po tym, jak już leżeli na ziemi? Bo o tym właśnie powinienes w tej chwili myśleć.

– Straż będzie na miejscu...

– Strażnicy mają jeden sposób rozwiązywania skomplikowanych

sytuacji. Każą wszystkim leżeć. To ułatwia sprawę.

– Jestem pewny, że w piłkę możemy pokonać każdą drużynę – oświadczył Nutt.

Trev rozejrzał się, rozpaczliwie szukając kogoś, kto go zrozumie.

– To nie działa w ten sposób! Już nie chodzi o piłkę!

– Chyba nie chciałabym patrzeć, jak ktoś zostaje ranny – odezwała się Juliet.

– W takim razie będziesz musiała zamknąć oczy – burknął Trev.

– Nutt, tobie się wydaje, że wszystko potoczy się ładnie i po sportowemu, bo ta nowa piłka nożna tak właśnie jest wymyślona. Ale to wciąż ci sami ludzie! Wiesz, co o tym myślę?

– Mój tato mówił, że jeśli Akademicy przegrają, źle to będzie wyglądać dla Vetinariego – poinformowała Juliet.

– I ucieszy się z tego? – spytał Trev.

– No, myślę, że tak, ale nawet tato mówi, że pewnie lepiej już mieć przekłętą Vetinariego niż któregoś z tych drani, co ich mieliśmy wcześniej.

Tak, bo miasto działa, myślał Trev. Panował tu straszny zamęt, dopóki Vetinari nie przejął władzy, i nikt nie wie, jak tego dokonał. Miał teraz pracującą jak należy straż. Rozwiązał sprawę wojny między trolami a krasnoludami. Pozwalał ludziom robić, co chcą, pod warunkiem że robili to, co on chce. A przede wszystkim Ankh-Morpork pełne było teraz ludzi i pieniędzy. Wszyscy chcieli mieszkać w Ankh-Morpork. Czy naprawdę jego władza może się zachwiać, ponieważ coś źle pójdzie z nową piłką nożną? No więc odpowiedź brzmiała: tak, oczywiście – bo tacy właśnie są ludzie.

Trev wspomniał o tym Glendzie, kiedy wróciła po odprowadzeniu oszołomionej Roz poza zasięg filozofii Nutta. Popatrzyła na niego z powagą.

– Myślisz, że Vetinari o tym wie? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Znaczy, słyszałem, że podobno ma mnóstwo szpiegów, ale nie jestem pewien, czy oni wiedzą.

– Myślisz, że ktoś powinien mu powiedzieć?

Trev parsknął śmiechem.

– A co proponujesz? Żebyśmy poszli do pałacu, stanęli przed nim i

powiedzieli: „Przepraszamy, ale jest parę spraw, które panu umknęły”?

– Tak – odrzekła Glenda.

* * *

– Dziękuję ci, Drumknott, to na razie wszystko – rzekł Vetinari.

– Oczywiście, sir – odparł Drumknott.

Skinął lady Margolotcie i bezgłośnie wyśliznął się z pokoju.

– Rozumiem, Havelocku, że Drumknott jest bardzo kompetentnym sekretarzem, ale zawsze wydawał mi się dziwnym człowieczkiem.

– No cóż, zabawny byłby to świat, gdybyśmy wszyscy byli podobni, madame. Choć przyznaję, że jednak niezbyt zabawny, gdybyśmy wszyscy byli podobni do Drumknotta. Ale jest lojalny i absolutnie godny zaufania.

– Hmm... – mruknęła lady. – Czy on ma jakieś życie osobiste?

– Wydaje mi się, że kolekcjonuje różne rodzaje materiałów biurowych – odparł Vetinari. – Czasami spekułowałem, że jego życie zmieniłoby się na lepsze, gdyby spotkał młodą damę skłoną do przebijania się za brązową kopertę.

Stali na balkonie, który oferował wspaniały widok na centrum miasta, ale oni pozostawali prawie niewidoczni.

– Traktat posuwa się naprzód? – zapytał Patrycjusz.

– Oczywiście – zapewniła lady. – Wreszcie nastał pokój między krasnoludami i trollami.

Vetinari uśmiechnął się lekko.

– Znaczenie słowa „pokój” zwykle jest określane jako okres odpoczynku i zbrojeń przed następną wojną. Jak wiele zabójstw było koniecznych?

– Havelocku, jesteś zbyt bezpośredni!

– Proszę o wybaczenie. Jednakże postęp historii wymaga również rzeźników, nie tylko pasterzy.

– Nie było żadnych zabójstw – zapewniła lady Margolotta. Spojrzała w niebo. – Zdarzyła się jednak straszna katastrofa w kopalni oraz dość niezwykle osunięcie skał. I wciąż pozostaje do rozwiązania sprawa Lo-

ko. Krasnoludy nadal chcą całkowitej eksterminacji.

– Ile jest tam orków?

– Nikt nie wie. Może Nutt potrafi je odszukać.

– Nie możemy dopuścić do ludobójstwa – stwierdził Vetinari.

– Historia znajduje sposoby, by się zemścić.

– On okazał się prawdziwą niespodzianką.

– Tak słyszałem. Z raportów, jakie otrzymuję, można wnioskować, że wszystkim tym, czym orki nie są, on jest.

– Ale pod tym wszystkim nadal pozostaje orkiem.

– Zastanawiam się, co pozostaje pod nami wszystkimi...

– Podjąłeś bardzo wielkie ryzyko – ostrzegła lady Margolotta.

– Zapewniam cię, madame, że miasto całe jest ryzykiem.

– A władza to gra dymu i luster. – Sięgnęła po wino.

– Może to dziwne, ale komendant Vimes przypomina mi o tym codziennie. Żadne cywilne siły policyjne nie mogą wytrwać przeciwko gniewnej i zdecydowanej populacji. Sztuka polega na tym, żeby nie pozwolić, by zdała sobie z tego sprawę. Tak?

Ktoś zapukał do drzwi – to wrócił Drumknott.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir, madame, ale w tych okolicznościach uznałem, że to rozsądne. – Pociągnął nosem.

– Ta dama z zapiekankami.

– Ach, panna Sugarbean, legendarna wynalazczyni sławnej zapiekanki oracza! – ucieszył się Vetinari. Zerknął na lady Margolottę. – I przyjaciółka pana Nutta.

– Spotkałam ją, Havelocku. Pouczała mnie.

– Tak, świetnie jej to wychodzi. Człowiek czuje się jak po przyjemnej chłodnej kąpieli. Wprowadź ją, Drumknott.

– Jest z nią jakiś młody człowiek. Rozpoznałem w nim Trevora Likely’ego, syna sławnego gracza w kopanie piłki, Dave’a Likely’ego. Poinformowano mnie, że istotnie przyniosła dla pana zapiekankę oracza.

– Przyjmiesz niesprawdzoną żywność od kogoś z plebsu? – przeraziła się lady Margolotta.

– Od niej na pewno – oświadczył Vetinari. – Nie ma absolutnie żadnej możliwości, żeby dodała do czegokolwiek trucizny. Nie z szacunku dla mnie, rozumiesz, ale z szacunku dla jedzenia. Nie wychodź.

Przekonasz się, że to... interesujące.

Kiedy Glenda wkroczyła do Podłużnego Gabinetu, zapiekanka w jej rękach była jeszcze ciepła. Sama Glenda niemal zamarła na widok lady Margolotty; potem jednak włączyła się pewna odporność.

– Czy muszę dygnać?

– Nie, chyba że naprawdę masz ochotę.

– Przyszliśmy pana ostrzec – oznajmił Trev Likely.

– Doprawdy? – Vetinari uniósł brew.

– Zjednoczeni Ankh-Morpork przespacerują się po Niewidocznych Akademikach. W wielkich i ciężkich butach.

– Ojej... Sądzi pan, że tak właśnie będzie?

– To nie są zwyczajni gracze! – wyrzucił z siebie Trev. – Są ze Ścisku! Przyjdą uzbrojeni...

– A tak. Piłka nożna jako wojna – mruknął Vetinari. – No cóż, dziękuję za ostrzeżenie.

Zapadła cisza, którą przerwał Patrycjusz.

– Czy chcielibyście jeszcze coś powiedzieć?

Glenda trzymała zapiekanke przed sobą jak coś w rodzaju tarczy cnoty.

– Może pan coś zrobić? – spytała.

– To jest gra, panno Sugarbean. Skoro już zaproponowałem mecz, jak bym wyglądał, gdybym próbował interweniować? W końcu są przecież reguły. Będzie sędzia.

– Oni nie będą się przejmować – stwierdził Trev.

– W takim razie przypuszczam, że straż będzie musiała wypełnić swoje obowiązki. A teraz wybaczenie, muszę się zająć sprawami państwa. Ale proszę zostawić zapiekanke.

– Jedną chwilę – wtrąciła lady Margolotta. – Dlaczego postanowiłaś ostrzec jego lordowską mość, panienko?

– A nie powinnam? – odpowiedziała pytaniem Glenda.

– I tak po prostu weszliście?

– No, zapiekanka pomogła.

– Spotkałyśmy się już, prawda?

Lady Margolotta patrzyła na Glendę, Glenda patrzyła na nią, aż w końcu wykrztusiła:

– Tak, wiem. I wcale się nie boję i nie jest mi przykro.

To starcie spojrzeń trwało chyba o rok za długo, aż w końcu lady Margolotta gwałtownie odwróciła głowę.

– Z przynajmniej jednym trafiłaś. Ale jestem pewna, że będę zachwycona i zapiekaną, i meczem.

– Tak, tak – rzucił Vetinari. – Dziękuję wam za wizytę, lecz naprawdę musimy teraz omówić sprawy państwowe.

– No tak... – westchnęła lady Margolotta, gdy za gośćmi zamknęły się drzwi. – Jaki typ ludzi lęgnie się w tym twoim mieście, Havelocku?

– Przypuszczam, że najlepszy.

– Dwoje ludzi z gminu może wdrzeć się do ciebie, nie mając nawet umówionego spotkania?

– Ale mając zapiekanę – przypomniał Vetinari.

– Spodziewałeś się ich?

– Powiedzmy tyle, że nie byłem przesadnie zaskoczony. Oczywiście wiem o składzie Zjednoczonych. Straż wie również.

– I chcesz ich wpuścić na boisko z bandą starych magów, którzy obiecali nie używać magii?

– Z bandą starych magów i z panem Nuttem – poprawił ją. – Jak słyszałem, doskonale sobie radzi z planowaniem taktyki.

– Nie mogę na to pozwolić.

– To moje miasto, Margolotto. W Ankh-Morpork nie ma niewolników.

– On jest moim podopiecznym. Ale podejrzewam, że nie będziesz się tym przejmował.

– Mam taki szczerzy zamiar. Przecież to tylko gra.

– Ale w grach nie chodzi tylko o grę. A jaką grę, twoim zdaniem, jutro zobaczymy?

– Wojnę – odparł Vetinari. – A w wojnie, jak wiadomo, chodzi o wojnę.

Lady Margolotta strzepnęła długi rękaw i nagle w jej dłoni znalazł się sztylet.

– Sugeruję, żebyś rozcięła na pół. – Patrycjusz wskazał zapiekaną.

– Ja zdecyduję, którą połowę wybrać.

– A jeśli w jednej połowie jest więcej marynowanej cebulki niż w

drugiej?

– Wtedy podział będzie podlegać negocjacjom. Napijesz się jeszcze... wina?

– Widziałeś? Próbowala wygrać ze mną wzrokiem!

– Owszem. Widziałem, że jej się udało.

* * *

Kiedy Glenda i Trev wrócili na Hippo, Nutt spojrzał na nich pytająco.

– Prawie nie słuchał – mruknął Trev.

– Rozumiem. Jednak nie wątpię w jutrzejszy sukces. Jestem pewien naszej taktycznej przewagi.

– Cieszę się, że sam nie będę grał. To wszystko.

– Tak, panie Trev, to prawdziwa szkoda.

Niedaleko, przy stole, Liga Piłkarska dokonywała ostatnich poprawek. Usłyszeli czyjś głos:

– Nie, nie. Wszystko pokręciliście. Jeśli gościu z drużyny B znajdzie się bliżej tego... bramkarza... nie, skłamałem, bliżej bramki niż jej strażnik, wtedy oczywiście strzela od razu. To rozsądne.

Rozległo się westchnienie, które mogło wydobywać się jedynie z piersi Myślaka Stibbonsa.

– Nie. Chyba nie rozumiecie...

– Ale jak strażnik jest tak daleko od gola, to oferra z niego... – wtrącił ktoś.

– Zaraz, zacznijmy jeszcze raz – zaproponował ktoś jeszcze.

– Przypuśćmy, że ja jestem tym gościem, tutaj.

Trev zobaczył, że jeden z mężczyzn pstryknął przez stół zwiniętym w kulkę papierem.

– Znaczy, kopnąłem tę piłkę tak daleko i to właśnie ja, ten kawałek papieru. Co wtedy?

Jeszcze raz pstryknął papierową kulkę, która trafiła w ołówek Myślaka.

– Nie! Przecież już tłumaczyłem. I proszę nie rzucać papierkami,

bardzo mnie to rozprasza.

– Ale to musi działać, jeśli sam ją dokopie.

– Czekaście! – odezwał się ktoś jeszcze inny. – Co będzie, niby, kiedy człowiek ma piłkę na swojej połowie boiska i przebiegnie z nią całą drogę, nikomu nie oddając, a potem trafi do siatki?

– To będzie zgodne z przepisami – oświadczył Myślak.

– Niby tak, tylko coś takiego się nie zdarzy, nie? – rzucił mężczyzna, który pstryknął zaślinionym kawałkiem papieru i tak mu się to spodobało, że pstryknął następnym.

– Ale jeśli spróbuje i mu się uda, to będzie piękna gra, prawda? – rzekł Myślak.

– Gdzie nasza drużyna? – Trev rozejrzał się dookoła.

– Zaproponowałem, żeby wcześniej się dziś położyli – wyjaśnił Myślak.

– Wcześniej dla maga to znaczy o drugiej w nocy – zauważyła Glenda.

– Wydałem instrukcje, by gracze dostali wieczorem specjalnie przygotowany posiłek – wtrącił Nutt. – Z tego powodu, panno Glendo, muszę prosić, by zarygłowała panienka drzwi do nocnej kuchni.

* * *

Nieruchoma cisza zaległa wieczorem w jadalni.

– Nie jadamy sałatek – oświadczył pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa). – Mam po nich wiatry.

– Jak człowiek może żyć bez makaronu? – zdumiewał się Bengo. – To barbarzyństwo.

– Zauważyliście, mam nadzieję, że mój talerz jest tak pusty jak wasze – odezwał się Ridcully. – Pan Nutt nas trenuje i pozwalam mu trzymać lejce. Ponadto macie dziś wieczorem powstrzymać się od paleń.

Zabrzmiął chór przerażonych głosów. Nadrektor uciszył go gestem ręki.

– Ponadto, jak napisał w instrukcjach... – Przyjrzał się dokładniej

niezbyt równemu pismu Nutta i uśmiechnął lekko. – Żadnych kontaktów seksualnych.

Nie wywołało to reakcji, jakiej się spodziewał.

– To znaczy, że mamy o tym nie rozmawiać? – upewnił się kierownik studiów nieokreślonych.

– Nie, to byłby seks oralny – poprawił go Rincewind.

– Seks oralny to słuchanie o nim.

Bengo Macarona siedział zbaraniały.

– Nie chcę też, żebyście się wykradali na nocne przekąski – mówił dalej Ridcully. – Obowiązują zasady. Pani Whitlow i panna Sugarbean otrzymały polecenie, by bezwzględnie wspierać w tej kwestii pana Nutta. Z pewnością, panowie, potraficie okazać nieco siły charakteru.

– Aby okazać solidarność z resztą drużyny – odezwał się wykładowca run współczesnych – chcę powiedzieć, że w moim pokoju mam chyba kawałek sera w pułapce na myszy.

Ridcully został sam, w towarzystwie jedynie stuku przewracanych krzeseł. Wolno poszedł do swojego pokoju i rzucił kapelusz na wieszak. Muszą obowiązywać jakieś zasady, powiedział sobie. Więc musi być reguła dla nich i reguła dla mnie.

Podszedł do swego łóża z baldachimem na ośmiu słupkach i otworzył klapkę, pod którą chował słoje z tytoniem. Teraz jednak znalazł w nim krótki liścik:

Drogi. Nadrektorze,

Zgodnie z Pańską ratyfikacją instrukcji pana Nutta, aby dziś wieczorem, ciało profesorskie nie miało dostępu do pożywienia ani przyrządów tytoniowych, pozwoliłam, sobie zabrać pańskie papierosy i tytoń fajkowy. Chcę także dodać, że opróżniłam chłodnię z tradycyjnych plastrów zimnego mięsa i pikli, by nie stanowiły pokusy.

– Niech to... – mruknął Ridcully pod nosem.

Podszedł do szafy i przeszukał kieszenie smokingu. Znalazł kartkę, na której napisano:

Zgodnie z poleceniami, – pana Nutta, ratyfikowanymi osobiście przez Pana,

Nadrektorze [i to naprawdę nie do wiary, z jakim wyrzutem umiała pisać pani Whitlow], *pozwołam, sobie zabrać Pańskie rezerwowe miętówki.*

– Rozkład i zgnilizna! – zawołał Ridcully, zwracając się do nocnego powietrza. – Otaczają mnie zdrajcy! Na każdym kroku psują mi szyki!

Niepocieszony, powłókł się do biblioteczki i wyjął „Poradnik okultystyczny” Boddrysa, książkę, którą znał chyba na pamięć. A że znał ją na pamięć, strona 14 ukrywała niewielki wycięty otwór, gdzie czekały paczka ekstramocnych lukrecjowych miętówek, uncja tytoniu Wesoły Żeglarz i paczka wizzli... oraz, jak się okazało, nieduża karteczka:

Drogi Nadrektorze

Po prostu nie miałam serca.

Pani Whitlow

* * *

Wydawało się, że jest ciemniej niż zwykle. Na ogół wypełniano zarządzenia nadrektora, więc członkom drużyny Niewidocznych Akademików zdawało się, że kiedy szukają jedzenia, wszystkie drzwi są przed nimi nie tylko zamknięte, ale wręcz zatrzaśnięte. Każda spiżarnia została zaryglowana i otoczona barierą antymagiczną. Drużyna wędrowała bezzadnie od jednej sali do drugiej.

– Mam w pokoju makaron błyskawiczny – poinformował Bengo Macarona. – Babcia mi go dała, zanim tu przyjechałem. Wytrzymałe dziesięć lat i babcia twierdzi, że za te dziesięć lat będzie smakował tak samo jak teraz. Żałuję, ale obawiam się, że mogła mieć rację.

– Przynieś, ugotujemy go w moim pokoju – zaproponował wykładowca run współczesnych.

– Jeśli chcesz... Zawiera jadra aligatora na wzmocnienie. W domu są bardzo popularne.

– Nie wiedziałem, że aligator ma jadra – wyznał wykładowca run współczesnych.

– Teraz już nie ma – zauważył pedel Nobbs (żadnego pokrewieństwa).

– Mam herbatnika, możemy się nim podzielić – oznajmił Myślak Stibbons. I natychmiast przeszły go zaciekawione spojrzenia. – Nie – rzekł. – Nie zamierzam bardziej naruszać poleceń nadrektora. Nigdy bym potem nie miał spokoju. Bez hierarchii, panowie, jesteśmy niczym.

– Bibliotekarz na pewno ma banany – przypomniał Rincewind.

– Jesteś pewien? – zapytał Macarona.

– Wydaje mi się, że bibliotekarz ma dewizę na takie sytuacje: „Spróbuj wziąć moje banany, a wyrwę ci je z zimnych, martwych rąk”.

Przyczajony w mroku Trev zaczęła, aż ucichną gromy burczących brzuchów, potem zawrócił i chwilę później pukał do zaryglowanych drzwi nocnej kuchni.

– Wszyscy razem ruszyli do biblioteki – zameldował.

– Dobrze. Myślę, że podzieli się z nimi bananami – uznał Nutt.

– Naprawdę nie widzę sensu – oświadczyła Glenda.

– Sens kryje się w tym, że są przyjaciółmi. Partnerami w walce z losem. Są zespołem. To jest piłka. Trzeba wytrenować drużynę, by była drużyną. Nie przeszkadza mi, że rano zjedzą bardzo solidne śniadanie.

Nutt się zmienia, pomyślał Trev.

– Mogę zadać pytanie osobiste?

– Prawie wszystkie pytania, jakie słyszę od ludzi, są osobiste. Ale proszę bardzo, panie Trev.

– No więc, eee... No dobra. Czasem wydajesz się duży, a czasem wyglądasz na małego. Jak to się dzieje?

– Mamy to wbudowane – odparł Nutt. – Sądzę, że to efekt rozszerzającego się i zwężającego pola morficznego. Wpływa na percepcję.

– Kiedy się zdenerwujesz, jesteś całkiem mały – wtrąciła Glenda.

– A teraz?

– Teraz jesteś całkiem duży – stwierdził Trev.

– Dobrze. – Nutt sięgnął po kawałek zapiekanki. – Jutro zamierzam wyglądać na jeszcze większego.

– Mamy jeszcze jedną sprawę do załatwienia – oświadczył Trev. – Pepe chce mi pomóc. Uważa, że będę grał w piłkę.

– No cóż, będzie pan grał w piłkę, panie Trev.

– Nie! Wiesz przecież! Obiecałem mamie, a nie można złamać obietnicy danej mamie, niech spoczywa w spokoju! Masz klucze do

piwniczki z winem, Glendo?

– Myślisz, że ci powiem, Trevorze Likely?

– Myślę, że nie. Ale potrzebuję dwóch butelek najlepszej brandy. I jeszcze, tego... Moglibyście iść tam ze mną, co? Wydaje mi się, że Pepe chce dobrze, ale... znacie go, jest północ i w ogóle.

– Chyba znam Pepe – zgodziła się Glenda.

* * *

Przed tylnym wejściem do Shwatty stał strażnik. Zanim jednak zdążył odprawić Treva i jego przyjaciół, zjawił się Pepe.

– A niech mnie! Trzech kumpli! Naprawdę muszę być przerażający.

– Wyszczrzył zęby.

– Tak, ale o co tu chodzi, Pepe? Budzisz dreszcze u Treva – odpowiedziała Glenda.

– Niczego nie budzę! W ostatnich czasach w ogóle u mało kogo potrafię wzbudzić dreszcze. Powiedziałem mu tylko, że będzie grał w piłkę.

– Obiecałem mamie... – Trev trzymał się tego wyjaśnienia, jakby było małą tratwą na wzburzonym morzu.

– Ale masz gwiazdę w dłoni i nie masz wielkiego wyboru.

Trev spojrzał na swoją dłoń.

– Tylko jakieś linie...

– No cóż, są tacy, co potrafią patrzeć, i są tacy, co nie potrafią. Ja należę do tych pierwszych. To taka metafora, rozumiesz. Ale chodzi tylko o to, że chciałbym podarować ci pewien drobiazg, który jutro może się okazać przydatny. Co ja gadam! Może nawet ocalić ci życie – tłumaczył Pepe. – A już na pewno twoje małżeństwo. Obecne tu damy z pewnością chciałyby wierzyć, że my tutaj, w Shwatcie, zrobiliśmy dla ciebie to, co najlepsze.

– Cokolwiek to warte, Trev, ja ufam Pepe – zapewniła Glenda.

– A to pan Nutt – przedstawił Nutta Trev. – Jest przyjacielem.

– Słyszałem o panu Nutcie – stwierdził Pepe. – Też może pan wejść.

Miło mi... pana poznać.

Zwrócił się do Glendy.

– Wy, dziewczęta, zostańcie tutaj – polecił. – To nie jest sprawa dla dam. – Wprowadził chłopaków do pokoju. – To, co wam teraz pokażę, panowie, jest ściśle tajne. I jeśli mi się narazisz, Trev, zrobię takie rzeczy, że Andy Shank wyda ci się zwykłym podwórkowym tyranem.

– Andy był podwórkowym tyranem – odparł Trev, kiedy dotarli do czegoś, co najwyraźniej było kuźnią.

– Mikrokolczuga – rzekł z satysfakcją Pepe. – Świat nie widział jeszcze nawet połowy jej możliwości.

– Wygląda jak bardzo drobna kolczuga – ocenił Nutt.

– To dziwny materiał – wyjaśnił krasnolud. – Mogę ci dać koszulkę i spodenki. I mają tu wrócić, mój chłopcze, bo jeśli nie, implikacje zostaną przeprowadzone na twoim tyłku. Nie żartuję. Ten materiał nie służy tylko do tego, żeby dziewczęta ładnie w nim wyglądały. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, co potrafi przy niewielkiej tylko zmianie składu stopu.

– Wskazał lśniący stos. – Jest lekka jak piórko i nie obciera.

– I co jeszcze robi?

– Za chwilę ci pokażę. Wciągaj spodenki.

– Niby jak? Tutaj?

Nie wiadomo w jaki sposób, ale w blasku paleniska Pepe wyglądał jak mały demon.

– Och, patrzcie na pana Treva Wstydliwego! – zawołał. – No dobra, na razie włóż je na spodnie. I wiesz co? Odwróć się nawet, kiedy będziesz to robił.

Rzeczywiście, stanął plecami do Treva i zaczął przebierać narzędzia obok kowadła.

– Gotowe? – zapytał, po wysłuchaniu kilku minut ciężkiego oddechu.

– Tak, one... no, chyba pasują.

– Dobrze – rzekł Pepe. – Zaczekaj tu chwileczkę.

Zniknął w mroku, a po serii dziwnych hałasów wrócił powoli i niezgrabnie.

– Co masz na sobie? – zdziwił się Trev. – Wygląda to na masę poduszek.

– Och, to dla ochrony. Może się pan trochę cofnie, panie Nutt. A ty,

Trev, zrób mi uprzejmość i połącz obie ręce na głowie. W ten sposób łatwiej wziąć miarę. – Pepe odwrócił się do nich plecami. – W porządku, Trev. Trzymasz ręce na głowie?

– Tak, tak...

W tym momencie Pepe zakręcił się i z całej siły uderzył go dwudziestoczwartofuntowym młotem w krocze.

Co zaskakujące, jedynym skutkiem było to, że Pepe odleciał i uderzył o przeciwną ścianę.

– Idealnie! – podsumował głosem zduszonym przez poduszki.

* * *

Nadszedł ranek. Ale Glenda miała wrażenie, że nie ma nocy ani dnia, nie ma pracy ani zabawy, jest tylko piłka nożna przed nimi i ściągająca ich wszystkich. W Głównym Holu drużyna miała stół wyłącznie dla siebie. Służący i magowie siedzieli ramię w ramię i napychali się, jak tylko Niewidoczny Uniwersytet potrafi.

Tego dnia rządziła piłka. Nie działo się nic, co nie było piłką. Z pewnością nie odbywały się żadne wykłady. Oczywiście, nigdy się nie odbywały, ale dzisiaj nikt w nich nie uczestniczył z powodu podniecenia zbliżającym się meczem, a nie dlatego że nikomu się nie chciało.

Po chwili Glenda zdała sobie sprawę z odgłosu, jaki wydawało samo miasto.

Tłumy zbierały się pod uniwersytetem, tłumy już teraz ustawiały się w kolejce, by wejść na Hippo. Gwar czyniony przez złączone jednym celem setki tysięcy ludzi wznosił się niczym brzęczenie dalekiego roju.

Glenda wróciła do sanktuarium nocnej kuchni i starała się znaleźć sobie zajęcie. Próbowwała piec, ale ciasto spadało jej z palców.

– Denerwujesz się? – spytała Juliet.

– Mam nadzieję, że wygramy – westchnęła Glenda.

– No oczywiście, że wygramy!

– To bardzo dobrze, aż do chwili, kiedy przegramy... Tak, kto tam?

Wszedł Pepe. Wyglądał sprytniej niż zwykle.

– Witam drogie panie! Mam wiadomość do przekazania. Jak mia-

łyście zamiar oglądać mecz?

– Wszystko jedno, byle dostać się blisko – odparła Glenda.

– No to coś wam powiem. Madame dostała najlepsze miejsca na stadionie. Żadnego załatwiania pod stołem, tylko otwarta i jawna korupcja. Shwatta musi być widziany w świetle, prawda? Zależy mu, żeby publiczność zobaczyła mikrokolczugę.

– Strasznie bym chciała! – zawołała Juliet.

I nawet Glenda odkryła, że jej odruchowy, nieświadomy cynizm milczy.

– Będzie sherry – zachęcił dziewczynę Pepe.

– A będzie tam ktoś sławny? – upewniła się Juliet.

Pepe delikatnie ukuł ją palcem w żebro i powiedział:

– Tak jest. Ty, moja panno. Wszyscy chcą zobaczyć Jewels.

* * *

Zdawało się, że zegary biegną do tyłu. W Straży Miejskiej zawieszono wszystkie urlopy, chociaż trudno było sobie wyobrazić, jakie przestępstwo można popełnić na ulicach, gdzie nikt nie może się ruszyć. Rzeka człowieczeństwa – no, w większości człowieczeństwa – płynęła w stronę stadionu, odbijała się, przelewała i zalewała coraz większą część miasta. Mecz miał się odbyć na Hippo, ale tłum sięgał aż do placu Sator. I w końcu nacisk tak licznych oczu na wskazówki tak wielu zegarów przesunął czas naprzód.

* * *

W głównym holu została tylko drużyna i Trev. Wszyscy inni wyszli o wiele wcześniej, by podjąć bezowocną próbę zdobycia miejsca. Członkowie drużyny kręcili się i bez celu kopali do siebie piłkę, aż wreszcie zjawili się Myślak, Nutt i nadrektor.

– Nasz wielki dzień, chłopcy – rzekł Ridcully. – I wygląda na to, że

będzie to również dzień pogodny. Wszędzie ludzie czekają na nas i liczą, że damy niezły pokaz. Chcę, żebyście potraktowali ten mecz według najlepszych tradycji sportowych Niewidocznego Uniwersytetu, to znaczy oszukując, kiedy tylko nikt na was nie patrzy. Choć sądzę, że szansa, by nikt nie patrzył, jest dzisiaj raczej znikoma. Ale chcę, żebyście wszyscy dali z siebie sto dziesięć procent.

– Przepraszam, nadrektorze – wtrącił Myślak Stibbons. – Rozumiem sens tego, co pan właśnie powiedział, ale jest tylko sto procent.

– Jeśli bardziej się postarają, to mogą dać i sto dziesięć.

– No więc tak i nie, nadrektorze. Ale tak naprawdę to by znaczyło, że ktoś właśnie powiększył te sto procent, chociaż to nadal sto procent. Poza tym istnieje granica prędkości ludzkiego biegu i wysokości skoku. Chciałem tylko tyle zaznaczyć.

– Ładny wniosek, ładnie wyłożony – pochwalił Ridcully i natychmiast o Myślaku zapomniał. Przyjrzał się twarzom wokół. – Ach, pan Likely... Pewnie nic nie mogę zrobić, żeby wciągnąć pana do drużyny? Chłopak Dave’a Likely’ego, grający dla Niewidocznych Akademików, byłby powodem do niejakej dumy. Jak pióro na kapeluszu... i widzę, że mój kolega, profesor Rincewind, już dowcipnie umieścił białe na swoim.

– Wie pan, że nie mam wyjścia – wymamrotał Trev.

– Twoja matka staruszka... – Ridcully ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Obiecałem jej. Wprawdzie już odeszła, ale jestem pewien, że ciągle nade mną czuwa.

– Cóż, to miłe i bardzo ci się chwali. Czy powinienem powiedzieć coś jeszcze? Niech pomyślę... A tak, panowie... Pani Whitlow, jak ma w zwyczaju przy takich okazjach, zorganizowała swoje pokojówki, by ubrane w odpowiednie kostiumy stały przy bocznych liniach i zachęcały nas do gry. – Z twarzą jak nieruchoma maska kontynuował: – Sama pani Whitlow niewytłumaczalnie odgrywa w tych działaniach rolę entuzjastyczną i atletyczną. Będą wymachy nóg, ale poinformowano mnie, że jeśli opuścicie wzrok, nie powinniście zobaczyć niczego, co was rozproszy.

– Bardzo przepraszam, nadrektorze – odezwał się Rincewind.

– Czy to prawda, że niektórzy gracze Zjednoczonych Ankh-Morpork

to zwykła banda oprychów ze Ścisku?

– To dość surowa... – zaczął Ridcully.

– Bardzo przepraszam – przerwał mu Trev – ale to nie całkiem prawda. Powiedziałbym, że mniej więcej połowa z nich to uczciwi kopańcze, reszta to dranie.

– Jestem przekonany, że jednak uda się nam zwyciężyć! – zawołał wesoło nadrektor.

– Chciałbym przed wyjściem wygłosić kilka uwag, nadrektorze – wtrącił Nutt. – Może parę słów porady? Przez te kilka dni nauczyłem was wszystkiego, co sam umiem, nawet jeśli nie mam pojęcia, skąd to umiem. Jak wam wiadomo, jestem orkiem, a my wszyscy jesteśmy przede wszystkim graczami zespołowymi. Gracie zatem niejako pojedyncze osoby, ale jako drużyna. Myślę, że to von Haudennbrau powiedział..

– Obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu, żeby przecisnąć się przez tłum – przerwał mu Ridcully, który się tego spodziewał. – Dziękuję, panie Nutt, ale naprawdę uważam, że powinniśmy ruszać.

* * *

Gdyby ktoś obserwował miasto z góry, zobaczyłby, jak zatłoczone ulice falują, gdy czerwona gąsienica – którą tworzyli – maszeruje na pole gry. Rozbrzmiewały wiwaty i gwizdy, a że działo się to w Ankh-Morpork, wiwatowali i gwizdali na przemian wszyscy patrzący.

Zanim młodszy funkcjonariusz Bluejohn i dwa inne trolle ze straży siłą otworzyli wrota, odpychając stłoczone ciała, hałas stał się potężnym młotem dźwięku. Trollowi funkcjonariusze oczyścili graczom drogę z delikatnością i przemyślnością, które tradycyjnie sprawiały, że policyjna kontrola tłumu stała się przysłowiowa. Przejście prowadziło do ogrodzonego i silnie strzeżonego obszaru, pośrodku którego czekali już nadrektor znany wcześniej jako dziekan, cała drużyna Zjednoczonych Ankh-Morpork oraz jego łaskawość diuk Ankh, komendant Straży Miejskiej, sir Samuel Vimes z twarzą jak nieświeży obiad.

– Co wy, błazny, próbujecie zrobić z moim miastem? – zapytał i

spojrzał na Vetinarięgo w jego łoży na środku trybuny. Podniósł głos. – Przez ostatni miesiąc tyram jak szalony, żeby podopinać cały traktat DK, a tu się okazuje, że kiedy wreszcie krasnoludy i trolle podają sobie ręce i zostają kumpłami, zaczynacie tutaj całkiem nową DK!

– Och, daj spokój, Sam – łagodził Ridcully. – To tylko zdrowa rozrywka na świeżym powietrzu.

– Ludzie ustawiają się przed bramami – oświadczył Vimes.

– Przed bramami miasta! Ile z tego jest działaniem magii?

– Nic, Sam, o ile nam wiadomo. Nie wolno stosować magii w czasie meczu. Ta kwestia została omówiona i uzgodniona, a dzie...

– Ridcully przełknął ślinę –... a nadrektor Uniwersytetu Miedzicoła wziął odpowiedzialność za thaumiczne wygaszenie stadionu.

– No więc powiem jasno. Żaden z moich ludzi nie postawi nogi na polu gry, cokolwiek by się działo. Czy to jasne?

– Jak słońce, Sam.

– Przepraszam, nadrektorze, ale w tej chwili jestem komendantem Straży Miejskiej, nie Samem, jeśli to panu nie przeszkadza – rzekł Vimes. – Całe to nieszczęsne miasto jest jak wypadek, który tylko czeka, żeby... nie, jak wypadek, który już się zdarzył i wszystko, co idzie źle, bardzo szybko pójdzie jeszcze gorzej. I nie pozwolę, by ktoś później mówił, że straż stanowiła problem. Naprawdę, Mustrumie, nie spodziewałem się tego po panu.

– Nadrektorze, chciał pan powiedzieć – odparł zimno Ridcully.

– Jeżeli o mnie chodzi – ciągnął Vimes – mamy do czynienia z bójką rywalizujących gangów. Wie pan, co do mnie należy, nadrektorze? Utrzymywanie spokoju. I naprawdę mam ochotę przymknąć całe to zgromadzenie, ale jego lordowska mość się nie zgadza.

Ridcully odchrząknął.

– Chciałbym panu pogratulować, sir, znakomitej pracy, jakiej dokonał pan w Dolinie Koom.

– Dziękuję. Może pan sobie wyobrazić, jak się ucieszyłem, widząc, że wpakowaliście się w inny typ wojny. – Komendant zwrócił się do nadrektora Henry’ego. – Miło znów pana widzieć, sir²⁰, słyszałem, że

²⁰ Policjanci potrafią tak akcentować słowo „sir”, jakby naprawdę mówili „ty fałszywy draniu”.

robi pan karierę w świecie. Informuję pana oficjalnie, że niniejszym składam tutaj odpowiedzialność za przestrzeganie prawa, a jako sędzia ma pan obowiązek ją podjąć. W granicach tych linii jest piłka nożna... Ale wystarczy przestąpić je o krok, a będę ja. – Obejrzał się na Ridcully'ego. – Proszę patrzeć pod nogi, nadrektorze.

I odszedł, a strażnicy podążyli za nim zwartą kolumną.

– Podejrzewam, że nasz dzielny komendant ma ostatnio wiele spraw na głowie – stwierdził wesoło nadrektor Henry. Sięgnął po zegarek. – Poproszę teraz do siebie kapitanów drużyn.

– O ile wiem, jestem jednym z nich – oświadczył Ridcully.

Spośród Zjednoczonych wystąpił starszy mężczyzna.

– Joseph Hoggett z Wieprzowców, normalnie. Obecnie kapitan, za jakieś swoje grzechy.

Hoggett wyciągnął dłoń do Ridcully'ego i trzeba mu przyznać, że prawie się nie skrzywił, kiedy została zamknięta w mocnym uścisku.

– No więc, panowie – zaczął były dziekan – z pewnością znacie reguły, omawialiśmy je ostatnio całkiem często. Spodziewam się dobrej i czystej gry. Jeden długi, eee... piip z mojego gwizdka oznacza, że przerwy mam grę za złamanie zasad, zranienie albo z jakiegoś innego powodu, w owej chwili znanego tylko mnie. Jeszcze dłuższy piip, który będzie brzmiał raczej jak paarrp, oznacza koniec pierwszej połowy i czas na przekąski, po których gra rozpocznie się znowu. W czasie przerwy, o ile mi wiadomo, wystąpi uliczna orkiestra akordeonowa Ankh-Morpork, ale uważam, że takie rzeczy mają być dla nas próbą. Chcę panom przypomnieć, że od połowy zmieniacie strony. Postarajcie się też uświadomić waszym drużynom, że gol, do którego celują, nie powinien być tym, który mają za plecami. Jeśli zauważę jakieś poważne złamanie przepisów przez któregoś gracza, zostanie on usunięty z boiska. Wyraźnie dłuższy paarrp, który, jeśli o mnie chodzi, będzie trwał, dopóki starczy mi tchu, to znak zakończenia meczu. Ponadto chcę zaznaczyć, jak to wcześniej zaznaczył komendant Vimes, że w granicach tych czterech dość nierównych kredowych linii posiadam władzę ustępującą samym bogom jedynie, a i to nie na pewno. Jeśli w dowolnej chwili okaże się, że reguły są niepraktyczne, zmienię je. Zaraz zagwizdzę, a wtedy podniosę łaskę i uwolnię zakłęcie, które w granicach tych uświęconych linii nie

dopuszcza do użycia jakiegokolwiek magii, aż do zakończenia gry. Zrozumiano?

– Tak, proszę pana – zapewnił Hoggett.

– Mustrum? – rzucił znacząco były dziekan.

– Tak, tak, dobrze – burknął Ridcully. – Próbujesz do końca wykorzystać te swoje pięć minut, co? Może zaczniemy.

– Panowie, proszę ustawić drużyny do odśpiewania hymnu miasta. Panie Stibbons, znalazł pan chyba dla mnie megafon, bardzo jestem wdzięczny. – Uniósł tubę do ust i krzyknął głośno: – Panie i panowie, proszę wstać do hymnu!

Śpiewanie Hymnu Miejskiego zawsze wychodziło dosyć nierówno. Dobrzy mieszkańcy Ankh-Morpork uważali, że niepatriotyczne jest śpiewanie o tym, jakim jest się patriotą. Prezentowali raczej opinię, że ktoś śpiewający o tym, jak wielkim jest patriotą, albo coś kombinuje, albo jest Głową Państwa²¹.

Dodatkowy problem wynikał z akustyki stadionu, nieco zbyt dobrej, zwłaszcza w połączeniu z faktem, że prędkość dźwięku na jednym końcu trochę się nie zgadzała z drugim końcem. Skutki tego zjawiska pogarszały się jeszcze, kiedy obie strony próbowały zniwelować różnicę.

Te akustyczne anomalie nie miały znaczenia dla tych, którzy stali w pobliżu Mustruma Ridcully’ego. Nadrektor należał bowiem do dżentelmenów, którzy śpiewają hymn przepięknie, wyraźnie i bardzo, bardzo głośno.

– „Gdy ziele smok, gdy zmyka zwierz, myśli ma, ku Ankh-Morpork bieź” – zaczął.

Trev poruszał ustami w trybie automatycznym. Zauważył ku swemu zaskoczeniu, że Nutt stoi sztywno na baczność. Spojrzał na zwarty szereg Zjednoczonych Ankh-Morpork. Jakies pół na pół, pomyślał. Połowa to starzy kopacze, a połowa to Andy i jego kumple. W chwili, kiedy to pomyślał, spojrzał przelotnie na Andy’ego, a Andy z lekkim uśmieszkiem wskazał go palcem. Ale przecież ja nie gram, pomyślał Trev. Z powodu mojej mamy. Zerknął na wnętrze swojej dłoni. Nie było tam żadnej gwiazdy, na pewno. Zresztą, myślał, obserwując przeciwników, kiedy zaczniesz być całkiem niedobrze, to przecież sędzia jest magiem.

²¹ Czyli coś kombinuje.

– „Bojowa chwała wieńczy cudzą skroń, gotówka naszą stanowi broń” – ryczał tłum w różnych tonacjach i tempach.

Znaczy, myślał Trev, nie wyłączy chyba własnej magii, prawda?

– „Nasze są wasze hełmy i cała reszta odzieży...”.

No przecież nie zrobiliby czegoś takiego. Jedyna osoba, która mogłaby wszystko zatrzymać, gdyby źle poszło, nie popełniłaby takiego błędu. Prawda?

– „Nasi są wasi generałowie, przegra, kto na nas uderzy”.

Tak, zrobił to! Właśnie to zrobił!

– „Morporkia! Morporkia! Ducha nigdy nie traci!” – wykrzyczał Trev, by zdusić w sobie narastającą panikę.

Zrobił tak, wszyscy widzieliśmy! Trzymał własną laskę wewnątrz pola, gdzie nie można czarować.

Zerknął na Andy’ego, a Andy skinął głową. Tak, on też to wymyślił.

– „Zawładniemy tobą hurtowo, rusz nas, a będziesz płacić!”.

Na równinach Sto Lat uważa się powszechnie, że tylko łajdacy znają drugą zwrotkę własnego hymnu, bo każdy, kto traci czas, żeby nauczyć się jej na pamięć, na pewno coś knuje. Hymn Ankh-Morpork miał więc drugą zwrotkę świadomie napisaną jako „na, na, na”, z wtrąconymi z rzadka sensownymi wyrazami, które rozpaczliwie próbowały utrzymać się na powierzchni – zgodnie z założeniem, że przecież tak właśnie by brzmiała. Trev słuchał jej, cierpiąc nawet bardziej niż zwykle.

Wszyscy jednak dołączyli do radosnego chóru przy ostatniej linijce, którą znał każdy:

– „Zawładniemy tobą hurtowo! Kredyt, gdy się należy!”.

Glenda, z ręką opartą na piersi tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć, zaryzykowała spojrzenie na to, co pewnie nadal nazywało się Królewską Łożą – akurat w chwili, kiedy Vetinari podniósł złożoną urnę i zabrzmiały wiwaty. Ankh-Morpork nie spieszyło się, by oklaskiwać Patrycjusza, ale pieniądze skłonne było oklaskiwać o każdej porze dnia i nocy. Przez chwilę Glendzie zdawało się, że w okrzykach pojawiają się dziwne vibracje dochodzące spod samego gruntu, jakby cały stadion stanowił wielkie usta... A potem to wrażenie minęło. I powrócił dzień.

– Panowie! Poroszę graczy na miejsca! – zawołał z godnością nadrektor Miedzicoła.

– Ehm... Mogę prosić na słówko, proszę pana? – Trev podszedł do niego dyskretnie, choć możliwie szybko.

– A tak, chłopak Dave’a Likely’ego – zauważył były dziekan. – Mamy tu właśnie grać w piłkę, panie Likely. Z pewnością pan zauważył.

– Tak, proszę pana, no tak, eee, ale...

– Czy ma pan jakiś poważny powód, żeby opóźnić grę? – spytał sędzia.

Trev zrezygnował.

Z kieszonki kamizelki Henry wyjął monetę.

– Mustrumie? – zapytał.

– Reszka – zdecydował nadrektor i okazało się, że błędnie.

– A zatem, panie Hoggett... Ale kto ma piłkę?

Gloing! Gloing!

Nutt chwycił piłkę w powietrzu i wręczył sędziemu.

– Ja, proszę pana.

– Ach, to ty jesteś trenerem Akademików...

– Tak, ale również graczem, jeśli zajdzie potrzeba.

– Panowie, właśnie widzicie, jak kładę piłkę na środku boiska.

To prawda, że nadrektor, znany wcześniej jako dziekan, rozkoszował się sytuacją. Cofnął się na kilka kroków, odczekał chwilę dla dramatycznego efektu, wyjął z kieszeni gwizdek i machnął nim szerokim gestem. Potem gwizdnął tak, jak potrafi jedynie człowiek jego rozmiorów. Twarz zaczęła mu drgać i poczerwieniała. Podniósł do ust megafon i ryknął:

– KAŻDY CHŁOPIEC, KTÓRY NIE PRZYNIÓSŁ STROJU, BĘDZIE GRAŁ W MAJTKACH!

I natychmiast rozległ się krzyk Myślaka Stibbonsa:

– Chcę wiedzieć, kto mu to dał!

Tłum zaryczał i dał się słyszeć śmiech cichnący w oddali i przetaczający się po ulicach, kiedy każdy słuchający w zatłoczonym mieście przekazywał te słowa dalej. Budziły takie wspomnienia, że przynajmniej dwie osoby zaczęły podrabiać usprawiedliwienia od matek.

W swojej bramce bibliotekarz podciągnął się na górną poprzeczkę, by lepiej widzieć. Charlie Barton, strażnik bramki Zjednoczonych, spokojnie zapalał fajkę. A człowiekiem mającym tego dnia największe

kłopoty na całym stadionie, może z wyjątkiem Treva, był naczelny redaktor „Pulsu”, pan William de Worde, który nie zaufał żadnemu ze swoich pracowników i sam postanowił opisać to wyjątkowe, niezwykle prestiżowe wydarzenie. Nie był tylko pewien, jak należy to robić.

Gdy zabrzmiał gwizdek, zaczął pisać:

Wódz Zjednoczonych, czy powinienem pisać „wódz”? Musi być jakieś lepsze określenie, sprawdzę to w biurze, wydaje się nie wiedzieć, co robić dalej. Nadrektor Ridcully (BF, nie, nie, później uzupełnię) kopnął mocno piłkę w stronę... no, trafiła Jimmy’ego Wilkinsa, dawniej z Kopalniaków, który chyba nie jest pewien, co z nią robić. Nie, nie, podniósł ją! Podniósł piłkę! Sędzia, którym jest były dziekan Niewidocznego Uniwersytetu, wezwał go, jak przypuszczam, na krótką powtórkę reguł tej nowej gry w piłkę.

Megafon, pomyślał de Worde. Przydałby mi się taki ogromny megafon, żeby móc mówić każdemu, co się dzieje.

Piłka została przekazana, niech się przyjrzę, numer sześćdziesiąt dziewięć, tak, wielostronnie utalentowanemu profesorowi Bengo Macaronie, który zgodnie z przepisami, z nowymi regułami, ma prawo do tego, co nazwane jest wolnym, kopnięciem z miejsca, gdzie nastąpiło ich złamanie, i już... oto biegnie Bengo Ma... to znaczy przepraszam, profesor Bengo Macarona z Niewidocznych Akademików, i... coś podobnego! Piłka przeleciała przez całe boisko na wysokości ramienia, wydając przy tym dźwięk jak kuropatwa (sprawdzić z korespondentami „Wieści Natury”, czy użyłem właściwego porównania). Trafiła pana Charlie’go „Dużego Chłopca” Bartona w żołądek z taką siłą, że wepchnęła go do siatki! Wydaje się, że to gol! Co najmniej jeden gol, moim zdaniem! Thum zerwał się na nogi, choć formalnie większość już tam była [pisał starannie, z powszechnie znanym codziennikarskim pragnieniem, by wszystko było zgodne z prawdą]. Tak, wiwatują chwilowemu bohaterowi. Pieśń płynąca z warg kibiców Akademików w ich wyjątkowej gwarze wydaje się brzmieć „Jeden Macarona, jest tylko jeden Maca-

rona, jeden Macarooo-na”²². Nie, nie... Chyba coś się dzieje. Macarona opuścił boisko i tłumaczy coś kibicom zżywieniem. Wydaje się ich pouczać. Ci, z którymi rozmawiał, wyglądają na przygaszonych.

W tym momencie jeden z asystentów wydawcy podbiegł z krótkim streszczeniem tego, co działo się po drugiej stronie boiska. De Worde pisał szybko, w nadziei że nie zawiedzie go samodzielnie wymyślone pismo stenograficzne:

Z gorącokrwistą stanowczością, charakteryzującą rodowitych Genończyków, profesor Macarona wyraźnie nalega, by wszelkie śpiewy na jego cześć uwzględniały pełne imię i nazwisko oraz listę tytułów, a teraz uprzejmie je spisuje. Krótka przerwa nastąpiła także wokół gola Zjednoczonych, gdyż koledzy z drużyny Charliego Bartona pomagają mu znaleźć fajkę, a także, jak wyszło na jaw [wydawca „Pulsu” lubił frazę „wyszło na jaw”] połówkę zapiekanki, którą, jak wyszło na jaw, spożywał w momencie trafienia gola. Wydaje się, że – podobnie jak wielu z nas – nie docenił szybkości nowej piłki.

A teraz piłka znowu znajduje się pośrodku boiska, gdzie trwa kolejna dyskusja.

– Przecież właśnie trafili gola! – rzekł pan Hoggett.

– Tak, rzeczywiście – przyznał były dziekan, sapiąc delikatnie. – To znaczy, że mają prawo do kopnięcia.

– To znaczy, że my nie, a przecież właśnie straciliśmy gola!

– Słusznie, ale tak stanowią reguły.

– Ale to niesprawiedliwie! My chcemy kopać, oni kopnęli ostatni!

– Nie chodzi o kopanie, panie Hoggett, tylko o to, co pan z nim robi.

Nadrektor Ridcully biegnie w stronę piłki. Odwraca się pospiesznie i kopie w stronę własnego gola.

²² Siedzący wśród publiczności uniwersytecki mistrz muzyki sięgnął po notes i zaczął pisać pospiesznie: *Macarona Unum Est. Certes Macarona Est*. Nie mógł się doczekać powrotu do chóru.

Redaktor pisał jak szalony.

Prawie cała drużyna Zjednoczonych biegnie, by wykorzystać to niezwykle faux pas, nie do końca uświadomieni [redaktor lubił też słowo „uświadomiony”, o wiele lepsze niż „świadomy”], ale słynny bibliotekarz Niewidocznego Uniwersytetu właśnie...

Przerwał, zamrugał i chwycił jednego z asystentów, który zjawił się właśnie z pełną listą tytułów Bengo Macarony. Pchnął go na krzesło.

– Zapisuj wszystko, co powiem! – zawołał. – I mam nadzieję, że stenografujesz lepiej ode mnie, bo jeśli nie, od rana jesteś zwolniony! To szaleństwo!

Zrobili to celowo. Mogę przysiąc, że zrobili to celowo. Kopnął piłkę prosto do swojego strażnika gola, wiedząc, mogę się założyć, że bibliotekarz zdoła wykorzystać znaną sprawność swego torsu i ramion, by rzucić piłkę przez niemal całą długość boiska. I oto jest Bengo Macarona, mniej czy bardziej niedostrzeżony przez przeciwników, pędzący ku pociskowi w chwili, gdy Zjednoczeni wypływają ze swej cytadeli, jak nieszczęśni Maranidzi w czasie pierwszej wojny prodostiańskiej [redaktor lubił myśleć o sobie jako klasycznym erudycie].

– Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem! – krzyknął do swego niemal ogłuszonego asystenta. – Mają całych Zjednoczonych w niewłaściwym miejscu!

Oto pędzi Macarona. Piłka wydaje się umocowana do jego stóp. A przed nim wyrasta chyba jedyny członek pechowego zespołu Zjednoczonych, który wie, co się dzieje. Pan Charles „Duży Chłopiec” Barton pomimo to wybiega chwiejnie z wylotu bramki niczym Gigant Octopal, gdy zoczył hordy Mormidonów.

Redaktor zamilkł, zapominając o wszystkim. Odległość między dwoma graczami malała z każdą chwilą.

– No nie – powiedział.

Tłum krzyknął głośno.

– Co się stało? – zapytał asystent. Jego ołówek zawisł nad kartką papieru.

– Nie widziałeś?! Nie widziałeś?! – wołał redaktor. Włosy miał rozczochrane i wyglądał jak człowiek bliski szaleństwa. – Macarona obiegł go dookoła! Nie mam pojęcia, jak utrzymał piłkę przy nogach!

– Chodzi panu o to, że go ominął? – spytał asystent.

Gwar tłumu jarzyłby się, gdyby był widzialny.

– Następny gol! – Redaktor osunął się na siedzenie. – Dwa gole w czasie dwóch minut! Nie, nie ominął, tylko przebiegł dookoła niego! Dwa razy! I przysięgam, na końcu biegł jeszcze szybciej.

– A tak – rzucił asystent, wciąż pilnie notując. – Byłem kiedyś na wykładzie o takich zjawiskach. Mówili o tych rzeczach, które nie trafiają żółwia świata. To jakby efekt kuli bilardowej: mógł uzyskać dodatkową prędkość, kiedy okrążał potężny korpus strażnika gola.

– Słuchaj, jak ryczy tłum – polecił redaktor. – I notuj wszystko.

– Tak, oczywiście. Brzmi to tak: Jeden profesor Macarona, dr thau (Rosp), dr maus (Chubb), magistaludorum (QIS), octavium (Hons), PHGK (Blit), DMSK, Mack, dr thau (Miedz), wizytujący profesor kurczaków (Uniwersytet Jahna Zdobywcy [2 piętro, Budynek Pakowania Krewetek, Genoa]), Primo Octo (Deux), wizytujący profesor przemian blitowospamowodziowych (Al Khali), KCbfJ, zwrotny profesor teorii blitu (Unki), dr thau (Unki), Didimus Supremius (Unki), emerytowany profesor determinizmu substratu blitu (Chubb), kierownik Katedry Blitu i Studiów Muzycznych (Quirmska Pensja dla Młodych Panien), jest tylko jeden profesor Macarona, dr thau (Rosp), dr maus (Chubb), magistaludorum (QIS), octavium (Hons), PHGK (Blit), DMSK, Mack, dr thau (Miedz), wizytujący profesor kurczaków (Uniwersytet Jahna Zdobywcy [2 piętro, Budynek Pakowania Krewetek, Genoa]), Primo Octo (Deux), wizytujący profesor przemian blitowospamowodziowych (Al Khali), KCbfJ, zwrotny profesor teorii blitu (Unki), dr thau (Unki), Didimus Supremius (Unki), emerytowany profesor determinizmu substratu blitu (Chubb), kierownik Katedry Blitu i Studiów Muzycznych (Quirmska Pensja dla Młodych Panien), jeden profesor Bengo Macarooooona, dr thau (Rosp), dr maus (Chubb), magistaludorum (QIS), octavium (Hons),

PHGK (Blit), DMSK, Mack, dr thau (Miedz), wizytujący profesor kurczaków (Uniwersytet Jahna Zdobywcy [2 piętro, Budynek Pakowania Krewetek, Genoa]), Primo Octo (Deux), wizytujący profesor przemian blitowospamowodziowych (Al Khali), KCbfl, zwrotny profesor teorii blitu (Unki), dr thau (Unki), Didimus Supremius (Unki), emerytowany profesor determinizmu substratu blitu (Chubb), kierownik Katedry Blitu i Studiów Muzycznych (Quirmska Pensja dla Młodych Panien), jest tylko jeeeddeen profesor Bengo Macaroonaaa, dr thau (Rosp), dr maus (Chubb), magistaludorum (QIS), octavium (Hons), PHGK (Blit), DMSK, Mack, dr thau (Miedz), wizytujący profesor kurczaków (Uniwersytet Jahna Zdobywcy [2 piętro, Budynek Pakowania Krewetek, Genoa]), Primo Octo (Deux), wizytujący profesor przemian blitowospamowodziowych (Al Khali), KCbfl, zwrotny profesor teorii blitu (Unki), dr thau (Unki), Didimus Supremius (Unki), emerytowany profesor determinizmu substratu blitu (Chubb), kierownik Katedry Blitu i Studiów Muzycznych (Quirmska Pensja dla Młodych Panien). Ale przecież był chyba na spalonym?

– Jak się zdaje, na to właśnie skarżą się pechowi wojownicy Zjednoczonych – poinformował redaktor. – Zgromadzili się wokół sędziego... Ach, cóż bym dał, żeby być muchą na tej ścianie!

– Tam nie ma ściany, proszę pana.

– Zdaje się... – Redaktor przerwał. – Kto to taki?

– O co chodzi?

– Popatrz na trybuny! Trybuny dla klas wyższych, muszę dodać, na które nie zostaliśmy zaproszeni.

Słońce uprzejmie wykorzystało okazję, by wysunąć się zza chmur i rozległa misa Hippo wyglądała jak wypełniona światłem.

– To ta mikrokolczugowa dziewczyna, proszę pana – stwierdził asystent.

Nawet niektórzy z protestujących graczy Zjednoczonych patrzyli teraz na trybuny. Aż kłula w oczy, które mimo to za nią podążały.

– Mam jej obrazek na ścianie w sypialni – wyznał asystent.

– Wszyscy jej szukali. – Odkasznął. – Podobno nie obciera, wie pan...

Obecnie wszyscy gracze na boisku, z wyjątkiem nieszczęsnego Charliego Bartona, który doznał zawrotów głowy, tłoczyli się wokół sędziego.

– Powtarzam – tłumaczył były dziekan. – To był absolutnie poprawny gol. Odrobinę nieuprzejmy i na pokaz, jednakże całkowicie się mieści w ramach reguł. Widzieliście, jak trenują chłopcy z Niewidocznych. Gra toczy się szybko. Nie wysyła nikomu sekara z wiadomością, co będzie się działo dalej.

– Elementarnym błędem jest założenie – dał się słyszeć głos rozbrzmiewający nieco niżej – że nawet najmężniejszy strażnik bramki potrafi wytrwać samotnie wobec całej potęgi drużyny przeciwnej.

To był Nutt.

– Panie Nutt, nie powinien pan chyba im tego mówić – upomniał go Ridcully.

Pan Hoggett był wyraźnie przygnębiony.

– Widzę, że musimy się jeszcze wiele nauczyć – stwierdził.

Trev odciągnął Nutta na bok.

– I tutaj zaczyna się robić niedobrze – oświadczył.

– Proszę nie przesadzać, panie Trev. Doskonale sobie radzimy. W każdym razie Bengo sobie radzi.

– Nie patrzę na niego. Patrzę na Andy’ego, a on patrzy na Benga. Oni się nie spieszą. Czekają, aż starzy kopacze wpakują się w paskudną sytuację, a wtedy przejmą grę.

W tym momencie Trev otrzymał krótką lekcję tego, czemu magowie są magami.

– Mam pewną skromną propozycję, jeśli sędzia zechce mnie wysłuchać – odezwał się Ridcully. – Wprawdzie my na Niewidocznym Uniwersytecie jesteśmy całkowitymi nowicjuszami, ale mieliśmy więcej czasu, by opanować tę nową piłkę nożną, niż nasi obecni przeciwnicy. Dlatego proponuję, by oddać im jeden z naszych goli.

– Nie może pan tego zrobić, nadrektorze! – zaprotestował Myślak Stibbons.

– Czemu? Czy to wbrew regułom? – Głos Ridcully’ego nabrał głębi,

a ton stał się wyraźnie bardziej pompatyczny. – Pytam pana, czy sportowy duch, przyjaźń i wielkoduszność są wbrew regułom?

Pod koniec tego zdania nadrektor był już słyszalny prawie do samych granic stadionu.

– No więc oczywiście nic tego nie zakazuje. Podobnie jak żaden przepis nie zakazuje prania bielizny w czasie meczu... A to dlatego, że nikt by tego nie zrobił!

– Zgoda, panie Hoggett? Jeden z naszych goli należy do was. Wynik jest zatem równy.

Hoggett jak ogłupiały spoglądał na swoich graczy.

– No więc... Skoro pan nalega...

– Nawet nie chcę słyszeć o odmowie – zapewnił serdecznym tonem Ridcully.

– Na wszystkich bogów, dlaczego on to zrobił? – zdumiał się redaktor naczelny „Pulsu”, kiedy zdyszany goniec przyniósł mu wieści.

– To był niezwykle wspaniałomyślny gest.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytał nadrektora Myślak.

– Nie mam nic do ukrycia, Stibbons. Wspaniałomyślny do przesady, taki właśnie jestem. To nie moja wina, że nie wiedzą, iż przewyższamy ich pod każdym względem. Teraz przez resztę meczu nie zdołają o tym zapomnieć.

– To raczej... sprytne, nadrektorze.

– Rzeczywiście, prawda? Jestem całkiem zadowolony. I w dodatku znowu kopie my pierwsi. Nic dziwnego, że to taka popularna gra.

– To był niezwykle psychologiczny manewr – mówił Nutt do Treva, kiedy wracali do linii bocznej. – Nieco okrutny, być może, ale pomyślowy.

Trev milczał. Zabrzmiął przenikliwy dźwięk gwizdka, a zaraz po nim wrzask sędziego:

– ODOBINA GRADU CI NIE ZASZKODZI, MÓJ CHŁOPCZE!
TO ZDROWE I WYJDZIE CI NA DOBRE!

– To magia – zauważył Trev. – Czy powinna się dziać?

– Nie – odpowiedział idący za nim Myślak. – To tylko opanowanie przez ducha.

– W tej grze chodzi przede wszystkim o opanowanie i ducha, panie

Trev – dodał Nutt.

Trev spojrzał w stronę trybun. Widział tam migotliwą postać Juliet, ledwie o kilka stóp od samego Vetinariego, mającą po bokach Glendę i Pepe. To się nigdy nie uda, prawda? – pomyślał. Ona i chłopak ze świecowych kadzi?

Nic z tego nie będzie. Nie teraz.

I wtedy Bengo krzyknął i zdawało się, że każdy głos na stadionie przyłączył się do tego wspólnego:

– OOOOOCH!

I znowu zabrzmiał gwizdek.

– Co się stało? – spytał redakcyjny asystent.

– Nie mam pewności. Znowu podali piłkę Macaronie, a potem on się zderzył z dwójką graczy Zjednoczonych i wszyscy padli na ziemię.

* * *

Nutt, który pierwszy dobiegł do leżącego Macarony, spojrzał ponuro na Treva.

– Przemieszczone obie rzepki – powiedział. – Niech dwóch ludzi znieś go z boiska i dostarczy do Lady Sybil.

Były dziekan zmierzył graczy wzrokiem.

– Cóż się tu wydarzyło, panie Shank? – zapytał. Pot kapał mu z brody.

Andy na moment unióś palec do grzywki.

– No więc, proszę pana, pędziłem naprzód, żeby zgodnie z regułami zatrzymać pana Macaronę. Nie miałem pojęcia, że Jimmy Łyżka, ten tutaj, wpadł na taki sam pomysł i nadbiegał od drugiej strony, i nagle wszyscy leżeliśmy razem i toczyliśmy tyłki przez czubki, przepraszam za mój klatchiański.

Trev spojrzał na niego gniewnie.

Twarz Andy’ego zdradzała wszystko. Kłamał. Wiedział, że kłamie. Wiedział, że wszyscy inni wiedzą, że kłamie, i się nie przejmował. Właściwie sytuacja go nawet bawiła. A buty Andy’ego wydawały się tak ciężkie, że można by zacumować do nich łódź.

- Złapali go jak mięso w sandwiczu – poskarżył się sędziemu Trev.
- Możesz to jakoś uzasadnić, młody człowieku?
- No przecież widzi pan, co się stało temu biedakowi.
- No tak, ale czy masz jakiś dowód zmowy?

Trev spojrział tępo.

– Możesz udowodnić, że specjalnie się umówili? – podpowiedział szeptem Nutt.

– Ktokolwiek coś wie? – spytał sędzia, patrząc na graczy. Nikt nie wiedział. Trev zastanawiał się, ilu mogłoby wiedzieć, gdyby nie fakt, że Andy, niewinny jak rekin, stał obok. – Jestem tu sędzią, panowie, i mogę osądzać tylko to, co widziałem. A nie widziałem nic.

– Tak, bo specjalnie o to zadbali – przekonywał Trev. – Zresztą niech pan posłucha publiczności! Oni wszyscy widzieli!

– Popatrz, mają buty, którymi można korę zdzierać – zaprotestował Ridcully.

– Istotnie, Mustrumie, to znaczy panie kapitanie, przepraszam. Ale jak dotąd nie ma reguł stanowiących, jakie buty można nosić, natomiast takie buty były tradycyjnie używane w meczach kopania piłki.

– To narzędzia mordu!

– Doskonale rozumiem, do czego zmierzasz, ale czego właściwie ode mnie oczekujesz? – spytał Henry. – Mam podejrzenie, że jeśli teraz przerwę mecz, ty i ja nie wyjdziemy stąd żywi, bo nawet jeśli uda nam się ująć przed gniewem tłumu, to z pewnością nie przed gniewem Vetinariego. Mecz będzie kontynuowany. Niewidoczni Akademicy mogą wystawić rezerwowego gracza, a ja... niech popatrzę... – Wyjął notes. – A tak. Przyznaję wolne kopnięcie z tego miejsca, gdzie nastąpiło owo nieszczęśliwe zdarzenie. Chcę też dodać, że będę bacznie obserwował przyszłe takie „wypadki”. Panie Hoggett, mam nadzieję, że wyjaśni pan to dobitnie swojej drużynie.

– Nie, to przegięcie! – wykrzyknął Trev. – Zdjęli naszego najlepszego gracza, a pan pozwala im odejść z uśmiechem?

Ale sędzią był przecież dawny dziekan, człowiek zaprawiony w bezpośrednich starciach z Mustrumem Ridcullym. Spojrzał zimno na Treva, po czym demonstracyjnie zwrócił się do nadrektora.

– Mam nadzieję, kapitanie, że zechce pan przypomnieć swoim za-

wodnikom, iż moje decyzje są ostateczne. Zarządzam pięć minut przerwy, by mógł się pan tym zająć, i niech paru z was znieśie z boiska biednego profesora Macaronę. Rozejrzyjcie się też za jakimś lekarzem.

– Akurat ma pan tu takiego! – zahuczał głos za jego plecami.

Odwrócili się wszyscy. Potężna postać w cylindrze, z niewielką walizką w ręku, skinęła im głową.

– Doktor Lawn... – zdziwił się Ridcully. – Nie spodziewałem się pana tu spotkać.

– Naprawdę? Za skarby świata nie opuściłbym tego meczu. No dobra, zaciągnijcie go do tamtego rogu, to go obejrzę. Rachunek wyślę do pana, Mustrumie.

– Może woli go pan przenieść w jakieś spokojniejsze miejsce? – zaproponował sędzia.

– Nie ma obawy. Chcę widzieć mecz.

– Ujdzie im to na sucho – stwierdził Trev, kiedy wracali za linię. – Wszyscy wiedzą, że ujdzie im to na sucho.

– Nadal mamy resztę drużyny, panie Trev – odparł Nutt, sznurowując buty. Oczywiście, sam je sobie uszył. Wyglądały jak rękawiczki na stopy. – I mnie, oczywiście. Jestem pierwszym rezerwowym. Obiecuję, że się bardzo postaram, panie Trev.

* * *

Dla bibliotekarza było to jak dotąd nudne popołudnie, prócz jednej krótkiej chwili w pełnym blasku. Między słupkami nic się właściwie nie działo i zaczynał być głodny, a zatem z radością zaobserwował obecność przed bramką dużego banana. Później zgodzono się, że tajemniczo pojawiający się owoc w kontekście meczu powinien być przyjmowany z pewną ostrożnością. Bibliotekarz jednak był głodny, a przed nim leżał banan, więc metafizyka sytuacji wyglądała na solidną.

Zjadł go.

Glenda na trybunie zastanawiała się, czy jest jedyną osobą, która zauważyła ten żółty owoc w czasie lotu, a potem zobaczyła patrzącą ku niej z tłumy, szeroko uśmiechniętą panią Atkinson, matkę Toshię, która

sama była rodzajem broni niekierowanej. Każdy, kto kiedykolwiek przebywał w Ścisiku, znał ją jako wykonawczynię wszelkiego rodzaju pomysłowych ataków. Zawsze uchodziły jej na sucho, ponieważ nikt w Ścisiku nie uderzyłby starszej pani, zwłaszcza stojącej obok Toshiery.

– Przepraszam – powiedziała Glenda i wstała. – Muszę zejść tam na dół, ale zaraz.

– Nie ma szans, skarbie – stwierdził Pepe. – Stoją ramię przy ramieniu. Półtora Ścisiku.

– Uważaj na Juliet – rzuciła Glenda. Wychyliła się i stuknęła najbliższego widza w ramię. – Muszę jak najszybciej dostać się na dół. Pozwoli pan, że przeskoczę?

Spojrzał poza nią na błyszczącą postać Juliet. – Jasna sprawa, jeśli twoja koleżanka da mi całusa.

– Nie, ale ja mogę.

– Ehm, nie rób sobie kłopotu, panienko, ale schodź. Daj rękę.

Zejście okazało się rozsądnie szybkie. Przekazywano ją sobie z rąk do rąk do wtóru licznych sprośnych żartów, przyjaznych wygłupów oraz – ze strony Glendy – głębokiej satysfakcji, że włożyła swoje najobszerniejsze i najbardziej nieprzenikliwe majtki²³.

Potem, łokciami i kopniakami torując sobie drogę, dotarła do gola w chwili, gdy banan właśnie został pochłonięty. Stała zdyszana przed bibliotekarzem, a on uśmiechnął się do niej szeroko, przez chwilę jakby się zamyślił i runął na plecy.

Na trybunie lady Margolotta zwróciła się do Vetinariego.

– Czy to element gry?

– Obawiam się, że nie.

Lady Margolotta ziewnęła.

– Ale przynajmniej nie jest tak nudno. Więcej czasu poświęcają dyskusjom niż grze.

Vetinari uśmiechnął się lekko.

– Owszem, madame. Wygląda na to, że piłka nożna jest całkiem podobna do dyplomacji: krótkie okresy walki, a po nich długie okresy negocjacji.

²³ Uczucie to uległo lekkiej modyfikacji, kiedy zdała sobie sprawę z faktu, że żaden z widzów nie próbował absolutnie żadnego migdalenia.

Glenda trąciła bibliotekarza.

– Halo! Dobrze się pan czuje? – Słyszała tylko bulgotanie. Zwinęła dłonie przy ustach. – Ludzie... eee, ktokolwiek niech tu przyjdzie!

Przy kolejnym chórze gwizdów oraz – ponieważ było to Ankh-Morpork – także wiwatów, ruchomy komitet – czyli to, w co obecnie zmieniał się mecz – pospieszył do gola Niewidocznych Akademików.

– Ktoś cisnął mu banana, wiem, kto to zrobił, i myślę, że był zatruty – jednym tchem wyrzuciła z siebie Glenda.

– Bardzo ciężko oddycha – zauważył Ridcully, całkiem niepotrzebnie, gdyż od chrapania dygotała bramka. Przyklęknął i przytknął ucho do piersi bibliotekarza. – Nie wydaje mi się, żeby został otruty.

– A to czemu, nadrektorze? – zdziwił się Myślak.

– Ponieważ gdyby ktokolwiek otruł naszego bibliotekarza, to choć z natury nie jestem człowiekiem pamiętliwym, postarałbym się, aby uniwersytet wytropił truciciela wszelkimi dostępnymi metodami thau-micznymi, mistycznymi i okultystycznymi, a potem uczynił jego życie nie tylko tak strasznym, jak potrafi to sobie wyobrazić, ale tak strasznym, jak ja potrafię sobie wyobrazić. I możecie mi wierzyć, panowie, że zacząłem już nad tym pracować.

Myślak rozejrzał się i zauważył Rincewind.

– Profesorze Rincewind... Był pan... to znaczy jest pan jego przyjacielem. Nie mógłby mu pan wetknąć palców w gardło albo co?

– Raczej nie – odparł Rincewind. – Jestem bardzo przywiązany do moich palców i lubię myśleć, że one też są przywiązane do mnie.

Tłum huczał coraz głośniejsze. Ludzie przyszedli tu oglądać mecz, nie debatę.

– Ale doktor Lawn wciąż tu jest – przypomniał Rincewind. – Zarabia na życie wtykaniem ręki w różne otwory. Ma talent.

– Rzeczywiście – przyznał sędzia. – Może skłonimy go do przyjęcia kolejnego pacjenta. – Zwrócił się do Ridcully'ego. – Musicie wprowadzić następnego rezerwowego.

– To będzie Trevor Likely – stwierdził nadrektor.

– Nie! – wykrzyknął Trev. – Obiecałem mamie!

– Myślałem, że należysz do drużyny – rzekł Ridcully.

– No tak, proszę pana. Tak jakby... pomagam i w ogóle... Obiecałem mamie, kiedy zginął tato. Wiem, że byłem na liście, ale kto mógł pomyśleć, że tak się to skończy?

Ridcully popatrzył w niebo.

– No cóż, panowie, wydaje mi się, że nikogo nie można prosić, by złamał obietnicę daną matce staruszce. Byłaby to zbrodnia ohydniejsza niż morderstwo. Musimy grać z dziesięcioma ludźmi. Trzeba będzie jakoś sobie radzić.

* * *

W rozklekotanej budce redaktor naczelny „Pulsu” chwycił notatnik.

– Schodzę na dół – oświadczył. – Siedzenie tutaj, na górze, jest bez sensu.

– Idzie pan na boisko?

– Tak. W ten sposób przynajmniej będę wiedział, co się dzieje.

– Nie wydaje mi się, żeby sędzia na to pozwolił.

* * *

– Nie zagraasz, Trev? – spytała Glenda.

– Przecież ci mówiłem! Ile razy mam jeszcze ludziom powtarzać? Obiecałem mamie!

– Ale należysz do drużyny, Trev.

– Obiecałem mamie.

– Na pewno by zrozumiała.

– Łatwo ci mówić. Ale nigdy się nie dowiemy, prawda?

– Niekoniecznie – zabrzmiał pogodny głos.

– O, witam, doktorze Hix! – zawołała Glenda.

– Trudno było nie słyszeć waszej rozmowy. I gdyby pan Likely wyjawiał mi, gdzie leży jego matka, a sędzia dał nam nieco swobody względem czasu, byłoby możliwe...

– Żadnych łopat w pobliżu mamy! – wrzasnął Trev. Łzy pociekły mu po policzkach.

– Wszyscy to rozumiemy, Trev – zapewniła Glenda. – Ze starymi matkami zawsze są problemy – dodała, nie myśląc właściwie, co mówi. – Jestem przekonana, że Juliet też zrozumie.

Wzięła go za rękę i wyciągnęła poza boisko. Trev miał rację. Wszystko zaczynało iść źle. Optymistyczna wiara z początku meczu szybko się rozwiewała.

– Oddał im pan jednego gola, nadrektorze – przypomniał Myślak, gdy on i Ridcully ustawili się do kolejnego starcia.

– Mocno wierzę w pana Nutta w bramce – odparł Ridcully. – I pokażę im, co spotyka ludzi, którzy próbują otruć maga.

Zadzwęczał gwizdek.

– PADNIJ I DWADZIEŚCIA POMPEK! Przepraszam, panowie, naprawdę nie rozumiem, czemu to powiedziałem...

* * *

Ludzi, którzy próbują otruć maga, spotyka – przynajmniej na krótką metę – tyle, że zyskują przewagę w meczu. Brak profesora Macarony okazał się ciosem śmiertelnym. Macarona był filarem, na którym opierała się strategia uniwersytetu. Rozzuchwaleni Zjednoczeni rzucili się do boju.

Mimo to, jak uznał redaktor naczelny „Pulsu”, który leżał obok swojego ikonografa tuż przy linii boiska, magom udawało się utrzymać pole. Pisał jak najszybciej, starając się ignorować rzadki deszcz bezustannie rzuconych na boisko opakowań po zapiekankach, pustych papierowych torebek, skórek od bananów, a od czasu do czasu także butelek po piwie. Kto teraz miał piłkę? Przyjrzał się kolumnie numerów, które zdążył sobie zapisać... Aha, no tak... Zjednoczeni przebili się na połowę boiska Niewidocznych, a tam biegł Andy Shank, człowiek pod każdym względem nieprzyjemny i... to chyba nie jest normalna procedura piłkarska... inni gracze utworzyli mur wokół niego, tak że biegł otoczony jakby żywą barierą. Nawet inni członkowie drużyny nie wie-

dzieli chyba, co się dzieje, jednak pan Shank zdołał wykonać całkiem przyzwoity strzał, fachowo pochwycony przez... pana Nutta.

Redaktor spojrział w swoje zapiski... Tak, to ten ork.

Dopisał jeszcze: „który najwyraźniej bardzo sprawnie chwytą duże, okrągłe przedmioty”. Potem jednak zawstydził się i to wykreślił. Mimo miejsca, gdzie teraz leżymy, uznał, nie jesteśmy prasą brukową.

* * *

Ork.

Nutt zatańczył tam i z powrotem przed bramką, szukając kogoś na pozycji, gdzie mógłby jakoś wykorzystać piłkę.

– Nie możesz tak czekać cały dzień, orku – powiedział Andy stojący tuż przed nim. – Niedługo musisz ją puścić, orku. Nikt ci teraz nie pomoże, orku. Podobno masz szpony. Pokaż nam szpony, orku. Rozprujesz piłkę.

– Wydaje mi się, że jest pan człowiekiem dręczonym przez wiele nierozwiązanych problemów.

– Co?

Nutt kopnął piłkę ponad głowę Andy’ego i gdzieś w tłumie, który o nią walczył, rozległo się chrupnięcie, a po nim wrzask, po którym zabrzmiał gwizdek, po którym zabrzmiało skandowanie. Zaczęło się gdzieś w rejonie pani Atkinson, ale szybko obejmowało cały stadion:

– Ork! Ork! Ork! Ork! Ork! Ork! Ork!

Ridcully podniósł się na nogi i stanął chwiejnie.

– Ci dranie mnie załatwili, Henry! – wrzasnął głosem, który był ledwie słyszalny wśród krzyku. – Kolano! Przeklęte kolano!

– Kto to zrobił? – zapytał sędzia.

– Skąd mam wiedzieć? To piekielna haratanina, całkiem jak dawne mecze! I zrób coś, żeby przestali tak krzyczeć! Nie chcemy słuchać czegoś takiego!

Nadrektor Henry podniósł megafon do ust.

– Panie Hoggett!

Kapitan Zjednoczonych przecisnął się przez ciżbę. Wydawał się

bardzo zażenowany.

– Nie panuje pan nad swoimi fanami?

Hoggett wzruszył ramionami.

– Przykro mi, proszę pana, ale co mogę zrobić?

Henry rozejrzał się po Hippo. Co ktokolwiek mógłby zrobić? To był motłoch. Ścisk. Nikt nim nie kierował. Nie miał tyłka do skopania, dłoni do uderzenia linijką ani nawet adresu. Po prostu był tam i krzyczał, bo wszyscy krzyczeli.

– W takim razie może panuje pan przynajmniej nad własną drużyną?
– zapytał.

Ku jego zaskoczeniu Hoggett spuścił głowę.

– Nie całkiem, proszę pana. Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda.

– Jeszcze jeden taki wypadek, a przerwę mecz. Sugeruję, Mustrumie, żebyś opuścił pole gry. Kto jest rezerwowym kapitanem?

– Ja! – odparł Ridcully. – Ale w tej sytuacji mianuję moim zastępcą pana Nobbsa.

– Ale nie Nobby’ego Nobbsa?! – wykrzyknął były dziekan.

– Żadnego pokrewieństwa – zapewnił niezwykle pośpiesznie pedel Nobbs.

– No, wreszcie jakiś dobry wybór – westchnął Trev. – Nobbs jest w głębi serca kopaczem.

– Ale miało nie być tego rodzaju kopania – stwierdziła Glenda. – I wiesz co? – dodała, podnosząc głos, by usłyszał ją wśród żelaznego ryku tłumu. – Cokolwiek myśli stary dziekan, nie może teraz przerwać gry. Stadion wyleci w powietrze!

– Tak myślisz?

– Posłuchaj tylko... Tak, myślę, że powinieneś się stąd wynieść.

– Ja? Nie ma szans.

– Ale mógłbyś się na coś przydać i wyprowadzić Juliet. Wystarczy do Vimesa i jego ludzi. Założę się, że czekają zaraz za bramą. Zrób to teraz, póki jeszcze możesz zejść ze schodów. Nie dasz rady, kiedy znów zaczną grać.

Kiedy odszedł, przez nikogo niezauważona Glenda przeszła do linii końcowej, do niewielkiego obszaru, gdzie doktor Lawn trzymał straż nad swoimi pacjentami.

- Przyniósł pan ze sobą tę małą walizeczkę, którą zwykle pan nosi?
- Tak.

– Chyba będzie panu potrzebna większa. Jak się czuje profesor Macarona?

Profesor leżał na wznak i z wyrazem spokojnej radości na twarzy patrzył w niebo.

– Poradziłem z nim sobie dość łatwo – wyjaśnił doktor. – Chociaż w najbliższym czasie na pewno nie zagra. Dałem mu odrobinę czegoś na poprawę nastroju. Poprawka: dałem mu dużo czegoś na poprawę nastroju.

– A bibliotekarz?

– Ściągnąłem dwóch chłopaków, żeby mi pomogli odwrócić go głową w dół. Mocno wymiotował. Wciąż jest trochę zamroczony, ale chyba nie będzie z nim źle. Rzygał jak papuga²⁴.

– Nie tak to powinno wyglądać, wie pan – rzekła Glenda, czując, że powinna bronić piekielnej harataniny.

– Zwykle nie wygląda – przyznał doktor.

Obejrzeni się, słysząc zmianę tonacji hałasu. Rozmigotana Juliet schodziła po schodach, a cisza podążała za nią jak zakochany kundel. Podobnie jak Pepe oraz uspokajający ogrom madame Sharn, która mogła posłużyć za dogodną barykadę, gdyby Hippo zmieniło się we wrzący tygiel. W porównaniu z nią wlokący się z tyłu Trev wyglądał jak spóźniona refleksja.

– No dobrze, moja droga, o co tu chodzi? – zapytał Pepe.

– Nigdzie nie pójde – oświadczyła Juliet. – Nie, dopóki Trev jest tutaj. Pepe mówi, że on wygra ten mecz.

– Mówiłeś coś takiego? – zdziwiła się Glenda.

– On wygra. – Pepe mrugnął porozumiewawczo. – Ma w dłoni gwiazdę. Chcesz zobaczyć, jak to robi, panienko?

– Co ty kombinujesz? – burknął gniewnie Trev.

– Och, jestem trochę iluzjonistą. Albo może wróżką chrzestną.

– Pepe szerokim gestem wskazał cały stadion. – Widzisz tych ludzi?

²⁴ Według „Indeksu ptasich mdłości” Fletchera mdłości papuzie zajmują piątą pozycję w tabeli „Chciałbym umrzeć”. Najwyższy poziom mdłości dręczy wielkiego zaczesanego orla, który potrafi wymiotować na trzy kraje równocześnie.

Ich przodkowie wrzeszczeli, by zobaczyć zabijających się nawzajem ludzi albo bestie rozdzierające na strzępy porządnych gości. Ludzi z włóczyniami walczących z ludźmi z sieciami i tego rodzaju paskudne widowiska.

– A co niedzielę organizują tu wozowe wyprzedaże – dodała Glenda.

– Zawsze było tak samo – stwierdził Pepe. – To jedna wielka istota. Nigdy nie umiera. Płacze i wrzeszczy, kocha i nienawidzi przez pokolenia. Nie można jej oswoić ani powstrzymać. Tylko dla ciebie, moja panno, i dla duszy pana Treva mam zamiar rzucić jej kość. To potrwa moment.

Jego szczupłą, nieco pajęczą sylwetką zniknęła na schodach w chwili, gdy rozległ się gwizdek. Glenda rozpoznała wykopującego piłkę pedla Nobbsa – ale Ridcully popełnił błąd, zakładając, że ktoś tak wielki jak on jest też tak samo mądry. Wtedy bowiem się zaczęło – znowu wróciła dawna gra. Zjednoczeni pędzili po boisku, a starzy kopacze odsuwali się z drogi armii Andy’ego, sunącej w stronę gola Akademików. Kopniak trafił Nutta w pierś, uniósł w powietrze i cisnął w głąb bramki. Zabrział gwizdek, zaraz potem:

– NIE DOTYKAJ TEGO, CHŁOPCZE, NIE WIESZ, GDZIE TO BYŁO WCZEŚNIEJ! – A następnie: – Naprawdę bardzo za to przepraszam, nie wiem, czemu tak się dzieje.

A później... absolutna cisza. Którą przerwał czyjś głos:

– Likely. Likely! Likely!

Odezwał się na trybunie, mniej więcej w miejscu, gdzie zniknęła Pepe.

Bestia zapomniała nazwy „ork”, ale bez wątplenia pamiętała nazwisko „Likely”, którym tak często się karmiła, które zrodziła i pożarła, nazwisko będące samą piłką nożną, sercem bestii. A tutaj, na tym stadionie, to nazwisko było jak zaklęcie.

– LIKELY! LIKELY! LIKELY!

Nie było chyba dorosłego mężczyzny, który go nie widział przy piłce. Był legendą. Nawet po tylu latach jego nazwisko przecinało inne więzy lojalności. O nim opowiadało się swoim wnukom. Mówiło się, jak leżał na ulicy, jak krwawił, może też jak zanurzyło się chusteczkę w jego krwi i zachowało na pamiątkę.

– Likely! – zaintonował baryton madame Sharn.

– Likely – wyszeptała Glenda, a potem krzyknęła: – LIKELY!

Widziała drobną postać biegnącą wzdłuż szczytu trybun. Za nią rozdziło się skandowanie.

Łzy ciekły Trevowi po twarzy. Glenda bezlitośnie spojrzała mu prosto w oczy.

– Likely! Likely!

– Ale mama... – szlochał Trev.

Wtedy Juliet pochyliła się i pocałowała go, i na moment łzy stały się srebrem.

– Likely?

Trev zaciskał i prostował palce, słuchając ryków tłumu. Potem tak jakby wzruszył ramionami. Z kieszeni kurtki wyjął swoją puszkę i wręczył ją Glendzie. Odwrócił się w stronę boiska.

– Przepraszam, mam – powiedział, zdejmując kurtkę. – Ale to jest piłka. Tylko że nawet nie mam koszulki.

– O tym pomyśleliśmy, kiedy były szyte – uspokoiła go Glenda. Wyjęła jedną z głębin swojej torby.

– Numer cztery... To numer mojego ojca.

– Tak – przyznała Glenda. – Wiemy. Posłuchaj, jak krzyczą.

Trev wyglądał jak ktoś, kto rozpaczliwie szuka szansy ucieczki.

– Nigdy nawet nie trenowałem z nową piłką. Przecież mnie znasz, zawsze miałem puszkę.

– To piłka. Tylko piłka – pocieszył go Nutt. – Od razu pan się zorientuje, o co chodzi.

Podszedł były dziekan.

– No cóż, to bardzo piękna scena z odrobiną właściwego patosu, panie i panowie, ale pora już wznowić mecz, więc byłbym wdzięczny, gdyby wszyscy niegrający wyszli poza linie.

Musiał krzyczeć, by usłyszeli go ponad skandowaniem tłumu. Trev zostawił Nutta przy голу.

– Proszę się nie martwić, panie Trev. – Ork uśmiechnął się szeroko.

– Kiedy ja bronię, a pan strzela, nie możemy przegrać. Drugi raz już mnie tak nie dostaną. – Zniżył głos i chwycił Treva za ramię. – Kiedy na tym końcu zrobi się gorąco, proszę pędzić jak smród do tamtego, a ja do-

pilnuję, żeby pan dostał piłkę.

Trev kiwnął głową i do wtóru entuzjastycznego ryku tłumu wszedł na murawę.

Redaktor „Pulsu” opisywał to później tak:

W tym momencie Zjednoczeni poczuli chyba, że mają działającą strategię, i wszystkie siły pchnęły na połowę Akademików, do bójki, nad którą sędzia najwyraźniej nie potrafił zapanować.

Dzielnym orkiem, strażnikiem gola, także dobrze pojął swoją lekcję i dwa lub trzy razy uratował sytuację wspianymi obronami; przy którejś kopnął piłkę – naszym zdaniem – prosto w głowę jednego z kłębiących się przeciwników, ogłuszając go, a potem chwytając odbitą piłkę, którą rzucił sobie na but i posłał daleko na drugą połowę, gdzie Trevor Likely, syn słynnego piłkarskiego bohatera, pognął na łeb, na szyję w stronę gola. Siedział tam, pan Charlie Barton, któremu dostarczono krzesło, stolik, obiad oraz dwóch rosyjskich obrońców, a ich funkcją było najwyraźniej dopilnowanie, by nikt nie przeszedł.

Na całym stadionie zamilkły oddechy, gdy młody paladyn wystrzelił potężnie, niestety chybiając o kilka cali; piłka wstrząsnęła jedynie drewnem bramki i odbiła się w stronę obrońców. Niezrażony Likely ograł ich niczym człowiek opętany i znowu podniósł się duch, kiedy obaj obrońcy weszli sobie wzajemnie w drogę w stopniu dostatecznym, by chłopak mógł kopnąć raz jeszcze, a skórzana kula ze świstem pomknęła ku wyznaczonemu celowi.

Wasz korespondent jest przekonany, że nawet kibice Zjednoczonych jęknęli razem ze wszystkimi, kiedy strzał znowu nie trafił tam, gdzie powinien. Tym razem piłka odbiła się niemal do stóp H. Capsticka, który nie tracąc czasu, posłał ją z całych sił na połowę Akademików, zanim zdążyła narobić większych szkód.

I znowu niestrudzony pan Nutt odparł kilka ataków, podczas gdy żalosne resztki obrony chłopców z Uniwersytetu wykazały, że sprawność w używaniu czarodziejskiej różdżki nie na wiele się przyda, jeśli człowiek nie potrafi używać nóg.

W tym momencie mistrz czarnych sztuk, dr J. Hix, został usunięty z boiska, kiedy wielokrotnie powtarzany okrzyk widzów „Co to za łajdak w

czarnym?!” zwrócił uwagę sędziego na jego próby dokonania zamachu na F. Brisketa z cieszących się złą sławą Chłopców Brisketów, przy użyciu wysysającego dusze sztyletu Zabójczej Wampirzej Królowej Pająków. Który, jak wyszło na jaw, nie był magiczny ani też wykonany z żelaza; okazał się jedną z licznych zabawek dostępnych w sklepie Boffo – najlepsze kostiumy i sztuczki, przy ulicy Dziesiątego Jajka. Wykrzykując najwyraźniej przerażające klątwy na temat statutu uczelni, dr Hix musiał być siłą zwleczony z boiska przez członków własnej drużyny, pozostawiając naszych walecznych magów w jeszcze bardziej uszczuplonym stanie, prawdopodobnie żałujących, że nie mają czarodziejskiego dywanu, by ich stamtąd zabrał.

Tyrada doktora Hiksa i jego próby pociągnięcia za sobą murawy zyskały im przynajmniej trochę czasu. Glenda wbiegła na boisko i podeszła do rozczochranego, załamanego Treva.

– Co się stało, Trev? – spytała. – Miałeś gola przed sobą. Miałeś go już w ręku, no, w każdym razie na bucie.

– Ona nie robi tego, czego od niej chcę.

– Powinieneś ją zmusić, żeby robiła. To tylko piłka.

– No tak, próbuję się nauczyć, ale tyle się dzieje...

– No, w każdym razie prawie ci się udało. Jeszcze nie przegraliśmy. To dopiero pierwsza połowa.

Kiedy drużyny wróciły do gry, redaktor „Pulsu” napisał:

Gracze w szpiczastych kapeluszach odzyskali nieco ducha, a kapitan Nobbs poprowadził skoordynowany atak, próbując po raz kolejny przeszkodzić Charliemu Bartonowi w spożywaniu obiadu. Jednak ku powszechnemu zdumieniu syn Dave’a Likelyego nadal wydawał się tylko pobieżnie zaznajomiony ze sztuką strzelania goli. Sprawiał wrażenie, jakby jedyną szansą wprowadzenia piłki do bramki było dla niego zapakowanie jej i przesłanie pocztą.

I wtedy, ku powszechnemu zaskoczeniu, zespół okultystyczny wykazał, że lepiej gra w bilard niż w piłkę. Kolejny z potężnych, ale niecelnych strzałów Likelyego raz jeszcze odbił się od bramki i piłka trafiła w głowę profesora Rincewinda, który w owej chwili biegł w przeciwnym kierunku.

Znalazła się poza bramką, zanim ktokolwiek, nie wyłączając Charliego, zdążył się zorientować.

To zyskało drużynie oklaski, ale tylko dlatego że mecz – w naszej opinii – zaczął przypominać teatralną komedię. Niestety, nie było nic komicznego w fakcie, że w różnych częściach Hippo wybuchały bójki między rywalizującymi grupami kibiców, bez wątpienia zainspirowane niektórymi żenującymi występami na boisku.

Kiedy obie drużyny przeszły lub pokuśtykały na miejsca, sędzia wezwał do siebie kapitanów.

– Panowie, nie jestem pewien, co tu właściwie robimy, ale jestem absolutnie pewien, że nie jest to prawdziwa piłka nożna i w późniejszym terminie spodziewam się dochodzenia. A tymczasem, zanim znów ktoś zostanie zraniony, a w szczególności zanim tłum zacznie demolować stadion, informuję, że najbliższy trafiony gol będzie ostatnim, mimo że nie zakończyła się jeszcze pierwsza połowa. – Spojrzał znacząco na Hoggetta. – Mam szczerą nadzieję, że niektórzy gracze zajrzą do swych sumień. Jeśli wolno mi ukuć takie powiedzenie, panowie, tak czy siak, gramy do nagłej śmierci. Dam wam kilka minut, żebyście przekazali to swoim zespołom.

– Bardzo pana przepraszam. – Hoggett rozejrzał się po boisku. – Niektórzy z moich chłopców nie są tymi, których bym wybrał, jeśli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. Ale zaraz im nagadam.

– Moim zdaniem byłoby to skuteczne jedynie wtedy, gdyby równocześnie tłukł ich pan młotkiem, panie Hoggett. Przynoszą wstyd drużynie. Czy pan również mnie zrozumiał, panie Nobbs?

– Myślę, że chcielibyśmy grać dalej. Nigdy nie mów umrzyj.

– Także nie chcę tu widzieć nikogo umierającego, ale jak podejrzewam, pańska prośba o dodatkowy czas gry wynika z nadziei, że pan Likely nauczy się grać w piłkę. Obawiam się jednak, że nie nastąpi to nawet za miesiąc samych niedziel.

– No tak, ale czy mógłby pan... – zaczął Hoggett.

– Panie Hoggett, powiedziałem... Jestem sędzią, to znaczy, że w tej chwili jestem tu kimś najbliższym bogów.

„Jestem tu kimś najbliższym bogów”... Słowa powróciły jak echo.

Ciszej. Jaśniej. Rozejrzał się.

– Czy ktoś coś mówił?

„Kims najbliższym bogów”. A potem zabrzmiał dźwięk podobny do „gloing!”. Ale przecież nadal trzymał piłkę w dłoniach, prawda? Przyjrzał się jej uważnie. Czy tylko jemu się zdawało, czy naprawdę coś pojawiło się w powietrzu? Coś... w powietrzu... jak srebrzystość pięknych zimowych dni.

* * *

Trev wykonał krępująco niezgrabny bieg w miejscu i czekał. Kiedy uniósł wzrok, zobaczył przed sobą Andy’ego Shanka.

– Twój kochany tatuś chyba w grobie się przewraca – powiedział wesoło Andy.

– Znam cię, Andy – odparł Trev ze znużeniem. – Wiem, co robisz. Zapędzasz w kąt jakiegoś biedaka i drażnisz go, aż się wkurzy, więc potem się okazuje, że to on zaczął, tak? Ze mną ci to nie wyjdzie, Andy.

– Z tobą jakoś nikomu nic nie wychodzi, nie?

– Nie słucham cię, Andy – oświadczył Trev.

– Myślę, że słuchasz.

Trev westchnął.

– Obserwowałem cię. Ty i twoi kumple jesteście piekielnymi mistrzami we wciskaniu buta, kiedy sędzia nie patrzy. A czego nie zobaczy, z tym nic nie może zrobić.

Andy zniżył głos.

– Ale ja mogę coś zrobić z tobą, Trev. Nie wyjdiesz stąd, przysięgam. Wyniosą cię.

Rozległ się gwizdek, a po nim niepowstrzymane:

– KAŻDY CHŁOPIEC, KTÓRY NIE PRZYNIÓSŁ STROJU, BĘDZIE GRAŁ W MAJTKACH!

– Nagła śmierć! – zaklął były dziekan.

Drużyny się zwały. Andy wynurzył się z piłką przy nodze i swoją gwardią niehonorową po bokach.

Myślak Stibbons, na torze ich ruchu, wyliczył bardzo szybko cał-

kiem sporo rzeczy, takich jak prędkość, kierunek wiatru i prawdopodobieństwo fizycznego wdeptania w murawę. Mimo to podjął próbę, ale po kolizji skończył, leżąc na plecach. Jak to określił redaktor naczelny „Pulsu”: w tej scenie przerażenia, przygnębienia i pohańbienia tylko samotny obrońca Nutt stanął Zjednoczonym na drodze do zwycięskiego gola...

I nagle tuż za jego plecami rozległ się ryk. Nutt nie odważył się odwrócić głowy, ale ktoś wylądował na szczycie bramki, aż się zatrzęsła, potem opadł na ziemię i wielkim, zrogowaciałym kciukiem dał do zrozumienia, że pomoc pana Nutta nie jest już wymagana. Bibliotekarz miał na wargach zaschniętą zieloną skorupę, ale nic nie mogło zdusić ognia w jego oczach.

W tym momencie, według redaktora naczelnego „Pulsu”:

Pozornie wcale niezdziwiony powrotem słynnego uniwersyteckiego człowieka puszczy, Shank podjął kolejną próbę zdobycia zwycięskiego gola. Bibliotekarz powstrzymał ją jednakże jedną ręką i bez wysiłku cisnął piłkę na połowę Zjednoczonych. W tej grze o wszystko wydawało się nam, że każdy gracz na boisku ściga piłkę, jakby byli gromadą chłopców goniących po ulicy za tradycyjną puszką. Jednakowoż pan Nobbs, którego – jak nas zapewniono – nie łączy żadne pokrewieństwo, zdołał uzyskać dość miejsca, by pechowemu panu Likelyemu dać szansę podjęcia kolejnej próby podążenia śladami ojca. Próba nie powiodła się o szerokość – w naszej ocenie – jednej czwartej cala, a piłkę chwycił Duży Chłopiec Barton, który natychmiast runął, krztusząc się, albowiem – jak rozumiemy – aby uwolnić ręce, wcisnął sobie do ust zbyt wielką porcję zapiekanki.

– Nie powinno tak być – powiedziała Glenda, a myśl odbiła się echem w jej głowie: Nie powinno tak być. – Trev musi wygrać, nie ma innej możliwości.

Głos powrócił znowu... Czy można słyszeć echo we własnej głowie? – zastanowiła się. Oni przegrają, pomyślała potem. Przegrają, bo Andy wie, jak łamać reguły.

Reguły.

„Ja jestem regulami”.

Rozejrzała się, ale oprócz doktora i jego jęczących lub – w przypadku Ridcully’ego – przeklinających podopiecznych nie było w pobliżu nikogo poza Juliet, która obserwowała mecz ze swym zwykłym lekkim uśmiechem.

– Wielkie nieba! Przecież musi tylko zdobyć jednego gola – stwierdziła Glenda.

„Ja jestem golem”, odezwał się cichy głos znikąd.

– Słyszałaś to?

– Co? – spytała Juliet. Odwróciła się i Glenda zobaczyła, że płacze. – Trev przegra...

„Ja jestem piłką”.

Głos dobiegał z jej kieszeni. Sięgnęła tam i wyjęła puszkę Treva.

* * *

Doktor Lawn jęknął tylko i pobiegł na boisko ku czkającemu Charliemu (jak to później opisał „Puls”). Glenda ruszyła za nim i dogoniła pana Nobbsa.

– Jeśli chce pan jeszcze kiedyś w życiu dostać kubek herbaty i kawałek ciasta, panie Nobbs, kopnie pan piłkę do mnie. Zobaczy mnie pan bez trudu, bo będę wrzeszczeć i głupio się zachowywać. Rób pan, co mówię, jasne?

„Rób, co mówię, jasne?” – usłyszała echo swoich słów.

– I co panienka zrobi? Rzuci ją z powrotem?

– Coś w tym rodzaju – odparła Glenda.

– I co komu z tego przyjdzie?

– Tyle że wygracie mecz. Właśnie tyle. Pamięta pan regulę 202?

Zostawiła go zamyśłonego, a sama ruszyła do pani Whitlow i jej dziewcząt, które w tej chwili nie miały kogo zachęcać do walki.

– Myślę, że w takiej chwili powinniśmy naprawdę dać chłopcom dobry występ – zaproponowała. – Mam rację, Juliet?

Juliet, która posłusznie szła za nią, odpowiedziała:

– Tak, Glendo.

„Tak, Glendo”.

Znowu to samo. Jedno zdanie. Dwa głosy.

Pani Whitlow nie należała do osób, które przyjmują polecenia od szefowej nocnej kuchni, ale Glenda pochyliła się do niej znacząco.

– To specjalna prośba nadrektora – szepnęła.

Ożywienie Dużego Chłopca Bartona nie było łatwym zadaniem i chyba nawet mniej ochotników miało chęć wcisnąć mu palce w gardło niż poprzednio bibliotekarzowi. Opróżnienie go i późniejsze sprzątnie także zajęło więcej czasu.

Kiedy sędzia wezwał drużyny na pozycje, podbiegła zdyszana Glenda i wręczyła mu kartkę papieru.

– Co to takiego?

– To są reguły, proszę pana. Zauważy pan, że jedną z nich zakreśliłam.

Przeczytał.

– Dla mnie brzmi to jak kupa bzdur – stwierdził z lekceważeniem.

– Wcale nie, jeśli będzie pan czytał po kawałku. To reguła, proszę pana.

Nadrektor Henry wzruszył ramionami i wcisnął papier do kieszeni.

Pedel Nobbs przez chwilę spoglądał na Glendę, wyraźnie nie na miejscu w zespole dziewcząt. Glenda znana była ze szczodrości wobec przyjaciół i robiła najlepszą herbatę na uniwersytecie. Tu nie chodziło o piłkę, chodziło o kubek czegoś gorącego, a może też pączka...

Pochylił się do Nutta.

– Glenda kazała mi pamiętać o regule 202 – powiedział.

Nutt rozpromienił się.

– Sprytny pomysł i oczywiście, że się uda. Kazała panu kopnąć piłkę za boisko?

– Tak, zgadza się. Będziemy oszukiwać?

– Nie. Będziemy ściśle trzymać się reguł. A ściśle trzymanie się reguł bywa o wiele lepsze od oszukiwania.

Szansa Nobbsa pojawiła się całkiem szybko – co dziwne, wskutek ewidentnie chybionego podania Hoggetta. Czy Hoggett stał bardzo blisko, kiedy rozmawiali? I czy rzeczywiście powiedział „Do dzieła”? Na to wyglądało.

Nobbs kopnął piłkę w stronę zespołu dziewcząt. Glenda złapała ją w powietrzu i wcisnęła pod fałdy spódnicy pani Whitlow.

– Nie widziałyście tego, moje drogie, nie wiecie, gdzie jest teraz i za nic w świecie się nie ruszycie. Jasne?

Tłum gwizdał i krzyczał, a ona wyjęła z torby puszkę i podniosła ją w górę.

– Piłka zgubiona! – krzyknęła z całych sił. – Piłka zastępcza!

Rzuciła puszkę prosto do pedla Nobbsa, który zorientował się szybko i przerzucił ją do Nutta. Zanim ktokolwiek z pozostałych zdążył się ruszyć, puszka z cichym „gloing!” wylądowała na czubku buta Treva...

* * *

Redaktor „Pulsu” napisał:

Zapewniono nas, że w dniu meczu nie używano żadnej magii, i nie do mnie należy zaprzeczanie szacownemu gronu profesorskiemu Niewidocznego Uniwersytetu. Wszystko, co Wasz korespondent może na ten temat powiedzieć, to że Trevor Likely wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu kopnął „piłkę” w stronę gola Akademików, gdzie stanął, z pozoru czekając na nawałę rozwścieczonego zespołu Zjednoczonych. To, co nastąpiło potem, nie było po prostu golem; było karą, było wyrokiem... Było zapisaniem nazwiska Likely po raz drugi w annałach historii piłki nożnej, gdyż Trevor, sławny syn sławnego ojca, wytarł podłogę Zjednoczonymi, wykręcił ich i zrobił to jeszcze raz. Biegl. Omijał. Czasami uprzejmie kopał „piłkę” wprost do obrońcy, który nagle odkrywał, że zmierza ona całkiem gdzie indziej, przypadkiem właśnie tam, gdzie aktualnie stoi Likely. Nabijał się z nich. Bawił się z nimi. Sprawiał, że zderzali się ze sobą, gdy dwaj naraz skakali do „piłki”, która w niewyjaśniony sposób znajdowała się nie tam, gdzie obaj sądzili. Co bardziej opanowani gracze Zjednoczonych musieli z ulgą powitać moment, kiedy zrezygnował i przerzucił „piłkę” nad głowę ich rezerwowego strażnika, Micky’ego Pilforda (ostatnio z Wędrowców z ul. Solidnej), i do siatki,

gdzie zatoczyła krąg i powróciła, by wylądować dokładnie na czubku buta Likely'ego. Cisza...

... rozlała się jak ciepłe masło. Glenda była pewna, że słyszy daleki śpiew ptaków albo – być może – szelest robaków pod murawą, ale też bardzo wyraźny i dobiegający z zaimprovizowanego szpitala doktora Lawna odgłos wymiotów „Dużego Chłopca” Bartona.

I wtedy, gdy zapanowała cisza, pewien dźwięk zaczął się wlewać niczym struga wody z pękniętej tamy. Był fizyczny i był złożony. Tu i tam widzowie zaczynali śpiewać – wszystkie pieśni wszystkich drużyn, połączone i zharmonizowane w jednej doskonałej chwili.

Glenda w zdumieniu przyglądała się Juliet. Znowu było tak jak na pokazie mody: dziewczyna zdawała się rozświetlona od wewnątrz, a z mikrokolczugi wybiegały złote promienie. Ruszyła do Treva, zdzierając z twarzy brodę i – Glenda widziała to dobrze – stopniowo unosząc się nad ziemią, jakby biegła po schodach.

Była to niezwykła i piękna wizja. Nawet znowu wymiotujący Charlie Barton nie mógł jej zepsuć.

– Przepraszam – odezwał się Hoggett. – To był gol, prawda?

– Tak, panie Hoggett, myślę, że tak – potwierdził sędzia.

Andy Shank odepchnął go na bok.

– Nie! Poleciała bokiem! Jesteś pan ślepy, do demona, czy co? I to była puszka!

– Nie, panie Shank. Panowie, czyżbyście nie widzieli, co się dzieje pod samymi waszymi nosami? Spójrzcie, wszystko było absolutnie legalne i zgodne z regułami gry, a konkretnie z regułą 202. To historyczna pozostałość, ale jednak reguła. I zapewniam, że nie używano tu magii. Ale w tej chwili, panowie, czy nie widzicie tej płynącej w powietrzu złotej damy?

Hoggett zerknął na wznoszącą się Juliet.

– Tak, jasne, bardzo ładna, ale przegraliśmy, tak?

– Tak, panie Hoggett, wyraźnie i stanowczo przegraliście.

– I jeszcze, tak dla ścisłości – nie ustępował Hoggett. – Nie ma już, znaczy, reguł?

– Nie, panie Hoggett, nie obowiązują was już reguły gry w piłkę

nożną.

– Dziękuję za to wyjaśnienie, wasza czcigodność. W imieniu Zjednoczonych chcę podziękować za to, że dobrze pan sobie radził z trudnymi wydarzeniami dzisiejszego popołudnia.

Po czym odwrócił się i z całej siły przyłożył Andy’emu w twarz. Pan Hoggett był człowiekiem łagodnym, ale całe lata dźwigania świńskich tuszy, po jednej w każdej ręce, dały mu cios, z którym musiała się liczyć nawet gruba skóra Andy’ego. Mimo to Andy, kiedy mrugnął już kilka razy, zdołał wykrztusić:

– Ty draniu!

– Przegrałeś nam ten mecz – oświadczył Hoggett. – Mogliśmy wygrać czysto i uczciwie, ale ty musiałeś wszystko spać.

Ci wokół niego wsparli oskarżenie niewyraźnym pomrukiem.

– Ja? To wcale nie ja! To ten przekłety Trev Likely i jego orkowy kumpel. Używali magii. Nie powiecie chyba, że to nie była magia.

– Jedynie umiejętności, zapewniam – odparł dziekan. – Zdziwiająca umiejętności, w samej rzeczy, ale pan Likely jest powszechnie znany ze swej sprawności z puszką, która przecież sama w sobie jest prawdziwą ikoną piłki nożnej.

– A w ogóle to gdzie ten przekłety Likely?

Glenda wpatrywała się w środek boiska.

– On też unosi się w powietrze... – odpowiedziała głosem osoby na wpół zahipnotyzowanej.

– Nie powiecie chyba, że to nie magia – upierał się Andy.

– Nie – stwierdziła Glenda. – Wiecie co? Myślę, że to religia. Nie słyszycie?

– Niczego nie słyszę, moja droga, przy takim gwarze tłumu – przyznał były dziekan.

– Właśnie... Niech pan słucha tłumu.

Posłuchał. To był ryk, ryk wypełniający całe niebo, stary, zwierzęcy, dochodzący bogowie wiedzą skąd, ale wewnątrz, niczym ukryta wiadomość, zawierał rozróżnialne słowa. Płynęły w samo ognisko słuchu, gdyby ucho potrafiło się zogniskować i gdyby Andy słyszał te słowa uszami. Równie dobrze mogły docierać do niego przez kości.

*Gdy strzelec wierzy, że trafił,
Gdy strażnik ze wstydu płacze,
Braw tłumy pojąć nie potrafią,
Które stwarzam, słucham i wyznaczam.
Gdyż to ja jestem tłumem
I ja jestem piłką,
Jestem tryumfem i łzą,
Murawą jestem, boisko to ja tylko,
Zawsze i wiecznie jestem Grą.
Nieważne w czyim zwycięstwo obozie,
Nieważny wynik, który uzyskałeś,
Sława to płatek więdący na mrozie,
Lecz ja będę pamiętać, jak grałeś.*

I tutaj te słowa pozostaną, myślała Glenda. Jak głos w sztandarze. Każdy jedną ich częśćką.

Juliet i Trev zaczęli spływać w dół, ręką w rękę, obracając się powoli, aż wylądowali delikatnie na trawie. Nadal się całowali. Na stadion zaczął się przesączać jakiś rodzaj rzeczywistości, no i zawsze znajdują się ludzie, którzy nawet słysząc pieśń słowika, pytają „Co to za paskudny hałas?”.

– Wredny oszust! – warknął Andy i rzucił się na Treva.

Szybko pokonał dzielący ich dystans. Trev wciąż stał z ogłupiałym, ale szczęśliwym wyrazem twarzy. Nie zauważył wściekłego Andy’ego, dopóki ciężki but nie trafił go prosto w krocze tak mocno, że oczy wszystkich patrzących płci męskiej zaczęły łzawić od współodczuwającego bólu.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Trev usłyszał, jak zaśpiewała mikrokolczuga, jak tysiące drobniutkich ogniów przesunęły się i równie szybko uspokoiły znowu. Całkiem jakby lekki wietrzyk dmuchnął mu z dołu w spodnie. Poza tym nie poczuł nic.

Za to Andy poczuł. Leżał na ziemi zgięty wpół i świszczał cicho przez zęby.

Ktoś klepnął Treva w ramię. To był Pepe.

– Włożyłeś moje spodenki, co? No, oczywiście to nie moje spodenki.

Musiałbyś być samobójcą, żeby włożyć moje spodenki. W każdym razie wymyśliłem nazwę dla tego materiału: odpłacjum. Nie powiem, że zakończy wszystkie wojny, bo nie wyobrażam sobie, żeby cokolwiek mogło położyć kres wojnom, ale odbija siłę z powrotem tam, skąd przyszła. I nie obciera, prawda?

– Nie – przyznał zdumiony Trev.

– Ale jego przytarło całkiem nieźle. Co mi przypomina: będę potrzebował twojego obrazka w tych spodenkach.

Andy wstawał wolno, jakby przechodził do pionu jedynie siłą woli. Pepe uśmiechnął się i Trevowi wydało się jakby oczywiste, że każdy, kto spróbowałby podejść i pogrozić tak uśmiechniętemu Pepe, byłby samobójcą.

– Masz nóż, dupku? – spytał Andy.

– Nie, Andy – odezwał się z tyłu Nutt. – To już koniec. Gra skończona. Fortuna sprzyjała Niewidocznym Akademikom i o ile mi wiadomo, tradycja nakazuje teraz wymianę koszulek w atmosferze przyjaźni i dobrej woli.

– Ale nie spodenek – rzucił przez zęby Pepe.

– Co ty możesz wiedzieć o takich rzeczach? – warknął Andy. – Jesteś piekielnym orkiem. Wiem o was wszystko. Potraficie wyrywać ręce i nogi. Jesteście czarną magią. Nie boję się ciebie.

Zaatakował z szybkością godną podziwu u człowieka cierpiącego taki ból.

Nutt odskoczył.

– Wierzę, że istnieje pokojowe rozwiązanie tej wyraźnej wrogości między nami.

– Co takiego?!

Pepe i kilku graczy zbliżało się groźnie – Andy nie zyskał wielu przyjaciół. Nutt powstrzymał ich gestem.

– Jestem przekonany, że zdołam ci pomóc, Andy. Tak, masz rację, jestem orkiem, ale czyż ork nie ma oczu? Czyż ork nie ma uszu? Czyż ork nie ma rąk i nóg?

– Ma, chwilowo – odparł Andy i skoczył.

Cokolwiek nastąpiło potem, zdarzyło się tak szybko, że Trev przeoczył cały środek. Zaczęło się od skoku Andy’ego, a skończyło z Andym

siedzącym na ziemi i Nuttem trzymającym go za głowę, z wysuniętymi szponami.

– Popatrzmy – mruczał Nutt, gdy Andy wyrywał się bezskutecznie. – Skręcenie czaszki z dostateczną siłą, by złamać kręgosłup i przerwać rdzeń kręgowy, nie powinno sprawić kłopotu, ponieważ nie jest to staw obrotowy. Oczywiście, uszy i oczodoły pozwalają na lepszy chwyt, jak przy kuli do kręgli – dodał z zadowoleniem.

Zapadła pełna grozy cisza.

– Używając jednostki miary siły – mówił dalej Nutt – wynalezionej przez sir Rosewooda Bunna, sądzę, że drobne 250 bunnów powinno załatwić sprawę. Ale oczywiście i być może zaskakująco, rozdarcie skóry, ścięgien i mięśni byłoby naprawdę trudne. Jesteś młodym człowiekiem, więc podejrzewam, że twoje ciało ma całkiem wysoką odporność na rozciąganie. Sama skóra wymagałaby chyba siły rzędu tysiąca bunnów.

Andy krzyknął, kiedy Nutt delikatnie przekręcił mu głowę.

– No nie, powiadam. Wystarczy tego! – rzekł Ridcully. – Rozumiem, żart jest żartem, ale...

– Potem wszystko robi się dosyć niechlujne – ciągnął Nutt. – Mięśnie stosunkowo łatwo oderwą się od kości.

Andy wydał z siebie zduszony skowyt.

– Ale licząc z grubsza, sądzę, że powinna wystarczyć siła od trzech do pięciu kilobunnów. – Nutt urwał na chwilę. – To taki mój mały żarcik, Andy. Wiem, że lubisz się pośmiać. Sądzę, że byłbym również w stanie włożyć ci rękę do gardła i wyrwać żołądek.

– Spróbuj – wychrypiał Andy.

A wokół stadionu bestia wyczuła krew. W końcu nie tylko wyścigi konne odbywały się na Hippo przez wieki. Ta stosunkowo niewielka ilość rozlanej dzisiaj krwi była niczym w porównaniu z oceanami stuleci, ale bestia potrafiła rozpoznać jej zapach. Krzyki i skandowania nabrały mocy, słowa rozbrzmiewały coraz głośniejsze, a ludzie wstawali z miejsc.

– Ork! Ork! Ork!

Nutt stał przez chwilę obojętnie, po czym zwrócił się do byłego dziekana.

– Chciałbym prosić, by wszyscy pozostali stąd odeszli. Może być

nieprzyjemnie.

– Nie, daj spokój – odpowiedział Trev. – W życiu!

– No cóż... – Nutt westchnął. – Może przynajmniej damy?

– Nie ma szans – oświadczyła Glenda.

– W takim razie, panie sędzio, czy mógłby pan łaskawie pożyczyć mi swojego megafonu? I byłbym wdzięczny, gdyby polecił pan najsilniejszym graczom na boisku przytrzymać pana Shanka. To smutne, ale wydaje mi się, że nie jest przy zdrowych zmysłach.

Megafon został mu wręczony bez słowa. Burza krzyków „Ork! Ork!” huczała coraz głośniejsze. Nutt odszedł kawałek od grupy i stanął obojętnie z rękami skrzyżowanymi na piersi, aż drwiny ucichły z samego braku rozpędu. Wszyscy wpatrywali się w niego, gdy unosił megafon do ust.

– Panowie – powiedział. – W samej rzeczy jestem orkiem i zawsze nim będę. Chcę też powiedzieć, że to był zaszczyt grać tu dzisiaj. Ale domyślam się, że moje bycie orkiem w tym mieście dla niektórych z was może stanowić problem. – Zastanowił się. – Dlatego proszę o wybaczenie, ale chcę, by rozstrzygnąć tę sprawę między nami tu i teraz.

W różnych miejscach stadionu rozległy się śmiechy i drwiny, ale także – jak zdawało się Glendzie – bestia próbowała uciszyć samą siebie. Wreszcie cisza zapadła i stuk upadającego na ziemię megafonu dał się słyszeć na całym stadionie. Nutt podwinął rękawy i tak zniżył głos, że ludzie musieli wyężyć słuch, by go usłyszeć.

Powiedział:

– No chodź, jak myślisz, że jesteś twardy.

Najpierw był szok, potem milczenie niedowierzania i szept, gdy każdy odwracał się do wszystkich innych i pytał:

– On to powiedział naprawdę?

Ktoś na szczycie trybun zaczął klaskać, z początku wolno, potem zwiększając tempo, aż osiągało punkt zwrotny tłumu, po którym nieklaskanie było już nie do pomyślenia. Przerwanie klaskania także było nie do pomyślenia i wybuchła prawdziwa burza braw.

Nutt zwrócił się do reszty zespołu. Łzy płynęły mu z oczu.

– Czy mam wartość? – zapytał Glendy.

Podbiegła i objęła go mocno.

– Zawsze miałeś.
– A zatem, kiedy skończy się mecz, mamy wiele do zrobienia.
– Ale skończył się wieki temu – zauważyła Glenda.
– Nie. Nie skończy się, dopóki sędzia nie zagwizdże. Wszyscy to wiedzą.

– Na Io, on ma rację! – zawołał Ridcully. – Dalej, dziękane! Pokaż, co potrafisz!

Nadrektor Uniwersytetu Miedzicoła czuł się tak wielkoduszny, że zrezygnował z komentarzy. Podniósł do warg wielki gwizdek, nabrał do płuc powietrza i dmuchnął, aż zagrzehotał groszek. Mimo wszystko duch Pasiastego Evansa miał jednak ostatnie słowo:

– ŻADNEMU CHŁOPCU NIE WOLNO SIĘ ZABAWIAĆ POD PRYSZNICEM!

Gdy tłum popłynął strumieniem z trybun, depcząc świętą teraz murawę, Ridcully klepnął w ramię ponurego pana Hoggetta.

– Będzie to dla mnie zaszczyt, jeśli zamienimy się koszulkami, drogi panie.

Zrzucił kapelusz na ziemię i zdjął koszulkę, odsłaniając pierś tak owłosioną, że wyglądała jak dwa uspione lwy. Koszulka Zjednoczonych, którą dostał w zamian, była trochę ciasna, ale to nieważne, gdyż – jak zapowiadał Andy – nie wyszli z Hippo o własnych siłach. Zostali wzięci na ramiona krzyczącego tłumu (z wyjątkiem pani Whitlow, która się broniła) i poniesieni w chwałę przez miasto. To był prawdziwy tryumf. Nieważne, kto wygrał, a kto przegrał, to był tryumf²⁵!

²⁵ Tradycja nakazuje, by zwycięscy bohaterowie polewali tłum szampanem prosto z butelek. Tak się nie stało. Jeśli magowi uda się już wyjąć korek z butelki szampana, to z pewnością nie będzie go rozlewał.

Myślicie, że to już koniec?

Magowie z Niewidocznego Uniwersytetu umieli wydawać przyjęcie. Pepe i madame Sharn²⁶ byli pod wrażeniem. Jednakże nie mogli zapominać o interesach, więc musieli myśleć o Juliet.

– Nigdzie jej nie widzę – stwierdziła madame.

– Mam wrażenie, że jakiś czas temu zauważyłem je dwie – odparł Pepe. – Ci ludzie sobie nie żalują... Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkiej deski serów. Przy tym celibat wydaje się niemal wart rozważenia.

– Och, tak uważasz?

– Nie. A przy okazji, zauważyłaś, że ten wysoki mag się na ciebie gapi?

– To profesor Bengo Macarona. Myślisz, że on...

– Bez cienia wątpliwości, moja droga. Wiem, że ma poranione nogi, ale nie sądzę, żeby to był jakiś problem.

Raz jeszcze madame wyciągnęła szyję, szukając wśród tłumu migotliwej postaci.

– Mam szczerą nadzieję, że nasza młoda modelka nie angażuje się w żadne migdalenie.

– Jak by mogła? Jest całkowicie otoczona przez wielbicieli.

– To jednak możliwe.

W rzeczywistości Juliet i Trev siedzieli w ciemnościach nocnej kuchni.

– Znajdę sobie coś do roboty – obiecał Trev. – I pojedę za tobą wszędzie.

– Powinieneś tu zostać i grać w piłkę – stwierdziła Juliet. – Wiesz, co mówili niektórzy ludzie, kiedy pili? Mówili, że David Likely był twoim ojcem.

– No tak, to przecież prawda.

– Fakt – zgodziła się Juliet. – Ale wcześniej mówili, że ty jesteś jego synem.

– No dobrze, może trochę piłki – ustąpił Trev. – Ale nie wierzę, żeby ten numer z puszką znowu mi przeszedł.

Pocałowali się.

²⁶ Która miała taki sam kształt jak większość magów, więc czuła się podwójnie jak w domu.

Tam i wtedy nic więcej nie wydawało się konieczne.
Jednakowoż...

* * *

Glenda i Nutt także chcieli znaleźć jakiś cichy zakątek na uboczu, w miarę możliwości ciemny. Na szczęście Glenda znalazła w kieszeni dwa bilety – umieszczone tam przez doktora Hiksa w ramach starań o szerzenie mroku i zwątpienia na świecie, metodą amatorskich przedstawień teatralnych – na spektakl Trupy Sióstr Dolly, wystawiającej „Przez gwiazdy przeklętych” Hwela Dramaturga. Siedzieli więc, trzymając się za ręce, oglądali w skupieniu i czuli, jak zmarszczki na wodzie popychają ich ku sobie. Potem wracali przez miasto, starannie omijając rozśpiewane gromady szczęśliwych, pijanych kibiców.

– Co myślisz? – zapytał po chwili Nutt. – Pytam o sztukę.

– Nie rozumiem, czemu niby miała być romantyczna – odparła Glenda. – Prawdę mówiąc, uważam ją za dość głupawą.

– Jest powszechnie uznawana za jedną z najznakomitszych sztuk romantycznych ostatniego półwiecza.

– Naprawdę? Ale jaki daje przykład? Przede wszystkim czy nikt w Genoi, nawet w tamtych czasach, nie potrafił zbadać pulsu? Czy podstawy wiedzy o pierwszej pomocy to zbyt wielkie wymagania? Nawet lusterko by wystarczyło, a przecież jest wiele przyzwoitych miejsc, gdzie można sprawdzić tętno.

– Myślę, że żadne z nich nie myślało o sobie.

– Żadne z nich w ogóle nie myślało – stwierdziła Glenda. – A już z pewnością nie myśleli o sobie nawzajem jak o normalnych ludziach. Trochę zdrowego rozsądku, a by przeżyli. To zwykłe wymysły, takie jak w książkach. Nie wierzę, żeby ktoś rozsądny tak się zachował.

Ścisnął jej dłoń.

– Czasami mówisz jak Lady – zauważył. – Co mi przypomina...

– Co ci przypomina?

– Że czas, bym spotkał się ze swoim stwórcą.

Andy Shank szedł chwiejnym krokiem przez nocne zaułki, spokojny w swej wiedzy, że nie spotka tu niczego gorszego od siebie. Ta wiara okazała się jednak fałszywa.

– Pan Shank?

– A kto pyta? – odburknął.

Odwrócił się i instynktownie sięgnął pod kurtkę po swój nowy kordelas.

Ale inne ostrze, wąskie i srebrzyste, cięło dwa razy, a jakaś stopa fachowo pchnęła gołęń, powalając Andy'ego na ziemię.

– Ja. Jestem szczęśliwym zakończeniem. Możesz mnie nazywać dobrą wróżką. Nie martw się, będziesz widział, kiedy już wytrzesz krew z oczu. Jak to mówią, nie będziesz już musiał w żadnym barze płacić za drinka, choć podejrzewam, że i tak nie płaciłeś.

Napastnik oparł się nonszalancko o mur.

– A robię to dlatego, Shank, że jestem wrednym draniem. Jestem łajdakiem. Jestem sukinsynem. Oni pozwolili ci odejść, bo są miłymi ludźmi, więc, rozumiesz, świat potrzebuje kogoś takiego jak ja, żeby wyrównywać rachunki. Zanim się jeszcze urodziłeś, już znałem takich jak ty: dręczycieli, tyranów i złodziei. Tak, złodziei kradnących ludziom poczucie własnej wartości. Kradnących spokój ducha. Otóż pan Nutt jest orkiem i słyszałem, że umie tak ludziom nagadać, żeby byli lepsi. Może to i prawda. Jeśli mu się uda, jest geniuszem. Ale to nie załatwia sprawy, nie według moich zasad. Dlatego uznałem, że powinienś spotkać Pepe, tylko żeby go poznać. Ale jeśli znowu cię zobaczę, to nigdy nie znajdą wszystkich kawałków. No a żeby ci pokazać, że nie jestem całkiem zły, masz tu coś na swoje rany.

Coś miękkiego upadło obok szperającej po omacku dłoni Andy'ego.

Pokrwawiony i zasmarkany Andy sięgnął tam, gdy tylko ucichły równiutkie, szybkie kroki. Chciał usunąć krew z oczu, a zemstę i karę z serca. W tych okolicznościach nie powinien rozcierać sobie na twarzy połówki cytryny.

Myślicie, że to już koniec?

Godny pożałowania jest fakt, że kiedy dwie osoby spożywają posiłek przy bardzo wielkim i długim stole, siadają po przeciwnych końcach dłuższej osi. To wyjątkowo niemądre: utrudnia rozmowę i uniemożliwia podawanie sobie potraw. Jednak nawet lord Vetinari i lady Margolotta najwyraźniej przejęli ten zwyczaj.

Ale że oboje jedli bardzo mało, niewiele mogli sobie podawać.

– Twój sekretarz chyba bardzo się zaprzyjaźnił z moją bibliotekarką – oświadczyła lady Margolotta.

– Owszem – przyznał Vetinari. – Jak rozumiem, porównują skoroszyty. Drumknott wynalazł nowy typ.

– Aby świat funkcjonował należycie – rzekła Margolotta – ważne jest, by skoroszyty były ważne dla przynajmniej jednej osoby.

Odstawiła kieliszek i spojrzała na drzwi.

– Wydajesz się zdenerwowana – zauważył Vetinari. – Zastanawiasz się, jak tu przyjdzie?

– Ma za sobą bardzo pracowity dzień, niezwykle udany. I mówisz, że wybrał się na amatorskie przedstawienie teatralne?

– Tak, z tą bardzo prostopadłą młodą damą, która robi zapiekanki.

– Rozumiem – mruknęła Margolotta. – Wie, że tutaj jestem, ale idzie gdzieś z kucharką?

Na wargach Vetinariego pojawił się cień uśmiechu.

– To nie jest zwykła kucharka. To geniusz wśród kucharek.

– W każdym razie przyznaję, że trochę mnie to zdziwiło.

– I zirytowało. Jesteś może trochę zazdrosna?

– Havelocku, posuwasz się za daleko!

– A spodziewałaś się czegoś innego? Poza tym przecież zdajesz sobie sprawę z tego, że jego tryumf jest również twoim?

– Mówiłam ci, że widziałam niektóre z nich? – spytała po chwili Margolotta.

– Orki?

– Tak. To naprawdę nędzne kreatury. Oczywiście, ludzie mówią to o goblinach, ale chociaż one rzeczywiście z powodów religijnych przechowują swoje smarki i prawie wszystko inne, przynajmniej jest w tym jakaś logika.

– Przynajmniej religijna logika – mruknął Vetinari. – A takie bywają

dość rozciągliwe.

– Igory stworzyły je z ludzi. Wiedziałeś?

Vetinari z kieliszkiem w ręku przeszedł wzdłuż stołu i wziął pieprniczkę.

– Nie. Ale kiedy już to powiedziałas, wydaje się zupełnie oczywiste. Gobliny nie byłyby wystarczająco okrutne.

– One nie miały niczego – podjęła Margolotta. – Żadnej kultury, żadnych legend, żadnej historii... On mógłby im to dać.

– Wszystkim, czym one nie są, on jest – przyznał Vetinari i dodał: – Ale chcesz zrzucić mu na barki ogromne brzemie.

– A jakie sama dźwigam? Jaki ciężar ty niesiesz?

– To trochę jak u konia pociągowego – odparł. – Po pewnym czasie już nie zauważasz. To po prostu życie.

– Oni zasłużyli na swoją szansę i trzeba im ją dać teraz, kiedy na świecie panuje pokój.

– Pokój? A tak, definiowany jako okres przygotowań do następnej wojny.

– Gdzie się nauczyłeś takiego cynizmu, Havelocku?

Vetinari odwrócił się i z roztargnieniem ruszył z powrotem wzdłuż stołu.

– No więc głównie od ciebie, madame, ale nie tylko twoja to zasługa. Odbierałem dalszą edukację jako tyran tego miasta.

– Uważam, że dajesz im za dużo swobody.

– O tak, to prawda. Właśnie dlatego wciąż jestem tyranem tego miasta. Zawsze uważałem, że jeśli człowiek chce zachować władzę, powinien się postarać, by sama myśl o jego braku stała się niewyobrażalna. Oczywiście pomogę ci, jak tylko potrafię. Nie powinno być niewolników, nawet niewolników własnych instynktów.

– Jedna osoba może przeważyć szale – stwierdziła lady Margolotta.

– Popatrz na pana Błyska, obecnie diamentowego króla trolli. Popatrz na siebie. Jeżeli ludzie mogą upaść...

Vetinari zaśmiał się krótko.

– Och, mogą, na pewno.

– ... to orki mogą powstać – dokończyła Margolotta. – Jeśli to nie jest prawda, cały wszechświat nie jest prawdziwy.

Rozległo się delikatne jak aksamit pukanie do podwójnych drzwi i wszedł Drumnott – Jest tu pan Nutt, sir – oznajmił. – Towarzyszy mu... ta kobieta, która gotuje na uniwersytecie – dodał z pewnym niesmakiem.

Vetinari zerknął na Margolottę.

– Tak – powiedział. – Myślę, że spotkam się z nim w głównym holu. Drumnott odchrząknął.

– Powinienem chyba uprzedzić, sir, że pan Nutt wkroczył do budynku przez bezpiecznie zaryglowane wrota.

– Wyrwał je z zawiasów? – zainteresował się Vetinari.

– Nie, sir, własnymi rękami zdjął wrota z zawiasów i starannie oparł o mur.

– Ach, więc jest jeszcze nadzieja dla świata!

– A gdzie straż?

Drumnott obrzucił wzrokiem lady Margolottę.

– Pozwoliłem sobie ustawić część jako środek ostrożności na galerii ponad głównym holem. Mają kusze.

– Wycofaj ich – polecił Vetinari.

– Wycofać ich? – zdumiała się lady Margolotta.

– Wycofaj ich. – Vetinari zwrócił się wprost do Drumnotta. Następnie podał ramię swej towarzysze. – O ile pamiętam, odpowiednie powiedzenie brzmi *alea iacta est*. Kości, droga lady, zostały rzucone. Teraz oboje sprawdzimy, jak się toczą.

* * *

– Będziesz miał przez to jakieś kłopoty? – spytała Glenda. Trzymała się blisko Nutta, kiedy wchodzili razem po schodach.

Główny hol pałacu wyglądał onieśmiałająco, gdy był pusty. W takim właśnie celu został zaprojektowany.

– Dlaczego nie zapukałeś, jak wszyscy?

– Droga Glendo, ponieważ nie jestem taki jak wszyscy. I ty również nie.

– No więc co masz zamiar robić?

– Nie wiem. Co robi Lady? Nie mam pojęcia, ale chyba zaczynam

rozumieć jej sposób myślenia i przychodzi mi już do głowy kilka możliwości.

Dwie postacie zstępowały po szerokich schodach prowadzących z holu w głąb budynku. Schody te zostały zbudowane tak, by mogły po nich przechodzić setki ludzi, więc ta para wydawała się dziwnie mała.

– Ach, pan Nutt – powitał ich Vetinari, kiedy dotarł już prawie na najniższy stopień. – I panna Sugarbean. Muszę przyłączyć się do gratulacji dla was obojga z powodu tego wspaniałego, choć nieoczekiwanego zwycięstwa Niewidocznych Akademików.

– Myślę, że powinien pan wprowadzić pewne zmiany w regułach – oświadczył Nutt.

– Na przykład jakie?

– Sędzia musi mieć asystentów. Nie może przecież być wszędzie. Kilka reguł trzeba również dołożyć. Choć pan Hoggett zachował się bardzo honorowo. Tak uważam.

– A profesor Rincewind może być znakomitym atakującym – zauważył Vetinari. – Jeśli tylko go przekonasz, że powinien zabierać ze sobą piłkę.

– Nigdy nie powiem tego nadrektorowi, panie, ale sądzę, że lepiej by się sprawdził na pozycji defensywnej.

– Kogo sugerujesz na jego miejsce? – zainteresował się Vetinari.

– No cóż, Charlie, ożywiony szkielet, pracujący w katedrze komunikacji post mortem, dobrze sobie radził na treningach. No i przecież... – Zawahał się. – Tak, przecież nie możemy nic poradzić na to, jakimi nas stworzono.

Obejrzeni się, słysząc za sobą ciche stukanie. Była to stopa lady Margolotty.

Nutt skłonił się lekko.

– Lady, mam nadzieję, że znajduję panią w dobrym zdrowiu.

– I ja ciebie, Nutt.

Nutt obejrzał się na Glendę.

– Jak brzmiało to kuchenne określenie?

– W dobrej formie – odparła Glenda.

– Tak, rzeczywiście. Jestem w bardzo dobrej formie – zapewnił Nutt.

– I raczej pan Nutt, jeśli wolno, Lady.

– Czy zechcecie towarzyszyć nam przy późnej kolacji? – zaproponował Vetinari, przyglądając się obojgu uważnie.

– Nie, nie chcemy się narzucać, ale dziękuję za zaproszenie. Mam jeszcze wiele do załatwienia. Lady Margolotto...

– Tak?

– Zechce pani podejść?

Glenda obserwowała ich twarze: lekki uśmieszek Vetinariego, jej urażoną minę, spokojną pewność Nutta. Szelest długiej czarnej sukni upajał dźwiękiem, gdy lady Margolotta zeszła po ostatnich schodach i stanęła przed orkiem.

– Czy mam teraz wartość? – zapytał Nutt.

– Tak, Nutt, masz.

– Dziękuję – rzekł Nutt. – Ale przekonuję się, że wartość jest czymś, co trzeba gromadzić bezustannie. Prosiła pani, żebym stał się odpowiedni. Czy się stałem?

– Tak, Nutt, stałeś się.

– Czego teraz pani sobie życzy?

– Żebyś odszukał orki żyjące w Dalekim Überwaldzie i wyprowadził je z ciemności.

– A więc są jeszcze inne orki, takie jak ja?

– Może kilkadziesiąt. Ale trudno je uznać za takie jak ty. To żałosna gromada.

– Czy to one powinny żałować? – spytał Nutt.

Glenda patrzyła na ich twarze. Dziwne, ale lady Margolotta wyglądała na zaskoczoną.

– Wiele złych rzeczy działo się w Imperium Zła – rzekła. – Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to próbować je cofnąć. Czy pomożesz w tym przedsięwzięciu?

– Na wszelkie możliwe sposoby – obiecał.

– Chciałabym, żebyś nauczył ich cywilizowanego zachowania – oświadczyła chłodno Lady.

Zastanowił się przez chwilę.

– Tak, oczywiście. Sądzę, że to całkiem możliwe – stwierdził.

– A kogo pani wyśle, żeby uczył ludzi?

Usłyszeli krótki wybuch śmiechu. Vetinari natychmiast podniósł

dłoń do ust.

– Błagam o wybaczenie – powiedział.

– Ale ponieważ spada to na mnie – ciągnął Nutt – więc tak, wyruszę do Dalekiego Überwaldu.

– Pastor Oats na pewno z radością cię powita – powiedziała Margolotta.

– On jeszcze żyje? – ucieszył się Nutt.

– O tak, jak najbardziej, jest przecież jeszcze dość młody i kroczy, mając u boku wybaczenie. Pewnie uzna za całkiem właściwe, jeśli zechcesz mu towarzyszyć. Mówił mi nawet podczas jednej ze swych niezwykle rzadkich wizyt, że byłby zaszczycony, gdyby niekiedy mógł ci przekazać wybaczenie.

– Nutt nie potrzebuje wybaczenia! – wykrzyknęła Glenda.

Nutt uśmiechnął się i poklepał jej dłoń.

– Überwald to dzika kraina i niebezpieczna dla wędrowca – wyjaśnił. – Nawet dla człowieka świątobliwego. Wybaczenie to imię obosiecznego topora bojowego pastora Oatsa. Dla pastora kruczata przeciwko złu nie jest metaforą. Wybaczenie rozcięło moje łańcuchy. Z radością je poniosę.

– Królowie trolli i krasnoludów udzielą ci wszelkiej pomocy – obiecała lady.

Nutt kiwnął głową.

– Ale najpierw chciałbym prosić o drobną łaskę, panie – zwrócił się do Vetinariego.

– Proś, nie krępuj się.

– Wiem, że miasto posiada pewną liczbę golemów koni. Czy mógłbym pożyczyć jednego z nich?

– Ależ oczywiście – zapewnił Patrycjusz.

Nutt spojrzał na Glendę.

– Panno Sugarbean, Juliet zdradziła mi, że w tajemnicy marzyłaś, by jechać przez Quirm w ciepły letni wieczór, czując wiatr we włosach. Możemy wyruszyć natychmiast. Mam odłożone pieniądze.

Wszelkie powody, dla których nie powinna się zgodzić, jak piana wypełniły umysł Glendy. Wszędzie czekały odpowiedzialności, obowiązki i bezustanny zgiełk potrzeb. Istniało tysiąc i jeden powodów,

żeby powiedzieć: nie.

– Tak – powiedziała.

– W takim razie nie będziemy już zajmować waszego cennego czasu, lady, wasza lordowska mość... Udam się prosto do stajni.

– Ale... – zaczęła Margolotta.

– Sądzę, że wszystko, co należało powiedzieć, zostało powiedziane – przerwał jej Nutt. – Oczywiście odwiedzę... odwiedzimy panią niedługo, gdy tylko zakończę tutaj swoje sprawy. Nie mogę się już doczekać.

Skinął im głową i z Glendą idącą obok, jakby unosiła się w powietrzu, odeszli tą samą drogą, którą przyszli.

– Miło było, prawda? – zapytał Vetinari. – Zauważyłaś, że przez cały czas trzymali się za ręce?

W progu Nutt odwrócił się na chwilę.

– Aha, jeszcze jedno. Dziękuję za brak kuszników w galerii. To byłoby takie... krępujące.

– Wypiję za twój sukces, Margolotto – rzekł Vetinari, kiedy ucichły ich kroki. – Wiesz, całkiem poważnie zamierzałem pannie Sugarbean zaproponować, żeby została moją kucharką. – Westchnął ponownie. – No ale czymże jest zapiekanka wobec szczęśliwego zakończenia?

Myślicie, że to już koniec?

Następnego ranka Myślak Stibbons pracował w budynku Magii Wysokich Energii, gdy utykając, wszedł Ridcully. Na kolanie miał lśniąca srebrzystą opaskę.

– Terapeutyczny Ściskacz Grapeshota – wyjaśnił. – Proste zakłęcie. Zanim się kto obejrzy, będę już zdrowy jak letni deszcz. Pani Whitlow chciała, żebym włożył na to pończochę, ale powiedziałem, że takie rzeczy mnie nie interesują.

– Cieszę się, widząc pana w znakomitym nastroju, nadrektorze – zapewnił Myślak, brnąc przez długie obliczenia.

– Zdążył pan przejrzyć poranne gazety, panie Stibbons?

– Nie, nadrektorze. Po całej tej historii z piłką mocno zaniedbałem moją pracę.

– Może więc pana zainteresuje, że zeszłej nocy z budynku Magii Wyższych Energii w Miedziczołe wyrwała się siedemdziesięciostopowa kura i podobno szaleje w Pseudopolis. Ścigają większość profesorów, którzy, domyślam się, sami mogliby sterroryzować miasto. Henry odebrał właśnie rozpaczliwego sekara i musiał wyjechać.

– Och, to bardzo niepokojące, nadrektorze.

– Rzeczywiście. Prawda? Podobno bardzo szybko znosi jaja.

– To mi wygląda na fenomen quasierkspansji blitu adaptującego się do żywego organizmu – stwierdził Myślak. Odwrócił kartkę. Jego ółwek sunął wolno wzdłuż kolumny liczb.

– Były dziekan miał całą twarz w jajku – poinformował Ridcully.

– Jestem pewien, że profesor Rzepiszcz potrafi zapanować nad sytuacją – oświadczył Myślak. Ton jego głosu nie zmienił się nawet odrobinę.

Po chwili pracowitego milczenia znowu odezwał się Ridcully.

– Jak pan sądzi, ile czasu powinniśmy mu zostawić, żeby nad nią zapanował?

– Jakiego rozmiaru są jajka?

– Osiem do dziewięciu stóp wysokości, jak zrozumiałem.

– Skorupy wapienne?

– Tak. I dość grube, jak mi mówiono.

Myślak w zadumie zapatrzył się w sufit.

– Hm... Czyli jeszcze nie tak źle. Gdyby pan powiedział, że stalowe,

wtedy powinniśmy się martwić. Z opisu wygląda to na dewolucję blitu, być może spowodowaną... brakiem doświadczenia.

– Zdawało mi się, że pana Rzepiszca nauczył pan wszystkiego, co sam pan potrafi – rzekł Ridcully.

Wydawał się szczęśliwszy, niż Myślak pamiętał już od bardzo dawna.

– Wie pan, może nie wszystko do końca zrozumiał. Czy narażeni są ludzie?

– Magowie polecili wszystkim, żeby nie wychodzić z domu.

– No cóż, nadrektorze... Zbiorę trochę sprzętu i możemy wyjechać zaraz po herbacie.

– Ja też pojadę, oczywiście – zaznaczył Ridcully. – I...

– Co takiego? – Myślak przyjrzał się szerokiemu uśmiechowi Ridcully’ego. – Tak, dobrze by było, gdyby któryś z dżentelmenów z „Pulsu” wybrał się z nami i robił obrazki. Przydadzą się w celach edukacyjnych.

– To znakomity plan, panie Stibbons. Uważam, że powinni też wyruszyć starsi profesorowie. Zagwarantują to, co najbardziej potrzebne, to znaczy... – Pstryknął palcami. – Jakie to słowo?

– Zamieszanie? – zgadywał Myślak.

– Nie, nie to...

– Apetyt? Ciężar?

– Coś w tym rodzaju... A tak, waga. A nawet powaga. Jesteśmy bardzo poważni. Nie należymy do takich, którzy uganiają się za dziwnymi ptakami. A teraz muszę się zająć innymi sprawami.

– Oczywiście, nadrektorze – zgodził się Myślak. – Aha, i jeszcze... hm... Co z tym proponowanym meczem piłkarskim?

– Niestety, będzie musiał poczekać, dopóki nie odbudują uniwersytetu.

– Co za szkoda, nadrektorze... – westchnął Myślak.

Dalej prowadził obliczenia, aż ostatnie cyfry zatańczyły na miejscach, upewnił się, że nadrektor wyszedł, uśmiechnął się tak dyskretnie, że nikt by nie zauważył, gdyby tego nie oczekiwał, po czym przysunął sobie nowy rejestr.

Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Teraz już tak.